

**Andrzej
Sepkowski**

CZAS GOLEMA



Prolog

Dwaj chłopcy bawili się w żołnierzy. Jeden mniejszy, drugi większy. Siedzieli zmęczeni pod murem, skryci między zwałami cuchnących śmieci. Zawarli rozejm. Odłożyli swe wspaniałe drewniane karabiny. Wystawili twarze do słońca. Rozmawiali cicho o życiu. Dwaj bardzo mali chłopcy.

Wtulony w zimny mur patrzył i słuchał ze zwykłą, niechętną obojętnością. To wszystko było nieznane, obce, dalekie. Czuł tę przekłątą słabość, jaka nadchodziła po adrenolu. Mąciły się myśli, falami napływały zimne dreszcze i nie pomagało zaciskanie spoconych dłoni na zimnym metalu. Mogła pomóc tylko następna kapsułka. I jak zawsze walczył ze sobą, by zbyt prędko nie ulec pokusie. A starczyło sięgnąć do szwu spodni i zamiast apatii pojawiłaby się wola, wola walki, eksplodowałaby w nim wrząca, żywa energia, znów by zapłonął jak pochodnia. Wciąż czekał. Z każdą sekundą był mniej sobą, coraz bliższy zapaści zapowiadanej drżeniem całego ciała. Nawet nie drgnął, nie uniósł uzbrojonej ręki, gdy w uchyloną bramę wsunął się kłęb łachmanów okrywających zgarbioną postać. Mamrocąc coś niewyraźnie pod nosem, mijała go stara, pomarszczona kobieta idąca ku słońcu. Nie widziała go, nie chciała widzieć. Jedną z tych, którzy dreptali ku śmierci w tym mieście, którzy oswoili się z nią.

- Patrz. - Mniejszy wskazał bramę. - To znowu ta sama, co wczoraj i przedwczoraj. Ciekawe, co ona ma w tym koszyku. Ciekawe, co?

Stara kobieta usiadła na odrapanej ławce obok starej pompy. Postawiła koszyk na kolanach. Mocno trzymała go oburącz. Kiwała się w przód i w tył. Starszy przyciągnął do siebie karabinek.

- Zastrzełę ją - powiedział.

- Nie wygłupiaj się.

- Ty nic nie wiesz, głupku. Wczoraj na tym miejscu, gdzie siedziała, zostały czerwone kropelki, bardzo dużo czerwonych kropelek. Tato mówił, że to krew i że następnym razem ją przepędzi. Tato poszedł zdobyć coś do jedzenia. Zaraz wróci. Ty, wiesz, co? Gdyby ona była mężczyzną, to mogłaby być wodzem Indian. Ma nos jak wrona, nie myślisz? Gdyby tak włożyła portki i pióropusz? Posłuchaj, ona śpiewa. Chodźmy bliżej, co?

- Nieee...

- Boisz się?

- Nie, ale mi się nie chce - młodszy podkurczył nogi, mocno trzymał karabin.

- Dlaczego jeszcze nie ma twojego starego?

- No, musi zdobyć coś do żarcia. Przecież ci mówiłem, głupku.

Stara kobieta kiwała się w przód i w tył, monotonicznie śpiewała najstarszą pieśń świata.

- Jednak ciekawe, co ona śpiewa - starszy skierował lufę w niebo. - Cholernie ciekawe.

Patrz! Zdjęła szmatę z koszyka, wyjmując coś. Cholera! To ręka, wygląda zupełnie jak ręka. I zakrwawiona. Ty, jak myślisz? Skąd ona to ma?

- Boję się.

- Coś ty, głupku! Zdażymy zwać. Patrz! Ona całuje... Ojejku, nie wytrzymam. Zastrzelę ją. Strzelam pierwszy!

Skryty w cieniu, machinalnie sięgnął do szwu. Uchwycił zaszytą w nim niewielką kulkę, podciągnął w górę, wbijając w skórę maleńką igłę. Lekkie ukłucie - i zaraz wpłynął weń strumień wspaniałej energii. Starczyło dziesięć sekund, by zniknęły dreszcze, a ciało i umysł wypełniło poczucie ogromnej siły. Rozsadzała go. Zmuszała do znalezienia ujścia w działaniu, tylko działaniu. Nabrał powietrza w płuca i lekkim, sprężystym krokiem wyszedł w słońce. Wolał nie wracać drogą, którą przyszedł, nie chciał wracać w środek tego piekła. Jeżeli z oficyny nie ma wyjścia, drogę przegradza ledwie dwumetrowy mur. Czuł, że nie musi się spieszyć. Zmylił ścigających, inaczej dawno by tu byli. Tu wszyscy ścigali wszystkich dla zasady. Uciekał, dlatego, że dla kilku chłopców z czerwonymi opaskami na czołach był jakimś wyzwaniem, a może tylko zwierzyną w rewirze łowieckim.

Kątem oka objął prawą i lewą oficynę. Jak wszędzie. Tylko kilka całych szyb. W żadnym z okien śladu życia. To życie, przerażone nagłym zjawieniem się obcego, kulilo się w śmieciach. Starszy patrzył na niego, nie oddychając, młodszy schował głowę w ramiona i zamknął oczy, udając, że go nie ma. Był dla nich tylko strachem, mógł być ostatnim żywym, jakiego widzieli. Wysoki, potężny, długowłose jak tamci, jak wszyscy. Nie pojmowali jeszcze do końca, ale byli przekonani, że zabijanie to wspaniała zabawa. Wszyscy zabijali wszystkich, przedtem na ekranach, teraz na ulicach. A on miał w prawej ręce dziwny karabin z długim magazynkiem. Miał śmierć. Idąc miękko, kocim krokiem, wyłuskał wolną ręką magazynek i rzucił karabin na śmierzący stos spiętrzony po okna pierwszego piętra. Spod zwałów śmieci wyskoczyły dwa potężne szczury i z piskiem na powrót się skryły. Gniewne i groźne ostrzegały, że będą kasać. Prawie jak ludzie. Dzieci odprowadzały go wzrokiem pełnym ulgi, nie wiedząc, że zdumiały go nieco. Dzieci były rzadkością w oszalałym mieście. Dzieci i psy.

Gotów na spotkanie nieznanego, skręcił w lewą oficynę, cały jak naciągnięta sprężyna, silny i promienny jak nieśmiertelny Lord Xan. Odrzucił pusty magazynek na zagracone półpiętro. I tak sam nie wiedział, czemu poniósł go ze sobą. Napięty, wyciągając przed siebie ręce, zanurzył się w wąskie przejście ku ulicy, gdzie panowała cisza. Słuchał jej długą chwilę, stojąc w miejscu. Nie mąciły jej głosy, kroki. Gdzieś tam ktoś strzelał do kogoś albo tylko tak sobie, ale to było dalekie, nie miało w sobie groźby. Pewnie w centrum, pomyślał obojętnie. Tam zawsze strzelają. Po to mają wspaniałe, prawdziwe karabiny.

Rozumiał dobrze odgłosy miasta. Wystarczył jeden dzień, ten dzień, w którym sprawdzał siebie. Musiał się przekonać, czy potrafi to, tak jak sobie wyobrażał. Nie było to trudne, nie dla niego. Znalazł się na obrzeżach Strasburga, tu było pusto i niebezpiecznie. Słyszał, jak nazywali tę dzielnicę „strefą zero”. Tu można się było spodziewać wszystkiego. Właśnie tu, gdzie pusto i cicho. Tu strzelano bez ostrzeżenia i z ukrycia. Wszyscy ciągnęli tam, gdzie było życie. Szybkie, hałaśliwe, bezwzględne życie oszalałego stada. Na tablicy przed domem widniała nazwa ulicy. Bez trudu zlokalizował się, posługując zakodowaną w pamięci mapą miasta. Teraz musi skręcić na wschód, przejść kanał i będzie w bezpiecznym schronieniu, jedynym bezpiecznym miejscu tej stolicy Europy.

Przyspieszył nieco kroku, idąc pod samymi murami starych domów. Uciekał i wracał tak, jak uczył ich major Bretson. „Perfekcjonizm polega na szczegółach, chłopcy. Perfekcja w działaniu to ostrożność”. Krył się w bramach, załomach murów, kiedy tylko dostrzegał jakiś ruch, przejeżdżający samochód, a te nie były tu taką rzadkością.

To samo robili ci, którzy zauważali jego. Każdy sposób na przeżycie jest dobry, a najlepszym z dobrych - ucieczka, o tym wie wszystko, co żywe, i nieprawdą jest, że uciekają tylko słabi.

Tym razem nie mógł uciec. Zbyt sobie zaufał omroczony adrenolem i popełnił błąd. Wychodząc zbyt szybko w przecznicę, natknął się na dwie wymierzone w siebie lufy ingramów. Młodzi ludzie w czerni. Czerni i metalowe ćwieki. Wiedzieli, czekali pięć, sześć metrów od niego. Nie, nie mogli wiedzieć, że pojawi się właśnie tu, to było niemożliwe, po prostu niemożliwe, choć mieli w uszach słuchawki i mikrofony przy ustach.

Polowali. Po tych niewielu tygodniach ci, którzy zostali, przeistoczyli się w istoty myślące jedynie o przetrwaniu, a przetrwać mogli najszybsi, najsilniejsi, najbardziej przezorni, nie ufający nikomu, nie mający skrupułów w tym świecie bez winy i kary. Oni byli tacy. Wysocy prawie jak on, ubrani w skórzane kamizele, długowłosi, obwieszeni żelazną biżuterią jak herosi z komiksów i wideo. Mieli kamienne twarze Segala, Lundgren, Astera. Patrzyli jak tamci z ekranu. Bez wyraźnej wrogości, z jakąś chłodną uwagą. Nie zachowywali

się jak nafaszerowani onirykami czy innym świństwem. Patrzyli na tego, który nie różnił się od setek, od tysięcy młodych w tym mieście. Długie ciemne włosy sięgające ramion, twarz z kilkudniowym zarostem, szerokie ramiona okryte wojskową kurtką, wojskowe spodnie, wysokie sznurowane buty. Wyglądał zwyczajnie, prawie zwyczajnie, ale nie zaufali pozorom. Napięci, z palcami na kabłakach spustów. Czarne opaski na czołach, czarne kamizele mogły wskazywać „diabelskich chłopców” Lawrensona. Ci mieli swą siedzibę tu, w tej dzielnicy. Ale takich grup było, co najmniej kilkanaście.

Pokazał im puste dłonie. Uśmiechając się samymi wargami, uważnie patrzył w oczy tych dwóch, by na czas odkryć ich zamiary. Teraz starczyło uderzyć lekko łokciami o boki. A jednak czekał, stojąc z wyciągniętymi dłońmi, robił to, czego uczono go latami. W takiej pozycji nie był niebezpieczny, a jednak nie odprężyli się ani trochę. To była poza. Oni grali rolę kogoś innego, ale tacy byli równie niebezpieczni jak narkotyczni szaleńcy.

- Czekaliśmy na ciebie całe pięć minut, chłopie. - Muskularny facet lufą ingrama mierzył w środek piersi.

- Czekaliście? Nic z tego nie rozumiem - modulował głos tak, jak go uczono.

- Wszędzie mamy oczy i uszy, gnojku. - Głos beznamiętny, głos prawdziwego twardziela. - Jak na mój gust to dziwnie tu wyglądasz. Nikt nie ma prawa wpięprzać się tutaj, wszyscy w mieście o tym wiedzą, a ty wlałeś jak świnia. Czego tu szukasz? Może to wytłumaczysz, co?

- Nic o tym nie wiedziałem i nie szukam niczego. Idę na wschód, do siebie - odpowiedział, wtulając głowę w ramiona i lekko rozchylając ręce. Uśmiechał się prawie szczerze. To miał być uśmiech pokory, ale pewnie nie był, gdyż twarze tamtych ani drgnęły. Stali obaj jak posągi.

- Nie mamy dla ciebie czasu, gnojku. Mów, jak się nazywasz i od kogo jesteś. Tylko nie zalewaj. Ja cenię szczerść.

- Nazywam się Chris Ivor i jestem od siebie - odpowiedział z tym samym uśmiechem.

- No proszę, Angol. I mówisz, że jesteś od siebie? Teraz już nie ma takich, żałosny dupku.

- To musi być niezły skurwiel, Hansi - odezwał się ochryple ten drugi. - I pewnie nie masz identyfikatora, co?

- Spaliłem, jak wszyscy - przysunął łokcie do boków. - Po jaką cholerę tu to świństwo?

- Ano właśnie - drugi postąpił krok i zrównał się z pierwszym. - Bardzo mi się to nie podoba, Hansi. Wyskoczył tu jak diabeł z pudełka i na mój gust pcha się nie w tę stronę. I mówi, że jest od siebie. Nie uważasz, że jest kurewsko bezczelny?

- Racja, racja, Oti, ale może jeszcze raz zapytamy naszego chłopca, co tu porabia, właśnie tutaj? - pierwszy mocniej zaakcentował ostatnie słowa. W jego oczach zapaliły się dziwne ogniki. - Nie powinno cię tu być, chłopie. Wszyscy wiedzą, że to nasz teren, a kto się tu wpieprzy, zawsze dostaje dobrą nauczkę.

- Uciekam, po prostu uciekam. - Raz jeszcze próbował rozbroić ich uśmiechem, i już wiedział, że była to odpowiedź najgorsza z możliwych.

Już nie zechcą spytać, przed kim ucieka. To był błąd. Nie tylko jego błąd, gdyż i tamci zblądzieli jak ludzie mało obyci z bronią. Obie lufy prawie równocześnie uniosły się kilka centymetrów, sygnalizując zamiar. Mówiąc, rozłożył ręce w geście udawanej bezradności i szybko, niemal niedostrzegalnie przycisnął łokcie do boków. Gadżet Bretsona i tym razem okazał się niezawodny. W ułamku sekundy spod rękawów kurtki wystrzeliły dwie niewinnie wyglądające, grube jak ołówek rurki, a z nich dwie maleńkie strzałki ze środkiem paralizującym. Pewnie nawet nie zdążyli zarejestrować jego ruchu. Nim upadli porażeni, nieprzytomni, sam zdążył paść na ziemię pod murem i odtoczyć się, by uniknąć przypadkowych strzałów, a gdy spojrzął, obaj dopiero walili się na płyty chodnika.

Ten przeklęty i błogosławiony adrenol zadziwiał zawsze i jego, choć już powinien się przyzwyczać po tylu iniekcjach. Omiótł wzrokiem pobliskie domy, gotów do szaleńczego skoku w najbliższe okno. Nigdzie najmniejszego ruchu. Nigdzie śladu życia. Wciąż leżąc, szukając wzrokiem, naciągnął sprężyny wyrzutni przez rękawy. To był zwykły odruch. Uspokoił się, gdy zaskoczyły z cichym trzaskiem i wyloty zniknęły za nadgarstkami. Kusily otwarte na oścież drzwi najbliższego domu, lecz nie miał czasu na odczekanie. Ci dwaj dojdą do siebie za piętnaście minut, ale pewnie ktoś trzeci słyszał tę rozmowę. Mówili, że jest za blisko. Za, blisko czego? Chyba pilnują tu jakiegoś gówna, które ma wartość tylko dla nich. Ich sprawa. Miasto miało za dużo tajemnic i zbyt wielu strażników, a te tajemnice zupełnie go nie interesowały. Jemu zostały niecałe dwie godziny na dojście do „oazy”, akurat tyle działał adrenol. Musi zdążyć.

Musi. Gdyby strzelił trzecią dawkę, miałby dwa następne dni z głowy, zresztą Topfer ostrzegał przed trzecią iniekcją. Potrzebowałby co najmniej dwóch na dojście do siebie. Dwóch straszliwych dni roślinnej wegetacji, męki godnej piekła żywych. Nie, tego musi uniknąć. Uniknąć za wszelką cenę. Po każdej iniekcji regeneracja trwała coraz dłużej i kosztowała coraz więcej. Płacił bólem, słabością dziecka, dziwnymi urojeniami bliskimi koszmarowi, utratą zdolności logicznego myślenia. Najgorsze było jednak to, że nawet chodzenie przychodziło mu z trudem i zaczynał uczyć się strachu, strachu przed własną słabością. Po zażyciu dawki szybki jak wąż i silny jak tygrys, stawał się później ludzkim

wrakiem. Stawał się nikim po trzech godzinach prawie wszechmocy. Leżał godzinami pogrążony w półśnie, nie czując nawet odrobiny chęci życia, nie czując niczego. Jadł tyle, ile powinien, i spał, tak na przemian aż do czasu, w którym powracała świadomość tego, kim jest i po co tu jest, choć z każdym dniem mniej wiedział o sobie. O sobie i o celu. Przedtem, w murach neogotyckiego zamku w górach, wszystko było jasne. Teraz już nie, teraz jawiły się pytania o sens, cel, a pojawiały się wtedy, kiedy krył się pod kopułą z betonu i słabszy stawał się nakaz zabijania.

1

- Proszę teraz o szczególną uwagę, panowie - generał James Donovan zmienił się nie do poznania w ciągu ostatnich, tragicznych tygodni; dla tych, którzy znali go lepiej, był cieniem samego siebie. - Major de Lussac ma na dziś nowe raporty z Paryża, Strasburga i Berlina. Zdaje się, że są wreszcie nowe elementy w tej zwariowanej układance, i jestem zdania, że powinniście je poznać i przeanalizować, panowie. Te elementy zmieniają znacznie obraz sytuacji, dają mu jakby głębsze tło, ale i gmatwiają nieco. Nie będę zanudzał panów przydługimi wstępami i od razu przystąpmy do rzeczy. Proszę, majorze.

Siedzący na samym końcu długiego sztabowego stołu wysoki, szczupły oficer w mundurze polowym wstał powoli i skłonił się dość nonszalancko. Nie przejmując się zupełnie niechętnymi spojrzeniami Buchnera i Hamiltona, wyjął z teczki gruby plik dokumentów. Był odmieńcem w armijnym stadzie i zdawał się robić wszystko na odwrót. Wszystko poza zadaniami bojowymi, rzecz jasna. Ale tak się dziwnie układało, że umiał zjednywać podwładnych i zniechęcać do siebie przełożonych, poza jednym wyjątkiem, a tym był Donovan, który powierzył trzydziestoletniemu majorowi sprawy kontrwywiadu, kiedy wszyscy, dokładnie wszyscy zawalili swoją robotę, zagubili się w wirze wydarzeń. Logistycy, specjaliści od predykcji, EIA. Analityki świeżo upieczonego majora, jego symulacje przewidywały możliwość takich wydarzeń i przypadek sprawił, że natknął się na nie Donovan. Nie oglądając się na nikogo, odesłał byłego szefa do bazy numer trzy w Grecji na niezbyt zasłużony odpoczynek i miejsce generała Kussiga zajął major Lussac.

- To jest zdanie pana generała, panowie. Wy ocenicie sytuację sami. - Dotąd nie wyzbył się cywilnych przyzwyczajzeń. - Otóż podległe mi służby przechwyciły człowieka, który dokonał zamachu na prezydenta...

Natychmiast przerwała mu niespokojna wrzawa, chaotyczne pytania kierowane ni to do niego, ni do Donovana. Lussac patrzył i słuchał bez drgnienia i wyraźnej chęci na odpowiadanie komukolwiek. Sam Donovan poczerwieniał z irytacji. Jego oficerowie, jego dowódcy zachowywali się jak przekupki. Nie wytrzymał, walnął pięścią w stół.

- Panowie oficerowie! - Głos drżał mu z hamowanego gniewu. - Po złożeniu raportu będziecie mogli pytać do woli, a teraz zamknijcie się łaskawie, jeśli mogę prosić.

Pomogło na tyle, że nieco tylko podnosząc głos, major zapanował nad audytorium.

- Tak, proszę panów. Zamachu na prezydenta dokonał jeden człowiek, i wszystko wskazuje na to, że nie ma wiele wspólnego z wysadzeniem gmachu wspólnoty, to znaczy nie ma bezpośrednio, ale zaraz postaram się wytłumaczyć to w miarę wyczerpująco. Taką pewność dają nam i potwierdzają światowe autorytety z naszej kliniki w Chambery, gdzie ściągnęliśmy i ściągamy lekarzy niezbędnych w tej sprawie. Z ich wstępnego rozpoznania wynika, że zamachowiec o nazwisku Denis McLachlan był uwarunkowany na wykonanie tylko tego zadania, i to dwojako. Nie miał świadomości swego czynu, był jedynie ludzką maszyną wykonującą rozkazy z zewnątrz. Nie w wyniku działania kreatyki hipnotycznej, uwarunkowano go inaczej. Profesor Riedl nazwał go po prostu implantem, co znaczy, że miał mózg nafaszerowany różnymi elektronicznymi cudaczkami, które odkryto dopiero podczas prześwietlenia, a także kapsułki z trucizną wszczepione pod skórę i wyłuskane na czas. Zamachowiec był kamikadze i powinien popełnić samobójstwo na sygnał z zewnątrz, ale nie zrobił tego za sprawą przypadku, tak przynajmniej sądzimy. Z raportu profesora wynika, że był on zdalnie kierowany, sterowany przez kogoś, o kim niestety wiemy bardzo mało, tyle, co nic.

Jak panom zapewne wiadomo, Riedl jest laureatem Nagrody Nobla, a mimo to przyznał, że niewiele wie o technice i środkach takiej implantacji, nie spotkał się z nimi w ośrodkach europejskich czy amerykańskich. Tego rodzaju zabiegi na organizmach żywych są zakazane przez konwencje międzynarodowe. Słyszał tylko o głęboko utajnionych badaniach Amerykanów, i tu wyrażał się bardzo ostrożnie, a powinienem dodać, że McLachlan został uwarunkowany na jakieś siedemdziesiąt procent i był czymś w rodzaju robota. Tylko te trzydzieści procent to człowiek... - przerwał na parę sekund i dodał: - człowiek, który nie istnieje. Nie miał przy sobie standardowego identyfikatora i człowiek o takim nazwisku, takich liniach papilarnych nie istnieje w rejestrach komputerowych, ale psychoterapeuci, przy wtórze specjalistów od języka, twierdzą z całym przekonaniem, że z pewnością wychowywał się w Szkocji, tyle że ich pewność nam nie wystarcza i nic nie daje. Profesor i jego asystenci do tej pory nie mogą sobie poradzić z częściową blokadą pamięci zamachowca, swoistą amnezją tyczącą miejsca jego „produkcji”. Niestety, to najważniejsze nam umknęło. Pamięta stosunkowo wiele, ale mimo wysiłków nie wymienił żadnego nazwiska ani miejsca, gdzie go przygotowywano. Pracują nad nim w dalszym ciągu, lecz nie mają już większych nadziei, gdyż błędy popełniono na samym początku. Nie odkryto, że ten człowiek jest implantem, a poza tym kilka mikrogeneratorów zostało zniszczonych na skutek urazu fizycznego tuż po zamachu. Twierdzą jednak, podobnie jak i my, iż jest wykluczone, aby to on był świadomym sprawcą eksplozji w gmachu. Wszystko wskazuje na to, że nie wiedział nic o mającym

nastąpić wybuchu, przyznaje natomiast, że jego celem, jedynym celem był prezydent. Tego nie wytarto mu z pamięci.

Zbierane przez naszych ludzi informacje nie sugerują, że jest to człowiek nasłany z zewnątrz, ale tego w żadnym wypadku nie możemy wykluczyć, każda możliwość jest otwarta. Dokonał zamachu za pomocą przenośnego, ulepszonego modelu firehawka z dachu biurowca Exonu, gdzie przed parunastu laty, podczas budowy przygotowano specjalną skrytkę pod podwójnym stropem lądowiska dla śmigłowców, i to także jest bardzo ważna przesłanka. Proszę bardzo, oto zdjęcia tego schowka od zewnątrz i wewnątrz. To może podbudowywać naszą tezę, że do zamachu przygotowywano się przynajmniej od dziesięciu lat. Wtedy kończono budowę obu gmachów, choć wiadomo że oddano je do użytku przed pięcioma laty. To znaczy, że celem nie był prezydent van der Bosch. Nie możemy przyjrzyć się wszystkim biorącym udział w budowie firmom za sprawą tego superwirusa, który zniszczył naszą wiarę w cywilizację komputerów. Wydaje się, panowie, że materiały wybuchowe, czy też implozywne, jak niektórzy wolą je nazywać, już wtedy były ukryte w elementach budowlanych, ale to także tylko hipoteza, choć najbardziej prawdopodobna z wiadomych względów. Proszę, oto ekspertyza specjalistów od materiałów wybuchowych. Podejrzewamy, ale tylko podejrzewamy, że w samej wyrzutni albo w pocisku mieściło się urządzenie inicjujące. Obydwa budynki w linii prostej dzieli trzysta metrów nad bulwarami i placem Europy i, jak panom wiadomo, gmach Exon jest o dwa piętra niższy od budynku Rady. Wiadomo też, że w sobotę ten gmach był zupełnie pusty i dwakroć sprawdzany przez służby specjalne EIA. Nie odkryto nic podejrzanego, gdyż na polecenie Gustaffsona, szefa EIA, więcej troski poświęcono manifestacji, i wiem, że były to kontrole powierzchniowe, nawet bez użycia detektorów. Do tej pory nie wyjaśniono też, dlaczego nie zadziałała osłona prezydenckiego śmigłowca, dlaczego nie przechwycono pocisku, ale obawiam się, że nieprędko to wyjaśnimy ze względu na wydarzenia późniejsze. Niestety, niewiele może nam pomóc film z tego wydarzenia, który zaraz panowie obejrzą. Czy pozwoli pan, panie generale?

Donovan skinął przyzwalająco głową. Dyżurny sierżant kawalerii powietrznej natychmiast zgasił światło i z okienka sali projekcyjnej wytrysnął snop światła skierowany na rozwinięty automatycznie ekran. W sali zapanowała niemal doskonała cisza i nie zmąciło jej nic aż do końca trwającej dziesięć minut projekcji. Film był niemy, a przez to jeszcze bardziej ekscytujący i porażający, doskonały w swej dramaturgii jak klasyczne dreszczowce Hitchcocka czy Larniera.

Przez pierwsze trzy minuty widzieli tylko płaszczyznę dachu potężnego gmachu Rady

Unii projektu Snidera, ale gdzieś w drugiej, w dole kadru zobaczyli smukły kształt lufy firehawka. Zniknął na chwilę i znów się pojawił w prostokątnym prześwicie. Sam Lussac po raz któryś poczuł na plecach zimne krople potu. Oglądał ten film kilkanaście razy, a wrażenie wciąż było tak samo silne, obraz hipnotyzował tak samo. Palec przeznaczenia, ta myśl wracała za każdym razem, niezbyt poetyczna, ale niezastąpiona. Ten, kto filmował, nie używał transfokatora i obraz czasami drgał, jakby kręcono z ręki. Chyba już wszyscy musieli się domyślić, że kamera była zamocowana na głowie zamachowca. Jego trzecie oko. Tak myślał o tym major.

Trzydziestu ludzi chłonęło obraz ze łzami napięcia w oczach. Byli świadkami wielkiego krachu, początku końca, jakiego nie wróżyła żadna cholerna Kasandra. Dotąd nie widział filmu nikt poza specjalistami. Ze względów bezpieczeństwa - choć brzmiało to sarkastycznie - na dach gmachu Rady nie wpuszczono ekipy żadnej ze stacji telewizyjnych, przestrzeń powietrzna także była zamknięta i chroniona z góry. Wszyscy dziennikarze i filmowcy skupili się na trzecim piętrze w ogromnej sali konferencyjnej, gdzie van der Bosch miał otworzyć pierwszą sesję nowo wybranego parlamentu. To było wydarzenie tygodnia. Szesnastego kwietnia na prezydenta czekali nie tylko parlamentarzyści i agenci ochrony tworzący nieruchomy krąg wokół lądowiska. Widzowie w tej sali ani razu nie ujrzeli tego, co działo się w dole, gdzie zgromadziło się ponad sześćdziesiąt tysięcy młodych buntowników spod dumnego znaku Youth Power, na wszelki wypadek protestujących przeciw wszystkiemu, od zanieczyszczenia środowiska na Wschodzie, w regionach „drugiej Europy”, po nadużywanie oniryków. Przypominająca happening manifestacja była jedną z tysięcy.

Śmigłowiec prezydenta z kilkunastoma osobami na pokładzie nadleciał z południa, gdy kamera obejmowała budynek z zachodu, i dlatego zobaczyli go dość późno, ale wszyscy poczuli głęboki dreszcz grozy, bo wiedzieli co stanie się za chwilę. Wytracając szybkość, helikopter zawisnął kilka metrów nad kręgiem lądowiska i drugim, tworzonym przez pochyłających się pod naporem wiatru ludzi ochrony prezydenckiej. Zaczął leniwie opadać w dół, zwrócony bokiem do kamery. I w tym momencie, prawie od kamery, strzeliła ognista kula i obraz zadrgał lekko. Z kadru zniknął wylot wyrzutni, widzieli tylko białą smugę. Prędkość początkowa pocisku była niesamowita, niezrozumiała, bo lekki firehawk nie miał, nie mógł mieć takich parametrów. A jednak... To przekłete „jednak”.

Wszystko nie trwało nawet dwóch sekund i iskra dobiegła pękatego korpusu wiszącego dwa metry nad dachem. Na czterdzieści metrów powinny zadziałać systemy obronne dragona, antyrakiety, osłona magnetyczna czy pozoranty. Nie zadziałało nic. Może major Crevy, dowódca śmigłowca, zachował się jak żółtodziób, z zadufania popełnił błąd,

który tak drogo kosztował Europę. Śmigłowiec eksplodował, zakwitł kulą ognistą, która pochłonęła maszynę i ludzi, uniosła się leniwie w górę. Prezydencki stos płonął żalobną, purpurowo-czarną pochodnią przez kilka sekund. Tylko niektórzy zauważyli sypiących się z dachu agentów ochrony i parę większych części maszyny. Donovan pomyślał teraz o jednym - że prezydent Unii miał pogrzeb bardzo symboliczny i bardzo cichy. Nie odnaleziono nawet fragmentu ciała Boscha.

Ktoś z obecnych zdołał szepnąć „O Boże!”, gdy w dwie, trzy sekundy po tym, kiedy jeszcze rozwijał się kwiat wybuchu, olbrzymi, wyniosły gmach Rady wyraźnie zadrgał w kadrze i zaczął się zapadać do środka powoli, na początku jakby opierając się niszczycielskiej sile, a potem coraz szybciej i szybciej, aż zamienił się w potężny i wciąż potężniejszy obłok cementowego pyłu lecącego ku górze, okrywającego ruiny sinym tumanem. Na oczach widzów zmieniał się w grób prawie dwudziestu tysięcy ludzi. Nagła, krwawa, niezrozumiała rewolta przeszkodziła w odgruzowaniu, uniemożliwiła nawet akcję ratunkową. Szaleństwo ogarnęło wszystkich. Nowi władcy dopiero w tydzień po wybuchu odkazili rumowisko napalmem. Szybko i skutecznie. Obraz zniknął i salę znów rozjaśniło jaskrawe, mocne światło, a z ciemności wyłoniły się zastygłe w zdumieniu i grozie twarze mocnych ludzi, którzy widzieli niejedno, służąc śmierci. Stali się świadkami bezsensownej, bezlitosnej egzekucji. Przecież te nie było konieczne. Spoglądali po sobie w milczeniu, a w ciszy kryła się myśl o jednym - o zemście na tych, których socjologowie nazywali kiedyś „biednymi, głupimi, zbrodniczymi dziećmi”. Ich to uważano za największe zło, im przypisywano to rozpasanie, niepojęte szaleństwo, szukając winnych na siłę, na teraz.

Lussac spoglądał wyczekująco na obecnych, wstrząśnięty jak oni wszyscy obrazem zbrodni wieku. Na chwilę stali się bliźsi, inni za sprawą tej spontanicznej reakcji. Czekał na pytania, ale jakiś czas jeszcze panowała cisza, nie otrząsnęli się jeszcze z szoku. Nabrzmiaty gniewem głos generała Buchnera był eksplozją uczuć przepełniających obecnych.

- Panie generale Donovan! - najstarszy w tym gronie generał grzmiał z pełnym przekonaniem do swoich racji. - Znów się okazuje, że uczyniłem słusznie. Dłużej nie możemy czekać, panowie. Powtarzam to po raz któryś: powinniśmy jak najszybciej opracować plany opanowania głównych ośrodków miejskich ogarniętych tą zarazą i wreszcie użyć siły, bo inaczej zostaniemy współnikami tych zbrodniarzy. Ci, którzy patrzą obojętnie, są współnikami, i będę to powtarzał z całą mocą. Nie spełniamy swojego podstawowego, konstytucyjnego obowiązku, nie bronimy społeczeństwa i pozwalamy, by jego struktury były niszczone za naszym przyzwoleniem. Nie jesteśmy armią, ale bandą tchórzów gnących się przed szantażystami.

- Generale Buchner! - Donovan przerwał mu donośnym, zmęczonym głosem. - Radzę, niech pan mówi do rzeczy, a nie zachowuje się jak kapral waszego Fryderyka udający Goethego. Nie miejsce i nie czas na to. Wyrządził pan już wiele zła i namawia nas do tego samego.

- Do ciężkiego diabła! Donovan! - generał poderwał się z pianą w kącikach ust. - Nie jestem tu popychadłem, a ty nie jesteś Bogiem. Jeżeli ty tego nie zrobisz, nie będę się oglądał i sam uprząnę to gówno z mojego podwórka nawet za cenę Frankfurtu i Heidelbergu. Tym razem zrobię to lepiej i inaczej. Mam za sobą moją dywizję i gwardię narodową. Wezmę pod rękę milicje terytorialne. Ja...

- A ja postawię pana przed sądem wojennym i z ochotą rozwalę - przerwał mu z pasją Donovan.

- Przestańcie, panowie, tu nie ma Lisy Moretti, aby robić takie przedstawienie. Generał Tassigny, wnuk słynnego de Lattre'a, wstał robiąc swą słynną, znudzoną minę. Szpakowaty, przystojny, wytworny, był niezły nie tylko w telewizji ale i jako taktyk, który dał się poznać z najlepszej strony w Syrii i Egipcie. - Za przeproszeniem, generale Donovan, doskonale pana rozumiem i nie zazdroszczę odpowiedzialności za to wszystko. Pan jest jedynym człowiekiem, któremu nie można zazdrościć. Stąpa pan po cienkiej linie. Po jednej stronie ma pan bezdenną przepaść głupoty a po drugiej chwały, tylko diabli wiedzą, która jest, która. Natomiast pan generał Buchner już wie doskonale, gdzie są głębiny chwały. Unurzał się w nich po korzonki włosów. Zazdroszczę panu tej pewności - tu skłonił lekko głowę w kierunku Buchnera. - Pokazał już pan, jak wygląda praca tego... no, gnojarka, i mam cichą nadzieję, że inni nie zechcą uczyć się od pana. Prawda, panowie?

Buchner posiniał, Meszoly poruszył się niespokojnie za stołem, a kilkunastu obecnych zachichotało. To nie było miejsce ani czas, a nie tylko oni zechcieli spróbować, nie bacząc na zakazy i ogromne ryzyko, bo i stary, głupi, nieobecny tu Aubry. Przeciągali strunę, ale nie stało się nic.

Okazało się, że czołgi Leopard MAV IV A i śmigłowce Condor firmy Sikorsky to o wiele za mało do walk w miastach z takim przeciwnikiem. Przez głupotę trzech zadufanych w sobie generałów, wbrew surowym zakazom Kwatery Głównej stracono prawie sto pięćdziesiąt wozów bojowych, czterdzieści dwa śmigłowce, tysiąc czterystu zabitych i około pięciu tysięcy rannych. Na szali zysków nie było nawet drobiny. Tym skończyło się sławetne „zaprowadzanie porządków” w Kolonii, Budapeszcie i Lyonie przed czterema tygodniami. Prawie tak samo jak ponad dwadzieścia lat temu w Groznm.

Wszędzie było prawie tak samo. Weszli do miast bez rozpoznania terenu. Panom

generałom zdało się, że wystarczy wejść z bronią w rękę i zbierać wiernopoddańcze hołdy. A niespodzianki czyhały na każdej z ulic, w każdym domu. Nic nie było takie jak przedtem. Głupcy żyli jeszcze chwałą Iraku, Serbii, Ukrainy, Egiptu, a wiedzieli, cholernie dobrze wiedzieli, że broń z tych trzech magazynów, które rozwalili nieznani sprawcy, nie wyparowała, musiała się gdzieś zapodziać. Zupełnie zapomnieli o masakrze na placu Europy, o „wojnie o miasta”, nie mówiąc już o tym, że zlekceważyli najpoważniejszą groźbę.

Pociski z uranowymi rdzeniami wierciły pancerze czołgów tak łatwo, jak dentystyczne wiertła wiercą spróchniałe zęby, stare stingery przeżyły swą drugą młodość, podobnie jak żelastwo z demobilu, którego nie zdążono zniszczyć z prostego skąpstwa eurokratów liczących na to, że upchną to gdzieś w Afryce. Doborowi żołnierze jednostek specjalnych ginęli, nim zdążyli jako tako rozpoznać sytuację. Nie przywykli strzelać do cywilów, zachowywali się jak ostatnie żółtodzioby, dowódcy także potracili głowy. Umierali z rąk harpiowatych dziewczyn i odurzonych narkotykami małaolotów. Tam wszyscy poszaleli. Brudne, „wyzwolone” dzieciaki podbiegały z uśmiechem do żołnierzy z bronią ukrytą pod kurtką czy koszulą i strzelały prosto w twarze zupełnie zaskoczonych „zielonych świni”. Każde okno, każde drzwi mogły okazać się pułapką. Obok złomu mieli też karabiny i wyrzutnie najnowszych generacji, ale nie to było najgorsze. Najgorsze było to, że traktowali walkę jak najlepszą zabawę i nie psuły jej sterty trupów, nie można było pokonać ich najsilniejszą bronią - strachem.

Byli wojskiem do czasu, aż przebrała się miara, a potem rozpoczęli rzeź, zaczęli walić do wszystkiego, co się rusza. Dzieci, kobiety... Wszyscy byli wrogami. Tej hekatombie nie da się zapomnieć, przypominała sławetne wyczyny małego kaprała w Tulenie, ale Napoleon miał szczęście, oni nie. Największe straty poniosła dywizja Buchnera w Kolonii. Tam natknęli się na doskonale wyposażone i wyszkolone grupki ludzi w jednakowych uniformach. To byli ci tajemniczy egzekutorzy strzelający pociskami z akonityną. Najmniejsze draśnięcie kończyło się śmiercią, a oni strzelali celnie. Ale nie stało się najgorsze, nie eksplodował żaden z ładunków nuklearnych.

Przez ponad tydzień Europe I, New Wave Network, a za nimi stacje amerykańskie i japońskie pokazywały obrazy cmentarzysk, aż i one zamilkły. Tak to kilku uwielbiających wojenkę tetryków, korzystając z samodzielności, wzniosło zaporę między armią a społeczeństwem, którą ciężko będzie obalić. Owszem, brano pod uwagę takie rozwiązania, ale po uwolnieniu się od groźby szantażu atomowego. I nikt poza starą Europą nie nazywał tego inaczej jak zbrodnią. Oto doborowe jednostki najlepszej armii świata dokonały masakry ludności cywilnej i reszta była nieważna, ani intencje, ani sytuacja obiektywna. Mimo prób

blokadę informacyjną wiadomości o tych wydarzeniach dotarły wszędzie i określano je mianem „epitafium dla Europy”. Działo się coś niepojętego, jak wybuch. Zdaniem zewnętrznych mediów w ciągu kilkunastu dni kontynent stawał się peryferiami świata i te skrawki poszarpanego ładu odchodziły w przeszłość, po krótkim odroczeniu wyroku w ostatnich latach tamtego tysiąclecia.

Dla Donovana najgorsze było to, że nie mógł nic zrobić tym dupkom, i to co najmniej z kilkunastu powodów. Armie narodowe jeszcze miały sporą samodzielność i dowódcom okręgów podlegały formacje milicyjne. Poza tym było trzech niesubordynowanych oficerów, a więc o dwóch za dużo, i w imię spistości armii mógł tylko odebrać każdemu jego dywizję i przenieść do sztabu Kwatery Głównej do pozorowanych zadań. Po trzecie, byłoby to urażenie dumy narodowej trzech nacji, a wreszcie Donovan był tylko szefem sztabu armii przed zamachem i na to stanowisko został wybrany całkiem nieformalnie. Minister obrony Unii i dowódca naczelny marszałek Torensen zginął wraz z prezydentem szesnastego kwietnia. Donovan musiał wziąć całą odpowiedzialność na siebie i zrobił to, postanawiając być wierny zdrowemu rozsądkowi i prezydentowi, który na kilka dni przed zamachem wydał rozkaz wycofania oddziałów do baz i zabezpieczenia broni strategicznych. Rozkaz zdumiewający i sugerujący później, że prezydent wiedział więcej niż oni. Bosch nie dopuszczał możliwości walki armii ze społeczeństwem. Donovan w ogóle jej sobie nie wyobrażał. Cała, niemała reszta powodów była natury racjonalnej, a głównym pośród nich był ten, że tak naprawdę to nikt nie wiedział, kto jest wrogiem numer jeden. Co do tego zdania były podzielone, „rozstrzelone”, jak mawiał Tassigny.

Ponieważ nikt nie replikował, po krótkiej przerwie Tassigny zaczął mówić dalej:

- Dla mnie, panowie - teraz jego swoisty styl bycia nie irytował nikogo - dla mnie kilka spraw rozjaśniło się jakby nieco i teraz jestem skłonny wierzyć w pierwotną i niedoskonałą ekspertyzę naszych specjalistów, mam jednak sporo wątpliwości, jak chyba wszyscy tu obecni. Panie majorze, proszę łaskawie przypomnieć, jak brzmiała ekspertyza dotycząca ilości środków wybuchowych, użytych, no wie pan...

- Siłę wybuchu oceniono na około półtora tysiąca ton TNT, panie generale - pospieszył z odpowiedzią Lussac. - Głównym argumentem za wielkością maksymalną był stan konstrukcji nośnej. Nadto nie udało się nam do tej pory zidentyfikować materiału, o ile wiem. Ekspertyz dokonaliśmy w warunkach bojowych i mogę mylić się o około sto ton w każdą stronę. Nie ulega natomiast wątpliwości, że materiały wybuchowe były ukryte w elementach konstrukcji nośnej do wysokości piętnastego piętra. W trakcie budowy nie stosowano żadnych procedur zabezpieczających, nie uznano ich za potrzebne.

- Cóż, niezbyt wiele wiecie, majorze - wtrącił z przekąsem Dmitrij Ogariow, obserwator rosyjski. - Same zagadki.

- Czy mam zacytować panu fragmenty waszej ekspertyzy, panie generale? - ripostował błyskawicznie Lussac. Rosyjscy eksperci pracujący w normalnych warunkach w ramach „dobrych usług” też nie mogli rozgryźć tego orzecha, podobnie jak Amerykanie. I ci, i ci podjęli się tego, by uniknąć podejrzeń, oskarżeń.

- Dajcie spokój, moi panowie. - Tassigny znów chciał pełnić rolę mediatora i właściwie gospodarza tego spotkania. - To jest szalenie istotne, ale dziś tylko drugoplanowe. Na plan pierwszy wysuwa się pytanie, kto, jak i kiedy mógł umieścić ten ładunek w gmachu Rady, bo to jest początek nici, która prowadzi do kłębka. A przede wszystkim kto. Nie podejrzewam tych dzieciaków, oni nie mogli tego zrobić, i coraz mniej biorę pod uwagę ludzi z hydry, naszych etatowych podejrzanych. Nie wiem sam, może to tylko empatia, ale jakoś mi to nie pasuje do tych i do tych, choć ci drudzy z pozoru osiągnęli cel, ale tylko z pozoru, gdyż mając całą władzę, nie mają wiele. Wiemy skądinąd, że nie należy brać pod uwagę sił zewnętrznych, choć tego nie możemy wykluczyć z uwagi na ładunki nuklearne. - Spojrzał znacząco na Ogariowa. - To musi mieć swoje trzecie dno. Wydarzenia, jakich jesteśmy świadkami i uczestnikami, były precyzyjnie reżyserowane od najmniej dziesięciu lat, a byłbym skłonny przesunąć to jeszcze parę lat do tyłu. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że materiały wybuchowe zostały tam umieszczone w trakcie budowy przez kogoś, kto dysponuje technologiami dwudziestego drugiego wieku. W jaki sposób i przez kogo, jeszcze nie wiemy, ale idąc tropem firm zaangażowanych w budowę, można by do czegoś dojść, gdyby to był normalny czas, ale nie jest. Ta droga, więc odpada, prawda, majorze?

- Idziemy nią, lecz posuwamy się bardzo wolno, panie generale.

- Mówi pan o trzecim dnie, ale gdzie go szukać, do diabła? - wtrącił generał Hermann. - Jankesi odpadają z wiadomych powodów, Arabowie też. Więc kto? Japończycy? Tylko oni mogliby zaskoczyć nas czymś, czego nie znamy, choć to wątpliwa dla nich korzyść. Ale zgadzam się z panem generałem, że to nie pasuje ani do szczeniaków, ani do mafii. Oczywiście przesłanki czerpię tylko z przeszłości. Nigdy nie robili takich wyrafinowanych numerów, bo pożywką dla nich jest demokracja. Gdzie w takim razie szukać tego trzeciego dna? Czy naprawdę nie mamy żadnego wyraźniejszego tropu?

- Pan także mówi, że YP ani mafia nie zrobili - doszedł do głosu Kekkola.

- Kiedyś mogli zrobić po raz pierwszy. Wiemy skądinąd, że podziemie miało roczne dochody sięgające aż siedmuset miliardów euro. Kto ma pieniądze, ten ma albo chce mieć władzę. Z takimi pieniędzmi mogli długo przygotowywać się do tego skoku, usypiając nas

prymitywnymi metodami i tym „gospodarczym” uprawianiem przestępstw, żeby teraz zagarnąć całą pulę. Wiemy ze starych raportów ELA, że poczynania mafii były na bieżąco kontrolowane, ale wiemy też, że agenci często służą dwóm panom. Mafia mogła to robić wspólnie z EIA, chcąc przez władzę ekonomiczną uchwycić władzę polityczną. To także możliwość. A nadto pamiętajmy, że kiedyś wreszcie musimy interweniować i naszym przeciwnikiem będzie mafia.

- Pan wybaczy, panie generale, ale na pański pierwszy sąd mam kontrargumenty, i to bardzo poważne kontrargumenty. - Głos zabrał flegmatyczny generał Galicki. - Słuchając pana odnosiłem wrażenie, że jest pan bardzo marksistowski w sądach, a proszę mi wierzyć, że wiem co mówię. Hydra będzie przeciwnikiem, zgadzam się, ale będzie nim z przypadku i może głupoty łbów tego potworka. Mafii to się po prostu nie opłacało, a opłaca jeszcze mniej. Owszem, mają teraz cugle w rękach, ale przy pysku konika na biegunach. Ośmielę się zauważyć, że tracą na tym interesie z każdym dniem, a na interesach znajdują się o niebo lepiej niż komputery giełdowe. Gdyby im zależało tylko na przejęciu władzy, nie byłiby tak bezwzględni wobec policji i próbowali dogadać się z nami. Sądzę, że bezpośrednia władza polityczna jest dla nich balastem. Po cholere im to, jeśli połowa posłów do parlamentu to ich przydupasy?

- To, że nie próbują dogadać się z nami, jest potwierdzeniem tego, że nie chcą się z nami dogadywać, wiedząc, że na to nie pójdziemy - dorzucił pułkownik Malpasse, a Donovan zareagował dziwnym półśmiechem. Minął już czas, kiedy czekali na jakikolwiek gest ze strony Domeniciego.

- Nie znam się tak dobrze na komputerach giełdowych jak pan, generale Galicki - odezwał się Tassigny. - Ale to się zgadza. Cały system finansowy leży w ruinie, podobnie jak przemysł, a o reszcie nawet nie wspomnę. Żywiołem hydry jest społeczeństwo konsumpcyjne ograniczane ramami prawa, które to ramy można przeskakiwać, obchodzić. Żeby trzymać w kupie to, co jeszcze się nie rozwaliło, tworzą własną armię, mają kłopoty z kursem euro i co ciekawe, przestają uprawiać działalność przestępczą, bo załamała się strona popytu, nie ma już normalnego rynku narkotyków i oniryków, ale mniejsza z tym, mniejsza ze szczegółami, które znamy wszyscy. Jeżeli odrzucimy te dwie możliwości i ingerencję z zewnątrz, kto nam pozostaje? Musimy, po prostu musimy wiedzieć, kto za tym stoi - ostatnie słowa były skierowane ku sufitowi, ale Lussac zastąpił „tego na górze”.

- Pozwolę sobie coś zasugerować, panie generale. Moim, i nie tylko moim, zdaniem jest to dzieło kogoś z zewnątrz, lecz na pewno nie mafii ani zrewoltowanej młodzieży. Niestety, nie możemy jeszcze tego rozszyfrować i pozostali przy nas specjaliści z EIA też są

bezradni. Ci nie mają dla nas nic i z pewnością niczego nie ukrywają. Chciałbym jeszcze raz podkreślić, że ten nieznaną przeciwnik jest najgroźniejszy i jego możliwości są ogromne. Nie tylko techniczne ale i konceptualne, proszę panów. Z dziecinną łatwością odnalazł wszystkie słabe punkty naszej struktury, w ciągu kilku dni udowodnił, że zjednoczona Europa nie jest nawet kolosem na glinianych nogach, a mokrą, miękką gliną.

- Przecież nie ma żadnej trzeciej siły - znów włączył się Kekkola. - Ustaliliśmy nie po raz pierwszy, że to nie wzięło się stąd. Moim zdaniem nie ma jej co szukać w Europie. Ale może generał Ogariow wie coś o tym? Nie ulega wątpliwości, że hydrze służą jego rodacy doskonale wyszkoleni w swojej profesji.

- Wypraszam to sobie, panie generale - o dziwo, rosyjski oficer łącznikowy uśmiechnął się tak, jakby brał to za dobry dowcip, ale z brodą. - Stare rzymskie powiedzenie mówi, że czyni ten, kto odnosi z tego korzyść, a nasze korzyści są, powiedziałbym, względne. Wie pan dobrze, że od czasu drugiej smuty jesteśmy uzależnieni od was, jeśli chodzi o produkcję przemysłową, nowe technologie oraz o pomoc finansową i z każdym dniem tracimy podwójnie. Chaos opanował także naszą gospodarkę i system finansowy, a za kilka miesięcy, może tygodni, grozi nam krach, jeżeli sytuacja się nie zmieni. Żarty na bok sąsiedzie, chociaż nie przeczę, że po tamtej stronie są moi rodacy i proszę mi wierzyć, kiedy dowiem się o nich wystarczająco dużo, natychmiast się tą wiedzą podzielę. Mój prezydent także jest zainteresowany.

- Generale przerwał mu Donovan. - O dobrej woli Rosjan zdążyliśmy się przekonać dzięki czynom waszego prezydenta i pułkownika Głowina. Zostawmy to na razie, choć nie ukrywam, że to istotna sprawa. Pan chciałby wspomnieć jeszcze o czymś, prawda?

- Chcę tylko zasugerować parę dróg, panie generale. Mnie się wydaje, że z pewnością najlepiej wie ten zamachowiec i proponuję, by zacząć od niego, bo to jedyny pewny trop. Jeżeli pan generał pozwoli zadam kilka pytań, choć pierwsze z nich jest czysto retoryczne, jak mi się zdaje. Zamachowiec wciąż żyje, prawda, majorze? - Lussac skinął twierdząco głową, patrząc uważnie na twarz Rosjanina. - Na drugie też proszę odpowiedzieć podobnie, gestem. Nie wyjawiał nam pan wszystkiego, czy nie tak? - Nieco zdetonowany Lussac spojrzał na Donovana i widząc wyraźny gest przyzwolenia, znowu skinął głową. - Jeżeli akurat o tym nie musimy wiedzieć to w porządku, ale może powinniśmy wiedzieć o niektórych elementach? Trzecie pytanie: Czy odnaleziono wyrzutnię i co znaleziono przy tym implancie, jak go pan nazywa? Nie ukrywam, że mam w tym swój cel. Następne i jak na razie ostatnie pytanie: Czy ujęliście go wy, czy było inaczej? Zamach miał miejsce półtora miesiąca temu, a my nie wiemy nawet, kiedy ujęliście zamachowca. Sądzę, że musicie mocno trzymać tego wróbla,

którego macie w garści.

- Proszę, panie majorze. - Donovan skinął ręką. - Tak, proszę odpowiedzieć. I tak jedziemy na tym samym wózku. Niech pan odpowiada tak wyczerpująco, jak pan może. Wierzę w mądrość zbiorową, to wiara równie dobra jak w masową głupotę. Proszę.

- Tak jest, panie generale. W tej sytuacji pozwolę sobie na dopełnienie odpowiedzi na zadane mi pytania. Zamachowiec twierdzący, że nazywa się Denis McLachlan żyje, chociaż jego stan psychiczny i fizyczny nie jest najlepszy i rokowania także. Ten człowiek jakby rodzi się na nowo po uwolnieniu od balastu, jakim była presja z zewnątrz. Przygotowałem zdjęcia i szkice implantatów w mózgu. - Podał plik zdjęć siedzącemu obok Galickiemu. - Za pomocą zabiegów naturalnych, kreatywnych i przez implantaty zredukowano u niego o jakieś dziewięćdziesiąt procent dwa z głównych motywów działania, popęd seksualny i instynkt samozachowawczy. Ten człowiek jest prawie zupełnie aseksualny i dopiero uczy się strachu, nasi psychologowie i neurologowie wciąż nie wiedzą, kto i jak to osiągnął, a to jest jakiś klucz do sprawy. Nie łączą tego z żadnym nazwiskiem, żadnym ośrodkiem naukowym. Zupełna pustka. Mają na ten temat sto hipotez, ale dopiero następne, po zakończeniu badań przez elektroników mogą choć trochę wyjaśnić sprawę i nakierować nas na wyraźniejszy trop, dać nam ten punkt zaczepienia. Zwróciliśmy się z paroma ostrożnymi pytaniami do jednej z placówek RAND Corporation, oni mają większe doświadczenie i twierdzą, że chcą nam pomóc ale my uznaliśmy, że nie możemy przyjąć ich pomocy, kiedy zechcieli mieć u siebie implanta.

- Jak to? Nie rozumiem. Przecież są jeszcze naszymi sprzymierzeńcami, prawda? - spytał Grevy, i było to pytanie wojaka z dowcipów.

- Z pewnością tak - tym razem odpowiedział Donovan, i to było wszystko, co chciał rzec tym razem.

- Pozwolicie, że postaram się to wyjaśnić, panowie - znów zachęcony gestem major wrócił do raportu. - Naszym zdaniem jest to bomba z opóźnionym zapłonem. Amerykanie od ponad pięćdziesięciu lat prowadzą intensywne badania nad czymś podobnym, co oni nazywają „człowiekiem wojny”. Już Kahn i Wiener pisali o tym w książce „Rok 2000”, wydanej w 1968 roku. Kto wie, czy ich marzenia o armii robotów nie spełniłyby się zbyt szybko i wtedy mogliby zacząć wcielać w życie marzenia Crocketta o tym nowym triumwiracie światowym. - Obrzucił uważnym spojrzeniem zasłuchane audytorium. Te marzenia już pewnie zakiełkowały w niejednej głowie i trudno je będzie wyrwać. - I już panowie widzą, że nie powiedziałem wszystkiego, a to tylko dopełnienie odpowiedzi na drugie pytanie generała Ogariowa.

- Odpowiedź na pytanie drugie obejmując punktami regulaminu o najwyższej tajności, panowie - przypomniał o sobie Donovan. - A pana proszę tylko o dochowanie sekretu, generale Ogariow. Niestety, od kiedy została udowodniona możliwość, ludzie nie poprzestaną w dążeniu do tych nieludzkich rozwiązań. Postarajmy się nie przyłożyć do tego ręki. Proszę dalej, majorze.

- Odpowiadam na pytanie trzecie. Niestety, nie odnaleźliśmy wyrzutni ani w całości, ani we fragmentach. Tego dnia nasze możliwości były niewielkie, a policji praktycznie żadne. Dlatego nie wiemy, jakich konkretnych ulepszeń firehawk dokonano, ale nasi eksperci od balistyki twierdzą, że takie przerobienie wyrzutni jest w zasadzie proste, choć nie gwarantuje przebicia osłon dragona. Proszę, oto ich wyczerpujący raport na ten temat. Przy zamachowcu znaleziono następujące przedmioty i utensylia. Preparat z hormonu nadnerczy o niezwykle wysokim stopniu koncentracji, który pobudza i uaktywnia osobnika do granic wytrzymałości psychicznej i fizycznej na mniej więcej dwie, trzy godziny. W tym czasie poddany jego wpływowi człowiek wykazuje właściwości supermana. Siła fizyczna wzrasta około cztery, pięć razy dzięki uaktywnieniu wszystkich rezerw organizmu, refleks, czyli reakcja na bodźce wyzwajające, jest też do pięciu razy lepszy. Dokonaliśmy eksperymentu na ochotniku i wyniki były naprawdę zdumiewające, tak samo jak konsekwencje użycia adrenolu, bo takiej nazwy preparatu używa McLachlan. Naszego ochotnika, któremu wstrzyknięto zaledwie jedna trzecią dawki, musiano siłą zapakować w kaftan bezpieczeństwa, a potem reanimować, gdyż zaczął szaleć, chcąc wyładować się fizycznie. Inaczej mówiąc, osiąga się to kosztem krańcowego wyczerpania organizmu, to jakby życie na kilkakrotnie szybszych obrotach. Lekarze twierdzą, że uzyskanie tego preparatu jest możliwe w warunkach laboratoryjnych, ale wedle nich zabija on skuteczniej niż ciężkie narkotyki, niszcząc organy wewnętrzne. Nie kojarzą tego z nikim, niestety. Poza tym... - Lussac urwał, jakby oczekując pytań, ale nie było ani jednego. - Poza tym znaleźliśmy plastikowy pistolet typu PG 1999. Prototyp powstał, więc dawno, ale został utajniony w obawie przed terrorystami i na dobrą sprawę nigdy nie znalazł się w produkcji. Tylko Amerykanie wyprodukowali paręset sztuk dla agentów CIA i DLA.

- A czy ten egzemplarz został wyprodukowany przez nich? - generał Kekkola poszedł za tropem, pewnie przypominając sobie młodzieńcze lektury. - Bo jeżeli tak, wygląda to ciekawie.

- Niekoniecznie, panie generale - odparował Lussac, uprzedzając „kowboja”, pułkownika Greena z armii Stanów. - Przekazano nam pięćdziesiąt egzemplarzy PG i ślad po nich zaginął wiele lat temu. Numery seryjne z tego typu materiałów dają się usunąć bez śladu

i mamy kłopot z ustaleniem pochodzenia tej broni. Następny przedmiot to pneumatyczna wyrzutnia mocowana do przedramienia miotająca małe pociski stabilizowane, a właściwie strzałki ze środkiem paralizującym bazującym na kurarze. To taki sprytnie pomyślany gadżet. Działa kilkanaście minut bez poważnych konsekwencji, jak twierdzą eksperci, ale skutecznie eliminuje na taki czas. Następny przedmiot to zwykły nóż sprężynowy. Nie muszę chyba dodawać, że znaleźliśmy także kamerę z tym filmem. Obraz nie tylko zarejestrowano, ale i odbierano. Doktor Savage, który zajmuje się hipnoterapią pacjenta, twierdzi, że w czasie seansów, oczywiście zarejestrowanych, Denis przypomina sobie scenę zamachu jak sen. Nie wiedział, że filmował te sceny, ale wiedział, że w jego przepaskę na włosy wmontowano jakiś przekaźnik. Nie tłumaczono mu, co to jest. Oni wykonywali polecenia trochę lepiej niż żołnierze jednostek specjalnych, panowie. Znaleźliśmy tę kamerę w jego rzeczach w klinice doktora Galiarda w Strasburgu.

I tak doszedłem do pytania czwartego. McLachlan został ciężko ranny w płuca w strzelaniu tuż po zamachu. Pamięta w miarę dobrze, że windy w całym gmachu były unieruchomione, a on spuszczał się szybem windy po linie i wyszedł z niego przez windę. Pamięta, że miał przy sobie stary model uzi i był pod wpływem tego preparatu. Ten pistolet jest ważny, bo znalazł się w jego ręce przypadkiem. Po prostu przed akcją dostał uzi od nieznanego mu człowieka, który spytał tylko, czy chce sobie postrzelać do świń i nieco zagubiony wziął. Dlatego przeżył, tak myślę. On pamięta, ale ja zapomniałem dodać, za co przepraszam, że miał implantowany między innymi stymulator agresji, co w jakimś stopniu tłumaczy przebieg późniejszych wydarzeń. Na dole czekało, według jego relacji, kilkunastu uzbrojonych w broń maszynową ludzi. Wszystkich załatwił, choć tamci zdołali go zranić. Wybiegł na ulicę, wmieszał się w oszalały tłum na placu Europy, a wiecie panowie, co się tam działo, i ocknął się dopiero w klinice po paru dniach. Zanim lekarze puciekali, zdążyli go jeszcze zoperować, a potem zajęły się nim samarytanki z YP. Znaleźliśmy go dopiero po dwóch tygodniach, i to przypadkiem. Trafił na niego jeden z naszych agentów, taki z siódmym zmysłem. Pacjent wydał mu się dziwny, a poza tym odkrył też pistolet, który pielęgniarki traktowały jak zabawkę. Zabrał go stamtąd i tak naszymi kanałami trafił do nas wiele dni po zamachu. Wyniki naszych rozpoznań mogliśmy przedstawić tydzień temu, ale sądziliśmy, że trafimy po tej nitce dalej. Cóż, stało się to niemożliwe. Reszta opisów i moje komentarze są chyba zbędne. Czy to pana satysfakcjonuje, generale?

- Tak, dziękuję, panie majorze. - Ogariow cały czas patrzył na Donovana. - Mam wiele pytań, których jednak nie zadam, nie mogę ich zadać, będąc tylko gościem panów i zarazem podejrzanym w oczach wielu tu obecnych. Aby sprawa była oczywistsza, powiem panom, że

wschodnia granica Unii jest teraz lepiej strzeżona, niż bywała od czasów Putina.

I co ten Rusek kombinuje? - zdawały się pytać oczy wielu obecnych, niechętnie, tu i ówdzie wrogie. Ten pulchny facet o twarzy rubasznego rzeźnika odnalazł z majorem wspólny język, którego nie rozumieli. O co mu chodzi, do ciężkiego diabła? Dla nich wszystko było proste i jasne. Ten mityczny trzeci wróg to omam. Po co go szukać, jeżeli wyraźnie widać dwóch? Dwóch to aż nadto, a poza tym trzeba zniszczyć wszystkich wrogów. Bali się człowieka ze starej szkoły GRU, któremu nie dorastali do pięt. Tylko Donovan to pojął, choć w rzeczy samej było tam sporo niejasności, niekonsekwencji, i on też je dostrzegł. Uśmiechnął się blado.

- Dziękuję za cenne uwagi, generale. Proszę, panowie. Czy macie jeszcze jakieś pytania? Jeżeli nie, pozwolę sobie na krótką rekapitulację. Mamy do czynienia z zupełnie nową sytuacją i nowym elementem w postaci tej trzeciej siły, którą podejrzewamy o samo podpalenie lontu i odpalenie tych ładunków nuklearnych. Rozpoznanie i eliminacja tej właśnie siły jest naszym głównym celem. Oczywiście pamiętamy także o znanych wrogach. To zadanie służb podległych majorowi przy współdziałaniu z resztkami EIA, zadaniem zaś jednostek bojowych jest pełna gotowość i chronienie podległych sobie rejonów. Może już za kilka dni będziemy musieli rozpocząć pacyfikację. Będę informował panów na bieżąco, co do postępów rozpoznania. Kategorycznie zakazuję działań na własną rękę. Za złamanie tego rozkazu grozi sąd wojenny. Kiedy nadejdzie czas na działanie, wystąpimy ze wszystkimi rezerwami, aby w ciągu kilku dni osiągnąć cel ostateczny. Nie ma już pytań, więc zapraszam panów na skromny obiad.

- Ja jednak mam pytanie, generale - odezwał się podniesionym głosem pułkownik Hamilton. - Zadawaliśmy je wiele razy i za każdym razem odpowiedź brzmiała tak samo, czyli „nie”. To pytanie do pana. Czy nie powinniśmy już teraz zacząć porządkować ten bajzel? Rozumiem, że nie takimi metodami, jakie zaproponował generał Buchner, ale nie możemy być bezczynni, zwłaszcza na prowincji. Jeżeli uderzymy, jest ogromna szansa na to, że ujawni się ten tajemniczy wróg.

- Poza tym - wsparł go porywczy Caidery - z każdym dniem tracimy prestiż u naszych sąsiadów i można zauważyć, jak szybko rozkwitają separatyzmy. Parlamenty krajów: angielski i włoski wracają do myśli o samostanowieniu. Jeszcze dwa tygodnie i wrócimy do tamtego stulecia.

- Moi panowie, znam wszystkie zagrożenia i nie lekceważę ani jednego, choć jestem tylko żołnierzem, nie politykiem. - Donovan wstał i wszyscy poczuli, że tym razem odpowiedź zabrzmi inaczej. - Jeżeli nie zajdą nieprzewidziane okoliczności, daję sobie i nam

nie przekraczalny termin miesiąca od dziś. Wiem jakie to ryzyko, bo ja wierzę w argumenty szantażystów, ale ryzyko trzeba podjąć. Możecie ogłosić to żołnierzom w bazach i utrzymujcie stan pełnej gotowości waszych jednostek, sprawując kontrolę nad prowincją jak dotąd i stosując zasady prawa wojny. Dłużej niż miesiąc nie możemy czekać.

- A czy spodziewa się pan generał tych niespodziewanych okoliczności? - nie ustępował pułkownik.

- Spodziewam - odpowiedział krótko Donovan.

* * *

Wieczorem tego dnia Lussac zameldował się w kwaterze głównodowodzącego na rozkaz sprzed narady. Musiał jeszcze zyskać akceptację dla powstałego przed paru dniami planu, który był jak brzytwa podawana tonącemu. Generał miał całkowitą rację. Dłużej nie mogą czekać, bo za jakiś czas nikt nie będzie miał do nich ani krzty zaufania, nawet ci zwykli, zewnątrzsterowni ludzie, zmęczeni do zupełnego oziępienia. Oni najbardziej pragnęli powrotu do normalności, do czasów, które skończyły się w kilka dni. Spokojna, syta egzystencja setek milionów runęła jak gmach Rady. Ci zgodziliby się nawet na metody Buchnera, byle wrócić do słodkich, leniwych czasów.

Byli skazani tylko na siebie. Mogą jeszcze szukać sojuszników wśród zrewoltowanych, a nawet w samej hydrze. Mogą, a nawet muszą ich znaleźć, bo czas i tak zmusi armię do bezwzględnej pacyfikacji i później do wzięcia tego wszystkiego za pysk, i to tak twardo, jak przed niespełna stu laty zrobili panowie H. i S. To bzdura, że świat się zmienił. Jajogłowi wierzyli w swoje piękne sny, gadając na okrągło o pokoju, harmonii, holizmie, immanentyzmie - skorumpowani, sprzedajni jak wszyscy. A oni byli na dobrej drodze po masakrach w Budapeszcie czy Lyonie. Sam Lussac uważał, że nienawiść wojska i do wojska stała się przez to czysta, klarowna. Nasunęło mu się to podczas rozmów z Denisem McLachlanem, niewinnym przestępcą, już wielkim jak Herostratos. Zdawało mu się trochę dziwne, że żaden z oficerów nie spytał, co się z Denisem stanie. Ani wtedy, w bunkrze, ani na niezbyt wystawnym obiedzie w bazie numer sześć koło Montelimar, tajnej wprawdzie, ale nie dla tubylców. Tradycje dobrego wojaka Szwejka i Prewitta były zbyt mocne. Cóż, może nie wypadało pytać o człowieka, któremu odebrano wszystko i jest już tylko żywym trupem. Może było dla nich zupełnie jasne, że może go czekać tylko jedno, przecież to taki czas. Jeszcze dwa miesiące temu kara śmierci była tabu, a teraz? Zabija się za kradzież bochenka chleba. Dla majora, chłodnego, wyrachowanego gracza, ten dzieciak był tylko ofiarą złożoną z zadziwiającą obojętnością przez kogoś, kto miał ogromną szansę zajęcia kiedyś godnego

miejsca u boku samego księcia piekieł. Z pewnością schwytano Domeniciego na hak z błyszczącą przynętą. Denisa McLachlana czekała śmierć. Miał przed sobą miesiące życia, może tygodnie, dni. Był tylko szurkiem doświadczalnym, teraz świadomym swej roli szurkiem, który zabijał sam siebie, spalał się psychicznie, zyskując świadomość siebie i swojego miejsca w tym świecie, ogromnym świecie, którego nie zdążył i nie zdąży poznać. Jak to nazwał Savage? Aha, syndrom Tanatosa. Ten chłopiec o ciele gladiatora i umyśle genialnego nastolatka nie chciał żyć po odkryciu, kim jest i co zrobił. Psychoterapeuci nie wiedzieli, jak sobie z tym poradzić.

Z niejasnych wspomnień, zapisów seansów hipnotycznych wynikało jedno. Zamachowiec został przygotowany... nie, spreparowany tu, w Europie przez dziwną, zagadkową grupę ludzi bliskich naprawdę wielkiej nauce. I nie mieli, raczej nie mogli mieć bliskich związków z jankesami, Japończykami czy Rosjanami. Oni i ich cele pozostawały jednak tajemnicą, i to było najgorsze. Oni, stosujący tak proste i tak skuteczne środki, stanowili dla Lussaca bazę eksplanacyjną. Musiał wiedzieć kim są. Zagubiony, szamocący się w labiryncie uczepił się tego problemu z siłą tonącego. A dotąd oni i ich cele pozostawali zagadką. Gdyby miał do dyspozycji środki sprzed krachu, dałby sobie jakąś radę, ale teraz komputerowy sezam zatrzaskał się na głucho za ich sprawą. Ich niepojęta gra rozpoczęła się wielkim wybuchem, wytrąceniem tego świata z porządku, który już zdawał się naturalny. Rozpoczęła się zapaścią, skokiem w chaos; ale co dalej? Co po tak piekielnej introdukcji? Musiało być jakieś dalej, zawsze jest jakieś dalej, bo chaos to domena Boga. Musiały istnieć inne cele, dla których przygotowywano pozostałych implantów. Dziesięciu, a każdy z nich znaczył tyle co bomba o mocy najmniej kilotony. To był powód do niepokoju. Czyżby zechcieli pogłębić chaos? Czy można go pogłębić? Można!

Prawnik i racjonalista nie przyjmował łatwo prostych tłumaczeń. Takie znał z Dürrenmatta, Kafki, Goldoniego i z setek książek sensacyjnych. Niekiedy myślał z rozbawieniem, że gdyby szefowie znali jego nałóg, wywaliliby go z roboty bez chwili namysłu, bo sami woleli komiksy. Major Lussac, „czytacz”, nałogowy pożeracz książek, był wśród nich zboczony, przegrany także przez to, że poznawał setki sztucznych biogramów, tysiące artefaktów, imaginowanych zdarzeń, które tylko mogły wydawać się niewiarygodne. Lektury nauczyły go nieufności wobec najprostszych rozwiązań i oduczyły od jednoznacznego „tak” i „nie”. Powtarzał często w myślach, że nikt nie może być prorokiem w głębi niewiadomego, tu kłębią się tylko szczęściarze i pechowcy.

Pogłębić chaos? Ale co dalej? O tak! Zawsze jest jakieś dalej, nawet po Armagedonie. Musiały istnieć jakieś inne cele, dla których przygotowywano pozostałych implantów i to

wielkie cele. Kiedy ma się w kołczanie dziesięć strzał, na początek zawsze wystrzeliwuje się najmniej wypróbowaną, a na koniec? Denis mówił z absolutną pewnością, że było ich dziesięciu. Dziesięciu, a każdy jak bomba. Tak. A co można powiedzieć o człowieku czy ludziach, którzy pogłębiali otchłań? Niewiele wskazywało na to, by chcieli władzy w Europie. Czyżby zabawiali się w bogów? Ludzie jak bogowie, panie Wells? W ich działaniach widać było geniusz i szaleństwo, posługiwali się setkami tysięcy, ba, milionami narzędzi ze zręcznością znudzonych prestidigitatorów. Trzeba ich zniszczyć, zanim będzie za późno. Te parędziesiąt tysięcy młodych to tylko narzędzia, ludzie hydry to tylko psy gończe spuszczone przez szczerwaczy. Kim oni są? Przeanalizowano ponad pięćdziesiąt tysięcy biogramów, setki tysięcy powiązań i wszystko na nic.

- Chyba pozwoliłem panu powiedzieć zbyt wiele, majorze - takim wstępem przyjął go nieco ożywiony Donovan. Widać było, że zdążył się pokrzepić „wodą życia”. - I tak sobie myślę, że narada była niepotrzebna. To klasyczne działania pozorne dla ożywienia krwiobiegu naszej generacji. Czego się pan napije?

- Drobinę czegoś, co raczy pan zaproponować swojemu słudze, panie generale - odpowiedział lekko. - Nie chciałbym popaść w euforię za sprawą większej szklaneczki i nagadać panu głupstw.

- Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić, majorze - nieuznający konwenansów gospodarz podał mu szklanę wypełnioną w jednej trzeciej whisky. - Nawet kłamstwa mówi pan z wdziękiem.

- Nie zna mnie pan zbyt dobrze, panie generale - odpowiedział swobodnie Lussac. - Czasami lubię strzelić sobie parę głębszych i po nich poszaleć. To znaczy, lubiłem w tamtym świecie.

- No nie. Obym nie musiał zwalniać pana za alkoholizm! - Rzeczywiście, nastrój generała był zdecydowanie lepszy, choć nie zaraźliwy.

- Więc pozwoli pan, że wypiję za to wcześniejsze zwolnienie, panie generale. - Major uniósł szklanę.

Przed trzema laty zamienił pracę prawnika w dobrej kancelarii na obowiązki żołnierza za radą przyjaciela rodziny generała Tassigny i ani jedna, ani druga nie była tym, o czym marzył w czasach górnej młodości. Był zdania, że przeznaczeniem każdego człowieka jest szukanie swojego przeznaczenia, i to wszystko. Jesteś tylko tym, kim chcesz być, głupku! - powtarzał sobie. Chcesz być operatorem, to zrób coś dla takiej chęci, chcesz analitykiem? Ale wpierw musisz znaleźć odpowiedź na pytanie, kim chcesz być, a w tym nie pomogą ci nauczyciele ani mentorzy z telewizora. Cały ten system tak zwanej oświaty był dziurawym

worem, którym wynoszono wodę z nieistniejącego basenu. Głupota spiętrzona w piramidę sięgającą Marsa. Nie mogło być inaczej, jeżeli celem kształcenia był człowiek-maszyna.

Wierzył w to, że w każdym człowieku drga właściwa mu struna i trzeba tylko umieć ją poruszyć, a odezwie się jedyną czystą nutą. Tymczasem ci durnie próbowali trącać struny, które zapewne nie istniały. Wpychana na siłę, mizerna wiedza z wielu dziedzin była mu teraz balastem, niestety. Przeszkadzała mu, gdy po dziesięciu latach żmudnych rutynowych prac w kancelarii i tu miał przed sobą przeciwnika godnego największych geniuszów zbrodni i porządku. Dziękował jego królewskiej mości przypadkowi za to, że zetknął go z Kantem i jego „oświeceniem”, bo dzięki temu nie bał się nikogo, niczego. A pomyśleć, że nie odnajdując się w wojsku, pośród wspaniale zorganizowanej rutyny, już myślał o czymś nowym, czymś, co byłoby prawdziwym wyzwaniem... Wtedy stało się to, co było bliskie końcowi świata i nowy splot przypadków wyniósł go na plan pierwszy.

- Może na początek powie pan, co pan wymyślił, majorze - zachęcił rozluźniony Donovan. - Niech pan wreszcie usiądzie, teraz możemy pogadać trochę dłużej, mam mniej papierkowej roboty niż wtedy, kiedy byłem tylko szefem sztabu, a pan popychadłem Kussiga. Nie spodziewam się, że doradzą panu coś rozsądnego, ale myślę, że powinienem przynajmniej z grubsza wiedzieć, co będę błogosławił własnym autorytetem. Nie myśli pan?

- Myślę, iż może zdarzyć się tak, że pan nie pobłogosławi tego pomysłu, panie generale, bo to, o czym wspomniałem przed naradą, wygląda jak kiepski scenariusz do filmu wideo. Lubi je pan, generale?

- Uwielbiam dla relaksu, zwłaszcza te z Segalem. Stare, ale jare, nie uważa pan?

- Uważam tak samo, panie generale - odpowiedział rozbawiony Lussac.

- Proszę, niech pan powie o tym, co pan zamierza, a ja wysłucham i może zapytam o coś. A przedtem potwierdzam raz jeszcze, że daję panu wolną rękę, a zresztą...

- Pan generał zauważył pewnie, że Ogariow coś wyczuł? - zaczął od pytania, które pulsowało w nim od narady. Rosjanin był zbyt spostrzegawczy, jak na jego gust, zbyt mądry, a w dodatku miał podejrzenie dobre intencje.

- Tak. - Donovan przygryzł wargi i widać było, że alkohol nie ma na niego wpływu. - Oni mieli i mają znakomitych ludzi ze starej szkoły FSB i GRU, majorze. I co? Myśli pan, że mogą pójść za tymi domysłami? Jeżeli oni pierwsi odkryją, kto animuje te wydarzenia, mogą zechcieć włączyć się do gry.

- Na pewno pójdą dla zasady, panie generale - odpowiedział z przekonaniem Lussac. Musiał tak odpowiedzieć. Rosjanie go niepokoiли, ich nigdy nie można było zrozumieć, a najmniej tego cholernego Ogariowa, wańkę-wstańkę w każdej dyskusji. - Nie mają takich

kłopotów jak my i tylko w Moskwie zanotowano dość poważne rozruchy. Uchronili się przed rewoltą nie tylko dzięki zacofaniu i konserwatyzmowi. Myślę, że oni nie byli celem twórców chaosu, panie generale. Do tej pory pozostawali jakby poza Europą, ale teraz otwiera się szansa na zdominowanie nas. Ogariow mi to podsunął i wyczułem, że sam patrzy na to niechętnie. Za dużo u niego dobrych intencji. Chyba Rosjanie zechcą teraz grać swoimi kartami, ale nie mają takich atutów jak my. Wydaje mi się, że mam klucz do rozwiązania tej zagadki, panie generale. No, może nie klucz, ale wytrych.

- A tym kluczem jest oczywiście McLachlan, tak, panie majorze?

- Przykro mi, panie generale. Tym zagadkowym kluczem jest Chris Ivor, druga strzała z sajdaka tego mitycznego profesora, o którym wspominał Denis - z wystudiowanym dla takich sytuacji uśmiechem odpowiedział Lussac.

- No proszę! Coś takiego! - Donovan spowaźniał. - Proszę mówić dalej, majorze.

- Panie generale, wiem doskonale, co komu należne, i kajać się, że nie poinformowałem pana wcześniej, ale zaraz wyjaśnię dlaczego. McLachlan pokazał nam tylko, gdzie leży ten klucz. Otóż wspominał przyjaciela, który miał wypełnić zadanie jako drugi z kolei. Pamięta doskonale, że sam był numerem pięć, a po nim miał wejść do akcji numer trzy, aby wykonać zadanie nie mniej ważne od jego. Te słowa mną wstrząsnęły, panie generale, i od razu pomyślałem sobie, że to może być odpalenie pozostałych ładunków, ale pierwsze myśli są zwykle złe. Przypuszczam, panie generale, że Denis był przeznaczony do natychmiastowego odstrzału po tym zamachu. Był tylko rodzajem prototypu, zużytego prototypu. Nie przypomina sobie, by mu coś jeszcze zlecono, i przynajmniej Savage jest pewny, że to prawda. Wyssano z niego wszystko, co się dało, jest wyprany do czysta. Mamy już pewność, że jego amnezja nie była wynikiem urazu zewnętrznego, ale zdalnym uszkodzeniem implantatu w hipokampie, co spowodowało luki w pamięci. Ci następcy Frankensteina pamiętają o wszystkim. - Lussac nie spieszył się, widząc, jak uważnie generał słuchał. - Powiem panu jeszcze, że nie byłoby kłopotu z usunięciem go ze sceny tuż po zamachu, gdyby nie ta zasada z ich dekalogu, bodaj druga. A brzmi ona: „Nie ufaj nikomu”. Dlatego wziął to uzi i nie pozwolił się odesłać w zaświaty. Egzekutorzy... Och, przepraszam, nie wskazuję Rosjan, tak mi się wymknęło. Ci faceci czekali na niego i doczekali się własnej śmierci, bo to maszyna do zabijania, panie generale, najstraszliwsza ze wszystkich, o jakich słyszałem. Szukaliśmy i znaleźliśmy w podziemiach Exonu zwłoki, a właściwie szkielety tych, o których mówił. Wie pan, że w tym czasie nikt nie uprzątał trupów. Znaleźliśmy i mamy prawie pewność, że to ludzie hydry. Byli krótko ostrzyżeni, mieli identyfikatory. Stąd znamy nazwiska tych, którzy popełnili ostatni błąd, uczestnicząc w polowaniu na

McLachlana, a ponieważ je znamy i wiemy, że byli związani z hydrą, mogę tu podejrzewać mistyfikację. Możemy teraz nawet założyć, że ten błąd miał naprawić następny implant, choć wcale się nie wydaje, by zabicie McLachlana było głównym celem Ivora.

- Wspomniał pan o tym, że byli przyjaciółmi - wtrącił cicho generał.

Major nieco się zdziwił. Zamiast pytać o najważniejsze, on akurat chce wiedzieć o czymś najmniej istotnym. A może jednak nie?

- Panie generale - odpowiedział równie cicho. - To dziwne pojęcie ma u nich chyba inne znaczenie. Wyniosłem to z lektury zapisów seansów Denisa. Przyjaciół to ktoś w rodzaju wroga. Wybiera się go po to, by według niego mierzyć siebie. Chyba tak to pojmują ich twórcy. Przyjaciół to rywal. Teraz to i tak nie ma znaczenia, bo są inni. Denis wraca do normalnego życia, a jego szanse na powrót są większe, niż sugerowałem, Ivor zaś jest ciągle uwarunkowany i nie wiemy jak, może inaczej, może głębiej. Być też może, że jego jedynym zadaniem jest naprawienie tego błędu. Nie wiem tego, niestety. A jednak po tej błogosławionej szklance wydaje mi się, że chodzi tu o łup, jakim jest nasza stara Europa. Można nawet założyć, że ten mityczny profesor posłużył się hydrą jak narzędziem, panie generale, i może zechce, aby następni implanci zniszczyli hydrę.

- A nie ma pan podstaw do podejrzeń, że tu chodzi o nas, o armię? - Donovan pytał o to, co rozważał tysiące razy.

- Panie generale, tego filaru, który ciągle stoi, nie można zburzyć. Nie tylko, dlatego że jesteśmy dobrze zabezpieczeni, ale to by było niecelowe. Pan wie i ja wiem, że w tej sytuacji staniemy za każdym, kto zagwarantuje powrót do dawnej sytuacji. Nie mamy innego wyjścia.

- Niestety - westchnął Donovan. - Co pan chce jeszcze powiedzieć o Ivorze?

- Nie wiem, w kogo ma uderzyć. Jestem tylko pewny, że nie jest animowany z zewnątrz, bo ani Amerykanów, ani Rosjan nie stać na taką intrygę. Oni sami są śmiertelnie przerażeni tym, co dzieje się u nich, zwłaszcza Amerykanie, bo poza Los Angeles rewolta wybuchła w Detroit, Chicago i San Francisco. Zrobili to samo, co u nas Buchner, ale oni nie mieli noża na gardle. Sądzę, że u nich rewolta była wynikiem działania efektu Diora.

Zamilkł i obaj pogrążyli się w niewesołych myślach. To wszystko było niewiarygodne! Po trzykroć niewiarygodne! Tak, ale tu nic nie było godne wiary, poczynając od wybuchu, którego nie spodziewał się nikt, i późniejszej lawiny. Kiepskie, duperelne opowiadki o dzielnych, nieustraszonych i niepokonanych następcach Rambo stały się antycypacją straszliwych prawd objawionych teraz. Szalony profesor w klasycznej postaci z burlesek, supermani i cała ta reszta została wymyślona przez pijanego reżysera filmów klasy D. I tylko ten chłopak z dystynkcjami majora przewidział w swoich symulacjach możliwość

załamania struktur dumnej Unii, proponując już dwa lata temu szukanie środków zaradczych. Wedle niego stabilność demokracji europejskiej była tylko mitem tworzonym i rytualizowanym przez tych, którzy byli jej symbiontami - dwulicowych polityków, ograniczonych, przekupnych, niemyślących o jutrze. Każde porwanie samolotu, każdy zamach terrorystyczny obnażał wszystkie słabości systemu. Bywało przecież, że jeden zdesperowany furia paraliżował życie całego kraju i jakoś nikt nie po myślał o tym, że te precedensy mogą być nauką dla prawdziwych wrogów. Nikt nie wierzył, że tacy pojawią się kiedyś. A jednak się pojawili.

- I sądzi pan, że poradzi sobie z dziewięcioma przeciw całej hydrze? - spytał Donovan po tej chwili iście kamiennego milczenia wewnątrz bunkra skrytego kilkadziesiąt metrów pod ziemią.

- Wiadomo, że hydrze odrastają głowy, ale jeden może zniszczyć wszystkie. Wystarczy jedna bomba, niekoniecznie atomowa. - Lussac podjął wątek. - Przeciw niej są także wszystkie grupy młodych, których mafia pacyfikuje. Mamy wiele świadectw na to, że w Paryżu, Nantes, Berlinie już toczy się prawdziwa wojna. Zrewoltowani nie chcą, nie zamierzają się poddawać ani ustępować, choć tamci mają w rękach środki przekazu, magazyny żywności, produkcję artykułów konsumpcyjnych i oniryków. To są dziesiątki tysięcy uzbrojonych dzieciaków, którym próbuje się odebrać zabawki, a według mnie jest to na razie niemożliwe, panie generale. Mają w rękach około pół miliona sztuk broni palnej z tych trzech magazynów i innych źródeł, i wciąż importują następne, jeśli tak można powiedzieć. Kupują, a właściwie wymieniają z Rosjanami, Arabami i kim się da. Oni, w jakiejś tam części, wierzą w swoje raje, chcą walczyć o swoje ideały.

- No tak. Wciąż nie możemy zablokować Południa i Wschodu. Może Rosjanom rzeczywiście nie, ale Arabom jest to na rękę.

- Jeżeli pan pozwoli, generale... Moim skromnym zdaniem sytuacja nie jest gorsza. W ciągu ostatniego tygodnia wiele się zmieniło. Ta zabawa powoli zaczyna im się nudzić. Mam tu na myśli normalnych młodych ludzi, nie tych idealistów z YP. Uciekają z miast coraz większymi falami, bo jak na razie zamiast raju zafundowano im obóz koncentracyjny. A poza miastami są mniej groźni, no i my tam jesteśmy. Gdybyśmy mogli ogłosić blokadę miast, znacznie by to przyspieszyło ucieczki, bo mafia ogranicza dystrybucję żywności i oniryków. Jak wiem, blokada ma wielu zwolenników i nie powinna zwiększyć innych gróźb - zakończył ostrożnie, wiedząc, że Donovan do tych zwolenników nie należy.

- Ba, gdybyśmy tylko mogli, majorze, gdybyśmy mogli. Pan wie, co by się mogło zacząć? Wojna wszystkich ze wszystkimi, bo uciekinierzy zaczęliby grabić, zabijać, palić. A

my nie mamy tylu ludzi, by zablokować miasta i ochronić farmerów. Przecież nie damy im broni do rąk. Moglibyśmy to zrobić przez nasze stacje radiowe i telewizyjne, ale ja na to nie pozwolę. Sytuacja mogłaby wymknąć się spod kontroli, majorze. Już wolę uchodzić za mięczaka u tych dupiastych twardzieli utwardzanych oglądaniem filmów. Nie wiem też, jak odebrałby to główny szantażysta. Ale zdaje się, że odeszliśmy dość daleko od pańskiego planu. Jeszcze drinka?

- Dziękuję, odrobinę. Jeżeli mogę... Wiemy, że Ivor pojawi się albo już się pojawił w Strasburgu, i wiemy także, gdzie można go znaleźć. To cała nasza wiedza o nim połączona z ogólną wiedzą o sposobach uwarunkowania, reakcjach adrenolowych. Jest kryjówka, z której korzystał Denis, bunkier przeciwoatomowy pod willą przemysłowca o nazwisku Grabel, po którym zaginął wszelki ślad. Nie możemy trafić na niego naszymi kanałami, a wolałbym uniknąć poszukiwań przez gorące środki przekazu, zwłaszcza w takim czasie. Ivor będzie tam miał bazę wypadową. Mamy klucze od bunkra i chcemy go dostać, panie generale.

- Dostać?!!!

2

Willa Enno Grabela znajdowała się na drugim brzegu kanału, w najbogatszej kiedyś, a teraz do cna splądrowanej i opustoszałej dzielnicy miasta. Od kilku dni stała się jego „oazą”, tutaj nikt nie mógł zakłócić jego samotności, kiedy potrzebował jej najbardziej. Nikt poza zdziczałymi psami, kotami i tysiącami szczurów. Zniszczona, pełna pułapek dzielnica nie była zbyt atrakcyjna dla pojedynczych ciekawskich. Nie zastanawiał się, czemu zbudowano jego schronienie, czy powstało z sumy strachów, czy po prostu z przemysłowości. To nie było ważne. Chris Ivor nie zastanawiał się nad sprawami oczywistymi, tego uczono go od dziecka. Ważne było to, że uwalniał się tu od niewoli adrenolu, choćby za cenę podwójnej męki. Uwalniał także od tego dziwnego nakazu działania, który wibrował w nim cały czas, kiedy pozostawał na zewnątrz, który zmuszał do wstrzyknięcia następnej dawki i gonienia za nikłym tropem jak pies gończy. Tu odnajdywał grobową, kojącą ciszę. Tu, w podziemnym schronie pod kilkumetrową kopułą betonu odnajdywał świat, w którym chciałby żyć póki woli życia. Nie miał, ku czemu wracać. Znał tylko to miasto i miejsce w górach, a to drugie dalekie, nieosiągalne jak warkocz Andromedy. Tabu. Nie mógł tam wrócić, nie wypełniając swojego zadania. Przez naglące nakazy przebijała jego myśl, że znalazł się tam, gdzie być nie powinien. Przecież planowano inaczej! Wszystko na odwrót. Jednak rozpoznawał teren działania. Był gotowy.

Pod wieczór przemknął po zwodzonym moście na kanale i dobrze znaną drogą dotarł do wysokiego betonowego ogrodzenia. Przeszedł bez trudu i skradając się między krzewami, uważnie obserwował zdewastowaną willę. Słuch, węch, wzrok nie ostrzegały. Nie zauważył nic niepokojącego. Wskoczył do środka przez rozwalone okno i spieszenie zlustrował pomieszczenie przy salonie, sprawdzając zabezpieczenia w postaci nitek, skrawków papieru. Układ porozwalanych sprzętów był taki sam. Pusto. Pochylony, tyłem wsunął się do obszernego kominka w salonie. Po omacku odnalazł w półmroku wgłębienie w licowej ścianie i wcisnął w nie zewnętrzny guz topornego pierścienia noszonego na palcu prawej ręki. Ciemnoszary, prymitywny, nie wyglądał na cenną ozdobę i nią nie był. Dopasowując guz do otworu w niby-cegle, Chris otwierał wejście do śluzu. Kunsztownie spreparowana płyta z boku kominka odsunęła się z ledwo słyszalnym szelestem i znalazł się w komorze o kształcie szafy, będącej zarazem ciasną windą.

Cały system przejść i zabezpieczeń był nawet prosty i wystarczyła minuta, by znaleźć się w labiryncie kilkunastu komór bunkra. W jego świecie. Sennej jawy i objawionych snów. Jeszcze w nim nie był. Działanie Adrenolu mógł jeszcze odczuwać około pół godziny, ale już ogarniał go spokój, już był bezpieczny, a w tej fazie odurzenia adrenolowego nie miał tej potrzeby wyładowania co na początku. Tamten świat, niezrozumiały i okrutny, znalazł się gdzieś daleko. Nieskończenie daleko. Wejście do każdej komory uruchamiało już bardziej skomplikowane systemy. Wszedł do największej komory, gdzie najbardziej lubił przebywać. Martwe dotąd przedmioty zaczynały mu służyć. Zapalały się łagodne światła, które mógł gasić lub rozjaśniać przyciskami, mógł ożywiać ekran telewizora, radio. Robił to rzadko, choć pociągały z zadziwiającą siłą, dziwiły. Oglądał tam światy, jakich nie znał. Bo nie istniały. Nie mogły istnieć. To tylko wymysł kreatorów telewizyjnych. Tylko fałszywy świat obrazów i dźwięków. Propagandowy, słodki sztafaż ponurej rzeczywistości ludzkiej, rzeczywistości zdziczałych istot od początków istnienia nastawionych na autodestrukcję, na zniszczenie samych siebie. Człowiek - dowodził kiedyś ich etolog Razzoli - od początku swych dziejów był przekonany o własnym straszliwym końcu, stąd obecne w każdej mitologii, każdej religii wieszczenie degeneracji od wieku złotego do czasu ognia. Jednostka i gatunek myślą o śmierci, to myśl przewodnia istnienia.

Prawdziwe były ślady poprzedniego mieszkańca tej groty, puste puszkę, nieład porozrzucanych sprzętów. Spotykał te ślady co krok i wciąż miał nadzieję, że Denis pojawi się, że będzie potwierdzeniem wszystkich niewyraźnych obaw, że pomoże zrozumieć. Jeżeli nie Denis, to może ktoś inny z ich dziesiątki, choć żaden nigdy nie był mu tak bliski, jak Denis McLachlan. Z nim mógł się przyjaźnić za przyzwoleniem profesora, ale nie z innymi. Gdyby okazał gest przyjaźni, wobec kogo innego, czekała tylko kara. I nikt nie wiedział, czemu wychowywano ich parami, nikt nie pytał.

Zaczął myśleć o tych dwóch, którzy stanęli mu na drodze, kiedy rozbierał się, uwalniając od balastu wyrzutni i spodni nafaszerowanych ampułkami z adrenolem. Musiał unikać niepotrzebnych iniekcji, choć w bunkrze znalazł dwie pary spodni z ampułkami i wiedział, że nie zabraknie mu „paliwa”. Musiał eliminować najmniejszą możliwość pojawienia się przypadku. „Przypadek pojawia się tam, gdzie dochodzi do głosu zwykła głupota”. Aby wstrzyknąć dawkę ze szwu, musiał dokonać sekundowej operacji i możliwość przypadkowego wstrzyknięcia była niewielka, ale istniała przy mocniejszym uderzeniu, czy nawet przez sen. Jego błazeńska mość przypadek nie szanował majestatu losu. Tę zasadę wpajano im jako jedną z pierwszych. A Chris Ivor był posłuszny wszystkim zasadom Hartenbergu. Posłuszeństwo zasadom było pierwszą zasadą.

Otworzył litrową puszkę ze skondensowanym mlekiem. Apetyt przychodził później, teraz organizm potrzebował płynów. Jego ciało wiedziało najlepiej, czego mu trzeba, i słuchał ciała. Położył się na prostym żelaznym łóżku, nakrył kołdrą, nie wyłączając światła. Światło było życiem. Znał tę prastarą prawdę z czasów dzieciństwa. Taką chłonie się ze słońcem, wiatrem, deszczem. Nieruchomiejąc, czekał na odpływ. Na początku zawsze był odpływ. Było nagle spowolnienie biegu czasu, leniwe, niedokończone myśli, zatrzymane w pamięci żywe, spowolnione obrazy z bliskiej i dalekiej przeszłości. Z każdą sekundą zapadał w głęboki, kilkugodzinny sen dzielący od koszmaru. Zwykle budził się nagle, czując bliskość czegoś przerażającego, nie mogąc się poruszyć, obezwładniony grozą płynącą z głębi jego istoty, wnoszoną w senny majak przez potworne maskary. Te zapamiętane stwory nie dawały się racjonalnie tłumaczyć i nawet tego nie próbował. Nie myślcie o tym, czego nie możecie zmienić - powtarzano im dzień i noc.

Gdy wracał do siebie ze snu, ręce, nogi, głowa odmawiały posłuszeństwa. Ataki konwulsyjnych drgawek powtarzały się, co jakiś czas. Szalejący czas. Niekiedy wydawało mu się, że paroksyzmy następują tuż po sobie, niekiedy mijały wieki, eony, nim nadeszło nieuniknione. Szalały myśli nieposłuszne nakazom i zakazom rozumu, woli. Odkrywał siebie jako niedostrzegalną drobinę w chaosie świata, bezradną, zagubioną, istniejącą na przekór wszelkim zasadom łączącym życie. Odkrywał własną słabość i z tym odkryciem nadchodził prawdziwy strach, jedyny, który mu pozostał - strach, że ciało zawiedzie go zupełnie. Tłumaczono im to kiedyś przez niezrozumiałą teorię sublimacji. To mało być naturalne, ale przez to nie mniej straszne. Dziesiątki razy chciał umrzeć, odejść najdalej i pamięć tego pozostała, od dawna był pogodzony z oswojoną śmiercią. Dziesiątki razy chciał sięgnąć po następną ampułkę i na jakiś czas uciec w drugiego siebie, choć wiedział, że tego nie może zrobić. Nie zrobi. To by była tylko krótka ucieczka donikąd. I wtedy pytał bezradnie, dlaczego nie może, i nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Wiedział, że po czasie półsnu te pytania i próby odpowiedzi wydadzą się błahe, nieważne, głupie, niewarte pamięci. Zostawały tylko niewyraźnymi cieniami czegoś złego, przykrego, bo w nim znowu pulsowała ogromna siła. Tryskała z każdego pora skóry, był gotów stanąć przeciw całemu światu.

Teraz pozostał sam na sam z koszmarem. Obudził go dotyk olbrzymiej, szponiastej łapy potwora stworzonego przez niego samego, karmiącego się jego strachem, triumfującego w głębi jego snu, a teraz jakby przerażonego, próbującego zmusić swego wroga i pana do przedłużenia tego niby-życia. Otwierał powoli oczy i spoza zasłony mgły, w miejscu olbrzymich szponów wychynęła twarz. Ludzka twarz, twarz prawdziwego, nieznanego człowieka. Już nie czuł strachu, jedynie zwykłą wrogą obojętność, przecież widział tylko

człowieka. Świadomy, że jest prawie bezbronny w stadium zapaści, patrzył obojętnie na obcego ubranego jak typowy YP w zielony dzins. Było jeszcze coś nowego, niepokojącego. Pulsujący, lekki ból w głowie, tuż za uszami. Poruszył palcami, by upewnić się, na ile jest silny i odkrył, że wyciągnięte w tył ręce są przywiązane do ram łóżka. Nogi także. Był nie tylko bezbronny ale i uwięziony. Ta myśl nie przejęła go zupełnie. Jeżeli to śmierć, świetnie. Nie było w niej nic strasznego. Tamten stał w nogach łóżka i lekko się uśmiechał. Razzoli by powiedział, że jest to uśmiech przyjaźni i pojednania, a na pewno nie wrogi, choć Ivor wiedział, że ten człowiek nie jest od nich.

- Obudziłeś się, Chris? - głos miał niski, przyjemny. - Na pewno chce ci się pić, prawda? Zawsze cierpicie po adrenolu.

Obcy wiedział za dużo. Odszedł, wrócił po chwili z kubkiem soku pomarańczowego. Przysiadł na łóżku i bez słowa przytknął chłodną krawędź kubka do jego spierzchniętych warg. Nie mówił nic, uśmiechał się tylko, widząc jak pije chciwie. Miał miękkie, kocie ruchy. Prawie jak oni.

- Przysłała mnie tu Denis, Chrisie Ivor - powiedział wreszcie cicho. Uśmiech zniknął z jego warg. Ivor poczuł, jak na kilka sekund ogarnia go dziwne ciepło, ale zaraz zahuczały młoty pod czaszką. Zamknął oczy, jakby to miało pomóc. Nie pomagało. Nic nie mogło mu teraz pomóc. Ciało zadrgało w konwulsjach i czas znów oszalał. To nie był nawet ból fizyczny. Taki umiał znosić. Ten zadziwiający ból brał się chyba ze świadomości braku kontroli nad ciałem. Rozdwajał się! Zrywano zeń cielesną powłokę i zostawała delikatna, bezbronna jaźń. To były te najgorsze momenty zapaści adrenolowej. Właśnie wtedy pragnął wyzwolenia, pragnął śmierci. To była męka, jakiej nie zna samo piekło.

- Spróbuję ci pomóc, Chris. Widzę, że wstępujesz w drugą fazę - usłyszał to albo tylko zdawało mu się, że usłyszał.

Postać tamtego była chwiejna, ulotna jak senne widziadło, ale dotyk rzeczywisty. Nie dotyk, lecz chwyt. Ukłucie w podudzie było ledwie wyczuwalne, a ulga niemal natychmiastowa. Nadchodziło wyzwolenie. Od nóg poczynając, ciało powracało, posłuszne, żywe, słabe. To nic innego jak czarodziejski eliksir, legendarna woda życia.

- To tylko antidotum na adrenol, Chris. Przygotowaliśmy go dla Denisa i jemu pomaga - mówił nieznajomy łagodnym, spokojnym tonem, jak do dziecka. - Co prawda nie przechodziło odpowiednich testów, bo mamy to od kilku dni, i wy jesteście królikami doświadczalnymi, ale byliście już takimi, biorąc adrenol. Macie wprawę, co? Pomogło ci to świństwo? Bo Denisa uratowało w momencie, kiedy nie mieliśmy już wielkich nadziei. Chciał popełnić samobójstwo.

Ivor zamknął oczy. Nie chciał odpowiadać, pytać. Kimkolwiek był ten człowiek, cokolwiek zrobił, był wrogiem. Chciał mu uniemożliwić działanie, odebrać misję. Gdy ciało powróciło, wróciły też uparte myśli o najważniejszym, o zadaniu. Musi je wykonać, a po to by je wykonać, musi czekać, cierpliwie czekać na stosowną chwilę i zniszczyć tę przeszkodę. „Dla was nie istnieją żadne przeszkody”. Obcy musi popełnić błąd. Chris czuł, że te myśli nie są tak intensywne, jak bywało. Coś naprawdę się zmieniło. Zauważył ten sygnał ostrzegawczy i od razu zadał pytanie, dlaczego. Odpowiedział sam sobie, że obcy stosował podstęp, broń tak często używaną i tak skuteczną.

- Drgawki ustąpiły. To dobrze, tak być powinno. Znam się trochę na tym, jestem lekarzem - mówił tamten jakby do siebie, masując miejsce po zastrzyku. - Już za chwilę poczujesz się o wiele lepiej, ale jakiś czas pozostaniesz związany. Nie uznaję niepotrzebnego ryzyka, a ty nie zawahałbyś się ani chwili, gdybym cię uwolnił. Zabiłbyś mnie, wiem to, ale tę robótkę zostawię ci na potem, Chrisie Ivor. Najpierw muszę przekazać ci list od Denisa na płycie DVD.

Chris skoncentrował się na tyle, na ile mógł bez adrenolu. Objął badawczym spojrzeniem szczupłą postać tamtego w znoszonych, zielonkawych dżinsach i kurtce. Koszulka pod nią zdążyła zapomnieć o dobrych czasach. Nerwowa, szczupła twarz, regularne rysy, żywe, mądre oczy. Ogolona głowa, upiornie sina w jarzeniowym świetle, zarośnięte policzki. Kim był naprawdę? Przyjacielem Denisa? Bzdura. Żaden z nich nie mógł zaprzyjaźnić się z obcym. Więc może Denisa złapali i wydusili z niego wszystko jakimiś diabelskimi sztuczkami, zanim zdążył się zablokować? Każdy z nich mógł i musiał to zrobić w sytuacji największego zagrożenia. Starczyło tylko mocno nacisnąć pojemniki za uszami, by je rozgnieść. Koniecznie oba na raz.

- Zanim wrzucę dyskietkę, pozwól że ci się przedstawię, abys wiedział, kogo zabijasz. - Nieznajomy roześmiał się szczerze, nie było w nim strachu. - Nazywam się Stawsky i jestem neurochirurgiem, wojskowym lekarzem. Przyczepili mi nawet etykietkę kapitana, chociaż to najmniej ważne. A tak poza tym to odpowiednie miejsce dla mnie, nie myślisz? Oczywiście nie mogę się równać z tymi, którzy cię spreparowali. Świetna robota. Kto tego dokonał? Profesor Carnaby?

- Nie, to nie on - odpowiedział bezwiednie i zamarł w bezsilnej wściekłości. Tamten nie powinien usłyszeć słowa z jego ust, a jednak usłyszał. A jednak.

- Mniejsza z tym, Chris. Już pozwoliłem sobie trochę poprawić jego dzieło, ale o tym pomówimy później, jeżeli będziesz miał ochotę. Teraz już czas, bym włączył ci Denisa - wsunął dysk do odtwarzacza. - Zostawię cię z nim, a sam zapoznam się z racjami

żywnościowymi. Mam ochotę na coś pikantnego.

Wyszedł. Na ekranie ukazał się wymizerowany, blady Denis. Głowę miał owiniętą bandażem, mocno uwydatnione kości policzkowe, sine kręgi pod oczami. I patrzył prosto na niego ze swoim zwykłym, zuchwałym uśmiechem, któremu przeczył wyraz oczu. Chris widział tam ból.

- Hej, Chris. To, co mówię, jest dla ciebie, tylko dla ciebie i mam nadzieję, że zechcesz mnie wysłuchać, co? Przypadek sprawił, że mogę to nagrać, ale nie wiem, czy dyskietka trafi do ciebie - mówił to z jakąś zadumą, zupełnie niepasującą do tamtego Denisa. - Pamiętasz, jaki byłem dumny, że to mnie wybrano na pierwszego? Na pewno pamiętasz, bo i ty byłeś szczęśliwy, że ciebie wybrali jako drugiego. Ja miałem być „kamieniem, który wykolei pociąg”, i cholernie chciałem nim być. Nie wiedziałem co mnie czeka, ale to było nieważne, najważniejszy był cel, zadanie. Tak pewnie jest teraz z tobą, co? Chciałem je wykonać jak najlepiej i poznać to prawdziwe, obiecowane szczęście. Nie popełniam zdrady mówiąc ci, na czym polegało, cały świat wie o tym, a ten świat jest inny, Chris, inny niż nam się zdawało w naszej klatce. Przekonasz się sam, może już wkrótce. Zadanie było tak proste, że sam w to nie wierzyłem. Miało trwać tylko pół dnia i pod ręką miałem wszystko, co potrzebne do jego wykonania. To mógł zrobić nawet głupi dzieciak, dlatego zacząłem pytać już wtedy. Pamiętam prawie każdy szczegół z tamtego dnia. Przed dziesiątą wyszedłem stąd, gdzie pewnie i ty jesteś, i samochodem tego faceta dojechałem w pobliże budynku, a tam już były całe tłumy. Jakiś facet tak mnie zaskoczył, że pozwoliłem wcisnąć sobie uzi i dwa magazynki. Wziąłem, bo lubię broń. A dalej wszystko było tak, jak miało być, bez żadnych niespodzianek. Wszedłem po schodach przeciwpożarowych na dwudzieste ósme piętro, otworzyłem zamaskowaną skrytkę w suficie i leżąc w takiej szufladzie, przygotowałem wyrzutnię do strzału. Postępowałem zgodnie z instrukcją, którą znałem na pamięć i wszystko działało się zgodnie z planem. - Denis przerwał, oblizał spieczone wargi i wyglądało to tak, jakby z trudem przypominał sobie tamte chwile albo jakby nie chciał wspominać. - Nie było żadnych sytuacji awaryjnych. Odsunąłem segment na sto pięćdziesiąt sekund przed czasem zero i popatrz sam, co zrobiłem.

Oczom Ivora ukazał się obraz, który oglądało tylko kilkudziesięciu ludzi, z jedną tylko różnicą - zza kadru dochodził cichy głos Denisa:

- Nie wiedziałem, kto jest wewnątrz, a nawet gdybym wiedział, niczego by to nie zmieniło, strzeliłbym i tak. My musimy to robić, prawda, Chris? Czuję, jak wibruje we mnie ten nakaz. Teraz dopiero wiem, że zabiłem prezydenta Boscha. Pamiętam, że uśmiechałem się, widząc grzyb wybuchu. Czekałem na to latami. A potem nie wierzyłem

sobie, kiedy rozległ się głuchy huk, a właściwie stęknienie i ten budynek zaczął zapadać się do środka, walić. Wiedziałem, że tam są tysiące ludzi, i zdawało mi się, że to ja ich zabijam, zabijam tysiące niewinnych jednym pociągnięciem spustu. Pewnie ich zabiłem, bo jest prawdopodobne, że w tej wyrzutni, która czekała na mnie w szufladzie, był detonator. W najlepszym razie mój śmigłowiec był znakiem dla kogoś innego. Już tam poczułem się oszukany. Chciałem wyć jak wściekły pies.

Obraz walącego się gmachu zniknął z ekranu i pozostała na nim tylko twarz.

- Byłem tak naładowany, jakbym od razu strzelił sobie ze trzy dawki. Prawie nie pamiętam, jak zsunąłem się po linie, bo tak było w instrukcji. Wtedy chciałem uciec, tylko uciec, czując się jak potępieniec a nie szlachetny rycerz. Zabrałem chyba ze sobą tę piekielną wyrzutnię. Miałem też uzi. Gdyby nie to, byłbym już tylko szkieletem. Ktoś mnie nadał i czekali na mnie na dole. Domyśl się, Chris, kto to mógł być. Czekali w garażu, na parterze, na zewnątrz. Usłyszałem ich dzięki detektorowi szumów, chociaż na placu wszyscy strzelali i dlatego odblokowałem drzwi na parter. Tam było tylko dwóch. Tych załatwiłem nożem. Byłem tak nabuzowany, że nie odpuściłem, szukałem dalej w garażach. Znalazłem wszystkich i nie liczyłem, ilu wysłałem na drugą stronę. Byli też na zewnątrz. Nawet cwanie to rozegrali, choć za mało cwanie. Wściekłość oślepiła mnie, ale nie otepiła. Wtedy dałbym radę nawet bez adrenolu. Rozpieprzyłem całe to tałatajstwo, tylko, że dostałem w prawe płuco, w nogę. Jeszcze udało mi się wybiec na plac bez uzi, bez wyrzutni, którą zostawiłem na parterze, i nie pamiętam, co było dalej. Ocknąłem się dopiero w szpitalu po paru dniach. Przez tamte krótkie chwile czułem, a teraz wiem na pewno, że byłem tylko narzędziem, które chciano odrzucić po robocie, bo takie narzędzie może być tropem prowadzącym do profesora. Chciałem sobie przypomnieć to nazwisko, inne też, naprawdę chciałem zdradzić i nie mogłem. Nie mogłem sobie przypomnieć nawet nazwy tego miejsca, gdzie spędziliśmy tyle lat. Może, dlatego że tak bardzo chciałem.

Teraz myślę ze strachem o tym, że może ty masz w instrukcji nakaz zabicia mnie. Tego się boję, nie śmierci. Jeżeli masz, to powiem ci, że jestem w tajnej bazie wojskowej w Chambery i musisz się tu zjawić, by mnie zabić. Ja nie przyjdę do ciebie. Czekam niecierpliwie. Czekam, Chris. Ja chcę umrzeć, chcę uciec. Nie mogę żyć ze świadomością, że jestem tylko bezlitosnym mordercą, zbrodniarzem. Ze świadomością, że nie jestem człowiekiem. Tak, Chris. Obaj nie jesteśmy ludźmi, tylko jakimiś pieprzonymi cyborgami i sami nie mamy o tym pojęcia. Wzięliśmy się znikąd i znikniemy w mroku, zostawiając za sobą głębokie ślady. Jestem teraz pewny, że nie nazywam się tak, jak się nazywam, i ty też. Nazwali nas tak, jak się nazywa psy. Byliśmy i jesteśmy jak psy posłuszne rozkazom swego

pana, posłuszne przez to, czego nam naładowano do głów. Miałem w mózgu, w ciele migdałowatym i w hipokampie osiemnaście mikroskopijnych stymulatorów, generatorów fal mózgowych, które były jak kaganiec dla umysłu, woli. Poza tym mam częściowo wymazaną pamięć, taką wybiórczą amnezję i jestem sobą tylko w połowie. Przez te cholerne implanty nie czujemy tego, co czuje zwykły człowiek, jeden z miliardów. Nie wiesz, co to prawdziwy ból, smutek, radość, miłość i inne uczucia. Za pomocą tego elektronicznego świństwa uczyniono nas posłusznymi, wiernymi, przez to wierzyliśmy w każdą bzdurę o drogach ku nowemu światu, które podobno my mieliśmy otwierać. Sam widziałeś początek nowego świata w tym mieście, a wiesz, że za moją zbrodnią poszły następne. Lotniskowiec z tysiącem ludzi na pokładzie i miasto w Holandii wyparowały w atomowym ogniu. To ma być ostrzeżenie dla tych, którzy chcą, by wrócił dawny porządek. Jeżeli spróbują robić ten porządek, wybuchnie jeszcze osiem bomb i wtedy zginą miliony. Ja wiem, że zrobili to nasi twórcy. Żeby zrobić z nas maszyny do zabijania, uzależniono nas od adrenolu, straszliwej trucizny, która nas zabija. My zabijamy i to świństwo nas zabija. Wiesz, jak wygląda stan zapaści adrenolowej, prawda? Nasz przyjaciel, który ci to dostarczy, potwierdzi, że po wybraniu mniej więcej tysiąca dawek stajesz się żywym trupem oddanym koszarom, czekającym na śmierć. A komu potrzebny trup?

Pomyśl o tym, Chris. Ja już jestem takim trupem, a nie chcę urodzić się na nowo, poznawać świat, któremu wyrządziłem tyle zła, bo to by było po prostu niesprawiedliwe. Przeze mnie zapadł się nie tylko gmach Rady, lecz cały ten świat, o którym nie mieliśmy pojęcia, na pewno nie idealny, ale sto razy lepszy od tego, który widzisz. Ty jeszcze możesz go poznać, to zależy tylko od ciebie. Może Stawsky zdażył uwolnić cię od tego biokrytu pola mózgowego, który warunkuje, zmusza nas do robienia tego, co robimy, Chris. Może już go zabiłeś, może ten list nie trafi do ciebie, nie wiem. Jeżeli jednak trafił, to nikomu nie ufaj, postępuj tak, jak nakazuje ci rozum, jak czujesz. Nie ufaj tym, którzy chcą cię tylko wykorzystać, nie bądź niczym narzędziem. Jeżeli teraz jesteś pod skorupą z żelbetu, wiesz, że implant sugestii zewnętrznej przestaje działać, bo jest podtrzymywany właśnie z zewnątrz. Usłyszałem to od ludzi, którym zaufałem. Nie można cię uszkodzić z zewnątrz, nie można zaburzyć perseweracji i spowodować zapomnienia o wielu rzeczach, jak zdarzyło się ze mną. Nie pozwól odebrać sobie niczego. Chyba już zauważyłeś, że jesteś prawie wolny od nakazu działania, co? Nie pozwól nikomu, stary. Żegnaj, Chrisie Ivor. Być może, już się nie zobaczymy. A może jednak zobaczę cię w Chambery? - Twarz Denisa znikła z ekranu.

Dotąd chłonał słowa, zapisując je trwale w pamięci. Mógł je przywołać w każdej chwili w takim samym porządku. Jego mistrzowie pamiętali o mnemotechnice. Zamknął oczy

i zaczął układać swoiste kwestionariusze pytań do każdej kwestii, pytań z pozoru niepotrzebnych, a przecież niezbędnych. I z przerażeniem zauważył, że nie radzi sobie z tym prostym zabiegiem tak, jak powinien. Pustka, ból emanujące z twarzy i słów przyjaciela udzielały się, nie pozwalały na koncentrację, choć nie wierzył, nie chciał wierzyć w swoją sugestię. Nie. Denis nie został odmieniony na tyle, by nie być sobą, to przecież niemożliwe. Nie można tak zmienić człowieka w kilkanaście dni. Był inny, ale nie zaczął być obcy. Nie istniały sposoby złamania żadnego z nich, w to Chris Ivor wierzył głęboko. Jak w sobie.

- Wybacz, że kazałem ci tak długo czekać - usłyszał ożywiony głos obcego, który wrócił z naręczem puszek. - Ależ wy tu macie zapasy. Całe tony wspaniałego żarcia, nie na jedną, na trzy wojny. Przyniosłem ci soki i piwo dla siebie. Zaraz cię rozwiążę, tylko wypiję. Potem mógłbym nie zdążyć. - Roześmiał się tak, jakby to rzeczywiście było zabawne. To o nim mówił Denis. Spokojnie pił piwo wprost z puszkę, patrząc w martwy ekran telewizora.

Do diabła, kim jesteś, Stawsky? Nieprzejednana wrogość wobec tego człowieka zniknęła, minęła jak atak. Była bezsensowna, instynktowna. Miał zbyt wiele pytań, musiał wiedzieć o wielu sprawach, a ten facet to klucz do zamkniętych drzwi. Teraz wcale nie było oczywiste, że za nimi jest tylko ściana. Więc musi pytać, ale nie teraz. Jeszcze nie teraz.

Stawsky dopił wreszcie piwo, niedbale rzucił puszkę w kąt. W jego prawej ręce sino połyskiwał krótkie ostrze lancetu. Pewnie miał je wpięte w rękaw, pomyślał Ivor.

- To tylko narzędzie pracy, Chris. - Stawsky podszedł do niego tym miękkim krokiem. - Zaraz będziesz miał wolne ręce i zobaczymy, co się stanie. Wiem, że nie jestem dla ciebie przeciwnikiem. Przedtem jednak muszę ci powiedzieć, że zrobiłem coś, co ci się chyba nie spodoba. Zniszczyłem miniprzekaźnik w napie, więc twoja centrala nie wie, gdzie jesteś, co mówisz, robisz. Byłeś stale na podsłuchu i twoi aniołowie stróże słyszeli każdy twój oddech, kontrolowali cię na bieżąco. W każdej chwili mogli ustalić miejsce twojego pobytu przez satelitę. Do tej pory. Teraz już nie. Pomogłem ci zasnąć głębiej, zaraz jak się tu zjawiłem, i w warunkach naprawdę polowych wyciągnąłem ci dwa biokryty. Ten mogący zakłócić persewerację i ten drugi będący stymulatorem działania, a to znaczy, że już nie można u ciebie wywołać amnezji i nie będziesz odczuwał presji działania.

Dwa szybkie ruchy i już miał wolne nogi. Już mógł zaatakować obcego, dałby sobie radę. Nie zrobił tego. Nie poruszył się nawet wtedy, kiedy tamten uwolnił mu ręce. Leżał nieruchomo, w tej samej pozycji. Obaj milczeli.

Stawsky gapił się pustym wzrokiem w ekran telewizora. Piłka znalazła się teraz po stronie implanta, czekał na zagranie. Nie mógł odezwać się pierwszy, nie w tej sytuacji. Powiedział wszystko, co niezbędne. Niesamowite napięcie opadło. Gównu prawda, że

chirurdzy mają stalowe nerwy. Gdyby nie piersiówka z przyzwoitą brandy, ani chwili nie mógłby udawać tak twardego faceta śmiejącego się na widok żywej śmierci. Przy tym głazie czuł się jak przerośnięta meduza wyrzucona na piach. Był zdecydowany bronić się, bronić ze wszystkich sił, ale nic się nie działo. Wiedział, jak oni są naładowani agresją. McLachlan gołymi rękami zabił trzech żołnierzy ochrony ośrodka, kiedy tylko zobaczył pierwsze kraty w Chambery, a zrobił to z dziecinną wprost łatwością. Zrobił bez adrenolu, słaby jak kocię. Jeżeli udało się do tej pory, może uda dalej? Ivor nie jest już warunkowany od zewnątrz i nie podgrzał się tym piekielnym preparatem. Nie przestał być drapieżcą, pewnie nawet sam nie poczuł zmiany. Nie, nie jemu to zawdzięczam, myślał Stawsky, raczej chłodnemu racjonalizmowi, w jakim ich tresowano. Najbardziej racjonalni idealisci pod słońcem. Co za piekielne hybrydy. Czy uda się wziąć ten klucz do ręki? Obaj byli sobie jednakowo potrzebni.

Minął chyba kwadrans ciszy, zanim po raz drugi usłyszał głęboki, dźwięczny głos tego dzieciaka o twarzy cherubina i ciele Herkulesa.

- Przyjdź jutro.

I tyle. Tylko tyle, a przecież tak wiele. Stawsky odebrał to jak wyciągnięcie otwartej dłoni. To musiało wystarczyć. Liznął nieco psychologii u Martina, ucznia Guilforda, a poza tym poznał ich na tyle, że postanowił nie pytać o nic. Mówili tylko tyle, ile było konieczne, nie pytali o nic. Uczono ich aktywnych sposobów poznawania rzeczywistości. McLachlan nagrywał swoją kwestię cały dzień. Stawsky bez słowa wyjął z kieszeni pakiet z jednorazówkami pełnymi antidotum, położył na blacie stolika. Przy pakiecie postawił pudełko, prostokąt dziesięć na dwadzieścia. To było wszystko, co miał do przekazania teraz. Na resztę przyjdzie czas jutro, może pojutrze. Jeśli w ogóle.

- To jest antidotum i płyty DVD. Jestem jutro o tej samej porze - powiedział, nie patrząc na nieruchomego Ivora. Wychodził stąd żywy i z nadzieją. Nic mi więcej nie potrzeba, pomyślał. Mam życie i nadzieję.

* * *

Chris Ivor pozostał sam. W ciemnej, niezgłębionej otchłani świata i siebie samego. Nie zmieniło się prawie nic i zmieniło wszystko. Lustra obróciły się ciemnymi stronami, w żadnym nie dostrzegął siebie, tylko ciemne, pokryte kurzem i pajęczyną płaszczyzny. „Wzięliśmy się znikąd i znikniemy w mroku”. Żaden nie posługiwał się pustosłowiem. Denis był jednym z nich. Mowa miała służyć wyłącznie szybkiemu, dokładnemu porozumieniu. Jeżeli Denis powiedział te słowa, musiał być w pełni przekonany. Jeżeli... to Chris nie był sobą, nie był nikim, tylko...

Kim więc był? I w jakim świecie? Jak odnaleźć prawdziwego Chrisa Ivora? Czy taki istnieje? Chaos, zupełny chaos bezładnie rzuconych pytań. Osaczały go jak oszalały pszczeli rój. Nie chciał teraz analizować po swojemu słów Denisa, nie czuł się na tyle sobą. Ciało było mu posłuszne dzięki temu antidotum, ale umysł nie do końca. Działo się z nim coś, czego nie rozumiał, nie potrafił wyjaśnić, bo coś takiego nie powinno, nie mogło się zdarzyć. Tracił zdolność szybkiego, precyzyjnego wartościowania, oceniania zjawisk i faktów. Nie. Sam złapał się na tym w tej samej chwili. Tracił zdolność odpowiedniego rozpoznawania faktów. Bo były nieobjęte, niepojęte, niepoliczalne, sięgające w głąb wszechrzeczy. Przenikały go emocje, których mieli być wyzbyci, przed którymi ostrzegano.

Nie dał się ponieść falującej w nim pasji, rozogniającej się w płomieniu wściekłości. Wiedział, że na każdą trudność, każdą przeszkodę reaguje odruchową agresją. Wolał, musiał uciec na soczyście zielone łąki nad Loch Drommond, w jedyny, niezapomniany zapach tamtych stron śnionych całymi nocami w Hartenbergu. Każdy ma miejsce ucieczki tylko dla siebie, azyl, którego nie użycza innym. Nie można go użyczyć, nawet, jeżeli się chce. To wie każde dziecko. Uciekał od wszystkiego, a najdalej od bolesnego oskarżenia Denisa, tym bardziej dojmującego, że bliskiego prawdzie. Gdyby mu rozkazano, zabiłby go, nie potrafiąc oprzeć się nakazowi. Żaden z nich nie potrafił się oprzeć. Tak byli uwarunkowani, że opór oznaczał fizyczny ból. A ci, którzy nie poddali się nakazom? Teraz było jasne, że nie wyjechali, po prostu zostali usunięci, wyeliminowani. Michael, Winnie, wszyscy pozostali. Gdyby mu rozkazano... Nie dostał takiego rozkazu, ale to było możliwe, jest możliwe tu i teraz. Nie! Musiał uciec, uciec choć na chwilę.

Wracał tam wiedziony niepojętą tęsknotą za zrozumiałym ładem, prostotą, hierarchią. Nie była to tęsknota za Gregorem i Mary, o nie. Za nimi nie zatęsknił nigdy w ciągu trzynastu lat. Nie czuł wobec nich niczego poza zimną, wrogą obojętnością. Matka i ojciec to tylko puste słowa, tak jak miłość, oddanie, wdzięczność i tyle tak zwanych uczuć. I nagle olśnienie łączone z podejrzeniem przyjaciela. Wraz z przypominaną, surową twarzą Gregora pojawiło się pytanie: czy był moim prawdziwym ojcem? A Mary? Przecież ani razu nie nazwali go synem, nie traktowali jak syna. I czy byli małżeństwem? Nie przypominał sobie niczego, co by mogło to potwierdzić. Oboje byli sobie obcy, ale połączeni jakąś nieznaną i mocną więzią. Czyżby to on ich połączył? Powracał ku nim z daleka z dziecinną niecierpliwością, podnieceniem, zdumieniem, że do tej pory nie pytał o sprawy oczywiste. Oboje byli utrwaleni w pamięci jak na ruchomych fotografiach, w kilkudziesięciu miejscach, kilkudziesięciu charakterystycznych pozach. Gregory gwizdzący na owczarka Archiego, strzygący owce, strzelający do kaczek, patrzący na egzekucje. Wielki, zwalisty jak góry wokół. Silny, prosty i

zimny. Mary z twarzą skrzywioną w grymasie gniewu, z ręką uniesioną do ciosu, Mary stojąca przy gazowej kuchni, zawsze szorstka, niedostępna, odpychająca, brzydka w napadach złości. Czy tak powinno być? Już wiedział, że czegoś tam brakowało. Kiedyś czuł to instynktem, teraz wiedział. Oni i owce. On i Mary. Owca i jagnię. Nie pamiętał ani jednej pieszczoty z jej ręki. Nigdy nie chciała być blisko, nie tuliła, nie lizała jak owca. Jej zachowanie nie było naturalne dla matki. Zawsze surowa, groźna, zawsze po swojemu sprawiedliwa. Za taką samą przewinę taka sama kara z jej ręki. Nigdy Gregora. Gregor nie uderzył go ani razu, ale przez to nie stawał ani trochę bliższy i zrozmiał. Lepiej rozumiał istotę kamieni, kiedy brał je w ręce pytając sam siebie jak żyją kamienie. Dlaczego nie jak dżdżownice czy świerszcze? Te były żywe inaczej, te umierały, kiedy z dziecinnym okrucieństwem miażdżył je obcasem.

Na ogrodzonych drutem kolczastym kilkudziesięciu akrach byli tylko oni, psy i owce, nigdy nikogo obcego. Bliżsi od ludzi byli Archie i Bernie, czułe, kudłate owczarki, najbliżsi, najwierniejsi przyjaciele rozumiejący go lepiej od ludzi. Przekonywał się o tym, kiedy był smutny. Psy czuły jego smutek, o wiele lepiej radość, ale czuły także smutek i pomagały mu, jak to robią przyjaciele. Nikt obcy nie miał wstępu na farmę na końcu świata. Chris nigdy tam nie zobaczył innej ludzkiej twarzy z bliska. Kiedy pojawiali się rzadcy i milej widziani goście, Mary zawsze zamykała go w jego więziennym pokoju. Jakimś sposobem Gregor zawsze wiedział, że ktoś się zbliża i do intruzów strzelał bez ostrzeżenia. Każdy z zewnątrz był zły, każdy chciał wyrządzić im krzywdę. A co piątek Gregor wyjeżdżał swoją furgonetką i piątki były najgorsze ze wszystkich dni. Wtedy Mary zamykała Chrisa w pokoju na górze. Musiał pozostawać tam cały dzień, zupełnie odcięty od świata. Zewnętrzne okiennice także były zamknięte i nawet nie mógł popatrzeć na niebo. Miał tam swoje zabawki, atrapy karabinów, dziwne pojazdy i był Gregorem strzelającym do złych ludzi. Potrafił całe dni bawić się w samotności. Milczący kreator, mały demiurg tworzący całe światy tylko dla siebie.

Świat był daleko, daleko za górami wedle słów człowieka, którego i później nazywano jego ojcem. Podobno był daleki, obcy i wrogi, a o jego istnieniu rzadko przypominały samoloty i nieliczne łodzie na jeziorze Drommond. Chris nie wiedział, czy jest radio, telewizja, nie wiedział o tysiącach rzeczy i dziwił się niekiedy, skąd wiedzą oni. Być może - tak myślał teraz - wszystko było poukrywane w pomieszczeniach, do których nie miał wstępu, w których nie był nigdy. Ten stary piętrowy kamienny dom był największą tajemnicą ze wszystkich, najbardziej kuszącą. Za dziesiątkami masywnych drzwi mogły kryć się potwory, a zawsze były przed nim zamknięte. Czasami, gdy Gregor wydawał się inny,

dostępniejszy, pytał:

- Co jest za tymi drzwiami?

- Nie wolno ci o to pytać, rozumiesz, mały? - nieodmiennie odpowiadał Gregor.

- Jeżeli będziesz pytał, powiem o tym Mary. A tego nie chcesz, prawda, mały?

- Nie chcę - odpowiadał. To by znaczyło tylko karę. Za takie przewinienie dziesięć mocnych klapsów na goły tyłek.

Był inny. Miał być inny wedle zamysłu swego twórcy. Każdy szczegół tego wychowania był chyba przemyślany przez nieczułych teoretyków, dla których liczył się tylko efekt końcowy. Poza dwojgiem dalekich ludzi uczył się drzew, traw, owiec i psów w deszczu, mgle i śniegu, nigdy nie próbując wyjść za druty, bo tam czekało zło. Tam byli źli ludzie, potwory, niosące śmierć maszyny. Wtapiał się w naturę, przez nią poznając siebie. Niekiedy wracał przemoczony do nitki, włączając się z psami czy sam, i nie pamiętał, by kiedykolwiek poważnie chorował. Pamiętał tylko, że zwykle za samowolne eskapady dostawał lanie od Mary. Ona zawsze była Mary, nigdy matką. „Jeżeli piśniesz choć słówko, dołożę ci jeszcze pięć” - powtarzała przy wymierzaniu kary obojętnie, bez złości. Od niej uczył się strachu i nienawiści, uczył podporządkowania silniejszemu i karmiącemu go, uczył tych najprostszych ludzkich praw. Każdy odruch dziecięcego buntu był karany biciem, pokojem bez okien, dniem bez jedzenia. Wiedział, co czeka go za każdą przewinę, ten regulamin był łatwy i prosty. Nie mógł szukać i nie szukał pomocy u Gregora. Przecież Gregor zdradzał go dziesiątki razy, był częstym świadkiem wymierzania kar i czasem głośno liczył bity, śmiejąc się, gdy płakał. Chris instynktem małego zwierzęcia chcącego przetrwać czuł wzajemną wrogość obojga do siebie, choć widywał ich także objętych, wtulonych w siebie. Ale też nieraz z dołu dochodziły go głośne krzyki, jęki, odgłosy przewracanych sprzętów. Czasami Mary miała podrapaną twarz, sińce pod oczami, a Gregor wynosił się na cały dzień z domu do owiec z butelkami w kieszeniach. Takie dni były najgorsze, przepełnione strachem i skrywaną radością. Czuł emanującą od nich nienawiść, i to właśnie sprawiało radość.

Na krótko przed odlotem Mary zaczęła go uczyć czytania i pisania. Szło im to obojgu jak po grudzie. Ona nie bardzo potrafiła, a on w odruchu buntu nie chciał się uczyć. Wtedy nie było mu to potrzebne, nie w tym świecie. Do porozumienia z psami wystarczał język gestów, dotyk, ciche, łagodne mrużanki. Archie i Bernie rozumieli je doskonale, jak i on rozumiał ich odpowiedzi. Do zrozumienia istoty życia kwiatu starczał zapach, smak, kolor. Nie trzeba było więcej.

- Ty cholerny tępaku! - Z biegiem czasu Mary coraz częściej odstępowała od ustalonych przez siebie zasad i karała bez powodu, a Gregor śmiał się tylko, widząc jej

bezsilę. Chris z bezmyślnym uśmiechem przyjmował lanie, ale nie chciał ustąpić i wygrywał za cenę bólu. - Czytaj, cholerny tępaku, bo ci złoję skórę! - Wrzeszczała, i na to wrzeszczał tylko ramionami. Nauczył się przyjmować ból jak coś naturalnego, zwykłego, nieodłącznego od życia, mijającego z czasem.

- Wyrasta nam wilczek, wyrasta - śmiał się Gregory, i to jeszcze umacniało go w pewności, że nie może płakać, musi umieć znosić ból.

Przybyli po niego nocą. Gregor wiedział i czekał na nich. Czekali wszyscy i chyba nawet psy wiedziały. Mary nie zamknęła go w jego pokoju o ósmej, jak zwykle, była weselsza niż zwykle. Nawet starała się być czuła.

- Dzisiaj zabierają cię stąd. Nareszcie - powiedziała to z dziwnym, okrutnym uśmiechem. - Koniec tej niewoli, mały.

- Tam nie będzie ci źle. Nie musisz się bać. - Gregor też był inny niż zwykle, uroczysty, radosny.

I jego bez reszty wypełniała radość, rozsadzała. Zapomniał o wszystkich strachach, o tym, że gdzieś tam panuje wszechwładne Zło. Jakie ono jest, jeżeli dobrem miało być wszystko, co w domu na wzgórzu? Wiara w to, co mówili, kruszała w siódmym roku życia. Nie było mu żal niczego poza psami. Odkrywał, że czuje nienawiść do tych ludzi, którzy chcieli się go pozbyć, oddać. Prawie nienawiść, gdyż pełnię tego uczucia przyszło mu poznać lata później, w gnieździe Hartenbergu. Czekał, czekał z mocno bijącym sercem, nadzieją i strachem przyprawiającym o drżenie. Nie było żadnych przygotowań do drogi poza tym, że Gregor wyprowadził przed dom samochód, by oświetlić reflektorami kawał równej łąki. Doczekali się wreszcie. W zwykłej jesiennej ciszy usłyszeli inny od silnika samochodu warkot.

- Są punktualni jak w zegarku. No chodź, mały, przylecieli po ciebie wielkim ptaszkiem! - Gregor chwycił go za rękę, co zdarzało mu się rzadko i wyciągnął w noc. Mary z psami wyszła za nimi.

Warkot potężniał, ogłuszał, a w ciemności w górze nie widać było nic poza czerwonym pulsującym światełkiem. W pewnej chwili trysnął stamtąd potężny snop światła skierowany wprost na nich. Chris poczuł dreszcz grozy, ale silny uścisk dłoni Gregora uspokoił go nieco. Oślepiiony, przybity do ziemi światłem zobaczył obły, pękaty kształt dopiero wtedy, kiedy maszyna znalazła się w nożycach reflektorów samochodu. Odchyliła się kłapa w boku warczącego stwora, wysunęły się schodki i wyskoczył mężczyzna. Podbiegł do Gregora. Zlekceważył wyciągniętą na powitanie dłoń, rzucił pod stopy spory biały pakiet.

- Masz tu wszystko zgodnie z umową. Jutro wpadnie tu ekipa Kena. Zabieram

przesyłkę. Mam do odebrania jeszcze trzy, o ile nie rozwalimy się w tych górach.

Chwycił go w pól jak szczeniaka i zmagając się z bijącym w nich wiatrem, wracał do helikoptera. Wewnątrz było ciszej, cieplej, pachniało smarami i benzyną. Przez przezroczysty bok ważki Chris widział w dole oddalające się postacie stojące w światłach reflektorów. Rzuciły cienie sięgające samego brzegu ciemności. Odrywali się od ziemi, wznosili coraz wyżej. Nie czuł strachu ani przed tym, który go zabrał, ani przed tym, który siedział z przodu otoczony dziesiątkami czarodziejskich światełek.

- Wypij to, chłopcze - przekrzyczał hałas jego nowy, wtopiony w półmrok opiekun.

Posłusznie wypił kubek ciepłego, smacznego płynu i natychmiast ogarnęła go przyjemna senność.

Skończył się sen o Loch Drommond. Rozpoczynała codzienność Hartenbergu, oszałamiała swoją innością, tłumami ludzi młodych i starych. Rankiem następnego dnia w dużej sali ogromnego gmachu, którego jeszcze nie widział z zewnątrz, spotkał się z czterdziestoma równolatkami ubranymi jak i on w szare jednoczęściowe kombinezony i czapeczki z daszkami. Jego strach był strachem wszystkich. Chłopcy byli cisi, przygaszeni, nie odważali się na głośniejsze rozmowy, jakby nie wierzyli, że znaleźli się tutaj, wśród tylu innych chłopców. Żaden nawet nie zapłakał, choć w niejednym oku zakręciła się łza. W rogach sali stali czterej potężni mężczyźni z długimi czarnymi pałkami w rękach.

Chłopcy czekali na coś, na kogoś, zagubieni, przerażeni. Doczekali się po czasie, którego Chris nie potrafił określić. W asyście dwóch mężczyzn na salę wszedł ten trzeci, najważniejszy, idący z przodu. Wszyscy pojęli to bez słowa. Był szczupły, wysoki, szpakowaty na skroniach. Twarz o wyrazistych, szlachetnych rysach budziła zaufanie, podobnie jak uśmiech, w którym odsłonił śnieżnobiałe zęby, wychodząc przed ich niesforną gromadę. Długą chwilę patrzył na każdego z osobna, kiwał głową, jakby z samym sobą rozmawiał.

- Ty jesteś Chris, prawda? - wskazał palcem jednego z chłopców, a w Chrisie serce zamarło. - No? Czemu nic nie mówisz?

- Nie jestem Chris, jestem Karsten - odpowiedział śmiało wyższy od niego blondynek.

- Ach tak? - Ten najważniejszy przestał się uśmiechać. Odstąpił dwa kroki w tył, założył ręce w tył. - Chłopcy! - zaczął i zamilkł, jak by nie wiedział, co powiedzieć dalej, ale zaraz znalazł potrzebne słowa. - Zostaliście wybrani do wielkich czynów, którymi odmłodzicie nasz stary, spróchniały świat, będziecie jego największymi bohaterami. Zostaliście wybrani spośród tysięcy takich jak wy, dlatego, że jesteście inni, lepsi. Ten świat jest pełen zła, które wy zniszczycie. Posiejecie nowe ziarna dobra i sprawiedliwości i

będziecie czuwać nad nimi, obserwować, jak kiełkują i wydają piękne, dojrzałe owoce. Droga do tego nie jest prosta. Jest długa i ciężka, i może nie wszyscy z was zniosą jej trudy, ale ci, którzy zacisną zęby i wytrzymają, znajdą się na ustach wszystkich i będą pamiętani przez tysiące lat. Przygotujemy was do tej drogi tutaj, powiemy jak nią iść, żeby nie zabłądzić. W każdej chwili będziecie mogli liczyć na naszą pomoc. Wielkie czyny wymagają wielkich wyrzeczeń, wymagają waszego posłuszeństwa nauczycielom, i musicie być posłuszni, musicie wykonywać wszystkie rozkazy i żądania waszych starszych przewodników, bo oni mają na uwadze wasze dobro. Zapoznają was niebawem z regulaminem, jaki od dziś obowiązuje, i ten regulamin jest dla was świętością. Za jego złamanie grożą wam kary, a za postępy w nauce będziecie otrzymywać nagrody. Bądźcie dzielni, bądźcie posłuszni, bądźcie wielcy!

Uniósł nieco ręce, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nie dobył z siebie ani słowa. Zamilkł na dobre, widząc przed sobą puste twarze jak ze starych fotografii.

Dzieci patrzyły na niego szeroko rozwartymi, pełnymi strachu i zwierzęcej nieufności oczami. Uroczysty nastrój tego pierwszego dnia zniknął bez śladu. Jego herosi byli tylko małymi, wystraszonymi zwierzątkami. Zapomniał, nie chciał pamiętać o tym, że to są tylko dzieci, i to dzieci wychowane według zaakceptowanych przez niego reguł. Ale z tych dzieci muszą wyrosnąć posłuszni mu nadludzie. Muszą. Ulotne poczucie winy zastąpiła ślepa, głucha determinacja. Zbyt wiele w to włożył pieniędzy i nadziei, by pozwalać sobie na jakieś niemęskie odruchy. Nie zrozumieli wiele z tego, co powiedział. Nawet on to pojął.

Dla Chrisa oczywiste było tylko jedno. Są rzeczy, które można i trzeba robić, i są takie, których nie można, tak samo jak nad Drommond, bo za to grożą kary. Cała reszta brzmiała nawet ciekawie, ale była pusta, pusta jak przejmujący śpiew wiatru w nagich gałęziach jesiennych drzew, niezrozumiała jak wiatr.

W niecałą godzinę później, dwa piętra pod ziemią, spotkali się inni ludzie, przed którymi stanął ten sam szpakowaty, dystyngowany pan o rysach arystokraty. Było ich trzynastu. Gospodarz uwielbiał magiczną symbolikę i to on zdecydował o liczbie zaproszonych, długo rozważając każdą kandydaturę, przygotowując listę potencjalnych sprzymierzeńców od sześciu lat. Pomoc niektórych była wprost niezbędna. Tu nie wystarczały ogromne pieniądze właściciela pakietu kontrolnego akcji Robotics Inc. Niektórych z tych ludzi naprawdę nie można było kupić za żadną cenę, ale słowami, ideą tak.

- Panowie, zaprosiłem was tu dzisiaj po to, by obwieścić początek przygotowań do wielkiej przemiany prefiguratywnej, która odmieni świat chylący się ku nieuchronnemu upadkowi - rozpoczął górną, uroczyście, widząc natychmiastowy odzew. - Podjąłem się tego

wielkiego dzieła w ramach ekspiacji za swoje czyny, bo w jakiejś mierze ten świat jest kształtowany przez nas, panowie, przez ludzi nauki oślepionych nią, wierzących w jej kreatywny charakter. Po raz któryś wypuściliśmy dzina z butelki i to, co miało służyć dobru ludzkości, obróciło się na złe. Od czasów przekłętego projektu Manhattan wciąż popełniamy te same błędy. Nie, nie błędy, ale grzechy śmiertelne. Grzeszymy jak rozpustnicy i kajamy się jak stare dewotki. Chcemy naprawić grzech i popełniamy jeszcze większy. W pogoni za sławą, pieniędzmi i czym tam jeszcze wypracowaliśmy rozwiązania, które miast dobra niosą niewyobrażalne zło. To dzięki nauce uniknęliśmy groźby wojny światowej, udowodniliśmy, że wojna przestała być środkiem polityki i mogą być w niej tylko przegrani. I zamiast wieńca laurowego mamy na skroniach wianki z pokrzyw. Wojny się zmieniły, a pokój okazał się równie zły jak one. Zdawało się nam, że jest błogosławieństwem, a stał się przekleństwem przez takich jak my i może przesądzić nawet o upadku gatunku. Nie, panowie, nie przesadzam ani trochę. Sami widzicie konsekwencje reglamentowanego dobrobytu oraz bezmyślnej robotyzacji i automatyzacji produkcji. Widzicie, jak nasi wspaniali politycy wykorzystują szlachetną z natury i założeń ideę „społeczeństwa przyzwalającego”, manipulując milionami ludzi jak kamieniami w warcabach. My im na to pozwoliliśmy, wierząc, że dajemy ludziom prawdziwe szczęście, a oni też w to wierzą. Nowe dziesiątki tysięcy uwolnionych od przymusu pracy mogą go posmakować do woli, maszyny wyręczają ich na każdym kroku. Ludzie mają pełne brzuchy, ciągle igrzyska na ponad stu kanałach i prawie nie wyłażą z mieszkań, bo po co? Powtarza im się, jacy są mądrzy, jak wspaniale wybierają, i ci analfabeci wierzą w to, w te piękne, schlebiające im słówka, a prawdą jest tylko to ogromniejące stado spasionych zwierząt posłuszne swoim pastuchom. Te miliony schodzą już na poziom istot człekopodobnych, coraz mniej przypominają ludzi. Prosta ekstrapolacja zauważalnych trendów pokazuje wyraźnie, że zmierzamy do katastrofy i coraz bliższa staje się ponura wizja submana, jaką znamy z literatury.

Statystyki są przerażające. Liczba narodzin spada, a jedna trzecia noworodków to prawie mutanci. Jeżeli tak dalej pójdzie, w ciągu trzech pokoleń Europa stanie się pustynią. To my przyczyniliśmy się do naszej splendid isolation i podzieliliśmy świat na zakłète strefy. Bogaty świat ludzi białych i żółtych wznosił bariery nie do przebycia dla reszty. Lista naszych rzeczywistych, niedomniemanych win jest długa, panowie, i znacie ją tak dobrze jak ja, a my wszyscy ciągle jesteśmy podobno omnipotentnymi, ale tylko sługami, tak panowie, tylko sługusami płaszczącymi się przed pozbawionymi odwagi i wyobraźni przekupnymi politykierami, którzy bez skrupułów wykorzystują nasze osiągnięcia i nas samych. Najwyższy czas to zmienić, gdy zawodzą sposoby prawne i parlamentarne. Znosi się na to, że nasz

parlament za jakiś czas zalegalizuje narkotyki. Przekupna prasa już jest pełna takich apeli. Musimy temu przeciwdziałać, musimy szukać dróg powrotu do normalności, podtrzymując ruchy kontestacyjne i gromadząc środki obrony przed złem. Musimy to zmienić i ten imperatyw sprawił, że poczyniłem już daleko idące przygotowania do wielkiej przemiany. Oczekuję, że mi w tym pomożecie. Ja oddaję siebie i wszystkie moje zasoby dla tego wielkiego celu. Będziemy jeszcze działali prawnie i parlamentarnie, choć jest to mało skuteczne. Nadchodzi czas działania innymi metodami, skutecznymi metodami. Ciężko mi o tym mówić, ale są to między innymi terror, szantaż, korupcja. Nimi posługuje się rosnąca w siłę mafia europejska, nimi państwo, które toleruje anomie na ulicach, zorganizowaną zbrodnię. Nie wygramy słowami i sądzę, że do tego nie muszę was przekonywać. Ci chłopcy będą początkiem, choć i dla mnie ten początek jest tajemnicą. - Usiadł na swoim miejscu przy długim stole konferencyjnym. - To zależy tylko od waszej woli panowie, i po was, ludziach dojrzałych i wtajemniczonych w moje plany, oczekuję tylko jednego „tak” albo „nie”, ostatecznego i nieodwołalnego.

Wszyscy siedzieli poważni, świadomi wagi słów i znaczenia chwili, wszyscy ulegli argumentom i perswazjom profesora Joachima Golda, syna założyciela imperium przemysłowego Hansa Jorgena Golda, wybitnego naukowca i zarazem przemysłowca. Powracali teraz ku młodzieńczym ideałom przekonani, że będą mogli odwrócić bieg czasu i wygrać, wygrać jutro, walkę o przyszłość świata. Łączyła ich pamięć buntów młodych tamtego wieku, wspaniałego czasu, kiedy żywiołowa młodość i bezkompromisowość ich samych i rówieśników miała zmienić człowieka, a przez niego świat. Wtedy ponieśli porażkę, ale nie klęskę, bo ich idee żyły, zmieniały świat, choć nie tak jak powinny.

- Profesorze Gold... - Erwin von Ecke, siedemdziesięcioletni biolog molekularny, noblista, jak większość spośród nich, zabrał głos pierwszy. - Mówił pan długo, bardzo ładnie, powtarzając w kółko te same gazetowe komunały i grożąc niedwuznacznie ucieczką do piekielnych metod. Po zaproszeniu sądziłem, że właśnie dziś usłyszę jakieś konkrety na temat tej przemiany, dowiem się jakimi konkretnymi sposobami możemy oddziaływać na te niepokojące nas trendy, i nic. Pustka. Dla mnie to jest zbyt ogólne i niezrozumiałe. Wyglądało mi raczej na kazanie niż na jakiś rozsądny plan odwrócenia skutków obecnego etapu rozwojowego rewolucji naukowo-technicznej, że użyję tego oklepanego terminu. Zgadzam się ze stwierdzeniem, że jest to droga donikąd i coś trzeba zrobić. Wiemy, że nie jest najlepiej i będzie jeszcze gorzej, ale jakimi sposobami chce pan otrzeźwić ogłupiałe społeczeństwo? Powiedzieć prawdę? Tę prawdę mówiliśmy tysiące razy i nikt nas nie słucha, bo to by wymagało wysiłku. Nie, pan nie chce się powtarzać i mówi o terrorze. Zebrał pan

kilkudziesięciu malców i powiada pan, że to oni będą zaczątkiem nowego świata, i jak rozumiem, narzędziem nowych metod. Chce pan zrobić z nich czterdziestu Carlosów? Mają nieść śmierć w imię prawdy i piękna? Zaufał pan ciemnym mocom, profesorze. To niedorzeczne, karykaturalne jak te wszystkie opowieści o szalonych naukowcach. Z przykrością stwierdzam, że to zła, najgorsza z dróg. I myśli pan, że jeśli ogłoszą nowe prawdy, to ci ogłupiali konformiści odmienia się jak Szymon? Toż to byłby cud, a ja w cuda nie wierzę. To się nie trzyma kupy, profesorze.

- Proszę, proszę, panowie. Profesor von Ecke trochę nas otrzeźwił. - Gold zachował kamienną twarz, choć usta wykrzywił w lekkim grymasie. Zdawał się szczerze rozbawiony. Bez trudu odnalazł Judasza i ten trzynasty nie może spodziewać się kary boskiej. Jak zwykle ludzie będą szybsi od Boga. Od lat wierzył, że strach jest najsilniejszym bodźcem. Będą pełni strachu po tym, co spotka tego niedowiarka, groźnego niedowiarka z niewyparzoną gębą.

- Ci chłopcy mają być tylko kroplami dopełniającymi czarę, profesorze. Z pewnością nie będą terrorystami z firmy Gold i Spółka - autorytet w dziedzinie medycyny psychosomatycznej profesor Allan Ackroyd też był rozbawiony, zapewne z innego powodu. - Mamy przesłanki, że postępująca konformizacja będzie inspirowała ruchy kontrkulturowe, które staną się kilka razy silniejsze niż obecnie. Każdy młody człowiek wchodzący w życie jest naszym sojusznikiem, i o nich będziemy walczyć. Inne siły też możemy traktować jak potencjalnych sprzymierzeńców.

- My wierzymy w taki przełom, profesorze Ecke - odezwał się Patrick Vernier, socjolog, współtwórca raczkującego ruchu Youth Power, uczeń wielkiej Mead. - My jesteśmy dziećmi tamtego przełomu i wiele wynieśliśmy z naszej przegranej. Takich błędów już nie popełnimy. Pan nie chce o tym pamiętać, pan nie dostrzega tysięcy ludzi myślących i czujących, którzy chcą zmienić ten świat, zanim będzie za późno. Oni właśnie dokonają tego przełomu, który zarysował wielki Peccei, i stworzą nową ludzką jakość.

- To tylko puste słowa napuszonych intelektualistów przekonanych do swojej dziejowej misji, panie doktorze. - Ecke nie zamierzał ustąpić nawet o milimetr, choć rozumiał, że stoi sam przeciw wszystkim. - Co z tego, że napisano setki tomów o „rewolucji ludzkiej”, o „nowym humanizmie”? Co z tego, że zachwycano się doskonałością rozwiązań? Gdzie podziały się dawne zachwyty? Czy ktoś spróbował to wcielić w życie? Gdzie ma pan ten nowy immanentyzm, nowy holizm, naturalizm? Kto poza nami traktował to poważnie? No kto? Ci, którzy rządzą, chcą mieć potulne, zadowolone społeczeństwo, dlatego sankcjonują analfabetyzm, narkomanię. Oni nie będą zainteresowani mądrym, trzeźwym społeczeństwem, bo takie nie pozwoli sobą manipulować. Niech pan spojrzy na statystyki

szkolne. Niedługo szkoły nie wyprodukują nawet dostatecznej ilości robotów do pilnowania robotów. A ci, którzy rządzą tym światem, mają się dobrze i są nie do ruszenia nawet tak drastycznymi metodami. Na jednego członka tej pańskiej YP przypada pewnie ze trzech policjantów. - Nagle zmienił ton. - A nawet, jeżeli się uda, to, kto zajmie się tworzeniem tej utopii? My? Panowie, którzy cały czas powtarzacie, że wierzycie? Wy, naukowcy? Nie, to wszystko nie trzyma się kupy.

- Jestem tylko neurofizjologiem, panie profesorze, i nawet nie pamiętam tamtych wspaniałych lat - wtrącił cicho profesor Topfer. - Ale pozwolę sobie zauważyć, że układ między rządzonymi a rządzącymi jest nader chwiejny i można go zmienić niewielkim wysiłkiem, destabilizując sytuację nawet drobnym epizodem. Elity umysłu ciągle istnieją. Niech pan choćby zauważy rozwój „ruchu emocji”.

- Wiara podobno przenosi góry, moi panowie, ale ja mam jej widocznie za mało i jedynie ogromny szacunek, jaki żywię dla gospodarza... - Ecke schylił głowę przed Goldem - nie pozwala mi na wyrazistsze określenie tych zamiarów. Pozwólcie, więc, że nazwę je po prostu szaleństwem. To za bardzo przypomina mi utopię komunistyczną.

- Jeśli to tylko szaleństwo, jesteśmy klasycznymi schizoidami, tak, panie profesorze? - noblista, chemik Janko Laufer roześmiał się głośno. - Jest pan zabawny, kolego, ale nie pan pierwszy nazwał mnie wariatem.

- Przepraszam, panie profesorze, przepraszam gorąco szanownych kolegów, lecz muszę was pożegnać. Ja, niestety, rozumiem to wszystko inaczej, i niech tak zostanie. - Ecke uśmiechnął smutno i spojrzał wyczekująco na Golda. - Było mi ogromnie miło, panie profesorze.

- Panowie pozwolą, że odprowadzę naszego miłego gościa - z pozoru gospodarz pełnił swe obowiązki bez zarzutu. - Wracam za chwilę.

3

A potem były dni, tygodnie, miesiące i lata. Pełne, intensywne, najeżone dziesiątkami pułapek. Wpadali w nie najslabsi i ci znikali z Hartenbergu bez śladu, podobno wracali do starych opiekunów. Nie, nie najslabsi, ale inni od marzeń twórcy. Niekiedy inni nie ze swojej winy, bo czy można było nazwać winą pasję rysowania? Cichy, milczący Hans na ich oczach tworzył roztańczone konie, które zdawały się wybiegać z kartek i dlatego zabrano go któregoś zwykłego dnia na zawsze. Już po pierwszych testach zostało ich trzydziestu sześciu, a w końcu, po trzynastu latach tylko dziesięciu wybranych z wybranych. Tak, był czas, w którym wszyscy wierzyli, że są wybrańcami losu i wielkich ludzi. Oni trzymali się ściśle reguł przetrwania nieznacznie zmienianych z czasem. Inne reguły były święte dla ich kreatorów. Słabsi, nieposłuszni, mniej sprawni umysłowo i fizycznie musieli odejść w imię wielkiego, przysłaniającego wszystko celu, ogromniejącego z każdym rokiem jak budowana przez długie lata świątynia. Gold był jedynym jej kapłanem, inni tylko skromnymi akolitami. Nikt nie mógł przeszkodzić w jej wznoszeniu, nawet ci, którzy słowami kalali jej kamienie, tacy jak van Ecke. On musiał umrzeć choćby po to, by stać się ostrzeżeniem dla innych. Zginął w przypadkowej katastrofie śmigłowca.

Przez pierwsze miesiące, podzieleni na czteroosobowe grupki, poznawali tylko labirynty zamku Hartenberg i jego najbliższe okolice aż po podwójną granicę strzeżoną przez uzbrojonych strażników i potężne dobermany, nie wiedząc nawet o tym, że niedostępne góry są nazywane przez ludzi Schwarzwaldem. Trzeba było być ptakiem, by przelecieć nad drucianym płotem i trzymetrowym murem, między którymi szalały psy. Stąd nie było ucieczki dla wystraszonych, pokornych, milczących dzieci. Opiekunowie zapoznawali ich z wnętrzem zamku, pustego mimo stałej obecności kilkudziesięciu ludzi, upstrzonego przerażającymi wizerunkami ludzkich czaszek na niejednych drzwiach pierwszego poziomu pod ziemią, gdzie przechodzili badania lekarskie. Na dziesiątkach drzwi widniał ten wizerunek - ostrzeżenie. Tam nie mogli wchodzić pod groźbą najsurowszych kar. Te drzwi były zamykane na elektroniczne zamki otwierane kodami dotyku. Zakazy istniały dla zakazów.

Nie mogli robić wielu rzeczy - rozmawiać po ciszy nocnej, wychodzić bez zezwolenia, dotykać tego czy tamtego, pytać bez pozwolenia. Lista była bardzo długa. Nad każdym

łóżkiem w każdej sali wisały przykazania, by wryć się w pamięć na zawsze. Do tego wszystkiego Chris Ivor zdążył szybko przywyknąć i adaptacja nie była tak bolesna jak dla niektórych, karanych nawet po kilka razy dziennie. Nie zmieniło się prawie nic, co zauważył z pewnym zadowoleniem. Potwierdzał swoje wielkie odkrycie, że świat jest wszędzie taki sam, okrutny, bezwzględny. Do tego wszystkiego zdołał przywyknąć, a kary wymierzane teraz przez wychowawców gumowymi pałkami wcale nie były gorsze od razów Mary. Nie płakał jak inni. I było jeszcze coś wspaniałego, coś, czego dotąd nie znał. Nagrody. Za postępy w nauce i ćwiczeniach fizycznych otrzymywali zupełnie nieznane słodycze, o które wielu naprawdę walczyło. Kuchnia Mary była prosta i monotonna. Baranie mięso, wołowina z puszki, czasem kurczak, warzywa, mleko, jajka. Tu codziennie czekała jakaś niespodzianka i poza tym mógł najadać się do syta. Słodyczami nie wolno było dzielić się z innymi, za to groziło dziesięć gum. Ale nie czekolada, ciasta czy cukierki były dla niego najważniejszą podniętą do wysiłku. O niebo ważniejsza była możliwość przeniesienia się we wspaniały, porywający świat He-mana, Lorda Xana czy Niszczyciela z Fobosa, przeżywanie z nimi zapierających dech przygód w otchłaniach kosmosu. Oddałby wszystko, by znaleźć się w sali projekcyjnej. Oddałby i zrobił wszystko, a nawet jeszcze więcej, by kiedyś ująć w dłoń świetlisty, laserowy miecz Lorda Xana i jak on walczyć przeciw podłym, brudnym ludzikom zabijającym i niszczącym wszystko dla samej przyjemności niszczenia.

Swoje pierwsze wielkie szczęście przeżył wtedy, kiedy siedząc przed monitorem komputera, był Xanem w najwspanialszej grze w zabijanego. „Tacy kiedyś będziecie” - powtarzali wychowawcy. Chłopcy chcieli być tacy. Widzieli siebie jako niezwycięzonych, nieustraszonych pogromców zła. By zostać takimi, musieli uczyć się najdziwniejszych rzeczy i oddawać wielogodzinnym, monotonnym ćwiczeniom fizycznym i nauce. Dzień oznaczał sześć godzin lekcji przerywanych godzinami ćwiczeń i posiłkami. Wszystko pod okiem nauczycieli, wszechwidzących i wszechwiedzących. Tamci wiedzieli o każdym słowie wypowiedzianym pod osłoną nocy w czteroosobowej sypialni i każdego dnia na apelu porannym odczytywali listę, kto co przeszkrobał, a kary wymierzali na oczach wszystkich. Po kilku miesiącach rozmawianie po ogłoszeniu ciszy nocnej zniknęło na zawsze z porannej listy kar. Chłopcy pogodzili się z wszechmocą dużych ludzi. Ci, którzy pozostali. Ilu pozostało po pierwszym roku? Trzydziestu. Dziesięciu wróciło do opiekunów. Chris wolał Hartenberg.

Od początku uczyli się rzeczy, których celowości nie pojmowali, od historii ludzkości po anatomię. Z ust nauczycieli dowiadywali się, że dzieje ludzi na tej planecie podobnej do jabłka, a zwanej Ziemią, od początku były dziejami głupoty, szaleństwa i zbrodni, że człowiek jest drapieżcą najstraszliwszym ze wszystkich. Gdyby nie tacy jak ich ulubieni

bohaterowie, człowiek dawno zniszczyłby siebie i świat. Gdy dorosną, zajmą miejsca Heman i Xana, uczynią ten świat pięknym i dobrym. Dlatego muszą być niezwyciężeni, muszą nauczyć się samoobrony i zabijania złych ludzi, dlatego muszą tak ciężko pracować. Uczono ich patrzeć na człowieka jak rzeźnik patrzy na tuszę wołu, widzieć w nim tylko te punkty, które są jego najsłabsza stroną, w które trzeba uderzać, by zwyciężyć jak Niszczyciel.

Jeden dzień w tygodniu spędzali w oślepiająco białych pomieszczeniach laboratoriów wśród zimnych, błyszczących przedmiotów, kluci igłami, oblepiani elektrodami i raz w tygodniu goleni na głowach do gołej skóry. To było tylko nieprzyjemne, bardzo nie bolało. Zresztą żaden nie bał się bólu. Ci, którzy byli strachliwi, płakali pod gumami, krzyczeli - odeszli. Także w zapomnienie.

Rzadko widywali pana tego zamku. Pojawiał się może raz w miesiącu i tylko patrzył, słuchał, uśmiechał się dobrotliwie, gładził po głowach, zadawał parę prostych pytań. Zwykle po takiej wizycie wszyscy bez wyjątku otrzymywali słodczyce, wszyscy mogli oglądać filmy i na ten dzień zawieszano kary. Coraz mocniej wierzyli, że jest dobry, a źli są tylko wykonawcy, dla których najważniejsze są regulaminy.

Czas mijał, zmieniali się i sami tego nie zauważali, bo byli ze sobą, na co dzień. Na pewno dorastali, a poza tym? Monotonia nauki i ćwiczeń. Pamiętny był tylko siódmy rok pobytu w Hartenbergu, kiedy na cały tydzień zniknęła jedna czwórka. Niezwykłe było już to, że zniknęli i pojawili się na powrót. Billy, Jorg, Steve i Kalie nie wyróżniali się dotąd niczym, a po powrocie nagle zaczęli przodować. Stali się niepokonani w biegach, skokach, walce wręcz, nawet w nauce. Pytani ukradkiem, co się z nimi działo, nie potrafili odpowiedzieć. Znaleźli się w laboratorium i przechodzili długie badania. Byli usypiani kilka razy. To wszystko.

Pozostali chłopcy czuli czystą zazdrość wobec kolegów odmienionych jakąś czarodziejską sztuczką, zazdrość i wściekłość, kiedy nie mogli tamtym dorównać i mimo wysiłków przegrywali we wszystkim. Ale trwało to tylko miesiąc, a po miesiącu, co kilka dni w podziemnych labiryntach znikwały następne czwórki i wracały cudownie odmienione. Chris Ivor znalazł się w trzeciej i później przypominał sobie ten pobyt jak biały, niewyraźny sen. Biały, pachnący lekami i nic nadto, bo nawet twarze poumykały z pamięci. Wrócił i wszystko wróciło na swoje miejsce, zniknęły te ogromne różnice między nimi a pierwszymi, znów byli sobie równi, jakby się nic nie zdarzyło. Dystans między chłopcem a nauczycielami zaczął gwałtownie się zmniejszać.

Nie w nauce, ale w ćwiczeniach nie ustępowali tak bardzo jak przed tą przemianą. To był oczekiwany cud. Poprzeczki wymagań wobec nich podniesiono niemal dwukrotnie i

zdecydowana i większość poradziła sobie bez większych kłopotów.

Nie wiedzieli, nie mogli wiedzieć, że stali się ofiarami eksperymentów profesora Topfera, który zamienił doświadczalne szczury i małpy na ludzi. Uruchomił hipotetyczne dotąd mechanizmy tworzenia siatkowego przez prosty implant biokrytowy. Okazało się, że integracyjna i regulacyjna aktywność tworzenia siatkowego wzrasta dwukrotnie i tyle samo wzrastają impulsy wyjściowe, eferentne. Nie zastanawiał się nad konsekwencjami ani nie miał zamiaru liczyć ofiar. Pacjent, taki pacjent to tylko mięso, ci chłopcy byli swego rodzaju prototypami. Znał ich rolę. Mogli je zagrać o niebo lepiej, jeżeli poeksperymentuje, układem rąbkowym, tym regulatorem ocen afektywnych, oraz hipokampem i ciałem migdałowatym. Gold chce amnezji w pożądanym momencie, więc będzie ją miał, sterowane zaburzenie w sferze hipokampa załatwia problem. Do diabła z niedouczonej eugeniki i ich ostrzeżeniami. Do diabła z tym ich humanizmem. Wielkie cele wymagają ofiar. Wielkim celem Topfera był człowiek wykorzystujący możliwości do maksimum. Zbliżał się do tego celu, wyniki eksperymentów przechodziły wszelkie marzenia.

Był pewny, że zaspokoi oczekiwania Golda, zwłaszcza po tym pierwszym, oszałamiającym sukcesie, który wprowadził go w euforię. Okazało się, że mózg można przesterować tak łatwo, jak zmienić biegi w samochodzie. Amplitudy i częstotliwość fal alfa, beta, delta i X zmieniły się znacznie, ale w granicach zakładanej teoretycznie tolerancji. Aktywność i agresja osobników poddanych pierwszym implantacjom w okolicy tworzenia siatkowego wrosła dwukrotnie i można było założyć, że nie będzie to miało negatywnego wpływu na rozwój tych osobników, bo mechanizmy adaptacyjne pracują pełną parą. Seanse hipnotyczne umacniały poczucie tabu, były skutecznymi wędzidłami na przerastającą normę popędu. Hipertroficzna agresja tylko w jednym przypadku została skierowana przeciw nauczycielowi i dewianta zlikwidowano. Diabli wzięli ostrzeżenia teoretyków twierdzących, że wytlumienie popędu strachu obniży popęd głodu, że rozstroją się regulatory chemiczne. Przecież je także można doprowadzić do równowagi przez ingerencję z zewnątrz. Doktor Wagner zadba, by wahania poziomu estronu, somatotropiny, sekretyny, estradiolu i całej reszty były zadowalające przynajmniej do czasu, kiedy ci osobnicy będą musieli zginąć, a to tylko kilka lat. Wyraźne symptomy degeneracji wystąpią nie wcześniej niż za te kilka lat. Musi je obserwować, by nie popełnić tych samych błędów później.

Niepostrzeżenie zniknęli Billy i Kalie z pierwszej czwórki. Zostało ich tylko dwudziestu dwóch. Tylko tyłu, a życie toczyło się dalej. Poprzeszono ich do dwuosobowych sypialni, łagodząc nieco reżymy i dodając nowy, niezrozumiały zakaz. Mogli się przyjaźnić tylko ze współmieszkańcami, pozostali byli już tylko rywalami,

współzawodnikami w wyścigu do wielkich ról. Nauczyciele zajmowali się każdą dwójką z osobna i każda dwójka była oceniana jako całość.

Ten nowy układ wymagał innego rozumienia, współdziałania. Kontakty między wszystkimi urwały się niemal zupełnie, nawet na boisku, nawet w piłkę nożną grały dwie dwuosobowe drużyny.

- Jeżeli nie spełnicie wymogów i nie osiągniecie trzystu punktów tygodniowo, obaj zostaniecie odesłani - taka groźba w zupełności wystarczała.

Chris Ivor i Denis McLachlan byli do siebie podobni, choć tego nie wiedzieli. Obaj zamknięci w sobie, flegmatyczni, rzeczowi, z podobnym ilorazem inteligencji i podobną przeszłością. Czy to był przypadek, że Denis również wychował się wśród podobnych gór, w podobnym klimacie? Nie. Po latach widział takie przypadki inaczej.

Siedem wspólnie spędzonych lat może związać ze sobą na zawsze lub na zawsze rozdzielić. Ich czas związał ze sobą, upodobił. Sięgali pułapu pięciuset punktów tygodniowo, zwłaszcza od czasu, kiedy major Bretson zaczął ich uczyć taktyki, na tej nabijali najmniej sto punktów. W celu łatwiejszego odróżnienia grup ubierano ich teraz w kombinezony w różnych kolorach i im przypadła czerń. Obaj razem znikali w laboratoriach, poddawani niezrozumiałym zabiegom, których celowości nie tłumaczono, powiadając jedynie, że to dla ich dobra. Tu wszystko służyło ich dobru. Dla ich dobra niemal zupełnie wytłumiono instynkt seksualny, ilustrując implantacje werystycznymi filmami. Bez większego zainteresowania przyglądali się komentowanej na żywo kopulacji owadów, ssaków i wreszcie ludzi. Przyjmowali to jako jeszcze jedną wiadomość do zakodowania i nic nadto. To było zwierzęce. Komentator miał zupełną rację, zwierzęce i śmieszne, niewarte pamiętania. Nie rozumieli nawet dobrze celu tej prezentacji, tych splecionych ze sobą ciał wykonujących mechaniczne ruchy, spoconych i oślizłych. Ohyda.

Nadszedł czas pierwszych wyjść za ogrodzenie. Nikt z czternastki nie czuł chęci ucieczki. Dokąd? Po co? Mimo że mieli po siedemnaście lat, byli psychicznie dojrzałymi mężczyznami, zimnymi jak lodowce, racjonalnymi ekspertami od zabijania. Nie powodowało nimi to, co innymi - kobiety, głód i cała ta reszta ze śmieszną żądzą pieniądza włącznie. Nawet nie dążenie do sławy. Oni już głęboko wierzyli w swoją jedyną misję. Jeszcze mglistą, niedopowiedzianą, ale wiadomo, że na wszystko przychodzi czas. Skoro jej nie znali, to oznaczało, że czas nie nadszedł.

Byli w ludzkich rojowiskach znanych tylko z ekranu. Pieniła się tam śmierć i okrucieństwo. Beznamiętnie patrzyli na szklane domy, szerokie ulice, sklepy, tłumy ludzi. Oni wiedzieli, że to tylko zewnętrzny sztafaż, że te wspaniałości są jak purpura na ciele

trędowatego króla. Żaden nie chciał być częścią takiego mrowiska. To by znaczyło pełne zagubienie, sprowadzenie do najmniej znaczącej roli. Widzieli nagiego króla nocami, wtedy kiedy pod opieką Bretsona zabijali swoich pierwszych wrogów. Chris zrobił to w nocnym Stuttgarcie, w zaułku obok dyskoteki. Tak jak mówił Bretson, poradził sobie sam. Ci dwaj chcieli jego pieniędzy, grozili pistoletem. Zmiażdżył krtań pierwszemu, drugiemu skręcił kark i nawet nie poczuł cienia emocji. Walka zajęła mu dwie sekundy, a dostał trzysta punktów od majora.

Żaden nie chciał uciekać. Kiedy po tych wyjazdach do Baden-Baden, Mannheim, Stuttgartu na jakiś czas z Hartenbergu zniknęli strażnicy i psy, oni dostali identyfikatory, którymi mogli otwierać bramy. Nie ubył żaden z dziesięciu.

Dla Ivora późniejsze wyjazdy były ciężkim, niemiłym obowiązkiem, gdy wraz z przewodnikiem uczył się poruszania w tłumie, stawania się jednym z szarych, zwykłych ludzi. Restauracje, hotele, spojrzenia, gesty, wszystko to było godne pogardy i łatwe do zapamiętania. Prawa mimikry są wszędzie takie same jak w górach czy lesie. Ogoloną głowę można nakryć czapczką, ubrać się młodzieżowo i już jesteś jednym z wielu. Wobec młodych, pięknych, patrzących zalotnie kobiet czuł niechęć. Ten cały świat był tylko zwiewną, kolorową, pozornie beztroską iluzją, siedziskiem homo demens, człowieka szalonego, krążącego w dzikim tańcu nad przepastną głębią. Był obcy. Realny świat odkrywał w ciemnych salach Hartenbergu, pełen wojen, krwi, świat prawdziwego człowieka. Kto śmiałyby przypuszczać, że oglądają tylko to, co podsuwają im opiekunowie? Nikt nigdy nie zakwestionował prawdziwości obrazów i komentarzy. To było prawdziwe, musiało być, bo inaczej samo ich istnienie mogłoby okazać się niepotrzebne.

Po tych pierwszych zwiastunach zmian pojawił się następny. Przed ponad rokiem nakazano im zapuścić włosy. Taki nakaz nie dziwił nikogo, nikogo nie śmieszył. Był nakazem.

* * *

Ciąg leniwych, przyjemnych wspomnień przerwał mu ból, czysty, fizyczny ból i nadchodząca z nim fala osłabienia. Przemagając się, wstał po antidotum. Wyłuskał pełną strzykawkę, wbił w mięśnie uda. Ulga nadeszła już po chwili, czuł ją siedząc na krawędzi łóżka, rejestrując obecność tej paczuszki z eliksirem zostawionej przez Stawsky'ego i tej drugiej, większej. Sięgnął po nią, rozerwał i zobaczył równy szereg dysków DVD. Wyjął pierwszy z brzegu. Nie był oznaczony, zagadkowy jak pozostałe dwadzieścia cztery. Miał się sam przekonać, co zawierają.

Tłumiona dziesiątkami zakazów ciekawość wzięła górę. Wsunął pierwszy dysk do kieszeni odtwarzacza i ekran rozbłysnął bladym światłem. Zobaczył twarz w zbliżeniu i usłyszał szaloną, prymitywną muzykę będącą tłem dla słów śpiewanych chropawym, przejmującym do szpiku kości głosem. Rozumiał i chciał rozumieć, patrząc na statyczny, czarno-biały obraz dziobatego, młodego człowieka stojącego przed mikrofonem ze spuszczoną głową, opuszczonymi rękami, z dłońmi zaciśniętymi w pięści. Obrazek był tandetny, archaiczny, wprost śmieszny, ale w połączeniu z muzyką i słowami nie śmieszył. O nie. Drażnił, prowokował. Niski dziobaty człowiek potężniał z każdym słowem, ta twarz zajaśniała, zaczęła emanować niezwykłą siłą i pięknem. Niski dziobaty człowiek mówił do niego: „To moje życie i robię z nim, co zechcę. To mój umysł i myślę to, co chcę”. To był czar, istna iluminacja i na nic zdawały się świadome reakcje rozumu. Kim jesteś? Dlaczego o tym mówisz? Kimże, do diabła, jesteś?!

Pytanie stawało się tak bolesne jak głód adrenolowy, a każde słowo trafiało jak kula, każdy dźwięk gitary szarpał nerwy, porażał, bolał. Dlaczego czuje ból, słuchając najprostszych słów? Kto i dlaczego zadawał taki ból? Pytania zostawały bez odpowiedzi, bo nie odpowiedzi były tu ważne, ale te natrętne pytania pojawiające się znikąd, proste, banalne.

Wybrzmiał ostatni akord gitary i niski człowiek, nie podnosząc głowy, ani na chwilę nie odmykając pięści, zaczął opowiadać o swoim dzieciństwie, młodości. Robił to tym samym, pełnym wulkanicznej pasji, ochryplym głosem. Chrisowi imię i nazwisko Eric Burdon nie mówiły nic, zupełnie nic. Rozsądek podpowiadał, że już powinien wyłączyć ten przeklęty aparat, ale nie mógł, z tym było jak z adrenołem. Siedział nieporuszony, chłonąc prostą, przejmującą opowieść o gorących, okrutnych nocach w San Francisco. Niech to trwa jak najdłużej. Czuł, że stoi przed ledwie uchyloną bramą, dotąd zamkniętą na glucho.

Nowe błyski, refleksy przyćmionego światła nie dawały się klasyfikować, kwantyfikować. Wpierw musiał się nimi nasycić, odnaleźć sposób na otwarcie tej bramy. Czuł niepojętą jedność z tymi ludźmi z przeszłości. Może już od dawna nie żyli, a jednak nie byli martwi. Nigdy nie będą martwi. Kto ich tu przywołał? Kto tak uszeregował kobiety i mężczyzn? W jakim celu? Każde następne pytanie rodziło jeszcze większy chaos. Janis Joplin, Cat Stevens, Clash, Dylan, Donovan. Powrócili tu z daleka i w najbardziej wymyślny, przejmujący sposób opowiadali o życiu, sobie i tęsknotach za światem, w imię, którego przyszedł i on.

Opowiadali najpiękniej, śpiewali marzenia. Trzy godziny minęły jak sen i nie były młodszym bratem śmierci, były jak westchnienie Loch Drommond. Były życiem. Usłyszał cichy sygnał końca nagrania i dyskietka wysunęła się z ledwie słyszalnym szelestem, ekran

zgasł. Rozpaczliwie zatęsknił za snem. Zaczynał się gubić, tracił widok drogi przed sobą, dotąd jasnej i prostej. Czy wypełnienie tej misji da mu spokój? A co będzie potem? Tylko śmierć? Dlaczego nigdy nie pomyślał o czymś tak oczywistym? Nikt nigdy nie napomknął, co będzie potem. Musiał o tym myśleć, gdy granica tego „potem” była bliska o godziny. Nikt nigdy nie mówił im o miłości jak ta ciemnowłosa, smągła kobieta o najpiękniejszym głosie, jaki kiedykolwiek słyszał. Śpiewała o innej miłości, o takiej, jakiej nawet nie przeczuwał, jakiej nie było według nauczycieli. Robiła to tak pięknie, że wierzył właśnie jej, smutnej Joan o natchnionym spojrzeniu. Ona pomogła mu uwierzyć w coś, co dotąd nie istniało. Jak dobrze było jej wierzyć.

Och nie! Dość już tych pytań, dość szaleństwa. Krzyczał sam do siebie, ale i niemy krzyk nie pomagał. Nic nie mogło mu pomóc, gdy nie udała się ucieczka do kraju dzieciństwa tak łatwo sprowadzająca sen w Hartenbergu. Starczyło wspomnienie trawy, błękitu, nieba. Kiedyś starczało. Teraz wciąż widział przed sobą twarz człowieka, którego opowieści wstrząsnęły nim najbardziej, Erica Burdona. On powiedział mu o życiu więcej niż wszyscy opiekunowie. Nikt nie potrafi uniknąć takich prostych pytań które, jeżeli pozostaną bez odpowiedzi, pozostają w pamięci na zawsze. A takie były pytania o tych zwykłych ludzi, dla których mieli czynić dobro. Jacy oni są? Pytanie równie ważne, jak to czy świat jest skończony. A potem znowu powtarzał: Pytaj, pytaj, bo dzięki tym pytaniom istniejesz naprawdę.

Ten czas zdawał się nie mieć końca. Tu gdzie nie było dnia ani nocy, tylko szarość, sztuczna szarość, w której Chris czuł się dobrze. Postanowienie nadchodziło jakby z daleka, objawione i dziwnie mocne, zaledwie w części dające się racjonalnie tłumaczyć. Tak! Musi sam dojść, co jest rzeczywiście dobre, a co złe dla wszystkich, nie tylko dla niego, on był tu najmniej ważny, może umrzeć, kiedy sobie odpowie. Dojdzie do tego sam, bez pomocy człowieka, który ma się tu rychło pojawić. Nie ufał temu człowiekowi. Wpojona zasada była jedynym pewnikiem, który potwierdzał się wiele razy. Nie można zaufać nikomu. Ten obcy także plątał go w jakąś sieć. Musi wiedzieć jaką, zanim zdecyduje, co zrobić ze sobą. Stawsky przyszedł tu z przesłaniami od przyjaciela, od zmienionego Denisa. Przyszedł od Denisa, który nie był sobą, ale który wiedział tyle co on, poza celem misji. Czy chcą wiedzieć, do czego został przeznaczony? Chcą zapobiec wykonaniu zadania? Jedno było pewne. Nie chcieli go zabić ani zniewolić, a przecież mogli.

Stawsky pojawił się chyba o zapowiadanej porze. Chris nawet nie chciał tego sprawdzać, to nie było istotne. Punktualność liczy się wtedy, kiedy jest potrzebna. Nie zareagował na zwyczajowe pozdrowienie, odpowiedział tylko wzrokiem.

Stawsky'emu zdało się tego dnia, że rozumie go lepiej, ale to było przed przyjściem tutaj. Teraz poczuł się znowu jak motylek na szpilce. Przecież oni byli nieobliczalni, tak by wynikało z uczonych rozważań ich etologa, doktora Marcusa. Tu jakoś mniej wierzył wyrafinowanemu teoretykowi, a jednak? Niemal zupełna atrofia strachu przy hipertrofii agresji czyniła z nich istoty nieznane. „Coś pośredniego między samotnikiem drapieżką a człowiekiem zdewiowanym, tak by przynajmniej wynikało z obserwacji podobnych przypadków, jakie miały miejsce w przeszłości”. Cóż, nie było to zbyt pocieszające przypomnienie, ale neurolog wolał słuchać instynktu, zwłaszcza teraz, kiedy w błyszczących oczach Ivora zobaczył wyraźny cień bólu. Ten chłopak naprawdę cierpiał. Co odkrył? Pudełko z dyskietskami stało obok otwarte, a oni byli systematyczni, bo tego uczono ich od dziecka. Jeżeli tak, to chłopak odkrył dyskietkę z muzyką generacji buntu albo „Historię postmodernizmu według Lena Spencera”. Nie, żadne albo. Spencer nigdy nie zostawiłby po sobie takich śladów. To mogła być tylko ta archaiczna muzyka przydana do zestawu przez Webera, zwariowanego psychologa fascynującego się tą muzyką. Dla Stawsky'ego także było to o niebo lepsze od elektronicznego chłamu produkowanego za pomocą komputerów.

- Przyniosę sobie piwo, jeśli pozwolisz - powiedział po chwili milczenia, gdy napięcie opadło o parę woltów.

Nie mógł zdobyć się na wygłoszenie przygotowanej introdukcji, nie miał przed sobą dziecka, nie zamierzał też być nauczycielem. Już sam początek przygotowanej kwestii wydał mu się głupi i pretensjonalny, może dobry na powitanie kosmitów. Takie mentorskie pieprzenie zda się psu na budę. „Możesz stać się zbawcą ludzkości, Chris...”. Po co z siebie robić idiotę?! Wracając tutaj z przytuliska u Lawrensona, postanowił do końca zdawać się na improwizację. A niech to, będę z nim szczerzy, pomyślał, siadając na krześle z puszką piwa. Może jednak stary Lorentz miał rację? Ten wspaniały facet przed prawie stu laty twierdził, że każdy człowiek dysponuje atawistycznymi, zwierzęcymi zdolnościami empatycznymi, rozwiniętymi gorzej lub lepiej, że czuje nastrój innego osobnika, a niekiedy jest w stanie wyczuć, i to z dokładnością do trzydziestu przypadków na sto, że ktoś inny kłamie albo mówi prawdę. Podobno zdolności te rozwijają się nadzwyczajnie przez długie uprawianie kłamstwa czy prawdy. Głupie to i niesprawiedliwe, ale na tym polu prawdomówni i kłamcy mają jednakowe szanse. Kłamcy przez głęboką, często irracjonalną wiarę w to, że wszyscy są kłamcami, a prawdomówni...?

- Kiedy przyszedłem tu wczoraj, nie byłem pewny, w jakim stanie cię zobaczę. Miałem tylko nadzieję, że będziesz w zapaści adrenolowej. To była szansa na to, że nie zabijesz mnie od razu. Czekałem na ciebie dwa dni i wszedłem w dwie godziny po tobie -

mówił wpatrzony w puszkę. - Zanim tu wreszcie wlałem dzięki kluczowi Denisa, zdążyłem zrobić rachunek sumienia i przygotować się na śmierć. Wiedziałem, jaki jesteś. Nie zabiłeś mnie, o nic nie pytałeś, a ja myślę, że powinieneś wiedzieć, po jaką cholere pojawiłem się tu, po co musiałem dotrzeć do ciebie. Chyba powinieneś wiedzieć, że to ty jesteś kluczem do największej zagadki naszego stulecia, Chris. Możesz pomóc ją rozwiązać albo nie, to zależy tylko od ciebie. Możesz uchronić od śmierci miliony ludzi, dobrych i złych, zwyczajnych ludzi. Denis nie pamięta tego, co dla nas jest najważniejsze, spowodowano u niego częściową amnezję, utratę pamięci. Ty natomiast pamiętasz wszystko i tobie już nikt nie może tej pamięci odebrać. Ja to uniemożliwiłem, nie pytając cię o zgodę. Zapomniałem ci to pokazać wczoraj. Popęlniłem błąd, bo teraz możesz pomyśleć, że znalazłem to na ulicy. Właśnie te biokryty wydłubałem ci z czaszki i właśnie, dlatego, że to potrafię, wybrano mnie. Za pomocą takich cudeniek sterowano tobą i Denisem.

Wstał, podszedł do łóżka z wyciągniętą dłonią. Chris nie odpowiedział, spojrzął tylko swoim nieprzeniknionym wzrokiem na obcego, wciąż obcego człowieka, który położył na kołdrze dwa mikroskopijne kawałeczki metalu, błyszczące, srebrne drobiny w kształcie walca długości około dwóch i grubości pół milimetra. Nawet trudno je było zauważyć.

- Masz w czaszce kilkanaście takich drobin. No, nie tylko one cię zmieniają, ale o tym nie teraz. Czy chcesz mnie posłuchać? Daj mi tylko znak. Nie jestem krasomówcą, ale o pewnych sprawach powinieneś wiedzieć. Chcesz tego? - poczuł radosną ulgę, widząc skinienie głowy, zrozumiałe, oczywiste. - No więc przejdę do tego, co istotne, do końca świata, Chris, końca tego świata, którego zupełnie nie znacie ani ty, ani Denis.

Trwało to kilka godzin. Stawsky chwilami sam podziwiał swoją elokwencję. Opanowanie słuchacza też mogło imponować. Boże, choć trochę poruszyć ten kamień! - myślał, przekonany z początku o swojej porażce. Może lepiej było porwać go stąd i wycisnąć jak cytrynę po uprzednim zapobieżeniu możliwości samobójstwa i tej sterowanej amnezji. Przecież to było teoretycznie możliwe i raczej proste. On sam był za drugą propozycją, którą przyjął i zaakceptował Donovan. Dlatego siedział tu i gadał. A Chris Ivor słuchał, siedząc na łóżku w pozycji lotosu. Rzadko unosił głowę, i to nie w spodziewanych momentach, ale jakby tylko po to, by go lepiej zapamiętać, a te spojrzenia sprawiały, że Stawsky czuł nieprzyjemne ciarki na plecach. Implant nie zadał ani jednego pytania i nie wykazywał zniecierpliwienia. Rząd puszek przed Stawskym wydłużał się niepokojąco.

- ...Jak widzisz, Chris, nie wiadomo nam, kto i jak przygotował ten nagły i niespodziewany upadek Europy. My tego nie wiemy, ale ty wiesz i teraz bez przesady można powiedzieć, że w twoich rękach spoczywa przynajmniej los Europy. Nie możemy walczyć,

nie widząc wroga, który grozi, że zdetonuje ładunki nuklearne pod kilkoma dużymi miastami, jeżeli armia ruszy zaprowadzać ład - zawiesił głos tak, że zabrzmiało to jak pytanie, ale każdy głupek by pojął, że nie ma się co spodziewać odpowiedzi. Gdy Stawsky zastanawiał się, czy coś osiągnął, Chris Ivor położył się na łóżku i wlepił oczy w sufit.

Wiedział wiele, bardzo wiele. Cały ten zamęt jest dziełem profesora Golda, a sam profesor jest siłą sprawczą tego wybuchu, który miał być początkiem realizacji marzenia, marzenia mglistego, tylko wyczuwanego. Marzenie zamieniło się w koszmar, bo to, co Chris widział na własne oczy, nie mogło mieć nic wspólnego ze światem miłości i dobra, który oni mieli sprowadzać na ulice. Ta rzeczywistość była bardziej przepelniona złem niż filmy, jakie im pokazywano. Tam było lepiej ukryte, ale mało widoczne, tu zaś czyhało na każdym kroku. Czy to wzięło się z pragnienia dobra? Co jest dobrem dla niego? Czuł przenikające go zmęczenie, ból w skroniach, a jednak nie wziął następnej dawki antidotum. Nie przy obcym. Ten obcy siedział nieporuszenie, gapiąc się na puste puszkę. Nie, nie powie mu niczego, a przynajmniej nie teraz. Pragnienie snu po tych męczących godzinach stawało się równie silne jak łaknienie adrenolu. Po kilku minutach znów spojrzał na obcego, który pojął to po swojemu. Uśmiechnął się i wstał.

- Chyba chcesz zostać sam, Chris? - spytał, odstawiając trzymaną w ręku puszkę. - Ja w zasadzie powiedziałem już wszystko. Mówiłem ci swoje prawdy, a to nie znaczy, że uznasz je za swoje.

- Chcę być sam - odpowiedział. - Teraz. Chcę też, żebyś pomógł mi zasnąć snem bez snów. Jesteś lekarzem, a to było dla mnie ciężkie.

Stawsky starał się nie okazać zaskoczenia. To nie tylko było bardzo ludzkie, to było wprost dziecinne. Jemu natychmiast skojarzyło się ze skargą małego, bezbronnego dziecka bojącego się pełnej potworów ciemności. Nie był na to przygotowany, ale zaraz przypomniał sobie kilkanaście butelek koniaku ukrytych w skrzynce za kartonami z piwem. Zaintrygowany napisem „Tylko dla celów leczniczych” otworzył skrzynkę jeszcze wczoraj. Teraz mógł to odkrycie wykorzystać.

- Alkohol to jedyne, co mogę ci zaordynować - rzekł, kiedy wrócił z butelką i szklanką. - Nie mam przy sobie niczego innego. Nie powinien ci zaszkodzić. Wstrętne to w smaku, ale na pewno pomoże. Nie wypij więcej niż pół butelki. - Postawił szkło obok łóżka i z niejaką nadzieją zapytał: - Czy chcesz, żebym tu jeszcze przyszedł?

- Jutro - usłyszał i poczuł wielką, radosną ulgę. Ten dzieciak go potrzebuje. A więc nie wszystko stracone. Nie chciał nawet myśleć o pozostaniu z Ivozem w tej krypcie, zwłaszcza po tym, co zrobił na końcu. To było jak szczeniacki wygłup. Przecież nie wiedział, jak

implant zareaguje na alkohol, jak to na niego działa. Jeżeli koniak zesublimuje te, jednak nieco temperowane mechanizmy agresji, Ivor może rozwalić ten schron i zostawi tylko wielką dziurę w ziemi. Stawsky wymykał się stąd, przeklinając samego siebie za kretyński pomysł, który mógł wiele kosztować. Ale już było za późno.

Chris nie chciał myśleć, nie chciał znów zagubić się w plątaninie pytań i jeszcze nie chciał spać. Obojętna była pora dnia, jego bezpieczeństwo. Wstał, zmienił dysk na następny z kolei. Ekran pojaśniał i pojawiły się na nim napisy: „Bunt, reżyseria Masaki Kobayashi, 1964 rok”. Widząc, że na ekranie nie dzieje się nic, z nieufnością sięgnął po butelkę. Nie do końca wierzył obcemu. Wiedział, że to środek oszałamiający, którego używanie często powoduje uzależnienie, wywołuje zmiany psychosomatyczne, że został wyparty przez narkotyki i oniryki. Nadto figurował na liście ich zakazów jako środek szczególnie szkodliwy. A jednak spróbuje tego owocu zakazanego, nie dla snu nawet, ale dlatego że rodził się w nim bunt. Drgnął, gdy uświadomił sobie tę zadziwiającą zbieżność między uczuciem a tytułem filmu. Czy taka koincydencja była tylko przypadkiem?

Zaczął uważniej śledzić zachowania i słowa hieratycznych postaci wywołanych z dalekiej przeszłości Wschodu, z którym stykał się przez mistrza sztuk walki Surayamę Kodo. Napełnił szklaneczkę do połowy, uniósł i powąchał bez cienia podejrzenia. Przypominało to nieco zapach owczarni zimą, dobrą, uspokajającą woń, przypominało zapach zielonej, zgniecionej trawy. Wypił łyżeczkę, czując w ustach i gardle gorzkie, nieznośne pieczenie, a potem cudowne ciepło spływające niżej i niżej, ogniskujące się na chwilę w żołądku, przenikające do żył, kojące podobnie jak adrenol. Wiedział wystarczająco dużo o alkoholu, by nie podejrzewać, że to trucizna, a poza tym było mu to zupełnie obojętne. Jego życie stale ocierało się o kres, miało wypełnić się po skończeniu misji. Zdaje się, że taki koniec przewidzieli wszyscy.

Czekał, czekał na pierwsze symptomy działania tego środka, na własne reakcje. Nadeszły po chwili, szybciej niż się spodziewał. Przyszły w postaci błogiego spokoju, ciepła wewnętrznego, pozornej szybkości reakcji na bodźce z ekranu. Obserwował przy tym siebie niemal na zimno. To było odczucie nowe i nawet zabawne. Z niejakim zdumieniem Chris obserwator zauważył, że ten drugi Chris nie zadaje pytań, zaczyna patrzeć w jutro z większym i na pewno bezzasadnym optymizmem. Po drugiej porcji optymista zupełnie wziął górę i pogodził się z obserwatorem. Obaj z coraz większą uwagą wpatrywali się w ekran.

Film mówił o miłości samuraja i odrzuconej konkubiny jakiegoś japońskiego daimyo, miłości, którą Chris Ivor na próżno próbował zrozumieć wcześniej. Intrygę filmu, choć prostą, nie całkiem zrozumiał. Tylko jedno było oczywiste - walka. Samotny pojedynek z

wieloma wojownikami w domu bohatera i niezwykła maestria we władaniu straszliwym japońskim mieczem. Dla Chrisa Ivora film dopiero się zaczynał. A potem ucieczka donikąd z dzieckiem na ręku, samotna i beznadziejna walka z dziesiątkami, a może setkami wrogów uzbrojonych w prymitywną broń palną, wierzących w pierwszą regułę przetrwania: Zabij, by żyć. Nie! To nie była tylko walka! Docierało to do niego od kilku minut. Przecucie było natrętne, wracało falami, nie pozwalając się odsunąć, zatrzeć. I wreszcie pojawił przesłanie człowieka, który tę historię przeniósł na ekran. Ta walka była wspaniałą modlitwą o śmierć. Ten człowiek chciał umrzeć tak, jak żył, wolny w granicach swojej wolności. Chciał mieć prawo do swojej śmierci i mógł je mieć tylko walcząc. To było. To było... Prawo wyboru! Oszołomiony bardziej tym niż alkoholem, patrzył na ostatnie kadry olśniony tym odkryciem. Zaciskając mocno zęby, patrzył na śmierć tego, który wybrał. Wybrał śmierć, przekładając ją nad życie w hańbie. On także musi mieć prawo wyboru, bo takie prawo przesądza o człowieczeństwie. Teraz wydało się to takie proste, oczywiste. Pójdzie własną drogą. Już wybrał. Przywołał męską, dojrzałą twarz Stawsky'ego, czując do niego cień uczucia żywionego dotąd tylko do profesora, cień prostej wdzięczności za wskazanie mu początku nowej drogi. Zadziwiło go, że próbuje znaleźć się na miejscu lekarza, wyobrazić sobie jego odczucia. Stawsky był jak ślepiec, postępował wbrew rozsądkowi, i w imię czego? Czy tego jasnego celu? I dla kogo? Czy dla tych milionów, które mogą ogarnąć kwiaty nuklearnych eksplozji? Tak, to było podobne do Golda.

Dość pytań na dziś. Ze szklaneczką koniaku, ułożony wygodnie na twardym łóżku, wracał myślami do Hartenbergu. Tam czekała śmierć. Ten zakaz znaczył właśnie tyle. Po skończeniu misji mieli szukać swojego miejsca w życiu. A to znaczyło, że nie rokowano im długiego życia.

Leniwie analizował ostatnie lata pobytu w skalnym gnieździe, dni wypełnione po brzegi forsownymi ćwiczeniami w sztukach walki wręcz, taktyce i praktyce miejskiej guerilli, znajomości broni, pilotażu. Uczono ich przetrwania na granicy „niezbędnego minimum”. Jeśli walka, to przy użyciu broni najskuteczniejszej z możliwych, z własnego ciała uzbrojonego w zęby i pazury. Patyki, kamienie, wszystko mogło być narzędziem do zabijania. Ze sznurowadła w pół minuty mógł sprokurować procę, którą posługiwał się równie dobrze jak szybkostrzelnym karabinem, zaostrzony patyk mógł pełnić rolę grotu przy pułapce z odgiętej gałęzi. A ich mistrzowie, najlepsi z najlepszych, musieli uznać wyższość niespełna osiemnastoletnich chłopców już po pierwszych iniekcjach adrenolu, środka wymyślonego przez jednego z czarodziejów Hartenbergu. Wyniki przeszły wszelkie oczekiwania.

Chris Ivor doskonale pamiętał to wspaniałe uczucie wszechmocy po pierwszym

wstrzyknięciu. Zdumiała go szybkość własnych reakcji, choć był uprzedzony przez doktora Bocka. Zachwycała całkowita, doskonała kontrola każdej grupy mięśni i zwielokrotniona siła fizyczna, „Teraz brakuje wam tylko umiejętności latania, moi drodzy” - mówił z dumą Gold, i tak było w istocie. Traktowani dotąd z ogromnym respektem nauczyciele okazali się gorsi w każdym sprawdzianie, a wszystko dzięki paru miligramom przezroczystej substancji. Nawet niedościgniony nie tak dawno mistrz Kodo uległ każdemu z nich z takim samym nieodgadzionym uśmiechem, z jakim zwyciężał.

Ostrzeżeni przed przykrymi skutkami działania specyfiku, spokojnie przyjmowali późniejsze osłabienie, apatię mijającą po godzinie, dwóch. W samych początkach te tak zwane skutki uboczne były krótkotrwałe, można było kłaść je na karb zmęczenia. Później, gdy wracali do normy, zabierano ich do białych klatek laboratoriów, gdzie skomplikowana aparatura przywodziła na myśl statek kosmiczny. Poddawali się rutynowemu oglądowi, z obojętnością rejestrując tylko niekiedy, że przebywali w uśpieniu pięć albo sześć godzin. Nikt nie pytał o nic, a przecież ten sztuczny sen, ta hibernacja musiały czemuś służyć. To wtedy majstrowano w ich głowach. Każdy z nich miał małe białe blizny, które potem przysłoniли włosami. Dowiadawali się tylko, że dzięki sztucznej snowi szybciej regenerują siły, że za pomocą transformerów kreatywnych utrwała się ich wiedza i umiejętności.

Nikt nie pytał, czy uwierzyli. Po prostu podawano im to do wiadomości, a oni rejestrowali pewni, że tak być powinno. Podobnie było z projekcjami w sali kinowej, gdzie w ostatnich latach spędzali po godzinie dziennie, oglądając zwykle filmy ilustrujące nowe albo już znane Wielkie Zło. Denis i ten obcy potwierdzali to, o czym nikt nigdy nie wspominał. Tak. Teraz Chris się upewnił, że został zmieniony za pomocą tych cylindrów o średnicy grubej igły. Leżały teraz na stole i wyglądały niewiarygodnie niewinnie, ale to przez nie został zmieniony, i nie stał się tym, kim powinien być - sobą. Pozbawiono go prawa wyboru. Już samo to wystarczało, by krzyknąć wielkie, nieme NIE!

Zasnął mocnym, głębokim snem. Wracał do siebie powoli, czując pragnienie jak po adrenolu, choć z pewnością nie tak dokuczliwe. Na elektronicznym zegarze było parę minut po pierwszej w nocy. Przespał, więc spokojnie sześć pełnych godzin i wreszcie czuł się wypoczęty. Machinalnie sięgnął po butelkę z koniakiem. To był odruch jak w przypadku adrenolu. Sygnalizowany znanymi symptomami brak specyfiku w ciele mógł zostać uzupełniony tylko nim, wedle reguł homeostazy. Nie zdarzyło mu się uciekać w ten sposób przed głodem adrenolu.

- Ale teraz ucieknę - powiedział cicho, napełniając szklanekę i nim ją uniósł, uśmiechnął się niespodzianie dla siebie.

Otworzył puszkę z sokiem pomarańczowym, ale nie chciał splukiwać smaku alkoholu. Wyjął z pakietu trzecią dyskietkę. Tym razem na ekranie, na ponurym, czarno-białym tle ujrzał napis: „Fabryka nieśmiertelnych. Reżyseria Joseph Losey”. Ten obraz, także pochodzący sprzed kilkadziesiąt lat, nie mógł być dziełem kreatyków komputerowych, ta technika zdominowała produkcję żywych obrazów przed dwudziestu paru laty. Chris spokojnie przyjmował ten obraz wyraźnie adresowany do niego. Już był buntownikiem jak ci chłopcy z filmu, których szaleni naukowcy chcieli uodpornić na skutki działania broni atomowej. A jednak zauważył też coś nowego. Powolna, jakby uroczysta narracja, z jaką nie stykał się dotąd, zmuszała do myślenia o sprawach odległych od samej opowieści, wciągała, wysysała w rząd imaginowanych postaci, zmuszała do wartościowania postaw i zachowań, do trudnych wyborów. Nie zetknął się z tym w filmach, jakie dotąd oglądał, gdzie dobro było dobrem, a zło złem, gdzie zło wciąż triumfowało mimo porażek, gdzie w imię dobra zabijano setki i tysiące anonimowych postaci.

Przejrzał resztę dyskietek. Odłożył na bok „Kamień filozoficzny”, „Desperado”, „Charlie i bohaterowie” i kilka obrazów fabularnych. Za siedem, może osiem godzin znowu zobaczy Stawsky’ego. Do tego czasu musi wiedzieć, wiedzieć jak najwięcej, by mieć przesłanki do swoich wniosków, które na razie były sugestiami innych. Zatrzymał się przy tej z napisem „Wojna. Traktat prawie polemologiczny”. Nie wiedział, co to takiego polemologia, ale pierwsze słowo sugerowało pożądane treści. Nie pomylił się, zauważył to z zadowoleniem. Okazało się to rekonstrukcją wojen od czasów starożytnych po współczesne. Już pierwsze słowa lektora go zelektryzowały: „Człowiek jest istotą najbardziej krwiożerczą ze wszystkich żyjących na naszej planecie, ale i miłosierną”... Zapominając o wszystkim, co było nad tą skorupą z betonu, poddał się słowom i obrazom.

4

- Panie generale - adiutant wszedł po energicznym „proszę”. - Przybył Guido Domenici i nalega, aby go pan przyjął.

- Proszę nie zapominać, że tu jest wojsko, kapitanie - nachmurzył się Donovan, którego poruszyła forma i treść anonsu. - Opowiada pan dyrdymały, Jean.

- Tak jest, panie generale - kapitan przyjął klasyczną postawę, nie tracąc kontenansu. Szczerze współczuł „staremu”, że tak się męczy. - Nasze posterunki zatrzymały samochody z Domenicim i jego ludźmi, który oznajmili, że przybywają ze specjalną misją. To wszystko, panie generale.

Donovan już uwierzył i podjął decyzję. Jeżeli po prostu odeśle te czarne charaktery do Berlina, Paryża czy Strasburga, czy do diabła, i tak nic na tym nie zyska, a inaczej może się dowiedzieć czegoś ciekawego od syna szefa hydry i animatora propagandy czasu chaosu. Ciekawe było to, że próbują, próbują po raz pierwszy. Znał wrywkowo dossier Guida. Pierwszy playboy Europy wszedł do interesu bodaj pięć lat temu po skończonej pełnym zwycięstwem wojnie o oniryki, które w połowie Europy były od piętnastu lat dozwolone, a w drugiej połowie nikt za ich posiadanie nie ścigał. Przebojowy młodzian własną osobą firmował „pigułkę marzeń”, pierwszy oniryk nowej generacji.

- Co ty o tym myślisz, Jean? - innym tonem, choć nadal posepnie, pytał generał. Jean był nie tylko niańką. Został jego adiutantem za sprawą nieprzeciętnej inteligencji i poczucia humoru.

Odpowiedź była natychmiastowa.

- Myślę, że należy go przyjąć, panie generale. Sytuacja jest raczej delikatna. Oczywiście nie wiem, z czym przybywają, ale można z pierwszej ręki uzupełnić informacje o tym, co dzieje się na szczytach władzy.

- Ja też tak myślę. Przyjmę go. Może mieć przy sobie jednego człowieka i sprawdźcie ich trochę - dopowiedział niepotrzebnie. - A ty jeszcze znajdź i przyslij mi majora Lussaca. Musi być obecny.

- Tak jest, panie generale - sztywność adiutanta zniknęła natychmiast wraz z wojskową postawą. Mógł sobie stanowczo powiedzieć, że mimo wszystko generał jest w dobrej formie.

Był nie tylko w dobrej formie, ale i dobrej myśli. Jeżeli przychodzą do niego, to

znaczy, że nie radzą sobie sami i przypomnieli sobie o sile, którą zlekceważyli. To najlepsza wiadomość w ostatnich dniach, bo trudno powiedzieć to samo o meldunku Lussaca. Stawsky dotarł do drugiego implanta i na razie nie wyciągnął nic. Chyba ci gangsterzy zmiękli nieco, jeżeli przysyłają człowieka z samego szczytu. Z pewnością nie z groźbami. To by było śmieszne. Pewnie z jakąś propozycją podziału łupów, kompromisu, przecież mają nieliczne kłopoty.

Lussac pojawił się po pięciu minutach.

- Będziemy mieli niespodziewanych gości, majorze - usłyszał na powitanie.

Nie potrafił ukryć zaskoczenia, gdy dowiedział się, kto wpadnie na herbatkę. Dla niego to był prawie policzek. Powinien wiedzieć o tym na długo przed generałem, a tymczasem nawet jego człowiek będący blisko Korobkowa nie dał cynku. Co się dzieje, do diabła? Błyskawicznie rozważył wszystkie możliwości i ta najprostsza zdała mu się oczywista.

- Będziemy ich, jak zwykle, nagrywać i filmować - mówił Donovan. - To może być niezmiernie ciekawe. Zgadza się pan ze mną?

- Bardzo ciekawe, panie generale, Lussac uznał za wskazane usprawiedliwić się trochę. - Tym bardziej że niespodziewane. Nie miałem najmniejszego sygnału z terenu, ale wiemy, że były spore tarcia między ojcem a synem, uważanym przez wielu za następcę. Nie zgadzają się ze sobą w wielu kwestiach. Guido był zdecydowanie przeciwny sprowadzaniu najemników ze Wschodu, nie akceptuje też nad miarę wygórowanych aspiracji ojca, tego „małego banito”, jak go nazywają swoi. Tyle że Guido niewiele znaczy w hydrze, panie generale, choć jest bardzo popularny w społeczeństwie jako stały bywalec rubryk towarzyskich wszystkich pism brukowych i popularny wśród szeregowców mafii. Z pewnością stać go na doprowadzenie do rozłamu.

- Myśli pan, że nie ma szans na zastąpienie starego Angelo? - pytał skupiony Donovan.

- Najmniejszych, panie generale - odpowiedział z całą pewnością siebie major.- W mafii nie obowiązują prawa dynastii i Guido nie może wygrać z Hertzem czy van Arlem, którzy wchodzi do ich wielkiej piątki. Moim zdaniem przekreślił się zupełnie, występując przeciw Korobkowowi, szarej eminencji tego szurczego świata. Tylko dzięki pozycji ojca dowodzi teraz resztkami mass mediów.

- Myślę jednak, że i on może być kartą w grze, majorze - coś dziwnego pojawiło się w głosie Donovana. - A u pana zauważam niepokojący zwyczaj kategorycznej oceny zjawisk.

- To się nie powtórzy, panie generale - już wiedział, o co chodziło „staremu”. - Zgadza się z panem, że póki żyje, może być silną kartą, nawet w sensie propagandowym.

Póki żyje - powtórzył.

- Aha. Więc myśli pan...?

- Takie domniemanie jest usprawiedliwione, panie generale. Jeżeli ten przyjazd do nas to tylko samowolny wybryk, bez zgody ich rady, to moim zdaniem Guido nie przeżyje nawet tygodnia, a wyrok podpisze sam Angelo, bo jeśli nie podpisze on, podpisze kto inny, ale na niego także. Nie będzie miał wyjścia.

- Może podpisze - zgodził się niezbyt skwapliwie Donovan.- Ale chyba nie zapomni śmierci syna. Nie przeceniam tego gnojka, majorze, lecz z pewnością może mieć coś ciekawego do powiedzenia, jest przecież blisko stołu, a my wiemy tak mało.

- Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, panie generale. Mimo wysiłków nie zdołaliśmy dotrzeć do agentów EIA i wtyczek policyjnych w mafii. Oni sami nie mogą się teraz pozbierać, a poza tym nie bardzo chcą nam pomagać. Wielu woli służyć silniejszemu. Cóż, stara policyjna praktyka. Cary Edwards, zastępca szefa EIA do spraw operacyjnych, jest teraz doradcą Angelo.

- Tak, wiem o tym, majorze, ale nie czas na wspominki. Nadchodzi nasz gość - przerwał Donovan.

Młody Domenici miał maniery wykwintnego światowca, o którym rozpuszczano jedną plotkę dziennie. Przystojny, wypielęgnowany trzydziestolatek z ufryzowanymi długimi włosami nie wzbudzał zachwytu obu oficerów. Donovan dość ostentacyjnie zlekceważył niewczesny gest wyciągniętej ręki, ale prosząc o rozgoszczenie się, przybrał odpowiedni dla zakłopotanego gospodarza uśmiech, z taką miną przypominał majorowi zawsze wspaniałego Seana Connery. Ochroniarz Domeniciego, potężna kupa mięśni śledzona dyskretnie wylotami luf miotaczy środka usypiającego, nie liczył się zupełnie, do tego stopnia, że zaraz zapomnieli o jego obecności, najzupełniej zbędnej w tym miejscu. Po niezbyt gorących powitaniach i paru zdawkowych uwagach Guido zaskoczył obydwu swą dziwną szczerością, którą obaj, z założenia, przyjęli za pozorną. Obaj też pomyśleli, że Guido nie jest zbyt dobrym graczem, jeżeli tak zaczyna.

- Przybywam w imieniu świata biznesu, panie generale, świata, który trzyma nad przepaścią tylko wątła nitka - zaczął z teatralną emfazą i przesadą godną mistrza Ionesco. Nie na próżno w starożytności nazywano aktorów hipokrytami, pomyślał rozbawiony Lussac. - W naszym niespokojnym czasie porządek i spokój może przywrócić tylko armia, jedyna organizacja, która w całości przetrwała zamęt.

Nie zauważył śladu zrozumienia po tym wstępie. Zrobił minę odpowiednią do gry, całkiem udatnie udając zakłopotanie. Lussac spojrział na generała, ten odpowiedział

zrozumiałym dla obu uniesieniem brwi i major zaczął spokojnie:

- Nasza niewielka armia wypełnia swoje obowiązki jak najlepiej, panie Domenici. Szkoda, że pan tego nie zauważył i nie zauważają tego pańscy przyjaciele. Gdybyśmy zawiedli, przekonałby się pan, na jakim świecie żyjemy. Naszych starych i nowych „przyjaciół” odstrasza tylko stan pełnej gotowości bojowej, w jakiej pozostajemy od tygodni. Granice powietrzne i wód terytorialnych obszaru Unii zostały naruszone ponad sto razy i zapewne nic o tym nie wiecie. Przynajmniej my nie wiemy, że wy wiecie. Być może, nie wie pan też o tym, że armia nie może istnieć w oderwaniu od instytucji państwa i że nie jest samowystarczalna - starał się być w miarę uprzejmy, w miarę szorstki, a przede wszystkim rzeczowy, cholernie rzeczowy.

- Tak, przyznaję, źle się wyraziłem. - Domeniciemu zdawało się, że potrafi zatrzeć złe wrażenie wystudiowanym uśmiechem, ale nie miał sobie nic z Pigmaliona, posągi przed nim pozostały posągami. - Chciałem tylko powiedzieć, że armia powinna zająć się także wewnętrznymi zagrożeniami, które wydają się równie niebezpieczne, jak zewnętrzne. W spokojnej, starej Europie zapanował niewyobrażalny chaos, który pogłębia się do niewiadomego punktu. Ja wiem, panie generale, że na początku był chaos, ale tamtym początkiem zajmował się Bóg, a teraz nie widać żadnej siły sprawczej. Boga zupełnie przestały obchodzić nasze ziemskie sprawy. Ja reprezentuję tylko zdrowy rozsądek, proszę panów, i w imię tego rozsądku przybywam do was z ofertą pomocy i wyciągniętą ręką. Zdrowy rozsądek poparty siłą zawsze bywał skuteczny. Podjęte przez armię próby uspokojenia sytuacji skończyły się niepowodzeniem, ale następne muszą skończyć się inaczej. Występuję nie w imieniu mafii, ale świata biznesu, który...

- To dobrze, że mówi pan prawie wprost, panie Domenici. My, żołnierze, wolimy taki ton - tym razem odpowiadał sam generał. - Wprost, ale dla nas i tak niejasno, a przy tym nie pochlebia nam pan zbyt wbrew temu, co pan sądzi, ani nie obraża nas zbyt. Te próby, o których pan wspominał, zostały podjęte przez zbyt ambitnych dowódców szczebla lokalnego i były przejawami wspaniałej, iście napoleońskiej głupoty. Mogę pana zapewnić, że się nie powtórzą. Nie damy wam następnej okazji postrzelania do nas jak do kaczek.

- Z pewnością wie pan, że byłem, jestem i będę temu przeciwny! - odpowiedział bardziej zdecydowanie Domenici. - Moim zdaniem takie kroki powinny zostać podjęte w innej sytuacji, a ta zmieniła się radykalnie, panie generale. W ciągu tych tygodni tyle się wydarzyło, jakby minęły całe lata. Jesteśmy przerażeni sytuacją i wydaje się nam, że współpraca armii z nami może dać niezłe rezultaty. Myślę o *status quo ante*.

- Z całym szacunkiem dla pańskiej „organizacji”, panie Domenici... Lussac znów

zastąpił Donovana. - O ile rozumiem, chce pan nawiązania partnerskich stosunków armii z częścią mafii w walce przeciw wszystkim, prawda? - tym razem ostry sarkazm był usprawiedliwiony i nie mijał się z intencjami spokojnego generała.

- Zdaje się, że sytuacja usprawiedliwia taki precedens, panie majorze. - Domenici zachowywał się tak, jakby naprawdę tracił grunt pod nogami, lecz już zdążyli poznać jego aktorskie umiejętności.

- Sytuacja może usprawiedliwić wiele, panie Domenici, ale ciężko będzie nam usprawiedliwić się sytuacją w razie potrzeby - major grał już na własny rachunek, naprowadzając Guida na pożądane odpowiedzi. Udało się, i to zdziwiło obu oficerów. Guido nagle się zmienił, przestał udawać głupiego, pojmował wszystko w lot, łącznie z regułami gry. Wstęp miał wybitnie nieudany, ale zawsze koniec wieńczy dzieło.

- Czyli po prostu chcecie panowie wiedzieć, co takiego się stało, że teraz szukamy kontaktu z wami, kto konkretnie szuka, jaką siłę reprezentuje, i po co, prawda? To ja szukam kontaktu na własną rękę, nawet przeciw ojcu, bo ci durnie, którzy z natury są padlinożercami, teraz chcą się stać jaroszami. Ojciec i van Arle myślą całkiem poważnie o wzięciu tego wszystkiego za pysk, stanięciu na czele Europy totalnej i dogadaniu się z wami na samym końcu, kiedy postawią was pod murem. Już próbują dogadywać się z Amerykanami, czego nie rozumieją nasi szeregowi żołnierze i oni na pewno pójdą za mną, bo przy Rosjanach Korobkova czują się jak pomywacze. A co do tych pomysłów, to są one tak pokrętne jak dzieworództwo i jak ono niemożliwe. Odbiło im zupełnie, poniosła ich chorobliwa mania wielkości - rozpałał się z każdym słowem, jakby ponosiły go nerwy. Ta pasja też była grą, ale grą niezłego aktora.

- I sądzi pan, że to cokolwiek zmieni? Nawet jeżeli pański szanowny ojciec mianuje się prezydentem? Że wtedy złożymy mu hołdy? A może my wtedy powiemy, że hołdy należą się cesarzowi? Lussac uciekał się do klasycznej broni, prowokacji.

- Panie majorze - dość ostro zmitygował podwładnego Donovan. - Proszę wysłuchać pana Domenici spokojnie i do końca.

- Przepraszam, poniosło mnie - major skłonił się sztywno przed przełożonym. Postronny obserwator nie pojąłby chyba niczego, ale ten gest był surogatem figlarnego mrugnięcia okiem.

- Może to dla pana śmieszne... - Guido wyglądał teraz na człowieka zmęczonego nieudanymi próbami i coraz mniej było w tym aktorstwa. Chyba spodziewał się innego przyjęcia. - ...ale liznałem trochę historii i wiem, jak śmieszne bywały początki wielkich wydarzeń. A jak pan sądzi, majorze, ile zechcą zapłacić za spokój przeciętni Europejczycy?

Ci, którzy w panice rozpierzchli się z miast i brakuje im wszystkiego, do czego przywykli? A co pan zrobi, jeżeli uda się przeprowadzić jakieś quasi demokratyczne wybory i taki nowy rząd zostanie skwapliwie uznany przez Rosjan, Amerykanów, Arabów? Wtedy armia będzie musiała opowiedzieć się za albo przeciw. To nie jest takie diablo proste, proszę panów. Nawet jeżeli w wyborach weźmie udział jakieś dziesięć procent, to już będzie legitymacja i nic nie poradzicie, a wybory można sfałszować, tak że nawet wy się nie połapiecie. O taką legitymację jest cholernie łatwo. - Przestał być playboyem i obaj słuchali go z napiętą uwagą. Znali niektóre zamiary głów hydry, ale wyglądały inaczej, groźniej w prezentacji tego człowieka. Były wiarygodne! - Chcecie wiedzieć, panowie, po co tu jestem, i odpowiem z całą szczerością. Otóż ja naprawdę nie chcę żadnych koncesji za swoje, że tak powiem, usługi. Dla mnie stanem idealnym jest *status quo ante* i robię wszystko, by przywrócić te słodkie czasy, w których byliśmy częścią mechanizmu społecznego. Patrzono na nas podejrzliwie, to prawda. Byliśmy czarnymi owcami, to też prawda, ale byliśmy niekwestionowaną elitą władzy i pieniądza, stać nas było na kupienie połowy każdego parlamentu. A teraz? Robota pana Syzyfa była niczym w porównaniu z naszą. Zastępujemy teraz rozbite państwo i zamiast czerpać profity, wciąż tylko dokładamy do interesu, a to dlatego, że paru starszych panów chce się wynieść na piedestał. Rozwaliliśmy spoistość naszej organizacji, bo większość naszych ludzi została odsunięta na margines. Ich miejsce zajęli najemnicy, którzy kochają strzelać i czują się na tyle silni, że nie są wcale pokornymi sługami ojca. Ja sam nie wiem, komu są posłuszni, wierzcie jeśli chcecie, ale Korobkow robi tylko to, co korzystne dla nich. Przekonałem do współpracy z wami wielu naszych ludzi, i nasza pomoc, dyskretna pomoc może okazać się bardzo pożyteczna - kończył, nie zauważając zbytniego poruszenia słuchaczy To wszystko wiedzieli.

- Niestety, panie Domenici. - Donovan zdawał się w ogóle nie zastanawiać nad odpowiedzią, ale mówił powoli, mocniej akcentując niektóre słowa. - Nie możemy przyjąć waszej bezpośredniej pomocy, ale muszę powiedzieć, że bardzo sobie cenimy pańską ofertę, choć nasza armia jakiś czas pozostanie tylko armią powołaną do obrony granic Europy przed agresją z zewnątrz, a przyzna pan, że to jest diablo możliwe, kiedy wszystko się sypie na głowę. Według nas nie ma potrzeby otwartej i pełnej ingerencji w sprawy wewnętrzne. Jeszcze nie.

- Rozumiem, panie generale - rozpędzony Domenici sięgał po ostatnie argumenty. - Przypomnę jednak, że Amerykanie spacyfikowali swoje największe miasta i ich stacje telewizyjne twierdzą, że przywraca się tam spokój. Wy też możecie zrobić to samo u nas.

- Kuszą pana łatwe porównania, co? - generał uśmiechnął się niewesoło. - Ale

zapomina pan, że oni mają parlament i prezydenta. Przeżyli krwawy miesiąc, panie Domenici. Prawie dwadzieścia tysięcy ofiar po stronie cywilnej, a nikt nie wie, ile po stronie armii i tych dzikich rangersów. Pan wie o tym, że my możemy zapłacić stokroć wyższą cenę. Te ładunki czekają, a ja nie chcę mieć na sumieniu milionów ludzi. Cóż, chyba w tej sprawie nie może nam pan pomóc, co?

- Panie generale, wszyscy moi ludzie szukali śladów i nie znaleźli nic. Porwaliśmy nawet paru egzekutorów. Nic. Ale ja jestem przekonany, że to tylko blef Korobkowa. Ojciec nie chce o tym mówić. Jeżeli znajdziemy, choć najmniejszy ślad, natychmiast panów powiadomię. Nie powinienem składać przedwczesnych deklaracji ale w dniu, w którym zaczniecie działać, znajdziecie i nas obok siebie.

- Taka pomoc może być użyteczna. - Generał wstał. - Może byłoby inaczej, gdybyśmy tylko wiedzieli, kto spreparował ten krach, panie Domenici.

- Nie rozumiem, panie generale. - Guido sprawiał wrażenie na prawdę zaskoczonego, bełt z kołczana Donovana nie trafił w cel. - Przecież doskonale wiadomo, że przygotowali to ci młodzi anarchiści z niewielką i nie całkiem świadomą pomocą naszej organizacji. Czyżbyście byli innego zdania, panowie?

- Musimy, proszę pana... Lussac przedstawił wszystkie wątpliwości związane z napadami na magazyny broni, przygotowaniem zamachu na Boscha, implozją gmachu Rady. Przekazywał tylko niezbędne informacje, nie wspomniał ani słowem o implantach.

- A niech to diabli! - Chyba po raz pierwszy Guido był szczerzy. - Muszę się temu lepiej przyjrzeć. Dziękuję panom za te nauki.

- No cóż, panie Domenici i dla nas było to bardzo uczące spotkanie. - Donovan odprowadził „gościa” do drzwi, mówiąc na pożegnanie: - Niech pan się zastanowi nad początkiem tego wszystkiego, to także może być bardzo pouczające, a poza tym niech pan uważa na siebie nieco lepiej niż dotąd, Domenici. Powiem na koniec, że wbrew temu, co pan mówił ja twierdzę, że o nas musi się pamiętać.

- Lubię tańce na linie, panie generale, i tańcząc, będę myślał nad wiadomymi sprawami - odpowiedział Guido. Nie było go stać na uśmiech po tym, co usłyszał. Chyba zrozumiał, że niewiele rozumie i nieprędko dojdzie do jakichś wniosków. Nie w tym czasie, nie w czasie implozji informacyjnej. W ostatnich tygodniach globalna wioska została pożarta przez dżunglę.

- Więc niech pan pamięta o balansie.

- Będę pamiętał. Dziękuję panom.

Na pożegnanie jednak uściśnieli sobie dłonie, a to już coś znaczyło po zignorowaniu

gestu Domeniciego przy powitaniu.

- I co pan na to, majorze? - spytał Donovan od drzwi. - Czy teraz mamy jakieś nowe elementy w tej łamigłówce?

- W zasadzie nie, panie generale. Lussac zmarszczył czoło, jak by się zastanawiał. - Jedynym nowym i bardzo znaczącym elementem jest według mnie ten młody człowiek, który znalazł się w złym czasie i złym miejscu. - Donovan uśmiechnął się lekko, gdyż major był rówieśnikiem Domeniciego. - Wyobrażałem go sobie inaczej i muszę przyznać, że zrobił na mnie wrażenie, to nie ten mięczak z „Penthouse’a”. On dobrze wie, czego chce, jak to osiągnąć i na co się naraża, choć obawiam się, że brakuje mu determinacji. Zbyt łatwo zadowala się prostymi wyjaśnieniami. Muszę przyznać ze wstydem, że byłem do niego uprzedzony. Dzięki Bogu, pan go właściwie ocenił.

- Stara angielska szkoła okazała się całkiem niezła, majorze - uśmiechnął się lekko Donovan. - Cóż, jak pan widzi, nauka nie poszła w las. Czy myśli pan, że on mnie dobrze zrozumiał?

- Dał mu pan do zrozumienia, że możemy pójść na jakiś rozsądny układ w odpowiednim dla nas czasie i że to my postawimy wtedy warunki. Sądzę, że zrozumiał doskonale, a jeżeli nie, to nie jest odpowiednim partnerem do rozmowy z nami ani z nikim. Jeżeli przeżyje, wkrótce możemy oczekiwać jakiegoś znaku dobrej woli. Nie liczę na informacje, bo my mamy lepsze, ale na ludzi o ile naprawdę ma za sobą część szeregowych członków organizacji. Nie liczyłbym jednak na dwa, trzy tysiące ludzi. Mafia zawsze była elitarna.

- Tylko ten cholerny czas, majorze. To wszystko dzieje się wolno, zbyt wolno, a nasz licznik bije nieustannie. Zostało nam tylko dwadzieścia siedem dni i może to będzie już ostateczny koniec. Jeżeli zdetonują ładunki, Europa stanie się cmentarzem i nie odrodzi się prędzej niż za sto lat. Niestety, czas nie jest po naszej stronie, a ja boję się coraz bardziej.

- Boimy się wszyscy, panie generale. - Przywykli do szczerości między sobą w tym oszalałym czasie. - Może uda się pod rozpędzony wóz położyć ten kamyk. Nasz człowiek odblokował implanta i ma niejaką nadzieję, że...

- Nadzieja w wojsku, majorze? Chce pan, żebyśmy opierał strategię na nadziei? - przerwał mu z gryzącym sarkazmem Donovan. - Niech ten pana człowiek wyciśnie z niego nazwisko lub nazwiska mocodawców. Nic więcej nie oczekuję.

- Niestety, panie generale. Jest tylko nadzieja, że ten drugi pęknie tak samo jak pierwszy. Odrzuciliśmy wyciskanie, bo z równym prawdopodobieństwem można wyciskać wodę z kamienia.

- Tak, wiem. Została nam tylko nadzieja i beznadziejne plany naszych sztabowców, którzy zupełnie się zagubili w tej plątaniu. Zresztą nie mogą mieć im tego za złe przy naszym wybitnie defensywnym nastawieniu i skąpych siłach. Wszyscy twierdzą, że gdybyśmy mieli minimum pół miliona ludzi, nie byłoby problemów, ale na ten cel mamy tylko sto osiemdziesiąt tysięcy i więcej mieć nie będziemy. Odpadają nasi biurokraci, artyleria, lotnictwo, siły pancerne. Ich nie rzucę na rzeź, a naszym jajogłowym nawet nie dam karabinów. Armie terytorialne tylko czekają na okazję odwetu. I co nam pozostaje? Co pozostaje mnie?

- A ja, niestety, nie mogę podrzucić naszym logistkom konkretnych celów, bo poza kilkoma jest to po prostu niemożliwe. Lussac namalował czarny obraz, który obaj znali doskonale, w każdym szczególe. Nawet nie można było ustalić stałych miejsc pobytu możliwych mafii, tak się ubezpieczali. Komanda egzekutorów to też tylko cienie. Udawał, że nie pojął ostatnich słów Donovana, ale przejął go czystą grozą. Generał najwyraźniej myślał o samobójstwie. Taka ucieczka wydała mu się wyjściem honorowym, to było w jego stylu.

Z tego co wiedzieli wynikało, że samoorganizacja mafii była po prostu perfekcyjna. Działając legalnie i na granicy legalności, operując setkami miliardów euro, rozgałęziła się od Atlantyku po Bug, tworząc państwo w państwie, sąsiadujące i utrzymujące „przyjazne” stosunki z potężną mafią rosyjską, arabską, amerykańską. Sami członkowie mafii to kilka tysięcy ludzi, ale liczba informatorów, skorumpowanych urzędników szła w setki tysięcy i nie bywali to ludzie przypadkowi. Najmniej jedna trzecia posłów do parlamentu Europy, korzystała z opieki i pomocy hydry. Znakomicie działały mafijne siły przymusu, policja podatkowa mogłaby się naprawdę wiele nauczyć. Związki z policją były aż nadto widoczne. Policjanci, z nawyku narzekający na niskie płace, nie opierali się długo tak atrakcyjnemu pracodawcy. W dniach wybuchu, korzystając ze swobodnego transferu ludzi i towarów, mafia ściągnęła zza Bugu ponad pięć tysięcy Rosjan, którzy w ramach „bratniej” pomocy spełnili rolę tarana rozwalającego mury wspólnoty. Zapewne stamtąd ściągnięto dziesięć, a może więcej głowic. Nawet tego nie byli pewni, bo tak poważny przeciwnik po prostu nie mógł odkryć wszystkich kart.

Tak to wyglądało w ich rozpoznaniu. Fantastycznie wyszkoleni, bezwzględni zabójcy w niespełna tydzień uporali się z formacjami policyjnymi rozbitymi już zamachami bombowymi pierwszych dni, a byli prawie niewidoczni na tle setek tysięcy uzbrojonych dzieciaków bawiących się w strzelanego. Pojawiali się jak spod ziemi, robili swoje i znikali, zostawiając dokończenie dzieła odurzonym narkotykami, okrutnym jak oni szczeniakiem. Komisariaty, posterunki traktowano raketami z przenośnych wyrzutni, granatami z gazami

bojowymi i tym zdrażliwym „końskim łajnem”, z którym mogły sobie poradzić tylko dobrze wyszkolone psy. Plastikowy materiał wybuchowy można było upchnąć nie tylko w mysiej dziurze ale i domku kornika. Miejsce za listwą, pod krzesłem, porzucona tubka pasty do zębów - wszystko mogło okazać się zdrażliwe. Mógł wyglądać jak przeżuta guma i eksplodować ze straszliwą siłą, detonowany z odległości stu metrów. Spokojna, rutynowa służba policyjna zamieniła się w piekło. Policjant był raczej urzędnikiem niż fighterem. Na dziesięciu policjantów odprawionych w zaświaty dezercerowało stu. Takiej próby nie wytrzymywali nawet ludzie z jednostek specjalnych. Nikt nie miał wielkich szans w starciu z tymi zabójcami, których hasło było proste: „śmierć albo śmierć”.

Rosjanie zostali i nic nie wskazywało na to, że mają zamiar wynieść się do siebie. Odwrotnie, przybywały nowe komanda. Byli teraz gwardią przyboczną Angela, a ich dowódca znaczył tyle samo co OBS. Rosjanie deklarowali dobrą wolę ale uparcie twierdzili, że sami nie mają pojęcia, kim są ludzie wokół Angela. Domagali się dowodów, a takich nie było. Cóż z tego, że kilkunastu zostało schwytanych? Ci, którzy wpadli trzepotali się w agonii. Woleli śmierć. Przy wydatnej pomocy reketierów ludzie mafii dzielili i rządili we wszystkich wielkich ośrodkach poza Włochami i Hiszpanią, kontrolując około pięćdziesięciu procent produkcji przemysłowej, w tym prawie wszystkie zakłady jeszcze produkujące artykuły konsumpcyjne, które pośrednicy organizacji wymieniali na produkty rolne u farmerów. Siłą zatrzymano sporą liczbę robotyków, automatyków, pracowników nadzoru. Gdyby nie to, gospodarka zamarłaby zupełnie. Dzięki temu nawet w pierwszych dniach krachu setki zautomatyzowanych zakładów pracowały normalnie. Prymitywna, samorzutna gospodarka wymienna organizowała się na niskim, ale wystarczającym poziomie przy zupełnej destabilizacji waluty papierowej, na miejsce której pojawiły się pieniądze kruszcowe. Do łask wracało złoto, srebro, platyna. Już można było zauważyć pierwsze, nieśmiałe symptomy reemigracji specjalistów do miast i suburbiów, ale cóż byli tylko ciężko doświadczonymi ludźmi i jakoś musieli się dostosować do zmienionych warunków, a nowi władcy zapewniali ochronę i minima niezbędne do życia, co wystarczało by dać wiarę zapewnieniom uśmiechniętych, normalnie wyglądających spikerów sieci Europe I i II kontrolowanych przez hydrę. Inne stacje zamilkły.

Jak na taką niezwykłą sytuację, armia radziła sobie znakomicie po pierwszym szoku. Ocalała ją tchórzliwa z pozoru decyzja Donovana. Może i była tchórzliwa, ale ludzie w zielonych mundurach uznali ją za konieczną po tym, co stało się siedemnastego kwietnia. W samo południe lotniskowiec „Victorious” na Morzu Śródziemnym wyparował, a grzyb drugiego wybuchu ukazał się nad starą Lejdą. Anonimowi szantażyści, prawdopodobnie

ludzie mafii zagrozili, że interwencja armii skończyć się może zdetonowaniem ośmiu ładunków w największych miastach Europy. Donovan rozkazał jednostkom wycofać się do baz.

Wedle pobieżnych obliczeń kwatermistrzów pierwsze reperkusje kryzysu mogły ich dotknąć boleśnie za rok, o ile nikt nie zagrozi z zewnątrz albo nie załamię się morale. Ludzie byli mniej odporni od wojskowego złomu. Dopiero za rok mieli odczuć poważnie brak zapasów żywności, części zamiennych, paliwa. Donovan bał się bardziej o ludzi. Każdy zostawił kogoś poza obrębem baz. Nieznana przedtem nienawiść do munduru była pierwszą, może naturalną reakcją po bezsensownych masakrach dokonanych przez zgrzybiałych głupków. A jednak była to społeczność spoista, rozumiejąca się, odpowiedzialna. Owocował system szkolenia kadr wprowadzony przed dwudziestu laty. Żołnierze z wyboru rodziców mieli go za własny, spędzając lata w wojskowych liceach i wyższych uczelniach, walcząc zaciekle o każdy próg, a tylko połowa osiągała ostatni, zdobywając dyplomy i nominacje żołnierskie. Udało się wykreować heroiczny obraz żołnierza zaakceptowany przez społeczeństwo. To była armia marzeń, czterystutysięczna elita superspecjalistów w każdej dziedzinie, choć tylko dwie trzecie mogły być użyte do bezpośrednich działań bojowych. Cała reszta walczyła mózgami. I trzech pokracznych dinozaurów pchnęło tych wspaniałych, wierzących chłopców i dziewczyny pod kule też ślepo wierzących dzieciaków w amoku. Donovan pewnie też będzie musiał tak postąpić, aby ochronić to co zostanie. Jeszcze dwadzieścia siedem dni i będzie musiał uderzyć wszystkimi siłami, nie tak jak teraz, kiedy lotne pododdziały chronią interior przed dzikimi bandami.

5

W naszym białym pokoju wytapetowanym odciskami dłoni heretyków z niekończącego się autodafe i mało kolorowymi wizerunkami męczenników za wszystkie święte i świętsze sprawy przeżywaliśmy ból uszu, pulsowanie w skroniach i gorączkę niedopowiedzenia, gdy byliśmy rzućeni na krzesła i czytaliśmy blat stołu...

Uśmiechnął się do siebie, pociągnął spory łyk irlandzkiej whisky i nie zastanawiając się nad treścią, formą, wywoływał na ekranie nowe rzędy liter. Pisał dla nikogo. Choć nie, pisał dla siebie. Pisanie było jakąś formą samoobrony.

...Patrzący na nas z boku powiedziałyby, iż są to dzieci owych muz, które przemocą pożeniono z pastuchami i jak maciory wydają na świat coraz to nowe mioty. Słuchający nas - że rozmawialiśmy z obojętnością godną małego palca Zenona albo gestu Zenona. Stać nas było na to u samego schyłku trawienia mądrości, których nie skapiliśmy sobie przez wiele, wiele lat.

Wchodzili jeszcze inni, dołączali do nas porozrzucanych bezładnie po pokoju, z twarzami jak tarcze strzelnicze upstrzone przez muchy. Sami dla siebie po spełnieniu rytuału zamknięcia drzwi, cholernie sami w naszym pokojowym udziwnieniu niezbędnym nam jak spanie, leżenie, mówienie, trawienie, picie, szorstkimi słowami zbawialiśmy grupy, podgrupy i jeszcze mniejsze całości. Prawie po prometejsku. Konstruowaliśmy wyniosłe budowle z każdą butelką coraz subtelniejsi, choć nie znaczy to pełni szacunku, bo tego oduczono nas skutecznie.

Piliśmy wódkę robioną z...? (nie wiem, z czego była robiona wódka) i mówiliśmy o kontestacji.

Piliśmy wódkę i mówiliśmy o... Idealnie nieprzystosowani. Każdą szklanką mierzyliśmy stylizowaną niewiedzę. Mówiliśmy: „okazał za mało serca” albo „to wszystko jest tylko gównem”.

Tuliliśmy się do siebie, dzieląc samotność kotów.

Nie widzę, nie słyszę sprzeciwów!

Tuliliśmy się więc do siebie jak zziębnięte, wyliniałe koty, głupio szczęśliwi, mimo wszystko i piliśmy wódkę. Bogowie ubierali się w nasze szmaty, gdy piliśmy i...? Wciąż mówiliśmy, że ciężko tak żyć. Mając przed oczami globus i kulę na ramieniu mówiliśmy, że ciężko. Dostatnio, uroczyście piliśmy jęczmienną wódkę, a pewien pan śpiewał, że odpowie

nam wiatr i tylko wiatr. Ten facet był bardzo uparty.

Wreszcie się zaciął.

I my choć nie wypadało, zupełnie nie wypadało, zakrzyczeliśmy go. Ale to przecież była jego wina, bo zaciął się na własny rachunek. Prawie umarł. Wspaniałomyślnie przekrzyczeliśmy to „prawie”. Prawie umarł. Już wieczór? Wrony odlatują wieczorem do domu. Nie mają domu a wracają, szukając go od początku świata. W ich krakaniu usłyszysz tylko przeraźliwą tęsknotę i wieczny głód. Może dlatego są nam tak bliskie?

Czy mówiliśmy o śmierci?

Chyba tak, bo ktoś powiedział, że umiera się z każdym krokiem i nie jest to najdziwniejsze.

A my nie wysłaliśmy jeszcze parlamentarzysty i pospiesznie, na gwałt szukamy białej flagi. To jest to, co najpełniej wyraża nasz irracjonalny stan.

Widzę dno!

Czy ktoś znalazł już białą flagę?

Czy porwano już Europę?

A ty? Kto potwierdzi, że nie jesteś śmiercią albo przynajmniej pomocnikiem grabarza? Jesteś ubrany na czarno. Nie ufamy nikomu, pełni żalu o niespełnione obietnice. Nie, nie wierzę, że ty też tak sobie. Nie mogę uwierzyć.

Co? Słońce wschodzi?

Nie, to tylko nadzieja, matka nasza bolesna. A my wyglądamy z nią jak apostołowie rozdający jałmużnę. Śmieszne, co? Jak smętni apostołowie, a nasze młode żony są wdowami. Śmieszne, co?

Nikt nic nie mówi? Dlaczego nikt nic nie mówi?!

Idziemy? Tak, idziemy. Nieważne jak i nieważne, dokąd. Niech trwa ten nasz marsz, marsz triumfującej młodości.

Czy ktokolwiek to przeczyta i zrozumie cokolwiek? A czy ja to rozumiem, chociaż wiem co to takiego hermeneutyka? Za cholerę nie. Jak zwykle nie rozumiem siebie i nie pojmuję, skąd wzięło się to wszystko. Pewnie siedziało w tej pieprzonej butelce. Śmiejąc się głośno do siebie, z siebie Jack Kersee niepewną ręką sięgnął butelkę ballantine'a, szczerze nalał następną porcję i pijąc duszkiem, przeklinał całe uniwersum.

Nie udało się. Nie udało, bo nie mogło się udać, bo było zbyt wcześnie albo zbyt późno, chociaż zdawało się, że to jest ten czas. Ale nie był to ten czas ani ci ludzie. Dziesiątki milionów młodych zapaleńców mogły stworzyć ten ideał, gdyby...? Wyłączył komputer. Takie pisanie nie miało sensu. Nikt nie pojmie o co mu chodzi, a ci durnie, którzy bawią się w krytyków, zrobiliby z tego kawałka Bóg wie, co.

Może jednak był kiedyś dobrze zapowiadającym się literatem? Teraz już tego nie sprawdzi, bo nie może się zapowiadać. Zapowiedział się wystarczająco głośno. Każdy czas potrzebuje idoli politycznych, kulturowych, a czas kultury masowej aż piszczy za nimi. On załapał się na to dwadzieścia parę lat temu, pisząc teksty do paru piosenek. Nieźle teksty, ale od tego sto mil do prawdziwej literatury. Potrafił się dobrze sprzedać i był stale obecny na ekranach telewizorów, plotać wciąż to samo. Wystarczyło. Konformistyczni średniacy chętnie dają wykopać się na taki szczyt, myślał teraz, odkrywając z niejakim zdumieniem, że chyba potrafi pisać kiedy ma o czym. A może nie jest aż tak kurewsko średni? Może tylko zbyt leniwy, wygodny? Gdyby się przyłożył, mógłby stworzyć coś naprawdę ciekawego. Tak, gdyby. Na to był czas kiedyś, kiedy on nie miał czasu na nic.

Był Jackiem Kersee, prorokiem Youth Power, zwiastunem nowej ery i kimś tam jeszcze. Aha, „najmłodszym z najmłodszych”. Czego ci ludzie nie wymyślą? On czuł swoją sześćdziesiątkę bardziej niż sądzili inni, a pozę siwowłosego, pełnego wigoru barda musiał utrzymać dla łudzenia samego siebie, dla podtrzymania głupiej wiary w swoją wieczną młodość. Niewielu miało taki fart jak on.

Dla niego kres złudzeń nadszedł u progu nadziei. Tak napisał w jednej z ostatnich piosenek, kiedy odkrył piękno prostego słowa. Odkrył przez zapomnianego, cierpiętniczego geniusza, o którym nigdy nie słyszał żaden z tych pieprzonych mędrków. Przez przypadek poznał wielkość człowieka niedoścignionego w maestrii słowa, potrafiącego w najkrótszych formach powiedzieć całą prawdę o człowieku szalonym i zagubionym w ogromie okrutnego świata. Odkrył też, jak ogromnym, niewybaczalnym oszustwem jest literatura firmowana nazwiskami wielkich ostatniego czasu, w tym niewydarzone utwory jego umysłu, „twórczość Jacka Kersee”, kaleka, uboga w treści, szwindlowata jak cholera, a „wielka” dla sponsorowanych klakierów, którzy desublimowali własną małość w kreowaniu fałszywych wielkości.

Odkrywając czyste źródło, przejęty prawdziwym zachwytem, płakał i śmiał się jednocześnie, czując to coś, co pewnie było duchową ekstazą, stanem boskim, ku jakiemu dojść można jedynie przez niewyobrażalne cierpienie. Ten człowiek nazywał się Borchert, Wolfgang Borchert, i jak na geniusza przystało, zmarł w nędzy i zapomnieniu, doświadczając piekła za życia. Jack też doznał cudu. Gdyby stało się to wcześniej, może i z niego coś by wyrosło?

Na jego oczach stawał się inny cud. Oto z pozoru stabilna struktura „starego” społeczeństwa zawałiła się jak wieża Babel, okrywając pyłem wszystko. Nic nie mogło wykiełkować spod tego kozucha. Działy się rzeczy, których nie wyróżył żaden z czarno

widzących profetów, a byli i tacy. Stabilne, spokojne życie rozpieprzyło parę tysięcy gówniarzy, mafia i jacyś Rosjanie. Niepojęte było to, że stało się to tak szybko. Kataklyzm trwał kilka dni. Jack z pasją splunął na bohoma wiszący na ścianie, zabrał swój arsenał i wrócił do książki Verniera „Samotność i bunt”, wydaną przed dziesięciu laty,

Analizy przyjaciela były głębokie, trafne, oczywiste, prawdziwe. Wnioski także. Przyjmował jego tezy bezkrytycznie, zarzucając mu nawet zbyt mały radykalizm. Ale tak było wtedy. Teraz okazało się; że wchodzące w życie pokolenia nie są w stanie stworzyć niczego konstruktywnego, są tak samo zewnątrzsterowne jak starzy. Litery nieco tańczyły przed oczami, ale rano Jacka Kersee nie utopiło się jeszcze w alkoholu. Potrafił w nim pływać jak bohater Federica Browna.

Nie był w stanie radzić sobie dłużej z tekstem, z samym sobą. To było zbyt bolesne, bezsensowne. Wszyscy oszukiwali wszystkich i z tym jeszcze można się pogodzić, ale czemu każdy tak skwapliwie oszukuje siebie? On też, a już nie chciał się oszukiwać. Wmawiał sobie talent. Wypił spory łyk i z niejakim wstrętem odrzucił książkę sięgając po swoje najnowsze „dzieło”, ów jutrzejszy apel, który miał wygłosić przed pyskami kamer po zatwierdzeniu go przez Mocka niedawnego operatora dźwięku, a teraz pierwszego cenzora centralnej sieci Europe I, prawą ręką wszechwładnego Domeniciego. Co za ohyda! Mimo oszołomienia whisky poczuł, jak ogarnia go dreszcz obrzydzenia. Cenzorem został facet z trudem radzący sobie z czytaniem. Z rozumieniem jeszcze gorzej.

Pierwsze zdanie uderzyło go tępym prymitywizmem, propagandową pretensjonalnością. To po prostu była słowna pornografia. „Przełom, na który czekaliśmy od dwustu lat, nastąpił i nastał czas rozwinięcia skrzydeł, przyjaciele, czas poderwania się do wysokiego lotu. Czekają nas świat, o którym marzyły pokolenia buntowników. Musimy tworzyć naszą nową rzeczywistość na podstawie sprawdzonych, odwiecznych ideałów. W aurze niekłamanej wolności tworzyć pokój, miłość. Zagubieni w pierwszych dniach, uciekliśmy się w nieokiełznaną przemoc i gwałt, uwierzyliśmy w siłę i ona stała się naszym bożkiem. To czas próby, przyjaciele...”

Nawet Judasz jest aniołkiem w porównaniu z tobą, ty zasrany buntowniku. Zmiał kartkę, rzucił przed siebie. I tak wystąpi jutro, powie te banały z całym przekonaniem, jakie będzie w stanie symulować, nie po raz pierwszy zresztą. Był przecież nadwornym propagandystą mafii i od tej prawdy nie dało się uciec, nie mógł znaleźć dla siebie żadnego usprawiedliwienia. Miał siebie za drobinę piasku porwaną przez nieposkromiony harmatan. Wmawiał sobie, że robi to dla dobra tych dzieciaków po uszy pogrążonych w zabawie w strzelanego. Jeżeli nie zechcą oddać broni w te same ręce, które im ją dały, będą ginąć

dziesiątkami, tysiącami. Masowe egzekucje będą przedłużeniem tego tragicznego bezsensu.

Przecież ktoś to musi zrobić, powtarzał sobie. Przecież to dla ich dobra. W zasadzie nie robi nic złego. A jeszcze nie tak dawno chciał tylko znaleźć bezpieczne miejsce. I na swoje nieszczęście znalazł. A właściwie to jego znalezione. Stary przyjaciel Patrick, stary, wyrachowany skurwiel Vernier omamił go po raz sto osiemdziesiąty dziewiąty.

Przyszedł do starego mieszkania Jacka w Paryżu.

- Mamy przed sobą tę ogromną szansę, która umknęła kiedyś, Jack. Dzieje się rewolucja prefiguratywna, chłopie, i my staniemy na jej czele. Odmłodzimy ten świat, który zmierza donikąd. Skończymy z onirykami, otrzeźwimy społeczeństwo i stworzymy coś świeżego, autentycznego. To rewolucja, pojmujesz?

- Nie jesteś w kościele, Patrick - przerwał mu wtedy. - Powiedz mi najpierw, co się dzieje, do diabła! Kto doprowadził do tych straszliwych pogromów? Nic z tego nie rozumiem. Nikt nie rozumie, a ja już zbierałem dupę w troki i myślałem o tym, żeby zwiewać gdzie pieprz rośnie.

- Masz rację, Jack. Tego nikt nie wie, po prostu nikt. - Vernier powiedział to gładko, pędząc od razu dalej. - Jest na ten temat sto teorii. Pewnie jacyś terroryści albo inni ekstremiści. Tym zajmą się odpowiedni ludzie w lepszym czasie.

- Kto? Mafia? - roześmiał się gorzko. - Pokazali, że umieją zajmować się poważnymi sprawami. Ten pogrzeb na placu Europy był istnym majstersztykiem.

- Nie bądź naiwny Jack. Kto miał się tym zająć? Nie było nikogo a odgruzowanie to praca na tygodnie. Winniśmy im za to wdzięczność. Armia jakby nie istnieje, policji ani na lekarstwo. Oni spełnili ostatnią usługę, Jack. Tylko to. Zostali zaskoczeni jak wszyscy i wypełnili próżnię, bo są jedyną zorganizowaną siłą. Ich góra chce nam oddać to wszystko poza gospodarką, oczywiście. Zaproponowali nam stworzenie komitetu doradczego składającego się z naukowców do czasu uspokojenia sytuacji i wyborów. - Entuzjazm Patricka był prawdziwy, co do tego nie mógł się mylić. - Zobaczysz, Jack. Zbudujemy ten świat na podstawach, jakie stworzyły najpotężniejsze umysły epoki atomowej. Świat, o jakim marzyli Peccei, Fromm, Laszlo, Berkenmayer. Musisz to przyjąć, bo inaczej sprawy weźmie w ręce kto inny i nie wiadomo, co zrobi. Niestety, tak to wygląda.

- Rozumiem. Podpierasz się teorią mniejszego zła - bronił się nieporadnie, tylko dla pozorów. Nie pozostawało mu nic innego. Jeżeli nie przyjmie tej propozycji, będzie musiał uciekać w interior i znajdzie się w sytuacji błagalnika. Co lepsze? Pytanie naprawdę retoryczne.

- Mnie nie uwierzą, ale tobie, Jack, na pewno. Ty jesteś dla nich symbolem, ciebie

śluchali od lat i słuchają, kiedy twoi wykonawcy śpiewają o beznadziei takiego wegetowania. Zrozum, teraz trzeba dzieciakom przywództwa moralnego jak nigdy. Kto inny pociągnie ich za sobą? Komu uwierzą? Możesz teraz wносить w życie te wartości, o których pisałeś. Czy to nie prowokujące? Spotkasz najtęższe umysły naszego czasu, a pomiędzy nimi Morisa.

Jack Kersee uwierzył, bo bardzo chciał uwierzyć. Od lat obawiał się bolesnego upadku z piedestału; kilka razy był tego bliski i bał się naprawdę. Każdy ma swoje strachy. Uwierzył i wdepnął w przepastne bagno wysysające go na samo dno, a na tym dnie leżały jego apele. Uwierzył nawet w cud kataklizmu, choć wybuch przyjął z niewiarą i ogromnym przerażeniem, jak wszyscy wokół. Ale gdy minął szok, siebie postawił przed tymi „wszystkimi”, wierząc święcie, że egotyzm to tylko naturalna reakcja samoobronna na zagrożenie z zewnątrz.

Z początku osiemnaście ogólnoeuropejskich stacji telewizyjnych reagowało na zniszczenie gmachu Rady sensacyjnymi doniesieniami o ataku rakietowym, o nowej, nieznanej broni, nawet uderzeniu meteorytu. Wkrótce doniesienia się urwały, bo zniszczono przekładniki. Wybuch, a potem masakra na placu Europy i w dziesiątkach miast były niezrozumiałe, transcendentne, transczasowe i tragiczne na miarę wieku. Pojawiło się zjawisko, o którym zdążono zapomnieć w laboratoriach socjotechników zorientowanych przede wszystkim na anomie i rozwiązania psychospołeczne. Panika. Obłędna, sublimowana tylko do pewnego stopnia panika, której wybuch rozsadził społeczeństwo przy wtórze mniejszych wybuchów. Społeczność Europy nie była zdolna do samoorganizacji.

Nagle ulice zaroily się tysiącami uzbrojonych szaleńców strzelających na oślep i tak rozpoczął się werystyczny, krwawy happening u progu tysiąclecia, przemawiający do najbardziej wyrafinowanych wyobraźni, oszałamiający furją, ogromem zniszczeń. Miasta uciekały, a hasło do ucieczki zrodziło się samoistnie w ciszy mediów. Podatność na nie też przekroczyła granice zrozumienia. Niektórzy oczekiwali przesilenia chorób cywilizacji technicznej, ale miało to wyglądać zupełnie inaczej, niż prorokowali. Życie przeszło najbardziej szalone wyobrażenia, a przecież można było się tego spodziewać, mając w pamięci zamieszki wśród czarnej mniejszości w Stanach, a w Europie wybuchy wścieklej agresji na meczach piłki nożnej.

Policja przestała istnieć po trzech zaledwie dniach, po kilku następnych funkcjonowały już tylko nieliczne, niedoinformowane telewizje lokalne i włączyła się stacja wojskowa, powtarzająca wiadomości z programów amerykańskich. Przestała ukazywać się prasa. Życie dziennikarza wężącego za sensacją było warte tyle co policjanta, a w ogóle nie było wiele warte. Zator informacyjny po wprowadzeniu wirusów do sieci komputerowych doprowadzał

chaos do punktu szczytowego. Niebagatelną rolę odegrała umierająca śmiercią naturalną dystrybucja artykułów pierwszej potrzeby i galopująca inflacja.

W czasie takiego rozpasanego chaosu odnalazł go Vernier. Odnalazł go wtedy, kiedy zdawało się, że wszyscy o nim zapomnieli, kiedy bał się wychodzić na ulice, gdzie tak łatwo można było zarobić kulę, bo niektórzy opętańcy strzelali do wszystkiego, co się ruszało. Zapasy w lodówce kurczyły się zastraszająco. Był to czas, kiedy powtarzał zawołanie bojowe Siuksów: „To piękna pora, by umrzeć”. Cóż, głupia śmierć jest tylko szaleństwem, a on jeszcze nie był szalony.

- Jedynie my, intelektualiści, mastodonty z epoki kwiatów w lufach możemy coś stworzyć na tych ruinach, Jack. Musimy, bo inaczej grozi nam nowe barbarzyństwo i zagłada całej kultury, którą współtworzymy, ty i ja. - Vernier był pełen dziwnego zapału, nie istniały dlań żadne przeszkody, ogólnikami zbywał pytania o siły sprawcze tych wydarzeń, o środki jakimi mają coś budować. To były sprawy drugoplanowe, mniej istotne. - Nie pytajmy, Jack, kto to zrobił. Stało się, po prostu się stało. Dowiemy się za jakiś czas, na pewno dowiemy. Więc jak? Przyjmiesz moją propozycję? Zwrócono się do nas byśmy pomogli w odtworzeniu środków przekazu. Inaczej zginiesz w tym mieście. W Strasburgu jest inaczej.

- Przyjmuję - odpowiedział, myśląc o tym, że jemu, konformiście-buntownikowi nie pozostaje nic innego. Miał jeszcze jakąś wiarę w siebie. Cóż, nie była to najmocniejsza wiara, ale miał ją jeszcze jakiś czas po przyjęciu roli zwiastuna nowej epoki, w jakże innej teraz sieci Europe. Pozostała mu odrobina złudzeń, że on sam i jego przyjaciele intelektualiści coś znaczą, ale zniknęła bezpowrotnie po poznaniu prostych praktyk nowej władzy. A władzą okazała się hydra, bezwzględna, zdecydowana, zmierzająca ku totalnym rozwiązaniom tamtego wieku. Poczuł to na sobie po dwóch dniach tej niby-pracy, kiedy po prostu uwięziono go w hotelu wieżowca sieci i rzucono w łapy goryli, oczywiście dla jego dobra. Przestał też mieć wątpliwości co do tego, że wymknie się po angielsku. Kontakty z Vernierem urwały się zupełnie i praktycznie został sam. Wiedział tylko to, co chciano mu powiedzieć. Mówił do milionów, nie czując ich reakcji. Mówił to, co mu kazano, po prostu kazano. Mówił za parę butelek, dla świętego spokoju.

Jak długo to potrwa?

- Nie bądź idiotą, Kersee - usłyszał z ust piękniśia Domeniciego - Albo będziesz mówił to, czego chcemy, albo...

6

Minęła ósma, dziesiąta rano. Nie czując głodu, pragnienia, z dziecinną zachłannością Chris Ivor odkrywał następne prawdy podsuwane mu przez anonimowych ludzi. Nie były natrętne, miały dostarczać przesłanek do własnych wniosków. Rozumiał to. Nie łudził się ani chwili. Oni musieli mieć jakieś swoje powody, cele. Ludzie mogą osiągać swoje cele tylko przez innych. Taki jest ten świat. Oglądając, słuchając, analizując słowa, obrazy z ekranu, wybrał drogę w tym przypadku jedyną - kompromis. Prawdy stawały przeciw prawdom, tworząc irracjonalny kontekst, w który musiał się jakoś wpisać, i uczynił to odruchowo, przyjmując pozę baczego obserwatora pozostawiającego sobie osąd na później, po wyczerpaniu się wszelkich przesłanek. „Wystrzegajcie się łatwych sądów. Pamiętajcie, że nic nie jest proste”.

Wojny, będące według nauczycieli tylko przejawem destrukcyjnych sił gatunku, w tym traktacie polemologicznym okazywały się naturalnym wynikiem zwierzęcych zachowań, wpływały ze struktur społecznych, głupoty, chciwości. Często dopiero po ich zakończeniu dopisywano jakąś mętną ideologię, sytuując je w ramach jakichś bzdurnych „żelaznych praw historii”. Gdyby istniały takie prawa, przyszłość byłaby przewidywalna. Lektor z sarkazmem podkreślał fakt, że trzy czwarte konfliktów było wynikiem „dążenia do pokoju”, a wyglądało na to, że do wymarzonego pokoju dążą zazwyczaj najsilniejsi i tylko słabi myślą o wojnie.

Nie wiedział czemu, ale uśmiechał się, obserwując obrazy i słuchając przewrotnego komentarza: „...najwspanialszymi bohaterami wojen ubiegłego wieku byli Włosi, od stuleci przodujący raczej w innych sztukach. Jakoś udało im się przegrać wszystkie wojny, w których brali udział. Cały świat zupełnie bez podstaw zarzucał im tchórzostwo i nierzadko wyśmiewał, ale jest to czyste nieporozumienie, moi państwo. Włosi przegrywali swoje wojny tylko dlatego, że mieli najmądrzejszych żołnierzy w ogarniętej wojennym amokiem Europie. Na pytanie: Co wolisz, wino, kobiety i śpiew czy bohaterską obronę ojczyzny i duce? - oni zawsze i z pełnym przekonaniem mówili prawdę, że wolą wino i kobietki. I wam radzę zadać sobie to pytanie i odpowiedzieć szczerze. Włosi byli na tyle inteligentni, że zawsze pytali, w imię, czego mają umierać. Własna śmierć to raczej poważna sprawa, prawda? Pytali i odpowiedzi ich generałów jakoś im się nie podobały Umierać za Wielkie Włochy? Umierać za Mussoliniego? A po co mi to, skoro ja i tak tego nie obejrzę, jeśli zginę? Przecież taka

odpowiedź to czysta mądrość. Czy ktoś z was sądzi inaczej? Co innego Niemcy, proszę państwa. Niemcy dumnie umierali milionami za Wielkie Niemcy i faktycznie ich nie obejrżeli. Wielkie Niemcy powstały bez jednego wystrzału i powstały, dlatego, że Niemcy przegrali wojnę... Ta zabawa zupełnie straciła sens, kiedy po największej wojnie wszechczasów okazało się, że wygrani przegrali a przegrani wygrali. Nie przewidzieli tego nawet najmędrsi generałowie; zresztą politycy też. Czemu się nie dziwimy. Być może Niemcy i Japończycy chcieliby raz jeszcze przegrać jakąś wojnę, ale już nie mieli takiej okazji. Europa przesycała się krwią po konfliktach na Bałkanach, Europejczycy zaś pokazali, że nie mają sumień. Nie przejęli się zbytnio rzeziami, które wyglądały jak w czasie wojen krzyżowych. A dlaczego mieliby mieć sumienia? Dlaczego, jeżeli każda ze stron pokazywała się z jak najgorszej strony? Dlaczego, jeżeli kreatorzy sumień, wspaniali politycy i dziennikarze jednego dnia byli gotowi powiesić poetę Karadzicia na latarni, a drugiego się nad nimi rozczulali? Jak łatwo go mistyfikować, nazywając poetą”...

Zupełnie machinalnie zjadł dwie porcje obiadowe na zimno wprost z puszek. Odgrzanie w mikrofalówce zajęłoby zbyt wiele czasu. Przyjmując relaksującą pozycję lotosu, oglądał „Historię pracy ludzkiej w 77 obrazach”, film od początku do końca animowany i także nader zabawny. Nabrał pewności, że te przekazy nie były preparowane specjalnie dla niego, a to znaczyło wiele. Starając się nie tracić krytycznego dystansu do przekazów, niepewnie wkraczał w nowy, nieznaną świat. Wiedział o nim mało, bardzo mało i zdumiewał się tym, że to właśnie zorganizowana praca wyniosła człowieka tak wysoko. Nie zwykł był prześlizgiwać się nad sytuacjami i problemami nowymi i trudnymi, musiał je trawić szybko i do końca. Głód informacji narastał z każdą minutą, przesłanki do nowych wniosków gromadziły się lawinowo, porządkowane w jego hierarchii ważności wedle jego reguł. Czuł się bogaty, coraz bogatszy, a zarazem mniej zagubiony. Nie pojedzie do Ville, jeszcze nie teraz. W Hartenbergu stracili nad nim kontrolę, smycz się zerwała, a on nie pójdzie za przewodnikiem. Znalazł inne tropy.

Już inny wydał się ten ohydny, pełen skondensowanego zła świat na zewnątrz. Był tylko przemijającym stanem, czymś takim jak gorączka, zwłaszcza po ostatnich sekwencjach oglądanego filmu. „Zorganizowane społeczeństwo broni człowieka przed nim samym. Stany dezorganizacji, jakie zaprezentowaliśmy, są stanami chorobowymi, ustępującymi wraz z powrotem do wystarczającego stopnia organizacji społecznej” - konstatacja lektora dziwnie zgadzała się z tym, co widział na ulicach. Jego diagnoza obecnego stanu niezbyt odbiegała od tej, jaką proponowano z ekranu: „Rozwiązania polegające na pełnej robotyzacji i automatyzacji produkcji przemysłowej powstały już w latach osiemdziesiątych ubiegłego

wieku, ale nie potraktowano ich ze zbytnim entuzjazmem, zauważając wiele możliwych niebezpieczeństw. Automatyczna produkcja dóbr mających służyć człowiekowi stawała się wrogiem człowieka, odbierała mu bowiem do końca kulturową formę aktywności, jaką była praca twórcza i odtwórcza, niekiedy nawet bezsensowna, bezproduktywna, ale rozładowująca potrzebę społecznego działania wśród innych ludzi, właśnie ludzi, wśród stada. Człowiek musi być aktywny, ażeby mieć poczucie istnienia, to szczególnie, kulturowy paradygmat, nad którym zaczęto zastanawiać się w latach sześćdziesiątych tamtego wieku, w erze tak zwanych guzikowych utopii, kiedy wizjonerzy i marzyciele ubrdali sobie, że możliwe jest zbudowanie maszyny do rządzenia, ich zdaniem idealnego remedium na bolączki współczesnych społeczeństw. Ponoć byłaby w stanie zapewnić uracjonalnienie procesów produkcji, życia społecznego, tak jakby one naprawdę tego potrzebowały. Jedynych naprawdę rozsądnych odpowiedzi na pytania o robotyzację i automatyzację udzielili wówczas Vonnegut i Sheckley, którzy z pijaną odwagą heretyków uznali, że zmorą cywilizacji stanie się czas wolny i już teraz trzeba zacząć o tym myśleć. Oni odważyli się myśleć i płodami takiego myślenia stały się *Pianola* Vonneguta i *Siódma ofiara* Sheckleya. Niemal natychmiast uznano ich za niezłych dowcipnisiów, a genialne antycypacje za wystarczające śmieszne”.

Tak, proszę państwa - kontynuował lekko lektor - one były genialne i nie śmieszają dzisiaj nikogo. Według obliczeń jednego ze znanych centrów statystycznych siedemdziesiąt pięć procent produkcji materialnej jest w pełni zautomatyzowane, dwadzieścia procent w połowie, a reszta w mniej znaczących częściach, zwłaszcza na terenach Europy Środkowej. Od czasu pierwszych kompleksowych eksperymentów automatyzacyjnych w zakładach elektronicznych i samochodowych, ludzie zaczęli sromotnie przegrywać konkurencję z maszynami i coraz szerszym strumieniem przechodzili do tak zwanej strefy zabezpieczenia. Przegrywali z precyzyjnymi robotami wykonującymi wszystkie czynności o niebo lepiej. Nie podlegającymi stresom, nie muszącymi się regenerować i w efekcie jednak tańszymi niż ludzka siła robocza. Strefa rozszerzała się coraz bardziej na wschód i południe, z niejakim opóźnieniem docierając do nowych członków Unii, aż wreszcie otoczyła kontynent. Widmo komunizmu znowu zaczęło krążyć po Europie. Ale poza egalitarną zasadą każdemu prawie po równo nie można było wykoncypować niczego nowego. Państwo jako organizator życia zbiorowego zadbało o egzystencję bezrobotnych obywateli, wypłacając im relatywnie wysokie zasiłki, wystarczające na utrzymanie tak zwanego średniego standardu życia i konsumpcji. Ten organizator miał coraz więcej pracy, więc rozrastał się, a miarą rozrostu jest rosnąca ilość dowcipów o eurokratach. Nie będę jednak opowiadał dowcipów, bo muszę mówić o standardach, prawda? Samochód na dwa lata, wideo, pralka, lodówka na rok i

całkiem godziwe zabezpieczenie rozrywek dla tych, którzy nie nadużywali narkotyków i oniryków. W taki sposób utrzymywano pożądaną równowagę między popytem a podażą. Bezrobotni nie mieli tylko dostępu do dóbr statusowych, poza tym mieli wszystko, łącznie z kompleksową opieką lekarską i społeczną. Brak zapotrzebowania na wykwalifikowaną siłę roboczą sprawiał, że zaczęło podupadać szkolnictwo. Po prostu nie było motywacji do uczenia się, skoro wszystkim zapewniono egzystencję na wysokim poziomie. Po zniesieniu przymusu edukacyjnego i zastąpieniu go woluntaryzmem szkoły zaczęły bankrutować z braku chętnych. Filozofia społeczeństwa przyzwalającego nie przewidywała przymusu edukacyjnego. Zdaniem Poulsena i Michaux rolę nauczyciela i przewodnika z powodzeniem mogła pełnić telewizja. Dziesięciolatki poddawano wszechstronnym badaniom, za zgodą rodziców ci z najwyższym ilorazem inteligencji byli kierowani do elitarnych szkół zarządzania i organizacji oraz do szkółek przygotowujących kadry dla armii, policji i urzędów. Oni tworzyli elitę odseparowaną od szarych ludzi, decydującą o tym, co dobre, a co złe, co proste, a co krzywe i tak dalej.

„Tak, więc szkolnictwo powszechne przestało być potrzebne państwu, które podsuwało pożądane treści w kulturze masowej i orientowało się na zamknięte, rodzinne formy życia społecznego. Pomimo protestów intelektualistów i organizacji, szary człowiek był coraz dalej odsuwany na margines, stawał się elementem dysfunkcyjnym, przestawał być w ogóle potrzebny. Na co komu telewizyjny analfabeta niemający zielonego pojęcia o złożoności struktury społecznej? Taki potrafi tylko domagać się nowych udogodnień i narzekać, narzekać, narzekać”... - na ekranie pojawiła się klasyczna trzyosobowa rodzinka siedząca nieruchomo przed ogromnym telewizorem, na którego ekranie widać było inną, bliźniaczo podobną. Pienista opera mydlana, o ile ta nazwa pasowała choć trochę. Na stoliku, pod ręką pana domu leżał standardowy zestaw oniryków. Twarze szczęśliwe, uduchowione. Doprawdy, taki obraz minifermy ludzkiej mógł podbudować nawet sceptyka. I nagły przeskok z animacji w realność, z jasnego, pastelowego wnętrza na ciemne ulice. Zbliżenie ludzkiego łachmanu leżącego pod ścianą. Głos lektora przycichł nieco.

„Aby unikać zbędnych komplikacji wiążących się z jakimiś formami protestu, różnymi drogami zmuszano mieszkańców skupisk miejskich i nie tylko miejskich do kultywowania takich rozwiązań. Stosowano perswazję i przymus, a więc marchewkę i kij. To pierwsze w rozmaitych audycjach rodzinnych i serialach, których współtwórcami byli oni sami. Ich prawdziwi twórcy nie liczyli się z niczym, chcąc uczynić te knoty najśłodszyimi dla mamusi, tatusiów i ich pociech, byle tylko dawały przełknąć się z łyżką zupy. Rzygać się chciało od tysięcy razy powtarzanych mądrości, ale okazywały się skuteczne, co potwierdzały rozliczne

sondaże tak zwanej opinii publicznej, tego starego mitu podtrzymywanego przy życiu przez wszechmedia masowe. Za opinię publiczną brało się zwykle trzech obywateli, którzy jak wdzięczne psy ślinili kamerę, a mogli dostąpić tego zaszczytu, o ile się wyuczyli na pamięć paru zdań podsuniętych na kartce przez dziennikarza. Jeszcze skuteczniejsze były formy przymusu, do których administracja i policja przykładały kciuki pośrednio, nie angażując się otwarcie. Wykorzystano tu stary jak świat pomysł Burgess z „Mechanicznej pomarańczy”. Ożywiano i podtrzymywano przy życiu anomijne grupy młodych, którzy wyręczali policję w pilnowaniu tych baranów bojących się wychylać nosa z domów po zapadnięciu zmroku. Ulice, parki przejmowały we władanie kilkudziesięciu osobowe grupy ćpunów stanowiących swoje prawa, przejmowane najchętniej z taśmowej produkcji wideo. Młodociani analfabeci uznawali tylko to, co było dobre dla nich, cała reszta to było gównno. Ich obraz był wizytówką całej generacji, choć stanowili tylko promil. Śmiałek, który odważył się przejść samotnie nocą po mieście bez paru setek w najlepszym wypadku kończył w szpitalu. Setką mógł uspokoić prowodyra i dostać w podzięce kopniaka zamiast pchnięcia nożem. Przeciw nim stawali samotni łowcy i różnego autoramentu obrońcy sprawiedliwości, często uzbrojeni w broń palną. Nocne bitwy nie były rzadkością w metropoliach, a rano służby publiczne zbierały nocną klientelę, rozpoznawały po odciskach palców, a po kremacji zwłok przesyłały rodzinie urnę albo nie. Wyjście na miasto nocą traktowano jak formę samobójstwa. Miasta były syte, gnuśne, szalone, zepsute. Interior zaś pozostawał o całe lata świetlne w tyle - tłem dla słów były sielskie widoczki wsi, gospodarstw farmerskich, resztki zdegenerowanej ludowości, miłe, nostalgiczne obrazki - produkcja rolna nie dawała się zautomatyzować, a ludzie związani z naturą zmieniali się wolniej”.

Chris kodował wszystko na zimno, z dystansem, odkrywając setki a może tysiące nowych faktów, zjawisk. Było ich wiele, ale zdawał sobie sprawę, że to tylko początek. Czuł narastające zmęczenie, prawie fizyczne, choć pozostawał w bezruchu. Natłok nowości oszalał. Jedno było oczywiste. Obraz świata stawał się nadmiar skomplikowany, poza czernią i bielą były tu wszystkie barwy tęczy. Jeżeli to, co tu oglądał, było prawdą albo nawet prawdą niepełną tamto było kłamstwem. Powinien już zdecydować, ale wciąż nie potrafił. Postanowił, że odsłoni się w części przed obcym, wciąż obcym i zrobi to po to, by stanąć przed faktem dokonanym. Nie, nie powie mu wszystkiego, ale też nie postąpi tak, jak zaprogramowali go w Hartenbergu. Tak pewnie postąpią następni, którzy przybędą wypełnić rozkazy Golda, i z pewnością on, Chris, będzie celem dla jednego z nich. Jest tylko królikiem doświadczalnym. Przecież nie starano się o przygotowanie ich do samodzielnego życia w tym środowisku. Kryjówka przestawała być bezpieczna od tego dnia, a właśnie tego dnia miał

wypełnić pierwszą część zadania, zabić Carneya. Nie zrobił tego. Znalazł się poza kontrolą, nie kontrolując do końca siebie. A był stworzony do działania.

Z chłodną ciekawością badacza przyglądał się Carneyowi, który pojawiał się na ekranie dwakroć w krótkich migawkach na dwóch dyskietchach. Nie zmienił na jotę stosunku do człowieka, którego nazywano ze sporą przesadą „ojcem Europy”, odkrył jedynie szczególną aurę zbiorowej ufności do tego człowieka. Ludzie reagowali na słowa i gesty z jakąś dziwną, spontaniczną radością, inaczej niż w filmach z Hartenbergu, gdzie był tylko wielkim manipulatorem, wytrawnym szczurołapem z Paryża. Obejrzał go jeszcze w następnym filmie i przekonał się, że człowiek któremu już darował życie, ma w sobie dziwną, niespotykaną moc, której wcale nie zawdzięcza swej iście niedźwiedziej posturze i grubo ciosanej twarzy mocnego człowieka. Wiara! Tak! Wiara, że jego przeznaczeniem jest dążenie do prawdy i dobra pojmowanych jakoś inaczej, szerzej, głębiej i wedle niego prawdziwie. Carney był nawiedzony! O krok od szaleństwa, ale wciąż zgodny z prawdą swojego czasu, zgodny ze sobą. Na tle śliskich, zmieniających zdanie jak chustki do nosa polityków Moris Carney wyglądał jak opoka. Mimo wieku miał w sobie więcej wigoru niż te uśmiechnięte wymoczki uzurpujące sobie prawa, do których nie dojrzeli. Dla Chrisa Ivora był dewiantem, szczególnym dewiantem.

- Żyj, Carney - powiedział cicho do siebie, potwierdzając własną decyzję. - Żyj, póki nie dopadnie cię ktoś inny.

Powie Stawsky'emu, a on może zadba o to, by dać tamtemu odpowiednią ochronę przed Jorgiem czy Stevenem. Nie zdoła zrobić więcej, bo wiele wskazuje na to, że jeżeli inni pojawią się w tej krypcie, to tylko po to by go zabić. Chciałby zmierzyć się z jednym z nich, ale nie miał na to czasu. Tworzył zarys planu. Wiedział już prawie, co chce osiągnąć. Pozostawały jeszcze sposoby. Nic na siłę, myślał. Trzeba mi wielu szczegółów, trzeba pewności co do swoich racji zanim postanowię. Organizacja zamachu i późniejsze wydarzenia były precyzyjne, ale potem chyba zaczął działać przypadek. Chyba, gdyż Gold nie osiągnął żadnego widocznego celu. Celem nie mógł być chaos.

Chris nie musiał patrzeć na zegar, wiedział, że Stawsky pojawi się za jakieś trzy godziny, o ile nie wdepnie w coś albo nie złapie w drodze głupiej, przypadkowej kuli. Też przypadek, który może kosztować życie tego Carneya. Trudno.

W filmie mówiącym o ostatecznym zjednoczeniu Europy wychodziły na jaw błędy, oczywiste błędy Carneya, i wszystkie były wynikiem tej niewzruszonej, tępej wiary w dobroć abstrakcyjnego człowieka. Carney wierzył w to, że każdy może być dobry, o ile zostanie odpowiednio wychowany.

Nie ulegało już wątpliwości, że twórca pierwszej ogólnoeuropejskiej Partii Zjednoczenia przesądził o wykreowaniu Europy w jeden organizm, przywrócił jej miejsce jakie zajmowała przez tysiące lat.

„Staruszka Europa - słyhać było głos lektora na tle krajobrazów, widoków miast i miasteczek - spełniła swoją misję dziejową. Tak przynajmniej sądzili wszyscy poza nią. Czary goryczy dopełniło dogonienie jej przed czterdziestu laty przez azjatyckie tygrysy. Wstrząśnięci Europejczycy poczuli, że stali się mieszkańcami dalekich peryferii świata, częścią kulturowego skansenu, który odwiedza się raczej z obowiązku niż dla przyjemności czy interesu. Masowa kultura amerykańska i wschodnia produkcja wideo, zhomogenizowana, przerobiona na papkę strawną dla wszystkich, zaczęła dominować także w Europie, przesądziła o regresie kulturowym i moralnym. Wraz z myślami o nowej jakości pojawiło się niebezpieczeństwo eurokracji. Nowo kreowane elity musiały uzasadniać swoją przydatność ogromem działań pozornych, magią w czystym wydaniu. Eurokraci chcieli dekretować prawie wszystko, zalecając kurom znoszenie idealnie okrągłych jaj, a drzewom rodzenie owoców o odpowiednich rozmiarach. Ilość przepisów wykonawczych do ustaw Parlamentu Europejskiego była nieskończona i ogromna część z nich wręcz negowała samą ustawę. Tworzyła się biurokratyczna karuzela, a odpowiedzią był tylko śmiech opinii publicznej, która bawiła się doskonale. Do czasu.

To właśnie eurokraci tworzyli grona eurosceptyków, byli przeciwnikami rozszerzania Unii na wschód i tym samym negowali ideę zjednoczonej Europy, w początkach wieku mając sojuszników w krajach aspirujących do członkostwa. I wtedy pojawił się Moris Carney. Pojawił się jak meteor, wykreowany przez media, podobnie jak Berlusconi czy Haider. Natchniony demagog stanął z boku, nad wszelkimi strukturami politycznymi. Jego fenomen wciąż budzi zdumienie. Mógł bez trudu wygrać pierwsze i drugie wybory prezydenckie, a jednak nie chciał rywalizować, wskazując jedynie swoich kandydatów, od których odcinał się tuż po wyborach.”

Na ekranie znów pojawił się Carney. Przemawiał w Parlamencie Europejskim. Nie, nie przemawiał, po prostu mówił:

„Słyszę, że porzucili i oszukali was ci, którzy winni wam wdzięczność za wszystko, cośmy kiedykolwiek dla nich uczynili. Mówicie to z głębokim przekonaniem o naszej moralnej wyższości, o misji jaką spełnialiśmy wobec świata. Mówicie jak rentierzy pragnący żyć długo i szczęśliwie z odłożonego kapitału. Wasze słowa są jak pałace, które stawiacie nad kloakami własnych czynów. Powiem wam wybrańcy ludu, powiem wam najprostszą prawdę, o której chcecie zapomnieć, bo kryje ona waszą nędzę, waszą małość. Żebrak może liczyć

tylko na łaskę dającego, natręctwem nie wskóra wiele. Więc albo klękajcie ze schyłonymi głowami, albo unieście je, przekonajcie się jak sprężyste macie plecy. To nic, że wasze wspaniałe szaty zetlały zupełnie i zamieniły się w żalosne łachmany, pod nimi jest jeszcze mocne ciało. Nie oglądajcie się na amerykańskie parasole, rzekomą wspaniałomyślność i bezinteresowność Wuja Sama. Przypomnijcie sobie czasy naszych pionierów, którzy odkrywali świat dla świata, nie bacząc na nic. Zapytajcie, czy z nas nie można jeszcze wykrzesać ducha pionierów, którzy poszukają ziem obiecanych nie w kosmosie ale tu, na tym maleńkim kontynencie. Tuż za linią Odry otwiera się perspektywa dla śmiałych eksploratorów, tam drzemią przeogromne możliwości, stamtąd trzeba nam zastrzyku świeżej krwi, a my nie chcemy tego widzieć z wysokości naszej wyniosłej, dumnej wieży. Patrzymy na nich jak na żebraków, my, żebracy. Zniechęceni panującym tam chaosem nie chcemy uczynić nic, co by ten chaos mogło zamienić w porządek. Poprzestajemy na czczych obietnicach, celebrując ustalanie coraz to nowych dat przyjęcia do Unii. Łudzimy się, że bezzwrotne w istocie pożyczki coś zapewniają, a to jest bzdura bo te pieniądze jedynie pomagają tworzyć nowe mechanizmy korupcyjne. Przypomnijcie sobie historię Jelcyna i jego dworu a zauważycie, że korupcyjna zaraza zaczęła przenosić się stamtąd na zachód. Mija właśnie następna rocznica ukonstytuowania Unii i następna naszej wspaniałej izolacji pod okupacją amerykańską. Tak! Okupacją, panowie deputowani! Rzeczy trzeba nazywać po imieniu, dopiero wtedy znaczą tyle, ile powinny”.

Carney niewiele zmienił się w ciągu dwudziestu lat. Tylko trochę posiwiał, twarz pozostała taka sama. Osiągnął swoje w ciągu następnych lat, nie biorąc za nic odpowiedzialności.

Raz jeszcze zatriumfował lord Paradox. Kolonizacja wewnętrzna była tym impulsem, jakiego nie można było oczekiwać z zewnątrz Oczywiście nie obyło się bez problemów, a niespodzianie jednym z największych, najmniej oczekiwanych była swoista perfidia tak zwanych elit nowych krajów członkowskich, której nie chciano dostrzegać mimo ostrzeżeń, choćby European Intelligence Unit. Z frazesami o konieczności zjednoczenia na ustach, wschodni politycy zwłaszcza polscy i czescy robili wiele, by opóźnić wejście do Unii broniąc przyrośniętych do stołków tyłków. Skorumpowani, fałszywi mimo gadania o wartościach, nie byli zdolni do odnalezienia się w europejskich salonach. To nie były proggi dla nich i wiedząc, że nie potrafią olśniewać chcieli zagarnąć jak najwięcej, póki jeszcze można, póki to oni stanowią prawo. Dochodziło do tego, że torpedowali przyjmowanie bezzwrotnych pożyczek. Jeden z polskich polityków otwarcie przyznał, że nie interesują ich pieniądze, których nie mogą skubnąć. Ułtymatywne postawienie sprawy członkostw przez

Schroedera, Blaira i Carneya wreszcie odniosło skutek i zaczęto powoli likwidować surrealistyczne twory, jakimi były te „państwa prawa”, a kilka pokazowych procesów o zawłaszczenie majątku wspólnego odniosło pożądany skutek. Lokalni kacykowie pojęli, że za nieudolność po prostu grozi więzienie i teraz trzeba stosowali się do przykazania „nie kradnij”. Transfuzja świeżej krwi dokonała nieoczekiwanego cudu, co prawda sporym kosztem. Nowe rynki zbytu, nowe pola dla inicjatywności, nowy europejski etos sprawiły, że ciałem zaczął stawać się sukces początku nowego milenium. Europejczycy zaczęli prześcigać Azjatów, a w ciągu dekady za sprawą szybkiej robotyzacji, podjęli skuteczną rywalizację z Amerykanami i zaczęli ją wygrywać na oczach zdumionego świata. Jankesi zapłacili za swój sybarytyzm, konserwatyzm i wybujałe zadufanie z czasów, kiedy ich struktura militarna rozsiada się nad Europą jak kwoka. Po rozpadzie czerwonego imperium nikt nie wiedział, czemu ma służyć NATO zdominowane przez Amerykanów. Bo przecież nie obronie Kosowa? Wojna z Miloseviciem także była nauką dla Europy i nauka ta przydała się później, choć generałowie europejscy uważali, że śmierć żołnierza na polu bitwy jest świadomym ryzykiem i nie można patrzeć na nią tak jak amerykańskie media, „sumienie” Nowego Świata. Jeżeli takie jest sumienie, to jaki musi być jego właściciel? - pytano niebezzasadnie.

Po pierwszych próbach poważnego zakwestionowania idei NATO Amerykanie obrazili się na niewdzięcznych podopiecznych, nie po raz pierwszy od czasów Wilsona i zdjęli swoje parasole, z daleka zgryźliwie komentując wybuchające, co rusz konflikty na Bałkanach i w dawnym Związku Radzieckim. Nie ingerowali, czekając na potknięcia. Poniewczasie dostrzegli, że Europejczycy doskonale radzą sobie sami mimo niedostatków w klasycznych broniach strategicznych. Ta chwilowa bezbronność była naprawdę potężnym impulsem dla nauki i przemysłu.

W czasie nieoczekiwanego konfliktu ukraińskiego po raz pierwszy weszła do akcji Armia Europy i rozstrzygnęła o jego wyniku w ciągu kilku dni, choć początek tej wojny zapowiadał Armagedon. Kilkanaście pocisków z taktycznymi głowicami nuklearnymi i ponad sto samolotów bojowych zdjęto z firmamentu za pomocą broni nowej generacji. Po raz pierwszy użyto kokonów grawitacyjnych. Szok był niesamowity. Europejczycy dokonali skoku na miarę trzeciego tysiąclecia, a nie wiadomo było, co jeszcze kryją w zanadru. Siły szybkiego reagowania wykazały się skutecznością, która zdumiała nie tylko Amerykanów. Szybko przywrócono *status quo ante* między Ukrainą i Polską. Tydzień wystarczył na zażegnanie konfliktu przy dość wyczekującej postawie Rosjan, wciąż broniących wielkoruskiej odrębności z nadzieją na swój czas.

Europa zajaśniała jak supernowa. Stała się taka dzięki Carneyowi i jemu podobnym.

Wspaniały skok w przyszłość, „ucieczka w przyszłość” zapowiadała promienne jutro, ale tylko przez jakiś czas. Społeczne skutki tej nagłej akceleracji okazały się brzemieniem nie do udźwignięcia, choć można było temu zaradzić relatywnie niewielkimi środkami. Starczyło obejrzeć się na dawne rozwiązania Etzioniego, Tofflera czy Premingera, wprowadzać je w życie, modyfikując w miarę potrzeb. Jednak zwyciężyła poroniona koncepcja społeczeństwa przyzwalającego i można było domniemywać, że politycy opowiedzieli się za nią nie bez znaczącego udziału podziemnego lobby.

Lobby to miało do powiedzenia więcej niż przypuszczali ci, którzy nie byli zdrowymi pesymistami. Przyjęcie koncepcji społeczeństwa przyzwalającego oznaczało gospodarczą amnestię dla podziemia, wyjście z „interesami” na powierzchnię i zarazem wejście w powierzchniowe struktury gospodarcze. Szara strefa zaczęła bieleć, a budżet wspólnoty wzbogacił się o kilkadziesiąt miliardów euro. Prostyucja, hazard a przede wszystkim narkotyki stały się filarami działalności swojskiej mafii, powiązanej z rosyjską. Czasami przedstawiano to jako ogromny sukces polityczny utrzymując, że podziemie w ogóle przestanie istnieć dzięki tym zabiegom i Europa osiągnie błogosławiony stan normalności. Perfidia, obłuda oficjalnej propagandy przejawiała się w cukierkowatych komentarzach przedstawiających gangsterów jako nowy model ludzi wielkiego biznesu, który ubezwłasnowolnia społeczeństwo, demoralizował setki tysięcy służalczych, przekupnych wybrańców ludu czujących się znów zupełnie bezkarnie. Społeczeństwo zewnątrzsterowne - odwieczne marzenie polityków, do której nie przyznawali się przed nikim - stawało się faktem.

Uchwały Parlamentu Europejskiego usankcjonowały zniesienie zakazów produkcji i rozpowszechniania tak zwanych miękkich narkotyków, jak amfetamina, betatamina, kwas lizergowy czyli LSD, skalina, peyotl, marihuana; przy niewielkich, mało znaczących ograniczeniach dla narkotyków „twardych”. Przebojami rynkowymi okazały się rodzime oniryki, halucynogeny produkowane na bazie małych grzybków o trudnej do powtórzenia nazwie, znanych i wykorzystywanych od stuleci w medycynie niekonwencjonalnej. Reklamowane przez telewizję bez ograniczeń, skutecznie konkurowały z narkotykami także za sprawą ceny i skutków, a konsekwencje były takie same jak w przypadku narkotyków - uzależnienie i powolna śmierć psychiczna. Wszystko to czyniono w imię sprawności zarządzania tak skomplikowanym mechanizmem, jakim było państwo europejskie.

Mafia prawie się nie zmieniła. Lektor nazywał ją wilkiem w skórze owieczki i był to klasyczny eufemizm cholernie pochlebiając wilkom. Zazdrośnie strzegła swojego monopolu zapewniającego przeogromne zyski, strzegła za pomocą kilku tysięcy własnych żołnierzy oraz

całej armii mniejszych i większych dystrybutorów, strzeżona przez tych, którzy dbali o jej bezpieczeństwo i rozwój na szczytach władzy ustawodawczej i wykonawczej. Znów klaniały się przestrogi kanclerza Kohla, który powtarzał że korupcja jest najbardziej zaraźliwą z chorób i przed przyjęciem do wspólnoty krajów wschodnich trzeba zbudować kilka łańcuchów zabezpieczeń. Zlekceważono te ostrzeżenia. Nikt ich nie przypominał po aferze korupcyjnej, w którą był wmieszany Kohl.

Jedynymi, którzy wystąpili zdecydowanie przeciw zorganizowanemu, świadomemu, mającemu sankcje państwa niszczeniu tkanki społecznej, byli wymierający intelektualiści i te grupy młodych, których nie pociągnęły uroki życia w całkowitej „wolności”, niedorzęnci idealisci, mówiący tylko w kółko o robotyzacji człowieka, odbieraniu mu wolnej woli, godności, prawa wyboru. Ich liczba zamiast maleć rosła z każdym rokiem i to było co najmniej dziwne, bo policja nie patrzyła na nich przychylnym okiem, nie zauważając zupełnie otwartych walk między nimi a anomijnymi gangami. Zresztą policja nie jest od zauważania.

Młodych kontestatorów nie dopuszczano do telewizji i radia, wszelkimi sposobami utrudniano im wydawanie pism, wielu z nich trafiło do zakładów psychiatrycznych o obostrzonym nadzorze. Ta instytucja zyskała pełną akceptację ludzi władzy, którzy zdawali się nie wiedzieć, że to praktyki wujaszka Stalina, ale za to chyba wszyscy czytali „Mechaniczną pomarańczę”. Młodzi kontestatorzy byli niebezpieczni tym bardziej, że ich liczba rosła i ruch przybierał formy organizacyjne, a właściwie tylko jedną - Youth Power działającą jawnie pod stałą presją policji i samej mafii. Tworzyli własną kulturę podziemną, bojkotując oficjalne środki przekazu, mydlaną telewizję, ptasie radia, gazety reklamowe.

Tak to wszystko wyglądało w przekazie, jaki zaoferowano Chrisowi i był to obraz zupełnie inny od tego, do jakiego przywykł przez lata. Zapewne Gold i inni nie spodziewali się, że kiedykolwiek może go poznać a zwłaszcza, że może go poznać przed wykonaniem zadania i tuż przed progiem śmierci. Nabierał przekonania, że dla nich był po prostu egzekutorem, starannie zaprogramowaną maszyną służącą celowi. Jakiemu celowi? Na to pytanie także musi uzyskać wyczerpującą odpowiedź. Rysowała się już mgliście, ale była niewiarygodna, po prostu niewiarygodna, nawet dla niego.

Nadchodził czas spotkania ze Stawskim. Chris wyłączył magnetowid i zaczął się zastanawiać nad tym, czy może jeszcze korzystać z tego bezpiecznego dotąd miejsca. Szukający go przyjdzie tu z kluczem z tego samego źródła, przyjdzie i zechce go zabić w otwartej walce albo przygotuje śmiertelną pułapkę, której nie będzie można uniknąć. W schowkach pod betonowymi płytami było dość materiałów wybuchowych i gazów, by załatwić całe miasto. Teraz posłużą Chrisowi do sprokurowania pułapki na myśliwego. Musi

to zrobić zanim stąd wyjdzie, bo inaczej musiałby uważać na każdym kroku, w każdym miejscu i stale faszerować się adrenolem, spodziewając ataku w każdej sekundzie. Kto wie, czy nie ma jeszcze na sobie albo w sobie jakiegoś przekaźnika, po którym dojdą do niego jak po sznurku! Jeszcze nie do końca, ale już pojmował rolę swojej dziesiątki. Byli tylko katalizatorami zmian, przyspieszali je prowokując chaos a chaos ma usunąć następne przeszkody wskazane przez Golda i to w czasie, który uznano za optymalny.

To konieczne - myślał, sprawdzając ułożenie ampułek z adrenolem w nowych spodniach. Muszę zabić tego, który chce zabić mnie, dla którego jestem być może jedynym i najważniejszym celem. Decyzja jest ostateczna i nieodwołalna. Zabiję i nikt mnie przed tym nie powstrzyma, profesorze.

Usłyszał cichy szelest windy. Stawsky przybył o umówionej porze.

Szelest ucichł i po chwili rozległy się ciche kroki w korytarzu łączącym. Chris stanął twarzą do wejścia. Zgiął ręce, przycisnął łokcie boków. Jeżeli to ktoś inny, on musi działać pierwszy, inaczej życie nie będzie miało odrobiny sensu. Zupełnie zapomniał o adrenolu i trafiło to do niego wtedy, kiedy zobaczył Stawsky'ego, bardziej zarośniętego niż dobę temu, ale bliskiego prawie jak Denis.

- Jestem, Chrisie Ivor. - Stawsky stanął o kilka kroków, spoglądając wyczekująco na implanta. Nie mówił nic więcej, nie było takiej potrzeby. Miał wrażenie, że niepotrzebną gadaniną maskowałby tylko niepokój, strach. Tamten wyraźnie nie uznawał paplaniny, która nie służy porozumieniu. Może nawet trzy słowa wypowiedziane przed chwilą to za dużo?

Od razu zauważył drobną zmianę w Ivorze. Chłopak był czujniejszy, zniknęła gdzieś gnuśność i obojętność poprzedniego dnia, pojawiło się dziwne napięcie, zdecydowanie. Czyżby zdecydował się mnie zabić? To cholernie możliwe, przecież ich nie można pojąć do końca. Może powinienem się bronić? Zanim wyciągnę spluwę, już będę martwy. Nie, to nie ma najmniejszego sensu... Stał przed Ivorem jak zahipnotyzowany królik, a przynajmniej tak się czuł.

- To dobrze, że jesteś - usłyszał i doznał ulgi. - Dzięki tym filmom wiem już bardzo dużo. Wiem też, czego chcę. Czy... - Chris się zawahał - Jak mam się do ciebie zwracać?

- Mam na imię Stanisław. Stan, jeśli tak wolisz.

- Stanisław. Nigdy takiego imienia nie słyszałem - powiedział z zadumą Chris Ivor, a Stawsky poczuł ciepły dreszcz wzruszenia, prawdziwego wzruszenia i zarazem radość odkrywczy. Sprawiała to ta mała, ledwo zauważalna refleksja krańcowo racjonalnego implanta, który nie zwykł dziwić się niczemu, o nic pytać. Pogłaskał tygrysa a on zamiast ryknąć, zamruczał jak kocię. Czyżby to była oznaka przełomu? Tak! To musi być to! Miał rację, miał

po stokroć rację, której nie uznawali prominenci Korpusu Medycznego Armii i gdyby nie przekonał w końcu Lussaca... To major, interweniując u Donovana, zdobył dla niego wolną rękę, choć Stawsky zamiast argumentów zaprezentował wiarę wynikającą z empatii. Ivor z chwili na chwilę coraz bardziej stawał się człowiekiem. Był inny niż McLachlan, nie tak głęboko uwarunkowany, potrafił myśleć syntetycznie. Czy zmieniła go ta atomowa dawka informacji? Prawdopodobnie tak, choć nie mógł połknąć jej całości.

Naukowiec odniósł ogromny sukces, ale wywiadowca był wciąż daleko do sukcesu.

- To polskie imię, Chris - odpowiedział z uśmiechem. - Pochodzę z tego regionu wspólnoty, który nazywają Polską.

- Tak, wiem. - Chris zaczął mówić spokojnym, martwym głosem: - Chcesz wiedzieć, kto mnie przysłał i po co. To twój główny cel. Powiem ci, przysłano mnie tutaj, bym zabił Morisa Carneya i jeszcze paru ludzi. Tych innych postaram się usunąć. Nie dlatego że muszę. Ale dlatego że chcę skończyć z tym szaleństwem, bo dla mnie to jest tylko szaleństwo. Dzisiaj mija mój czas na zabicie Carneya. - Naprawdę hipnotyzował wzrokiem. Oszołomiony kapitan nie mógł wykonać najmniejszego ruchu. A może sparaliżowało go przerażenie? - Mój czas, Stan, bo od dziś to czas kogoś innego. Kogoś, kto pojawi się, żeby zrobić swoją robotę. Ten zabójca już jest w drodze i ma zabić także mnie za nieposłuszeństwo, ale to tylko mój problem. Wyjdź teraz i połącz się z kim trzeba, jeżeli zależy wam na życiu Carneya. Stąd nie dasz rady, zbyt silne ekranowanie.

- Tak, natychmiast. To bardzo ważne, Chris. - Stawsky był naprawdę przejęty i niemal biegiem ruszył do windy. Ci inni, o których wspomniał Ivor, wydawali się karłami przy Carneyu. On był wielką nadzieją armii i nie tylko, jedynym do przyjęcia kandydatem na fotel prezydenta po ustabilizowaniu się sytuacji, jedynym który mógł zapanować nad chaosem. O tym mówiono otwarcie w bazach.

Chris zrobił to, co zamierzył. Przez fakt dokonany postawił się za progiem. Teraz pozostawała mu już tylko kręta, skryta we mgle droga donikąd. Był pewny, że usunięcie góry mafijnej przez wypełnienie drugiej części zadania będzie tylko początkiem tej drogi i może niewiele zmieni, gdyż w miejsce jednych szumowin pojawią się inne. A może jednak zmieni, gdyż spowoduje destabilizację, walkę o władzę, przepychanki. Nie zastanawiał się, jak to zrobi. Zrobi i już, jeżeli tylko potwierdzą się dane z instrukcji. Za dwa dni w gmachu banku, któremu zdążył się przyjrzeć. A jeżeli tamci zmienią plan będzie polował na nich pojedynczo.

Stawsky wrócił po niecałych pięciu minutach.

- Zapomniałem ci podziękować Chris, więc dziękuję teraz - powiedział, nieco zdyszany. - Przekazałem informację i zabójca znajdzie się na widelcu, kiedy tylko się pojawi.

- Widząc nieme pytanie w oczach implanta, wyjaśnił natychmiast: - On chyba też będzie miał taki nadajnik jak ty i ludzie chroniący Carneya namierzą go natychmiast. Nie wiem, co zrobią. Może użyją jakiegoś środka usypiającego może uznają, że lepiej go zabić. Nie wiem. Nie mam też pojęcia, co zrobią z Carneyem. Pewnie przewiozą go do jednej z naszych baz.

- Ci którzy mnie przysłali, nie są tacy naiwni, Stan. Dam głowę że następni nie będą mieli nadajników. Mój zawiódł i już nie zaryzykują

- Nie wiem jak sobie poradzą, ale muszą sobie poradzić. Ja zupełnie się na tym nie znam.

- Czy Carney jest naprawdę taki ważny dla was?

- Dzisiaj jest chyba najważniejszy. Po tej katastrofie Moris Carney jest jedynym człowiekiem w Europie, którego posłuchają inni. Ma prawdziwy autorytet, potrafi czarować tłumy i setkami tysięcy ciągnąć za sobą choćby do piekła. Może być kimś podobnym do Mojżesza na pustyni i dlatego jest taki ważny. Nie wiem, czemu komuś aż tak bardzo zależy na jego śmierci, ale ty wiesz, Chris. Czy naprawdę nie możesz mi tego powiedzieć? - Nie spodziewał się odpowiedzi ale próbować musiał. Przecież był tu przede wszystkim po to, by wycisnąć z Ivora tę najważniejszą wiadomość. Wycisnąć. Niezły żart.

- Ja też tego nie rozumiem, Stan. Nie wiem, czemu im zależy odpowiedział wciąż martwym głosem Chris. - Ale się dowiem i dowiem się wszystkiego, a wtedy powiem ci, kto to był. Był, bo będzie trupem. Powiem ci też, że jestem tu po to, by unieszkodliwić głowy mafii. Wydedukuj teraz, kto mnie przysłał. Temu komuś zależy na zlikwidowaniu Carneya i szefów mafii. Wiesz już, kto to jest? I jeszcze jedno pytanie, Stan. Chyba wasza armia nie jest zainteresowana ochronieniem gangsterów?

- W tym pewnie nikt spoza samej mafii nie będzie ci przeszkadzał. Pozwolisz, że w swoim czasie zakomunikuję to swoim?

- Mówię ci tylko to, co powinienes przekazać. Ale nawet gdybyście wy próbowali mi przeszkodzić, i tak ich zabiję. Nie chciałbym walczyć z wami.

W spokojnym głosie Chrisa zabrzmiała tak zimna determinacja, że Stawsky poczuł ciarki na plecach. Wierzę ci, pomyślał. Nie powiedział tego, nie mógł powiedzieć głośno. Głupia pewność, że ten człowiek może osiągnąć wszystko co zamierzy, była z gruntu irracjonalna, ale mocna, niewzruszona jak magia. Kto jest bardziej walnięty? Ja czy on?

- Są teraz diablo potężni i nawet trudno ustalić miejsce pobytu każdego z nich - powiedział ot tak sobie, aby coś powiedzieć. W ciszy między nimi zawsze było coś złowrogiego. Była równie zła jak zbędna paplanina. Zawsze wisiała w niej jakaś groźba.

- To tylko szczury, Stan, a ja wiem jak się na nie poluje. - Implant uśmiechnął się, a

właściwie skrzywił twarz w nieokreślonym grymasie, i to był następny znak dla kapitana. - Upoluję je wszystkie. Nie zasługują na łaskę. Jeśli myślisz inaczej, powiedz. To nie zmieni mojego stosunku do ciebie, ale też nie zmieni mojego postanowienia. - Sam przekręcał klamkę już zamkniętych drzwi. Już nie chciał mieć drogi powrotnej, a życie bez celu jest mało warte.

- Nie mam najmniejszego zamiaru ich bronić, Chris. Te kanalie w porozumieniu z innymi kanalami politykami, uczyniły z tego społeczeństwa żywego trupa w ciągu dziesięciu lat i to w imię całkowitej wolności jednostki. Podtykały oniryki pięcioletnim dzieciom, które umierają psychicznie w wieku piętnastu, dwudziestu lat. Uzależnienie od tego świństwa przyniosło ze sobą falę samobójstw, o jakiej nie słyszał nikt w historii. Poradziliśmy sobie z wirusem HIV, ale z tym nie można było nawet walczyć, bo to by była walka z całym establishmentem. Dla tych świń jedna śmierć to mało. Wszyscy normalnie myślący będą się tylko cieszyć, a ty staniesz się bohaterem.

Nie zrozumiał następnego grymasu Chrisa, który uśmiechał się tylko do własnych, niedawnych marzeń.

- Cieszę się, że cię poznałem, Stan. To było prawie wszystko, co chciałem ci powiedzieć teraz - wyrzucił z siebie niespodzianie. - Nie możesz jeszcze wiedzieć, kto mnie przysłał. Tę sprawę muszę załatwić sam. Ich także zabiję. Za to, że odebrali mi prawo wyboru, odebrali wszystko, a nauczyli zabijać.

Stawsky poczuł, że teraz musi spróbować raz jeszcze. Ostatni, rozpaczliwy raz. Przełom już nastąpił, miał co do tego pewność, a wyraźnym symptomem była nieoczekiwana gadatliwość Ivora.

- Posłuchaj, Chris. To bardzo ważne dla nas - głos zadrżał mu z napięcia. - Wiesz już chyba, że to właśnie ci, którzy cię tu przysłali są rozsadnikiem tego całego zła, nie mafia ani ci młodzi głupcy, jak trują środki masowego przekazu. Zrozum, jeżeli ci się nie uda, oni dalej będą działać zupełnie bezkarnie, a my z kolei nie będziemy wiedzieli, jak sobie poradzić z zastawionymi przez nich pułapkami. Ja nie proszę o to dla siebie Chris, ale dla tych nieszczęśników, którzy giną na ulicach. Możesz uratować życie tysięcy ludzi, jeżeli wskażesz nam tych najbardziej winnych, którzy podłożyli ładunki pod gmach Rady i sprowokowali masakrę. No i te ładunki nuklearne, którymi szantażują armię. Jeżeli je odpalą, będzie to oznaczało skażenie całego kontynentu, śmierć, kalectwo, chorobę dziesiątków milionów ludzi...

- Nie powiem nic, więcej nie nalegaj, Stan. Te słowa nie zmienią niczego. To moja sprawa, przede wszystkim moja i ja postaram się, aby nie wyrządzili już większego zła.

Gdybym ci powiedział, mogłoby stać się to największe zło. Tak sformułowana groźba znaczy, że detonator może znajdować się w jednym miejscu, prawda?

- Tak, sądzę że tak.

- Skoro tak sądzisz musisz uznać, że nie powinieneś wiedzieć - powiedział rzeczowo Chris i teraz Stawsky pojął. Najmniejsza fuszerka w ewentualnej akcji na siedzibę spiskowców mogła skończyć się przyciśnięciem guzika, a prawdopodobnie jest to jakaś forteca. Na zdetonowanie ładunków starczy sekunda, a zdesperowanych stać na wszystko.

- Wiem, skąd bierze się twoja pewność, ale i ona może być zawodna i niebezpieczna - rzekł cicho Stawsky.

- Przekonasz się o tym niedługo, Stan. - Chris zamilkł, a po chwili dodał z zadumą: - Nie pojawiaj się tutaj. Kto pierwszy wejdzie do tego schronu, będzie trupem.

- Chris, musimy się jeszcze spotkać choćby po to, bym mógł ci pomóc. Masz wciąż masę świństwa w głowie i z tym nigdy nie będziesz sobą. Potrzebuję czasu żeby ci pomóc, a mam przy sobie tylko trochę tego antidotum. To daję ci już teraz.

- Bardzo mi pomogłeś. Dzięki tobie i tym filmom z wolna poznaję rzeczywistość. Już sam fakt, że ty tu jesteś świadczy o tym, że armia poważnie myśli o uporządkowaniu chaosu i obawia się tylko o te ładunki. Czy tak?

- Armia musi to zrobić, Chris. Jest ostatnią siłą, która trzyma nas na krawędzi totalnej katastrofy. Przynajmniej ja w to wierzę. A tak się jakoś utarło, że państwa i ich instytucje nie ulegały żądaniom terrorystów. Armia może to zrobić dla zasady i wtedy przegrają wszyscy.

- Ja także chciałbym uwierzyć w to, że macie wystarczające siły na później. Chciałbym utrzymać z tobą kontakt, abyś pierwszy wiedział kiedy to nastąpi.

- Dziękuję przyjacielu - to słowo przywołało cień uśmiechu na twarz Ivora i w tej chwili można było zapomnieć kim jest. - Siedzę tu, w Strasburgu razem z „żelaznymi chłopcami Lawrensona”. Oni mają swoją kwaterę główną przy ulicy Schumanna. Pomagam zrobić z nich prawdziwe wojsko, ale pewnie mi się nie uda, bo ja sam mam trochę mgliste pojęcie o wojsku. - Widział zwróconą ku sobie twarz Ivora, a to był znak, że powinien mówić. - Jest ich tam ponad czterystu i to sami ideowcy z Youth Power. Nie chcą dać się spacyfikować mafii i wciąż wierzą w swoje młodzieńcze ideały, ale przeciw tym twardzielom ze Specnazu mają małe szanse. Powiedz strażnikom, że przychodzisz do chirurga, oni będą uprzedzeni. Pamiętaj, że potrzebujesz pomocy Chris. Na jak długo starczy ci adrenolu?

- Może na miesiąc, może dwa.

- Potrzebujesz nowych leków, a wierz mi, ja potrafię, my potrafimy.

- Rozumiem - odpowiedział Ivor krótko, prawie gniewnie. - Ale tu nie wracaj,

przypominam. Idź już!

- Do zobaczenia, Chris - powiedział Stawsky, wstając. Chciał powiedzieć coś zupełnie innego: „Żegnaj, czarny aniele”. Wcale nie wydało mu się to śmieszne ani głupie, choć tak oklepane. Dziwne, ale w samym środku piekła odnalazł jedynego sprawiedliwego. Mordercę. Chyba rozumiał racje Ivora. Tak. Jeden człowiek mógł dokonać więcej niż cała armia.

Chris Ivor znów został sam. Samotność to stan, w którym czuł się najlepiej, w nim mógł się maksymalnie skoncentrować. Rozsadzała go chęć działania, zupełnie jak po adrenolu. Prowadzony nagłym impulsem włączył telewizor i na rozświetlonym ekranie zobaczył szlachetne rysy i błędne oczy starego człowieka, usłyszał słowa: „...Musimy tworzyć naszą nową rzeczywistość na podstawie sprawdzonych, odwiecznych ideałów... W aurze nieklamanej wolności tworzyć pokój, miłość”. Pokrewieństwo między nim a mentorami z Hartenbergu było oczywiste, ale różnice też ogromne. Mówił niemal to samo co Gold, lecz inaczej, bez cienia wiary, prawie z bólem. Ten człowiek przypominał udręczone zwierzę, miał w oczach lęk jak zastrzelona przez Gregora sarna. To był Jack Kersee. Jego nazwisko pojawiło się w jednym z filmów obok Youth Power, więc znalazł się tam, gdzie nie powinien. Telewizja służyła komu innemu. Ivor czuł ból tego człowieka, tak jak silny wyczuwa słabość, mądry głupotę. To było tylko narzędzie do wykorzystania. Może się spotkamy Jack, pomyślał. Odsunął płytę w podłodze. Tu w płaskich pojemnikach spoczywały plastikowe fiolki z B1, gazem bojowym z prehistorii. Major Bretson był przezorny.

Ivor już miał pomysł na intruza. Umieści kapsułę z gazem pod windą. Kabina ją zmiążdży, a przy zamkniętych wejściach do pozostałych komór gaz zadziała natychmiast. Ale to nie wystarczy, przecież oni doskonale wiedzą, co tu zmagazynowali i zwykła maska przeciwgazowa załatwi sprawę, trzeba ubezpieczyć się podwójnie. Wymieszał ze sobą komponenty „końskiego łajna” i bez zastanowienia umieścił sporą ilość plastiku w wyżłobieniach podłogi pod windą. Trzeba jeszcze podsunąć uaktywniony detonator, niepozorne pudełeczko dwa na trzy centymetry. Zjeżdżająca winda wciśnie guzik detonatora i impuls radiowy będzie wezwaniem do nieba skurwieli, o ile takie niebo istnieje. Pułapka prymitywna jak zamaskowany dół, ale w tym miejscu powinna być skuteczna. On sam wydobędzie się szybem wentylacyjnym otwieranym tylko od wewnątrz i nie wróci tu nigdy. Przez chwilę czuł pokusę uaktywnienia całego zapasu materiałów wybuchowych, ale niszczenie dla niszczenia było mu obce. To najzupełniej wystarczy na myśliwego. A jeżeli wejście odkryje jakiś ciekawski? Do diabła z nim.

Działanie go ładowało. Słuchając elektronicznej muzyki z telewizora, zastawił podwójną pułapkę, a potem oszczędnymi ruchami pakował do niewielkiej torby kapsułki z

gazem, około kilograma materiału wybuchowego i dziesięć detonatorów. Z niejaką pogardą przyglądał się równym rzędom śmiertelności żelastwa w małej zbrojowni i skrzynkom z nabojami do karabinów, pistoletów różnych typów. Postanowił nie brać ze sobą tego złomu. Przekonał się już, że takie żelastwo jest oczywistą prowokacją dla każdego w tym mieście. Tu niektórzy zwykli wpierw strzelać do uzbrojonych, według starej policyjnej zasady, i już nie pytali o nazwisko. Tak, nie ma sensu. Wystarczy mu jego plastikowa zabawka, wyrzutnie i nóż. Nie może zapomnieć o spodniach z adrenolem, antidotum i paru drobiazgach.

Był jak napięta cięciwa i to bez adrenolu. Poczucie własnej siły upajało jak walka. Nie czuł głodu, ale otworzył puszkę z wołowiną. Od dawna jedzenie nie sprawiało mu najmniejszej przyjemności. Pakując się, jedząc, obserwował siebie z niedowierzaniem. Ruchy miał szybkie, zdecydowane, pewne, a całe jego ciało wypełniała prosta radość. Dopełnił mozaikę paroma elementami i wydało mu się, że poznał prawdę, nagą, bezsensowną prawdę Golda. Ale ta prawda nie była, nie mogła być całą prawdą. Chris Ivor wiedział, że nie ma pełnych prawd w świecie ludzi.

Największy apartament na przedostatnim pięć paryskiego Hiltona gościł śmietankę władzy ostatnich tygodni. Domenici, van Arle, Hertz, Beaumont, Korobkow, Slims, Kreutzer. To oni pociągali za najgrubsze sznurki, oni czuli się panami wstrząsanej konwulsjami Europy. Siedem głów hydry. Współ rzucili się w ten wir, który ciągnął ich w dół i żaden nie zdawał sobie sprawy, gdzie może być dno. Wiele lat pływali po spokojnych, ciepłych wodach. Pamiętali nieukrywaną pogardę biorących łapówki urzędasów, protekcyjne zachowania polityków wykrzywających usta w grymas niechęci i wyciągających ręce do tyłu po pieniądze. Teraz rozkoszowali się jedynym, oszałamiającym smakiem władzy, pełnej, bezgranicznej władzy nad życiem i śmiercią milionów. Zdawało się, że uświęcają miejsca, w których postawili stopy, jak tu w ogromny pustym hotelu strzeżonym tylko dla nich przez wiernych jak psy ludzi i skomplikowane systemy bezpieczeństwa. Sycili się strachem i służalczością innych. To było boskie, ale smak wielkości psuł ten Rusek ściągnięty poza plecami innych przez Angela. On samotnie stał na swoim szczycie, a oni tłoczyli się na innym, z pozoru o wiele wyższym, ale kłującym tyłki.

Zaakceptowali fakt dokonany przez starego, nie wiedząc co ich czeka. Miało być najwyżej kilkuset speców od roboty wojskowej dla jednoczesnego uderzenia na trzy magazyny broni z demobilu, niedbale strzeżone przez plutony wartownicze. Mieli to być weterani z Czeczenii i Iraku. I co? Podpisali się pod tym zbyt pochopnie, a dlatego że kłopoty z bronią dawały się mocno we znaki, od kiedy prawie zamarł europejski handel tymi pożytecznymi utensyliami. Tę robotę Rosjanie wykonali wzorowo, ale nie zniknęli jak było zaplanowane, zaczęli się mnożyć. Pięć tysięcy, może nawet dziesięć... tego żywiołu nie można było opanować, tym bardziej że był to żywioł perfekcyjnie zorganizowany, nie jacyś tam faceci o byczych karkach i z magnum pod pachą, trafiający we wrota stodoły z dziesięciu kroków, jeśli potrafili zliczyć kroki. Swoimi kanałami mafiozi dowiedzieli się, że to żadna pomoc sąsiedzka, lecz ludzie z brygad GRU armii rosyjskiej, a tych wystarczająco rozreklamowali autorzy powieści sensacyjnych. To wszystko budziło niepokój. Angelo, nie wyjaśniając niczego, twierdził uparcie, że panuje nad sytuacją i tamci robią tylko to, co on im rozkaże. Surowo zabronił wtrącania się w ich sprawy. Nie chcieli się wtrącać po tym, jak egzekutorzy potraktowali ich ludzi. Podejrzewali, że Angelo ściągnął Rosjan tu po to, by mieć

bat na nich.

Zdobyta broń rozplynęła się po Europie i trafiała w ręce tych, którzy chcieli sobie postrzelać. Szybkość i precyzja tej operacji przeprowadzonej przed wybuchem zdumiewała do granicy strachu. Przekroczyli ją w dniu wybuchu. Na placu przed gmachem Rady zgromadziło się ponoć ponad pięćdziesiąt tysięcy młodych demonstrantów protestujących w imię protestu. Spokoju strzegło aż pięć tysięcy policjantów uzbrojonych tylko w pałki i paralizatory, ostrzeżonych przez informatorów, że ma to być demonstracja aktywna. Granatowe kordony zamykały cztery z pięciu wylotów ulic placu Europy. Policjanci czuli się pewnie jak na pikniku.

I stało się. Najpierw eksplozja na dachu, potem to nierealne zapadnięcie się majestatycznego gmachu Rady. Olbrzymi tłum westchnął z grozy, a później poddał się dzikiemu, zwierzęcemu strachowi. Podzielony, porozrywany na części, ruszył w panice na kordony, byle dalej od miejsca małego Armagedonu. A wtedy, od strony oddziału policji z Chartres, zamykającego wylot ulicy 2003 roku rozległy się serie z broni maszynowej i kładły pokotem szeregi manifestantów. Policjanci strzelali do bezbronnego tłumu! Strzelali z broni maszynowej! Jeszcze bardziej niewiarygodna była odpowiedź tłumu, bo i stamtąd rozległ się charakterystyczny terkot. Rozwierały się wrota piekieł. Dachy i okna domów za plecami policjantów zamieniały się w punkty ogniowe, a ulice w eksplodujące pułapki. Bezbronni policjanci nie mieli najmniejszych szans na obronę czy ucieczkę i zapłacili cenę najwyższą. Nikt nie liczył trupów, ale jeżeli udało się ocaleć paru setkom mundurowych, był to istny cud. Pułapkę zastawiono z precyzją elektronika, tak by znalazło się w niej jak najwięcej ofiar, a zamknęli ją „spece” Korobkowa, ponoć za wiedzą Domeniciego, van Arlego i Hertza. Najemnicy rzucili im owoc w dłonie, demontując w następnych dniach centralne struktury. W dłonie? Raczej nie. To prędzej uderzenie dojrzałym arbuzem w głowę.

Angelo Domenici stał się niekwestionowanym przywódcą organizacji. Upřednio wykazywał nie lada talenty strategiczne, bo to oni wyprowadził mafię z podziemia, a jej ludzi uczynił prawie bohaterami ostatnich lat. On też zajmował honorowe miejsce między tymi lisami i Korobkowem.

Rosjanin zupełnie nie pasował do luksusowych wnętrz. Metr dziewięćdziesiąt wzrostu, sto kilo wagi, potężne bary, gracia zapaśnika, obojętny wyraz twarzy. To on, człowiek do specjalnych poruczeń, de facto szara eminencja ostatnich tygodni i zarazem największa zagadka tego czasu.

- Przyjaciele! - Domenici wprost promieniał. Pewnie miał za pazuchą jakąś niespodziankę, niekoniecznie miłą. - Zaprosiłem was, bo trzeba podjąć decyzje, co do

naszych dalszych kontaktów z profesorem Goldem. Przed dwoma dniami był u mnie jego wysłannik i ostro domagał się dotrzymania warunków umowy, jaką zawarliśmy w Monachium, grożąc nam kilotonowymi minami. Wszyscy wiecie że w umowie zobowiązaliśmy się do przekazania władzy tym walniętym naukowcom w zamian za szczególne uprawnienia dla naszych interesów i częściową partycypację w sprawowaniu władzy. Przed udzieleniem odpowiedzi postanowiłem skonsultować się z wami. - Kiedy umilkł, zauważył ukradkowe, porozumiewawcze spojrzenia jakimi starali się badać nawzajem.

- Zdaje mi się, że i tak podjąłeś decyzję, Angelo - flegmatyczny zazwyczaj Slims wyprzedził pozostałych, którzy i tak chcieli zostać w tyle na starcie. - Nasze rady są ci potrzebne tylko po to, żeby się upewnić, czy masz pełną rację. Aha, widzę, że chcesz bym przeszedł do rzeczy, czy nie tak? Natychmiast, Angelo. Otóż ja myślę, że trzeba powiedzieć tym pieprzonym dupkom, żeby się odwalili. Ich wejście na scenę z tymi wariackimi utopiami byłoby gorsze od AIDS. W tym ich rajku, o którym plotką po prostu nie będzie dla nas miejsca. Chcieliby przerobić nas na aniołki, a to jest po prostu niemożliwe. Zresztą sami pokornie służą Belzebubowi. Jeżeli mają się przydać, to tylko jako listek figowy. Czy odpałają te miny? To by znaczyło, że są samobójcami. Ten lotniskowiec to rozumiem, ale piękne, stare miasto. Czy wiecie, dlaczego zniszczyli Lejdę? Bo już nie mają tych argumentów, którymi straszą. Proste, nie? - skończył z zagadkowym uśmiechem.

Pozostali na pewno byli zdeorientowani. Każdy by to zauważył, przecież Slims nie był wielbicielem kursu Angela. Uważał, że tracą za dużo, przymierzają się do ciężaru, który jest nie do udźwignięcia. Tylko Korobkow pozostał sobą. Jak nieobecny, wpatrywał się we wzory pysznego perskiego dywanu. Zawsze robił z nich wały udając, że niezbyt dobrze rozumie język angielski i w razie potrzeby niechętnie odpowiadał niezrozumiałym, moskiewskim pidżinem.

- Nie możemy traktować tej umowy poważnie. Zgadzam się z tobą, Anthony - otyły i czasami niezbyt rozcignięty van Arle poparł Slimsa. - Nawet gdybyśmy chcieli, nie możemy jej dotrzymać, bo potem oni by nie dotrzymali swoich zobowiązań, to jasne. Wielu wariatów rządziło tym światem, ale ci komiksowi pomyśleńcy to już szczyt wszystkiego. Postawili nas przed faktem dokonanym. I tak by zrobili swoje, chociaż wtedy nikt nie myślał, że to się tak potoczy. Ja bym ich jednak pozwodził trochę, a potem załatwił i już.

- Więc jest tak, jak się spodziewałem, przyjaciele. - Domenici powstał i zaczął wolno chodzić po apartamencie. Czuł się jak treser panujący nad stadkiem tygrysów. - Większością głosów przesądziliśmy o odejściu od tej głupiej umowy, której tamci i tak nie będą mogli

wykorzystać przeciw nam bo wiadomo, że kto ma władzę ten ma rację. Ich groźby uważam za śmieszne. Nie są aż na tyle zwariowani, by rujnować Europę tylko dlatego, że nie udało się od razu osiągnąć celu...

Coś tu się wyraźnie nie zgadzało. Taką decyzję mógł przecież podjąć sam, a tymczasem podchodzi do sprawy jak z gołym zadkiem do jeża.

- A może jednak zarządzisz formalne głosowanie, Angelo? - Kreutzera wyraźnie poniosły nerwy i dał poznać, jak traktuje uzurpację Domeniciego. Nic dziwnego, bo właśnie on stracił najwięcej, poprzednio miał monopol na hazard w całej Europie, był „baronem Monte Carlo”, a teraz prawdziwy hazard uprawiało się na ulicach, gdzie stawki były wyższe.

- Przepraszam Henryku. Sądziłem naiwnie, że takie głosowanie jest niepotrzebne, skoro czterech z nas jest za zerwaniem - słodko, z nieudolnie zagranym zdziwieniem powiedział Domenici. - My trzej i nasz przyjaciel Gienadij to już czwórka, a więc większość. Czy mamy głosować jak w parlamencie? No cóż, jeżeli tego sobie życzysz drogi przyjacielu... Proszę, panowie.

Uniosły się wszystkie ręce, najpóźniej łapa Korobkowa, tego cholernego barbarzyńcy od białych niedźwiedzi.

- Upoważniacie mnie tym samym do tego, abym za dwa dni w Strasburgu delikatnie pokazał figę Goldowi i zaproponował zmianę warunków umowy. Tylko tyle, bo proszę pamiętać o tym, że mówimy tu o źródle nowych technologii. Udamy się tam we trójkę. Ian i Paul zdecydowali się mi towarzyszyć. Wyjaśnimy kontrowersje w sposób dyplomatyczny. Myślę przyjaciele, że pomoc tych zwariowanych naukowców będzie nam jeszcze potrzebna, gdyż wbrew pozorom stać ich na bardzo wiele. O tym już się przekonaliśmy. Nie spełniają swoich szaleńczych gróźb. Posługują się nimi jak argumentami, bo innych nie mają.

- Z tego co wiemy, stać ich na jeszcze więcej. - Ian van Arle starał się ostatnio wspierać szefa, jeżeli patrzyli na to inni, a za jego plecami bywało różnie. - W końcu to oni wyciągnęli kasztany z ognia, a my je konsumujemy, nieprawdaż? Moim zdaniem warto im dać możliwość stworzenia tej swojej utopii w jakimś zadupiu. Niech próbują stworzyć coś bez bata.

Van Arle plół, ale tymi zdaniem wplół parę małych prawd. Gdy zawierali umowę z tymi mędrkami zdawało się, że podpisują nedorzeczny pakt ze zwariowanym diabłem. Układ byłby do końca zwariowany, gdyby nie ta niedwuznaczna zachęta Morisa. Diabeł potężny i to nie tylko dlatego, że Gold był krezusem. To jego ludzie wymyślili projekt przejęcia broni i dostarczania jej dzieciakom. Oni dostarczali tego niesamowitego materiału wybuchowego, który okazał się jednym z kluczy do zwycięstwa. No i przede wszystkim oni nafaszerowali

gmach Rady jeszcze skuteczniejszym środkiem i załatwili Boscha. Właściwie to oni wykonali czarną robotę. Teraz wyglądało na to, że chcieli dokonać groteskowego zamachu stanu przy pomocy organizacji. Naiwni, jajogłowi głupcy, którym zdawało się, że mogą ich traktować jak chłopców na posyłki. Właściwie to jajogłowi nie odgrywali żadnej roli w pierwszych dniach, a im to nie wydawało się podejrzanym. Może powinno?

- Życzę smacznego Ian ale to nie jakieś tam kasztany, tylko kogel-mogel utarty z rzadkiego gówna i piachu. Ty i tak to zeżresz.

Slims pozbył się lisiego uśmiechu, z jakim pozwalał sobie pochwalać decyzje Angela, za to van Arle zaczął przypominać błotny wulkan.

- A co ty sobie myślisz, pieprzony Angolu?! Że będziesz sobie mną podcierał dupę?! - ryknął jak rozwścieczony hipopotam. - Nikomu na to nie pozwolę, nikomu!

- Przyjaciele! - Angelo stanął między nimi, unosząc ręce w geście proroka wołającego na puszczy. - Uspokójcie się, błagam. To ma być rzeczowa rozmowa o naszych żywotnych sprawach, o naszym jutrze, a nie jazgot przekupek - wygłosił jeszcze parę frazesów, by dać im czas na ochłonięcie, ciesząc się w duchu, że sprawnie dzieli i rządzi. - Proszę, Anthony. Skończ swoją kwestię.

- Okay, więc powiem, o co mi chodzi, co mnie niepokoi. Nie dali nam nic. My sami na ślepo wleźliśmy w szambo, zamiast zapobiegać. Cały system, w którym tak dobrze się zaadaptowaliśmy, czerpiąc z tego bajkowe zyski, zmarł śmiercią gwałtowną. Po prostu zdechł i sytuacja odwróciła się o parę tysięcy stopni, jak na zwariowanej karuzeli. Teraz to my zostaliśmy zmuszeni do tworzenia systemu, a właściwie antysystemu, z którym powoli oswajają się resztki Europy, bo o akceptacji jeszcze nie można mówić. W miarę stabilne układy rozsypały się jak domki z kart. Teraz to my mamy władzę, która spadła nam z nieba i z której nie czerpiemy żadnych korzyści, a przynajmniej nie można ich mierzyć pieniądzem. System finansowy nie istnieje i nie wiem, kto i kiedy go odtworzy. Na pewno nie my, choć niby jesteśmy dobrze zorganizowani. Mamy inne dobra, ale możemy je tylko wymieniać jak w epoce kamienia, żebyśmy mogli zaspokoić żądania naszych poddanych, a tych mamy coraz mniej. Jednych zabijamy, drudzy uciekają gdzie pieprz rośnie. Po jaką cholere nam te puste miasta, po co nowe obowiązki, które narażają nas tylko na straty? Wydaje mi się, że zostaliśmy wpuszczeni w najgłębszy, najbardziej smrodliwy kanał i udajemy, że nam tu dobrze, bo nie pada. Czym jeszcze się łudzicie? Przestaliśmy być tacy jak dawniej i nie wiemy, kim chcemy zostać. Na siłę zapominamy o niewygodnych faktach, a takim jest na przykład nasz przyjaciel Korobkow... - Rosjanin ani drgnął, słysząc swoje nazwisko, jakby naprawdę nie rozumiał - Czy dla ciebie wszystko jest naprawdę jasne, Angelo?

Domenici słuchał tego z nonszalancką pewnością siebie, jakby zarzuty nie były godne uwagi, jakby nie zauważał reakcji pozostałych, potakujących samymi wyrazami twarzy.

- Skończyłeś już, Anthony? Doskonale. - Wstał i przechadzając się za ich plecami, zaczął wykład: - Wielkie cele wymagają wielkich wyrzeczeń. To stara i znana prawda, przyjaciele. Pamiętacie pewno, że za legalizację naszych interesów zapłaciliśmy rocznym zyskiem i równie dobrze jak ja pamiętacie, że krzywiliście się wtedy. Pamiętacie i to, że w ciągu następnego roku nakłady zwróciły się z nawiązką. Teraz nie zostaliśmy wmanewrowani, o nie. Teraz po prostu płacimy. Tak, płacimy wiele za to, że przejmujemy pełną władzę nad naszym kontynentem. Chcemy być i będziemy władcami Europy - uniósł głos i zamilkł. Odślonił się zupełnie na tle fantastycznego obrazu i widział, jak czaruje słowami. Nie przeciągał przerwy, nie chcąc prowokować głupich pytań. - Ten stan, na który tak narzeka nasz przyjaciel Anthony, jest tylko ceną, wysoką ceną, ale nie będzie trwał długo. Wiem, co należy robić moi drodzy i chcę się z wami podzielić moją wizją przyszłości. Już za jakiś czas, miesiąc, może półtora, ogłosimy nowe wybory, proponując inną niż dotąd formę władzy. Demokracja przeżyła się ostatecznie. To wielka robota organizacyjna, ale przy naszym zapleczu poradzimy sobie. Nie muszę chyba dodawać, że my, organizując wybory wygramy je w cuglach. Wtedy armia i policje wszystkich krajów Unii będą musiały uznać naszą władzę, której nie chcemy, ale którą musimy przejąć. Wszyscy akceptujący demokrację uznają legalną władzę Europy, uznają ją świat a my staniemy się zbawcami. Trzymamy jakoś rękę na produkcji przemysłowej, mamy środki przekazu i z ich pomocą nakłonimy do powrotu specjalistów. Zresztą już wracają. Tak przyjaciele, staniemy się jedynowładcami, panami i zbawcami Europy. Czy nie jest cel godny takich wyrzeczeń? Nasze wspólne korzyści będą setki razy większe niż dotąd.

- Do diabła! To takie proste i takie genialne - szepnął z prawdziwym podziwem ich geniusz finansowy Kreutzer.

Zupełnie zrezygnowany Slims, patrząc na rozanielone twarze, skapitulował. Postanowił milczeć, choć chciałoby się krzyknąć na głos do tych ślepych i głuchych: „Spójrzcie tylko na ulice!”. Ale w tej sytuacji? Piekło albo władza. Może się uda? Tak pewnie myślą tutaj wszyscy, ale ja wysiadam na tym przystanku, moi panowie. Wrócę do siebie, do starej, trochę mniej wesołej Anglii i rozpocznę życie emeryta, jeśli „przyjaciele” pozwolą. Nie, nie pozwolą dla samej zasady, nie ludź się chłopie.

- Tych zaś, którzy doprowadzili do tego chaosu, osądzimy i ukarzymy według ich winy w majestacie prawa, które my ustanowimy. Usuniemy ich z drogi jak najbardziej legalnie, o ile można tak powiedzieć - delektując się wymowną ciszą i widokiem

skamieniałych postaci, Angelo dopełnił pękatą czarę ambrozji.

Tylko Slims i Beaumont nie wydawali się zbytnio poruszeni. Obaj musieli jednak przyznać, że Korsykanin jest przedni w posługiwaniu się pieniędzem, szantażem, śmiercią. W dodatku jego atutem były ściśle więzy z Wielką Rodziną za oceanem, która skorzystała z precedensu europejskiego nieporównanie więcej niż sami Europejczycy. Oni jednak nacisnęli na czas Hodgesa i znormalizowali sytuację. Tam wszystko pozostało na swoich miejscach. No, ale Amerykanie to Amerykanie.

- A jeżeli armia się na to nie zgodzi? Zdaje się, że twój syn sondował Donovana poza naszymi plecami. Czy to prawda? - zapytał poważny Beaumont.

- Tak, to prawda. - Angelo spodziewał się takiego ciosu i był przygotowany. Dobrze, że wypłynęło to dopiero teraz, kiedy zastawił już sidła. - Zrobił to na moje osobiste polecenie, którego nie miałem czasu skonsultować z wami. Miał się rozejrzeć i ewentualnie zaproponować wojskowym rozmowy. - Kłamstwo musiało mieć wszelkie pozory prawdy i być podrzucone sposobem kukułki.

- Ale w tym przypadku po raz któryś przekroczyłeś swoje ustalone kompetencje, Angelo - swobodnie zauważył dziwnie napastliwy Beaumont. - Nie tylko nie powinieneś, ale nie mogłeś tego zrobić bez porozumienia z nami. Zapomniałeś, że to myśmy cię wybrali na czas określony i my możemy odwołać. Właściwie powinniśmy wypowiedzieć ci posłuszeństwo, ale...

- ...nie zrobimy tego jeszcze teraz, nie w tej sytuacji. - Kreutzer po swojemu uzupełnił słowa Francuza, napełniając swoją szklaneczkę wytrawną sherry. - Ten szalony plan ma wiele luk, ale to plan dla takich jak my. Zawsze balansowaliśmy na krawędzi ryzyka. Swoją drogą - zauważył - musisz utemperować swojego synalka i przestać myśleć o nim jak o swoim następcy. Krąży o tym sto pogłosek, Angelo.

- Myślę przede wszystkim o organizacji, a wy wiecie najlepiej, ile jest prawdy w plotkach. - Angelo zareagował oburzeniem. - Nawet jeżeli to tylko ohydne plotki, obiecuję wam, że go powściągnę i na bieżąco będę konsultował wszystkie decyzje o znaczeniu strategicznym przyjaciele, ale w tej sytuacji te o charakterze taktycznym pozostawcie mnie. Obiecuję, że nie będę przekraczał uprawnień. Dziś jest czas na pomówienie o szczególnych prerogatywach dla mnie. Jeżeli chcemy osiągnąć ten cel, musimy być jeszcze szybsi i bardziej zdecydowani, a przede wszystkim jednomyślni.

Był na to czas. Wszyscy są w sidłach, tylko tych dwóch może otwarcie wystąpić przeciw niemu. Może byłoby lepiej, gdyby okazali sprzeciw już teraz? Korobkow chętnie by się nimi zajął.

- A więc chcesz pełnej władzy nad organizacją na czas nieokreślony, jak rozumiem - powiedział wolno Slims. On się tego spodziewał. Angelo kumulował władzę krok po kroku, Korobkow wypełniał tylko jego rozkazy, a Rosjanie mogli rozwalić organizację w pięć minut. Byli wszędzie. Marsylia, Lyon, Paryż, Hamburg, Berlin, Monachium, Warszawa, Budapeszt...

- Nie rozumiesz mnie, Anthony - odparł porywczo Domenici. Ja chcę dać władzę wam, władzę, o jakiej nie marzyliście, pełną władzę nad setkami tysięcy, nad milionami ludzi, przemysłem, wszystkim. Naszą dewizą powinno być „wszystko albo nic”. Zresztą nie możemy wyczekiwać w tej sytuacji, jeżeli nie weźmiemy się za to dziś, już jutro może być za późno. Jeśli chodzi o mnie, będę tylko zewnętrznym symbolem naszej władzy i myślę, że zasłużyłem na to swoją działalnością.!

- Poznajcie prawdę a ona was oślepi. - Slims już sam nie wiedział, po co mówi to tym tokującym batalionom, a poddawanie się emocjom w tym miejscu było czystą głupotą. Nawet gorzej, bo wyglądał tak, jakby stracił instynkt samozachowawczy. - Odpowiem ci, Angelo. Ja takiej władzy nie chcę choćby pochodziła z twoich uświęconych rąk, ale nie pomagając w zbożnym dziele, nie będę też przeszkadzał. Jesteście większością i macie rację, ja szanuję święte reguły demokracji. Jeżeli pozwolicie opuszczyć was już teraz, by moją skwaszoną miną nie psuć wam dobrego nastroju. Życzę powodzenia w realizacji ambitnych planów.

- Jeżeli tego chcesz... Jesteś panem siebie, drogi Anthony. - Angelo rozłożył bezradnie ręce jak Brando w starym klasyku. - Będzie nam bardzo brakowało szczypty niezdrowego rozsądku i twojego angielskiego humoru.

Akurat, pomyślał Slims, ściskając mu rękę na pożegnanie. Już zagiąłeś na mnie palec, ale nie dostaniecie mnie tak łatwo. Ani ty, ani twoi „spece”. Obym tylko wyskoczył z Francji.

Wyszedł, żegnając się zdawkowo z pozostałymi i nawet Beaumont nie uniósł głowy. Nikt też nie próbował go zatrzymać, wyperswadować decyzji, już był trędowaty. Aż do czarnej limuzyny, która nie tak dawno służyła ministrom rządu europejskiego, nikt mu nie przeszkadzał, jego goryle byli na miejscach. A kiedy wskoczył do czekającego śmigłowca, poczuł się na razie bezpieczny. Teraz skok przez kanał La Manche na aktywnych radarach baz armijnych w Boulogne i Folkestone i będzie na swoich śmieciach z wyrokiem śmierci, który, być może wydano w sposób jak najbardziej demokratyczny.

Nie dostaną go tak łatwo. Przekonają się, że jego chłopcy z SAS nie są gorsi. Dzięki Bogu stara dobra Anglia nie dała się zwariować do końca. Rewolta musnęła ją tylko skrzydłem, a flegmatyczni mieszkańcy Albionu zachowali się jak w czasie tej szwindlowatej bitwy o Anglię, w której jedna strona nie mogła, a druga nie chciała zwyciężyć.

Samooorganizacja i formy samopomocy społecznej były wprost wzorcowe, jak i wielka

była zdolność do wyrzeczeń w imię przetrwania. Anglicy pozostali zdrowsi od Europejczyków, a średnie konsumpcji halucynogenów i oniryków kształtowały się na poziomie trzydziestu procent spożycia kontynentalnego, chyba dzięki temu błogosławionemu konserwatyzmowi. Mieli króla Karola i na szczęście ani jednego egzekutora. Korobkow nie chciał rozśrodkowywać sił.

- Dobrze się stało, że nasz stary przyjaciel Anthony się odsłonił. Nie będziemy się łudzili, co do niego, przyjaciele. Przegrał swoją szansę i już jej nie odzyskuje. - Domenici nie tracił dobrego humoru. - Chcę wam teraz zakomunikować, że od jutra rozpoczynamy kampanie propagandową, której celem ostatecznym będzie uporządkowanie tego chaosu. Próbuujemy, ale to ciągle za mało. Już jutro chcę zapowiedzieć przez nasze środki masowego przekazu wolne wybory prezydenckie, nie określając oczywiście terminu ani ordynacji, która musi być odpowiednia do warunków - Rozpoczynała się następna część spektaklu, premierowego spektaklu przygotowanego w kularach przez trzech z nich.

- To nie ma większego sensu, Angelo - nieoczekiwanie przerwał wynurzenia bossa Hertz z miną Kolumba, który właśnie postawił jajko. - Ogromna robota organizacyjna tylko po to, żeby zafałszować te wybory? Nie rozumiem po co. Mam inny pomysł i zdaje się, że niegłupi na taką sytuację. Myślę, że można to zrobić szybciej i skuteczniej, a przekona to ludzi łatwiej niż jakieś tam wybory.

- Bądź łaskaw nam to wyjaśnić - ponaglił Domenici, udając prawdziwe zainteresowanie. Doskonale wiedział co usłyszy, obgadali to parę dni temu i uznali takie rozwiązanie za najlepsze z dobrych. Po jaką cholere bawić się w demokrację, skoro można to załatwić w ten właśnie sposób, jaki podsunął im Korobkow? Nie zastanawiał się nad tym, czy przypadkiem nie nakręcił go ktoś z zewnątrz, bo szef egzekutorów nie wyglądał na intelektualnego orła. Wciąż nie można było go rozgryźć.

Pewny efektu Hertz nie mógł odmówić sobie napoleońskiego gestu.

- Po prostu zapowiemy, że w obecnych, skomplikowanych warunkach nie możemy zastosować pełnych procedur demokratycznych i do czasu ustabilizowania sytuacji i wolnych wyborów jesteśmy zmuszeni ustanowić coś takiego jak Rada Ocalenia Europy albo rząd tymczasowy. Nazwa nie gra roli. Wezwiemy przy tym ludność do powrotu, obiecując bezpieczeństwo i porządek w miastach. Tej obietnicy musimy dotrzymać, nie mamy wyjścia. Zdaje mi się, że to powinno przynieść pożądane skutki. Trzeba będzie tylko spacyfikować do końca ważniejsze ośrodki przemysłowe, ale nasz drogi przyjaciel Gienadij się tym zajmie, prawda?

Oczy obecnych zwróciły się na Korobkova, który nie patrząc na nikogo, skinął lekko

głową. Miał już sporo wprawy w pacyfikacjach uzbrojonych szczeniaków. Pospieszyli się wtedy z rzucaniem broni pomiędzy dzieciaki. Nie chcieli jej teraz oddać dobrowolnie, choć mieli obiecane pięćset dawek oniryku za broń krótką i tysiąc za maszynową. To przecież godziwa cena, a jednak oni woleli strzelające zabijające zabawki. Ludzie Korobkowa liczyli już oniryki na tony. Przez trzy tygodnie odebrali, a raczej zdobyli dwadzieścia pięć tysięcy sztuk karabinów i pistoletów, co nie rozwiązywało problemu. Metoda była arcyprosta, kulowa i ostatnio nawet nie sprzątała po sobie, musieli ich zastępować ludzie organizacji, a robota grabarza od wieków była zajęciem raczej niewdzięcznym.

- Taaak - powiedział przeciągle Domenici po odpowiednio długim namyśle. - Muszę przyznać, że to wyjście znacznie prostsze i bardzo mi się podoba. Tego nie będę przed wami ukrywał. Zaraz niech pomyślę na gorąco. Do takiej rady weslibyśmy oczywiście wszyscy, dzieląc się odpowiedzialnością za różne resorty, a poza nami kilku albo kilkunastu bardziej znaczących przedstawicieli świata nauki, przemysłu, kultury. O tak, przyjaciele! - krzyknął z miną wtórnego odkrywcy. - To przecież znakomite pole do kompromisu z Goldem, który jest nam potrzebny z wiadomych względów. Mając go pod ręką, możemy go kontrolować, pamiętajcie o tym. Chyba nie odmówią, jeżeli na przykład zaproponujemy im pięć miejsc w tej radzie, oczywiście bez większych uprawnień. Co wy na to? Ja jestem za takim projektem. Zamiast stawiać ich pod ścianę, damy im małą rekompensatę, którą przedtem nieco ulukujemy. Jeżeli pozwolicie, przedłożę im to pojutrze.

- Owszem, to kuszący pomysł i serdecznie gratuluje, Paul. - Beaumont z galanterią oddawał honory Hertzowi. - Ale jeżeli mamy się tym poważnie bawić, będzie nam potrzebne jeszcze coś, mianowicie uznanie tej rady przez kogoś z zewnątrz, a tymczasem wszyscy obcy dyplomaci albo wyjechali, albo są chronieni przez armię. Przydałby się Slims, on ma najlepsze kontakty w ONZ. Uznanie naszej rady przez kogoś z zewnątrz to poważny argument. Nie myślicie?

- Tak, to znaczący argument, ale zapomniałeś o jednym, przyjacielu. Slims już został skreślony - zauważył zimno Domenici. - A jeżeli chodzi ci o prezydenta Stanów i jego uznanie dla nas, ja biorę to na siebie. Stany i Rosję. Jeżeli nie uznają nas w ciągu trzech dni od chwili proklamowania Rady Ocalenia Europy, wracam na Korsykę pasać kozy. - Roześmieli się wszyscy, niezbyt głośno, ale zgodnie.

Domenici mógł jednak najwięcej z nich. Ostatnie tygodnie pokazały to najdobitniej. Przytłaczał ich, zaskakiwał coraz to nowymi rozwiązaniami. Pokazał się z najlepszej strony przed ponad dziesięciu laty jeszcze jako prawa ręka Arminiego, kiedy to Europie zagroziła działalność mafii rosyjskiej. Na coraz brutalniejsze wyczyny Rosjan odpowiedział

ściągnięciem kilku komand ze Stanów. W ciągu krwawych czterdziestu ośmiu godzin spacyfikowano wszystkie ośrodki Rosjan w Europie, zabijając około stu. To nie było wszystko. Jednego dnia w Moskwie, Petersburgu, Kijowie doszło do serii znakomicie zorganizowanych zamachów na polityków i ludzi biznesu, mało kto łączył tamte egzekucje z porachunkami mafijnymi. Po eliminacji kilkudziesięciu głów mafii władzę na strukturami rosyjskimi przejął były oficer GRU Smirnow i natychmiast zaproponował rozejm. Poszeptywano, że Domenici dogadał się z FSB i GRU, ale czego to się nie mówi? Po naturalnej śmierci szefa on zajął jego miejsce i działał tak samo.

- Wobec tego pozostał nam jeszcze jeden problem, o którym wszyscy z nas zapomnieli, a raczej nie chcą pamiętać - nie ustępował Beaumont. - Ten problem nazywa się Moris Carney, panowie. Z tego co wiem, zbiera wokół siebie niedobitki tamtej epoki. Wciąż jest ogromnym autorytetem, przed którym kłoni się Donovan. Może i jemu proponujemy udział w naszej radzie? Trzeba tylko zrobić tak, by musiał przyjąć.

- Nie, przyjacielu. Nie wpuścimy tej owieczki na łąkę, nie Carneya - zachmurzył się Domenici. Jak się okazało, miał dla nich nową odpowiedź i na tę wątpliwość, choć nie mógł wyznaczyć prawdy. Ten problem już został teoretycznie rozwiązany. Zajmuje się nim mój przyjaciel Gienadij.

Kandydatura Carneya mogła kusić innych, ale nie szefa organizacji. Po pierwsze, Carney był zbyt mądry i mocny, by zapraszać go do tańca przy ich muzyce. Po drugie, był największym przeciwnikiem legalizacji ich interesów, a po trzecie miał zbyt duży autorytet i nawet szczątkowa opinia publiczna natychmiast ujrzałaby w nim prezydenta. Był zbyt niebezpiecznym rywalem i dlatego Angelo polecił go zlikwidować. Korobkow dotąd nie wykonał rozkazu utrzymując, że Carney jeszcze może się przydać. Angelo nie ośmielił się zapytać, do czego. Nie okazał też zaskoczenia. W jego szkole przetrwania uczono czekania na swój czas. Zaczeka i uderzy. Korobkow i Carney to ludzie z czoła listy jego wrogów, a taki Slims pęta się gdzieś w ogniu. Natomiast Gold i naukowcy nie wydawali się zbyt groźni. Do takiego mniemania uprawniało ich zachowanie w ostatnich kilkunastu dniach. To tylko śmieszni, zwariowani jajogłowi z komiksów. Pewnie nad tym co już zrobili myśleli z dziesięć lat a teraz brak im konceptu.

Dla myślącego Beaumonta nie ulegało już wątpliwości, że wszystko było szczegółowo przemyślane, pewnie poddane jakimś prymitywnym grom symulacyjnym i zabiegom predykcyjnym przez doradców z EIA. I do diabła wszystko było możliwe, co tam możliwe, leżało na wyciągnięcie ręki. Ktoś przecież musiał coś zrobić z tym bajzlem i to szybko bo czas był coraz droższy. Odtworzenie systemu w takiej samej postaci jak przedtem było

nierealne, ale jego wiernej atrapy tak. Każdy system totalny można odtworzyć stosunkowo łatwo, a tamten był totalny mimo wspaniałych iluzji wolności osobistej u naćpanych po uszy obywateli. Była to dyktatura ciemniaków w białych kołnierzykach. To sformułowanie, które usłyszał dość dawno, trafiało w istotę systemu.

Ich statystyki sprzedaży nie kłamały. Około sześćdziesięciu procent dorosłych obywateli Unii było całkowicie uzależnionych od oniryków i halucynogenów, a dziewięćdziesiąt procent uznawało wszechwiedzę telewizji. Starczy ich zwabić i wrócić z powrotem w skisłe ciepłko między lodówkę a telewizor. Starczy uruchomić jeszcze parę setek zakładów i tym samym to połowiczne gospodarcze perpetuum mobile, powrócić do umownego pieniądza. Muszą poczuć się bezpieczni w czterech ścianach. Niech tylko to zacznie wracać do normy, a armia natychmiast zgłosi swą gotowość do służenia Europie, bo chyba wojskowi nie zechcą stworzyć suwerennych organizmów państwowych na włoskim bucie czy w Hiszpanii, o czym głośno plotki. Dotąd nie sprzeniewierzyli się żołnierskiej przysiędze. Nie, to niepodobne do nich, są głupi i wierni trzymając na dystans Rosjan, Arabów, Amerykanów. Stracili wiele na tych niewczesnych interwencjach i pewnie zechcą się zrehabilitować.

- Przed przegłosowaniem projektu Rady Ocalenia Europy proszę o zgłaszanie wszystkich waszych uwag i zastrzeżeń, przyjaciele. Być może, są tu jeszcze jakieś haczyki. - Angelo był już zupełnie pewny decyzji jaką podejmą, jaką muszą podjąć. Nikt nawet nie próbował podważać jego kandydatury, a to było najważniejsze. Zresztą przygotował się na każdą ewentualność, nawet na fizyczne zniszczenie oponentów. Przecież miał w ręku potężny rosyjski młot. Ledwo mógł go utrzymać oburącz ale czuł, że go ma. Winni mu dożgonną wdzięczność i ślepe posłuszeństwo za wszystko co dla nich zrobił, a tymczasem niektórzy próbują brykać. Spodziewał się tego po Slimsie, ale Beaumont? Król interesu porno?

- Są zastrzeżenia, i to poważne, Angelo. Nie przeciw twojej kandydaturze, o nie. - Beaumont nie zamierzał ustępować, choć był teraz sam przeciw wszystkim. - Jest jeszcze problem, który nazywa się Guido Domenici - patrzył przy tym nie na Angela, ale na Rosjanina i zauważył u Korobkowa to, czego się spodziewał: zaciśnięte szczęki, nieznacznie zmrużone oczy... - Mniejsza z tym, że na twoje polecenie czy na własną rękę zaczął dogadywać się z Donovanem. Jest to sprawa o wiele poważniejsza, jeżeli połączy się ją z faktem, że tworzy opozycję wewnątrz organizacji. Wszyscy odbieramy niepokojące sygnały, że tworzy jakby swoją organizację, a po co to robi łatwo odgadnąć. Ufny w twoją opiekę, nawet specjalnie się z tym nie kryje. Według mnie złamał przysięgę i powinien zostać ukarany tak, jak przewiduje nasze prawo. Nawet twój syn nie może stać ponad nim Angelo.

- Na miłość boską! Nie wyjeżdżaj teraz z tymi głupotami - Van Arle zerwał się z fotela zadziwiająco zwinnie jak na swoje gabaryty. - To może nas rozłożyć na łopatki. Jeżeli nawet jest tak, jak mówisz, to zanim zbadamy sprawę dokładnie i wydamy jakiś wyrok, odsuńmy Guida od spraw organizacji i odbierzmy mu media, ale nie róbmy z tego wielkiej sprawy, bo jak się to rozniesie możemy mieć niezłe kłopoty. - Grubas też mógł grać w teatrze. Oni wszyscy byliby niezłą obsadą jakiegoś wodewilu. Zresztą tak byli przyzwyczajeni do łągarstw, że jakakolwiek prawda ginęła natychmiast w tym szambie bez dna. Na szczyt mogli wspiąć się tylko najlepsi z najlepszych, także w sztuce kłamstwa.

- To powinno w zupełności wystarczyć - wsparł go spieszniej Kreutzer. - Wystarczająca kara za grzeszki młodości. Nie mam pojęcia, jaką ty poniosłeś za swoje grzechy Beaumont, ale słyszałem, że trochę nagrzeszyłeś.

- Wiem o tym dopiero od paru dni - powiedział zbolalym głosem Angelo - wiedźcie przyjaciele, że ciężko mi jako ojcu mówić i o tym. Zbyt zaufałem temu, kogo kocham. Jeżeli okaże się naprawdę winny, osądzimy go i ukarzymy według naszego prawa, ale zgadzam się z Paulem, że teraz jako podejrzany, nie powinien pełnić żadnych funkcji w organizacji i zawiadywać środkami masowego przekazu. Jestem głęboko przekonany, że ty przyjacielu jesteś jedynym, który może podjąć się tego zadania. Proszę cię o przejęcie mediów i zarządzanie nimi. Z pewnością uczynisz to najlepiej, mając na uwadze przede wszystkim interes organizacji.

- Ależ ja nie znam się na tym, Angelo! - Beaumont protestował niezbyt mocno, a słowom przeczył wiele mówiący wyraz twarzy. Marzył o takim łupie, a tu jeszcze ten zaszczyt otrzymał wprost z ręki panującego. To było jednak mniej istotne. Dostał wspaniałą zabaweczkę i to było najważniejsze.

Angelo podporządkował sobie i jego, a takim jak Beaumont nie wystarczały pieniądze i pociąganie za sznurki zza kurtyny. Oni musieli być koniecznie na afiszu, bo dopiero wtedy czuli się wielcy. Żaby dmuchane przez słomkę do wielkości słoni. Drobnym w gruncie rzeczy ustępstwem skłonił tego dupka do odstąpienia od dalszych oskarżeń, niestety prawdziwych. Guido zbyt zaufał swoim mądrościom wyniesionym z innego świata. Dla Angela te problemy nie stanowiły jeszcze groźby, ale mogły odbić się przykrą czkawką za kilka, kilkanaście lat, gdy dostatecznie przygotuje grunt dla Guida jako swojego następcy.

Od kiedy wybrano go szefem organizacji, zaczął myśleć dynastycznie, choć przedtem ani mu się to śniło. Jego syn to jeszcze dziecko pieszczone trzydzieści parę lat przez los i tatusia, ale dojrzeje, na pewno dojrzeje i zajmie kiedyś miejsce ojca nie tylko w rodzinnym interesie onirycznym. Przecież nie robi tego wszystkiego dla tych pieczeniarzy. Nie

przeszkodzi mu żaden z nich. Sam może więcej niż oni razem wzięci. Zostawał jeszcze Korobkow, prezent od Golda, bo ten cherlawy profesorek przed nim dogadał się ze Smirnowem, panem i władcą potężnej mafii rosyjskiej, właściwie całej armii, która przejmowała coś około czterdziestu procent dochodu narodowego Rosji.

Małomówny, z pozoru wypełniający jego rozkazy, robił wszystko po swojemu i Domenici cały czas czuł jego rękę na gardle. Tak było z Carneyem. Guido nie musiał obchodzić się z nim jak z jajkiem, tak przynajmniej myślał i stąd ta szczerą nienawiść między nimi, chwilami przerażająca ojca, bo chłopak nie miał żadnych szans w starciu z tym niedźwiedziem. Smirnow na pewno grał jakąś swoją grę, a mógł grać bardzo wyrafinowaną, jeżeli miał na swoje usługi GRU.

Nie Slims, nie kto inny zajmował pierwsze miejsce na liście wrogów Angela ale on, Korobkow, sługa dwóch, a może trzech panów. Jego, Golda, Smirnowa, a może i prezydenta Jaszczenki? A może i głównodowodzącego armii rosyjskiej, Głowina? Podobno ludzie Korobkowa to elita GRU. Gotując się od kilkunastu dni do rozprawy ściągał swoimi kanałami dawnych agentów EIA, wyszukiwał ludzi ze służb specjalnych policji i w największej tajemnicy, nawet przed Guidem, przygotowywał swoją noc długich noży. To żadna przyjemność być panem Frankensteina w takim akurat wydaniu.

- Czas na decyzję, przyjaciele - spieszenie kończył to spotkanie. - Kto jest za powołaniem Rady Ocalenia Europy ze mną na czele?

Wszystkie ręce uniosły się w górę. Zgodnie.

8

Chris Ivor czekał, aż zapadnie wiosenny zmierzch. Dni w mieście były bardziej niebezpieczne niż noce. Ciemność była bezpieczna, mimo że pełna pomruków żywego, ciepłego strachu dalekich i bliskich strzałów, krzyków. Tylko kilka budynków z wewnętrznym zasilaniem miało oświetlenie całą noc, ale to były twierdze tak potężne, że ich panowie mogli prowokować. Po godzinie zmierzchu obowiązywało zdroworozsądkowe zaciemnienie we wszystkich kryjówkach, bo światło w oknie to oczywiście zaproszenie dla dobrych i złych, a tych drugich było zdecydowanie więcej, najwięcej zaś złych, którzy nie tak dawno uważali siebie za dobrych. Takich, którzy płakali na melodramatach, czasem wrzuszali się losem głodujących dzieci w Afryce. Zautomatyzowane elektrownie działały, mogły pompować krew w organizm miasta. Starczyłoby przygotować parę stacji transformatorów, by stało się jasno, ale nie miał kto tego robić. A stare, wciąż powtarzane prawdy mówiły, że zło karmi się ciemnością. Zresztą nawet ciemność nie była przeszkodą dla wyposażonych w noktowizory zabójców Korobkowa, wszechobecnych, bezlitosnych dla ludzi z innego świata, miękkich, słabych, niezrozumiałych Europejczyków. Chris nie chciał zabierać noktowizora ani wizjera na podczerwień, choć chwilami była to silna pokusa. „Ufaj samemu sobie” - ta zasada nie powinna zostać złamana.

Miał jeszcze dwie noce i dzień do wypełnienia drugiej części zadania i żadnej pewności, że zgodzi się miejsce i czas określone przez Golda. Może powinien poprosić Stawsky'ego o jakieś udane zaaranżowanie zniknięcia Carneya, tak by to wyglądało, że wypełnił pierwszą część zadania. Być może. Ale przecież ufał tylko sobie. Postanowienie zapadło już w bunkrze. Zastawi pułapkę w tym czasie i w miejscu jakie ustalili, a potem przyjdzie pora na resztę, której nie próbował nawet planować. Tego ich nie uczono.

Teraz siedział przy jednej z pułapek czekającej na tego, kto przyjdzie po jego głowę. Miał jeszcze kilka godzin, przynajmniej teoretycznie. Od wewnątrz zablokował drzwi komory wejściowej i nie spiesząc się, wrócił do dyskietek. Jeżeli myśliwy pojawi się wcześniej, wtedy obaj polecą do nieba. Obaj nie będą wiedzieli, że umierają. No i dobrze.

Pozostało jeszcze parę dyskietek, których nie przeglądał, a krótkie opisy nie pomagały zdecydować o wyborze. Wrzucił do magnetowidu dyskietkę ze starym filmem sensacyjnym „Bractwo Róży”. Choć nie czuł głodu, przygotował posiłek z puszki. Wołowina, jarzyny,

witaminizowany sok. Przy swojej wyuczonych podzielności uwagi nie tracił nawet fragmentu filmu długiego i nudnego, a jednak oglądał. Tu nie mogło być przypadku, podrzucono mu treści wyselekcjonowane, mające zmuszać do nowych przemyśleń. Film był naiwną, seryjną tandetą - historią dwóch superagentów, mało interesującą aż do chwili, kiedy padło magiczne słowo „sieroty”, a potem „syndrom Elliota”. Niedwuznacznie dawano mu do zrozumienia, że i oni mogli być dobierani na podobnych zasadach i podobnie kształceni. To drugie było oczywiste, ale pierwsze? Och, to nawet nie było pytanie, tylko wyjaśnienie. Gregor i Mary na pewno nie byli jego ojcem i matką. Nie oni dali mu życie, oni jedynie przechowali go w odosobnieniu do granicy pożądanego wieku. Jeśli nie oni, to, kto mu dał życie?

Następna decyzja objawiła się w następnej sekundzie. Musi żyć także po to, by się tego dowiedzieć. Musi wiedzieć, choć to nie godzi się z jego racjonalizmem. Ale Chris Ivor już nie był racjonalistą. Chciał szczypty szaleństwa, jaką mają wszyscy normalni ludzie.

Wyłączył film na długo przed końcem projekcji. Nie miał czasu, a wystarczająco jasne było to, że innego przesłania w nim nie będzie poza jedną jeszcze sugestią - powinien zabić swojego przybranego ojca jak Saul. O tym, że spróbuje zniszczyć Golda, wiedział od wielu godzin. Roześmiał się bezgłośnie, czując pustą, najzupełniej bezsensowną radość i nie mając ochoty wgłębiać się w to, skąd bierze się takie głupie uczucie, którego nie powinien doznawać. Czy to brak łaknienia adrenolowego? Chyba już jestem szalony jak każdy człowiek, pomyślał. Zmienił dyskietkę, wrócił do Erica Burdona. Chciał, ten człowiek powiedział mu raz jeszcze, że to jego życie.

Minęła dziewiętnasta i mijał jego czas. Jeszcze iniekcja specyfiku Stawsky'ego i z torbą na ramieniu, zatrzasnąwszy za sobą stalowy właz wyszedł do kanału wentylacyjnego prowadzącego pod kątem czterdziestu pięciu stopni ku niespokojnej powierzchni. Otworzył i zamknął dwie koliste przegrody z wmontowanymi w nie filtrami, nim mógł wyprostować się w studziencie z drabinką. Odkręcił pokrywę.

Na zewnątrz jeszcze nie było zupełnie ciemno, taka czerwcową szarówka. Uniósł pokrywę na kilka centymetrów i nasłuchiwał. Nic nie zdradzało obecności ludzi. Choć nie mógł mieć pewności, że ktoś już na niego czeka, zdecydowanie uniósł pokrywę jeszcze wyżej i wtedy sama uciekła spod palców w bok. Zdezorientowany, dopiero po chwili pojął, że zadziałały tu zwykle dźwignie. Podciągnął się na rękach i jak jaszczurka wysłiznął na zewnątrz, napięty, czujny, rejestrujący i analizujący szczegóły widoczne w zmierzchu ogrodu. Z jedną ręką na rękojeści noża w bucie, drugą zasunął pokrywę mieszczącą na sobie miniaturowy klomb z jeszcze nierozwiniętymi kwiatkami. Miękkimi susami skoczył w kierunku pobliskich ligustrów i znów zastygł, badając wszystkimi zmysłami otoczenie.

Gdyby ktoś czekał na zewnątrz, już powinien go poczuć. Nie, zdecydowanie nie ma tu nikogo.

Pozostał w bezruchu dłużej, niż zamierzył, ściągnając powoli z palca ten pierścień z kluczem. Pokusa wstrzyknięcia dawki adrenolu wróciła z poczuciem zewnętrznego zagrożenia. Znów musiał z nią walczyć wolą i racjami rozumowymi. Te ostatnie okazały się silniejsze. Przecież adrenol nie był mu teraz potrzebny. Gdyby ktoś z jego dziesiątki czekał na zewnątrz, już byłoby po walce, już byłby trupem. Przez długie sekundy stanowił łatwy cel. Czy to jest ten strach, o którym tylko słyszał? Jeżeli tak, to straszne uczucie.

Jeszcze ten wysoki płot, skok na chodnik i miasto otworzyło się przed nim. Szeroki spacerowy chodnik przy ulicy porastały pękate kasztany i klony przyciągające roje chrabąszczy. Pusto - ani ludzi ani psów. Nawet szczury porzuciły te rewiry, nie mogły żyć bez ludzi, wyniosły się za nimi.

Szedł ku centrum tymczasowej stolicy Europy, niewydarzonego megalopolu i stolicy z przypadku, a raczej kompromisu. Po latach kłótni ojcowie kontynentu nie mogli znaleźć lepszego miejsca a wielkie metropolie narodowe nie wchodziły w rachubę w dobie tworzenia jednego społeczeństwa europejskiego. Spokojny, bogaty Strasburg znakomicie nadawał się na centrum. Teraz, po przewrocie stolica wielkiego biznesu i jeszcze większej polityki zmieniła się w ciągu paru dni w kocioł czarownic, miejsce pielgrzymek dla zbuntowanych i pogodzonych z chaosem młodych z mniejszych miast i osiedli. Ściągali tu całymi gromadami jak radosne lemingi, by przez krótkie chwile żyć pełnią życia i umierać w narkotycznym transie albo od kuli. W tym mieście śmierć straciła swój majestat.

Chadzała po ulicach przy wtórze pustego śmiechu, opętańczych krzyków, smutna i samotna.

Kroki w przecznicy były ledwie słyszalne w tle odgłosów miasta, nierówne, ostrożne, nie jak kroki zdobywcy i z pewnością pojedyncze. Wychwyił je z łatwością, oceniając odległość na jakieś czterdzieści metrów. Dochodząc bezgłośnie na pięć metrów od skrzyżowania, odnalazł stopą roztrzaskaną płytę chodnikową. Chwycił spory kawałek betonu, rzucił na wyasfaltowane skrzyżowanie, uważnie nasłuchując reakcji. Szybki tupot stóp uciekającego człowieka, szelest gałęzi i liści. Nic poza tym. To było zachowanie ofiary, która nie myśli o obronie innej niż szybka ucieczka. Tamten odnalazł jakąś prowizoryczną kryjówkę i przycupnął, udając pewnie kępę krzaków albo wtapiając się w mur. Mimo wszystko Chris odczekał minutę i dopiero wtedy przemknął przez skrzyżowanie bez reakcji ze strony tamtego łowcy drobnicy, może uciekiniera, może... „Eliminujcie zdarzenia, które oceniacie jako nieistotne. Eliminacja musi być jednak bardzo staranna, a analiza takich z

pozoru błahych zdarzeń - wszechstronna”.

Ciemność nie była jeszcze pełna, lecz w miarę bezpieczna. Tu, w strefie niczyjej, nie było nawet przypadkowych źródeł światła. Kryjówki w pojedynczych willach tylko z pozoru zapewniały bezpieczeństwo. Wszyscy chcący żyć pełnią ciągnęli tam gdzie coś się działo, a w centrum działo się na pewno. Ale też tam łatwiej było o schronienie.

Ta piekielna droga po krętych uliczkach trwała wystarczająco długo, by mógł podjąć decyzje na najbliższy czas. O ich konieczności przypominał ciężar torby na biodrze. Jeszcze tej nocy spróbuje podłożyć ładunek wybuchowy na zewnątrz sali konferencyjnej banku aby dopełnić miary sprawiedliwości dawką implozywu na czwartym piętrze. Według zapewnień kapitana Dalka miała wystarczyć niewielka ilość na zewnątrz. Siła tych materiałów była wprost niewiarygodna, a możliwości stosowania nieograniczone. Czarodzieje z Hartenbergu wyprodukowali materiał wybuchowy, który mógł znaleźć tysiąc zastosowań, zupełnie zmienić zasady taktyki wojskowej i nie tylko. Starczyło wyobrazić sobie minę przeciwczołgową wielkość kamyka, której nie można wytropić żadnym detektorem.

Opór stawiany przez opancerzone szyby miał też w zupełności wystarczyć na to, by fala uderzeniowa zrobiła miazgę z ludzi znajdujących się wewnątrz. Jemu nie wystarczały te zapewnienia, więc postanowił uzbroić także strop nad salą. Na to wystarczy połowa zabranego zapasu. Niewielu ludzi wiedziało o sile działania i niezwykłych właściwościach tego „konwencjonalnego” materiału, który zniszczył budynek Rady Europy. Cała, potężna energia wybuchu była kierowana w miejsce największego oporu i kumulowała się w miarę tego oporu, oczywiście do pewnej granicy. Ładunek powstawał po zmieszaniu komponentów w prostej proporcji pół na pół za pomocą dozownika, a uaktywniał go specjalny detonator. Zasada była taka sama jak w przypadku „końskiego łajna”, lecz skutki nieporównywalne. Różnica mniej więcej taka sama jak między granatem a półtonową bombą lotniczą.

Życie tych ludzi zajmowało go najmniej. Oni byli prawdziwym Złem i nie zmienił zdania po tym, co usłyszał i zobaczył na dyskietkach. Wszystko inne wyglądało inaczej, ale nie było przesłanek obrony Domeniciego i spółki, dla ludzi którzy z premedytacją, dla pieniędzy i władzy, wsączyli trucizny w miliony innych. Może nie byli bardziej winni niż spoczywający w pogrzebowym kopcu politycy. Zresztą tu wszyscy byli winni, także te miliony bezwolnych, ogłupiałych ludzików sprowadzonych do poziomu ameb, trwające i reprodukujące się mimo mutacji, jakich nie notowały dzieje gatunku. Może nawet wina tych ostatnich była największa? Zawinili niewiedzą, także o sobie. Zostali sprowadzeni do poziomu mechanicznych zabawek i pogodzili się z tym. „Człowiek zewnątrzsterowny to osobnik nie mający swojego zdania - tłumaczył im Vernier. - Z pozoru wypowiada sądy,

mądre i głupie, ale są to sądy innych, przejmowane z telewizji i gazet. Powtarzając zdanie jakiegoś niby-autorytetu, taki człowiek chce jak najprędzej zapomnieć, że nie jest jego”.

Chris Ivor nie uczył się litości i nie miał jej także dla siebie od wielu lat. Uczył się agresji, zwykłej, ludzkiej, straszniejszej od zwierzęcej i uznawał jej przydatność w tym świecie, w jaki rzucono go bez jego woli, użyto jak narzędzia, jak broni. Ale teraz agresja miała służyć nie jego twórcy, ale jemu samemu.

„Jesteście tacy, by walczyć skutecznie ze złem - takie słowa padały niedawno z ust ojcowskiego Golda. - Tysiące lat ludzie próbowali walczyć dobrem o dobro i okazywało się, że walcząc złem, łatwiej można osiągnąć nowy próg dobra. Spójrzcie tylko na zło ostatniej wojny światowej i zauważycie sami, jak oczyściło ono brudne sumienie świata. Odtąd już nigdy nie zdarzyła się podobna zbrodnia ludobójstwa. Może i wy będziecie musieli walczyć złem o dobro i wtedy nie brońcie się tak bardzo przed nim”.

Nie miał zamiaru się bronić. Już wybrał. Przypominając sobie te słowa, zrozumiał, że ów chaos jest złem mającym służyć dobru. Może Gold miał trochę racji. Może ludzie wyciągną nauki z tego, co stało się tu, w Europie. Może...

Znalazł się na obrzeżu miasta buntu. Tu już można było spotkać cienie nieufnych, umykających ludzi, pojedynczo i w małych grupkach. To nie były zbuntowane gwiazdy, ale satelity, banicy z większych grup, samotni myśliwi. Czyhając na zdobycz, kryli się w ciemniejszych od nocy załamaniach murów, w drzwiach domów i dopiero na kilka kroków można było usłyszeć badawcze „hej, człowieku” albo nie słyszeć nic, jeżeli strzał był celny. Gdzieś tam słyhać było serie z broni maszynowej, krzyki.

Ten pochodził z bliska. Zrodził się z niczego, z ciszy może? Właściwie nie krzyk, lecz przeraźliwy, cienki pisk kobiety, ostatnia i zwykle bezskuteczna próba obrony, a jednak najczęstsza w przyrodzie, jak twierdził ich etolog. Kiedy Chris po raz pierwszy przemierzał centrum, takie odgłosy nie poruszały go ani trochę. Ten zatrzymał go w miejscu. „Nie wtrącajcie się. Co tygrysa może obchodzić pisk myszy w pazurach kota?”. Wtedy jeszcze, kilkadziesiąt godzin temu, oczywistość takiej prawdy była bezdyskusyjna. Nie teraz. Ten pisk, krzyk pochodził z pierwszego piętra starego domu mieszkalnego na samym obrzeżu starego centrum. Chris zlokalizował miejsce po mdłych pobłyskach światła w jednym z okien. Rozróżnił kilka męskich głosów. Tylko trochę przyspieszył, zdejmując w drodze torbę z ramienia. Miał w niej rzeczy zbyt cenne, by je narażać. Miękkie podeszwy niosły go bezgłośnie w głąb korytarza i po schodach. Nie biegł, starał się wyczuć stopnie stopami. Szedł nie pojmując czemu łamie zasadę, którą akceptuje.

- Zostawcie mnie, skurwiele, sadyści, zbrodniacy! - piskliwy nabrzmiął gniewem i

bólem głos i tak zagłuszał wszystko.

Złożył torbę kilka metrów od tamtych drzwi i zupełnie odruchowo chwycił za pojemnik z adrenolem w szwie, odwrócił przyciskając do skóry. Nie chciał tego, pragnął zmierzyć się z niebezpieczeństwem bez takiego wspomagania. Było za późno na wyrzut. Lekkie ukłucie, głęboki wdech i już stał się kimś innym. Błogosławiona, niezwykła energia eksplodowała w nim, rozsadzając każdy mięsień, pulsowała, domagając się wyzwolenia. Pchnął delikatnie drzwi i wsunął się ostrożnie do wnętrza. W świetle leżącej na stole latarki zobaczył skłębioną grupkę sześciu postaci na starej kanapie, pięciu rozbawionych mężczyzn drażniących się z ofiarą. Głupcy, nie pomyśleli o elementarnym zabezpieczeniu. Poznał egzekutorów. Dwoma szybkimi ruchami odbezpieczył wyrzutnie i tuż za strzałkami na pozostałą trójkę zwałił się cichy, olbrzymi głodny pająk.

Robił to tak, jak uczył ich major Bretson. „Nigdy nie ryzykujcie niepotrzebnie, uderzajcie z zaskoczenia. Starajcie się trafić w cel jak najkrótszą drogą i uderzać z wielką szybkością. Szybkość to siła”. Nie chciał nawet tracić czasu na wyciągnięcie noża czy pistoletu, to mogło wiele kosztować. Najpewniejszą bronią były ręce. Wystrzelił z ciemności między padającymi ciałami sparaliżowanych i zadał tylko trzy błyskawiczne, nieuchwytnie dla oka ciosy w skroń w krtań i uderzenie trzema palcami pod żebra w kierunku serca zupełnie jak podczas treningu na manekinach.

Już było po walce. Tamci nie mieli najmniejszych szans. Nim umarli nie pojęli nawet, że zostali zaatakowani. Ujrzeni tylko niewyraźny cień, który zawirował między nimi, niosąc ból, zapomnienie. Szybkość zwielokrotniła siłę uderzeń w najsłabsze punkty ludzkiego ciała. Trzech leżało w bezruchu, dwóch trzepotało się w agonii. Przyglądał się obojętnie, sprawdzając tylko, czy nie popełnił błędu. Nie mógł pozwolić sobie na błąd i to nie dlatego, że to mogło kosztować życie. Po prostu nauczono go perfekcjonizmu. Ani na moment nie tracił z oczu kulącej się w lichym świetle dziewczyny sparaliżowanej strachem. Tamci chcieli ją zgwałcić, i to było zrozumiałe, a on? Pojmowała tyle, co martwi.

Nie miał zamiaru robić jej krzywdy. Jego agresja nie wynika z żadnej postaci egotyzmu, była kierowana na konieczność obrony innych i w tym zawierała się też prastara zasada: „wróg mojego wroga...” - Chciał mieć dziewczynę cały czas na oku, mimo że nie była zagrożeniem, jedynie przerażonym kłębkim życia.

W świetle latarki zobaczyła, jak nieznamy wyciąga nóż i dobija umierających krótkimi, pewnymi pchnięciami w serce, ociera skrwawione ostrze o ubranie jednego z nich.

- Musiałem ich zabić - usłyszała. Zobaczyła wyraźniej wysoką, muskularną sylwetkę. I to wszystko. Odwrócił się i miękkimi krokami szedł do drzwi.

- Zaczekaj, proszę... - zdobyła się na wydobyć z siebie głos. Zatrzymał się, odwrócił powoli.

- Czego chcesz? - pytanie było obojętne, niechętne.

- Nie zostawiaj mnie tak... Boję się.

Stał i patrzył na nią zza wątlej zasłony światła. Mimo że nie widziała go prawie wcale, poczuła jakby obdzierano ją ze skóry. Skulona, zasłaniając się, wciągała na biodra brudne, rozdarte spodnie, zebrała kurtkę na piersiach. Drobną, szczupłą, krótko ostrzyżoną, w niczym nie przypominała wyzywających samic, wabiących i odpychających gestami, spojrzeniami.

Sam nie wiedział, co tu jeszcze robi. To zupełnie bezsensowne, nierozsądne. Czy był to także przejaw tego ludzkiego szaleństwa? Przewyciężyła już strach i mówiła prędko, jakby chciała zatrzymać go samymi słowami:

- Miałam przynieść trochę prochów dla brata i chłopaków, no i spóźniłam się, a oni akurat wyszli z bocznej uliczki i zrewidowali mnie. Znaleźli prochy i chcieli się ze mną zabawić, potem i tak by mnie zabili, bo nie miałam nawet lipnej koncesji organizacji, a oni hołubią zabijać...

Zmierzył się z ludźmi mafii, Rosjanami. Nietrudno było to poznać. Kombinezony maskujące, karabinki AKM 1 kalibru 5, te z pociskami o zmiennym środku ciężkości i faszerowanymi akonityną. Dziewczyna mogła posłużyć za przewodnika po labiryncie miasta, w znalezieniu schronienia... Nie, co za piramidalne bzdury! Zawsze będzie mu tylko balastem. Znow popętnia ten sam błąd i mierzy ich własną miarą. „Oni są inni, inni prawie do granic niezrozumienia. Nigdy nie porównujcie ich z sobą, bo to prowadzi do błędów”. Odstawi ją tylko w bezpieczne miejsce i zapomni. Nic innego nie wchodzi w rachubę.

- Chodź, idziemy - przerwał jej, a kiedy schyliła się po leżący na podłodze AK, krzyknął: - Zostaw!

- Ale muszę odebrać im prochy - pisnęła żałośnie.

- Weź - zgodził się.

Nie musiał jej tłumaczyć, że karabinek oznacza wyzwanie, a może i śmierć. Jemu to niepotrzebne. To zdraдлиwe świństwo było najmniej szlachetną i najbardziej skuteczną bronią, reklamowaną przez czarnorynkowych handlarzy śmiercią prostym hasłem: „Jeden pocisk, jeden trup”. Hasło nie kłamało. Dziewczyna wyciągnęła z torby jednego z zabitych niewielki pakunek, potem zaczęła przeszukiwać pozostałe torby. Rozumiał ją po swojemu. Te prochy dla niej są ja dla niego adrenol.

Nie powiedział słowa, dopóki nie skończyła. Zabrał latarkę ze stołu, zgasił ją i ruszył przodem. Chyba widzi w ciemności jak kot, myślała dziewczyna, potykając się co krok,

objijając o ściany. Nie skarżyła się, choć bolały ją wszystkie kości i była na głodzie. Komu mogła się skarżyć? Wciąż się bała, od tygodni poznawała wszystkie odmiany małego i dużego strachu. W tym człowieku wyczuła niepojętą siłę. On nie bał się nikogo i niczego. Wielki Boże! Pięć trupów w sekundę, i to gołymi rękami. Wszyscy wielcy herosi tego miasta byli zasmarkanymi pętakami w porównaniu z tym dziwnym chłopakiem, który nie wyglądał nawet na dwadzieścia lat.

- Rób to co ja - nawet nie rozkazywał i chyba nie obchodziło go czy ona posłucha, czy nie, ale z tym była oswojona, przecież tu każdy żył na własny rachunek. Kryła się, kiedy on się krył, biegła gdy biegł i dopiero po kwadransie, w trochę oświetlonym centrum mogli poruszać się prawie normalnie. Na pustych ulicach było więcej śmieci, porzuconych samochodów, ale z pewnością mniej trupów i tego straszliwszego smrodu na świecie.

- Tu już jest bezpiecznie - powiedziała. - Tak się utarło, że porachunki załatwia się w dzień, a w nocy trzeba pożyć...

Wiedział, że centrum miasta było fortecą najsilniejszych wilkołaków, „dzikiej bandy”. Ostatnio te grupy trzymały ze sobą w obronie przed zagrożeniem ze strony egzekutorów. Czujki ostrzegały o zbliżaniu się niebezpieczeństwa i wtedy straże przednie angażowały się w prawdziwe bitwy z grupkami zabójców. Jacyś ludzie oświetlili ich przenośnym reflektorem i nawet nie zapytali o nic. Albo poznali dziewczynę, albo starczyła im pobieżna ocena. Grunt, że nikt nie strzelał. Gdyby któryś z chłopaków uznał, że rozpoczyna się najazd Marsjan, mógłby zacząć walić, choć ostatnio naboje były na wagę złota. Mógłby. Oniryki działały bardzo różnie.

- Nie wejdiesz do nas? - zapytała, kiedy znaleźli się na ulicy Kohla. - Gnieździmy się zaraz tu, w dawnym biurówcu Shella. Chcemy ci wszyscy podziękować. Nie za mnie, ale za te prochy, które mam. Pewnie jest tego z tysiąc działek. Chłopcy cię przyjmą, chodź. Samemu tu ciężko.

- Wejdę - odpowiedział krótko, po swojemu, znów wiedziony impulsem, wbrew zakazom. Miał nie stykać się z żadnymi grupami „wariatów”, nie angażować. Ci, którzy tego zakazywali, musieli mieć w tym jakiś cel. Jaki? A przecież był w tym świecie jak ślepy. Jeśli tam wejdzie, może zdobędzie jakieś nowe dane, zresztą starczy bliższe przyjrzenie się jednej z tych grup, może... Nie zostanie tam długo. Będzie musiał odejść, nim przestanie działać adrenol.

Mijając nielicznych, ostrożnych przechodniów i leżących pod murami oszołomionych „leżaków”, zaćpanych po dziurki w nosie, dochodzili do nowoczesnego biurówca z dwoma oświetlonymi piętrami na poziomach szóstym i siódmym. Chodniki pełne były szcurzych

szelestów, jezdnie zawałone bezużytecznymi samochodami, do których brakło paliwa. Dziewczyna podbiegła do wizjofonu, nacisnęła guzik. O dziwo, na ekranie ukazała się niewyraźna twarz i jakby nieprzytomny, nieziemsko zmęczony głos zapytał:

- Kto?

- To ja, Lottie. Otwórz, Crabb - aż podskakiwała z niecierpliwości, dziecinna, mizerna w tej skąpej, obszarpanej kurtce i kusych, obcisłych spodniach. Przypominała mu sikorki nad Loch Drommond.

Za masywnymi, obitymi blachą drzwiami poczuła się już gospodynią, ożywiła się, z głosu zniknęła niepewność i ostatnie cienie strachu.

- Jak słyszałeś mam na imię Lotta, a ty? Powinnam wiedzieć, bo przecież muszę cię przedstawić chłopakom. - Odważnie spojrzała w jego przystojną twarz. Był dla niej kimś pośrednim między gwiazdorem telewizyjnym a herosem z komiksów. Jego inność pociągała ją z niezwykłą siłą.

- Chris - odpowiedział cicho, wciskając przycisk windy. Również funkcjonowała, chociaż była zagracona do granic możliwości. Po kostki grzęzli w puszkach, opakowaniach, prezerwatywach. Smród ścisnął za gardło. Dziewczyna jakby tego nie zauważała i paplała dziecinnie:

- Mieszka nas tu ponad sto, wiesz? Miesiąc temu było nas trzy razy tyle, ale sam wiesz, co się dzieje. Jedni pryskają gdzie się da, inni głupio umierają - wzruszyła ramionami, tym gestem kwitując nie pojętą głupotę życia. Miała straszną ochotę spytać o parę rzeczy, ale nie starczało jej odwagi. On nie był taki jak inni, jakiś taki skamieniały, nieobecny, tak jakby naćpany, ale jakoś inaczej. Była jednak przekonana, że jest dobry. To się zawsze jakoś czuje.

Niewiele zdążyła powiedzieć do szóstego piętra. Drzwi windy uchyliły się z cichym sykiem i weszli do szerokiego korytarza. Na podłodze, w odległości paru metrów od drzwi siedziało dwóch obdartusów z automatami na kolanach. Potrzebni tu jak pontony na pustyni. Drzwi pokojów w większości były otwarte. Wszyscy żyli tu na oczach innych, leżeli, tańczyli, kopulowali. Zdawało się, że nagość jest tu stanem naturalnym. Mało, kto zwracał na Chrisa uwagę.

- To już tutaj. Lottie pchnęła ciężkie, obite skórą drzwi. Przeszli przez dawny sekretariat do ogromnego gabinetu z potężnym biurkiem, skórzanymi kanapami i fotelami. Siedziało tu kilkunastu młodych mężczyzn, różnie ubranych i jednako zarośniętych. Zaduch kwaśnego potu zwał z nóg.

Zwrócili leniwie głowy w kierunku wchodzących, odrywając się na chwilę od wielkiego na pół ściany, wiszącego telewizora holowizyjnego. Oni też byli uwarunkowani,

podporządkowani telewizyjnym wyroczniom i nie tylko. Połowa z nich była „poza czasem”, błądzili daleko, daleko w meandrach onirycznych widziadeł. Chris bez trudu rozpoznał przewodnika stada. Przywódca wyróżniał się atletyczną budową i wzrostem. Nosił czarną skórzaną kamizelę i czarne skórzane spodnie podtrzymywane pasem nabijanym metalowymi ćwiekami. Na pasie wisiała kabura z potężnym rewolwerem o jakimś niesamowitym kalibrze. Wyglądał na godnego zastępcę Roya Beana albo Billa Hickoka. Długie blond włosy związane z tyłu spływały mu do połowy pleców.

- Kogo nam tu sprowadziłaś, mała? - spytał nie unosząc się z fotela.

- Randy - Lotta wyraźnie czuła strach przed przewodnikiem i panem. - To jest Chris. Uratował mnie przed Rosjanami, jak wracałam z prochami od Liptona. Bardzo uważałam, ale im się udało. Zabrali przesyłkę i chcieli mnie przelecieć. O, zobacz tylko jak mi poszarпали ubranie. Ale nagle pojawił się Chris. I mówię ci, sam, gołymi rękami zabił wszystkich pięciu i to tak szybko, że nie zdążyłam nawet mrugnąć okiem. To było aż niemożliwe. Zabrałam wszystkie prochy, jakie mieli ze sobą. Pomyślałam sobie, że Chris byłby dobry dla nas, jeżeli pozwolisz mu zostać, Randy - kończyła wolniej, ciszej, bo przywódca wydawał się po prostu znudzony, a kilku chłopaków zachichotało głupawo.

Mafia miała w mieście kilkuset egzekutorów. Nikt nie wiedział ilu, ale i tak starczali na te czterdzieści, może trzydzieści tysięcy młodych, którzy ściągnęli do stolicy na ubaw. Wyeliminowanie, chociaż jednego było nie lada wyczynem, a zobaczenie martwego z bliska zdarzyło się tylko wybrańcom. Najmniejszy patrol liczył właśnie pięciu ludzi i cały czas był pod kontrolą ich centrum operacyjnego. W razie potrzeby pomoc nadchodziła błyskawicznie. Rakiety z lekkich wyrzutni, moździerz odcinały z precyzją grupkę od źródła zagrożenia albo pojawiały się następne oddziały z tymi przeklętymi AK, które nie raniły, nie zabijały, lecz po prostu patroszyły. Nigdy nie zostawili swojego na placu, o tym wiedzieli wszyscy. Ci, którzy słuchali opowieści dziewczyny, byli na niezłym hajku, pewnie po onirykach. Po nich rzadko miewało się koszmary. To były odloty do rajku.

Chris Ivor nawet nie drgnął słysząc, że mała z gorliwości zastawiła na niego pułapkę. Przecież sam ani słowem nie wspomniał, czy chciałby zostać. Pewnie uczyniła to ze strachu. Bez złej woli.

- Pokaż te prochy, gówniaro. - Randy wstał powoli i podchodził leniwym krokiem sytego drapieżcy. Odebrał z jej rąk torbę i rzucił siedzącemu najbliżej. - Sprawdź, czy nie podebrała paru działek bo coś mi się zdaje, że przedawkowała, a może obejrzała nie ten film co trzeba.

- Szefie! Tu jest cała fura! Jeju, ale mamy zapas.

- Pokaż! - Randy schylił się nad torbą i obrócił do dziewczyny. - Skąd to masz? Gadaj, i to szybko!

- Ależ Randy, ja naprawdę... - jej głos się załamał. Chris nie widział twarzy Lottie, ale cała mała postać wyrażała pokorę, kuliła się, jakby chciała jeszcze zmaleć, stać się drobinką niegodną uwagi tego olbrzyma.

- Było ich pięciu, jak mówiłam. No, pięciu tych zbójów, a on wszystkich, co do jednego, gołymi rękami. Przecież sama to widziałam, na własne oczy to widziałam i nie byłam naćpana - prawie szeptała.

- A skąd ty się taki wzięłaś, że sam dałeś radę pięciu uzbrojonym specom? Sprytny jesteś chłoptysiu, ale ja w takie cudeńka nie wierzę. Nawciskałeś jej gówna a teraz chcesz, żebym i ja w to uwierzył, tak? A może to właśnie oni cię przysłali? Coś za porządnie wyglądasz jak na to piękne miasto. - Przywódca odsunął ręką Lottie i stanął przed Chrisem, wyższy o prawie pół głowy, szerszy w ramionach, z uśmiechem zdobywcy na twarzy. - No, powiedz coś. Czemu nic nie mówisz? Niemową to ty chyba nie jesteś. Dwóch z tyłu parsknęło służalczo, mała stała z boku ocierając łzy

Chris nie opuścił powiek, choć dobrze wiedział, że oczy go zdradzają. Podobno każdy człowiek może odczytywać z oczu najprostsze odczucia. Ta grupa to zwyczajne męty, żadni tam ideowcy. Nie miał zamiaru tłumaczyć, że tu nie zostanie. „Słowa nie są dla was bronią jak dla innych, tylko prostym środkiem porozumienia, więc nie próbujcie nigdy walczyć słowami, bo z góry jesteście skazani na przegraną, a wy nie możecie przegrywać”.

- No i co tak na mnie patrzysz, bobasie?! - Randy wyraźnie pobudzał w sobie agresję, jeszcze niezdecydowany. Mała nie mogła sama wykombinować takiej ilości prochów. Coś tu nie grało.

- Randy, przecież oni tam leżą jak barany, możesz zaraz sprawdzić, to niedaleko. Może ich kumple nie przyszli, bo oni chyba się urwali. Leżą tam. Oni i ich karabiny. Lottie błagalnie próbowała objąć muskularne przedramię. Randy odtrącił jej chudą rękę. W nieskomplikowanej gradacji jego grupy Lotta stała najniżej, na poziomie skończonych nałogów. Nikt nie chciał się z nią wiązać, wziąć w opiekę, a brat miał ją gdzieś. Wykorzystywali tę małą tylko do prostych posług, posyłek, w łóżku. Dziewczyn było o wiele więcej niż facetów, one nie ginęły i nie uciekały tak często. Za byle co można było mieć każdą.

Randy Hennes nie ćpał tyle co inni. Doskonale wiedział, czym to grozi. Obronił się przed nałogiem w dobrych czasach, kiedy marzył o tym, by zostać gwiazdą. Tym razem też raczył się tylko pogardzanym przez innych piwem i był na tyle trzeźwy, że bez trudu odczytał

obietnicę w oczach Chrisa. Obietnicę szybkiej śmierci. Poczuł, że ten chłopak jest bezlitosnym zabójcą, który tylko czeka na moment odpowiedni do ataku, a to co mówi ta mała jest tak niewiarygodne, że może być prawdziwe. Sam wódz nie był silny fizycznie. Rozdymał się kiedyś anabolikami i preparatami hormonalnymi, marząc o karierze filmowej, chcąc być jak słynny Wally Morton.

- Dobra, zaraz to sprawdzimy. Crabb, ty łajzo, weź paru chłopaków z gnatami i idź, ale ostrożnie, bo wiesz, jak to z nimi jest. Jeżeli to prawda, zabierz stamtąd przede wszystkim broń. Daj im adres mała, a ty Chris, rozgość się, usiądź. - Nawet raczył uśmiechnąć się krzywo, ale mimo wszystko czuł swoją przegraną w tym krótkim starciu. Wiedział, że na szczęście ci głupole i tak nie pojęli, o co chodziło.

- Ja pójdę z nimi, Randy - mała znów się ożywiła. - Trafie tam nawet po ciemku.

- Dobra, idź, a wy pospieszcie się, wały - rzucił niedbale Randy, - wracając przed taflę telewizora i przestając zwracać uwagę na Chrisa, który siadł na podłodze w pozycji lotosu.

Czekał. W ogóle nie powinien tu być. Ci ludzie, prymitywni, zezwierzęceni, nie zasługiwali na to, by im pomagać w czymkolwiek. Chyba prawdziwy był sąd profesora Verniera, który powiadał, że człowiek wznosi się latami, a upada w godzinę. Wielkie, wspaniałe kiedyś miasto było teraz ruiną, wielkie twory ludzkiego umysłu bezwartościowymi, bezużytecznymi kupami złomu, ale przecież to wszystko powstało dzięki sile twórczej homo demens. „Kochajcie Człowieka, ale pamiętajcie, że mali ludzie zasługują na nienawiść”. Dla nich nie robi nic, ale może powinien coś zrobić dla takich jak Stawsky czy ten farmer z miejsca bez nazwy nad wielką rzeką. Oni są inni. Bardzo inni. Wielcy nawet w drobnych gestach, nawet kiedy objawiali własną bezsiłę.

Śmigłowcem z Hartenbergu przybył do punktu odległego o dwadzieścia kilometrów od Strasburga po zachodniej stronie Renu i do samego miasta miał dojść pieszo. To było o połowę mniej niż ich zwykła dzienna porcja marszu. Nie wiedział, dlaczego ma unikać ważniejszych dróg, a zwłaszcza tej, która prowadziła do jakiegoś Mulhouse. Wiedzieli tamci i to mu wystarczało. Nie wiedział, że eposy drogi, filmowe opowieści o „rycerzach dróg” w postnuklearnym, zrebarbaryzowanym świecie nie były antycypacją tych dni. One były wzorami kreującymi przyszłość. Mniejsze i większe grupy uzbrojone po zęby szalały na drogach, uważając je za swoją własność, jak i wszystko co w zasięgu ich thunderbirdów i aquil. Odnaleźli w sobie wiele dawnych raubritterów, ich chciwość, gwałtowność, okrucieństwo. Przeżywali silniejsi i ci, którzy umieli się okupić. Konwoje organizacji przechodziły przez zapory jak przez masło, bo „rycerze dróg” woleli wtedy zbaczać na dróżki.

Idąc przez nieco rozmiękłe pola wprost na północ, zauważył leżącą w ukwieconym ogrodzie farmę, wyspę różowawej bieli pośród rozszalałej zieleni. Przypominała mu coś dziwnie znajomego, przypominała jego samotny dom nad Loch Drommond. Dookoła, jak okiem sięgnąć, rozpościerały się pola uprawne porośnięte wybujałymi oziminami, zaorane. Skracając maksymalnie drogę, zbliżał się coraz bardziej do białego domu, parterowego, przysadzistego, a jednak królującego wśród innych, o wiele większych budynków. Nie mógł nie zauważyć śladów zniszczeń. Najpierw wrak spalonego ciągnika przy drodze wychodzącej na pole, potem okna powyrywane razem z futrynami, drzwi ze sporą dziurą pośrodku. Cały był jak napięta cięciwa, gotowa do wyrzucenia strzały, choć odór spalenizny już zwietrzyał. Nie mylił wyostrzony węch. „Zmysły są po to, by służyły wam jak najlepiej, musicie ćwiczyć wszystkie, by być jak kot i mysz”. Stary człowiek wyszedł nagle zza węgła tego domu. Człowiek z tego świata. Pierwszy człowiek. Nie był uzbrojony.

Prosta droga na północ prowadziła tuż obok niego. Poza zniszczonym, podartym ubraniem i śladem świeżej rany na policzku Chris Ivor zobaczył jeszcze żałosne, zmęczone, pełne męki oczy starego człowieka, który czekał tam na niego, na jego drodze.

- A może ty mnie wreszcie zabijesz, synu? - usłyszał cichy, drżący głos mówiący toporną, kontynentalną angielszczyznę. - Nic już nie mam, tylko to moje gówniane życie. Gdyby to nie był grzech, dawno sam bym to zrobił,

Takie sytuacje zdarzały się tylko w filmach. To było... było dziwne, takie wtedy znalazł określenie.

- Ja nie zabijam - powiedział.

- Ty jesteś z tych dobrych, co? - stary mówił to z przejmującym sarkazmem. - Taki sam aniołek jak tamci, co? Zabrali mi wszystko, co miałem. Nie ulitowali się nawet nad moją staruszką. Podobny do ciebie zastrzelił ją tylko dlatego, że chciała go uderzyć patelnią. I jeszcze się śmieli, kiedy umierała. A mnie nie chcieli zabić, tylko jeden taki krzyknął do mnie: „Posprzątaj ten burdel, stary dziadu i ciesz się, że jeszcze żyjesz. Nie spiesz się tak do piekła, zdążysz”. A ja chcę nawet do piekła. No, zabij mnie - po starczemu żałosny, wyciągnął w błagalnym geście ręce, drżące, gruźlaste.

- Nie zabijam - powtórzył zupełnie bezradny Chris Ivor i czując gorzkość wypływającą chyba z poczucia bezsiły, poszedł na północ. Nieprawdą była ta omnipotencja, jaką w nich wmawiano, jaką powinni czuć. Nie mogli wszystkiego.

- Zabijasz, zabijasz jak oni wszyscy. Wy to lubicie - słyszał z tyłu cichy, opętańczy śmiech starego człowieka. Śmiech człowieka, który bardzo chciał umrzeć.

Krzepiło go to wspomnienie i choć nie potrafił określić przyczyny, poczuł się lepiej w

tym miejscu, z tymi ludźmi. Świat jest szeroki i obcy, to prawda. Jest różnorodny i pełno w nim miejsca dla każdego. Po to, by byli dobrzy, trzeba złych, by byli mądrzy, trzeba głupich, i to dopiero kształtuje skomplikowaną całość. Jeżeli zechce, zdoła stąd uciec, a jeśli któryś z tych ogłupiałych, bawiących się bronią dużych chłopców go zabije, będzie to tylko koniec tych głupich problemów, jakie pojawiają się na każdym kroku. Promienna wizja zadania odeszła w przeszłość, stała się miłą wspomnieniem własnego durnego zadufania, własnej bezwoli. Narodziny były bolesne, zbyt bolesne.

Mogą go zabić tylko przypadkiem, a Chris Ivor czuł przed przypadkiem należyty respekt. Napięcie narastało w nim z każdą sekundą, pozwalało myśleć jasno, umacniać determinację. Tak, popełnił błąd, na podobny nie może już sobie pozwolić. Sytuacja wcale nie była trudna. Przecież miał przeciw sobie tylko trzech ślepych i głuchych przeciwników. Używanie adrenolu wiązało się nierozzerwalnie z prawdziwym działaniem. Jakimkolwiek działaniem, nawet bezsensownym, byle forsownym. „Inaczej przypominasz skoczka z trampoliny, który zawisnął nieruchomo w powietrzu”. Wisiał.

Siedział pozornie rozluźniony na miękkim dywanie pod ścianą. Czas dłużył się niepomiarowo. Obserwowanie tych człekopodobnych istot nie sprawiało przyjemności. Rechoty, gwizdy, wulgarne i nie bardzo zrozumiałe komentarze budziły wstręt, wzmagaly, kumulowały agresję. Chwilami Chris miał ochotę zerwać się i rzucić między nich. Chciał czuć radość zabijania, czuć swoje ciało jak doskonałą, precyzyjną maszynę zadającą śmiertelne ciosy. Nie zrobił tego. W korytarzu, a potem pokoju obok usłyszał głośne hałasy, tupot wielu stóp, a w nim przebijający się, piskliwy głos Lottie.

- Jesteśmy, szefie. Wracamy z tej rzeźni. Jacko chciał przynieść jednego, ale za ciężki skurwiel. Rzuciliśmy go na ulicy - rozpromieniony, uśmiechnięty szeroko Crabb prowadził za sobą całą watahę. Z ramienia zwisało mu pięć AK, na biodrze kołysały się torby. Chłopak tuż za Lottie taszczył cały kłęb łaciatych kombinezonów khaki, inny buty komandosów. Obdarli trupy do czysta, pomyślał obojętnie Chris, prawie nieobecny.

Randy stał z gniewną twarzą, zmarszczonymi brwiami. Wódz stada doskonale wiedział, co robi. Bronił przywództwa.

- Zostaje tylko Crabb i ci, co z nim byli. Reszta wynocha, i to już. Wynocha, powiedziałem! - podniósł głos prawie do krzyku, gdyż poczuł się zagrożony. Oto pojawił się rywal, który może zechce walczyć o stado, więc póki jeszcze jest wodzem, musi podkreślać swój autorytet i sposób nie jest najważniejszy. Podkreślił. Ci od końca pojedynczo zaczęli wymykać się z gabinetu, a kiedy zrobił jeszcze trzy kroki została ich tylko szóstka. - Raportuj, bałwanie!

- Więc, szefie, mała nas zaprowadziła. Włazimy tam za nią i rzeczywiście, leżą jak śledzie, cała piątka, i to chłopaki potężne jak byki. - Crabb trochę spuścił z tonu, zmrożony postawą szefa, ale wciąż z dumą trzymał automaty na ramieniu, jakby to on je zdobył. - Dwaj zostali zaszlachtowani nożem ciosami w samo serce. Jeden był jak uduszony albo co, a po dwóch pozostałych nie można było poznać, z czego zdechli. No, po prostu aniołki. Gnaty były na miejscu, cała reszta też, no i zabraliśmy wszystko, pociski, radia, kombinezony, żeby się czasami za nich przebrać. No i te fikuśne noże. Coś wspaniałego, szefie. Czegoś jeszcze takiego nie widziałem. Mogę sobie zatrzymać jeden? Na pamiątkę.

Ostrożnie złożył karabiny na podłodze, wyciągnął zza pasa nóż komandoski. I stało się to, czego nikt się nie spodziewał. Zobaczyli tylko zamazany zarys sylwetki Ivora, a gdy kadry spowolniały, leżącego na podłodze Crabba ze skrzyżowaną ręką, wreszcie znowu nieruchomego Ivora z nożem w ręce. Nawet Randy zupełnie stracił głowę, to było coś, co przechodziło jego mizerne zdolności pojmowania zjawisk nadprzyrodzonych.

- Tym nie można się bawić - powiedział spokojnie, niemal flegmatycznie Chris Ivor. - To groźna broń.

Nie zwracając uwagi na jęczącego, wijącego się na podłodze Crabba i osłupiałego Randy'ego, skierował piętnastocentymetrowe ostrze na nagą ścianę. Oszczędnym, niezbyt szybkim ruchem zwolnił zaczep przy nasadzie rękojeści. Usłyszeli tylko metaliczny szczek i srebrzysta strzała pomknęła z prędkością pocisku, uderzając w żelbet, żłobiąc w nim spore wgłębienie i opadając na podłogę. Chris podszedł, podniósł ostrze, któremu zupełnie nie zaszkodziło zderzenie z ścianą, i bez wysiłku wsunął je z powrotem w rękojeść. Wymagało to sporej siły fizycznej, ale w jego palcach wyglądało na dziecinnie prosty zabieg. Patrzyli na to z zaskoczeniem Papuasów widzących pierwszy raz samochód. Rozległ się głośny szmer.

- Musiałeś mi wykręcić łapę, ty skurwielu?! - wciąż wijący się Crabb chyba dopiero teraz poczuł prawdziwy ból i sam nie przypuszczał, jakie miał szczęście. Skończyło się na skręceniu, a przecież mógł zostać inwalidą i wtedy jego wartość w grupie spadłaby poniżej zera. Przeszkadzał swoim skowytem.

- Zamknij mordę, głupi baranie - wódz jeszcze nie odzyskał pełnego panowania nad sobą, nie wiedział, co powinien zrobić. - Gdyby nie on, posłałbyś mnie już do aniołków. Dziękuję ci Chris.

Z krzywym uśmiechem wyciągnął rękę w najstarszym geście pojednania. Uznawał swoją przegraną przed sobą, nie innymi. To było zachowanie przywódcy szanującego elementarne normy sprawiedliwości. Jeżeli zajdzie taka potrzeba, stoczy z tym człowiekiem walkę, beznadziejną walkę o władzę i przywileje w grupie. I będzie to walka na śmierć, bo po

tym, co zobaczył, uznał oczywistą wyższość obcego.

- Jeżeli nie jesteś od nich, to musisz być facetem od zielonych, no nie? Wiesz, z tej zafajdanej armii, która podobno jeszcze gdzieś istnieje. Wy tam macie takie swoje sposoby.

- Nie, nie jestem z armii. - Chris podał wodzowi nóż, trzymając go za ostrze.

Wedle niego ten gest miał być zupełnie jednoznaczny, miał być uznaniem przywództwa, ale zaraz pojął, że znów popełnił błąd. Co drugi gest pokory jest zachętą do skumulowania i wyładowania agresji. Ten był drugim. Instynkt podpowiedział mu to natychmiast, a odpowiedzią było ponowne napięcie, przygotowanie ciała do akcji. Randy wziął nóż i ujmując rękojeść, skierował ostrze wprost na niego, celując w brzuch, niby machinalnie. To znów przypadek, pomyślał Chris. Wiedział, co będzie się działo za chwilę. Zdolność przewidywania brała się nie z teoretycznej znajomości psychiki, ale całej nieznannej strony natury człowieka szalonego, jego zwierzęcej istoty. W oczach tamtego dojrzał decyzję, mówiło o niej całe ciało. Randy już postanowił usunąć problem. Uśmiechał się samymi wargami.

Zawiodło go samcze zadufanie, duma ze swojego wyglądu fizycznego, zdradzały drgające pod skórą mięśnie ramion.

- Uratowałeś mi życie, no, no - opuścił oczy na nóż, wciąż kierując ostrze na Chrisa, udając, że podziwia broń. - Ależ fikuśna zabaweczka.

Ostatnia sylaba zlała się z następnym szczękiem. Strzała utkwiała w celu. Ale Chris, który dostrzegł ruch kciuka i drgnięcie wyeksponowanych mięśni przedramienia, zdążył odwrócić się bokiem i zgąć miętko. Śmierć kościstym palcem wskazała kogoś innego. Chudzielec z kombinezonami upadał na kolana z niewiarą, że to już koniec. Zacharczał i z wybałuszonymi oczami runął na podłogę. A oni dwaj stali naprzeciw siebie.

- Chciałeś mnie zabić - głos przybysza, metaliczny i powolny brzmiał nieziemsko. - Nie grasz uczciwie, Randy. Walcz jak mężczyzna, nie jak tchórz.

Mówienie przychodziło mu z trudem, tak był naładowany energią. Wódz otrząsnął się z zamroczenia pojął, że ta chwila nadeszła Z całą siłą rozpaczy i nienawiści wystrzelił zaciśniętą pięścią w kierunku głowy obcego. Ta siła włożona w cios przesądziła o rodzaju śmierci. Impet uderzenia obrócił go o dziewięćdziesiąt stopni. Chyba nie zdążył pojąć, że minął cel, gdy kant dłoni uderzał go w nasadę czaszki, łamiąc kręgi szyjne, przerywając rdzeń. Nim upadł, Ivor trzymał w ręku AK. Tak powinno być. „Siła i zdecydowanie. Zdecydowanie i siła”. Musiał zabić jednym uderzeniem, by wykorzysta element zaskoczenia.

- Wybierzcie sobie nowego szefa. Ten nie był najmądrzejszy. A ja was opuszczam. Mam swoją robotę.

Patrzyli na niego jak na fascynujące ale niepojęte zjawisko, jak na ducha. Chyba żaden nie pomyślał o tym, by próbować się mścić. Po co skoro Randy i tak nie żyje, a w sumie zasłużył na to chcąc zabić jak tchórz. Przywykli do strachu przed nim. Nie ma Randy'ego, nie ma strachu. Proste.

Odprowadzali obcego wzrokiem, zaszokowani, może po swojemu oczarowani niezwykłością tych scen. Cofnął się do drzwi. Wartownicy przy windzie byli mało przytomni, jeden tylko zagapił się na niego szklistym wzrokiem i kto może wiedzieć, co zobaczył. Może hipopotama w pidżamie, może tylko krasnoludka?

W windzie Chris już był zupełnie spokojny. Znów zabił, zabił niepotrzebnie. Ludzie są zbyt niebezpiecznym otoczeniem, tacy ludzie. Jadąc na dół, sposobem Denisa podczepił się pod sufit, wieszając karabin na szyi. Utrzymując się na rękach i lekko podgiętych nogach w pozycji poziomej tuż pod sufitem, dojechał na parter. Drzwi się zamknęły i winda natychmiast ruszyła w górę. Nawet, jeżeli spróbują go teraz ścigać, są spóźnieni o lata świetlne.

Szedł powoli w kierunku placu Europy, posługując się zakodowanym w pamięci planem miasta. Musi skierować się na wschód. Było jeszcze za wcześnie na wykonanie zadania, postanowił nie próbować przed trzecią w nocy. Będąc tu pierwszy raz, przyjrzał się gmachowi banku, jednemu z niewielu strzeżonych przez ludzi organizacji. Wówczas, w dzień, zauważył wewnątrz trzech uzbrojonych ludzi. Nic nie wskazywało na to, że mają podgląd na zewnątrz. Zresztą po co? Budynek był już tylko pustą skorupą, skarbiec przewieziono w bezpieczniejsze miejsce. Dachy też nie strzegł nikt. Szare mury pokryte gładkim tynkiem. Za pomocą przyssaw to jest proste. Czy nie nazbyt proste?

9

- Panie generale - adiutant wyglądał na nieco poruszonego, a może tylko zakłopotanego. - Generał Ogariow właśnie wrócił z Bari. Przepraszam, ale życzył pan sobie...

- Dziękuję, Jean. - Donovan niechętnie zwlókł się z wersalki. To jednak były warunki bojowe. Od paru tygodni nie zdarzyło się jeszcze, by mógł spokojnie pospać choć sześć godzin.

- Czy mam poprosić?

- A co robi?

- Zdrzemnął się, panie generale.

- To niech sobie drzemie - zerknął na zegar, był kwadrans po drugiej w nocy. Lepiej ściągnij tu do mnie Lussaca. Niech zbierze wszystkie niewesołe wiadomości. Czy wrócił jakiś śmigłowiec?

- Nie, panie generale.

- A niech to...

Nowa zagadka i chyba nowa klęska. To czysty koszmar, wszyscy poszaleli do cna.

- Idź już po tego naszego Savary'ego, a potem zajmij się zrobieniem dobrej, mocnej kawy.

Adiutant bez słowa opuścił skromną kwaterę generała. Po kilkunastu minutach pojawił się zmęczony, ospały Lussac. Pierwszy raz w swojej błyskotliwej karierze natknął się na mur nie do przebiccia, ale już prawie zdążył otrząsnąć się z poczucia niemocy.

- Nietęgo wyglądasz, majorze. - Donovan nie mógł zdobyć się nawet na drobną uszczypliwość a były chwile, że chciał przyłożyć swojemu pupilkowi wyglądającemu teraz jak śmierć na chorągwi.

- Panie generale, zdecydowanie nie jestem koniem, na którego powinien pan stawiać - powiedział z goryczą Lussac. Ta klęska go zaskoczyła, nastąpiła w chwili, kiedy odniósł pierwszy sukces.

- Niezłe powitanie, majorze. Optymistyczne „dzień dobry”, tak? - dość ostro zareagował Donovan.

- Może pan powierzy to komu innemu?

- Widzę, że nie jest pan koniem, Lussac, ale nie mam pod ręką nawet kozy. Proszę o

raport i pańską ocenę ostatnich wydarzeń. Zaraz dostaniemy kawę i coś mocniejszego. No, niech pan wreszcie zaczyna. W wojsku zawsze trzeba się spieszyć ze złymi wieściami, nie wie pan o tym? Co zaś do odwołania, majorze... Nie odwołam pana, bo jest pan najlepszy.

- Tak jest, panie generale - uśmiechnął się lekko Lussac i zaczął: - Po otrzymaniu informacji od naszego człowieka ze Strasburga, zgodnie z pańskim rozkazem o godzinie siedemnastej trzydzieści wysłaliśmy sześć śmigłowców bojowych z pełną obsadą do Ville, gdzie według naszych informacji miał być Carney. Rajd poprowadził kapitan Dampierre, którego sam pan wybrał....

Jeden z najlepszych, pomyślał Donovan, przywołując w pamięci oficera tak uszczęśliwionego, że wyskoczy poza bazę.

- ...mieliśmy z nimi stałą łączność i aż na parę mil do Ville wszystko wyglądało normalnie, żadnych komplikacji. Pod Ville znaleźli się w zasięgu radarów, których nie powinno tam być. Oficer operacyjny, major Janasz nie zdecydował o przerwaniu akcji, co w tej sytuacji, moim zdaniem, było w pełni zasadne. Natychmiast nasunęło się podejrzenie, że to robota jakiegoś amatora. Na granicy miasteczka, na wysokości pięćdziesięciu metrów śmigłowce zostały zaatakowane z ziemi myślącymi pociskami rakietowymi typu Fox 3. Tak przynajmniej uważamy, gdyż nie zadziałały ani pozoranty, ani osłony i cztery nasze maszyny zostały strącone już po pierwszej salwie. Piąty poszedł w dół w ogniu w parę sekund potem. Tylko sierżant Jaworski zamykający stawkę przyduślił swoją maszynę do ziemi i prawie szorując brzuchem po polu, zdołał się wycofać. Przyprowadziłem go ze sobą, by ewentualnie skorygował nasze spostrzeżenia. Czy mam go wezwać?

- Nie, majorze, nie trzeba. Odeślijcie go. Niech się wyśpi, o ile zaśnie - generał otworzył przymknięte powieki.

Starał się zrekonstruować te sceny nad domami maleńkiego miasteczka. Śmigłowce schodzą na pułap pięćdziesiąt, prowadzący akcję pewnie szuka miejsca do lądowania i w tym momencie odpowiednio zaprogramowane, dozorowane z ziemi foxy wtargnęły w bezbronne stado, wyminęły antyrakiety, jeśli zdążyli je wystrzelić, przebiły osłony i u schyłku dnia, kiedy ustąpiły chmury i słońce opadło ku granicy widnokregu, nad miasteczkiem rozkwitły cztery ogniste kwiaty, a zaraz piąty. Boże, sześćdziesięciu wspaniałych ludzi! Ten przepytany przez Lussaca sierżant nie mógł dodać nic znaczącego.

- Mam jeszcze taśmę z rozmowami oficera operacyjnego, panie generale. Lussac już wrócił.

- Zostawcie ją naszym analitykom, majorze. To jest teraz mało ważne, jak myślę. Zresztą i tak wyssaliście z tego całą treść. Weźmy się za to od początku, zrobmy to, czego na

dobrą sprawę zaniechaliśmy. Przyjęliśmy założenie, że Carney przebywa z musu na... jak myśmy to nazwali? Na emigracji wewnętrznej, tak?

- Tak, panie generale.

Carney nie przyjął zaproszenia na obrady parlamentu, to było dość głośne w środkach przekazu. Został właśnie w Ville z paroma ochroniarzami. Nie przywiązywaliśmy większej uwagi do tego faktu, teraz powinniśmy. Faktem jest, panie generale że Carneya nie było w Strasburgu w dniu wybuchu. Lussac urwał, sam zaskoczony.

- I co? Chce pan zasugerować, że Moris wiedział?! - w pytaniu wibrowała nuta zdziwienia.

- Mógł wiedzieć, panie generale, ale my nie braliśmy pod uwagę nawet tej ewentualności, traktując go jak żonę Cezara. On mógł o tym wiedzieć - mówił powoli Lussac, ważąc każde słowo. - Wiem, że to poważne oskarżenie, ale w tej sytuacji musimy brać pod uwagę wszystko, panie generale.

- No, wraca pan do życia, mój drogi Lussac. Jean Przez pół godziny nie ma mnie dla nikogo, zrozumiano? Do diabła a gdzie koniak?

- Tak jest, panie generale. Nie ma pana dla nikogo, koniak w drodze. Tylko generał Ogariow...

- Co Ogariow?

- Dzwonił z pytaniem, czy pan śpi i czy go pan przyjmie.

To musiało znaczyć, że Rosjanin ma coś ważnego. Jednak nie drzemał.

- Odpowiedz, że nie śpię i czekam.

- Tak jest. - Adiutant wyszedł.

- Teraz możemy kontynuować, majorze. Mamy trochę czasu na wszystko, na Ogariowa też. Wie pan, po co chce przyjść? Nie? Też dobrze. No i co dalej?

- Carney nie pojawił się publicznie w czasie zamętu, nie udzielił nawet jednego wywiadu a my wiedzieliśmy tylko, że siedzi w Ville, gdzie poza ochroną jest jeszcze oddział hunwejbiniów z YP. Ciągle liczyliśmy na to, że jest naszą wielką nadzieją na przyszłość. To nam starczało, a nie wiem, czy powinno. Dwukrotnie byli u niego nasi kurierzy, dwa razy powtarzał, że jest załamany, że robi wszystko dla przywrócenia dawnego stanu rzeczy z pewnymi koniecznymi modyfikacjami, i to praktycznie wszystko panie generale. Niestety, nie zadaliśmy sobie paru podstawowych pytań, ale to był człowiek poza wszelkim podejrzeniem.

- Tak, wiem o tym - powiedział cicho Donovan. - Czy nie wydaje się panu dziwne, że mafia zostawiła go w spokoju? A może nie zostawiła?

- I tak, i nie, panie generale, to zależy od punktu widzenia. Mafia nie musiała się go

obawiać, odbierając mu głos, a z drugiej strony może nie nadawał się do wykorzystania propagandowego. Dla mnie ważniejsze są inne pytania. Komu zależy na usunięciu go spośród żywych, a komu na utrzymaniu go przy życiu? Nie mam podstaw do przypuszczeń, że ten implant mówi prawdę, ale szósty zmysł mi mówi, że jednak przysłano go po to by zabił Carneya, ale Carneya jakiego nie znamy. Gdybyśmy tylko wiedzieli, kto Carneya podesłał. Na pewno nie mafia, a więc kto? Kto i dlaczego? To pytanie numer jeden, a pytanie numer dwa, może ważniejsze od pierwszego to pytanie kto go teraz chroni i w jakim celu. Taką obronę mogli zorganizować tylko ludzie ze specjalnych jednostek EIA. Ci kurierzy twierdzili, że ochrona Carneya liczyła kilku goryli i parunastu młodych chłopaków, ale to może być tylko sztafaż.

- Tak, te cholerne foxy - westchnął generał.

Kto mógł mieć dostęp do broni najnowszych generacji? Ci młodzi szaleńcy? Wątpliwe. Ludzie z EIA? Oni mogli. Od lat grali własne gry, dysponowali ogromnymi środkami i utajniali większość swoich operacji. Ale teraz pewnie wszyscy chodzili na pasku szefów mafii.

Oni zaś byli ślepi i głusi, odkąd okrojono armijny wywiad i kontrwywiad. Armia to tylko narzędzie i już.

- Nie zdobyto ich w czasie tych napadów na magazyny, bo ich tam nie było, panie generale. Albo zniknęły w fazie produkcji, albo pociski o podobnych parametrach zostały ściągnięte z zewnątrz. Tylko skąd? Nie złapaliśmy ani nitki. Można by także założyć, że Carney jest pod ochroną Korobkowa gdyby nie to, że nie ma śladu kontaktów naszego herosa z mafią. Ale my go naprawdę nie znamy, panie generale.

- O czym pan myśli, majorze?

- Chodzi mi o sposób jego wykreowania. Wpadło mi to do głowy teraz i nie daje spokoju. Pan wie, że środki przekazu wybierają tych, którzy pojawiają się na ekranach, a były i są zdominowane przez różne potężne lobby. Wielkość gwiazdki promowanej przez media mierzy się milionami euro. Byle krzykacz w MTV to są dziesiątki milionów. A tu tymczasem kilkanaście stacji zaczęło lansować jedynego sprawiedliwego w tej Sodomie. Czy to nie dziwne? Gdyby nie to, że takie zjawisko miało miejsce w gnijącym organizmie powiedziałbym, że to było chore, panie generale. Jego talenty to za mało. Miejsce prawdziwego talentu bez pieniędzy to śmietnik.

- Zostawmy to na boku. Idzie pan za daleko, majorze - skrzywił się generał. - Ja jestem skłonny założyć, że Ville jest więzieniem Carneya.

- Coś odpycha mnie od takiego założenia, panie generale.

- Czyli pozostajemy w zawieszeniu? Nie mogę przedsięwziąć dalszych kroków a Carneya już tam nie ma, tego jestem pewny. Jak pan interpretuje drugą obietnicę tego Ivora?

- Znowu kurtyna, panie generale. Podobno jego następny cel to głowy mafii, ale trudno dać wiarę. To tylko człowiek.

- Powinniśmy mieć nadzieję - uśmiechnął się blado Donovan. Nadzieję na to, że jednak coś drgnie i nie rzucimy się na tę głębię bez przygotowania, bo licznik bije nam bez przerwy. Będziemy musieli sprawdzić, czy te ciemne siły blefują.

- Przygotowuję jeszcze dwustu ochotników ze specjalnym sprzętem, panie generale. Są gotowi eksplorować wskazane miejsca. Cztery już znalazło się w miastach. Mieli szukać igieł w stogu siana i mało kto wierzył, że znajdą choć jeden ładunek. Zdani na siebie i swoje umiejętności, mieli także inne zadania, ale to pierwsze było najważniejsze, gdy zawiodły rutynowe metody, detektory samolotów, satelity, czujniki.

- Dziękuję, majorze. Musimy próbować wszystkiego. Tylko jedno wyjaśnia się już na dobre, sprawa Korobkowa. Te zeznania są wiarygodne?

- Na pewno wymuszone, panie generale. Ci sprasowani przez nas wyśpiewali po chemii, że są ze specjalnych ośrodków w Dubrowniku i Malcewie. Wszyscy z jednostek Specnazu Trzeciej Armii Pancерnej generała Krawczenki. To nie przypadek panie generale ale trzeba pamiętać, że rosyjska mafia to jakby delegatura armii.

- I nie wiedzą nic o tych minach?

- Niestety.

- Trudno. Zostanie pan jako asysta przy rozmowie z Ogariowem?

Lussac odczytał to pytanie jak prośbę. Cóż, jeszcze jedna noc do spisania na straty.

- Jeżeli pan sobie życzy...

- Znakomicie. Zajmijmy się teraz tym boskim napojem, majorze. Trzeba nam świeżości umysłu w grze z Ogariowem. Głównin wiedział, kogo nam podesłać - w tonie głosu Donovana dźwięczało uznanie dla potencjalnego przeciwnika. Rosyjski generał był zbyt dobrym dyplomatą jak na koszary. Chadzał własnymi drogami i z pewnością miał coś do powiedzenia rezydentom wywiadu strategicznego. Armia rosyjska miała świetne oczy i uszy, z resztą było gorzej.

Do czasu jego przyścia zajęli się paroma drobiazgami natury organizacyjnej, ale na każdej sprawie spoczywał cień tego samobójczego rajdu Dampierre'a. Wspaniali chłopcy zginęli zupełnie niepotrzebnie, zginęli z ich winy.

Generał Ogariow zjawił się w polowym mundurze bez dystynkcji, co nie leżało w jego zwyczaju. Mimo napięcia panującego od czasu, kiedy Rosjan zaczęto głośno oskarżać o

czystą dywersję, powitali się jak zwykle, z szacunkiem. Ogariow od razu przystąpił do rzeczy.

- Wiecie panowie zapewne, że otrzymałem informację punktową od mojego głównodowodzącego i na pewno znacie jej treść, ale po zdekodowaniu nie daje to panom wiele. Nie, proszę nie protestować panie generale, to nie zmieni faktu, że i tak przekażę ją panu we właściwej formie. Jej treść brzmi: „Fale przelewają się przez brzeg, zalewają ślady stóp na piasku i cofają się na powrót, zostawiając za sobą osad piany”. Tylko tyle i aż tyle, panowie, a to fragment wiersza marszałka i poety. Nawet najgenialniejszy kryptolog nie wyczyta z tego nic albo wyczyta zbyt wiele. To zależy tylko od jego fantazji. Czy mógłbym wiedzieć, co wyczytali pańscy ludzie, majorze? - ze zwodniczym uśmiechem zwrócił się do Lussaca.

- Nie, panie generale, nie może pan bo nawet nie próbowali. Wiem tylko, że przechwycono taki sygnał - odpowiedział Lussac oschle. Były chwile, że cholernie nie lubił i bał się tego Rosjanina. Stary kocur zbyt często próbował zabawić się nim jak z myszką.

- Bez urazy, majorze. - Ogariow położył mu rękę na ramieniu i szybko cofnął ją z powrotem. Zwrócił się do Donovana. - To znaczy panie generale, że kwatera główna zaprzecza stanowczo, jakoby żołnierze naszej armii byli zaangażowani w wewnętrzne sprawy Europy i jest gotowa potwierdzić to oficjalnie.

- No tak. - Donovan nie okazał zbyt wielkiej radości, a jego sarkazm był czytelny. - Spodziewałem się takiego przyjaznego gestu ze strony marszałka. Bardzo ładne słowa, ale tylko słowa.

- Czyżby to panu nie wystarczało? Od tej chwili macie wolną rękę w walce z nimi - uśmiechnięty Ogariow jakby dawał znaki, że ma jeszcze coś w zanadrzu.

- To dużo za mało, i pan wie o tym doskonale.

- Ale to powinno pana satysfakcjonować.

Ogariow sięgnął w wycięcie bluzy i wyciągnął zalakowany pakiet zaadresowany do Donovana. Nadawcą przesyłki był Głowin. Generał niecierpliwie rozerwał pieczęcie. Ku swojemu ogromnemu zdziwieniu zobaczył, że pierwsze pismo było podpisane przez samego Jaszczenkę. A niech to diabli - zaklął w duchu, przebiegając spieszenie linijki, by wpierw odczytać intencje tego przesłania. Po kilkunastu sekundach wiedział wszystko. Uniósł rozpromienioną twarz.

- Majorze, uruchomcie natychmiast Jeana. Ma tu być za minutę z butelką najlepszego koniaku i czymś na ząb. Inaczej zdegraduję.

- Chętnie zjadłbym rosyjskiego kawioru - wtrącił wyraźnie rozbawiony Ogariow.

Donovan zerknął podejrzliwie bo wyglądało na to, że Rosjanin zna treść listu, choć nie

powinien znać. Więc to jego robota.

- Pan wie, co tu jest, generale? - zapytał wprost.

- Tylko się domyślam - odpowiedział Ogariow. - A sądząc po pańskiej minie, wieści są raczej dobre.

- Wystarczająco dobre - przyznał generał. Lussac już otwierał butelkę dostarczoną na czas. - Pozwólcie, panowie, że zajmę się listami z należytą atencją na jaką zasługują, ale przedtem pozwolę sobie wznieść toast za pańskie zdrowie i nie tylko. Piję za pańską podróż do Bari.

- Diabli nadali! Zgadł pan? - Ogariow roześmiał się tubalnie.

Lussac jeszcze nie widział go emanującego taką otwartą, słowiańską radością. Donovan też promieniał. Po chwili i major cieszył się razem z nimi, kiedy poznał treść listu prezydenta Rosji. Wyrazy głębokiej troski i współczucia można było pominąć, dziesiątki grzecznych zwrotów także. Ważkie treści wyłapali natychmiast. Jaszczenko zobowiązywał się do powstrzymania z uznaniem jakiegokolwiek rządu bez uprzedniej zgody Armii Europy, która wedle niego jest jedynym gwarantem normalizacji, i jednostronnie proponował sojusz obronny w walce „ze wszystkimi wspólnymi wrogami”. List Głowina był prosty i jasny w treści. Marszałek potwierdzał oficjalnie, że armia rosyjska nie jest pośrednio ani bezpośrednio zaangażowana w wewnętrzne sprawy Unii, a jeżeli się angażuje, to poza jego wiedzą. Wszyscy Rosjanie podający się za jej żołnierzy nie mają do tego prawa.

- Mogę to interpretować tylko w jeden sposób, generale - powiedział Donovan, zwracając się do Ogariowa.

- Jest to tak sformułowane, aby nie można było zinterpretować inaczej, panie generale. Marszałek Głowin nie może się już wycofać i tego nie chce, dając panu dowód dobrej woli - odpowiedź Ogariowa nie pozostawiała żadnych wątpliwości.

- Ale wie pan o efektach dochodzenia majora?

- Wiem może niewiele, ale wystarczająco dużo - odpowiedział ostrożnie Ogariow. - Pańscy ludzie zabrali się ostro do tych egzekutorów, o wiele ostrzej niż moi przyjaciele. To dobrze.

- Majorze, w takiej sytuacji musimy zapoznać generała z naszymi ustaleniami.

Lussac w kilkunastu skondensowanych zdaniach wyłuszczył istotę sprawy. Rosjanin starannie ukrywał zdumienie, słuchając tych rewelacji. Gdy Lussac skończył, nastąpiło długie milczenie. Potem Ogariow chwycił szklankę i wychylił jednym haustem.

- Przepraszam panów - powiedział wreszcie zduszonym głosem. - Taka dupa wołowa jak ja powinna dowodzić najwyższą kompanią wartowniczą przy wulkanie na Kamczatce.

Słyszałem wiele pogłosek ale brałem je za głupie wymysły, za uszczypliwości. Powinienem działać, zamiast sprawiać dobre wrażenie u pańskiego boku, panie generale. A jednak to możliwe, cholernie możliwe. Ten skurwysyn Krawczenko. Tak, on mógł to zrobić, akurat on mógł po Czeczenii i Iranie. Jeszcze nie wiem po co ale jeśli to zrobił, to tylko na swoją zgubę. Mogę panom obiecać, że zajmę się tym natychmiast, i to z pominięciem dróg służbowych, bez względu na konsekwencje. Oczywiście, jeśli to nie zburzy waszych planów.

- A więc sądzi pan...? - Donovan spochmurniał. Czyżby był to następny spisek w armii rosyjskiej z wyjściem na zewnątrz, zawiązany poza plecami Głowina i Jaszczenko? Po dwóch próbach puczu i paru wielkich aferach związanych z handlem bronią było to więcej niż możliwe. Armia poczuła się siłą sprawczą za Putina i Diemianowa, dwóch prezydentów, którzy budowali Rosję na dwóch filarach, armii właśnie i FSB. Jaszczenko musiał zacząć budować coś normalnego, bo dystans między Rosją a Europą pogłębiał się do tego stopnia, że niektórzy widzieli ją w rządzie krajów trzeciego świata. Ale ta armia, pomna dawnej świetności, choć czasami głodna i obdarta, wciąż była siłą jakiej nikt nie śmiał lekceważyć.

Ponad milion żołnierzy, a do tego największy na świecie arsenał nuklearny. Dzięki Bogu, że swojego czasu udało się wyrwać Ukrainie i Kazachstanowi stacjonujące tam rakiety balistyczne bez kilkudziesięciu, które gdzieś się zapodziały. A cel takiego spisku?

- Nie jestem pewny, panie generale. Może to intryga, a może tylko transakcja - odpowiedział ostrożnie Ogariow. Krawczenko, generał ze starej gwardii to tylko stary pierdziel dowodzący archaiczną w tym czasie strukturą armijną. Nic dziwnego, że nie przyjmuje do wiadomości zmian w wojsku i na świecie. Jemu pewnie wciąż się zdaje, że Rosja jest pierwszą potęgą świata, jak za Aleksandra I czy Chruszczowa. Na szczęście takich jak on jest niewielu, reszta doskonale rozumie, że wygrywa się przewagą technologiczną. Zresztą trzeba być zupełnym głupcem, by nie zrozumieć tego po konflikcie ukraińskim.

- Nie więcej?

- Po chwilowym zastanowieniu mogę powiedzieć, że nie, pani generale - zdecydował się na szczerość. - To tylko mój skromny prywatny sąd ale jego potwierdzeniem mogą być rozpoznania waszych satelitów.

Lussac zdumiewał się temu skąpemu dialogowi. Zupełnie jakby potrafili porozumieć się bez słów. Starczyły im trzy zdania.

- Cóż, te raczej potwierdzają pański drugi sąd choć wie pan, że mamy tylko dwa takie satelity, podobnie jak wy po umowach berlińskich - zgodził się Donovan. - Wszędzie rejestrujemy błogi spokój, nie zauważyliśmy żadnych przegrupowań wojsk, żadnych niepokojących ruchów, ale nie sięgamy do gabinetów.

- Bogu niech będą dzięki, choć marny z niego strateg - westchnął jakby z ulgą Rosjanin. - A swoją drogą i za pańskim przyzwoleniem zrobię to, co do mnie należy, poza tym postaram się dotrzeć do Korobkowa. Jest oficerem liniowym, czy tak, panie majorze?

- Tak twierdzili nasi, hm, jeńcy, panie generale. Mówią, że jest pułkownikiem służby czynnej - odparł Lussac.

- Ale intencje marszałka są oczywiste. - Ogariow zбочył z tropu Korobkowa. Zdało mu się, że powiedział swoje. - Rosjanie schwytani z bronią w ręku nie są żołnierzami armii rosyjskiej i nie muszą być traktowani zgodnie z konwencjami międzynarodowymi. To tylko zwykli bandyci i zasługują na takie potraktowanie, jakie uznacie za stosowne. Kiedy pomyślę, że za jakiś czas staną się waszymi poważnymi przeciwnikami, krew się we mnie gotuje - kończył z zapiekłą goryczą.

Nie zmienił zdania po wybuchu. Europejski podział pracy z podrzędną rolą Rosji uważał za optymalny w tym czasie, co nie znaczyło niezmienny. Rosja często klękała i unosiła się z kolan jeszcze potężniejsza, bardziej promienna. Tak będzie i tym razem. Za dziesięć, dwadzieścia, sto lat. Rosjanie są cierpliwi, potrafią czekać, choć jeszcze nie potrafią pracować umysłami. Ale teraz potrzebują Europy jak tarczy przeciw światu. Gdyby ci szaleńcy zamienili ją w atomowy śmietnik Rosja przegra swoją przyszłość zostawiona pomiędzy Chinami i Stanami.

- Może pan liczyć na naszą jak najdalej idącą pomoc, panie generale - oświadczył dość uroczyście Donovan.

Cenił sobie tego wyważonego, „oficjalnego szpiega” i nie zawodził się na nim, na jego zdrowym rozsądku. Ustalając ostateczny termin uderzenia na miasta na ostatniej naradzie miał nadzieję, że Ogariow właściwie zinterpretuje jego decyzję, przyjmie ją jako swoiste ultimatum jako znak, że Armia Europy jest w stanie zaprowadzić porządek wewnątrz, nie zaniebując bezpieczeństwa zewnętrznego. Odpowiedzi marszałka i prezydenta dowodziły, że właściwie go ocenił.

- Dziękuję panie generale i proszę mi wybaczyć to, co powiem. Poradzę sobie przy pomocy starych przyjaciół. Jeżeli pan pozwoli, wypiję za pomyślność waszej i mojej operacji.

- Ogariow uniósł napelnioną przez majora szklanke.

Lussac roześmiał się jak psotny chłopiec. Zmęczenie i zniechęcenie sprzed godziny wyparowały zeń całkowicie.

- A pan z czego się śmieje, majorze? - spytał Rosjanin, udając zaskoczenie.

- Jeszcze nie piłem za zdrowie waszych szpiegów, to znaczy przyjaciół, panie generale. Oby mi to nie weszło w krew.

- Na pewno nie zdarzy się lepsza okazja - zripostował Rosjanin i ryknęli teraz zgodnym tercetem.

10

- Ernesto, ty ich znasz najlepiej, ty przygotowywałeś i wpajałeś im kody zachowań, ty ich uczyłeś. Zakładając, że obaj żyją, postaraj się uprawdopodobnić ich zachowania w takiej sytuacji - pan Hartenbergu desublimował swoje ogromne napięcie dziesiątkami spotkań, narad z najbliższymi współpracownikami, mnóstwem działań pozorowanych, magicznych i niezbędnych zarazem w tym więzieniu.

Znerwicowani twórcy chaosu nie mieli pewności, co do losów McLachlana. Czułe mikrofony w napach ubrania rejestrowały strzelaninę w trzy minuty po wybuchu, a potem? Analiza urywanych zdań, niewyraźnych okrzyków wskazywała, że jakimś cudem umknął zabójcom, a potem znalazł się w szpitalu. Umowa przewidywała, że ludzie Domeniciego dostarczą zwłoki do Huttwill bez grzebania przy nich. Tymczasem Domenici zerwał umowę, zdradził, a ślad urywał się w jakimś szpitalu. Jakim? Nie mieli ludzi, którzy mogliby to sprawdzić. Wykonawcami mieli być ludzie organizacji, bo z ich misternej ale nielicznej sieci informatorów policyjnych i z EIA nie zostało ani jedno oczko. Znow błęd nie do naprawienia, takiej sytuacji nie przewidywali w żadnym scenariuszu. Jeżeli znalazł się w szpitalu, to możliwość odkrycia w nim implantów wzrastała do zastraszających pięćdziesięciu procent, podobnie jak możliwość znalezienia kamery w przepasce i kilku innych drobiazgów. Doktor Marstone zaklinał się, że zdetonował miniładunek implozywny i McLachlan ma głęboką amnezję, ale czy to pewne? Miliony, co tam, miliardy zostały wyrzucone na straszliwą amatorszczyznę. Niestety, to była prawda. To wszystko wyglądało ładnie w słowach czy na papierze. Teraz wychodziły na jaw dziesiątki błędów, których można było uniknąć, których on mógł uniknąć, gdyby nie ulegał swoim znakomitym kolegom. Byli wspaniali w wielkich syntezach, bezbłędnie odnaleźli wszystkie słabe punkty systemu, to okazało się po uderzeniu, ale dalej było gorzej - było jak najgorzej. Z Ivorem to samo. Po trzydziestu sześciu godzinach nikt nie wiedział, co się z nim dzieje. Nie mieli nawet pewności, czy żyje. Człowiek będący blisko Carneya nie dawał znaków życia. Może już nie żyje? Może i sam Moris nie żyje? Byli ślepi i głusi. Jeszcze przed parunastu laty mieli sieć kilkudziesięciu orbitalnych szpiegów, ale została porwana na strzepy po użyciu „bomb energetycznych” w czasie konfliktu ukraińskiego, a potem w Berlinie zaczęto reglamentować ilość i jakość satelitów, kosmos objęto kontrolą międzynarodową.

- Myślę, że obaj przebywają teraz w jakichś ekranowanych kryjówkach, o ile jeszcze żyją - odpowiadał spokojnie i pewnie Razzoli - Są samotnikami. Jestem pewny, że nie odnajdą w sobie motywacji do zbliżenia z innymi, dzieli ich od tamtych zbyt wiele barier, których nigdy nie przekroczą, nawet po usunięciu blokady, panie profesorze. Zakładam, że McLachlan popełnił samobójstwo, jeżeli oczywiście przeżył. Nie powinien wytrzymać naporu sugestii z naszego nadajnika jak tamtych dwóch. Osiągnął cel swojej misji i życie przestało być dla niego wartością.

- Cóż, to pańskie założenie może być błędne, jak wiele innych - wtrącił major Bretson.
- Paralelnie uczyliśmy ich sztuki, a raczej taktyki przetrwania w warunkach ekstremalnych, przetrwania dla osiągnięcia celu, to się zgadza. Może zmienił się po zamachu, może nie bardzo. Panowie bronicie teorii nie praktyki i nie chcecie przyznawać się do pomyłek. Obawiam się, że nawyk przetrwania da o sobie znać, bo nawet Bogu nie uda się wytlumić instynktu samozachowawczego, a tu nie ma Boga. Samobójstwo? Owszem, Billy i Kalie posłuchali generowanej sugestii, ale Johnny oparł się skutecznie. Nie znam się na tym tak dobrze jak panowie ale chcę zauważyć, że Denis i Chris byli najlepsi we wszystkim. Powtarzałem, aby ich puścić na końcu albo tak zaprogramować, żeby wrócili tu, do gniazda, ale nikt nie chciał mnie słuchać, bo dla panów jestem tylko tępym żołdakiem.

- Johnny był tylko wyjątkiem od reguły, proszę panów, on po prostu uciekł nam w szaleństwo i dlatego nie można go było zmusić do samobójstwa, do wciśnięcia kapsułek. To skutek szoku adrenolowego, który groził obydwu - wyjaśniał spokojnie Topfer. - Sądzę, że nasz znakomity endokrynolog przedstawi to lepiej, prawda?

- No tak, oczywiście - roztargniony jak zwykle Simsen zareagował z dopuszczalnym opóźnieniem. - Inne eksperymenty z podobnymi obiektami wykazały, że naturalną konsekwencją odłączenia od adrenolu jest błyskawiczna regresja psychiczna i coraz większa podatność na sugestie autodestruktywne. Miesiąc to maksymalny okres przeżycia pod warunkiem włączenia kuracji insulinowej, którą opracowaliśmy tylko my. Może mają za duże zapasy adrenolu, ale nie ja ustalałem limity.

- Po ile jednostek mają ze sobą? - pytał Gold, choć doskonale wiedział, z czym ich wyprawiali.

- Każdy z nich ma po pięćdziesiąt ampułek i nie wiemy, czy skorzystają z zapasów bunkra, a tam były dwie pary spreparowanych spodni - odparł nieco zdziwiony Topfer. - Oznacza to maksimum trzysta godzin zwielokrotnionego wysiłku, a potem zapaść, której apogeum przypadnie dwa dni po ostatniej dawce. Oczywiście nie przypadnie ze względu na zawartość trzech ostatnich ampułek. To niezawodna trucizna.

- A jeżeli zawiedzie? Przypomnę, że ja też ostrzegałem przed takim rozwiązaniem - wtrącił Razzoli. - Oni mogą zechcieć powrócić do źródła, miejsca gdzie znajdują adrenol. Mówiłem, że to tropizm każdego zwierzęcia. Pańska teoria ostatnich ampułek może okazać się błędna, profesorze. Nasunęło mi się to po ostatnich uwagach majora Bretsona. Każdy z nich powinien mieć na imię „Nieufny”. Adrenol jest ich pokarmem. Wiedzą o tym i mogą, a nawet powinni zechcieć uzupełnić zapasy na długo przed wyczerpaniem. Nie zdziwcie się, jeżeli zaczną wracać.

- Uczyliśmy ich myślenia racjonalnego, owszem, ale nie myślenia prospektywnego. Może pomyślą o uzupełnieniu zapasu, ale wtedy będzie za późno - bronił się Topfer.

Dodatkowym zabezpieczeniem przed powrotem „prototypów” do Hartenbergu były ostatnie ampułki wypełnione trucizną. Mogli wstrzykiwać adrenol szeregowo. Wyłuskanie pełnej ampułki pomiędzy dwóch innych było, co najmniej trudne i równoznaczne ze zniszczeniem jednej. Kiedyś brali pod uwagę wiele problemów, ale o jednym nie pomyśleli. Ci chłopcy łatwo mogli stać się wrogami.

- Tak - głos zabrał Gold a inni zamilkli. - Od teraz zmieniamy reguły. Nauczyciśmy się tego i owego na błędach, i teraz czas na eliminację błędów. Wszyscy pozostali chłopcy będą zaopatrywani tylko w tyle ampułek, ile trzeba dla szybkiego wykonania zadania. Powiemy im, że będą mogli powracać po uzupełnienie, moi panowie, a zajmie się nimi doktor Svenson albo pan, majorze. Zbyt łatwo tracimy kontrolę nad naszymi chłopcami, a oni jeszcze mogą się przydać. Gra dopiero wkracza w decydującą rundę. Po długim milczeniu od ostatniego kontaktu profesora Verniera odezwała się hydra. Zgodziłem się na spotkanie w Strasburgu, by wysłuchać propozycji tych drani. - Gdy zamilkł na chwilę, nikt nie ośmielił się przerwać ciszy, ponaglić pytaniem. Ubezważnowolnić ich, wciągnął w ten diabelski młyn i postawił po drugiej stronie kurtyny. Choć nie informował o wielu krokach, wszyscy byli współwinni, wszyscy byli współnikami zbrodni wielkich i małych. Tworzyli Dobro przez Zło. Chcieli w to wierzyć, bardzo chcieli. Wreszcie coś drgnęło, zresztą zgodnie z przewidywaniami Joachima Golda, bo to oni mieli atuty nie ta banda ciemniaków. - Ja nie mogę tam teraz lecieć. Nie mogę tego zrobić a teraz, zrozumcie mnie dobrze. To jeszcze nie mój czas. Najlepiej będzie, jak uda się tam profesor Topfer z naszymi dwoma prawnikami. To wspaniali negocjatorzy i nie dadzą się nabić w butelkę. Dziękuję panom teraz. Zobaczymy się przy kolacji, a o pozostanie proszę tylko profesora Topfera.

Hartenberg wprost kipiał za potrójną linią zabezpieczeń. Drut, sensory termiczne, psy, fotokomórki, kamery strzegły spokoju tego górskiego zakątka. Nigdy dotąd w zamku nie było tak rojno, od szóstego piętra pod ziemią po zębate blanki. Znaleźli tu schronienie wszyscy

współpracownicy Golda, jego „bracia w rozumie”, najpotężniejszy trust mózgow jakiego istniał kiedykolwiek na starym kontynencie. Tworzył go prawie w konspiracji, a było to możliwe dzięki pieniądзом. Klub Golda z powodzeniem zastąpił zmurszały Klub Rzymski. Jeżeli był to mózg, to zupełnie zabrakło nad nim pancerza czaszki, czyli członków klubu. Była tylko wątpią osłona z kilkudziesięciu ludzi ochrony, za mało by oprzeć się zorganizowanemu przeciwnikowi. Robotników w swych zakładach trzymał z myślą o przyszłości, bo zakłady można było uruchomić dzięki paruset twardym dyskom. Pan na Hartenbergu zdawał sobie sprawę z wielu niepowodzeń, ale był daleki od chęci przyznania się do klęski, wciąż miał nadzieję na osiągnięcie celu. Przecież się nie mylił. Z Europą było podobnie jak z komunizmem. On także zdawał się znakomicie dostrojonym mechanizmem i nikt nie przewidywał jego upadku.

Kontrakt stulecia zawarty z organizacją został przez nią jednostronnie brutalnie zerwany w dniu początkującym wielki przełom. To ci gangsterzy spreparowali hekatombę w wielu miastach, a potem dopuścili się tej zbrodni. Kto by przypuszczał, że zdetonują ładunki nuklearne. Tego nie można było przewidzieć! To było podłą zdradą, bezsensownym barbarzyństwem, niczym więcej. Taka zdrada nie mogła być nigdy wybaczona. Zdrada wielokrotna. Domenici, Korobkow, Carney, znienawidzeni i nieosiągalni. Ich jednak nie można było odesłać tak szybko za kurtynę. A co najgorsze, że zdradziły całe generacje młodych. Dzisiejsi młodzi to nie płomienni idealisci, lecz szumowiny mające na myśli tylko oniryki i seks. Dla takich poświęcił wszystko, od pieniędzy po uczucia. Myślał teraz, że dla tego celu poświęcił szczęście rodzinne, którego nigdy nie zaznał, poświęcił siebie samego.

I jego porażały konsekwencje przygotowywanego od tylu lat zamachu na gnijącą Europę. W pierwotnym scenariuszu zakładali, że w gruncie rzeczy zmieni się niewiele. Po prostu zabraknie elity politycznej i w tę próżnię wejdą eksperci, altruistycznie nastawieni ludzie nauki, bo tylko oni mogli to zrobić, pociągnąć wózek po zrzuceniu z niego balastu. Nie miał wielkich planów wtedy, kiedy przygotowywał wielki eksperyment ze swoimi chłopcami. Wtedy jeszcze nie. Podjudzony przez swoją marionetkę i złego ducha zarazem, nawiązał kontakt z Domenicim i domówił się z nim, co do pomocy organizacji w przejęciu władzy i kosztów tej pomocy, sądząc wówczas naiwnie, że ci nuworysze zadowolą się figuralną partycypacją we władzy, paroma ministerstwami, eksponowanymi stanowiskami w administracji państwowej, dyplomacji. Nie na długo zresztą - twierdził On, który starał się być tylko doradcą. Mieli być jedynie narzędziami. Gold skazał ich w chwili zawierania kontraktu, a oni jakby wyczuli jego intencje i rozegrali partię poza nim, po bandycku, odrzucając go jak zbędnego jokera, a wraz z nim Tamtego.

Boże, co za błędy! Wspaniałe strategiczne projekcje, jego wielkie wizje były diabła warte bez zabezpieczenia, bez dozoru taktycznego, a o tym myśleli najmniej. Wizjonerstwo oparte na wierze w uczciwość i honor było warte tyle, co paplanie pijanej wróżki. Sprawdzało się w działalności przemysłowej, kiedy miał na usługi tysiące swoich wiernych technokratów, ale nie tu, nie z tymi cynicznymi bandytami, którzy postanowili ukraść Europę. Na tym polu to oni mieli dyplomy, a on był przedszkolakiem, ale uczył się szybko od mistrza i już pojutrze miał zdawać pierwszy egzamin. Ten jego zły duch rzucił mu też niechcianą pomoc ze Wschodu, której nie kontrolował od samego początku, której chyba nikt nie kontrolował. Starczyło parę argumentów Tamtego, by zgodził się na wydanie dziesięciu milionów euro na wykonawców „zadań specjalnych”. Wysłannicy Tamtego spotkali się z Rosjanami w Warszawie i zapłacili jego pieniędzmi za coś, co też obróciło się przeciw niemu.

W dniu wybuchu okazało się, że jest ich parę tysięcy, a ich dowódca, czy raczej jego zwierzchnicy, jeszcze przedtem dogadał się z mafią i ignorował nawet próby nawiązania łączności. Gold poczuł się jak pchła, która próbuje kierować psem. Te dwie siły porozumiały się za jego plecami na zgubę starego świata. Przez pierwsze dni zostawał w szoku, niezdolny do podjęcia decyzji, nie widzący w tym wszystkim krzty rozsądku. Po co? Po co to wszystko? Po co zniszczyli policję, zmusili armię do wycofania się do baz po tych atomowych grzybach? Po co niszczyli sieci komputerowe najbardziej zabójczym z wirusów? Czemu atakowali całą infrastrukturę? To stawało się jaśniejsze dzięki genialnemu Patrickowi.

- Chcą stworzyć pustkę, Joachimie. Chcą zniszczyć stary establishment, z którym musieliby później konkurować. Wzorem wszystkich rewolucjonistów tworzą podstawy dla pełnej władzy swojej elity, elity jaką wyłonią z siebie - wyjaśniał Vernier i wówczas zauważył po raz pierwszy, że analizy socjologa są trafne, ale zawsze bywały takie po fakcie.

- Sam wiesz, że nie są do tego przygotowani - bronił się przed okrutną rzeczywistością. - Przecież to tylko zwykli gangsterzy.

- Och, Joachimie - uśmiechnął się wtedy wyrozumiale Vernier - A powiedz mi, w czym lepsi byli ci pogrzebani politycy? Przypomnij sobie, jak ich nazywałeś. Przypomnij sobie rewolucję francuską, rosyjską i to co te rewolucje zrobiły ze starymi elitami. To efekt lawiny śnieżnej.

- A wojsko? Jak oni tak mogli?

- Cóż, nie wiemy, dlaczego armia zachowuje się tak, jak się zachowuje. Może tylko dlatego, że wojskowi nigdy nie mieli odwagi i wyobraźni.

Po latach sukcesów uczył się zasad gry, do której bezmyślnie usiadł i była to najbardziej bolesna z lekcji, jakie odebrał od życia. On dziecko szczęścia. Nie przyznawał się

do tego, że najpoważniejsze błędy są jego dziełem. Nie musiał.

Ogrom upadku osiępiał nawet tam, w Hartenbergu. W ciągu niespełna dwóch tygodni padła nie tylko Europa, ale zamarło jego imperium przemysłowe, a miliardy euro stały się pustymi cyframi. Wielu załamało się, wielu mogło, ale nie on bo załamanie oznaczałoby szaleństwo. Nawet jako władca zamarłego imperium był jedną z pierwszych postaci na tej scenie. Jego Robotics Inc. można ożywić po zabiegach konserwacyjnych i mogą to zrobić tylko jego ludzie, a ci są tu i w Plötzsee wraz z bankami twardych dysków. Jego zakłady można zniszczyć, ale nie odebrać czy uruchomić poza jego zgodą, a on zgody nie wyrazi. Serce jego imperium jest tu, w Hartenbergu, i tu zostanie aż...

Zaczął się całkiem niewinnie, przed prawie dwudziestu dwu laty. Zaczął od spotkania Alaina Topfera, trzydziestoparoletniego neurochirurga zafascynowanego eugeniką i jej wspaniałymi perspektywami. Na konferencji naukowej zorganizowanej przez Golda, a poświęconej jeszcze raczkującej nieśmiało robotyce, Topfer wystąpił z kontrowersyjnym, drapieżnym referatem o możliwościach inaczej pojmowanej cyborgizacji. Odkryte przez niego możliwości zafascynowały Golda. Uwarunkowani technokraci, oddani bez reszty swej pracy i pracodawcy. Czasami śmiał się oglądając filmy SF jak choćby ten, który kiedyś okrzyknięto przebojem rynku wideo - Van Damme i Lundgren jako zombies, trupy zamienione w superżołnierzy. O tym pomyślał od razu, słuchając wywodu młodego zapaleńca. Zaprosił go do siebie, by upewnić się co do paru szczegółów i możliwości realizacji swojego zamysłu.

- Czy to jest możliwe, doktorze? To, o czym pan dzisiaj mówił, jakoś nie spotkało się ze zbyt przychylnym przyjęciem.

- No cóż, panie profesorze... - Topfer miał w sobie odwagę człowieka święcie przekonanego do swoich racji, a Gold żywił słabość do fanatyków. - Ci dyletanci mają jakieś takie pojęcie o swoich precyzyjnych, bezmózgich maszynkach, a nie chcą przyjąć do wiadomości, że najdoskonalszą maszyną jest człowiek. Jest jedyną maszyną zdolną do regeneracji i niczym nie można jej zastąpić.

- Ja staram się pana zrozumieć - uśmiechnął się wtedy, pełniąc rolę uprzejmego gospodarza. - Pozwolę sobie jednak coś zauważyć, kolego. W pańskim wystąpieniu było zbyt wiele hipotez, a trochę za mało empirii i to mogło zrazić tych praktyków.

- Jestem szczęśliwy jeśli mogę dokonywać eksperymentów na zwierzętach, panie profesorze - powiedział z nieukrywaną goryczą Topfer. - Pan wie doskonale, jak nas atakują ci zbrojeni obrońcy praw białych myszek. Za próby w Faubourgu omal nie odebrano mi uprawnień lekarskich. Tak bardzo dbamy o psychicznie chorych, że wszelkie próby

efektywnej pomocy uznaje się za przestępstwo przeciw etyce lekarskiej, a przecież swoimi metodami wyleczyłem parę przypadków uznanych przez lekarskie sławy za beznadziejne.

- Tak, słyszałem o tym od profesora Golińskiego. To dość przykre doktorze.

Ten fanatyk podobał mu się coraz bardziej. Mieli ze sobą wiele wspólnego. Obaj byli przekonani, że nauka jako taka znajduje się jeszcze na etapie niemowlęctwa i obaj uważali, że właśnie teraz trzeba jej odważnych pionierów.

- Proszę się nie martwić, doktorze, marzenia o nadczołowieku są stare jak sam człowiek i nigdy ich nie zarzucimy, ale pan ośmielił się zanegować osiągnięcia specjalistów od robotyki a oni, jak wszyscy zresztą, mają klapki na oczach i widzą tylko swoje poletko.

- Panie profesorze! - zapal Topfera mógł starczyć pięciu zwykłym rutyniarzom. - Ja sam nie zdaję sobie sprawy z możliwości jakie drzemią w każdym z nas, a są olbrzymie po prostu niepojęte. Jestem święcie przekonany, że wykorzystujemy zaledwie jedną czwartą potencjału, jaki mamy w sobie. To marnotrawstwo, tak naturalne w przyrodzie.

- Ależ ja jestem o tym jak najgłębiej przekonany doktorze, choć nie znam się na tych sprawach tak dobrze jak pan. Pańska idea spodobała mi się i chciałbym panu pomóc, a pan wie, że moje możliwości są spore, prawda? - przeszedł do rzeczy, już mając przed sobą wizję.

- Tak, oczywiście. Wiedzą o tym wszyscy.

- Mam dla pana propozycję i chciałbym się upewnić, czy byłby pan nią zainteresowany. Chciałbym stworzyć i sponsorować klinikę eugeniczną z prawdziwego zdarzenia, w której mógłby pan prowadzić swoje prace bez przeszkód z zewnątrz. Co pan na to? Byłaby to pańska klinika.

- Panie profesorze! Nawet nie śmiałem marzyć o czymś takim! - Topfer wyglądał jak chłopiec z nową zabawką. - O Boże, wreszcie mógłbym pokazać wszystkim.

- A więc jest pan za? Ale rozumiejąc pańskie trudności i chcąc panu pomóc w miarę moich możliwości, byłbym za dokonywaniem eksperymentów na ludziach, doktorze. Co pan na to?

- To raczej niemożliwe, panie profesorze. - Topfer przygasł i zrozumiał od razu.

- W Faubourgu było możliwe?

- Ja mówię o tym, że jest to zakazane prawnie, że ci dobroczyńcy ludzkości uważają to za pospolite przestępstwo.

- Może pan się znaleźć poza prawem, doktorze - uśmiechnął się, już zapalony do pomysłu. - Klinika będzie placówką zamkniętą, a o obiekty do pańskich eksperymentów proszę się nie martwić. Nigdy nie braknie chorych psychicznie czy ludzi z amnezją. Ja to gwarantuję, doktorze.

- Panie profesorze, naprawdę nie wiem, jak mam dziękować za wspaniałomyślność i zaufanie. Odgadł pan moje najskrytsze marzenia...

- Oczywiście jedno musi mi pan przyrzec - przerwał mu te głupie podziękowania. - Nie może pan ujawniać obiektów tych eksperymentów ze względów oczywistych. Myślę, że tylko do czasu, w którym pańskie osiągnięcia będą warte, co najmniej Nobla.

- Ależ tak! To wykluczone. Nawet przy ujawnieniu wyników samych badań, panie profesorze, same teorie, nowe hipotezy oparte o empirię rozwalą szalasy tych domysłów, w jakich chowają się ci niedouczeni dyletanci. - Doktor już widział przed sobą promienną przyszłość, widział się kreatorem tak wielkim jak Jehuda den Beluel i Eliah z Chełma, twórcy Golemów.

- Obiecuję, że jeśli pan nie zmieni zdania, za rok będzie pan miał swoją placówkę. Już może pan szukać odpowiednich ludzi i oferować im płace trzy razy wyższe niż gdzie indziej za warunek milczenia. To nie powinno wydostać się na zewnątrz, doktorze - powiedział Gold z naciskiem.

Topfer oddał się swojej klinice do końca, a wyniki jego badań naprawdę oszałamiały. Przypadki hebefrenii, katatonii, amnezje leczono, traktując jak proste zabiegi. Topfer posuwał się w labiryntach mózgu jak Tezeusz idący za swoją nicią. Bilans strat i zysków zdecydowanie uwypuklał zyski. Czterdzieści dwie ofiary śmiertelne w porównaniu z ponad setką wyleczonych. Właściwie nie ofiary, bo połowę z nich uspioło jak bezpańskie psy, ale były to przypadki beznadziejne. A w innej klinice dwudziestoosobowa grupa geniuszy pracowała na Nobla dla Topfera. Ten Nobel nie stanowił zwieńczenia gmachu jego sławy. Największe dzieło było przed nim. Czekwały obiekty, które nie były takimi ludzkimi odpadami jak tamte. Gold zawładnął Topferem przez stworzenie mu możliwości prowadzenia eksperymentów zabronionych przez prawo, a potem miał go na uwięzi. Zresztą w świetle prawa obaj byli przestępcami, lecz tacy jak oni stali może nie ponad, ale obok prawa.

Jego projekt już dojrzał i realizował go poza Topferem, w największej tajemnicy przed wszystkimi „braćmi w rozumie”. Zamiast proponowanych dwudziestu dzieciaków zebrał ich czterdziestu, nie myślał już o czynieniu z nich psów łańcuchowych, bo takich można wynająć za niewielkie pieniądze. Chciał mieć coś więcej. Ceny na dzieci w Europie Wschodniej, na Bałkanach były śmieszne. Spieszył się, bo świat przełomu tysiącleci szalał jakby w zgodzie z przepowiedniami Nostradamusa. Po części za jego sprawą, za sprawą kreatora wielkiej przemiany. Ludzie zastępowani przez roboty produkcyjne zyskali wolność, z której nie potrafili skorzystać, uciekając w sybarytyzm i rozpasanie, z łaskawym przyzwoleniem ojców zjednoczonej wreszcie Europy, chcących za wszelką cenę uszczęśliwić swoje stado. Tak,

społeczeństwo stawało się tylko stadem, poszczególne jednostki traktowane jak bezmyślne automaty do głosowania na towar zachwalany przez media. Stadem obojętnym na świat. Nowy przyjaciel gwiazdy albo przyjaciółka polityka stały się ważniejsze od wojny w Afryce. Demokracja jeszcze była obiektem zabiegów magicznych, ale jej czas dobiegał końca. No bo czy ktoś widział owce głosujące na swojego pastucha?

Ale był to jeszcze czas działań metodami parlamentarnymi polegającymi na przekupywaniu deputowanych i całych grup małą z cyrku Palais Royal, kiedy tamci stawali wobec interesujących Golda alternatyw. Czuł tylko pogardę dla bezmiernej chciwości i głupoty tych „wybrańców narodów” nie widzących głębiej niż dna w swoich przepastnych kieszeni. Niestety, potwierdzała się stara prawda, że pachnącymi pieniędzmi można kupić każdego z tych nadętych bufonów, a za marny milion wypromować każdą miernotę. Korupcja kwitła w najlepsze. Pożywką dla niej był znów egalitaryzm, lansowany dla społeczeństwa przyzwalającego. Każdy z tych nieźle opłacanych eurokratów chciał mieć dostęp do dóbr statusowych. Ich posiadanie wynosiło ponad szary tłum, świadczyło o przynależności do elity.

Takimi metodami nie można było zapobiec upadkowi, który Gold przygotowywał robotyzacją. Wmawiał sobie, że on tylko uwolnił człowieka od monotonii zrutynizowanej pracy, dał mu pełną wolność w poszukiwaniu siebie, wolność, której ten tak łatwo się wyrzekał. Całkowitą winę ponosili ci, którzy wypracowali przeklętą koncepcję. Pozwalano każdemu na wszystko w granicach liberalnego prawa. Oto istota tego bezmyślnego, społecznego leseferyzmu. Zamiast jakichś form aktywności indywidualnej czy zbiorowej zaproponowano szarym ludzikom sytą bierność przed wielkimi telewizorami. Eurokraci potrafili pięknie mówić, wiele obiecywali, ale robili swoje. Przegłosowano zniesienie nakazu szkolnego i tak dalej, i tak dalej. Rozpoczęła się pierwsze stulecie szczęścia, a media wieściły pierwszą ziszczoną utopię.

Dla „wielkiego Joachima” otwierał się długi czas nadziei. Inkubował kilkadziesiąt maleńkich istot i z daleka dozorował ich wychowanie, przygotowując do jeszcze nieokreślonych, doniosłych zadań. Niewielu ludzi wiedziało o jego eksperymencie i niewielu pomagało. Myślał wtedy, że może wykorzysta te dzieci w walce o inne, lepsze społeczeństwo. A ta walka już się rozpoczynała. Byli jeszcze wśród głodnych myślący i czujący, którzy woleli być niż mieć. Samoobronne ruchy kontestacyjne wykreowały się w ciągu paru lat, ogarniając miliony młodych. Można było tak sądzić, widząc wielotysięczne manifestacje pod pięknymi hasłami na transparentach, happeningi, festiwale kultury niezależnej. Ale to były pozory. Niekiedy szli za tymi hasłami, nie rozumiejąc ich albo nawet

występując przeciw. Skwapliwie przyznawali się do puryzmu YP, a sami ćpali w najlepsze, nie czując najmniejszej potrzeby ekspiacji. Pascal Laine nazwał ich kiedyś „płonącymi suchymi trawami”, i tacy byli, jedni jeszcze płonący pełnym ogniem inni już spopieleni.

Stanowili jednak siłę, której nie lekceważono, pamiętając hipizm i jego wyniszczające oddziaływanie na struktury społeczne tamtego czasu. Walczyli z nimi przedstawiciele administracji, policja i ludzie organizacji, którym psuli interes, a młodzi kontestatorzy wychodzili z tego mocniejsi, zwarci, męczeńscy. Gold, Vernier, Razzoli, Bricks tworzyli dla nich, wynosili na sztandary nowych proroków i przez nich krzewili wiarę w stare wartości, w idee człowieka prostomyślnego, pogodzonego z techniką i naturą, wartości związane z „byciem”. Tworzyli i widzieli, jak hasła rozmijają się z rzeczywistością. Po latach było już pewne, że jeśli nie poskutkują inne metody, pozostanie im tylko terror w imię Człowieka. Inaczej całemu światu zagrozi widmo submana. Zaczęli wierzyć w terror, religię słabych.

- Jak wiesz, Alain, Domenici zgodził się na to spotkanie w Strasburgu - powtórzył Gold, kiedy został sam z neurochirurgiem.

Topfer nie wiedział, nie mógł wiedzieć, że jest kozłem ofiarnym. Tylko wykonawca misji, on i Bretson wiedzieli o tym, co powinno stać się pojutrze. Nie miał pewności, czy Ivor wykona zadanie, i po rozważeniu wszystkich argumentów uznał, że jeśli nawet nie wykona, warto się spotkać z hydrą. Może gangsterzy uznali, że przecenili swoje możliwości i zmiękli, a jeżeli tak, to na ile zmiękli? Może Topfer rzeczywiście urodził się pod szczęśliwą gwiazdą. Nie jest potrzebny, jego asystenci radzą sobie lepiej od niego, a każdy nowy eksperyment jest dobrze udokumentowany.

- Tak. Od razu pomyślałem o tobie jako o negocjatorze z naszej strony. Chyba nikt lepiej od ciebie nie poprowadzi rozmowy z tym lisem, który za bardzo rozgościł się w kurniku. Co ty na to, Alain? Chyba nie przestraszyłeś się takiej eskapady?

- Cóż, Joachimie, wiesz przecież, że nie mogę ci odmówić i nie jestem do końca pewny, czy będę potrafił się z nimi dogadać. Moim zdaniem o wiele lepiej poradzi sobie Patrick. O ile wiem, już z nimi rozmawiał - próba uniku chyba nie przekonywała nawet jego samego.

- Ale ty wiesz także, jakie są tego konsekwencje. Niestety, Patrick skopał wszystko, a ty ze swoim umiarem zrobisz to inaczej, lepiej. Myślałem o Mollardzie, Razzolim, Gawliku i wybrałem ciebie z twoją umiejętnością syntetycznego myślenia. Zresztą chodzi tylko o zakonotowanie tego, co mają nam do powiedzenia. Będziesz miał przy sobie nadajnik, ale ty potrafisz czytać nawet drobne gesty. Poza tym musimy utrzymywać kontakt z nimi, mimo wszystko musimy - wyjaśniał cierpliwie Gold. Co za epitafium, myślał z odrobiną sarkazmu.

- Czy wiadomo ci, czego się spodziewają?

- Widzisz, wydaje mi się, że nie mogą poradzić sobie z ogromem problemów, jakie zwały się na ich zakute łby. Krach systemu jest całkowity, a jego rekonstrukcja wymaga pomocy ekspertów, których nie mają prawie wcale, za to my ich mamy i jestem przekonany, że w tym stanie rzeczy jesteśmy w stanie odwrócić skutki katastrofy w kilka miesięcy. Ty możesz im to uzmysłwić. Zapoznaj ich z naszymi sukcesami w walce z tym wirusem.

- Właśnie, Joachimie. Jeżeli nie wiemy czego chcą to muszę znać zakres moich pełnomocnictw, z grubsza wiedzieć na co możemy się zgodzić.

- Nie zwracaj sobie tym głowy. - Gold zareagował ostrzej. - Omawiałem to z Billingssem, on będzie twoim doradcą. Wie, co trzeba. Pozostajemy przy pierwotnej wersji kontraktu, Alain. W tej sytuacji nie możemy ustąpić ani na krok. No, może na mały kroczek.

- A nie uważasz, że powinniśmy trochę złagodzić nasze stanowisko, Joachimie? Przecież przegraliśmy tę pierwszą rundę. Kompromis byłby tu chyba wskazany?

- Nie sędzę, przyjacielu. Pierwsza runda jeszcze się nie skończyła. Nie możemy ustępować, Alain. Ten mur już się rysuje i niedługo pęknie. Bądź twardy Alain, nie daj się niczym zasugerować, to my mamy atuty w ręku. Właściwie tylko ja je mam. Bez uruchomienia moich zakładów robotycznych nie da się rozkręcić przemysłu, i oni wiedzą, że może nie być pralek, lodówek, samochodów.

- A co się stanie, jeżeli porozumieją się w tych sprawach z Japończykami czy Amerykanami?

- Widzę, że dawno nie rozmawiałeś z Mollardem, mój drogi - westchnął Gold. - Jak myślisz? Jaką formę wymiany zaproponują? Co mogą dać w zamian, czym zapłacić, jeżeli nasza waluta straciła zaufanie na rynku finansowym? Sam nie wiem, czy on jeszcze istnieje. Jedyną rzeczą jakiej im nie brakuje są oniryki i halucynogeny, ale wiesz, że Japończycy ustrzegli się tego skutecznie i zabraniają importu i dystrybucji. Tak, Alain, oni wciąż mają cugle w rękach, ale szkapa leży i zdycha. Tylko my możemy podnieść ją na nogi.

Zawiodłeś mnie przyjacielu, myślał patrząc na postarzałą twarz. Ci twoi chłopcy to niewypały, nie są dość posłuszni, a ty sam wiesz o mnie zbyt dużo, zbyt dużo widziałeś, a kogoś muszę poświęcić. Tak, jeżeli Ivor nie zawiedzie, Topfer umrze w doborowym towarzystwie. Chris Ivor zerwał kontakt po dwóch dniach, ale nie zaprzestano wysyłania impulsów do jego generatora sugestii. Może jest jeszcze w schronie wybudowanym za jego, Golda, pieniądze i w grę wchodzi tylko ekranowanie? Może przypadkiem pozbył się odbiornika i paru drobiazgów w tym strasburskim pasztecie? Wszystko jest możliwe. Chyba nie zabił Carneya. Jego śmierć byłaby nagłośniona przez mafijną telewizję czy radio. Błędy,

znów błędy wynikające z nadmiaru konceptualizacji. „Każda taka operacja musi być asekurowana”, mówił swego czasu Bretson, ale nie słuchali. Dwaj następni spłonęli w śmigłowcu nad Berlinem zestrzeleni przez egzekutorów. Nie zdołali wysadzić kwatery głównej YP. Może to i lepiej? Może już nie trzeba męczenników?

Jedno jest konieczne. Trzeba jak najprędzej zatrzeć ślady, zniszczyć Ivora i McLachlana rękami chłopców z pozostałych dwójek. Z tymi już nie popełnią takich błędów, na pewno nie. Odda to Bretsonowi, ten facet miał stanowczo za dużo racji, których nikt nie brał pod uwagę. I on sam traktował go jak żołdaka.

11

A samotność, wielką lodowatą samotność potrafią wytrzymać tylko koty, krowy, wszy i dżdżownice. Zapewne bliższe są światu, w którym nasze serce nieomal zamarza. Jak ja cię rozumiem, człowieku!

Jack Kersee dopiero tu i teraz pojął całą głębię goryczy mistrza samotności Borcherta. On także był samotny. Diabło, wszawo i krowio samotny w tym rojowisku. Sprzedany i kupiony po dziesięćkroć. Oszukany, zdradzony przez siebie i innych. Oszukujący i zdradzający.

- Pan jest ich sumieniem, Jack - uwodził go ten lalusz Domenici, kiedy już znalazł się w wieży. - Niech się pan do nich odzywa, niech im pan mówi, że czas najwyższy na rzucenie strzelających zabawek i zbudowanie czegoś trwałego, czegoś co poświadczy nasze istnienie.

Pisał i czytał przed kamerami bzdurne manifesty, nie wiedząc kto i jak to odbiera w zalewie tandety telewizyjnej. Nowi władcy grzebali w archiwach jak kury w piasku, odgrzewali to, co ich zdaniem było dobre, a dobre było kiedy podlewano to krwią i kraszono seksem. Telewizja była zabawką w ręku jednego człowieka, a gust Guida nie był zbyt wyrafinowany.

Co ja tu do diabła robię? - pytał sam siebie, rozumiejąc rolę, jaką narzucał mu Guido. Narzucał do dzisiaj, bo już wiedzieli, że ich pan i władca został zdetronizowany, a nowym panem będzie Beaumont, imperator porno. Jack Kersee miał być pośrednikiem między mafią a zbuntowanymi młodymi, grać dla obu stron. Był rozdwojony, rozbity, odnaleziony. Właśnie tutaj, w tym mamrze, odkrywał w sobie nie prawdziwego pisarza, ale prawdziwego twórcę. Przynajmniej tak mu się zdawało po dopingu. To co było przedtem, to tylko śmieszna pomyłka, której chyba nie odkrył nikt poza nim. Wykreowali go w czasie istnej posuchy, kiedy nikogo nie było pod ręką, zrobili z miernoty bohatera szklanego ekranu i jemu było z tym dobrze, ale i nigdy nie uwierzył, że jest naprawdę taki dobry. Gównu prawda. Parędziesiąt dumnych tekstów piosenek wyśpiewanych przez niego samego i paru innych nie powinno wystarczyć nawet na piwo, a starczyło na wygodne, leniwe życie. Kompilował całkiem udatnie. Trochę ściągnął z zapomnianego Dylana, trochę z Cohena, Seagera - i bingo! Tu zaś próbował czegoś naprawdę poważnego i udawało się, chyba jednak udawało. Co z tego, że piszę dla nikogo? A czy ja sam to mało? O nie! To wiele, bardzo wiele, sam jestem

światem do odkrycia. Nareszcie uwierzyłem w siebie i wisi mi to, czy inni uznają to za dobre, czy złe. Pisał, nie robiąc żadnych korekt, spragniony następnej próby po ledwie zakończonej.

Tylko nie przesadzaj głupolu, przestrzegał się półgłosem, przypominając sobie tytuł starej powieści Stone'a. Jaka udręka i jaka ekstaza? Udręka jest wtedy, kiedy brakuje ci gorzały, a ekstaza, kiedy ją masz brachu. I to wszystko.

Mógł zabrać się do roboty, bo był wystarczająco podlany. Gdzieś tam na dole gnojki ćpają w najlepsze pod osłoną gwardii Domeniciego, gdzieś tam znudzeni technicy puszczaają w telekinie co leci. A niech to... Włączył IBM.

I co teraz? Pospiesz się chłopie. Nie wiesz o czym pisać? Jak zwykle, co? Jeśli nie wiesz, to napisz coś o niczym.

Cicho zastukały klawisze komputera i na ekranie zaczęły ustawiać się równe szeregi liter: „Siedzieli na ławce. W parku wielkiego miasta. We wtorek. Późną wiosną o godzinie szesnastej. Byli nieco smutni. Bezradnie palili papierosy. Pod splątanymi gałęziami, na ławce, we wtorek. Mężczyzna i kobieta. Mężczyzna obejmował kobietę ramieniem. Drugie, niepotrzebne, powiesił za oparciem.

W ciągu godziny wiele się może zdarzyć.

- Twoje włosy pachną tatarakiem - szepnął. Uśmiechnęła się.

- Zostaniesz?

- Nie, nie mogę. Szczury. To wina szczurów.

- Nie rozumiem.

Mocniej przytulił ją do siebie. Palcami tamtej ręki wystukiwał rytm pociągu. Tuk, tuk, tuk, tuk, tuk.

- Jesteś jak rogalik - powiedział, a pomyślał zupełnie coś innego, pomyślał sobie, że w ciągu godziny wiele się może zdarzyć. Uśmiechnął się, mimo że tak naprawdę był smutny. Uśmiechnął się tylko tak sobie.

- Mówiłeś o szczurach. Co to znaczy?

Mężczyzna uśmiechał się.

- One nieraz nie mają, co zjeść i wtedy są naprawdę niebezpieczne, rogaliku.

Patrzył przed siebie, w siebie. Kobieta śmiała się głośno. Pod zielonymi, splątanymi gałęziami. Był przecież maj. Nagle mężczyzna wstał.

- Do diabła! - krzyknął. - Że też musiało mi się to zdarzyć!”.

Upajał się samym sobą. Boże, po tylu latach gnicia nareszcie odkrywał siebie, odkrywał wtedy, kiedy było zbyt późno. Przegrał nie wiedząc, że przegrywa tak wiele, przegrywa siebie. Ale zaraz ogarnął go pusty śmiech na myśl o tak zwanych krytykach i tym

kukułczym jaję, którego już nie wrzuci im do gniazda. Ależ mieliby zgryz, a niech to! Szkoda, że nie zobaczy ich min, wielka szkoda.

Zbyt często tęsknił za przyjaciółmi ze starych dobrych czasów. Tu nie miał nikogo bliskiego, pozostali tylko tacy, którym było wszystko jedno jak zarobią na dzienną dawkę. Prawdziwa telewizja, o ile kiedykolwiek była prawdziwa, przestała istnieć, reporterzy, autorzy w miarę poważnych programów woleli niespokojną sielskość. Z tysięcy stacji pozostało tylko kilka. A w tej, jego, jedyny serwis informacyjny ograniczono do dziesięciu minut. Wiedzę o tym, co dzieje się na szerokim świecie oglądacze mogli czerpać z sieci amerykańskich i niektórych lokalnych. Oczywiście mogli ci, którzy mieli energię. Europe I i II przez całą dobę oferowały rasowane antyki i... Jacka Kersee.

Czy to co robił było złe? Niekiedy zdawało mu się, że sprzedaje się za cenę spokoju. Ale odkrywał, że robił to zawsze. Nowi władcy wcale nie byli gorsi od starych. Ile byli wari tamci? Amoralne sukinsyny mówiące wprost, że tylko krowa nie zmienia poglądów albo że polityk powinien co innego myśleć, co innego mówić i co innego robić. Do diabła! Ile może być warte państwo budowane na kłamstwie? Pociągnął niewielki łyk i znów zastukały klawisze. Jeszcze umiał utrzymać się na wątej linii między upiciem a wstrętną trzeźwością.

- Będę pisał do usranej śmierci - mówienie do siebie stało prawie nawykiem. - Stać mnie jeszcze na napisanie swojego epitafium. No, do roboty pijaczyno! Spróbuj może napisać coś o sobie o małym człowieczku, któremu zdawało się kiedyś, że jest wielki.

Czasami, wychodząc, spotykał samego siebie.

- Czy ty jesteś tym, który...

- Tak - odpowiadał szybko. - Ja jestem tym. Tak, nie mylisz się to ja...

I nic więcej nie mówili. Szli. Szli tam gdzie powinni być, i pytał tego drugiego o to czy naprawdę powinni. Nie pytał bo droga była długa, ciemna i nierówna, jak to drogi w ciemne jeszcze ranki. Idąc przegięty jak do wiatru powtarzał sobie i temu drugiemu „Urodziłem się o północy, teraz jest prawie rano, mam jeszcze kupę czasu, to nic nie szkodzi, że jestem zmęczony i jeszcze szary, to nic, słońce mnie odfarbuje, jeszcze będę biały jak kupa stokrotek w kwietniu”. Kiedy męczył się mówieniem, przystawał, opierał się o jakiś płot albo latarnię i sprawdzał ręką drugiego siebie. Wtedy mógł rozejrzeć się naokoło. Ale nie na wiele to się przydawało. I gdy jeszcze, jeszcze nigdy o takiej porze nie spotkał człowieka, choć nieraz wydawało mu się, że jest blisko, że widzi. Zawsze te doły. Kręcą można dostać od wpadania w te doły, myślał. Ale to nic, przecież idę, kiedyś na pewno dojdę, dobrze, że mam jeszcze całe podeszwy i ani jednego odcisku. Wtedy musiałbym długo czekać aż ustanie to cholerne pieczenie, a przecież ja nie mam nawet odrobiny czasu, nawet tyle ile trzeba na poprawienie

sznurówek. I odpychał wtedy od siebie płot albo latarnię, biegł ciężko i nierówno jak stara, zmęczona szkapą dorożkarska, a wszystko przez te sznurówki. I mimo że biegł, nie zmieniło się nic, wszystko było takie jak przedtem. Zасыпiał z otwartymi oczami, ale tylko na chwilę, krótką jak mgnienie oka chwilę. Tak było zawsze. Zawsze ten drugi budził go pytaniem. Nieważne jakim. Nieważne jakie były to pytania, zapewne bolesne gdyż budziły od razu i potem długo, długo starał się je sobie przypomnieć.

Czasami budził się z krzykiem. Takim krzykiem, który nie może przestraszyć nikogo, bo była tylko ciemność, a ciemność brała krzyk za czarnego kota i poza ciemnością nie było nic. Nie było nawet żółtych, dalekich okien, które mrugają w ciemności, i wtedy wyglądało tak jakby płakały. Budził się i szedł, ciągle szedł jakby nie miał nic innego do roboty, ciągle sam ze sobą, ręka w rękę, noga w nogę. W tych ciemnościach nie widział nic. Nawet, gdy dotykał czyjejś ręki, cieplej jak mały piecyk, nie był pewny czy to jego druga ręka. Potykał się wtedy, całkiem udanie udawał, że się potyka, i klął wtedy okropnie, tak na niby, i cieszył się jeszcze jedną ucieczką i mówił wtedy pod nosem, że dobrze mu bez wesołych kolorów, bez bieli, bez płaczących i żółtych okien, bo jego czas nie istnieje. Chyba już minął albo on jest poza czasem. I szedł dalej. Sam ze sobą. Tak jakby już nie było odwrotu.

Jezu! Czy już mam delirium?! Zamarł w fotelu, widząc kątem oka nogi w dziwnych butach z cholewami, zielono-czarne spodnie oświetlone nieco powyżej kolan światłem lampy. Zacisnął i otworzył powieki, mając nadzieję, że ten majak zniknie, jak zwykle majak. Nogi nie zniknęły. Kto? Po co? Całkiem trzeźwe pytania goniły po głowie jak spłoszone wróble. Przecież tu nie można tak sobie wejść. Wieżowiec był chyba najlepiej strzeżoną twierdzą w mieście. Facet monitorujący to piętro powinien zareagować, choć na dobrą sprawę o tej porze tylko on urzędował, a nie był nikim ważnym.

Przeniósł wzrok wyżej. Intruz był nieznajomy, zupełnie nieznajomy. To żaden z tych dowcipnisiów z telewizyjnej bandy bo nie ma nawet plakietki. Jack znał tu prawie wszystkich, nie było ich znowu tak wielu, co mądrzejsi zwiali stąd w odpowiednim czasie. Szczeniak, choć rozrosły jak topola. Czemu topola? A niech to! Przestań się bać, stary byku! Czy to wypada w twoim wieku? Skąd wiesz, że powinieneś się bać?

- Uff, przestraszyłeś mnie, chłopcze. Mam słabe serce i po jakiejś następnej niespodziance wykorkuję na amen, a to głupio umrzeć ze strachu, co? - ten prawdziwy strach parował powoli, ulatniał się wraz z zimnym, kwaśnym potem i przypomnieniem, że przecież nie ma się czego bać, przecież on już się pogodził z kostuchą. - Od kogo jesteś? Z jakiej redakcji? No cóż, skoro jesteś to siądź i napij się. Zaraz wytrzasnę drugą szklanekę.

Własne słowa uspokajały go tak samo, jak za każdym razem przed kamerami.

Denerwował się aż do chwili, w której usłyszał własny, ćwiczony głos. Potem napięcie mijało. Tak było i teraz. Chłopak mógł być kuzynem czy znajomym kogoś stąd, a on mógł zapomnieć o zamknięciu drzwi. Nie, nie mógł! Drzwi zamykały się automatycznie. Automaty to tylko automaty, one nie zapominają.

- Nie trzeba, napiję się z twojej - odpowiedział tamten bez śladu uczucia w głosie. Było w nim coś naprawdę niepokojącego. Emanowała z niego inność.

- Jak wolisz, chłopcze. - Jack nalał i podał tamtemu szklanekę. - No to strzel sobie. Tego mi jeszcze nie brakuje. Odlotowcy nie gustują w gorzale.

Teraz mógł przyjrzeć mu się lepiej w mdłym świetle biurowej lampy. Długowłosa jak połowa z nich, o rysach wyostrzonych delikatnymi cieniami zarostu, wysoki na jakieś metr osiemdziesiąt, szeroki w ramionach, z klatką kulturysty. Ale wyglądał tak, jakby był na głodzie. Mimo światła Jack dostrzegł nienaturalną bladość twarzy i coś jak nikły ślad cierpienia. Widział setki podobnych twarzy i dlatego sam nigdy nie sięgnął po pigułki, wołał tradycyjne sposoby. Ale to chyba nie były narkotyki, bo przy nich nie ma się takiej postury. Chłopak pił dobrą whisky jak smakosz z przepalonymi kubkami smakowymi, nie krzywiąc się ani trochę i nie odrywając od niego dziwnych, jakby nawiedzonych oczu. Ale Jack Kersee już był poza strachem. Przeżył swoje w dniu wybuchu, a teraz co dnia przeżywał gorsze piekło upodlenia. Tak. Był stary, zmęczony i cholernie odważny. Mniej istotne były pytania o to, jak intruz dostał się do gmachu, a potem tutaj. Ważny był fakt, że się dostał i czegoś chciał. O takiej porze nie przychodzi się po autograf.

- Czy teraz powiesz, co cię do mnie sprowadza?

- Nie wiem - ten sam sprany głos. - Może chcę cię zabić, może zrozumieć, może jedno i drugie. Widziałem cię raz w telewizji.

- Raz? - Jack nie mógł się powstrzymać od zadania głupiego pytania.

- Najpierw na filmie dokumentalnym, a potem w telewizji - powiedział chłopak.

- I powiadasz, że chciałbyś mnie zrozumieć albo zabić? Masz cholernie duży rozrzut, mój drogi. - Jack Kersee roześmiał się naprawdę wesoło, ten pieprzony świat był bardziej zwariowany, niż przypuszczał. - Ale już z tego widzę, że nie jesteś z branży. Czy mógłbym wiedzieć, skąd jesteś?

- Z bardzo daleka, chyba z innego świata, Kersee - teraz ton głosu bardziej pasował do treści. Ten dziwny człowiek gadał jak nawiedzony. Ale co trzeci gówniarz był nawiedzony.

- I pewnie nie masz przepustki?

- Nie potrzebuję.

- Powinienem cię zapytać, jak się tu dostałeś, ale po co? To drobiazg, bo przecież

jakoś dostałeś się przez te zapory i kordony, jakoś otworzyłeś sobie drzwi. Nie boisz się, że przyjdą ochroniarze?

- Nie.

- W takim razie usiądź na chwilę i zastanów się, czy mnie najpierw zabijesz, czy zrozumiesz, a ja sobie strzelę może już ostatniego przed śmiercią. Sam nie wiem, ile mam czasu. Może wyłapali cię na monitorze i zainteresowali tobą, może nie, jeżeli nie zaalarmowałeś tych na dole. Zabij i zrozum, zrozum i zabij. Dam ci coś do przeczytania. Dopiero, co napisałem, jeszcze całkiem gorące i bez końca, ale coś takiego nie potrzebuje końca. Może zrozumiesz? Szczerze mówiąc, wolę abyś nie rozumiał.

Cofnął rękę sięgającą po butelkę i uruchomił drukarkę. Znalazł czytelnika i to jakiego czytelnika! Pusty, wewnętrzny śmiech zawibrował w nim całym. Jezu! Może ten szczeniak naprawdę chce go zabić, a on daje mu do czytania swój ostatni wygłup. Nie wydawało się, że naprawdę ma taki zamiar, ale kto wie?

Drgnęli obaj na dźwięk zwykłego telefonu. Jack podniósł niespiesznie słuchawkę. Z dołu, o te pięć minut za późno, dzwonił Faruggia, zmianowy bezpieczniak, pytając czy wszystko w porządku i kto u niego jest. A jednak zauważyli, widzieli go na monitorze i dopiero teraz zaczęli pytać. Może dlatego że ludzi Domeniciego zaczęli zmieniać goryle Beaumonta? Może, dlatego że mają go głęboko w dupie? On ich też.

- Wszystko w porządku - odpowiedział nawet trochę rozbawiony ingerencją opieszalego anioła stróża. - Jest u mnie młody kolega po fachu, panie Faruggia, konsultuję z nim nowy tekst. Przypomnij mi jak się nazywasz chłopcze, nie mam pamięci do nazwisk. To Rory Hellman, kamerzysta. Tak? Zgadza się. Dziękuję za troskę, panie Faruggia. - Położył słuchawkę i zwrócił się do chłopaka: - Dzwonił do mnie szef zmiany. Zauważyli cię na korytarzu. Dobrze, że nie trafiłeś na dwudzieste piąte. Nic, nic, to nieważne. Czytaj.

Chris Ivor wziął do ręki arkusz i zaczął czytać, nie tracąc z pola widzenia tego człowieka o twarzy starego czarodzieja. Człowieka, który nie czuł strachu. Przypominał mu tamtego farmera, zbyt przypominał.

Znów kłaniał się natrętny, wszędobylski przypadek. Droga Chrisa prowadziła obok tego smukłego wieżowca sieci Europe, jednego z najlepiej strzeżonych budynków w mieście, i o pięćdziesiąt metrów od niego skrzyżowała z drogą kogoś, kto był do niego zewnątrznie podobny. Wzrost, włosy, zarost, nawet ubiór. Zwodnicze światło z pobliskiej speluny i od wieżowca nie mogły go mylić. Też nie był uzbrojony i wyglądał jak przybysz z kosmosu, z „Czarnego anioła”. Samotny, bezbronny człowiek był w tym miejscu jak zombie.

- Hej, człowieku! - usłyszał wesoły, przyjazny głos.

Tak zachowywali się klasyczni oniromani. Oni kochali cały świat pod warunkiem, że byli na pigule. Czasami kochali nawet kochać wszystkich, do których strzelali. Poza tym na piersi wisiała mu plakietka identyfikatora. Skojarzenie tego z pobliskim gmachem telewizji było natychmiastowe. To człowiek z wieżowca, w którym jest ten widziany na ekranie Kersee, tak pięknie mówiący o lepszym, promiennym jutrze jak sam Vernier.

- Hej - odpowiedział. - Znasz może Johna Kersee? Celowo zmienił imię. Już wiedział, co robi teraz. Pójdzie tam i spróbuje odnaleźć klucz w Jacku Kersee. Wciąż miał tak żałośnie mało przesłanek. Ten budynek był ważny, na pewno ważny.

- Masz na myśli Jacka Kersee, prawda? A kto go nie zna, chłopie? Pewnie, że znam. Siedzimy w tej samej budzie. O tam, na osiemnastym jest nasz pijany prorok, który gędzi to co mu każą.

- Muszę się z nim zobaczyć. Pomożesz mi?

- Cholera cię wie. Czy ty nie myślisz czasem o jakimś numerze? - roześmiał się tamten bez cienia niepokoju. No tak, oniryki miały to do siebie, że pomagały eliminować ponure przecucia.

- Chcę mu tylko pomóc i zrobię to, jeśli ty mi pomożesz. Nie, za nic - odpowiedział, czując właśnie w tym momencie pierwszy symptom zapaści adrenolowej, tępy, pulsujący ból w skroniach i tyle głowy. Za kilka minut stanie się trzęsącym wrakiem. Czas na serum, i nie chciał się szprycować przy obcym.

Sięgnął do kieszeni po rezerwy, których jeszcze nie uszczknął, owinięte dobrze krugerrandy, podobno najpewniejszy środek wymienny na czarnym i szarym rynku. Nie myślał, że przydadzą się na coś, a jednak. Obciążono go dwudziestoma sztukami, na wypadek gdyby pojawiła się konieczność przekupienia kogoś. Podobno była to spora fortuna, ale nie dla niego. Wyciągnął rękę z dwoma wyłuskanyimi monetami, to powinna być dobra zapłata. Tamten przyjął bez słowa, uniósł ku światłu i aż jęknął.

- Chłopie, jasne, że ci pomogę! Coś takiego! Złote krążki, no, no. Przecież to dla mnie miesiąc na Andromedzie, stary, trzysta pełnych działek jak nic. Za taki skarb podprowadzę cię nawet do naszego sekretnego przejścia, bo wiesz, od frontu warują szympansy i sprawdzają oczka każdego kto wchodzi, a jak się nie zgadzają robi się niezbyt wesoło, mówię ci...

Nie rejestrując tej gadaniny, na skraju zapaści, pozwolił doprowadzić się do szeregu niskich budynków łączących się z wieżowcem.

- ...Idziemy przez studio C i rekwizytornie. To nasze wyjście na wolność i jeszcze się nie połapali, że coś takiego istnieje. Prymitywy, chłopie.

Potem ostatnie drzwi, które tamten otworzył płytka, instruując, co i jak ma robić dalej, by nie natknąć się na strażników, gdzie są kamery wewnętrzne, jak wygląda topografia budynku. Chris znalazł się we wnętrzu twierdzy. Docierało to do niego z daleka, przez ból i słabość, przez strach.

- Pozdrów ode mnie starego Jacka, chłopie, chociaż pewnie mnie nie pamięta. Uszczęśliwiłeś dzisiaj przynajmniej trzech ludzi - wciąż przyjacielski nieznajomy natrętnie ścisnął mu rękę, której nie cofnął, nie zdążył. - Jestem Rory Hellman, chłopie. Kupiłeś mnie dzisiaj zupełnie. Cholera, sam nie wiedziałem, że jestem tyle wart. Dopiero na trzecim piętrze, gdzie wdrapał się po schodach zapasowych, wstrzyknął sobie serum Stawsky'ego, odczekał, aż wróci do równowagi. Wszedł po schodach na osiemnaste piętro, ostrożny, czujny, nie spotykając nikogo. Zarejestrował kamerę na załomie korytarza i dziwnie mało go to przejęło, tak jakby i jemu udzieliło się szaleństwo miasta. Wiedział, że pcha się w pułapkę. Łamał mnóstwo zakazów wpajanych im w imię przetrwania. Nie rozumiał do końca źródeł buntu.

Drzwi pokoju 1816 otworzył już za pomocą swojej płytki-wytrychu z detektorem potencjałów, jeszcze jednym cudeńkiem z Hartenbergu. W ciągu tej dwusekundowej operacji przy standardowym zamku szyfrowym prawie doszedł do siebie. Wierzył w to, że będzie wiedział, co robić w chwili, w której zobaczy Jacka Kersee.

Cicho zamknął je za sobą. W kręgu światła rzucanym przez stojącą lampę biurową zobaczył pochylonego nad klawiaturą komputera, starego człowieka z grzywą siwych włosów opadających na ramiona, tego samego, który wtedy przypominał starego mędrca z filmów o Lordzie Xanie. Na stoliku butelka i pusta szklanka. Powoli, bezszelestnie dochodził do granicy światła na podłodze, przekroczył ją...

Teraz czytał opowiadanie, rozumiejąc poszczególne słowa, ale nie treść, nie przesłanie tego krótkiego tekstu, choć było bliskie, uchwytnie. Opowiadanie zupełnie inne od wszystkich lektur, jakie im zalecano i podawano w Hartenbergu. A nie było ich wiele, może kilkadziesiąt. Podstawowym produktem były filmy wideo, dzieła kreatyków komputerowych. Czuł tylko jakąś wielką tęsknotę, czuł ból przelany na papier i to, co sam zrozumiał tak niedawno. Beznadzieję. Ponurą, niepojętą, nieobjętą beznadzieję. Ten człowiek żył jakby nie miał jutra. Żył jak on sam.

Tylko całkiem nieznanymi mogą być numerami. A tacy, których poznaje się choć trochę stają się bliżsi, po prostu ludzcy. Nie rozumiejąc do końca, Chris poznawał Jacka Kersee, człowieka wątpliwego, chwiejnego, mądrego gorzką, nieciekawą mądrością. Chris nie chciał niepotrzebnie zabijać. Zastraszyć i nakłonić do powiedzenia innej prawdy to wszystko,

czego chciał od Jacka Kersee, takiego Jacka jakiego sobie wyobrażał. Tymczasem poznawał kogoś innego i sam pomyślał, by nakłonić go szantażem do zerwania maski mafii wydał mu się teraz po prostu śmieszny. Cóż można zrobić człowiekowi, który nie boi się niczego? Spontaniczna decyzja była błędna. W tym pokoju Chris nie mógł improwizować, tu nie było miejsca na działanie.

- To, co? Zrozumiałeś, chłopcze? - pytał z łagodną kpina Jack Kersee. Oczy przyzwyczyły się do półmroku poza kręgiem lampy i odnosił wrażenie, że chłopak traci pewność siebie, gubi się. Tylko wrażenie, bo Jack nie potrafił czytać innych ludzi. Nie nauczył się, będąc dzieckiem szczęścia.

- Nie, nie zrozumiałem - odpowiedział chłopak, odkładając kartkę. Już nie wyglądał na zagubionego.

- Powiedziałeś sam, zrozumieć albo zabić. Chyba już nie pozostaje ci nic innego, jak zabić - teraz już kpił otwarcie. - Będę się bronił o tyle, o ile. Widzę, że nie dasz mi najmniejszej szansy i pewnie skorzystasz z drogi powietrznej, co? Wolałbym krótszy lot, no ale cóż. Choć raz w życiu poczuję się ptakiem.

- Jestem racjonalny. Nie zabijam bez powodu i bez celu - odpowiedział z namysłem chłopak, pomijając ostatnie pytania. - Ale powiedz mi jedno. Czy ty sam rozumiesz, co napisałeś?

- Ale trafiłeś, a niech cię... - parsknął Jack. - No cóż. Mniej więcej wiem, chłopcze. Pociesz się tym, że nikt nie zrozumie i zrozumieją wszyscy. Nie, to nie żart. Nie jestem w nastroju do żartów. To jest mniej więcej tak. Każdy kto czyta czuje coś innego, szuka związku z własnym życiem, szuka jakiejś recepty dla siebie. No, tak to wygląda. Słowa mają tylko trącać te struny, które są w nas, a jeśli ich nie ma, nie trącą niczego, ale człowiek bez takich strun to zwykła fujara. A może powiesz, jak mogę zwracać się do ciebie? Jak masz na imię?

Chłopak wcale nie wyglądał jak morderca. Nie zachowywał się jak morderca. Skąd ta pewność? - myślał Jack rozluźniony alkoholem. Czy byłeś już mordowany? Nie! Czy kiedykolwiek stałeś przed zabójcą? Nie! Widziałeś to tylko w kiepskich filmach. Czy to nie za mało?

- Jestem Chris Ivor - odpowiedział chłopak z przymusem i było to jak odsłonięcie przyłbicy.

- No, więc powiem ci, jak ja to rozumiem. To próba opisanego tego, co czuję nocą, bo tak naprawdę żyję w nocy, żyję i myślę o sobie, o wszystkim. O tym całym gównie dookoła nas. Chcę znaleźć siebie za wszelką cenę i dowiedzieć się wreszcie kim jestem i co tu robię,

co mogę zrobić dla naszego spróchniałego świata i dla tych ogłupiałych dzieciaków. A najgłupsze jest to, że mogę dowiedzieć się tylko od siebie, bo nikt mi tego nie powie - mówił jakby do siebie Jack Kersee, spowiadał się przed sobą. - Żyłem aż sześćdziesiąt lat i dopiero teraz jest mi to potrzebne. Powiem ci, że chociaż nie boję się śmierci, byłoby mi ciężko umierać, nie wiedząc tej podstawowej rzeczy. - Zobaczył, jak w kamiennej twarzy Chrisa coś drgnęło. Umilkł zdziwiony tym, że trafił, że ten chłopak jakoś identyfikuje się z nim. O nie, teraz już nie wyglądał na oniroświra.

- Dlaczego mi to mówisz? - spytał Chris przez zaciśnięte zęby. Odnosił wrażenie, że ten Kersee wie o nim za dużo. Stary mędrzec o nim mówił.

- Dlatego, że ja naprawdę tego potrzebuję, Chris. Wiesz przecież, kim jestem. Lokajem, pieskiem pokojowym, wiernym, który stawia Bogu świeczkę, a diabłu ogarek. Pokornym sługą złych ludzi. Niby gloryfikuję wzlot młodych, ale w sumie namawiam ich do poddania się, bo tak chce mafia. A najgłupsze jest to, że i ja tak chcę, bo starczy już śmierci. Oni w sumie chcą niewoli, ale chcą też by była to taka niewola jaką sami zaakceptują. Żyję tutaj jak pod kloszem, lecz widzę co się dzieje za tymi murami. Szaleństwo coraz większe. Nawarstwia się, kumuluje i wybuchnie kiedyś wielkim płomieniem albo sprawiedliwi spuszczą ogień na tę Sodomę, o ile są jacyś sprawiedliwi. Ten świat jest za szybki, Chris. Kiedyś wielkie rzeczy działy się latami, a teraz? Koniec świata na pewno nie będzie trwał siedem dni.

- O jakich sprawiedliwych mówiłeś, Jack? O kim myślałeś? - znowu ten wyprany z uczuć głos.

- Sprawiedliwe by było, gdyby wojsko zdecydowało się rzucić na to miasto jakąś atomówkę z demobilu. Oszczędziliby tylko cierpień. Mniej więcej na to zasłużyliśmy. Jak sam widzisz, mało mnie porusza twój zamiar. My wszyscy i tak tańczymy fokstrota na falach i nie zauważamy, że chodzimy po wodzie. Żaden cud nie trwa wiecznie Chris. Chyba mam prawo wiedzieć, czy sam zdecydowałeś się mnie zabić, czy też ktoś cię nasłał. Powiesz mi? Czy mam umrzeć nieświadomy, kto był moim sędzią?

- Powiem. - Teraz chłopak naprawdę zmuszał się do każdego słowa. - Nikt mnie nie nasłał i sam też nie miałem zamiaru cię zabijać, chociaż długo mnie uczono zabijania. Chyba chciałem zmusić cię do powiedzenia prawdy przed kamerami. Prawdy o tym, co się dzieje...

- Czy myślisz, że nie myślałem o tym tysiąc razy, chłopcze? - odpowiedział z prawdziwą pasją Kersee. - Ale jaką prawdę i komu miałbym powiedzieć? Mam może wezwać te głupie dzieciaki do otwartej wojny? Przecież ta wojna toczy się w każdej sekundzie. Słyszysz? Znowu gdzieś tam strzelają. Mam wezwać do rzucenia zabawek? Robię właśnie to

i może udało mi się uratować parę istnień. Jeżeli nie złączą się cuda, nie mogę zrobić niczego, mając kaganiec na pysku. A na razie zmienił się tylko nasz władca.

Gorące, dobierane na żywo argumenty przekonywały. Ceną jakiegoś nieprzemyślanego wystąpienia byłaby pewnie śmierć tego dziwnego człowieka. Komu potrzebna? Szybko zastąpiłby go ktoś inny.

- Tak, to logiczne Jack, ale nowe elementy pojawią się chyba niedługo, a o niektórych nie wiesz. Nie wiesz na przykład, kto zaplanował to wszystko. Chaos jest planowy, przewidziany i pogłębi się jeszcze, zanim odnajdzie się jego antyteza.

- Dziwny jesteś Chris i dziwnie mówisz, a przy tym, jak mi się zdaje, wiesz bardzo wiele. Nie wiem czemu, ale wierzę ci.

- Może wiem zbyt wiele i zbyt mało zarazem - padła enigmatyczna odpowiedź. - Może oddałbym to co wiem, za to czego nie wiem ja i ty.

- Tak to właśnie jest. - Jack odnalazł fałę, na której mógł się porozumieć z tym dzieciakiem. - Niekiedy wiedza i niewiedza jednako ciężą nam na piersiach albo na plecach. Każdy ma ten garb na sobie i jego wielkość nie zależy od tego ile wie, tylko od świadomości swojej wiedzy. Ja chciałbym wiedzieć, co mam wygłosić przed śmiercią do kamer, bo jeżeli walnę coś, co nie jest zatwierdzone przez miłościwego cenzora zaraz dostanę w czapę. A ty mi tego nie powiesz, prawda? Nie znam nikogo, kto by mi to powiedział. A zresztą czy ktoś mnie słucha i wierzy? Jakoś mi się nie wydaje, że są to rzesze. Ja na ich miejscu skreśliłbym z miejsca takiego starego pierdołę. Byłem nikim jeszcze przed wybuchem. Tak, byłem nikim a teraz nie jestem nawet zerem.

- W jakimś filmie nazywali cię sumieniem młodej generacji.

Jack roześmiał się głośno.

- Jak może wyglądać sumienie szalonego pokolenia? Tak samo jak ono. Brudne, zarzygane. Widziałeś kiedy morderczego szaleńca z czystym sumieniem? Może kiedyś... kiedyś mnie słuchali, jak śpiewałem. Czułem wtedy, że jesteśmy sobie bliscy, ale nie na tyle by się zrozumieć, o nie. To była dosyć daleka bliskość, Chris. Ja stanąłem na szczycie, a oni byli tylko hołotą. Ale te czasy już nigdy nie wrócą. Napijesz się jeszcze?

- Tak, napiję.

- Strzel sobie, a ja przypomnę stare dobre czasy - podszedł do ściany, zdjął wiszącą gitarę, zwykłą klasyczną gitarę i powracając na fotel musnął struny. Zaczął:

Na dobrej ziemi dobrzy ludzie

Sadzą jeszcze kartofle i marchew

*Ich dymy są wesole
Pachną szczęściem i trawą
Warkocze ich dziewcząt
Są błękitne i złote
Ich zwierzęta lśnią
Zachodami słońca
Ich niebo jest jasne
A kiedy pada
To deszcz jest dla grzybów
I grzyby są dla deszczu
Niebo jest jasne
Jasne niebo orzą samoloty
O Saint-Exupéry! Szczęście...*

Złożył gitarę na kolanach, starszy o wszystkie klęski swojego życia.

- To było tak dawno, że zdaje się zapomnianą legendą, chłopcze. Wtedy wydawało mi się, że wiem po co żyję, ale tylko wydawało. Nie żałowałem sobie małych przyjemności, byłem młody, sławny... Odłożył gitarę i pokręcił głową. - No, coś takiego. Rozmawiam z tobą, jakbym cię znał od lat. Pewnie, dlatego że nie mam zbyt wiele okazji na spotkanie normalnych ludzi w tym gmachu. Wszystko przez tych, którzy celowo czy przypadkiem wepchnęli nas w to bagno bez dna.

- Ja wierzę w przypadek Jack, ale to nie był, to nie mógł być przypadek. - Alkohol, bezbronna szczerość barda czyniły Chrisa bezradnym.

Nie miał przyszłości, a przeszłość była taka jak mówił Kersee - bezsensowna, bezcelowa. Jego istnienie miało sens i cele tylko dla innych. Znow zawiódł się na sobie. Już powinien wiedzieć, co ma robić.

- Jeśli to nie przypadek to kto, no powiedz mi kto, wepchnął nas w to bagno, a ja jutro wygarnę to wszystkim żującym oglądaczom - sapnął Jack. - Nie wierzę, że to nasi dzisiejsi panowie, bo oni są o lata świetlne za głupi na taki numer, a poza tym zbyt dobrze im w danym układzie, żeby chcieli go zniszczyć. Tak samo nie wierzę tym, którzy oskarżają YP. Nie wiem, nikt nie wie nic o samym początku. Jeżeli wiesz to powiedz, na miłość boską!

- Dowiesz się, kiedy przyjdzie pora. To moi panowie, moi władcy. Ty ich znasz, Jack. To są ci, którzy zrobili ze mnie maszynę do zabijania, to ci którzy zaprogramowali mnie na zabicie Carneya.

- Na Boga! - Jack Kersee dopiero teraz poczuł grozę. - Sama myśl o tym to świętokradztwo! Nie zrobiłeś tego i nigdy nie zrobisz chłopcze. Papież powinien wynieść tego człowieka na ołtarze. On był i jest sumieniem Europy. Jest wielki.

- Byłby większy jako męczennik - powiedział z niezamierzonym sarkazmem Chris. Przypomniała mu się niedawna uwaga Jacka. Jaki świat, takie sumienie. I jeszcze jedno było zadziwiające. Carney był dla nich większy od Chrystusa, wszyscy mówili o nim z miłością i szacunkiem. Dlaczego stawiali zwykłego człowieka poza wszelkimi podejrzeniem? Może muszą mieć personifikowaną nadzieję. On nie musi. „Nic nie jest proste, a jeśli takie ci się wydaje, to jest podejrzane”.

- On musi żyć. Musi! - Jack zapalił się jak żywiczna pochodnia. Jest jak Mojżesz, który przeprowadzi nas na drugi brzeg. Tak, kiedy patrzę na to spokojniej, upewniam się coraz bardziej, że jesteś z jakiejś specjalnej jednostki naszej dzielnej armii, która pochowała się w mysie dziury, zamiast zaprowadzić porządek zaraz w pierwszych dniach. A jeżeli tak właśnie jest to gratuluję ci serdecznie chłopcze. Należysz do całkiem niezłej bandy.

- Nie jestem i nigdy nie będę żołnierzem. Nie chcę ich bronić ani ukrywać tego, że już niedługo mają zamiar ingerować. - Chris mówił powoli, z namysłem, łącząc poszczególne części mozaiki. - Może liczą także na twoją pomoc?

- Nie wiem, czy kłamiesz i jak kłamiesz, ale nie mam najmniejszego zamiaru pomagać tym zielonym zającom - rzucił stanowczo Kersee. - A zresztą czy potrafię komukolwiek pomóc? Jestem tylko starym, załganym skurwysynem.

- Jesteś człowiekiem, który chce wierzyć, nie wiedzieć, Jack. Armia nie mogła nic zrobić. - W kilku zdaniach narysował pełny obraz pierwszych dni.

- Dlaczego my nic nie wiemy? Dlaczego? Przecież jeden z tych ładunków może znajdować się w tym gmachu!

- Ale ty w nim zostaniesz bo nie masz pewności, Jack. - Zabrzmiało to jak drwina. - A kiedy przyjdzie czas zrobisz to, co zrobisz. Wezwiesz ich do opuszczenia miast. Może ja powiem ci co powinieneś powiedzieć. Może ja jeśli przeżyję, a ty będziesz mógł jeszcze mówić.

- Jeżeli przeżyjesz, a ja będę... - powtórzył jak echo Kersee.

- Tak, Jack.

Coś musi się stać, jeżeli Gold przewidział dwa uderzenia. Może zdetonować jedną z tych min, może... Pojawiło się też nowe, dręczące pytanie. Dlaczego ten cholerny Carney? Co powodowało Goldem? Czy tylko chęć wyeliminowania człowieka, który mógłby przeciwdziałać chaosowi, czy coś innego? Może rywalizacja? Carney nie zrobił nic od ponad

miesiąca, a gdyby tylko chciał mógł wezwać na pomoc armię i stać się prawie jak archanioł Michał. Nie uczynił tego, a powinien.

- Jack, w ten sposób podziękujesz mi za to, że nie zabiłem waszego świętego. Czymś takim - zza elastycznej cholewy buta wyciągnął niewielki pistolet. - Jest plastikowy, bezgłośny i potrafię się nim posługiwać. W oko tej kobiety.

Na przeciwległej ścianie wisiała tandetna reprodukcja obrazu Maneta „W łódce”, osłonięta cieniem. Chłopak niepojęcie szybkim, płynnym ruchem podniósł pistolet i strzelił nie celując. Rozległo się tylko ciche pyknięcie. Zaintrygowany Kersee podszedł do obrazu i nie zobaczył nic. Wyciągnął rękę i dotknął płótna. Teraz uwierzył.

- Ty chyba naprawdę mogłeś to zrobić, Chris - szepnął jakby do siebie i dodał głośniej:
- Zrobię to dla ciebie, chłopcze. To i tak niewiele. Chyba mnie nawet za to nie załatwią. Daj mi tylko znak.

- Dam ci znak a na dowód, że te słowa są ważne dołożę i to, że pojutrze stanie się coś, co może zmienić twoją rolę tutaj. Dziękuję za wszystkie nauki, Jack. Na mnie już pora. - Chris wstał i uścisnął wyciągniętą dłoń.

- Żyj, chłopcze - powiedział Jack Kersee.

12

Wyszedł z gmachu tą samą drogą, rozbity, bezradny, czujący ciężar samotności. To było stokroć gorsze niż nocne ćwiczenia na orientację z Bretsonem, kiedy pokonywali tory przeszkód z czapkami niewidkami na głowach. Mimo nocy nakładano im na głowy kaski podtrzymywane obrożami na szyi i w określonym limicie czasu musieli pokonać wojskowy tor przeszkód oglądany przez dwie minuty w świetle dnia. Tu był jak ślepiec wśród tysięcy drogowskazów. Za litą skałą był labirynt ale by go przejść musiał znaleźć wejście, sam albo z pomocą przewodnika.

Ruch cienia człowieka skrytego za samochodem oderwał go od tych myśli, pomógł stać się na powrót Chrisem Ivorem, który spełnia się w działaniu. Aplikowane im specyfiki zmniejszyły ciśnienie w gałce ocznej, znacznie poprawiając ostrość wzroku. Widział w nocy jak kot. A jednak w tym mieście było za dużo cieni. Przyspieszył nieco. Pośród odgłosów stękającego miasta usłyszał drobne, ciche kroki. To wskazywało, że idzie za nim dziecko albo kobieta, samotna kobieta. Skręcił w najbliższą przecznicę. Musiał umknąć zbędnego ryzyka.

Po kilkunastu sekundach coraz bliższe i wyraźniejsze kroki zamarły za ścianą trzy metry od niego. I nagle zobaczył znajomą postać wynurzającą się zza masywu ściany. Nie zdążył dotknąć łokciami boków, naturalny refleks zadziałał jak precyzyjny korektor doskonałej ludzkiej maszyny. Gdyby była napędzana adrenolem, nic by jej nie powstrzymało.

- To ja Lottie. Ojejku, jak się bałam, ale szłam i szłam - ciche słowa wylatywały z niej jak groch z dziurawego sita, wyraźnie się bała. - Znalazłam i zabrałam karabin, który rzuciłeś koło telewizji. Może ci się przydać, tu wszyscy mają karabiny. Lepiej go weź albo jeżeli wolisz, ja będę go nosiła za tobą...

- Dlaczego tu jesteś?

- Od razu rzucili się na mnie za to, że cię tam przyprowadziłam - skuliła się w pozycji pokory. - I nawet Benny, mój brat, nie ujął się za mną, nie powiedział słowa. On i tak by mnie sprzedał za parę działek. Krzyczeli, że jestem winna śmierci Randy'ego i żebym jak najprędzej spieprzała, bo jak nie to mnie wykończą jak ty jego. Pogłupieli zupełnie, bo nie wiedzieli co robić, kogo wybrać na nowego szefa i już się zaczęli szarpać ze sobą. Każdy chce być szefem, bo szef wydziela prochy i...

Jeszcze raz pomyślał, że wszyscy którzy się z nim stykają, są w jakiś sposób

napiętnowani. Znów był bezradny. Czy to tylko przypadek? Poczul cień strachu o to, że jego zdolność improwizacji natrafiła na jakąś niewidoczną granicę, wyczuwalną i być może nieprzekraczalną. Niekiedy w Hartenbergu miewał ułamki sekund na właściwe, jedyne decyzje i te ułamki starczały mu zupełnie, a potwierdzeniem właściwych wyborów było to, że żył. Jeszcze żył. A teraz? Czy powinien zabrać ją ze sobą? Po co? Czy w taki sposób ma zapłacić mu za to, że ja uratował? Chyba nie jest tak, że istnieje tylko dla jakiegoś jednego celu, przecież taki motyli żywot nie miałby najmniejszego sensu. Nie może służyć innym? Gdzie twoje marzenia, Lordzie Xanie?

- Dobrze, chodź ze mną ale rzuć to żelastwo - powiedział cicho.

- Jak to? Bez karabinu? - Mała wyprostowała się, nabrała życia zwiedziona jego obojętnością. Mimo wieku doskonale wiedziała jak i kiedy może prosić o więcej. Nie zawsze trafiała dobrze, ale wystarczająco często by upewnić się co do metody.

- Rzuć!

Cichy rozkaz przejął ją znajomym chłodem wielkiego strachu. On nie był jak inni. O nie. Spiesznie zsunęła pasek z ramienia i rzuciła 3 AK na stertę śmieci pod ścianą.

- Masz milczeć i robić to, co ja.

On wiedział, co robi. Nie musiała odpowiadać, zresztą nie pytał. Po prostu dyktował swoje warunki. Był taki inny. Jakby nie z tej ziemi.

Ruszył teraz na południe, zatrzymując się na każdy dźwięk. Unikali ludzi, przywierając do ścian niekiedy na parę minut, a jednak czuła się pewnie i bezpiecznie jak nigdy. Nie bała się prawie wcale. Gdy przemknęli na drugą stronę ulicy, gdzieś w pobliżu rozległy się nerwowe serie z broni maszynowej, ale Chris się nie zatrzymał, to go nie zaniepokoiło. Nie wiedziała dokąd idą i nie śmiała zapytać, bojąc się tylko o to, że on zniknie w zwodniczej ciemności i zostanie sama - Po co się ludzić, że robi to dla niej? Za dużo było głupich złudzeń w tym życiu. On wiedział. On musiał wiedzieć. Był nieludzki, nadludzki jak maszyna.

Wybrał ten dom pierwszego dnia. Idealny na tymczasową kryjówkę. Wybrał go z myślą o innym celu, ale teraz mógł posłużyć obojgu. Kilkadziesiąt metrów od dawnego Banku Inwestycyjnego, z okien widać było podjazd. Optymalna odległość dla detonatora i dla niego. Żaden snajper go tu nie wypatrzy.

Drzwi wejściowe z wyłamany zamkiem, klatka schodowa ciemna, pusta, w żadnym oknie poblasku... ale to nie świadczyło o niczym kiedy ci, którzy chcieli przetrwać jeszcze jedną noc, zachowywali się zgodnie z regułami mimikry. Stare domy nie były atrakcyjne dla większych grup, które wołały biurowce, supermarkety, podziemne garaże. Tu mogli kryć się

pojedynczy mieszkańcy.

Starając się iść jak najciszej, wchodziła za nim na trzecie piętro. Chris poruszał się w gęstej, atramentowej ciemności ze swobodą nocnego łowcy, jakby wszystko widział. Zatrzymał się przed drzwiami jak każde inne, ciemniejszy nieco prostokąt w nieco może bielszej płaszczyźnie ściany. Lottie poczuła rękę na ramieniu i palec na ustach. Posłusznie przywarła do ściany obok drzwi. Czekwała, a on bezgłośnie wśliznął się do mieszkania. Omal nie krzyknęła ze strachu, kiedy wynurzył się z powrotem i dotknął jej ramienia.

- Tylko bądź cicho - szepnął ledwo słyszalnie, kiedy wsunęli się do pachnącego stęchlizną wnętrza. - Nie wiem, czy nie ma kogoś za ścianą i nie mam czasu sprawdzać. Usiądź.

Nie rozumiała. Dlaczego i tu zachowywał się jak tchórz? Dałby radę całemu światu, gdyby tylko zechciał a skrada się jak mysz. Jednak zaraz uśmiechnęła się, kiedy porównała go z chłopakami, którzy tak często dodawali sobie odwagi krzykiem.

Pokój był mały jakby dziecinny, okno wychodzące na ulicę również było niewielkie, prostokątne. Chris wyszedł i zaraz wrócił, niosąc pod pachą spory kłęb czegoś. Zobaczyła go stojącego na krześle i po paru sekundach ten jaśniejszy prostokąt wchłonęła ciemność. Chwilę później błysnęła latarka. Pokój był naprawdę niewielki, dwa na trzy metry, wyczyszczony prawie do cna, ale stał tam jeszcze antyczny telewizor, stół, dwa krzesła, na ścianie wisiał jakiś obraz. Łóżko, na którym siedziała, miało miękki materac. Mimo wszystko było tu przytulnie. Poczowała łzy pod powiekami, przypominając sobie własny dom, z którego uciekła. Jaki był taki był, ale własny, czasami ciepły. Patrzyła na Chrisa ze strachem, ciekawością, kiedy nie zwracając na nią uwagi, położył na podłodze swoją torbę, wyjął z niej dwa niezbyt duże pudełka, jakiś pojemniczek i nożem, który pojawił się w jego ręce znikąd, zaczął coś odcinać ruchami powolnymi, pełnymi spokoju.

Wolała nie przeszkadzać głupimi pytaniami. Siedziała w bezruchu. Była piekielnie zmęczona i spragniona koks. Nade wszystko chciała strzelić sobie małą dawkę i odpłynąć daleko, daleko, ale nie miała przy sobie niczego. On też nie.

- Masz tu puszkę z mięsem. Zjedz. Woda jest w kranach, ale odkręcaj powoli. Zostaniesz tu, jeżeli zechcesz - usłyszała jego cichy głos. - Ja idę załatwić swoją sprawę, wrócę za dwie godziny, a może nie.

- Tak. Chris - szepnęła ogarnięta słabością. To dziwne, ale nie czuła w jego zachowaniu cienia pogardy. Nie chciał uzależniać jej od siebie i naprawdę niczego nie udawał. On był taki i już. Powiedział, że może nie wróci i to znaczyło, że może zginąć.

Zgasił latarkę, wziął torbę i wyszedł w niespokojną noc miasta. Zrobił to wcześniej,

niż zamierzał ale był zmęczony ludźmi, próbą zrozumienia ich zachowań, wszystkim. Nie tak wyobrażał sobie misję. Działanie, prawdziwe działanie było odpoczynkiem. Tam będzie myślał tylko o tym, co ma zrobić. Gdyby został i tak nie mógłby pozwolić sobie na chwilę snu, nie przed wykonaniem tego zadania. Czy plany Golda mogły zmienić się w ciągu godzin, czy to spotkanie odbędzie się właśnie tam? Musi zrobić swoje, a jeżeli ci ludzie nie pojawią się w oznaczonym czasie, zdetonuje ładunki, da znak życia nie Goldowi ale temu, kto będzie krążył w pobliżu, czekając na niego. Na pewno został skazany na odstrzał i tego nie mógł zrozumieć. Przecież był dobrym narzędziem, które można wykorzystać wiele razy.

Zdecydował, co zrobi z tą dziewczyną. Zabierze ją jutro do Lawrensona. Niech tamci przechowają ją jakiś czas albo przyjmą do siebie. Jeśli nie oni to Stawsky, bo dla niego byłoby to brzemie nie do udźwignięcia. Tak myślał, zamierając po każdym kroku. Uczył się nieufności do siebie i swoich możliwości bez adrenolu. Na długą chwilę wtopił się w ciemny załom muru, słysząc lekkie kroki w odległej o kilka domów przecznicy. Pięciu schylonych mężczyzn przemknęło jak duchy. Egzekutorzy na łowach.

Masyw banku był nieco cofnięty od ulicy, odcinał się od innych budynków po tej stronie, zwłaszcza wieżowców po lewej i z tyłu. Boczna ściana, którą wybrał podczas rekonesansu, była ślepa i przez to całe zadanie stawało się dziecinnie łatwe, zbyt łatwe, zwłaszcza z tymi wszystkimi gadżetami, jakich dziesiątki wymyślano w pracowniach Hartenbergu. Rękawice z przyssawkami i takie same nakolanniki mogły uczynić z niego człowieka-pajaka. Ich twórca poszedł najprostszą drogą, skradł pomysł z tandetnego filmu i metodą prób i błędów sprokurował to cudo dla ciężko myślących odważniaków i dzieci.

Zapięcie skórzanych pasków zajęło Chrisowi minutę, kilka następnych minut rozpoznawanie otoczenia, zwłaszcza dachów domów. Teraz był wierny zasadom. Całkiem niepotrzebnie. I tak nikt go nie znajdzie bez noktowizora. Nie wziął adrenolu, bo czy naładowany czy nie i tak będzie tylko tarczą strzelniczą.

Z torbą na plecach przyłgnął do ściany i powoli, przysysając się i odsysając metodycznie każdą z przyssawek, piął się w górę. Jak wielki obżarty pajak. Na tej ścianie był prawie niewidoczny z dołu, a nikt nie ubezpiecza dwumetrowego żelbetonu wzmocnionego tytanowymi płytami. Strażnicy siedzieli wewnątrz, za szybami pancernymi, kratami, systemami ostrzegania. Przed budynkiem nie było nawet światełka.

Na poziomie trzeciego piętra przesunął się na ścianę licową. Ciemne okno sali konferencyjnej było drugie z kolei, szerokie na sześć, długie na niespełna trzy metry. Zaczął od dolnego parapetu, ugniatając materiał w wałki o grubości paru milimetrów i podklejając w sposób, w jaki szklarze mocują szyby kitem. Dziecinna zabawa. Robił swoje, nie mogąc

uwolnić się od głupich, natrętnych myśli. Nikt nie dawał gwarancji na to, że to nie plastelit czy coś równie gównianego. Nic nie było pewne w tej powikłanej grze. Bezsila budziła zimną, kierowaną na jeden cel agresję, a tym celem był On. Kończył, ugniatając metodycznie materiał między ścianą a krawędzią szyby. Pułapka była zamknięta. Została mu jeszcze połowa materiału. Postanowił umieścić resztę na dachu.

Wracał tą samą drogą, przekładając pistolet w wycięcie kurtki. Na wszelki wypadek. „Wszelki wypadek jest najpospolitszą formą przypadku”. Ta nauka chyba nigdy nie straci aktualności myślał, zwisając dwa metry nad betonową płaszczyzną. Opadł miękko, tak jak bezkształtny kłęb ciemności. Powoli odczepiał nakolanniki, potem rękawice z mocnym postanowieniem wyplucia z siebie tej całej bezsily w zimnej, kontrolowanej agresji, gotowy do niszczenia, zabijania wszystkich, którzy stają mu na drodze do Hartenbergu. Zaciskając zęby, prowokacyjnie wyprostowany szedł z powrotem do chwilowego azylu, uprzytamniając sobie powoli, że nie może wyładować tej wściekłości w jakiś głupi sposób. Uderzenie musi być pewne, ale i celne. Czas pomyśleć nad sposobami. To dobrze, że wymieszał całość implozywu. Może już wtedy miał przed oczami Hartenberg?

* * *

Gdy obudziła się ze spokojnego snu już było widno, zupełnie widno i zapowiadał się piękny dzień dojrzałej wiosny. Leżała okryta dwoma grubymi płaszczami. Chris stał przy oknie, patrzył w dół, na ulicę. Był. Daleki, niezrozumiały ale był blisko. Sen pomógł jej odzyskać równowagę i nawet pragnienie narkotyku doskwierało jakby mniej. Była szczęśliwa.

- Nie śpisz już - stwierdził, nie odwracając się od okna.

- Już nie, Chris - szepnęła,

- Opowiedz mi o sobie. - Nie było to żądanie ani prośba, ale rzeczowa propozycja.

- To nic interesującego, Chris, naprawdę nie mam o czym opowiadać - powiedziała, by zyskać na czasie, ale po chwili zaczęła mówić: - Mam siedemnaście lat. Urodziłam się niedaleko stąd, w Oberndorf, to jest w Niemczech. Byłam druga, bo wcześniej urodził się mój brat Benny. On ma teraz dwadzieścia lat. Niewiele pamiętam z tego jak byłam mała, tylko jak mnie bił, ciągnął za włosy, i to mu chyba zostało, a ja wcale nie czuję się jego siostrą. Kazał mi się puszczać z chłopakami za dziesięć pigułek i ja dostawałam dwie, a on brał osiem, skurwiel. Moi starzy też nie byli lepsi, lubili się zabawić.

Szło jej coraz lepiej, mówiła płynniej, pewniej, odkrywając, że w jej parszywym życiu niewiele było wesołych momentów.

- Akurat jak zaczynałam rozumieć wszystko dookoła, zaczęła się ta pieprzona rewolucja automatyczna. Starzy zrezygnowali z pracy jak wszyscy, no bo po co mieli harować, jeśli mogli dostawać tyle samo bez żadnej roboty? Zasmakowali w onirykach i wtedy to już nawet nie można było się odezwać bez pozwolenia, bo albo nie słyszeli, kiedy byli na fali, albo bili nas kiedy wychodzili z transu. Całe dni siedzieli przed telewizorem i cała ich robota polegała na zmienianiu kanałów a i tak narzekali, że za ciężka. Pamiętam, że mnie i Bena zamykali w pokoju dzieciennym i też musieliśmy całymi dniami oglądać programy dla dzieci, bo inne były zablokowane. Czasami ktoś nas odwiedzał, czasami my jeździliśmy w gości, ale wtedy nas zamykali z innymi dziećmi przed telewizorem, a oni urządzali sobie orgietki, bo to znowu stało się modne po tym, jak wynaleziono szczepionkę na AIDS. Benowi pozwalali włączyć się z chłopakami, ale mnie nie bo jak wiesz, były tysiące gwałtów na małych dziewczynkach, no i siedziałam całymi miesiącami w domu i nawet nie miałam pojęcia, jaki jest ten pieprzony świat. Nie chodziłam do żadnej szkoły, bo mama doszła do wniosku, że i tak nie ma po co, a poza tym jestem za mało inteligentna. Sama nauczyłam się czytać, żeby rozumieć dymki w komiksach. No a kiedy miałam z dziesięć lat... chyba tak, bo wtedy Bena przymknęli na rok za gwałt zbiorowy, wtedy właśnie podsunęli mi pierwsze oniryki, te łagodne, produkowane specjalnie dla dzieci i cały świat po prostu przestał mnie obchodzić, bo co w nim takiego ciekawego? Same nudy. Ciągłe jakieś ekonomie polityki, z których i tak nic nie pojmowałam.

Inne dziewczyny też to olewały, jak się potem przekonałam, kiedy starzy dali mi trochę swobody i wysłali na kurs usługowy. Chętnie bym związała z domu, ale trzymało mnie przede wszystkim to, że oni pobierali na mnie oniryki z przydziału, a one były dla mnie najważniejsze, bo przecież tylko dzięki nim mogłam uciekać, przenosić się do innego świata, nie tak piekielnie nudnego i szarego jak ten. Potem, kiedy już miałam swoich chłopaków, było o niebo lepiej. Nasza banda potrafiła zakombinować w każdych warunkach i wszędzie było bardzo wesoło. Trafiliśmy do Szwecji tylko, że tam było za zimno. Starzy zupełnie przestali interesować się Benem i mną. Nareszcie mieli święty spokój i położyłam na nich lachę, na nic nie byli mi potrzebni. Przez cały ostatni rok nie miałam cynku od nich i nie chcę mieć. Nie będę miała dzieci. Po co? Żeby je zamykać na klucz w pokoju albo żeby urodzić takie potworki, jakie widziałam na kursie, bez rączek, nóg, a nawet jak słyszałam bez mózgu? Akurat byliśmy z naszą bandą w Epinal kiedy rozeszło się, że cały ten bajzel wyleciał w powietrze razem z tymi zasranymi politykami i może wreszcie uda się stworzyć coś takiego tylko dla nas młodych, wiesz, taki kolorowy świat o jakim marzy się w transie. Dojechaliśmy tutaj bo to było nie było stolica, no i wpadliśmy w szambo, najgłębsze, najbardziej

śmierzące szambo na świecie. Chłopakom odbiło zupełnie, jak dostali do rąk karabiny. Nic, tylko by strzelali. Ponad miesiąc tak się bawią i pewnie wszyscy zginią w tym mieście.

To był jej cały świat, świat w pigułce. Dobre jest to co sprawia przyjemność, a cała reszta jest zła, nie warta brudu za paznokciem, mówiła o tym wszystkim tonem zupełnie obojętnym. Chris nie był pewny, czy powinien żałować tej dziewczyny, podobnie jak on steranej przez diabolicznych animatorów. Ale dla niej wszystko było najzupełniej normalne, nie odkryła jeszcze, że jest tylko kukłą i pewnie nie chce odkryć. Cóż, miała swoją receptę na małe szczęście. Byłaby szczęśliwa, mając zapas oniryków i ścianę telewizyjną.

- Jesteś uzależniona? - spytał.

- No pewnie, jak wszyscy - odpowiedziała ze zdziwieniem. - Tylko inteligenci i zbrojeńcy nie biorą, podobno. Jeszcze nie spotkałam dziesięciu takich, co nie biorą. Nie masz jakiejś działki?

- Ja nie biorę - odwrócił się dopiero teraz i patrzył na nią badawczo. - Może ty też powinnaś wiedzieć, jak to jest kiedy się nie bierze.

Poczuł małą satysfakcję z małego kłamstwa. Brał i jeszcze będzie brał. Co z tego, że nie z własnej woli?

- Ale ja nie chcę tego wiedzieć - wyrzuciła z siebie z determinacją. - Nie chcę. Czy ty to możesz zrozumieć? Nie wystarczy ci to co widziałeś? To życie jest tak zasrane, że trzeba brać, żeby nie zwariować.

- Nie, nie wystarczy. - Odeszła go ochota na dalsze przekonywanie, bo i tak nie był w tym dobry. - Zaprowadzę cię teraz w inne miejsce. Może zechcesz tam zostać jakiś czas. Jeżeli nie zechcesz, odejdziesz. Proste.

- A czy nie mogę zostać z tobą, Chris? Tak bym chciała zostać. Ja zrobię wszystko, co zechcesz. - Wygrzebała się spod okryć. - Pozwól mi zostać z tobą. Ja już nikogo nie mam i sama nie wiem, co ze sobą zrobić. Nawet mogę przestać brać, chociaż bardzo się tego boję. Jestem silna, wytrzymała...

- Nie możesz - powiedział z nieludzką obojętnością i niespodziewanie usiadł przy niej. Uśmiechnął się, uśmiechnął po raz pierwszy a jej chciało się zapłakać, zupełnie bez sensu bo nie płakała od lat. - Ale może wrócę po ciebie, jeżeli przeżyję. Teraz zaprowadzę cię do Lawrensona. Może słyszałaś o nim?

- Jasne. Wszyscy w mieście słyszeli. To jeden z pieprzonych inteligentów. Tylko oni jakoś dają sobie radę z egzekutorami, są jak jakieś prawdziwe wojsko. - Wyraźnie takim rozwiązaniem nie była zachwycona. - Tam nie ma dla mnie miejsca, Chris. Słyszałam, że oni nie przyjmują żadnych ćpunów. Są inni, bardzo inni.

- Przekonamy się. Jeżeli nie zechcesz, nie zostaniesz. Miasto jest duże, a świat jeszcze większy. No, czas już na nas. Chodź ze mną, jeśli chcesz.

Zarzucił torbę na ramię i nie oglądając się, wyszedł z pokoju odartego z całej intymności, pustego teraz, żalosego. Dogoniła go na schodach. Postanowiła spróbować, jak to będzie, przecież w każdej chwili może stamtąd prysnąć, ale nie chce go stracić, chce z nim być, bardzo tego chce. Bała się. Samotna dziewczyna to łatwy łup dla każdego, nawet dla śmieciarzy. A przecież mimo wszystko chciała żyć.

Pierwsze dni czerwca były ciepłe, zbyt ciepłe. Odór otulał miasto szczelną, tłustą kołdrą, lekki wiatr tylko nią falował, zmieniał natężenie fetoru fekaliów, odpadów, rozkładających się zwłok w trumnach z papieru. O tej porze miasto jeszcze spało narkotycznym snem, tu i tam kręcili się tylko eksplorery samotnicy, zawsze pełni nadziei, że jeszcze coś znajdą. Trzeci rzut desantu szperający po zakazanych zakątkach, polujący na wszystko, co mogło mieć jakąś wartość wymienną. Z najbliższej przecznicy jak duch wynurzyła się czarna limuzyna, prawie bezgłośnie przecięła skrzyżowanie i znikła za rogiem ulicy. Jacyś bonzowie a może tylko szczęśliwcy, którzy zdobyli trochę paliwa.

Szła za nim krok w krok, wchodząc na ziemię zakazaną. Tu już gdzieś byli ci od tego Lawrensona, ale go nie ostrzegła. Była przekonana, że on wie. Zamarła nagle, stała się czystym strachem.

- Nie odwracać się! Jeden głupi ruch i kula w łeb - ten chłodny, opanowany głos rozległ się za nimi. Prawie wymiotując gorzką śliną zobaczyła, jak Chris unosi ręce w górę. Jeżeli to są ludzie Korobkova, ona i Chris mają około procenta szans na przeżycie minuty.

- Teraz możecie się odwrócić. Powoli i bez wygłupów - to już inny głos, więc było ich co najmniej dwóch.

Chris odwrócił się powoli. Zobaczył dwóch uzbrojonych mężczyzn w skórzanych kurtkach do bioder, niemal tak wysokich jak on. Pomyślał, że w tej chwili sprawdza zaufanie do Stawsky'ego.

- Nazywam się Chris Ivor i przychodzę do waszego chirurga.

Porozumieli się wzrokiem i ten z lewej sięgnął do kieszeni po mały model komórkowca.

- Tu siedemnastka. Mamy faceta, który nazywa się Chris Ivor i mówi, że przychodzi do chirurga. Tak, już. - Zwrócił się do Chrisa - Powiedz mi jeszcze, jak nazywa się ten chirurg.

- Stawsky.

- Stawsky, mówisz? Dobra, zaczekajcie tutaj. Zaraz ktoś po was przyjdzie - powiedział

ten drugi.

To „zaraz” trwało kilka minut. Ich przewodnik, także w skórzanym uniformie, nie pytał o nic. Szedł pierwszy z bronią opuszczoną a więc uznał ich za swoich. Szli labiryntami korytarzy, przejść wybitych w ścianach, okien umocnionych workami z piaskiem. To była mała forteca, nieźle zaopatrzona w broń. Mijali dwuosobowe posterunki i prawie każdy miał wyrzutnię albo starą bazookę, pistolety maszynowe. Mieli czym i chyba umieli się bronić, bo żyli. Tak wielu ludzi to spora siła na jedno miasto, tym większa, że widzieli przede wszystkim mężczyzn.

W pokoju, do którego wprowadził ich milczący przewodnik, czekali dwaj ludzie. Stawsky i Lawrenson. To nie mógł być nikt inny. Młody, szczupły, o twarzy ascety, stał oparty plecami o parapet i palił papierosa. Nietrudno było zauważyć nieufność. Uśmiechnięty jakby zmęczony Stawsky podchodził z wyciągniętą ręką.

- Witaj, Chris. Dobrze cię widzieć w tym miejscu, u Marka Lawrensona. Mark, to jest właśnie Chris Ivor.

Lawrenson podszedł powoli, przekładając papierosa do lewej ręki. Wyciągnął dłoń, wyraźnie nieufny, spięty. Cokolwiek usłyszał od Stana było dla niego chyba niewiarygodne. Przyczyn nieufności mogło być dużo więcej.

- Cześć, Chris. Witaj, młoda damo - uśmiechnął się samymi ustami.

- Jestem Lottie Henkel. - Mała była onieśmielona podając rękę Markowi. Słyszała o nim wiele i na swój sposób podziwiała.

- Nic o tobie nie wiemy Chris, a niechętnie wpuszczamy tu obcych. Ale najpierw was nakarmię. Prokurator musi ustąpić miejsca gospodarzowi. Żona już zajmuje się śniadaniem.

- Musicie zrozumieć Marka - przyszedł z pomocą Stawsky. - Wczoraj dwóch takich przedostało się tutaj. Znali aktualne hasło i załatwili granatami dziesięciu ludzi a najgorsze jest to, że zwiali z bronią. Jacyś desperaci, którzy na pewno zrobili to dla oniryków.

- Zostawmy lepiej te sprawy na potem. Ten pogrzeb mamy już za sobą - machnął ręką Lawrenson. - Chyba nie mieliście kłopotów z dostaniem się tutaj? Wszyscy byli uprzedzeni, ale nie o dwóch osobach.

- Jesteśmy tutaj - odpowiedział Chris zawierając w tych słowach wszystko.

- Nie miej mi tego za złe, Chris. W tych czasach nie można nikomu zaufać. Och, jest już moja Alfie. - Lawrenson odwrócił się na skrzypnięcie drzwi.

Wchodząca z tacą kobieta odmieniła ten pokój. Ubrana w prostą, lekką sukienkę, przepasana kolorowym fartuszkim, wypełniała przestrzeń dziwnym spokojem.

- Witajcie, mili goście. Śniadanie na stole. Zaraz przyniosę kawę - mówiła śpiewnym

altem, rozstawiając talerze i sprawnymi, pełnymi gracji ruchami nakładając spore porcje. - Jajka na bekonie w stylu chyba angielskim. Pamiętajcie o tym, że dobry nastrój dobrze wpływa na trawienie.

Wyszła, ale pozostawiła w tym pokoju ciepło, czułość. Ta kobieta cała była ciepłą miłością, czarodziejką z dobrej baśni. Znali ją. O tak, znali ze snów, marzeń. W oboju wzbudziła jakieś dziwne, nieopisane tęsknoty. Mark wypogodził się nagle, zniknęły zmarszczki na czole, oczy się rozjaśniły.

- Zawsze powtarzałem, że moja żona jest aniołem i tylko nie ma na to papierów. Postaram się być jej posłuszny. Jeżeli pozwolicie, będę mówił przy posiłku, lecz w każdej chwili może stać się coś nieprzewidzianego, tu wszystko kipi jak w garnku. Wiem o tobie niewiele Chris, tyle tylko ile zdradził nam twój przyjaciel Stan, ale to aż nadto. Wybacz, że nie wiem, co sądzić o tobie. Nie powiedział nam wiele, ale... - szukał chwilę słów - to jest tandetne, komiksowe. No, mniejsza z tym. Uprzedził nas, że możesz nam pomóc.

- Nim pomogę, to ja chcę waszej pomocy - odpowiedział cicho Chris.

Mark zerknął na Stawsky'ego, który odezwał się, jakby zaskoczony:

- Wiesz, że zrobimy to jeśli będziemy mogli, Chris. Powiedz, czego potrzebujesz a wtedy...

- Chcę, byście zajęli się nią przez kilka dni, a także pomogli zdobyć lornetę i małą kuszę. W zamian zrobię coś dla was już jutro i później.

Alfie weszła z kawą, dziwna, nieziemska. Przy niej wszyscy chcieli milczeć, a sprawy dalekiego świata wydawały się świętokradztwem w jej sanktuarium. Popatrzyła wokół promiennym spojrzeniem i nie przestając się uśmiechać, zapytała:

- Czy ja wam przypadkiem nie przeszkadzam, kochani?

- Ty nigdy nie przeszkadzasz, Alfie - uśmiechnął się ciepło Lawrenson. - Zostaniesz u nas, Lottie?

- Tak.

- Więc w tym możemy ci pomóc, Chris. Mamy lornety z noktowizorami. Mamy też kusze, z celownikami laserowymi i różnymi rodzajami bełtów.

- Potrzebuję czegoś mniejszego o rozpiętości ramienia około dwudziestu centymetrów do wyrzucania małych bełtów - wyjaśnili rzeczowo Ivor.

- Mamy swój warsztat i znakomitych inżynierów. Przygotują wszystko co zechcesz a chcesz raczej niewiele za to coś, co masz zrobić. - Lawrenson nie pytał o nic, uprzedzony zapewne przez Stawsky'ego.

- Chris nie mówi nic nad to, co jest potrzebne, Mark - wtrącił Stawsky. - Powiedz nam

coś o sobie, Lottie. Jak to się stało, że przysłaś tu z Chrisem?

Onieśmielona w tym otoczeniu, oszołomiona brakiem oniryku dziewczyna drgnęła jak wybita ze snu. Spojrzała wpierw na Chrisa obojętnie dziobiącego jajka widelcem. To wyglądało na przyzwolenie.

- On mnie uratował... - najpierw urywanie, nerwowo, potem coraz płynniej zaczęła powtarzać historię ubiegłego wieczoru sama nie wierząc, że to było dopiero wczoraj. Mówiła o tym, co on sam uznał za nieważne.

W stanie prawie euforii dochodziła do scen walki Chrisa z egzekutorami, nie zauważając z początku, że dwie twarze ponurzeją a gdy to zauważyła, było za późno. Na ślicznej twarzy Alfie malował się wyraz prawdziwego bólu. Nic nie pojmując, zobaczyła to samo na kamiennej twarzy Chrisa. Nie dokończyła. Skryła twarz w dłoniach i rozplakała się, sama nie wiedząc dlaczego.

- Boże, kiedy to wszystko się skończy? - szept Alfie przejął wszystkich dziwnym smutkiem.

- Taki czas musi przyjść, kochanie. - Lawrenson wstał, objął żonę ramieniem. - Skończy się, zobaczysz to na własne oczy. Zajmij się małą, a my pójdziemy z Chrisem.

To także był przypadek, zwykły przypadek. W tej samej chwili ziemia jęknęła. Wybuch nie był głośny. Mury zadrżały, z sufitu posypał się tynk.

- Co to? Znowu jakieś wielkie zło? - szepnęła Alfie.

- To było zło naprawdę konieczne - usłyszeli spokojny głos Ivora. On wiedział. A myślał o tym, że to także znak dla Golda.

- Schron. Prawda, Chris? - spytał Stawsky.

- Tak. Musiałem.

- Chodź ze mną, kochanie. - Alfie objęła ramieniem małą. - Pójdziemy do mnie i porozmawiamy, te straszne sprawy zostawimy mężczyznom.

Paroma zdaniem Stawsky wyjaśnił Markowi, o czym mówili.

- Za jakiś czas wyślę tam paru ludzi, niech sprawdzą. A my chodźmy tam, gdzie mieliśmy iść. - Lawrenson ruszył pierwszy.

Istnym labiryntem przechodzili do piwnic pod poziomem systemu garaży podziemnych, wszędzie natykając się na ludzi zajętych swoimi sprawami. Ta samoorganizacja zaskakiwała przybysza po tym wszystkim co widział w mieście, przekonywała do tych ludzi.

- Hej, szefie! Chwileczkę! - Z jednej z klitek wyskoczył półnagi, muskularny mężczyzna zagrządzając im drogę, agresywny, zaskoczony. - Szefie, to jest ten sam, który nas

załatwił cztery dni temu. To ten skurwiel, na pewno. Nie zapomniałem go i nie zapomnę do końca życia. Oti też go rozpozna.

- Tak podejrzewałem od paru minut - roześmiał się prawie wesoło Lawrenson, odwracając się do Chrisa. - A ty, Hansi możesz być szczęśliwy, że jeszcze żyjesz. Ten facet załatwił pięciu uzbrojonych egzekutorów w sekundę i to gołymi rękami. Pomódlcie się do świętego Sebastiana i postawcie mu świeczkę za to, że jeszcze żyjecie. Podziękuj Chrisowi, Hansi. To jest Chris Ivor, teraz nasz przyjaciel, podziękuj mu za życie. To wcale nie żart, chłopie.

- A niech cię diabli, Chris! No pewnie, że mogłeś nas rozwalić. Nawet nam nie zwinął broni. Doszliśmy do siebie po jakichś dziesięciu minutach i tylko potem przez parę godzin czułem się jak po niezłym pijaństwie. - Hansi uśmiechnął się, wyciągnął rękę. Niepojęte było to, że już nie okazywał wrogości. - Do tej pory zachodzimy w głowę jak to zrobiłeś, czym i jak nas pokłuteś, cwaniaczku.

- Przestań tyle pleść, Hansi. - Lawrenson powiedział to łagodnie, ale starczyło. Hansi urwał i zmieszał się wyraźnie. - Znajdź Molnara i przyjdźcie do hali głównej.

- On tam właśnie jest, szefie.

- Aha, więc chodź z nami, ty masz czasem niezłe pomysły.

W dużej hali, wśród beładnie porozstawianych maszyn kilkunastu ludzi pracowało przy samonapędnych robotach precyzyjnych nowych generacji, jakie Chris znał z Hartenbergu. Było jasno jak w słoneczny dzień.

- Zostawiam Chrisa z wami. Molnar, Hansi, macie sprokurować małą kuszę i co tam jeszcze nasz przyjaciel wymyśli - polecił Lawrenson. Widocznie zapominał, że chciał być prokuratorem. - Ja wracam na górę, a ty, Stan?

- Zostanę tutaj - odparł bez namysłu Stawsky. Był szczęśliwy, głupio, po szczeniacku szczęśliwy. Chris odnalazł go i chyba znalazł siebie.

- No to bierzmy się do roboty, bo do wieczora muszę jeszcze spreparować parę celowników ruchu. Najpierw powiedz mi, do czego ci to potrzebne, Chris - pytał nerwowo szczupły, niespokojny Molnar.

Odpowiedział, mając przed oczami topografię Hartenbergu. Zarys planu był gotowy. Może prosić ich tylko o to, co mogą mu dać, reszty poszuka gdzie indziej.

- Potrzebuję cichego urządzenia miotającego na około dwieście metrów z jaką taką celnością.

- Masz na myśli bełty, które zabijają na ponad dwieście metrów? - pytał rzeczowo Molnar.

- Nie, mają tylko przenieść małe kulki o średnicy mniej więcej dwóch centymetrów. -
To była dobra odpowiedź, nieprecyzyjna.

- Zaraz, niech pomyślę...

- To proste, Imre. Świński ogon - tłumaczył Molnarowi Hansi. Normalny pistolet sprężynowy z naciągiem kołowym. No wiesz, sprężyna w lufie naciągana małym kołowrotkiem z boku, blokada, czep, spust i wszystko! Celuje się jak z pistoletu.

- Genialne, byczku! - Molnar klepnął chłopaka w brudne ramię. - Ty to masz czasami pyszne pomysły. Tak, proste jak koło. Trzeba tylko obliczyć parametry sprężyny, ale to pryszcz. Czy coś takiego ci odpowiada, Chris?

- Genialne, Hansi. - Ivor uśmiechnął się mimo woli do tego człowieka, żywiołowego i szczerego jak złoto. Odkrył nagle, że mógłby zdomować się pośród tych ludzi.

- Ba ja jestem tu podręcznym geniuszem, chłopie - błysnął zębami Hansi. - Za to ty musisz pokazać, w jaki sposób nas załatwiłeś. To jak? Robimy interes?

- Dobra - odpowiedział lekko. Jego misja nabierała sensu. Dla nich może zrobić wiele.

- No, bierzemy się za tę zabawkę. Za godzinę ją masz.

Zniknęli między maszynami. Nie pytali o nic. Dla nich był taki sam jak oni.

- Tacy są, Chris - powiedział cicho Stawsky. - To normalni ludzie. Przy nich czuję, że żyję i chce mi się żyć. Mężczyźni tacy jak oni i kobiety takie jak Alfie. Jeżeli nie oni, to nikt nie stworzy nowego świata, a właśnie na nich wszyscy polują tak zawzięcie. Reprezentują świat wolnego ducha, z którym zetknąłeś się na tych dyskietchkach. A tu, co noc mamy kilka skoków z wnętrza strefy. Wiesz, egzekutorzy i inni nieproszeni goście. Co noc ubywa kilku i nie ma na ich miejsce nowych, a każdy jest wybitnym specjalistą. Molnar to autorytet w dziedzinie gluonów, Mark - astronom i egzobiolog, a Hansi niezły robotyk. Może wyda ci się dziwne, że astronom jest ich przywódcą, ale Mark to ktoś z charyzmą, chociaż nie wiem co to takiego ta charyzma. To jeden z przywódców Youth Power. On ich tak zorganizował. W ciągu dosłownie paru dni zmienili się w żołnierzy, zdyscyplinowanych, może bardziej niż ta moja cholerna armia. Oni po prostu zrozumieli, że tylko dzięki żelaznej dyscyplinie przetrwają. Mogliby uciec z miasta, ale tego akurat nie chcą, uważają że powinni zostać na posterunku i pomagać wszystkim, którzy pomocy potrzebują. Sami są warci każdej pomocy, Chris. Kiedy skończy się to wszystko, rzucę wojsko i zostanę z nimi, choć wtedy nic już nie będzie takie samo... - Po chwili milczenia zmienił temat: - Czy to prawda, co Lottie nam opowiedziała?

- Tak, to prawda - głos Ivora zmatowiał. - Pominęła tylko, że zupełnie niepotrzebnie zabiłem jeszcze jednego człowieka, a nie powinienem, mimo że to on chciał mnie zabić. Nie

umiem znaleźć się wśród ludzi, Stan, nie potrafię zrozumieć najprostszych dla was rzeczy. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Prawie wszystko co robię, jest albo niepotrzebne, albo głupie.

- Nie przejmuj się tym tak bardzo, Chris. To są tylko nawyki. Po kilkunastu lekcjach pojmiesz, co trzeba i jak trzeba, a reszta przyjdzie sama, jak będziesz wśród ludzi. Myślę też, że pozostajesz pod wpływem szoku adrenolowego, przypominają się skutki reakcji hipnotycznej. Psychiczenie jesteś trochę rozbity. Nie ciągnie cię?

- Tak i nie, ale wiem, że będę musiał wrócić do adrenolu parę razy. Bez niego nie dam rady.

Stawsky go nie poznawał w tamtej chwili. Chris Ivor, perfekcyjny zabójca, przypominał mu teraz zagubione dziecko. Przecież on jest dzieckiem, tylko dzieckiem, myślał. Dzieckiem, które obeszło bokiem próg męskości zamiast przez to przejść.

- Dobrze Chris, ale tylko wtedy, kiedy naprawdę będziesz musiał. I pamiętaj, żeby równoważyć się moim specjałem. Jak działa?

- Bardzo mi pomaga. Dziękuję.

- Mam stały kontakt z Lussakiem, moim przełożonym. Popędzę go, żeby przygotowali następny transport. A może wymyślili lepszy specyfik? Jest też coś, co powinieneś wiedzieć...

- wahanie Stawsky'ego było wyraźne. - Zaraz po tym jak uprzedziłem centralę, generał Donovan wysłał śmigłowce po Carneya. Pięć z nich z pełnymi obsadami, zestrzelono nowoczesnymi raketami, a następnego dnia Moris zniknął z Ville.

- Czy uważasz, że to moja wina? - Chris znowu przypominał kamienny posąg.

- Nic takiego. Po prostu chcę ci dać jeszcze jedną przesłankę.

- Może być bardzo ważna. A czy możesz mi powiedzieć, co z Denisem? - bał się zadać to pytanie ale musiał.

- Nareszcie coś optymistycznego i dla ciebie, Chris. Jest już zupełnie dobrze, jeśli chodzi o jego fizys. Kilka przeszczepów, w tym wątroby, załatwia wszystko. Trochę gorzej z psychiką. Moi koledzy neurologicy wyciągnęli mu wszystkie modulatory. To było niebezpieczne, ale konieczne i wyobraź sobie, że zapis fal mózgowych zmienił się bardzo nieznacznie. Zdaje się, że kilka tych implantów nie służyło niczemu. Mortimer powiedział podobno, że uratowała was kultura osłabiająca retroakcje a to może znaczyć, że sam możesz uleczyć swoją psychikę.

- Niewiele z tego rozumiem, Stan, i teraz nie chcę rozumieć. Na to przyjdzie lepszy czas. - Chris zwrócił się ku wracającym Molnarowi i Hansiemu. Nie minęło więcej niż pół godziny.

- Już mamy tę zabawkę dla ciebie, Chris. - Molnar zademonstrował toporny pistolet z

grubą lufą. - Istny koszmar rusznikarza ale myślę, że siła wyrzutu i celność są jakie takie, tak przynajmniej twierdzi komputer, choć na podstawie trochę niepewnych danych. Jednak niektórzy powiadają, że prowizorki są najbardziej trwałe. Chodźcie na strzelnicę, wypróbujemy to działo.

Strzelnicę urządzono wyżej, w garażu, między rzędami samochodów.

- Ty to wypróbujesz, Hansi. Ja nie będę strzelał nawet z tego. - Molnar oddał pistolet Hansiemu.

- Tu mamy tylko około czterdziestu metrów ale daję ucho, że będzie dobry na trzysta. - Hansi nakręcił mały kołowrotek z boku pistoletu. - Ta kulka jest z metalu, stalowa więc dla niej trajektoria będzie z tej odległości mniej więcej prosta. Można by obliczyć kąt podniesienia, znając ciężar kuli, odległość i siłę naciągu, ale my zrobimy to na oko, jak dobrzy rzemieślnicy. Proszę - wrzucił małą kulkę do lufy, uniósł pistolet oburącz i kciukiem prawej ręki zwolnił sprężynę.

Rozległ się cichy, metaliczny szczęk i natychmiastowy odgłos uderzenia w betonową ścianę za tarczą. Hansi pociągnął sznurek i tarcza podjechała do nich. Sylwetka człowieka została trafiona w okolicę brzucha.

- Niezła celność - cmoknął. - A o sile mogliście się przekonać. Na sprężynie jest podkładka i można strzelać z tego kulkami o średnicy od centymetra do dwóch. Maksymalny zasięg to trzysta pięćdziesiąt. Może być, Chris?

- Może. Naprawdę genialne - powiedział uśmiechając się znowu, nie do nich samych, ale do lekkości, swobody, radości, jaką dawały im najprostsze sprawy. Nic nie budziło w nim agresji, nawet nieufności. To było nowe i trudne do określenia.

- To teraz pokaż, czym nas wtedy załatwiłeś - powtórzył prośbę Hansi.

Stawsky patrzył z niebotycznym zdumieniem, jak implant bez słowa zdejmuje kurtkę z długimi rękawami, odsłania muskularne przedramiona oplecione paskiem podtrzymującym konstrukcje wyrzutni. Boże, jakże on się zmienił w ciągu tych paru dni! To niebywałe! On jest normalny! A niech mnie! Normalny!

- To tylko taka zabawka.

- Ale sprytna zabawka. Nikt by się czegoś takiego nie spodziewał. - Hansi ostrożnie dotykał wyrzutni. - Pneumatyk, tak? Wyrzucał strzałki z tym świństwem, którym nas uraczyłeś. Załatwić takim gównem dwóch Rambo, a niech cię kaczka kopnie! Masz na to patent? Jeżeli pozwolisz skopiuję, co?

- Jak chcesz. A wy wyglądaliście wtedy jak czarne charaktery - odpowiedział zadziwiająco lekko Ivor. - Naprawdę nie miałem czasu na rozmowy z wami.

- Możesz dziękować losowi i świętemu Sebastianowi, chociaż nie mam pojęcia czemu akurat jemu - roześmiał się Stawsky, chcąc podtrzymać niefrasobliwy nastrój. - Reakcje Chrisa są co najmniej pięć razy szybsze od przeciętnych, a siła ciosu proporcjonalna do szybkości, chociaż ja to oceniam na przelicznik dwa razy większy. Wyobrażasz to sobie?

- Jezu, człowieku, a z jakiego filmu się urwałeś? - spytał poruszony Hansi, chyba odruchowo odsuwając się od Chrisa.

- Z tego samego co ty, chłopie. Z tego samego. Ale na nas już czas. Na pewno pogadacie innym razem. - Stawsky pociągnął Chrisa za ramię i ruszyli w stronę wyjścia z katakumb. Naprawdę bał się, że ta zmiana zaszła zbyt szybko. Taka akceleracja może być niebezpieczna.

- Będę czekał - rzucił za nimi Hansi.

- Tu jesteście? - naprzeciw wychodził Lawrenson. - Wrócił Peter. Wysłałem go, by sprawdził. Opowiedz, Peter.

- Tak szefie, chociaż nie ma o czym. Miejsce się zgadza, reszta nie. Willi już nie ma, jest tylko rumowisko, dziwne rumowisko. Po takim walnięciu powinien być krater jak na Księżycu, a jest mały dołek. Cholera wie, co to było.

- Wyjaśnię, jak wrócę. Chris powinien iść. - Stawsky znów pociągnął Chrisa za ramię. Byle drobiazg mógł zepsuć budującą się równowagę, a przecież tam zginął jeden z nich. Idąc, mówił: - Bardzo się zmieniłeś Chris, i powiem ci, że ogromnie się z tego cieszę. I nie przejmuj się tak sobą. Po prostu ucz się dalej. Nauczyłeś się śmiać, a to więcej niż sobie wyobrażasz. Rób to przy każdej okazji, śmiech to wspaniała terapia. Powiedz mi jeszcze jedno, a pytam teraz jak lekarz. Czy poczułeś coś w rodzaju pociągu seksualnego do tej dziewczyny?

- Nigdy nic takiego nie czułem.

- Nie szkodzi, ten instynkt da się łatwo odblokować. Jestem tego zupełnie pewny, a nie ingerowano fizycznie. Ale o tym porozmawiamy, jak będziemy mieli trochę więcej czasu dla siebie. Pojawisz się tu jeszcze?

- Jak wykonam drugie zadanie.

- Do diabła! Zrób to, Chris! Nie wiem jak i nie chcę wiedzieć, ale to wielka sprawa. Dziękuję, przyjacielu.

- Nie możesz powiedzieć tego nikomu Stan, nawet Markowi. Tak będzie lepiej.

- Dobrze, Chris. Nie chcę stracić twojej ufności.

Nie zamienili już słowa do wyjścia na powierzchnię. Obaj wiedzieli, że nie można zrozumieć się do końca tak od razu.

- Nie chcesz zobaczyć się z małą? - spytał Stawsky już w słońcu.

- To nie byłoby dobre, Stan.

- Jak wolisz, Chris. Będę czekał.

Chris nie odpowiedział, nie odwracał się, wychodząc poza linie posterunków. A Stawsky wciąż nie mógł dojść do siebie, ale wbrew zdrowemu rozsądkowi wierzył w implantów i te ciemne, nieznane moce, które kryły się za nimi. Stać ich było na wiele, na niewyobrażalnie dużo. To musiały być też niewyobrażalne pieniądze. Mafia miała pieniądze, mogła finansować takie eksperymenty. Czyżby to był syndrom Frankensteina? Dzisiaj mógł uwierzyć nawet w teorię zbuntowanego robota. A takie uderzenie mogło przerwać ten zaklęty krąg, poruszyć akurat ten kamień, który pociągnie za sobą lawinę i ta lawina porwie ze sobą groźbę atomowych grzybów. Może głowy hydry odrosną, ale już nie będą tak szatańsko mądre, przebiegłe, okrutne, nienasycone.

Wracając, natknął się na Lawrensona rozmawiającego z Peterem. Mark natychmiast zauważył zmianę w tym człowieku, którego znał od lat, jeszcze z dobrych czasów Paryża.

- Co się stało, Stan? Czyżby cię pocałował na odchodnym? - nigdy nie był dobry w żartach.

- Co?! Chłopie! Za paręnaście godzin stanie się coś. Jestem pewny, że najpóźniej jutro trudno ci będzie uwierzyć.

- Co takiego?

- Obiecałem mu, że nie powiem. Tajemnica wojskowa.

- Niech ci będzie, żołnierzu - skapitulował łatwo Lawrenson.

* * *

Znów był sam w pokoju, który nocą posłużył za prowizoryczne schronienie. Pozostawało tylko czekać na jutro, czekać na rozwiązanie jednej z setek zagadek. Zastawił pułapkę, nie mając odrobiny pewności, czy zaplanowane spotkanie się odbędzie. Przypominając sobie wydarzenia niezwykłego dnia zaczął się zastanawiać, czy te niedostatki były niezbędne w doskonałej maszynie. Czy celowo nie uczono go wielu prostych i z pozoru niezbędnych umiejętności? Najwyraźniej tak.

Zgnębiony, przybity własnymi brakami, które powinien był zauważyć wcześniej, włączył znaleziony piętro wyżej turystyczny telewizorek na baterie. Nastawił na program Europe I. Chciał informacji z tego świata. W Hartenbergu nigdy nie oglądali normalnych stacji - tłumaczono im, że ten środek przekazu nie służy prawdzie, jedynie tworzy iluzje.

Stary, zdezelowany, porzucony przez właścicieli model Sony spisywał się całkiem

nieźle, ale krwawa historia walk między dwoma klanami ninja nużyła monotonią, niepojętymi zachowaniami bohaterów tańczących opętańczy taniec śmierci. Wyłączył głos. Obraz w zupełności wystarczał, odrywał od myśli. Z niewielkiego zapasu pozostały tylko cztery puszki wołowiny i dwie z witaminizowaną mieszanką jarzynową. W mieście jeszcze nie było problemów z jedzeniem. Wyjmując jedną, Chris znów pomyślał o elementarnym zabezpieczeniu. Nawyki wyniesione z Hartenbergu nie sprawdzały się w tym świecie. Chyba jednak uznano, że nie będą mieli szans przetrwania, zostawieni sami sobie, pozbawieni adrenolu. On jednak wróci...

Nic nie wskazywało na koniec filmu, a jednak zamiast zamaskowanych postaci w opiętych kombinezonach na ekranie pojawiła się sylwetka eleganckiego spikera. Odłożył puszkę, przesunął nieco wskaźnik potencjometru i usłyszał namaszczone, wymawiane z nienaganną dykcją słowa: „...w trosce o byt państwa i elementarne interesy obywateli zjednoczonej Europy w sytuacji największego zagrożenia ciężar odpowiedzialności postanowili wziąć na siebie najlepsi jej synowie, wybitni przedstawiciele życia politycznego, ekonomicznego i nauki europejskiej. Zjednoczony w takim trudzie kontynent stanął u progu rozpadu. Nie działają instytucje państwowe, wszelkie więzy między członkami społeczności ulegają osłabieniu z każdym dniem i ich zupełne zerwanie byłoby wielką tragedią nie tylko dla naszego kontynentu. Znów na plan pierwszy wysuwają się interesy partykularne, narodowe. Staje przed nami widmo narodowych waśni a nawet wojen, jakie pamiętamy z niedalekiej przeszłości. Zbrodnicze działania garstki nieujawnionych przestępców, siewców terroru i strachu doprowadziły nas na sam skraj przepaści. Ale jeszcze nie jest za późno. Przed runięciem w przepaść chcą nas powstrzymać najbardziej światli i świadomi obywatele. Po wielu naradach i konsultacjach uchwalono konieczność powołania Rady Ocalenia Europy i na jej przewodniczącego powołano Angela Domeniciego, którego kandydatura została jednogłośnie przyjęta przez członków założycieli Rady i spotkała się z przychylnością państw pozaeuropejskich. Teraz trwają wytężone prace nad ostatecznym ukonstytuowaniem Rady i określeniem zakresu jej kompetencji. Musi on być wystarczająco szeroki, by przywrócić dawny, demokratyczny ład europejski, w którym dobro i nieskrępowana wolność jednostki jest stawiana na pierwszym miejscu. Pierwszym celem Rady będzie przygotowanie wyborów do nowego parlamentu europejskiego i po osiągnięciu tego celu Rada ulegnie samorozwiązaniu. Wzywamy wszystkich świadomych obywateli do wyrażenia efektywnego poparcia dla Rady. Wzywamy armię do opowiedzenia się za Radą i wypełnienia konstytucyjnego obowiązku. Wzywamy wszystkich pracowników państwowych do powrotu do miast, policjantów do pełnienia swoich obowiązków w miejscach, w których się znajdują.

Wzywamy wszystkich do złożenia broni w terminie trzech dni od dnia dzisiejszego, zapewniając, że zostaną objęci amnestią. Wszyscy, którzy nie usłuchają naszych wezwań, zostaną uznani za wrogów publicznych i będą spacyfikowani sposobami dozwolonymi aktualnie obowiązującym prawem”.

Stało się. Panowie chaosu chcą położyć mu kres, stworzyć własny porządek ze swoimi prawami, swoimi miarami dobra i zła. Przygotowali całkiem dobrze przemyślany plan, o ile złotousty choć w połowie powiedział prawdę. Chris poczuł, że znowu zagubi się w tym labiryncie, gdzie żadna nić nie jest wystarczająco mocna, gdzie niewiele znaczą słowa, a ludzie są wściekłymi wilkami goniącymi za ulotną wonią zdobyczy. Jeżeli... Jeżeli mafia porozumiała się z Goldem, wtedy pułapka nie ma sensu i on jest tylko bezradnym dzieckiem w tej płataninie. Nie! Nie jest! Już nie! Ma swoją misję! Jest to misja Golda, ale teraz i jego. On także może być panem chaosu, może tworzyć, dyktować własne prawa.

13

To były twarde słowa, ale konieczne. Angelo sam był ich autorem choć udawał, że słucha rad Hertza i Kreutzera, których zabrał ze sobą do Strasburga, trzymając Korobkova z daleka. Kilkakrotnie poprawiał tekst orędzia, nim wreszcie wydało mu się dostatecznie wymowne, mimo iż tak enigmatyczne. We trójkę byli „gośćmi” Beaumonta, w czasie gdy van Arle zajmował się angielską eskapadą i eliminacją Slimsa. Zasada „Kto nie jest z nami, jest przeciwko nam” musiała być przestrzegana z całą ostrością, to kwestia autorytetu.

Siedząc w gabinecie dyrektora generalnego Europe I, przyglądali się z upodobaniem swojemu dziełu.

- Zrozumieją, na pewno zrozumieją. Dość już tego klepania się po policzkach, moi panowie. Dzisiaj przekroczyliśmy swój Rubikon i dalej pójdziemy już twardym, zdecydowanym krokiem. Zgarniam pulę. - Angelo krążył po obszernym gabinecie jak lew po klatce. - Jutro mamy umówione spotkanie z Goldem i jego ludźmi. Złożę im stosowne propozycje, a jeżeli nie przyjmą to znajdziemy inne nazwiska. Na razie nie rozpatruję możliwości zaatakowania Golda w jego gnieździe. Taki guzik można nacisnąć za szybko. Mamy sporo starego śmiecia, różnych zasłużonych i pamiętanych ramoli, którzy zrobią to co im każemy. Czekajmy teraz na odgłosy.

- Amerykanie powinni się pospieszyć zgodnie z umową. Już tam nasi pewnie przyciskają Hodgesa do muru - uspokajał Hertz.

- Mamy na podglądzie wszystkie stacje, łącznie z wojskowymi i wszystko nagrywamy, bądźcie spokojni. - Beaumont zachowywał się jak pan na włościach, niebaczny na zgryźliwe spojrzenia Angela - Tylko jedno mnie jakoś niepokoi Angelo, te twoje ultimatywne trzy dni. A co potem? Czy zaczniemy wojnę na całego?

- Na całego - powiedział gniewnie, zdecydowanie Domenici. - Korobkow już się przygotowuje, żeby uderzyć od razu na kilku frontach. Zmobilizowaliśmy wszystkie rezerwy.

- Czy mógłbym wiedzieć, co postanowiłeś? - pytał Beaumont.

- Możesz, to już nie tajemnica. Mamy w zapasie sporą ilość bojowych środków paraliżujących. Po upływie tego terminu nasze śmigłowce zrzucają pojemniki z gazem na dzielnice opanowane przez gnojników. Tutaj i w Paryżu. Jeśli zniszczymy te gniazda szarańczy, na resztę padnie blady strach. Nie możemy ulegać szczeniakom, które wyrwały się spod ręki.

- O Boże! Ty mówisz poważnie?! Przecież to zbrodnia! - Beaumont nie zdołał opanować się na czas. Popełnił błąd nie do naprawienia. Powiedział jedno słowo za dużo przy świadkach.

- Zbrodnia? - parsknął Angelo, krzywiąc twarz w dziwnym grymasie. Ty mi to mówisz? Ty, który tak chlubisz się swoim Napoleonem? On wyprowadził armaty na ulice Paryża i kazał strzelać kartaczami do bezbronnych. Też mi bohater! A w książkach piszą, jakie to było nowatorskie. Ja też będę nowatorem.

- Ale chcesz użyć ich tutaj. Przecież my... Właśnie o tym myślałem.

- Nic ci nie grozi stary, nie przejmuj się - łagodził Hertz. - Te środki działają tylko pół godziny i są trudno rozpraszalne. Będziemy tu całkowicie bezpieczni...

Przerwał im brzęczyk interkomu. Beaumont wcisnął spieszenie guzik.

- Panie dyrektorze, mamy pierwszy lokalny odzew z ZDF. Przerwali swój program i nadali komunikat.

- Oduść to - rzucił zgryźliwie Kreutzer. - Tam siedzi ten głupek Albitsch i założę się, że będzie pakował w dupę tonę wazeliny. Takimi drobiazgami niech zajmą się inni.

- Odpuszczamy na razie, ale zarejestrujcie - powiedział do mikrofonu Beaumont. - Trzymajcie podgląd dalej, czekam na informacje.

Nie minęła minuta, gdy brzęczyk odezwał się ponownie.

- Mamy telewizję moskiewską, panie dyrektorze.

- Tłumaczcie szybko i dajcie obraz z komentarzem tutaj.

Wreszcie coś zaczynało się dziać, a oni czterej rozpalali się jak hazardziści. Z niedźwiedzia ściągnięto skórę, ale goły był o wiele bardziej nieobliczalny i niebezpieczny. Naciskany Smirnow nie dawał jednoznacznej odpowiedzi. Twierdził, że grunt nie jest dobrze przygotowany. Angelo był przekonany, że to bzdura. Rosjanie chcą tu wejść. A może już są? Jeżeli Korobkow jest koniem trojańskim. Był głupcem, sądząc że po prostu ich kupił.

- Czy możemy? - głos technika zelektryzował wszystkich.

- Tak, do cholery! - ryknął Angelo.

Po kilku sekundach centralny monitor ściany telewizyjnej zajęła korpulentna postać rzecznika prasowego prezydenta Jaszczenki - Milutina i beznamiętny głos zaczął tłumaczyć oświadczenie rzecznika. „O godzinie czternastej czasu moskiewskiego sieć Europe I podała pokrętną, niepełną informację o powołaniu tak zwanej Rady Ocalenia Europy, na której czele podobno stanął przemysłowiec Domenici. To jedyny konkret w komunikacie, który dowodzi krańcowej perfidii tego osławionego szefa euromafii. Jest to pierwszy w dziejach ludzkości zamach stanu dokonany przez podziemie przestępcze. Teraz jasne się stało kto i w jakim celu

zniszczył demokratyczny parlament, dokonał zamachu na prezydenta i posługuje się najbardziej ohydny szantażem w dziejach. Oskarżamy euromafię o próbę przejęcia władzy siłą przy pomocy najemników, bez skrupułów rekrutowanych na ziemi rosyjskiej. Ubolewamy nad tymi wyrodnymi synami naszej ziemi i wyrzekamy się ich. Rząd rosyjski i prezydent nie uznają tej próby za poważną, jak też nie mają zamiaru zastanawiać się nad uznaniem Rady Ocalenia Europy. Miejsce gangsterów jest w kanałach, nie na szczytach władzy” - skończył Milutin i ekran pociemniał.

Beaumont zamarł z otwartymi ustami.

- Postaram się żeby nasza opinia publiczna się o tym nie dowiedziała - powiedział po chwili, wyraźnie przerażony milczeniem Angela. - Stacja moskiewska nie obejmuje nas tym zasięgiem jaki ma teraz. Nikt też nie zrozumie co oni bełkocą.

- Nie bądź durniem. Tego nie da się zablokować - warknął wreszcie Angelo. - Na Wschodzie przegraliśmy na całej linii przez głupotę. Rosyjscy koledzy postanowili nas wyrolować, bo nie uwierzyli tanim obietnicom. A może ktoś na górze połączył Korobkova z Krawczenką? To wcale nie jest takie złe, jak sobie myślicie. Teraz, kiedy Jaszczenko zajął takie stanowisko, staje się jasne, że ten dziadzio może się pożegnać z marzeniami o władzy przy naszej pomocy, a jeżeli jeszcze żyje to wynik nieporozumienia. Tym samym Gienadij stracił grunt pod nogami. Mamy go teraz na pasku. Ale swoją drogą - zwrócił się do Beaumonta - uruchom od razu wszystkie mechanizmy blokady tej informacji w ośrodkach lokalnych, które kontrolujemy. Zobaczycie jaki im niedługo wytniemy numer. Już wiem, jak odpłacić pięknym za nadobne. No, co tam znowu?

- Mamy komunikat BBC.

- Dawaj tę staruszkę, prędko.

Na ekranie ukazała się znajoma twarz krajowego ministra dawnej Wielkiej Brytanii do spraw kontaktów z Unią. Usłyszeli: „Rząd i społeczeństwo brytyjskie z wielką uwagą śledzą sytuację na kontynencie”. Stanford wyraźnie podkreślał, że Anglicy są skłonni wykorzystać zamieszanie w Europie i śnić o minionej potędze, bo destabilizacja stawiała pod znakiem zapytania sens istnienia Unii. Każda próba przywrócenia *status quo ante* jest wielce pożądana, o ile jest to próba podjęta w zgodzie z konstytucją i wystarczająco realistyczna. Za wcześnie przesądzać o charakterze próby prominentnych postaci życia europejskiego. Społeczeństwo brytyjskie czeka na konceptualizację tego pomysłu, który może powieść się pod pewnymi warunkami, a za warunek pierwszy uznajemy jego europejskość”. To znaczyło, że chcą pozostać w Unii. Dobrze, znakomicie. „Warunkiem, drugim jest wyraźne zadeklarowanie tymczasowości tego organu i zobowiązanie się do jak najwcześniejszego

rozpisania wyborów parlamentarnych i prezydenckich po wyjaśnieniu nader skomplikowanej sytuacji wewnętrznej wspólnoty”.

To oświadczenie było jasne, czytelne, spodziewane. Anglicy już nie są przekonani, tak jak dziesięć lat temu, że dadzą sobie radę sami, zbyt mocno wmontowali się w mechanizmy gospodarki europejskiej.

- Jeszcze grożą, że mogą się odłączyć, licząc pewnie na Amerykanów, ale te groźby mają charakter trochę zbyt dyplomatyczny by brać je poważnie pod uwagę - mówił trochę do siebie Angelo, wyraźnie w lepszym humorze.

Ta wiadomość zatarła złą pamięć po Iwanach. Na wszystkich twarzach pojawiły się krzywe uśmiechy.

- Stara angielska szkoła. - Nikt nie ośmielił się zabrać głosu bez zgody czy zachęty Angla, on stawał się jedynym komentatorem tych zawodów, w których pojawiła się szansa wygranej. - Czekają teraz na Amerykanów, ale tych mamy w garści. Musimy jednak poczekać, u nich teraz sam środek nocy. Spytaj czy nie mają jeszcze czegoś ciekawego.

Po pytaniu Beaumonta usłyszeli odpowiedź:

- Mamy już lokalną Warszawę, Rzym, Budapeszt i Madryt. Wszystkie stacje retransmitowały tekst proklamacji i opatrzyły je swoimi komentarzami, bez wyjątku popierającymi stworzenie Rady Ocalenia.

Teraz raczył wydać polecenie sam Angelo.

- Przetłumaczcie komentarze jeżeli trzeba i podrzućcie nam teksty.

- Tak proszę pana, za dziesięć minut.

Nie przestając chodzić po gabinecie, Angelo mówił jakby do siebie, co zdarzało mu się coraz częściej:

- To nas mniej interesuje. Teraz mamy czekać na zielonych, Amerykanów i Japończyków, ale ci ostatni są cierpliwi a przez to i mądrzejsi. Zaczekają tak samo jak ich źółci sąsiedzi. I jak to na razie wygląda, panowie?

- Czy naprawdę uznanie Amerykanów jest nam tak potrzebne? spytał Hertz, nieco zagubiony w tym politycznym galimatiasie.

- Potrzebne? O co ty pytasz, do diabła? Nie możesz zrozumieć, że to oni dają nam legitymację do działania? Do każdego działania. Jeżeli zagazujemy parę setek szczeniaków, zrobimy to za ich pośrednią zgodą, pojmujesz?

Hertz skwapliwie przytaknął ruchem głowy, ale miał mocno mętłą minę.

- Myślę sobie, że byłoby lepiej gdyby w komunikacie znajdowało się trochę więcej konkretów Angelo, więcej znanych nazwisk - odezwał się Kreutzer. - Ja jednak

zaryzykowałbym z Cameyem, facetami z YP. Wiem, że trzymasz u siebie jakiegoś Kerseya czy mu tam... - Kreutzer zwrócił się do Beaumonta: - Je ci z ręki jak piesek pokojowy.

- Ten stary pomyleniec? Przecież on prędzej nadaje się do zakładu dla czubków!

- Dość! - przerwał ostro Domenici, pamiętający swoje rozmowy z synem. - My wszyscy żyjemy w jednym wielkim zakładzie. Henryk ma rację. Ten Kersee ma nazwisko, które znają miliony. Wysonduj go, a gdyby się stawiał postrasz.

- Panie dyrektorze - znów przerwał im brzęczyk i głos technika.

- Mamy stację armijną GreenNet. Zaraz nadadzą wywiad z Donovanem.

- Przełączcie natychmiast i pilnujcie Amerykanów! - krzyknął rozgorączkowany Domenici. To był punkt krytyczny. Wojskowi już wiedzą jak zareagowali Rosjanie...

W tej samej chwili na ekranie ukazało się skromne wnętrze studia wojskowego. Z dwu stron ekranu ku stolikowi zbliżali się dwaj żołnierze, Donovan i młody oficer w stopniu majora, pewnie ich dziennikarz. Dobrze znali nieżyjącego Torensena, Donovan natomiast był człowiekiem z głębokiego cienia, wypłynął po wybuchu. Zdawał się zawodzić wszystkich, od swojej armii aż po tak zwanych szarych obywateli. Prezentował się całkiem nieźle, ale co z tego? Mięczak, który odpuścił po tej historii z lotniskowcem.

Cała czwórka zamarła, pochłaniała słowa i gesty obu wojskowych w polowych mundurach. Nikt nie zauważył, że młodszy nie uznał za stosowne przedstawić się widzom, jakby był wielką gwiazdą i dlatego niewielu widzów wiedziało, że tym drugim jest Lussac, który za namową Donovana zdecydował się rozegrać tę partię z generałem głównie na użytek mafii.

- Panie generale Donovan - odezwał się prowadzący wywiad - przed niespełną godziną stacja Europe I nadała komunikat specjalny, który bez wątpienia jest wydarzeniem dnia, szeroko komentowanym na całym świecie. Czy podjęcie takiej próby jest dla pana zaskoczeniem?

- Nie. Spodziewaliśmy się, że takie próby o zasięgu lokalnym czy nawet europejskim pojawią się wcześniej w tej próżni wywołanej wybuchem. Obawialiśmy się jednak o udane próby lokalne, obawialiśmy się, że sytuacja przypomina tę po rozpadzie rzymskiego imperium czy nawet Związku Radzieckiego. Byłoby ogromnie trudno przeciwdziałać takim próbom, a myślę tu o przeciwdziałaniu politycznym, nie militarnym.

- Swojego czasu ta sama sieć oskarżała armię o próbę dokonania zamachu stanu, kiedy wojsko próbowało spacyfikować kilka miast. Czy armia rzeczywiście chciała wypełnić tę próżnię?

- Po raz któryś z rzędu powtarzam, że była to samowola dowódców jednostek

terytorialnych, za którą zostali ukarani zgodnie z regulaminem, bo nie brali pod uwagę determinacji szantażystów.

- Czy traktuje pan poważnie ten szantaż i jaki ma charakter?

- Po zniszczeniu „Victoriousa” i „Lejdy” muszę traktować go poważnie i to chcę dać do zrozumienia tym, którzy szantażują. Nie chcę mówić o charakterze, bo to groziłoby psychozą. Proszę nie naciskać. Powiem tyle, że armia, którą dowodzę spełnia jedynie konstytucyjny obowiązek i strzeże nienaruszalności granic, a robi to dobrze jeśli udaremniła kilkanaście poważnych prób ich naruszenia, o czym nie informują dawne stacje państwowe a przede wszystkim Europe. Armia pozostaje w pełnej gotowości bojowej i jest tak silna, jak dawniej.

- Przechodząc do rzeczy zapytam, jak pan ocenia treść komunikatu o powołaniu Rady.

- No cóż, jest szalenie ogólnikowa. Zdawać by się mogło, że intencje jej animatorów są szlachetne, ale zna pan przysłowie o diable który ubrał się w ornat i ogonem na mszę dzwoni? Cenię sobie tą próbę za jej europejskość, jest ona bardzo potrzebna nam wszystkim, jednak treść odezwy nie w pełni nas zadowala.

- Panie generale, autorzy komunikatu wzywają armię do posłuszeństwa Radzie Ocalenia. Na ile poważnie można traktować wezwanie?

- Dla mnie autorami komunikatu są ci, którzy sprawują kontrolę nad cywilnymi mediami i których poważnie podejrzewamy o ten szantaż. Nie wiemy dobrze kim są i jakie cele stawiają przed sobą, gdyż do tej pory nie raczyli szukać dróg do nas, nie starali się przekonywać, że są partnerami dysponującymi podstawowymi atrybutami, siłą, autorytetem i czystymi intencjami. Samo wezwanie do posłuszeństwa waży tyle ile słowa, które są jak wiatr. Pan wie, że ze śmiercią prezydenta zostały doszczętnie rozbite struktury podległości i zależności między instytucjami państwowymi, armię zaś pozostawiono samej sobie. Nie liczymy na rychłe wybory, które przywrócą dawne struktury i umożliwią nam zwykłe funkcjonowanie w społeczeństwie. Sytuacja jest zbyt zagmatwana. Powiedziałem, że nie liczymy się z tym, ale poważnie liczymy się z koniecznością rozwiązania armii ze względu na brak wszystkiego, co umożliwia nam istnienie. Niektóre jednostki już zostały rozwiązane. Niby dalej jesteśmy ramieniem państwa, ale czy widział pan trupa, który ma żywą rękę? Już słyszę rady, by ześrodkować siły w jednym regionie Europy, ale to by było zwykłe kondotierstwo, chociaż w imię przetrwania.

- Za jakim scenariuszem wydarzeń byłby pan skłonny się opowiadać? Sytuacja jaką pan kreśli jest nie do przyjęcia, rozwiązanie armii byłoby tożsame z zawładnięciem Europą przez jakąś obcą siłę. Wojny już niby nie są podstawowym środkiem polityki ale to nie

znaczy, że nie mogą stać się nim na powrót.

- Zakładamy istnienie stanów pośrednich przed powrotem do tak zwanej normalności. Może ten dzisiejszy fakt to pierwszy krok do takiej normalności? Bez niej stanie się tak, jak pan mówi. Wejdą tu obcy. Bez uzupełnień w uzbrojeniu, bez aprowizacji nie przetrwamy trzech miesięcy.

- Czy oznacza to, że wyklucza pan interwencję armii mającą na celu pacyfikację sytuacji w Europie?

- Zdecydowanie tak ze względu na możliwości szantażystów, ale nie tylko dlatego. My nie przekroczymy norm konstytucji.

- Na czele Rady Ocalenia Europy stanął Angelo Domenici. Jak na razie nie ma innych nazwisk. Co pan sądzi o tej postaci?

- Nie znam osobiście pana Domenici, natomiast wiele słyszałem o jego działalności przemysłowej oraz pozaprzemysłowej i wiem, że jego wpływy na życie Europy były zawsze ogromne. Plotki głoszą, iż był zamieszany w zniszczenie parlamentu, ale nie chcę komentować zwykłych plotek. Oznajmię swoje zdanie wtedy, kiedy zbierzemy dowody.

- Wiemy już, że nie zamierza pan respektować tego wezwania Rady Ocalenia do posłuszeństwa. Jak więc zachowa się armia?

- Nie pozostaje nam nic innego, jak czekać na rozwiązanie jakie zaakceptuje znacząca część społeczeństwa. Do tego czasu będziemy robić swoje.

- Dosłownie przed chwilą Rosjanie dobitnie powiedzieli, co myślą o takiej próbie. Jak pan ocenia ich stanowisko?

- Rosjanie mogą sobie pozwolić na szczerą, my nie, panie majorze.

Trwało to dziesięć pasjonujących minut, czas jakże długi, pełen oskarżeń i obietnic.

- Na świętego Januarego, ni cholery z tego nie pojmuję - mówił zauroczony Kreutzer. - O co on nas oskarża? Porąbało mu się, czy co? My i atomówki? Nie mówi „tak”, nie mówi „nie”. Istna dziewica konstytucyjna. Angelo, ja sam nie wiem co jest grane, ale odnoszę wrażenie, że on chce iść na kompromis jak tylko wyjaśnimy, że to nie my. Skąd mu to przyszło do łba?

- To nie będzie proste ale da się zrobić tak, żeby nie wyszły na jaw szczegóły kontraktu. Trzeba nad tym pomyśleć i to szybko. - Domenici tego się naprawdę nie spodziewał. Donovan myśli, że on wszystko zaplanował od początku do końca i może tak myśleć, jasne, że może.

- Nie spodziewałem się, że oni ledwie dyszą - kręcił głową z niedowierzaniem Hertz. - Czy to prawda?

- Jeżeli nie cała to połowiczna, a połowiczna to też prawda. Pierwszą legitymacją dla Donovana będzie przekonanie go, że to my mamy atomówki, ale nie możemy mu rzucić Golda, bo on nas pogrąży o ile przedtem nie naciśnie guzika. To jedna ścieżka działań, a druga to szukanie najlepszych ludzi do Rady Ocalenia. Uruchomimy wszystkich naszych prawników, dziennikarzy, niech szperają, szukają nawet w gabinetach figur woskowych. Znane nazwiska, autorytety, trzeba nam takich. Musimy odtworzyć dawne struktury samorządowe, odbudować telekomunikację, zająć się tym wirusem, który paraliżuje sieci komputerowe - mówiąc to Angelo odkrywał własną niemoc.

To nieprawda, że wziął władzę leżącą na ulicy. Dopiero schylił się po nią, przyjrzał bliżej temu co leży w błocie i odkrył, że to jest cholernie ciężkie, nieporęczne, brudne. Odkrył, że jest sam. Jeżeli ma podnieść ten ciężar musi dogadać się z Goldem, Carneyem. Tylko z ich pomocą odbuduje system, który jest bardziej skomplikowany niż sądził. Ale jeżeli odbudują, wtedy wróci na dawne miejsce, tamci już mu nie zawierzą.

- A może byśmy spróbowali kompromisu z YP? - spytał nieopatrnie Hertz i natychmiast pożałował tego, bo reakcja Angela była gwałtowna.

- Nigdy! Nigdy, słyszysz?! Nawet mi o nich nie wspominajcie. Musimy ich wykończyć z całą bezwzględnością!

- Panie dyrektorze - rozległo się z interkomu - właśnie otrzymaliśmy tekst oświadczenia sekretarza stanu Binghama, który wygłosił je na konferencji prasowej. Pokaże się w sieciach telewizyjnych rano.

- Przyślijcie natychmiast w czterech egzemplarzach - polecił jeszcze wzburzony Domenici. Wizja roboty cięższej niż wszystkie prace Heraklesa na dobre wytrąciła go z równowagi. Zdrowy rozsadek podpowiadał, że taka próba nie ma sensu.

Milczeli aż do czasu, w którym goniec w asyście goryli przyniósł dokumenty razem z aneksem. Angelo przebiegł oczami tekst i czuł przyływ energii. Triumfował, o tak, triumfował. To było dobrze znane uczucie sprawiające, że życie nabierało pełni. Uprzednie wątpliwości zaczynały niknąć. Sekretarz stanu potężnego państwa traktował go niemal z uniżonością, krygując się jak lokaj, prosząc o wniesienie pożądanых przez niego korekt. Kuzyni zza oceanu są warci należnego im szacunku, a kiedy przyjdzie czas otrzymają sowitą zapłatę.

Potem raz jeszcze zaczął uważnie czytać tekst oświadczenia: „Stany Zjednoczone Ameryki, pomne długotrwałych więzów przyjaźni i współpracy, z troską i niepokojem śledziły przebieg wydarzeń w zjednoczonej Europie. Dzieliliśmy się bólem tak jak teraz dzielimy się nadzieją. Przez półtora miesiąca czyniliśmy wiele gestów pod adresem państwa

Europejskiego nie otrzymując żadnej odpowiedzi, bo wówczas nie miał kto odpowiedzieć. I oto wreszcie, w nocy naszego czasu oficjalna stacja telewizyjna przekazała informację o pierwszej poważnej próbie stabilizacji sytuacji europejskiej. Przeciw chaosowi wystąpiła grupa osobistości z poważnym przemysłowcem i politykiem Angelo Domenicim i w sytuacji ogólnej bierności i niemocy grupa ta wzięła na siebie cały ciężar walki z rozpasaną anarchią, którą sami dobrze pamiętamy sprzed tygodni. Stabilna, potężna Europa jest potrzebna nam wszystkim do zrównoważenia sił między Północą a Południem, jej powstanie leży w jak najlepiej rozumianym naszym interesie. Uczynimy wszystko co w naszej mocy, by zachować jej całość, gdyż Europa plemienna mogłaby stać się zarzewiem nowych konfliktów, nowych walk o strefy wpływów, które tak dobrze pamiętamy ze smutnych lat dziewięćdziesiątych i pierwszej dekady tego wieku, a winniśmy pamiętać o tym, że europejski tygiel jeszcze nie ostygł. Z upoważnienia prezydenta Hodgesa ogłaszam wolę niesienia jak najszerszej rozumianej pomocy powstającemu rządowi europejskiemu, gdyż z innych źródeł wiadomo nam, że trudnej misji stworzenia Rady Ocalenia Europy podjęli się ludzie godni najwyższego szacunku, dający gwarancję powodzenia tego zadania. Będziemy z uwagą i życzliwością śledzić postępy demokratyzacji, postępy w odrodzeniu gospodarczym, mając nadzieję, że stosunki między odrodzoną Europą a Stanami Zjednoczonymi Ameryki będą tak silnie i owocne, jak w minionych dziesięcioleciach. Naszą determinację umacnia stanowisko Rosji, w której ożywają imperialne nastroje. Nie możemy pozwolić na restaurację świata dzielonego żelaznymi kurtynami”.

- Czy macie jakieś uwagi do tekstu komunikatu? Jeżeli macie możecie je wnieść i odesłać z korektami - pytał pro forma Angelo i prawie od razu odpowiedział za siebie i za nich, maleńkich teraz słamszonych. - Bo moim skromnym zdaniem niewiele tu można dodać i nic ująć. Zauważyliście? Proponują nam nawet pomoc wojskową, ale z tej na pewno nie skorzystamy, czasy NATO minęły bezpowrotnie a o innych formach ewentualnej pomocy możemy pomyśleć później. Ciekawe, co na to Iwan.

- Ale chyba nie odmówimy im bezpośrednio? - zapytał niepoprawny Hertz.

Domenici skrzywił się z niesmakiem.

- Oczywiście nie - odpowiedział krótko, zdecydowanie. - Nie mówimy im niczego, a przynajmniej na razie, kiedy jesteśmy w dołku. Ale teraz panowie, starczy nam tego co mamy. Przede wszystkim mamy legitymację międzynarodową do zdecydowanych działań w celu uspokojenia chaosu. O Rosjan nie musimy się martwić, to oni przyjdą do nas z prośbami, nie my do nich. Po tym, co usłyszą z Waszyngtonu, rura im na pewno zmięknie. Musimy tylko zrobić to wszystko zdecydowanie, a przede wszystkim skutecznie, bo nie mamy tak

wiele czasu jak sobie myślicie. Ten Donovan dał mi wiele do myślenia. Jeżeli armia zacznie się rozpadać, to i my zaczniemy balansować na cieniutkiej nitce. Musimy mieć, czuć za sobą tę zieloną ścianę a to znaczy, że konieczny jest kompromis z Goldem. Niestety.

W tej nocy, pełnej ciszy i niemego krzyku, był samotnym przygarbionym piechurem wypatrującym płaczących okien w nieprzeniknionej ciemności. Długa, jakże długa to noc dla samotnego wędrowca. Chris raz jeszcze mierzył swoją prostą drogę od Drommond, idąc nią po raz któryś i po raz któryś prowadziła donikąd. Znikąd donikąd. Zawodził się na sobie, zawodził innych, zawodził na innych. Był tylko niepotrzebnym, niechcianym symbiontem, jakąś jemiołą, pchłą może, był intruzem z obcego, sztucznego świata. Czuł tę obcość nawet tu, w pustym pokoju niepotrzebnego, porzuconego domu pośrodku miasta. Ta droga kończyła się właśnie tutaj, początek nowej ginął w przepastnej, kleistej ciemności. „I szedł, jakby już nie było powrotu” - powtórzył w myślach słowa Jacka Kersee.

Już mniej przerażała własna apatia, ona powoli stawała się stanem prawie naturalnym. To miało oczywisty związek z adrenolem, tym płynnym, wspaniałym, boskim przekleństwem. Nie sięgał jednak do szwu, musiało mu starczać serum Stawsky'ego.

Nieludzko zmęczony, zobojętniały na myśl, że nie obroniłby się nawet przed dzieckiem, znów uciekał marzeniami w nocie długich traw nad jeziorem. Tam kryły się jedyne drobiny szczęścia, jego szczęścia. Tam i wtedy umiał czuć radość i ból. Tam był jak inni.

Zaraz po przyjściu tutaj zabezpieczył się prymitywnym alarmem z garnków i sznurka przymocowanego do klamki. Znów za sprawą nawyków wpajanych im przez lata. Pamiętając o ostrożności nawet sedes opłukiwał wodą z garnka zamiast z czynnego rezerwuaru. Musi przeżyć te dni by dowiedzieć się, po co je przeżywał, musi poznać prawdę choćby była najgorsza.

Zasnął na krótko mimo zwykłych ech miasta, strzelaniny, dalekich krzyków. To był mocny, krzepiący sen, taki jak po seansach w laboratoriach Hartenbergu, po tomografii pozytronowej i wożach radioaktywnych drobinek po mózgu obserwowanych przez zaaferowanych neurofizjologów. Nawet przez sen dokonywał selekcji dobiegających z zewnątrz dźwięków. „Sztuka pamięci ma was nauczyć rejestrowania tylko tego co ważne, co kiedykolwiek może być ważne i eliminowania całej reszty, bo jednak są rzeczy nieważne”.

Rano, tuż po szóstej, poczuł autentyczny głód i to czysto fizjologiczne doznanie ucieszyło go, odsunęło pytania i wątpliwości, zwiastowało powrót do siebie jakiego nie znał. Zrobił sobie następny zastrzyk antidotum i zabrał się do jedzenia. Łapczywie jak nigdy

wchłonął zawartość puszki. Zrobi to, zrobi nawet na przekór sobie, a potem niech się smaży w piekle dla maluczkich. Teraz byli ważni dwaj ludzie - ten, który czeka na niego i Domenici. Łowca czeka z pewnością. Nieważne kto to będzie, wszyscy byli ulepieni przez tego samego garncarza, myśleli i działali podobnie, wszyscy mieli ten cholerny syndrom Golda. Na miejscu myśliwego Chris czekałby tu, w okolicy, bo to najlepszy punkt dla człowieka z detonatorem. Tak więc łowca zaczai się tutaj i nietrudno będzie go odnaleźć. Nie zacznie się zastanawiać dlaczego poluje. Zabij Ivora - ten nakaz będzie go rozsadzał, wibrował w nim, a on uczyni wszystko by się wyładować.

Maksymalna odległość, z jakiej można było zdetonować implozyw wynosiła tysiąc metrów na otwartej przestrzeni, w labiryncie miasta nie więcej niż trzysta. Wróg będzie w odległości trzystu metrów czekać na sygnał rozpoczęcia polowania, a rozpocznie je dopiero po wybuchu w banku, nie wcześniej. Wtedy ruszy przekonany o przewadze zaskoczenia, promienny, pewny siebie. Wierzący w misję, jaką będzie zabicie zdrajcy. Nauczyciele skrupulatnie dbali o to, by nie połączyły ich żadne uczucia, już wtedy mieli swoje ukryte zamiary. Wrogość, nienawiść, śmierć, śmierć, śmierć dla słabszych. Słabość rodzi zło, siła dobro. Tylko silni mogą być dobrzy. Prawdy Bretsona przeciw prawdom Razzolego. Żołnierz przeciw etologowi.

W tym opuszczonym, splądrowanym mieszkaniu była broń. Chris znalazł ją już pierwszego dnia, przeglądając niezupełnie opustoszałe szafy. Nie zauważał wtedy przydatności rzeczy. Stary płaszcz sięgający kolan, równie stary męski kapelusz, ciemne okulary przeciwsłoneczne. Jak kostium jednego z bohaterów filmów wideo Torny Lennona. Przyglądając się sobie w nadtłuczonym lustrze łazienkowym, Chris patrzył z niedowierzaniem na obcą postać. Nie poznawał siebie. Zrzucił płaszcz i kapelusz, kawałkiem mydła potarł brodę i policzki. Nawet się nie zaciął przy goleniu. Zostawił rzadkie, jedwabiste wąsy, oplukał twarz i przebrał się na powrót związując włosy pod kapelusz. To proste przebranie było po prostu doskonałe. Jeżeli jeszcze zarzuci na ramię torbę znalezioną na pawlaczu będzie wyglądał jak jeden z setek śmieciarzy, kloszardów tego świata, pokornych zbieraczy odpadków dla których szkoda nawet kuli.

Była już pełnia czerwcowego, słonecznego ranka. Za jakiś czas dowie się czym jest ta prosta pułapka. Z okna widział fragment frontonu banku, niemal całą szerokość ulicy, umykał mu tylko chodnik po przeciwległej stronie. Kładąc detonator na parapecie przyjrzał się raz jeszcze oknom naprzeciwko. Nie ryzykował jednak odsunięcia zasłon, nieopatrzny ruch mógł zmienić wiele. Stojąc przy ścianie odchylił delikatnie zasłonę z boku. Nic niezwykłego. Chodnikiem snuła się skulona stara kobieta. Potem dwójkami przemknęło przecznicą sześciu

uzbrojonych mężczyzn. Coś zaczynało się dziać.

Czekał. Zdekoncentrowany i cierpliwy jak wyłączony automat. Nie myślał o niczym, rzeka czasu płynęła obok. Nagle w ułamku sekundy stał się cięciwą łuku, naciągniętą sprężyną, głodnym myśliwym czującym łup. Ogarnęła go wielka radość.

Na chodniku w pobliżu banku zobaczył grupę jednakowo ubranych mężczyzn, czujnych, z karabinami zwróconymi ku drugiej stronie ulicy. To oni, egzekutorzy Korobkowa, skuteczni, zimni, zagadkowi. Nie poczuł nawet śladu emocji na widok drugiej grupy. Ci nieśli jakieś pakunki, pudła, prowadzili ze sobą dwa psy, pewnie szkolone w wykrywaniu materiałów wybuchowych. Zjawili się po to, by raz jeszcze przeszukać budynek. Tak powinno być. Po minucie doszły go stamtąd stłumione odgłosy strzelaniny. Było tak, jak być powinno. Inna grupa, której nie zobaczył, przeszukiwała domy naprzeciwko i pewnie pacyfikowała je po swojemu, zabijając przypadkowych lokatorów. Doskonale znali swoją robotę i ta ich perfekcja też była gwarancją, że nie zabłądzą aż tutaj. Z tego miejsca nie można zagrozić bankowi ani VIP-om, których osłonią zwaliste ciała ochroniarzy, a może tarcze policyjne czy inne środki ochrony.

Nie zbliżyli się nawet na pięćdziesiąt metrów do jego kryjówki, nie wykryli go detektorami ciepła. Wysypali się z budynków po pół godzinie. Było ich ze czterdziestu, karnych jak nakręceni grenadierzy małego militarysty. Widział jak odbierają rozkazy i znów rozsypują się po obu stronach ulicy, przypadając do ścian by zostać tam w pełnym pogotowiu, z palcami na spustach. Kilkunastu weszło do wnętrza budynku. Gładka ściana frontowa z pancernymi szybami nie otwieranymi ani z zewnątrz, ani do wewnątrz nie zainteresowała ich, nie budziła podejrzeń. Tak właśnie miało być.

Na jakiś czas ponownie zapanowała martwota. Ocknął się znowu słysząc daleki ale charakterystyczny warkot silnika. Przed budynek wybiegło ośmiu mężczyzn w kombinezonach. Minęła jeszcze minuta i wtedy zobaczył śmigłowiec. Wążka, jakich zwykle używano w Hartenbergu, jaki sam kilka razy pilotował. To już wyglądało dziwnie. Wiedział tylko tyle, że tego dnia około południa ma się tu odbyć spotkanie Domeniciego z kimś, nie wiedział jednak z kim. Wążka opadała między ściany budynków i wreszcie płozy dotknęły asfaltu. Uniósł do oczu lornetkę i zobaczył wyskakującego z maszyny młodego mężczyznę w garniturze, a za nim - profesora Topfera. Chyląc się przesadnie pod wirującymi łopatami rotora, Topfer szedł w kierunku drzwi banku. Więc to on miał być przynętą i ofiarą zarazem, to dlatego Gold miał pewność, że spotkanie dojdzie do skutku, sam je przygotował i pewnie obiecał, że będzie tu osobiście. Chris myślał o tym z zupełną obojętnością. Topfer zasłużył na śmierć i umrze, umrze za późno, a żadną satysfakcją nie będzie to, że zabije go jego królik

doświadczalny. Chris czuł tylko cień goryczy, że robi to na rozkaz Golda i dla Golda.

Znów minęło pół godziny, zanim coś zaczęło się dziać. U widocznego wylotu ulicy pojawił się bojowy wóz piechoty typu Gepard jeszcze jedna ze wspaniałych, męskich zabawek, godna samego Domeniciego. Nie miały się go nawet lasery bojowe i bomby elektromagnetyczne. Wóz skręcił ze swoistą gracją tuż przed bankiem, ustawił się tyłem do drzwi i zaczął powoli cofać, z łatwością pokonując parustopniowe schodki w szpalerze uzbrojonych ludzi. Po prostu dojechał do samych drzwi i pasażerowie mogli już bezpiecznie przejść do wnętrza. Chris Ivor nie dostrzegł, ilu ich było. Spojrzał na zegarek i zaczęło się odliczanie ostatnich minut życia kilku ludzi. Postanowił poczekać dziesięć, tyle zalecała instrukcja. Będzie posłuszny.

* * *

Angelo opuścił wóz jako trzeci po swoich ochroniarzach, za nim gramolili się Hertz i Kreutzer. W obszernym hallu czekali emisariusze Golda. Zbliżył się do nich. Był zwycięzcą, a podobno tacy bywają wspaniałomyślni, najczęściej w filmach. Miał w ręku atuty, którymi dobije tych przemądrzałych jajogłowych wciąż marzących na jawie. Mieli nadzieję, że to on przygotuje grunt dla ich utopijnego społeczeństwa bez narkotyków i oniryków. Co za żałośni głupcy! Tak żałośni, że nawet wykołowanie ich nie jest wielką frajdą.

Ani słowem nie przeprosił za upokarzającą kontrolę osobistą, choć nie była potrzebna, przenośne detektory prześwieciły ich na wylot.

- Pan profesor Topfer? Ogromnie, ogromnie cieszę się z tego spotkania - ścisnął szczupłą, nerwową dłoń lekarskiej sławy, nie zwracając zupełnie uwagi na pozostałych dwóch, trzymających się z tyłu. Pewnie jacyś prawnicy. Całkiem nie na miejscu. Znajomość tamtego prawa nie jest atutem, lecz obciążeniem.

- Ja niemniej, panie Domenici. Spotkanie z panem to ogromny zaszczyt dla mnie.

Wyświechtane grzeczności wcale a wcale im nie przeszkadzały. Takie słowa mówi się odruchowo, to coś takiego jak wytarcie butów o wycieraczkę. Wzajemna nieszczerłość, wyczuwana przez obie strony, określała konwencję tego spotkania.

- Oto moi współpracownicy, panowie Hertz i Kreutzer - prezentował Domenici swoich skrzywionych w grymasach paladynów. - Jako pełnoprawni członkowie Rady Ocalenia Europy będą mnie wspierali w rozmowie z panem. Sądziłem, że pojawi się osobiście profesor Gold ale zapewne ma pan jego pełnomocnictwa, profesorze?

- A także list do pana od profesora Golda. - Topfer wręczył mu prostą, skromną kopertę. On także miał chwilę satysfakcji, kiedy jeden z goryli mafiosa pół minuty badał

zwykłą kopertę. Bali się! Po prostu się bali!

- Dziękuję, zaraz przeczytam, ale proszę, proszę, wejdźcie panowie do windy. Paul, Henryku, bądźcie łaskawi towarzyszyć panu profesorowi - polecił Domenici z fałszywym uśmiechem.

Teraz, po tym oczywistym zwycięstwie uważał, że nie może ryzykować swojego cennego życia, a nawet wspólny pobyt w windzie był jakimś ryzykiem. Może coś groziło ze strony tych dwóch niby prawników, a może jakiegoś nowego, diabelskiego wynalazku? Owszem zostali prześwietleni, przeszukani ale ich pomysłowość jest dobrze znana. Dowiedział się, że jeden z ochroniarzy o palcach artysty wyczuł w szwie marynarki Topfera coś jak ziarenko pszenicy. Detektor. Potwierdził, że to miniaturowy nadajnik. Tym lepiej, Gold będzie informowany na bieżąco. Tajemniczość Golda nawet bawiła czasami. Pewnie w dzieciństwie zaczytywał się bzdurnymi powieściami i dlatego chce być jak hrabia Monte Christo. Jeszcze dziś będzie wiadomo, gdzie się kryje. Niedawno nie było to ważne, dziś tak. Domenici z trzema goryłami wjechał po chwili na górę, czytając w drodze list Golda. Najpierw zjadliwe gratulacje dla zbawiciela Europy, potem propozycje kompromisu nie sięgające jednak wystarczająco daleko i delikatny szantaż możliwościami unieruchomionego koncernu. Ani słowa o atomowym gównie. Pewnie Gold czekał z tym na inną okazję.

W sali konferencyjnej banku jego wysłannicy poczuli się jak w więziennym pokoju widzeń. Pilnowało ich aż pięciu ochroniarzy z bronią gotową do strzału i nie wyglądało na to, że ci pretorianie będą pomocni w rozmowie.

- Szanowny panie Domenici, panowie... - Topfer wyraźnie nie wiedział, jak zacząć w takim otoczeniu. - Przybywam tutaj z delikatną misją zażegnania nieporozumień, jakie narosły między pańską organizacją a nami. Z pewnością źle służą obu stronom i całej Europie. Z pewnością jest możliwy jakiś kompromis dla dobra wszystkich, przy założeniu dobrej woli obu stron.

- Ależ drogi panie profesorze, chętnie wysłuchamy każdej rozsądnej propozycji. Wiem, że jesteśmy sobie nawzajem potrzebni i możemy ponieść ten ciężar razem. Nie jest on lekki ani zbyt godny - zauważył z ledwo słyszalnym sarkazmem Domenici. Jeszcze nie wspomniał o najważniejszym, niech sobie nie myślą, że zależy im na tych paru miastach. Parę atomówek to nie koniec świata.

Dziwił się, że Gold przysłał taką miernotę. Jego groźby są przecież śmieszne. Ten „zbawca świata” zagrał skutecznie z armią, niszcząc im lotniskowiec, ale nie robi tego czym grozi. Po Lejdzie i tak jest skończony nawet u stuprocentowych odlotowców. Już stał się zbrodniarzem tysiąclecia, lecz dalej się nie posunie. W tym liście obiecuje ujawnienie tekstu

porozumienia. Co za głupota! Wystarczy wyprzeć się wszystkiego. To nie oni wypuścili diabły z pudełka, nie oni niszczyli metodycznie całą infrastrukturę. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent komputerów nie nadaje się nawet do pasjansów, a telefonia komórkowa? Była taka wygodna... Dysponując technologiami EIA mogli podsłuchiwać kogo chcieli i kiedy chcieli, a teraz trzeba zacząć hodowlę gołębi pocztowych. Pisze o tym, że potrafią zniszczyć wirusa i szybko uruchomić zakłady robotyczne. Bzdura, robotycy Domeniciego są już bliscy rozwiązania tych problemów. Mimo wszystko trzeba uważać, ustępować.

- Jesteśmy skłonni odstąpić od pierwotnych warunków umowy i oddać waszej organizacji cały przemysł i dystrybucję dóbr, co naszym zdaniem zapewni wam zyski na poziomie podobnym do uprzedniego - recytował jak wyuczoną lekcję Topfer. - Skłonni jesteśmy gwarantować tę stopę zysku i zwiększyć liczbę tek w gabinecie dla pańskich ludzi, ale nie odstępimy od zamiaru otrzeźwienia społeczeństwa. To jest po prostu konieczne, panie Domenici.

- I profesor Gold, i pan wiecie doskonale, że bez nas wszystko wyglądałoby inaczej i że bez nas nie zrobicie nawet kroku. Dlatego trzeba radykalnie zrewidować te warunki, mając na uwadze i to, że nasza Rada została oficjalnie uznana przez liczące się podmioty międzynarodowe, panie profesorze. - Domenici kierował te słowa do Golda. Ustępstwa muszą mieć granice. Idealiści chcą wyrugować z rynku narkotyki i oniryki, marzą o „zdrowym, normalnym społeczeństwie”. Zapominają tylko o jednym, te społeczeństwa wcale nie chcą być normalne. Będzie musiał poudawać demokratę i za jakiś czas zaproponować rozwiązanie naprawdę demokratyczne. Powie Goldowi, że wybór musi należeć do większości, i już.

- Tak, wiemy doskonale, panie Domenici, ale i pan wie, że bez naszej pomocy i współpracy nie uda się panu łatwo zrekonstruować tej zwałonej budowli. My w ciągu miesiąca możemy uruchomić przemysł robotyczny, odbudować system finansowy, odblokować sieci komputerowe.

- Proszę przekazać profesorowi naszą zgodę na kompromis, ale nie taki, jaki sobie wyobrażacie. Myślę, że powinniśmy spotkać się w połowie drogi, wyjaśniając najbardziej pilną sprawę. Może...

* * *

Chris Ivor wcisnął guzik detonatora. Sekwencja sygnałów radiowych wyzwoliła diabelską energię implozywu. Potężny, niewyobrażalnie silny podmuch zmienił ludzi w krwawe ochłapy. Siły implozji nie mogły wytrzymać dębowe drzwi ani ściany, które runęły po oporze trwającym tysięczną część sekundy. Wtedy runął dach, siła implozji w tej fazie

była tak wielka, że tytanowe ściany złożyły się jak domek z kart.

Chris poczuł drżenie ziemi. Zadanie było wykonane. Niespiesznie przygotowywał się do wyjścia choć wiedział, że po chwilach paniki zacznie się działanie na oślepi i pewnie zaroi się tu od ludzi strzelających do wszystkiego, co się rusza. Wyglądając ostrożnie przed dom zauważył, jak zbiegają się egzekutorzy. Potrzebują trzech minut na przyjrzenie się rumowisku i porozumienie z centralą. Potem zaczną działać.

Myśliwy czeka z południowej strony miasta, tam gdzie prowadziła jego droga. Czyżby to był ten instynkt ofiary, o jakim mówił Razzoli? Być może. Podpowiadała to też logika. Część północna miasta była zdominowana przez mafię, myśliwy nie powinien wejść między młot a kowadło. Najpierw tu a dopiero potem zacznie go szukać na oślepi, z zimną determinacją. Chris wybrał drogę prowadzącą na południe. Ucieczka nie może trwać długo, on nie potrafi uciekać, być ofiarą.

Chciał stanąć twarzą w twarz z Karstenem, Jorgiem czy Stevenem po to, by zabić albo uratować. Tak, uratować. Chciał, by poza Denitem stanął przy nim ktoś trzeci. Zwyciężył pokusę wstrzyknięcia adrenolu. Musi mu wystarczyć serum, sam sobie musi starczyć, taki jaki jest.

Szedł, starając się wyglądać jak spłoszony śmieciarz. Myśliwy nie musi znać zwyczajów miasta. Zawinięte rondo celowo zdeformowanego kapelusza pozwalało na ogarnięcie perspektywy ulicy, okien, dachów, zaułków, drzew. Tysiące miejsc i dziesiątki sposobów. Kula, bełt z kuszy, strzałka paraliżująca, a może walka wręcz? Wniknął w pierwszą z brzegu klatkę schodową, słysząc warkot nadlatującego z zachodu śmigłowca. Chyba zapanowała panika. Ta maszyna była potwierdzeniem udanego zamachu.

Znów szedł. Wciąż nic. Czyżby zmylił myśliwego strojem, ciężko opuszczonymi ramionami, niezwykłym dla nich lęklwym krokiem? Nie uczyli się przecież sztuki kamuflażu, wychowywani w duchu etosu rycerskiego. Całe jego ciało wołało o adrenol, o potwierdzenie boskiej sprawności, ale nie chciał ulec i sam nie wiedział dlaczego, przecież adrenol dawał gwarancję na przeżycie...

Nie zdradził się najmniejszym gestem, czując nagłe zimno na plecach. Powinien był zauważyć myśliwego kilka metrów wcześniej, powinien założyć, że tamten wybierze otwartą przestrzeń, a jednak... Ktoś się skrył w symetrycznej, krągłej koronie dorodnego klonu między chodnikiem a jezdnią, na samym zakręcie. Zerkając znad okularów, Chris zauważył to nienaturalne zgrubienie pnia ledwo widocznego w gęstwinie liści cztery, pięć metrów nad ziemią. Nie zawahał się, dalej szedł niepewnym krokiem pijaka w kierunku tego drzewa, szóstego, piątego w rzędzie, zasłaniając twarz rondem kapelusza. Już tylko dwadzieścia

metrów. Zdał się na słuch, zmysł nie zmieniający się tak bardzo po adrenolu, a już za późno na iniekcję.

Wiedział, co tamten może zrobić. Jeśli ma karabinek albo kuszę musi się poruszyć, by skorygować cel i ma tylko ten ułamek sekundy. Idąc krok za krokiem z opuszczoną głową, zerknął na swoje stopy. Tylko oni mieli takie buty. Zareagował jak automat. Ręce z dłońmi odwróconymi ku górze wystrzeliły do przodu, instynkt, nie zmysły, lokalizował cel. Strzałki jeszcze były w locie, kiedy on już krył się za pniem pobliskiego drzewa, trzymając w dłoni pistolet. Żył, jeszcze żył. I cisza. Zupełna, niezrozumiała. Głośniejszy szelest i ulga. Napięty jak sprężyna przeskoczył za drugi pień i wyjrzał ostrożnie. Ciało w nienaturalnej pozycji zwisało z konara. Myśliwy był przymocowany pasem. Przynajmniej jedna ze strzałek doszła celu. Podchodząc do pnia, patrząc w górę, zobaczył wiszący na przedramieniu łowcy karabinek z tłumikiem. Jego błąd. Błąd Jorga. Fragment twarzy, jasne włosy. Jorg.

Warkot helikoptera przyspieszył decyzję. Uratuje go. Jorg też jest tylko maszyną. Także powinien mieć szansę. Chris szybko zrzucił płaszcz, kapelusz, rozejrzał wokół. Podskok, chwyt i już był w gęstwinie liści. Nóż, cięcie. Uniósł łowcę pod ramiona - bezwładne ciało zawisło pionowo cztery metry nad ziemią. Gałęzie nieco amortyzowały upadek ale i tak myśliwy runął jak wór na twarde chodnik. Chris włożył płaszcz, kapelusz, przerzucił torbę przez ramię i bez większego trudu uniósł ciało. Dopiero teraz pas karabinka zsunął się z ramienia Jorga i broń upadła z brzękiem na chodnik. Przysiadł z ciałem i ją podniósł. Te odgłosy chyba nie wyglądały nienaturalnie, niech tamci na podsłuchu spróbują coś z tego wyczytać. Broń mogła się przydać, jeśli nie jemu to Lawrensonowi.

Wszedł ze swoim ciężarem do najbliższej klatki schodowej i doszedł do drugiego piętra, próbując otwierać nogą kolejne drzwi. Wreszcie się udało. Wszedł do pokoju i ostrożnie złożył sparaliżowane ciało na podłodze. Zdjął z Jorga kurtkę. Być może, w niej umieszczono nadajnik. To czego potrzebował było w łazience. Niezbyt mocno, ale dokładnie skrępował Jorgowi ręce i nogi sznurem do bielizny tak, by jeniec nie mógł zasilić się adrenolem po powrocie do przytomności. Wyciągnął nóż, rozciął skórę za uchem Jorga, wyłuskał jedną z fiolek. Krwawienie było niewielkie, nie miał zamiaru go tamować. Tyle tylko co powinien zrobić. Lafayette'a 7, mieszkanie 22. Powiesił karabinek na prawym ramieniu i zabierając kurtkę wyszedł. Porzuci ją w jakimś w miarę odludnym miejscu, niech to będzie zagadka dla Hartenbergu.

Im dalej na południe, tym większy spokój, jak czas popołudniowej sjsjesty. Wracał do chłopców Lawrensona. Był tam przecież prawie swój.

* * *

Stawsky czekał samotnie jak wysunięta czujka przed kwartałem domów zamienionych w bastion.

- Jesteś, Chris? Jesteś, a to znaczy...

- Tak, Stan. Wszystko przemawia za tym, że Domenici i paru ludzi z jego otoczenia przeniosło się w zaświaty.

- Żyjesz. Dopiero wieczorem dowiedziałem się, że ostatnie ampułki w każdym rzędzie zawierają silną truciznę. Nasi chemicy odkryli to właściwie przez przypadek.

- Żyję, Stan.

Lawina nabrała rozpędu, ścierając po drodze wszystkie nierówności, kierując się tam, gdzie żłobiono dla niej drogę. Najpierw nadeszła wiadomość z Moskwy, że generał Krawczenko zginął w katastrofie lotniczej wraz ze swoim szefem sztabu i paroma wyższymi oficerami, potem telewizyjna licytacja z rosyjskim otwarciem i nadzieja na to, że Rosjanie odebrali jego wywiad jako „pas”. Czując odrazę do siebie samego, Donovan ustąpił przed argumentami obu Francuzów, Lussaca i Tassigny’ego i użył tego podstępu. Chyba ta zagrywka sporo namieszała, a zwłaszcza oskarżenie tych drani o atomowy szantaż. Kłamstwo to jednak potężna broń. Nie zrobiłby tego półtora miesiąca temu. Teraz zrobił, mając o wiele mniej złudzeń co do ludzi, przyznając rację swojemu dawnemu szefowi, generałowi Rose. „Chcecie się przekonać, do czego zdolny jest człowiek? Dajcie mu w jedną rękę karabin, w drugą butelkę rakii i powiedzcie, że jest bezkarny a zobaczycie” - powiedział Rose po powrocie z Bośni.

- To zwykły podstęp wojenny, panie generale - przekonywał go Tassigny, pewnie nakręcony przez Lussaca. - Spory kij i marchewka tak duża jak kij. Niesprzyjający czas by zachowywać się jak sir Perceval.

Ustąpił po prawie godzinnych naleganiach, godząc się i na to, by rozmówcą był Lussac. Niesmak po tej farsie nie ustępował długie godziny, choć to co zrobili było racjonalne w takiej sytuacji. Wtyczki w CIA kablowały o nagłym ożywieniu wśród trzech najpotężniejszych rodzin mafijnych, o silnych naciskach na Hodgesa, któremu niedawno tak pomogli w pacyfikacji ich miast, a te naciski miały oczywisty związek z wydarzeniami w Europie.

Z siłą mafii europejskiej jest pewnie trochę tak jak z ciężą urojoną. Każdy strateg chętnie przyjmie obietnicę pomocy ze strony nie największej ale najlepszej, jeszcze najlepszej armii świata. A oni zamiast pomagać, dokonają szybkiego rozpoznania i przygotowują grunt do opanowania struktur hydry. Uderzą z całą siłą, kiedy tylko chwycą palec nad przyciskiem. To niehonorowe, ale konieczne. Ze swojej strony Ogariow skontaktował się z Korobkowem, który jednak przestał czuć się żołnierzem po śmierci swojego przełożonego i miał swoje racje. W Rosji nie czekało go nic dobrego.

Teraz zadaniem numer jeden jest wyizolowanie i zniszczenie kondotierów. Wciąż nie

wiadomo o nich zbyt wiele. Aż kusiły łatwe powiązania Rosjan z tymi głowicami i nie można było wykluczyć, że palec na guziku trzymają właśnie oni. Przed Donovanem jawiły się niepokojąco długie szeregi pytań. Jak ich wynajęto i po co? Co do cholery, dzieje się w Rosji? Ogariow nie chciał wiele mówić i trudno nie uznać jego racji, trudno zarzucić brak dobrej woli bo naprawdę mógł nie wiedzieć. Tak to bokiem wyłaziła multilateralna jawność, która zaowocowała podporządkowaniem EIA prezydentowi i ograniczeniem prerogatyw wywiadu i kontrwywiadu wojskowego. Ta cywil-banda dbała tylko o własne interesy. Armia miała być i była ślepych narzędziem w rękach polityków, a teraz szukała czarnego kota w ciemnym pokoju bez cienia pewności że mrużek tam jest.

Niespokojna była ta noc ale nie bardziej niż inne, już dawno zapomnieli o spokoju. Analitycy na bieżąco rozmawiali z kalkami komputerami, opracowywali scenariusze predykcyjne i żaden nie był w miarę koherentny i w miarę przekonujący. Maszyny też nie miały wystarczającej ilości przesłanek. Powtarzały swoje. W najlepszym wypadku skażeniu ulegnie tylko czterdzieści procent powierzchni Europy, w najgorszym osiemdziesiąt procent. Liczba ofiar...

Przełom nastąpił o trzeciej po południu. Zdarzyło się coś niewiarygodnego, czego nie można było założyć. Lussac odebrał wiadomość od swojego człowieka w Strasburgu. Angelo Domenici i jakieś inne głowy hydry zostały odcięte przez tego drugiego implanta, następny implant znalazł się w rękach Lawrensona. Sugerowano też, że atomowy przycisk może zostać zablokowany tylko przez implanta, przez Ivora. Ale ryzykowna zagrywka majora udała się całkowicie. Jeden człowiek w niewiadomy sposób dokonał roboty za całą dywizję i wszystkie poprzednie rachuby wzięły w łeb. Oczywistą konsekwencją śmierci Domenicio, o ile ten naprawdę nie żyje, będzie osłabienie mafii, walka o sukcesję. Tylko dlaczego ta ich telewizja milczy jak zaklęta? Czyżby dopiero szukali kiru?

Swoisty sztab kryzysowy i zarazem krąg tajemnicy czekał na komunikat w napięciu. Zrażony do wielu swoich podwładnych Donovan ufał teraz tym, którzy popełniali głupstwa tylko z przypadku. Do nich należała ta dwójka Francuzów, pewnie dlatego że Lussac był cywilem z krwi i kości, a Tassigny zrobił karierę jakby przez nieuwagę. Jak przystało na trochę pozującego postmodernistę, nie przywiązywał dużej wagi do dalszych szczebli w swojej karierze. Zdawał sobie doskonale sprawę, że im wyżej tym większa odpowiedzialność a on, wnuk wielkiego człowieka, już zdążył zmierzyć swoją odporność na tę paskudę i był święcie przekonany, że nie wytrzymałby ciężaru połowy brzemienia, jakie wziął na siebie Donovan.

- Panie generale, zanim doczekamy się ostatecznego potwierdzenia musimy jeszcze

przypomnieć, że kapitan Stawsky prosi o śmigłowiec do Hautec, dokąd mają zamiar się udać. Podali też punkt orientacyjny. - Lussac wcale a wcale nie triumfował, nie widział w tym swojej zasługi.

- Teraz mi to pan mówi? Ależ tak! - generałem trzęsły emocje jak podczas pamiętnego finału między Glasgow Rangers i Lazio. - Majorze, może im pan dołożyć pułk czołgów i łódź podwodną. Niech pan pędzi i da do tego zadania nasze najlepsze załogi.

- Tak jest - odpowiedział karnie Lussac. Tassigny roześmiał się jakby przez grzeczność nie odrywając oczu od ekranu stucalowego telewizora, na którym toczył się ponury, łzawy, ekspiacyjny melodramat, wobec którego seriale południowoamerykańskie wyglądały jak arcydzieła sztuki filmowej. Podobno w ten sposób desublimowano niektóre potrzeby i popędy widzów. Ci przemądrzali, domorośli socjotechnicy mass mediów twierdzili, że jeżeli facet czy babka popłacze sobie ze wzruszenia nad losem uwiedzionej i porzuconej, wyczerpie swój dzienny albo i tygodniowy zapas łez i na widok autentycznego dramatu na ulicy będzie raczej skłonna do śmiechu niż płaczu, bo to nieszczęście wyda się jej prząsne, przyziemne, zbyt zwyczajne. Sztuczne życie jest zawsze bardziej przekonujące. Było z tym tak, jak z prymitywną religijnością, kiedy idzie się do spowiedzi tylko po to, by grzeszyć z czystym kontem.

Oglądanie takiego knota z obowiązku rzeczywiście było ciężkim doświadczeniem. Lussac zdążył wrócić. Donovan pogrążył się w zadumie i tylko skinieniem głowy pokwitował wykonanie rozkazu.

- Wreszcie coś się dzieje - wyrwał go z zamyślenia Tassigny.

Na ekranie ukazał się spiker i zapowiedział wystąpienie Beaumonta, swojego nowego szefa i dotąd mniej znaczącej głowy hydry. No ale kto ma media, może mieć władzę. Zaraz ujrzeli go z twarzą przyobleczoną w głęboki smutek i usłyszeli zboląły, umiejętnie modulowany głos. Stał w studio w czarnym skromnym garniturze, na tle mapy Europy przepasanej żałobną wstęgą.

„Dziś, przed ponad godziną, zbrodnicze ręce targnęły się na życie pierwszego przewodniczącego Rady Ocalenia Europy, nadziei naszego znękanego kontynentu, Angela Domeniciego, którego wielki plan poparły najwybitniejsze umysły i wszyscy myślący obywatele. Mordercy z Youth Power dokonali zamachu bombowego, w którym zginęli pan Domenici i dwaj członkowie Rady Ocalenia, panowie Hertz i Kreutzer, a także kilkadziesiąt osób przypadkiem obecnych w pobliżu miejsca zamachu. Był to akt bezprzykładnego terroru z jakim nie stykaliśmy się od lat”.

Słuchali w skupieniu analizując każde słowo widząc już, jakie cele przyświecają temu

perfidnemu draniowi.

„Uczynili to ci, którym na rękę zamęt i chaos, uczynili w momencie, w którym Rada uzyskała poparcie dyplomatyczne liczących się w świecie potęg ze Stanami Zjednoczonymi i Japonią na czele. Zbrodnia przejęła głębokim smutkiem wszystkich ludzi pragnących powrotu spokoju i dobrobytu, pragnących powrotu do normalnego życia. Pograżeni w najgłębszym żalu nie odstępimy jednak od zamysłu wielkiego Angela Domeniciego i z tym większym zdecydowaniem będziemy dążyć do realizacji jego wielkiego, niespełnionego marzenia. - Beaumont mówił powoli, z namaszczeniem, upajając się każdym słowem. - Jego postać będzie nam drogowskazem w dalszych działaniach dla dobra wszystkich obywateli Europy. Są jeszcze prawdziwi altruści, dla których najważniejsze jest dobro innych, ludzie pełni poświęcenia, godzący się z tym, że narażą życie w imię nas wszystkich. Rada Ocalenia nie przestała istnieć, realizuje plany swojego wielkiego przewodniczącego, oczekuje zrozumienia i pomocy ze strony wszystkich, którym leży na sercu to, co przyświecało Angelo Domeniciemu. Natomiast słudzy piekieł, którzy posunęli się do tak straszliwych czynów, zostaną odszukani i osądzeni, poniosą karę odpowiadającą ogromowi ich zbrodni. Nie będziemy już dłużej tolerować anarchii, chaosu, chcemy pewności jutra, chcemy normalnego życia w normalnym państwie, tego chcą setki milionów. Czy możemy pozwalać na to, żeby nieliczni wyznawcy nihilizmu paraliżowali wszelkie szlachetne zamysły? Czy możemy dalej tolerować eskalację zbrodni? Mówią nam o wolności, prawach jednostki, a sami stawiają się ponad prawem ludzkim i boskim. Nie! Powiedzmy wszyscy głośno i zdecydowanie nie. Chcącym pokoju pokój, a mordercom kara, kara ostateczna” - uniósł dłoń zaciśniętą tak, jakby trzymał w niej miecz archanioła Michała i zastygł w uniesieniu jak posąg sprawiedliwości. Przedstawienie było skończone, dubler zagrał rolę swojego życia. Dowiedzieli się wystarczająco dużo. Beaumont zmuszał do podjęcia decyzji, które już dojrzewały.

- Uff, nareszcie - westchnął z ulgą Tassigny, gdy na ekranie pokazały się realistyczne, turpistyczne obrazy nadjeżdżonych przez szczury trupów, brudne dziecko raczkujące w stercie śmieci, ilustracja słów faceta, który chyba przymierzał się do roli nowego zbawcy Europy.

Te obrazy miały spotęgować wymowę ostatnich wezwań Beaumonta. Miliony ludzi w interiorze po raz pierwszy zobaczyły piekło miast. Raj, z którego uciekli, był śmierdzącą, ohydną ruiną, siedliskiem potworności. Wielki szef sam zdecydował, że trzeba je pokazać by usprawiedliwić to, co stanie się jutro. Jego poprzednik wzywający ludzi do powrotu unikał tego jak ognia. Wojskowi znali kreatywną moc telewizji, ale te nieźle zmontowane obrazy nimi wstrząsnęły. Przez kwadrans nie padło ani jedno słowo nawet wtedy, kiedy pojawiły się

obrazy Berlina, Amsterdamu, Strasburga sprzed kataklizmu i w tle sielanki usłyszeli głos lektora mówiącego, że te sny wrócą, że znów będzie tak samo.

- Odnoszę niepokojące wrażenie, że to przesłanie jest kierowane właśnie do nas. - Lussac zdecydował się na gorąco analizować, co zobaczyli. - Beaumont wyraźnie się określił. Chce zająć miejsce Domeniciego i chce być twardszy, ale to nie ta klasa panie generale. Jedno jest chyba pewne, on dogadał się z Korobkowem. Nie wyobrażam sobie inaczej. Bez Rosjan to wielkie zero. Jest zdumiewająco pewny sukcesji, a co na to młody Domenici, co van Arle i Slims? Tylko w takim sojuszu ma jakieś szanse powodzenia. Nie wątpię, że dojdzie do rozłamu, walki o władzę, chyba że pozostali pretendenci już gryzą ziemię. Bardzo mnie niepokoi to, co mówił o YP. Nigdy nie poszli tak daleko w słowach. Boję się, że jednak użyją broni masowej zagłady a wiem, że w kilku miastach gromadzą broń chemiczną. Ale gdyby to zrobili, przysłużyliby się nam.

- Cholera. Jest pan niesamowity, pułkowniku. Zimny z pana drań - rzekł ponuro Donovan, zbijając Lussaca z pantałyku, ale tylko na chwilę. Świeżo mianowany pułkownik zrozumiał, że szlachetny rycerz potrzebował u boku odpowiednio okrutnego i racjonalnego giermka. Teoria sprawowania władzy mówi, że dobre są te metody, które są skuteczne, ale wiadomo jaka jest przepaść między teorią a praktyką.

- Po pierwsze, nie napisał pan jeszcze rozkazu, panie generale, więc jestem tylko potencjalnym pułkownikiem, a po drugie, nie bardzo mi zależy na awansie. W ten sposób mnoży pan liczbę wrogów w postępie geometrycznym. A swoją drogą, w takiej robocie muszę być draniem, chociaż nie sądzę bym był godzien czyścić buty Beaumontowi.

- Tego awansu nie zakwestionuje nikt, Lussac, on się panu należy. - Donovan już wrócił do siebie. - Ma pan ogromny udział w tym wszystkim, bo dzięki panu ten implant mógł działać po swojemu, ułatwił nam zadanie i poruszył lawinę. Te groźby z pewnością nie są puste, musimy im przeciwdziałać, a zrobimy to ruszając z akcją, która pan przygotował.

- Czas, panie generale - odezwał się Tassigny. - Siedem batalionów chłopców z kawalerii powietrznej czeka na pański rozkaz. Są wśród nich specjaliści od broni chemicznej i biologicznej. Przygotowano wszystko, co niezbędne. Nie wydaje mi się, żeby szantażyści potraktowali to jak otwartą interwencję. Pan pułkownik znakomicie przemyślał i przygotował grunt.

- Czas. Oby pan miał rację. - Donovan wcisnął guzik interkomu i po zameldowaniu się przez oficera dyżurnego rozkazał krótko: - Proszę dać sygnał do rozpoczęcia operacji „Kamuflaż”.

Skończyło się bierne wyczekiwanie. Na pierwszy rzut poszła armijna elita, siły

szybkiego reagowania, najlepsi z najlepszych. W przebraniach mieli przeniknąć do kilkunastu miast, najlepiej rozpoznanych i najbardziej zagrożonych, podszywając się pod zrewoltowanych młodych i walczyć razem z nimi przeciw egzekutorom. Celem głównym jednak było zminimalizowanie strat w wyniku spodziewanego użycia przez tamtych środków chemicznych albo biologicznych i dlatego objuczono ich nad miarę maskami przeciwgazowymi, kombinezonami, medykamentami. Oczywiście mieli też detektory pomocne w szukaniu min. Stało się.

- Panie generale - meldował oficer dyżurny - rozkazy przesłane i potwierdzone. Operacja rozpoczęta. Mam meldunek o powrocie naszego śmigłowca z zadania specjalnego.

- Dziękuję. - Donovan potwierdził odbiór i zwrócił się do Lussaca: - Zajmie się pan nimi, prawda? Chciałbym zobaczyć tych supermanów, bo chyba to nie jest niebezpieczne? - kończył pytanie z uśmiechem, ale to wcale nie było zabawne. Donovan uczył się nieufności.

- Szczerze mówiąc, nie wiem - odpowiedział Lussac. - Oni przecież nie są normalni, ale wątpię by byli podwójnie zaprogramowani na taki atak. Ivor jest już odblokowany, odmówił przecież wykonania wyroku na Carneyu, choć nie dałbym za to uciąć sobie ręki. Kapitan Stawsky jest pewny swego przyjaciela, panie generale, ja nie.

- Zaryzykuję - zdecydował generał. - Niech ich pan tu dostarczy. A pan zostanie z nami, generale Tassigny?

- Jeżeli pan pozwoli, będę obserwował z zewnątrz. Oni są samotnikami, źle znoszą obecność nieznanomych.

Cobra wróciła po niespełna dwóch godzinach i tym razem obyło się bez niespodzianek. Załoga odebrała „przesyłkę” pod Strasburgiem i nieatakowana przez nikogo na krótko przed zmierzchem wróciła do bazy.

Mimo wszystko Lussac zarządził wszystkie środki ostrożności. Podziemna sala sztabowa pozostawała pod czujną kontrolą dziesięciu par oczu, tyleż zamaskowanych luf celowało w implanta. Trudno było zawierzyć Stawsky’emu bez reszty. Donovan był mężem opatrnościowym. I oto generał raczył spieprzyć wszystko na samym początku. On uwierzył od razu. Powodowany impulsem, podszedł i podał rękę Stawsky’emu a potem implantowi. Jak zwykle nieobliczalny. Jeżeli ten chłopak był naprawdę taki super, mógł go załatwić jednym ciosem i nikt nie zdołałby przeszkodzić.

Tak, Donovan rzeczywiście uległ impulsowi, kiedy zobaczył przed sobą dwóch bardzo zmęczonych mężczyzn, żadnych tam supermanów, dwóch młodzików, którzy wykonali pracę Herkulesa. Ivor był potężnym, wysokim chłopcem. Potężnym i mogącym budzić litość. O ile zmęczenie znanego mu kapitana było jakieś normalne, bardzo ludzkie, o tyle ten nieszczęśnik

wyglądał tak, jakby go zdjęto z koła tortur, a potem posypano rany solą. Generał czuł, że jest im winien wiele, a nagrody jakie mógł dać są niezmiernie skromne.

Wracali stamtąd gdzie od dawna powinni być żołnierze, a tymczasem generacja do dzisiaj trawiła czas na czekaniu i bezpłodnej gadaniu, zastraszona atomowymi grzybami. Owszem, wojsko miało sporo roboty na południu i wschodzie, ale to były incydenty załatwiane przez dowódców na szczeblu batalionu.

- Dziękuję wam za wszystko, moi drodzy - powiedział Donovan przejęty prawdziwym współczuciem. - Kapitanie, panie Ivor, wyglądacie na bardzo zmęczonych i obiecuję, że nie będę was długo męczył zbędnym gadaniem. Siadajcie, proszę. Zaraz będzie kawa i po małej whisky. Czujcie się tylko gośćmi, a pan, panie Ivor będzie musiał wybaczyć mi pytania, ale czas i okoliczności są tak niezwykle, że te pytania są niezbędne.

Mówił dużo tonem jakoś nieprzystającym do tego miejsca pełnego tysięcy ludzi, sprzętu bojowego. Dla Chrisa był ciepły, zatroskany, ojcowski. Podobny do Stawsky'ego. Doskonale wiedział co robi, starając się rozbroić, przekonać do siebie tego Marsjanina o twarzy dziecka, jakoś dostroić się do jego długości fal. W myślach porównywał tego chłopaka z rottweilerem. Nie czuł strachu, na to był zbyt stary. Po chwili jakoś nie mógł uwierzyć, że powinien bać się tego chłopca, tak podobnego do tysięcy jego żołnierzyków.

Mimo niedawnej iniekcji Chris nie czuł się najlepiej. Specyfik Stana nie był już takim dobrodziejstwem jak jeszcze dwie doby przedtem. Wyrażne przed półgodziną poczucie zagrożenia ustępowało, rozplýwało się w tej oazie spokoju skrytej kilkanaście metrów pod ziemią. Kiedy wysiedli z maszyny i zobaczył dżipa z dwoma uzbrojonymi żołnierzami a obok karetkę z czerwonym krzyżem pomyślał, że mści się na nim złamanie pierwszej zasady. Zaufał i skazał sam siebie. To nie minęło nawet wtedy, gdy szczupły żołnierz z dystynkcjami majora wysiadł z odkrytego samochodu i podchodził uśmiechnięty z wyciągniętą ręką.

- Witamy serdecznie, panie Ivor - przekrzykiwał huk pracującego silnika. - Jestem Lussac, wasz przewodnik.

Lussac. Człowiek, który niedawno postanowił o jego losie, który nie chciał go zabić i przysłał Stana. Podał prawą dłoń, uświadamiając sobie, że uzbrojona wyrzutnia czeka na jego ruch. Jeszcze jest uzbrojony a to by znaczyło, że nie mają złych zamiarów.

- Cześć, Łazarzu - powitanie ze Stawskym było głośne, serdeczne i niosło następną falę spokoju. - Sam nie wiesz, jakie miałem wyrzuty sumienia po twoim wyjeździe. Przepraszam, panie Ivor, ale mówię to co myślę.

- Cześć, majorze. Miło znowu być w tej dziurze. - Stan odpowiedział równie żywiołowo, zmieniony nie do poznania. To było to, co łączyło Chrisa z Denisem. Zwykła

przyjaźń.

- No, trochę ci się dziwię. Miło? Po wojażach do metropolii? - pytał major i śmiejąc się mówił dalej: - Chodźcie do wozu, generał czeka. Nawet nie pytam, czy chcecie się z nim zobaczyć, na pewno obaj nie macie nic przeciwko. Nie zdziw się, jeżeli awansowałeś, Stan.

- Nawet generał musi poczekać jeszcze chwilę. Powiem im, jak mają postępować z Jorgiem, zdobyczą Chrisa, bo mogą walnąć jakieś głupstwo i będzie rzeźnia. - Stawsky podszedł do sanitariuszy układających na noszach związanego Jorga i coś im tłumaczył. - Na razie zróbcie tylko to, a ja pojawię się w szpitalu najprędzej jak tylko będę mógł. Nie wstrzykujcie mu serum, zaczekajcie na mnie. Pomieszczenie musi być dokładnie ekranowane, bo inaczej go stracimy. No, teraz możemy jechać.

Dwaj uzbrojeni żołnierze, milczący, rozluźnieni, usiedli z tyłu dżipa. Pojechali ciasnymi, krętymi uliczkami pośród poustawianych czołgów, wozów piechoty, maszyn o nieznanym Chrisowi przeznaczeniu. Lussac tłumaczył, że ściągnięto tu sprzęt z kilku garnizonów przede wszystkim po to, by nie wpadł w niepowołane ręce. Około trzech tysięcy pancernych żołwi zniszczono w pomniejszych garnizonach, tylko kilkanaście dostało się w ręce „tamtych”. Właściwie to jedno wielkie złomowisko, połowa z tego była przestarzała i nie nadawała się do walki w jakiejś normalnej wojence.

Dość długa droga, a potem serdeczne powitanie przez człowieka mającego pełną władzę nad niewyobrażalną, śpiącą siłą. Kawa, alkohol, kanapki Chrisa nie interesowały. Ludzie, ci ludzie byli ważni. To oni uratowali Denisa. Czy uratowali także jego? Czy naprawdę idą, po tej samej drodze? Wiedział o armii tyle, ile powiedział mu Stawsky, a to mało, zbyt mało.

- Jest pan jednym z największych bohaterów tego czasu, panie Ivor. - Donovan ważył każde słowo, by nie przeholować. - Zarazem jest pan kluczem do zrozumienia złożonego obrazu naszej ciekawej rzeczywistości. Pan jako jeden z niewielu wie, jak wygląda bodaj najważniejszy element tej mozaiki, a my poruszamy się wciąż po omacku, choć tylko my możemy to uporządkować. Ludzie, którzy pana przysłali są największym zagrożeniem dla przyszłości. Wierzymy w ich groźby, bo musimy. Mogą działać z ukrycia i dysponują zadziwiającymi środkami, a my nawet się nie domyślamy kto to może być. Sprowadzono nas do roli sprzątaczk. No, ale akurat tego nie chce nam pan zdradzić, prawda?

- Jeszcze nie czas, panie generale - odpowiedział, przypominając sobie rady Stana, by powiedzieć prawdy okrywające inną prawdę. - Ale ten czas jest już bliski, jeżeli mi pan pomoże. Chcę tej pomocy tylko po to, by stało się to jak najprędzej. Najpierw ja muszę poznać swoją prawdę, a potem dam wam ten kawałek mozaiki... rozbity. Ja mogę być

skuteczniejszy niż cała armia. Nie dam im sekundy na naciśnięcie guzika. Znam tych ludzi.

Donovan uwierzył, choć i on nie zwykł wierzyć w puste słowa. Starczyło jedno spojrzenie, by doznać czegoś na kształt iluminacji! Chłopak zmienił się nie do poznania, mówiąc te słowa. Głupie to, ale przypominał mu w tamtej chwili posąg młodzieńczego, zwycięskiego Dawida wyczarowanego przez Michała Anioła. Wrażenie było mniej więcej takie, jakby był świadkiem ożywienia posągu.

- Możesz jednym krótkim „tak” albo „nie” rozwalić wiele przeszkód z naszej wspólnej drogi - wtrącił milczący dotąd Lussac. - Mam dwa pytania. Jak udało ci się dotrzeć do Domeniciego i usunąć go.

- Tego jeszcze nie mogę powiedzieć. Moja odpowiedź nie usunie ani jednej przeszkody - odpowiedział spokojny, skupiony Ivor.

- Spodziewałem się czegoś takiego. - Lussac nie wyglądał na zbitego z tropu. - A drugie pytanie brzmi: czy przysłano cię stąd, z Europy czy spoza niej?

- Z Europy - padła krótka, zdecydowana odpowiedź.

- A czy możesz nam powiedzieć, skąd nagle wziął się Jorg? - atakował dalej Lussac.

- Przybył tu, by mnie zabić. Nie, zniszczyć - poprawił się odpowiadając prawie mechanicznie. Jorg miał go zniszczyć tak, by ciało zniknęło razem z tajemnicami jakie zawiera. W Hartenbergu pewnie nie wiedzą, że tajemnice przejęło wojsko, jedne błędy pociągają za sobą następne. Było ich za wiele i zdawały się potwierdzać teorię chaosu Verniera. Racjonalna całość składała się z irracjonalnych części.

- Rozumiem i nie miej mi za złe tych pytań, Chris. Zawiodły nas wszystkie tropy łącznie ze śladami jakie zostawiły firmy budowlane, które wznosiły gmach Rady. Pewnie wiesz albo domyślasz się, że materiały wybuchowe były w elementach budowlanych. Straciliśmy ślad, bo tych firm było ponad pięćdziesiąt i nie wiemy, gdzie wielu z nich szukać. Nawet nie dysponujemy bazami danych sprzed wybuchu. Pozostajemy w sytuacji przymusowej. Ty i Jorg jesteście ostatnią deską ratunku, a my zostaliśmy zmuszeni do sięgnięcia po środki ostateczne, choć to grozi czymś strasznym.

- To niemożliwe w naszym przypadku, majorze - twarz Ivora się nie zmieniła, nie okazał zdziwienia ani strachu. - Najmniejsza dawka stonatoru czy innego środka zabije nas. Możecie przekonać się już teraz, nie mam zamiaru się bronić. Zresztą wie pan, że mogę zabić się jednym ruchem i nikt nie zdąży mi w tym przeszkodzić.

- Źle mnie zrozumiałeś, Chris. Te środki ostateczne to prawie otwarta interwencja w miastach. Rozpoczęliśmy wielką operację... - zaczął Lussac, ale przerwał mu Donovan.

- Zakładaliśmy taką możliwość wobec pańskiego przyjaciela Denisa, panie Ivor, ale

natychmiast odstąpiliśmy od niej dzięki kapitanowi, a jutro majorowi Stawsky'emu. Proszę powiedzieć czego pan oczekuje od nas, jakiej formy pomocy. Jest pan naszym sprzymierzeńcem?

Stawsky wyczuwał niemą prośbę w oczach Chrisa. Mówili o tym w drodze.

- Dziękuję za awans, panie generale. Pierwsza prośba dotyczy także mnie. Chciałbym jutro dostarczyć do kliniki w Chambery nowego pacjenta, a Chris pragnie zobaczyć się z Denisem McLachlanem. To pierwsza prośba i zarazem pierwszy warunek współpracy z nami. A co później, Chris?

- Potrzebuję tylko środka transportu, najlepiej śmigłowca. Bez kamer i podsłuchu. Chcę mieć tylko czasowy lokator. Jeżeli nie wrócę, uruchomi się po paru godzinach i wskaże miejsce, które zniszczycie. Nie wiem czy to możliwe, ale musicie to zrobić szybko i skutecznie.

- Może dodam - wtrącił Stawsky - że mój przyjaciel jest także ekspertem w dziedzinie elektroniki.

- Obiecuję. Nie będzie żadnych sztuczek - uciął zdecydowanie Donovan. - Jaki model pan chce?

- To obojętne - padła zwięzła, sucha odpowiedź.

- Może potrzebuje pan broni, sprzętu? - dołożył swoje Lussac, trochę zły na siebie za poprzedni wyskok. - Możemy dać panu śmigłowiec z bronią laserową, a nawet głowicę taktyczną.

- Nie potrzebuję żadnej broni poza paroma drobiazgami.

Obaj oficerowie nie wiedzieli co o tym wszystkim sądzić, obaj musieli wierzyć oczywistym faktom, nie pozorom. Musieli uwierzyć, że ten dzieciuch jest nie ludzki i nadludzki, nieobliczalny, zdolny do pokonania tej tajemniczej, ciemnej siły. Sam jest wielką tajemnicą. Wiedzieli, że Ivor transformował się, przepoczwarzał, jak to określił w jednym z połączeń Stawsky. Padło jeszcze parę obojętnych pytań o Strasburg, Donovan i Lussac powiedzieli nieco o sytuacji armii i najbliższych planach, w tym i o „Kamuflażu”, ale rozmowa wyraźnie się nie kleiła. Ivor nie potrafił, może nie chciał mówić o rzeczach obojętnych. Gospodarz zauważył to i dał znak zakończenia spotkania. Nie wypadło najgorzej. Jednak zdobyli parę elementów do swojej układanki. Mieli prawie pewność, że jeśli mu się nie uda, to zostawi ślad do kryjówki tamtych. Byli przekonani, że nie potrafi kłamać.

- Widzę nie od teraz, że jesteście bardzo zmęczeni, panowie. Pułkownik Lussac odprowadzi was do kwatery i zadba o aprowizację. Później, panie Ivor, sam pan wybierze śmigłowiec i da nam listę tych drobiazgów. Dziękuję wam, panowie, dziękuję majorze i

gratuluje zaslužonego awansu - uściskał im dłonie na pożegnanie.

Na korytarzu Lussac zwrócił się ze śmiechem do obu.

- Ja także gratuluje, majorze. Tobie pogratuluje innym razem Chris. Jesteś naprawdę bohaterem.

- Kto wie? - odpowiedział z uśmiechem Stawsky. - Może jednak zostanę w armii - Chciałbyś teraz do szpitala, tak?

- Tak, i to jak najprędzej. Nie wiem, czy czegoś nie zapomnieliśmy. Jak myślisz, Chris?

- Sznury - odpowiedział bezbarwnym głosem Ivor.

- A niech to diabli! - zaklął Stawsky - Nie uprzedziłem ich. Jeżeli go tam rozwiązali, to mamy nową trupiarnię.

Ruszył biegiem. Popędzany przez Lussaca kierowca z ręką na klaksonie podrzucił ich po kilku wariackich minutach jazdy.

Doznali wielkiej ulgi, kiedy zastali Jorga związanego, leżącego na boku w wielkiej klatce z ołowianymi ścianami. Dyżurni z tej zmiany byli jednak ostrożni. Słyszeli wystarczająco dużo plotek o tych tajemniczych supermanach i zrobili tylko to, co było niezbędne - przenieśli ludzki tłumok do tego pomieszczenia i rzucili na proste łóżko, w ogóle im do głowy nie przyszło uwolnienie tego Frankensteina.

Kiedy Stawsky rozmawiał na boku z lekarzem dyżurnym, Chris podszedł do łóżka. Lussac był świadkiem najdziwniejszej rozmowy pod słońcem, rozmowy oczu. Kilka minut ci dwaj patrzyli na siebie niemal bez mrugnięcia. Jorg miał nieruchomą, skamieniałą twarz bojownika o wiarę. Lussaca aż przeszedł dreszcz. Ci chłopcy byli jednak z piekła rodem. Nie powiedzieli nawet słowa, spojrzenia wystarczały im w zupełności, by się zrozumieć. A co sobie powiedzieli? Tego nie dowie się nigdy. Nigdy o to nie zapyta.

Chris odstąpił, dając miejsce sanitariuszom i Stawsky'emu. Z widomą ostrożnością ściągali implantowi spodnie. Stawsky tłumaczył, kiedy powinni wstrzykiwać serum, karmić, a Jorg patrzył tylko na Chrisa.

- Każę przynieść tutaj kolację i jeżeli pozwolicie zjem razem z wami, chociaż widzę, jak jesteście wykończeni - wprasał się Lussac, otwierając któreś z szeregu drzwi długiego korytarza budynku koszarowego. - To znakomita okazja żeby oblać nasze awanse, nie myślisz, Stan? Stary na siłę robi ze mnie pułkownika, z ciebie majora. Ty, Chris, też miałbyś od razu szansę na oficera. Zastanów się nad tym.

Nie żartował, a jednak odebrali to jak najlepszy dowcip.

- A po tygodniu musielibyście go zdegradować do szeregowca. Chris nie będzie

śluchał niczyich rozkazów, a dla siebie jest marszałkiem - rzucił ze śmiechem Stawsky. - Nie dziw się, że śmiejemy się tak często, Chris. To taka forma dystresu. Często śmiejemy się nawet wtedy, kiedy nie ma się z czego śmiać.

- No nie, znów się wygłupiłem. - Lussac bawił się całkiem nieźle. - Ale mam nadzieję, że to pytanie nie będzie głupie. Napijecie się ze mną?

- Ja chętnie a ty, Chris?

- Ja także, jesteście przecież moimi ojcami - powiedział te nieoczekiwane słowa, bo poczuł mocną więź z nimi. To, że zamiast zabić zdecydowali się zostawić go przy życiu, było mniej ważne, o niebo ważniejsze co innego. Pomogli mu odrodzić się w tej pełniejszej postaci, byli jego przewodnikami, pomogli wejść w czarodziejską krainę bólu, strachu, zwątpienia, ciągłej ucieczki i ciągłych poszukiwań. Mimo wszystko była barwniejsza, bardziej porywająca od tamtej pustyni, wracała mu ogromny, nieobjęty świat wszystkich ludzi, a Chris Ivor chciał być maleńką cząstką wielkiej wspólnoty.

- Nie powinienem tego mówić, Chris, ale znowu zaryzykuję pełną szczerą, choć na pewno na tym stracę - po drugiej szklance Lussac zrobił to, co korciło go od prawie dwóch godzin. - Tam, u generała nie powiedziałem ci o tym, czego sam się pewnie domyśliłeś i przyznam, że to ja zaproponowałem obróbkę Denisa, a on odrzucił to natychmiast, bo nie godził się z jego zasadami, chociaż nie jest to dobry czas na pielęgnowanie zasad. To nie jest takie proste. Popatrz na to naszymi oczami, Chris. Denis jednym strzałem rozwalil cały nasz świat, ty sam załatwiłeś tych gangsterów. Jeśli jesteście tak wszechmocni, to za wami stoi naprawdę piekielna siła, której istnienia nie podejrzewali nawet autorzy powieści sensacyjnych. Tę siłę za wszelką cenę musimy zlokalizować i zniszczyć, bo samo pokonanie jak mafii to za mało. Teraz pokazał się ten Jorg i nawet nie wiemy, ilu jest jeszcze takich jak wy, do czego zostaną zaprogramowani i użyci. To miała być obrona, rozumiesz Chris? Nikt nam nie zaręczy, że już jutro Paryż nie wyparuje w wybuchu atomowym albo nie stanie się coś równie potwornego. Oni są dla mnie szaleni. Czy zaręczysz słowem, że tak się nie stanie? Czy znasz plany swoich twórców?

- Mam za mało danych - odpowiedział beznamiętnie Chris. - Jest nas jeszcze kilku i nie wiem, do czego zostaną użyci. Mam nadzieję że zdążę przed nimi.

- Tylko wiara i nadzieja, Chris. To tak mało. Jesteś w podobni sytuacji jak my. Chcesz tego samego, więc dlaczego nie możesz nam powiedzieć, kto to taki? W zwykłym czasie doszedłbym do tego w ciągu paru dni i zwałbym na bydlaków nawet atomówkę, nie oglądając się na nic. A niech to diabli, siedmiu nadludzi i każdy przeznaczony do jakiegoś wielkiego celu. Nie pocieszyłeś nas, Chris...

- Nie wiem jak ci to powiedzieć ale są sprawy, które sam muszę rozstrzygnąć, bo tu nie chodzi tylko o zniszczenie tych ludzi czy odsunięcie groźby. Tu chodzi także o mnie i nie pytaj o nic. Nie rozumiesz. Przyjdzie czas, kiedy takie pytania nie będą potrzebne.

- Oby jak najprędzej, chłopie.

- Musisz to zrozumieć - włączył się do rozmowy Stawsky - Musisz pojąć, że Chris mówi tylko to, co absolutnie konieczne i w formie najbardziej skondensowanej. To jest prawdziwa sztuka słowa, panie mecenasie. Gdybym miał porównać wasze kwestie, to powiedziałbym, że mimo wszystko Chris jest klasyczny i prosty w treści jak Tycjan, a ty jak rozpasany, pijany Picasso.

- Wolę już być pułkownikiem niż Picassem - parsknął Lussac. Chociaż przez tę cholerną niepewność stanę się alkoholikiem. Gdyby nie wódka, nie potrafiłbym usnąć.

- Picasso nie był alkoholikiem, pułkowniku.

- Miał kolegów alkoholików, na jedno wychodzi.

Już o szóstej zbudził ich dyżurny z tacą pełną parujących smakołyków, uprzedzając, że za pół godziny mają lot do Chambery. Szybko uporali się ze śniadaniem i Stawsky wrócił do swoich myśli z Hautece.

- Jeszcze raz ci to proponuję, Chris. Profesor Riedl usunie ci te procesory w pół dnia, jeżeli tylko zechcesz. Zapewnia, że nawet nie poczujesz zmiany.

- Nie teraz, Stan. Najpierw muszę załatwić moje sprawy i chcę zobaczyć się z Denidem, to wszystko. Później poproszę cię o wykonanie tego zabiegu - powiedział a Stawsky odebrał to jak przeprosiny.

Jorg był czysty, nie miał przy sobie nadajnika, tak przynajmniej twierdzili specjaliści wojskowi. Był ciągle w kajdankach zapiętych na plecach, nie mógł się zabić. Z jego oczu wyczerała ta sama spokojna groźba, wciąż myślał tylko o jednym. Zabić zdrajcę. Zabić Ivora. Jeśli jest podobny do niego i podobnie przyjmie ten świat, mogą nawet stać się bliscy. Mogą pozostać wrogami, jeśli nie uda się wymazać kodów z Hartenbergu. Został pokonany podstępem, to nie była czysta, otwarta walka wedle wzorów stamtąd ale sam zamierzał zabić z pułapki. Być może, później zechce udowodnić, że jest lepszy. Tę sprawę Chris zostawił na potem, teraz musiał zobaczyć Denisa, zobaczyć fragment swojej przyszłości.

Wylądowali tuż za granicami niewielkiego miasta, przed trzypiętrowym, sporym kompleksem budynków chronionym murem obrzeżonym drutami, wartownikami w wieżyczkach i pewnie całą masą elektronicznych cudeniek. Jeszcze jedna twierdza z taką samą organizacją jak w Montelimar. Nie pytał o nic, to musiało wyjaśnić się samo. Natychmiast pojawili się sanitariusze z noszami po Jorga, a na nich czekali dwaj faceci w

białych fartuchach z plakietkami identyfikacyjnymi, dobrzy znajomi Stana.

Dopiero wewnątrz zrozumiał, dlaczego budynki są tak wielkie i tak dobrze strzeżone. Musiały pomieścić tysiące kalek. Świat niewyobrażalnego koszmaru.

- To jest ciemna strona księżycy, której jeszcze nie widziałeś - mówił cicho Stawsky. - Co trzeci noworodek to mutant, Chris. Są to najczęściej mutacje będące wynikiem używania oniryków i leków. Tego nie zauważa się na ulicach, bo wspaniałe państwo opiekun zajmuje się nimi od urodzenia. Nie wiem czy ci, którzy uniknęli eutanazji nagminnie stosowanej w naszych wspaniałych szpitalach, mają szczęście. Na tym oddziale widzisz normalnych psychicznie. Tylko deformacje fizyczne. O niebo groźniejsze są te drugie. Podziwiam szczerze matkę naturę i żywotność ludzką, że razem tworzą taką różnorodność form. Co ci jest? - spytał, widząc nagłą zmianę w twarzy Chrisa.

Dojmujący, głęboki żal, prawie fizyczny ból zmieszany ze wstrętem spowodowały chwilę słabości, Chris zachwiał się na nogach jakby miał zemdleć. Zobaczył błysk zrozumienia w oczach jednego z asystentów i to mu pomogło.

Profesor Riedl królował pośrodku tego koszmaru w olbrzymim gabinecie przypominającym raczej bibliotekę, niezbyt wysoki, korpulentny, uśmiechnięty. Miał dobrą, wyrazistą twarz i rozumne, pełne ognia oczy człowieka czynu.

- Witam w czyścicu, panie Ivor. Znalazł się pan tu, gdzie żywi naprawdę tracą nadzieję. A ty kiedy wrócisz do nas, Stan?

- Jak najprędzej, panie profesorze - odpowiedział z szacunkiem Stawsky. - Kiedy tylko nazbieram pacjentów na mój oddział. Mam już trzech.

- Tak, jeszcze masz. Proszę nam wybaczyć, panie Ivor. Nikt nie spodziewał się trucizny w szeregu ampułek. To dobrze, że nie jest za późno. Musimy zbadać pański zapas. Damy go naszym toksykologom. Pozwoli pan?

- Tak. Ale potrzebuję jeszcze kilku porcji. Dzięki adrenolowi nie jestem sobą, a tam nie mogę być sobą.

- Dobrze. - Riedl nie wyglądał na zdziwionego. - W takim razie damy panu sprawdzone próbki Denisa. Pan wie, czym to grozi?

- Wiem.

- Cieszę się, panie Ivor, bardzo się cieszę, a skakałbym z radości gdyby pan obiecał, że to ostatnie dawki. Każda odbiera panu najmniej miesiąc życia.

- To niewiele, ale obiecuję panie profesorze.

- Dziękuję. Za chwilę będzie tu Denis. Muszę powiedzieć z dumą, że przechodzi nasze oczekiwania. Proszę się nie dziwić, że jest na wózku, ale przeszczepiliśmy mu połowę

organów wewnętrznych. Wraca do normy nadszpiewanie szybko i nie widać najmniejszych symptomów dewiacji. Robota Topfera była jednak prostacka.

Niewinne słowa były dla Stawsky'ego jak uderzenie pioruna. Przecież to powinno być jasne już wiele dni temu! Co za głupiec! Bezmyślny kretyn! Topfer i fundacja Golda. Czytał o tym w gazetowej biografii, kiedy tamten dostawał Nagrodę Nobla. A z innego źródła słyszał o aferze w Faubourgu.

- Topfer? Na miłość boską, panie profesorze! Skąd pan wie, że to on?

- Topfer nie żyje, Stan - rzekł zimno Chris.

Stawsky już trzymał w palcach nić i widział cały kłębek. Plotki o Topferze, sieć powiązań z koncernem Golda...

- Od kiedy pan wie, że to robota Topfera, panie profesorze?

- Od tygodnia. Podsunał mi to doktor Carrero, który trochę pracował z Topferem i wie o nim dużo złego. Przesłałem tę wiadomość do waszego centrum w Monte w jednym z codziennych raportów o Denisie.

- Teraz to już mało istotne, panie profesorze. Topfer nie żyje, ale może ważni są ludzie, z którymi...

- Oni są moi, Stan - ton głosu Chrisa był jeszcze bardziej zimny.

Stawsky uspokoił się trochę i dostrzegł teraz plusy tej sytuacji. Dobrze się stało, że Donovan nie znał wroga. Mógłby wówczas popełnić błąd.

- Tak, są twoi Chris - powiedział wolno. - Panie profesorze, proszę nie wspominać o tym bez potrzeby, to jest naprawdę ważne.

- Jeśli ty tak mówisz, jest ważne, Stan. Nie wspomnę. O, jest nasz pacjent Denis, jak zwykle z doktorem Savage.

Denis z Chrisem powitali się inaczej niż zwykli ludzie, niż przyjaciele. Starczało im porozumienie oczu.

- Zabiegowy jest pusty, moi drodzy - rzekł profesor Riedl. - To pokój obok. Doktor Savage wam pokaże. Chris, poprowadź wózek. Tam pogadacie sobie spokojnie, nikt wam nie przeszkodzi.

Chris popchnął wózek do wskazanego pokoju. Zaczęli rozmawiać, dopiero kiedy drzwi zostały zamknięte.

- Bardzo się zmieniłeś Denis, ale wyglądasz lepiej niż na filmie. Kto go nakręcił? Ty sam?

- To jest możliwe, ale nie. - Denis się uśmiechnął. - Kamerę trzymał doktor Savage, wspinały facet. Gdyby nie on, chyba skończyłbym ze sobą. Jestem szczęśliwy, że odebrałeś

to przesłanie.

- Czy teraz też myślisz o tym? Zmieniłeś się - powtórzył Chris. Chciał by Denis mówić bo w tym czasie mógł odkrywać wszystkie cienie obcości, ale było ich bardzo mało. Denis był inny, ale pozostał sobą.

- Tak, zmieniłem się. Może dlatego, że wszczepiono mi wątrobę innego faceta, a do tego jeszcze parę innych mechanizmów. - Znów ten nieśmiały uśmiech. - Zmieniam się i już nie chcę umierać, Chris. Chcę żyć ale niełatwo żyć z tym, co zrobiłem. Nie wierzę, że mogłem to zrobić, a oni nie przypominają mi tego.

- Nie byliśmy i nie jesteście sobą. Jesteśmy jak maszyny, które zaprogramowano i puszczono w ruch. W dodatku przypominamy tylko jakieś prototypy, które chce się zniszczyć po pierwszej próbie. Ja też niszczę.

- Nie mów mi po co cię przysłali. Nie chcę tego wiedzieć. - Denis skrzywił się jak do płaczu. - Nie chcę przypomnieć sobie twarzy ani nazwisk. Nie chcę.

- Ale mnie nie zapomniałeś.

- Nie, ciebie nie. Ten mój doktor tłumaczył mi to, ale teraz nie potrafię powtórzyć jego słów. Mam kłopoty z pamięcią. Pamiętam tylko ciebie i jeszcze twarz siwego, szczupłego mężczyzny z czarnymi palącymi oczami, ostrym nosem i wąskimi wargami. Pamiętam tę twarz ale nie wiem do kogo należy, a to jest najgorsze. Nawet ostatnio bywały chwile, że chciałem się zabić. Nie mogę spać i gdyby nie chemia, nie zasnąłbym w ogóle. Krążę blisko, już prawie wiem, zdzieram maski i... - Denis zacisnął wargi i przecząco kręcił głową.

Chris nie rozumiał go do końca, nie potrafił współczuć. Mimo wszystko Denis zapamiętał Golda. Jego i Golda. Położył rękę na ramieniu przyjaciela, czując kości tam gdzie powinny być mięśnie.

- Ja pamiętam wszystko, Denis. Pamiętam i zerwę z nich maski ale mówię ci, że niewiele znajdę pod nimi. Tylko nagie czaszki. Zabiję ich już niedługo, wszystkich którzy zrobili z nas potwory, maszyny do zabijania zamiast bohaterów. Pamiętasz Lorda Xana, Denis? Teraz będę jak on. Dopiero teraz. - Liczył się z kamerami, mikrofonami, które powinny tu być. Z początku zdziwiło go, że pozwolono im rozmawiać bez świadków. Czyżby zaufali mu tak bardzo? Nie, to nie możliwe, oni też mają zasady, patrzą, słuchają, nagrywają.

- Tak, zrób to, Chris. Może wtedy... Oni wracają i wracają każdej nocy i nie można od nich uciec. - Denis umilkł, a po chwili dodał cicho: - Poznałem kobietę, stałem się mężczyzną. Ja już wiem, że życie jest straszne i piękne. Zacząłem się bać i wyobraż sobie, że lubię się bać - mówił bezładnie, jakby chciał powiedzieć wszystko jak najprędzej. - Kiedy się boję, jestem taki jak inni. Zabij ich za to, co zrobiłem i wróć po mnie, Chris. Razem będzie

nam lepiej.

- Zrobię to i wrócę. Teraz jest tu Jorg. Przysłali go, żeby mnie zabił ale nie zdążył. Pamiętasz go? Był jednym z nas.

- Nie, Jorga nie pamiętam. Nie znam go i nie chcę poznać.

- Dobrze. Powiem to profesorowi. Ale pamiętaj, że Jorg cię zna i wie o tobie wszystko. No, muszę zabrać cię do nich. Nie chcę tracić czasu, bo nie mam go za dużo. - Chris czuł jak gniew rozpała się w nim powoli, aż zakwitł wielkim, gorącym płomieniem, a przez płomień przebijała dziwna radość. Warto było tu przylecieć. Po to by wykrzesać z siebie iskrę.

- Ale wrócisz tu? Wrócisz?

- Wrócę, Denis - odpowiedział z pełnym przekonaniem. - Już pojedziemy. Teraz mi się spieszy, bardzo spieszy.

- Mam ważną sprawę, szefie. Wiemy już, gdzie ukrywa się Slims. - Rudi Helm pracował z nim ponad dziesięć lat i był poza za wszelkim podejrzeniem jako gwardzista pierwszego szeregu, a na swoje nieszczęście van Arle nie znał historii z żoną Cezara.

Otyły, flegmatyczny Helm miał dobroduszną twarz dusiciela, znakomicie pasującą do rozlanego ciała piwosza. Za dawnych dobrych czasów robił karby na rękojeści pistoletu za wykonanie każdej drobnej robótki. Teraz był na to zbyt poważny, pracował jako kurier, dozorował pracę sieci dystrybutorów i zajmował się podobnymi usługami, bo jakoś nie nadawał się do komputera. Zresztą nie było potrzeby ani okazji, by sprawdzić jego umiejętność czytania i pisanie, pewnie sam nie pamiętał czy to potrafi.

- Tak, wejdz, Rudi - głos szefa z głośnika usłyszeli także dwaj młodzi praktykanci gorylego fachu w hallu. Tylko dwaj, bo dzielnica była otoczona dość szczelnym kordonem patroli i jak na ten czas bezpieczna.

Zasapany, spocony, ocierając czoło chustką Helm wszedł na piętro do pokoju gdzie van Arle raczył się swoim ulubionym tuborgiem, pogrążony w najczarniejszych myślach po śmierci Angela, Paula, Henryka. Team wszechczasów rozpadł się w taki głupi sposób, a on ma jeszcze usunąć Anthony'ego. Całe szczęście, że sprawa wyeliminowania starego kumpla zatrzymała go w Paryżu. Gdyby nie to może i on zamieniłby się w krwawą plamę jak tamci? Przypadkiem uratował mu życie, a to dobry powód by myśleć o kumplu życzliwie. Nie, za cholere nie będzie się wygłupiał teraz kiedy zginął Angel. Slims zawsze miał łeb na karku. Zaszył się gdzieś w Szkocji, ukrył przed zemstą Angela. Trzeba raczej wysłać do niego parlamentarzysty z zieloną gałązką nie morderców, a kiedy się dogadają... Czego może chcieć ten grubas? Przecież to nie jego sprawa.

- Co cię sprowadza, stary...

Nie zdołał dopowiedzieć słowa „przyjacielu”, pierwsza kula trafiła go w gardło, druga w serce. Helm był fachowcem starej daty. Jeżeli ma podsłuch chłopcy usłyszą tylko jego sapanie, myślał rozbawiony. Sam mawiał, że wyrzuty sumienia są jak strupy na dupie i trudno je mieć po trzecim trupie. Miał na swoim koncie szesnastu frajerów, van Arle był siedemnastym, też frajerem. Dopił puszkę dobrze schłodzonego piwa i z żalem pomyślał, że trzeba wyjść na upał z klimatyzowanego pokoju, ale wyjść musiał żeby usunąć świadków z

hallu i zameldować o wykonaniu polecenia.

Przyjął tę „propozycję” jak wyrok losu. Zaufany Beaumonta złożył mu ją parę godzin temu i była naprawdę nie do odrzucenia. Zleceniodawcy mieli wszystkie atuty, a przede wszystkim dwa: inicjatywę i Korobkowa. Gdyby tego nie zrobił, podpisałby wyrok na siebie. Taka tajemnica zabija, zdradzono mu ją wiedząc, że doskonale o tym wie. A jaki głupek sam siebie spisałby na straty? Padło na niego jak w ruletce. Chłopcy w hallu też nie mieli żadnych szans, zwiedzeni jego wyglądem i paroma zdawkowymi słowami rzuconymi z wysokości schodów. Z kilku metrów byli łatwym celem.

- Cholera, co za marnotrawstwo. Szkoda chłopaków, mogliby się jeszcze przydać - mruknął, chowając pistolet z tłumikiem do kabury pod pachą.

W tym czasie to istotnie było czyste marnotrawstwo. Otworzył drzwi wychodzące na cichą, wąską uliczkę. Nim zdążył poczuć uderzenie fali ciepła, sprawę zakończył snajper z dachu budynku na przeciwko. I on i van Arle byli zamkniętymi kartami. Annały zanotują, że van Arle został zabity przez Helma, zamordowanego z kolei przez nieznanego sprawcę.

* * *

Luksusowa willa Guida Domeniciego w Biarritz została zamieniona w stos pogrzebowy pociskiem raketowym ziemia-ziemia typu Szust z ruchomej wyrzutni skrytej we wnętrzu dużego samochodu dostawczego. Nie pomogły systemy wczesnego ostrzegania i w asyście czterdziestu przyjaciół Guido wybrał się w zaświaty. Był na muszce Korobkowa od dawna, a teraz nadeszła minuta zero. Beaumont został postawiony przed faktem dokonanym.

I tak wojna o wpływy w hydrze się skończyła, nim szeregowi organizacji zdążyli ją zauważyć. Dopiero teraz Korobkow pokazał swoją prawdziwą klasę. Był już tylko kondotierem szukającym miejsca dla siebie i tych, którzy poszli za nim na rozkaz. Krawczenko nie żyje, wielkie plany wzięły w łeb, a oni byli już tylko zwykłymi infamisami i tu, i tam. Odrzucił pogardliwie propozycje Ogariowa obiecujące amnestię. To bzdura. Jeżeli muszą umrzeć, zrobią to jak mężczyźni nie pójdą na rzeź jak barany. Muszą służyć najsilniejszym, a najsilniejsi to właśnie ci, którym służą. Dowiedział się o zamachu na Domeniciego w minutę, przecież jego ludzie obstawiali bank. Stawiali sto przeciw jednemu, że to sprawka tego sępa Golda, z pozoru niegroźnego. Wielki Moris potrzebował go tylko do szesnastego kwietnia ale potem okazało się, że może być przydatny w szachowaniu Domeniciego.

- Pilnujcie Beaumonta. Nie może opuścić Strasburga - rozkazał, a chwilę potem podpisał wyroki na Guida i van Arlego. Szybki kontakt z Nim i już wiedział, co robić...

Pół godziny po śmierci van Arlego był w gmachu Europe. Ten wystraszony piękniś od razu pojął, że zabawa w jakieś triumwiraty się skończyła. Forma i treść ultimatum były cholernie proste. Albo on albo ktoś inny, nawet z drugiego szeregu. Beaumont wybrał życie i po wygłoszeniu telewizyjnego orędzia poczuł się zdecydowanie lepiej. W oczach świata był politykiem, mężem stanu. Świadków własnej hańby miewał po kilku i prawie bez wyjątku byli to milczący Rosjanie. Minimum autorytetu było potrzebne samemu Korobkowowi, szare eminencje zawsze choć trochę dbają o posągowość swoich figurantów, nawet jeśli nie są wystarczająco szare jak on.

- Wszystko powinno zostać tak, jak zaplanował Angelo - zdecydował Korobkow płynną, doskonałą angielszczyzną. - Pan zadba o to żeby jak najprędzej stworzyć jakąś namiastkę Rady Ocalenia Europy i zadekretować obietnice z przemówienia. W ciągu paru dni musimy oczyścić miasta z robactwa i ja zajmę się organizacją tej akcji. Pana niech o to głowa nie boli.

Wiedział doskonale, czego chce. Chciał uratować głowę i swoich chłopców. Po męsku przyjął cios, jakim była śmierć Krawczenki. Spodziewał się takiego zakończenia już w początku maja. Stary piernik czekał na lepszą okazję, a mógł zaatakować w czasie zamieszek w Moskwie i Piotrogradzie. Pretekst był znakomity - konieczność zaprowadzenia porządku. W to zawsze wierzy każdy Rosjanin. A On cały czas czekał niecierpliwie. W Ville przypominał wulkan w czasie erupcji. Na wiadomość o przejęciu władzy w Rosji przez Krawczenkę jego ludzie mieli zniszczyć górę mafijną, z odmetów zaś miał wynurzyć się Carney zbawca, Carney nauczyciel i odnowiciel. Pewnie obiecał Krawczence Wielką Rosję. Tak być mogło, bo wódz kondotierów nie wiedział wszystkiego i teraz ta wiedza nie była potrzebna. Carney jeszcze może wygrać i jego wygrana jest gwarancją dla nich na jakiś czas. Ale on już pomyślał o drodze na Czarny Łą. Tam znajdą miejsce dla siebie.

Kondotier nie był zwykłym mordercą. Zabijając, utrzymywał tylko stan pożądanego napięcia. Po śmierci Krawczenki to zadanie traciło sens. A Moris? A nowy Mojżesz? Chciał wytracić całe pokolenia jak tamten. Był przy nim, kiedy jednym ruchem ręki przesądzał o losie okrętu i miasta. Dobrze, że Krawczenko nie dostarczył jeszcze paru ładunków, uznając słusznie, że dwa starczą do skutecznego szantażu.

Nowy przewodniczący Rady musiał zawierzyć przyrodzonemu optymizmowi, uwięziony w szklanej pułapce wieżowca. Godząc się na taki zaszczyt ratował życie, ale co dalej? Czara goryczy zaczęła się przelewać po rozmowie ze Stanfordem. Połączył się z Anglikiem, by zaproponować mu drugie miejsce w Radzie. Kandydatura wydawała się idealna, nie spodziewał się odmowy. A przecież miara jaką mierzył siebie, nie przystawała do

Anglika. W odpowiedzi na propozycję Stanford zachichotał i zaczął walić słowami jak pięścią.

- Panie Beaumont, to jest naprawdę wielka niespodzianka ale na takie porno jestem za stary i za głupi, a kurewka Europa wcale mnie nie nęci. Dam panu dobrą radę. Niech pan znajdzie sobie jakiegoś bezmózgiego faceta z byczymi jajami, może on odwali panu ten numer. I niech mi pan nie truje dupy. Żegnam.

Oszołomiony, nie mogąc zdobyć się nawet na przekleństwo, Beaumont patrzył w siatkę interkomu nie wierząc sobie. Przecież nic się nie zmieniło, powtarzał w myślach. Pomysł Angela jest znakomity. Po kilku minutach optymizm znowu zaczął przebijać przez poczucie klęski, podbudowany paroma mocnymi argumentami. Przecież nie będzie przejmował się jakimś lokalnym kacykiem, takich jest na kopy - „Jeżeli dzieje się aż tak źle, nie pozwalaj sobie na pesymizm” - przypomniał sobie to powiedzonko myśląc przy tym, że w jego akwarium dno jest jeszcze daleko. Co by zrobił Angelo? Ależ tak Jest Dworeck, Pareira, Knutsen, Jelicz i wielu jeszcze darmozjadów prawników, doradców, przydupasów. Oni są od myślenia. Postanowił ściągnąć ich tu, by ulepili ileś tam cegiełek i zbudowali coś sensownego. Angelo nie dzielił się z nimi swoimi planami, on je po prostu realizował przy ich pomocy. Ogarniał wzrokiem wszystko wokół niego. Nie przeoczył nawet najmniejszego szczegółu i umiał przewidywać. Zresztą mniejsza z tym jak to robił Angelo. Skoro mógł on, mogą też inni. Na własną wielkość trzeba zapracować i on też zacznie pracować. Nie będzie jakimś popychadłem tego Ruska. Porozumie się z Goldem, Donovanem...

Zadzwoił z Nowego Jorku rzecznik Departamentu Stanu, grzeczny, zimny.

- Szanowny panie Beaumont. W związku z tragiczną śmiercią pana Domenici i nieoczekiwaną zmianą sytuacji jesteśmy zmuszeni do zachowania większej wstrzemięźliwości w sądach o naszych wzajemnych stosunkach - zawiesił głos, czekając na odpowiedź, która mogła być tylko pytaniem.

- Nie bardzo pana rozumiem. Czyżby coś zmieniło się od wczoraj? - Beaumont poczuł, że zamiast sarkazmu w jego głosie przebija strach.

- Zdaniem pana Bingham'a bardzo wiele, szanowny panie. Wedle naszej oceny Rada Ocalenia Europy straciła poważnie na wiarygodności po tej wstrząsającej tragedii - plótl gładko rzecznik. - Jesteśmy jednak skłonni poprzeć ją w nowym kształcie, ale na nieco innych warunkach, panie Beaumont.

- Czy mogę wiedzieć, jakie to warunki?

- Ich przedłożenie i przedyskutowanie wymaga spokoju i powagi. Powiem tylko, że część z nich to warunki natury gospodarczej i wojskowej.

Monotonny głos tego parafialnego politykiera doprowadzał do szaleństwa.

- A kiedy powiecie światu, że żartowaliście?

- Nie będziemy się z tym tak bardzo spieszyć, panie Beaumont.

- Ciekaw jestem, co tak naprawdę zmieniło wasze stanowisko.

- To nie tajemnica, panie Beaumont. Strach, po prostu strach. Dojrzeliśmy do tego, żeby was zerwali Rosjanie. Macie już u siebie strażę przednie.

Tego już Beaumont nie wytrzymał. Nie pomogło powtarzanie sobie, że prawdziwi politycy nigdy, przenigdy nie objawiają swoich uczuć.

- Gównu prawda, dupku! Trzęśliście portkami przed Angelem, bo miał na was niejednego haka a teraz wyczuliście, że otwiera się szansa dla waszych rodzin ze wschodniego wybrzeża, tak? Powiedz tym durniom, którzy was nakręcają, że tak się nigdy nie stanie, a naszym pierwszym naszym krokiem będzie pełne embargo na oniryki i narkotyki idące naszymi kanałami. Zrozumiałeś?

- Pozwoli pan, że przekonsultuję tę propozycję i odpowiem najprędzej, jak to będzie możliwe.

Beaumont ryknął w interkom przekleństwo i wyłączył się. Po co mi to wszystko? Czy nie lepiej strzelić sobie w łeb?

- Panie dyrektorze, zebrani czekają na pana w sali konferencyjnej - zakomunikowała Emilia, jedna z sekretarek.

- Czy pułkownik Korobkow już jest? - spytał zrezygnowany, zastanawiając się czy zdoła wyskoczyć z tego rozpędzonego pociągu.

- Nie, panie dyrektorze. Jeszcze go nie ma.

Pozbierał się jakoś i nawet nie sprawdzając w lustrze jak wygląda, wyszedł do sali konferencyjnej.

- Wezwałem tu panów, bo ufam w mądrość zbiorową - ogarnął wzrokiem prawie dwudziestu znawców zawitych tras slalomowych między paragrafami. - Musimy wspólnie zastanowić się nad kształtem istniejącej de facto Rady...

Przerwał, gdyż w tym momencie wszedł Korobkow z automatem na pasie. Jednym rzutem oka ocenił sytuację, nie mówiąc słowa. Nie zamierzał usiąść, mimo że połowa miejsc była wolna. Stał z boku. Beaumont zauważył poruszenie wśród tej tchórzliwej, ale jakże potrzebnej drobnicy, czując małą satysfakcję z faktu, że jednak ma za sobą tę ścianę, o którą może się oprzeć. Korobkow stał nieruchomy, nieodgadniony jak sfinks, zdecydowany jak Torquemada.

- Musimy jak najprędzej dopracować skład personalny - ciągnął dalej Beaumont. -

Musimy dać jej mocny impuls do działania. Nie tylko impuls ale i sankcje prawne. Jak panom wiadomo, ja przejąłem tymczasowe przewodzenie Radzie Ocalenia jako jedyny żyjący członek jej pierwotnego składu...

- Carney - rzekł Korobkow. Nie poruszył się a wszyscy, z przewodniczącym na czele, zastygli na swoich miejscach. - Tylko on potrafi zrobić to, o czym z takim upodobaniem pieprzycie. Zgodził się zostać szefem. On zdecyduje, jak to będzie wyglądało.

- W takim razie... w takim razie... - dopiero po paru sekundach Beaumont odnalazł te parę słów, nie odczuwając spodziewanej ulgi po odnalezieniu furtki - ja wycofuję się, składam rezygnację.

- Pan Carney będzie tu wieczorem. Radzę nie opuszczać gmachu! - oznajmił sucho Korobkow i sztywnym, żołnierskim krokiem opuścił salę.

- Dziękuję panom - wybąkał chwilowy przewodniczący. Ziemia rozstała się pod nogami, spadał, spadał, spadał. Nie miał cienia pewności, że jest jeszcze dyrektorem, że gdziekolwiek w tej wieży Babel może czuć się jak u siebie. Wiedział jedynie, że nie może stąd wyjść.

Nikt do niego nie podszedł, nie położył ręki na ramieniu. Nawet starali się nie patrzeć w jego stronę. Cóż, to w końcu najzupełniej normalne. Sam zachowywał się tak dziesiątki razy w czasach, kiedy wspinał się na szczyt, dziesiątki razy czuł szczerą radość czy prostą satysfakcję, gdy strącano z piedestałów jego przeciwników, a wtedy jego przeciwnikami byli wszyscy, którzy mogli mu rozkazywać. A teraz? Sądził, że teraz sam może strącać, a sam został strącony, zanim poczuł smak władzy. Wielki Boże! Carney za plecami Korobkowa! To jest prawdziwa pornografia myślał z goryczą. Ojciec Europy, dobre sobie.

Wracał do swojego, a może już nie swojego gabinetu, mając straszliwą ochotę na popełnienie czegoś szalonego. Upije się. Przy obitych skórą drzwiach stał komandos Korobkowa, żołnierz doskonały, nieruchomy jak posąg, wpatrzony w ścianę. Nie zatrzymał go, nie poruszył się nawet. W sekretariacie pełnym monitorów i interkomów wszystko wyglądało raczej normalnie, doskonała sekretarka też.

- Emilio? - i tak miała podsłuch na konferencyjną i z obowiązku nagrywała przebieg tej „narady”. - Nie wiem, czy jeszcze jestem tu szefem, ale gdybym był potrzebny, w co szczerze wątpię, to szukajcie mnie na osiemnastym. Będę u Jacka Kersee. Myślę, że redaktor dyżurny poradzi sobie z programem.

- Ja też tak myślę, panie dyrektorze - odpowiedziała chłodno, beznamytnie jak mówiący komputer model 2015.

Gabinet też nie zmienił się ani trochę, o trzy numery za duży na każdego. Beaumont

ani chwili nie myślał o ucieczce. Jego kilkunastu ludzi przeciw mordercom Korobkowa? Nie, to odpada, a zresztą nie wiadomo nawet czy jeszcze żyją. Czas na luksus fatalizmu. Pogada jeszcze z Jackiem. Uznał, że mimo wszystko są do pary. Obaj byli tu uwięzieni. Jack od dawna, on od chwili, ale to było mniej istotne. Więźniowie powinni czuć jakąś solidarność. Jack może zapomnieć, że on, Beaumont jakiś czas był dozorcą w tym więzieniu, że kategorycznie zabronił mu występowania na wizji. A tak poza tym nie zrobił nic przeciw panu Kersee, facet był mu raczej obojętny.

Czy może mnie nie przyjąć? Och nie, w końcu nazywam się Beaumont, a kogoś takiego nie można zlekceważyć, myślał szukając odpowiednich butelek. Znał się na tym co nieco, a barek w jego gabinecie był nieźle zaopatrzone. Wiedział, że Kersee lubi dobre alkohole.

- Jack? Tu Beaumont - wcisnął guzik wizjofonu i drzwi otworzyły się po dwóch sekundach.

- Wielki i niespodziewany to zaszczyt, panie dyrektorze. - Jack wychodził mu na spotkanie, nie kryjąc ironii.

Tak, on to robił zupełnie celowo i to było pocieszające, facet miał charakter. Picie z jakimś płazińcem to żadna przyjemność. Beaumont postanowił udawać tak zwanego swojego chłopca.

- Nie pieprz Jack, i nie rób ze mnie wała, dobrze? Przychodzę tu napić się z tobą i to wszystko, chłopie - wyciągnął z torby litrowego ballantine'a, napoleona z pięcioma gwiazdkami i corda. Taka bateria musiała się spotkać z uznaniem.

- A niech mnie, szanowny dyrektorze - roześmiał się Jack. - Jest pan lepszy od węża z raję, a ja mam słaby charakter i krótką pamięć. Napiję się z panem z ogromną chęcią, wprost proporcjonalną do jakości trunków. Nie wiem co się stało, ale wygląda pan jak nawrócony. Nie pytam na razie co tu pana sprowadza i to aż z trzema butelkami. Jak na wizytę kurtuazyjną to o dwie flachy za dużo. Już donoszę szkło. Co mamy zalewać, panie dyrektorze? Jakie robaki?

Kersee jeszcze nie wiedział o niczym, a on nie był gotowy do oznajmienia mu najnowszych wieści, jeszcze nie.

- Tych mi nie brakuje, Jack. Córka od lat siedzi w Afryce, pomaga jakimś Zulusom czy Buszmenom i nie chce pamiętać o mnie. A Eryk? Mój synalek épa na całego, sra na ojca, walczy o lepszy świat gdzieś w Paryżu i ma szansę na przeżycie pół na pół - roześmiał się gorzko. - Za nich Jack, za wszystkich. A ja chciałem tylko ich szczęścia.

- Powtarza pan to samo co i tamci, których wzięli diabli - przez słowa Jacka

przezierała całkiem trzeźwa pasja. - Mówiliście, że pragniecie ich szczęścia, że realizujecie stare hasło „Raj natychmiast” i uszczęśliwialiście miliony, wciskając im oniryki i kulturową papkę.

- I tak myślę teraz, Jack. Nalej następnego. - A kiedy wypili w iście ekspresowym tempie, ciągnął dalej: - Daliśmy im to, czego pragnęli. Nie muszą pracować a mają wszystko. Czy to nie jest spełnienie marzeń? Oni byli szczęśliwi, Jack.

- Szczęśliwi?! - Jack Kersee nie wytrzymał. - Niech pan nie robi z siebie idioty. Bydło rzeźne też jest szczęśliwe, co? Może także w momencie, kiedy idzie na ubój? Otępiłiście ich tak, że sami nie wiedzą czy istnieje jeszcze coś poza onirycznym światem. Brał pan oniryki? Nie! Pan wolał uszczęśliwiać innych, tak? Dlaczego to robiliście? Z altruizmu?

- Przestań, Jack. Znam to na pamięć. Wiesz dobrze, że zajmowałem się czymś innym, nie produkcją ani dystrybucją tego świństwa. Jestem tu by pogadać z tobą o tym, co dzieje się teraz. Zapytać czy z tą chorobą poradzi sobie nasz znakomity znachor - roześmiał się głupawo.

- Wybacz pan, ale nie rozumiem.

- No tak. Ty jeszcze nie wiesz o tym, że ster naszego zatopionego okrętu bierze w swoje święte, nieskalane ręce sam Moris - chichotał głupawo.

- Carney?! Bogu niech będę dzięki! - początkowo Jack nie zwrócił uwagi na dziwne zachowanie Beaumonta. - Nareszcie, nareszcie? Koniec z tymi szaleństwami. On jest jedynym człowiekiem w Europie, który może odmienić szalony bieg rzeczy. On jest jak wyrocznia, jak opoka i za nim pójdą miliony, pójdą wszyscy, którzy mają trochę rozumu i serca. Nareszcie, nareszcie! Musimy to uczcić następną szklanką, panie dyrektorze. Za Europę, za Carneya!

- Możemy, Jack, możemy... - Beaumont jeszcze chichotał, chudy, skurczony demon. - Ale nie spiesz się tak z toastami. Co zrobisz jeśli ci powiem, że niecałą godzinę temu uroczystej intronizacji Carneya dokonał sam Korobkow? Tak Jack, Gienadij Korobkow. Wypijmy od razu za tę dobraną parę.

- Korobkow? Nie wierzę - szepnął Kersee. To było jak cios maczugą prosto w ciemność. Wstrząs był tak silny, że Jack niemal stracił przytomność. Carney i Korobkow! O Boże!

Anioł obok zbrodniarza. Przecież to nie może być prawda, nie może. Powtarzał w kółko i coraz ciszej swoje bezsilne „nie wierzę”.

- To uwierzysz już niebawem Jack, bo pewnie za jakiś czas nowy zbawca Europy przyleci tu białym śmigłowcem w otoczeniu czarnej świty i otworzy się niebo dla maluczkich. - Teraz Beaumont nalał sobie i jemu. - Tak, tak, Jack. Na tym świecie wszystko jest możliwe i

coraz więcej świadczy o tym, że nasz europejski święty ma łapy po łokcie umazane gównem, bo inaczej nie zbliżyłby się do Korobkova nawet na tysiąc mil. Ale może to dobrze? Tym samym zdjęli mi z ramion ten niechciany ciężar, ale pewnie też wydali wyrok, a jeżeli tak to nie ma od niego apelacji, tylko do Boga. Już nie chcę uciekać. Nie mam po co. Wypijmy za nasze parszywe życie i nieciekawą śmierć, Jack. A teraz powiem ci, że niespełna godzinę temu chciałem cię wciągnąć do tej naszej Rady Ocalenia. Może się mylę, ale gdybyś jeszcze żył zrób co się da, żeby nie dopuścić do tego, co obmyślił Angelo i czego chce sługa nowego władcy - przerwał czekając na pytania ale Jack milczał. - Mają w łapach spory zapas gazów bojowych i chcą je rzucić na dzielnice opanowane przez młodych. Angelo się na to zgodził. A co zrobi Carney? Jak myślisz?

- Ta brudna Europa nie może mieć czystego sumienia. Tak, to po prostu nielogiczne. - Kersee wspominał Ivora, szepcząc coś ledwo słyszalnie do siebie.

Strzelista wieża jego wiary w to, co dobre w obu światach, runęła nagle zwalona jednym lekkim kopniakiem olbrzyma. Uwierzył Beaumontowi od razu, tamten był w takim dziwnym stanie zupełnego otwarcia na innych, możliwym na tym etapie picia, kiedy pijący odkrywa siebie innego i chwilę chce być tym innym. Zresztą uwierzyłby chyba nawet trzeźwemu.

- Przyszedł i powiedział, że cała ta nasza Rada to pieprzenie w bambus. - Beaumont nie usłyszał, nie zrozumiał albo nie chciał zrozumieć. - Popatrzył na nas tym swoim wzrokiem bazyliuszka i powiedział, że Carney bierze wszystko na siebie a my nadajemy się tylko na mierzwę. Ma siłę i ma rację. Jesteśmy tylko mierzwą, nawozem pod kwiaty przyszłości. Ty znasz Carneya, Jack?

- Tak, poznałem go kiedyś na mityngu ruchu alternatywnego, dawno, dawno temu. Był wtedy jak żywioł, porwał nas już pierwszymi zdaniem i pamiętam, że byłem bliski euforii kiedy mówił, że musimy umieć walczyć o naszą wolność, godność, że musimy ocalić wrażliwość na wszelkie odmiany zła. Jakże byłem szczęśliwy, że mogę uścisnąć mu rękę, a byłem już znany, sławny. Boże, co się dzieje?! Co się dzieje?!

- Dzieją się dziwne rzeczy Jack, tak dziwne, że nie jesteśmy w stanie tego pojąć. Zauważyłeś, jak teraz wszystko dzieje się szybko? Wojny wybuchają w minutę i gasną w dwa dni, bo telewizja się nimi nie interesuje, rewolty biorą się znikąd i to w najmniej spodziewanych miejscach, zaskakując najtęższe łby. Jakby czas nagle oszalał, jakby zbliżał się naprawdę wielki wybuch. Sami to głupkowato sprowokowaliśmy prognozami. Pamiętasz, Jack, ilu mędrków wmawiało nam, że katastrofa za progiem? To myśmy ją tam postawili, a kiedy otworzyliśmy drzwi dała nam w mordę. Wtedy się roześmieliśmy, dumni z tego, żeśmy

ją przewidzieli. I szczęśliwi, bo jeżeli już miała być, lepiej odwalić to jak najszybciej. Bo my tęskniliśmy za nią zupełnie świadomie, tak, tęskniliśmy. Już kończę Jack, zaraz. Zauważyłeś pewnie, że od pradziejów dominuje głębokie przekonanie, że człowiek zniszczy sam siebie? Egipcjanie, Chińczycy, Grecy byli przekonani, że czas złotego wieku przeminął bezpowrotnie i staczamy się przez wieki żelaza i kamienia do płonącej otchłani zagłady? W każdej religii bogowie i prorocy wieszczą koniec świata i sąd ostateczny. Czy to bierze się znikąd? Czy może myślimy tak dlatego, że sami umieramy i każdy z nas ma swój koniec świata? No powiedz Jack, odpowiedz na choć jedno z tych głupich pytań.

- Na to jest tylko jedna odpowiedź. Po nas choćby potop - odpowiedział Jack Kersee, napełniając obie szklanki po brzegi.

Byli w Chambery zaledwie półtorej godziny. Nie przyjęli zaproszenia Riedla na obiad. Spieszyli się. Chris chciał opuścić to potworne miejsce jak najprędzej, tu wracała do niego dzika agresja, nad którą panował z trudem, agresja przeciw tym bezbronnyhomunculusom. Czyżby to była agresja przeciw całemu nieszczęściu? Wiedział, że wróci tu ale tylko po to, by zabrać stąd Denisa, zabrać gdziekolwiek.

Majestatyczna Cobra korpusu medycznego armii, na ten czas wyposażona jak śmigłowce bojowe, pilotowana przez porucznika Hartmana, wzniosła się w górę i poczuł jak powoli wraca mu spokój. Zło nie sięgało aż tutaj, pozostało uwięzione w wieloskrzydłym pawilonie. Zło zostało na ziemi. Czy dlatego niebo jest zawsze tutaj? Nad ziemią?

- Chcesz wiedzieć coś jeszcze o tej klinice, Chris? - spytał Stawsky. Mogli rozmawiać swobodnie w izolowanej kabinie dla chorych.

- Nie chcę Stan, wiem wystarczająco dużo. Wolę wiedzieć więcej o życiu tam, na dole. Mów.

- Tak, lepiej popatrz na dół. Popatrz, a zobaczysz choć mały kawałek prawdziwego życia naszego interioru. Tu niewiele się zmieniło, tu jest nadzieja na jakieś jutro. Krowy pasą się na pastwiskach, traktory jeżdżą po polach, dojrzewają zboża i aż trudno uwierzyć, że gdzie indziej trwa krwawe rozpasanie. Ale ten stan spokoju widziany z góry to tylko pozór. Założę się, że facet na traktorze ma na ramieniu strzelbę myśliwską.

- Mów, mów Stan. Chcę wiedzieć - usłyszał cichą prośbę Chrisa.

Już nawet w myślach nie nazywał go implantem. Ten wspaniały chłopak miał w sobie tyle wrażliwości, sublimował w sobie chyba całe dobro, jakiego sam nie zaznał. Mimo wszystko był niewinny, nieskalany.

- Tę normalność ci ludzie zawdzięczają tylko sobie, Chris. Społeczności lokalne spoiły się chyba dzięki bardzo rozwiniętej samorządności i to pozwoliło im na samoorganizację w chwili zagrożenia. Po prostu odcięli się od wielkich miast, które i tak rządziły się swoimi prawami. W miastach pozostali bezwolni konsumenci nieszczęsnej kultury masowej. Tutaj, na dole, żyją ludzie utrzymujący się z prawdziwej pracy i produkcji dóbr spożywczych, to nie jacyś tam państwowi rentierzy. Zarabiają nawet dziesięciokrotnie więcej, potępiają oniryki przekładając nad nie dobre wino. Uciekła stąd młodzież a przybyła cała masa ludzi z ruchów

naturystycznych, którzy chcą odnaleźć nową harmonię z przyrodą i innymi ludźmi. Mniejsze miasta i prowincja uniknęły poważniejszych wstrząsów i jakoś potrafiły obronić się przed wcześniejszą inwazją miejskich wzorców, a teraz przed zupełnym chaosem, tak samo jak kraje Europy Wschodniej. Tutaj też uciekła cała masa policjantów z metropolii, którzy zorganizowali samoobronę, no i my kontrolujemy te obszary ze swoich baz, o ile jest to możliwe. Patrolują tu samoloty i dają znać, gdzie coś się dzieje. Wieloma interwencjami udało się choć trochę odbudować zaufanie do nas. Wiesz, jeżeli zachodzi potrzeba wysyła się lotne plutony z jednostek specjalnych i te zaprowadzają porządek siłą. Niestety nie ma innego sposobu, Chris. Zabijamy po to, by inni mogli żyć. Hołdujemy szczególnej teorii mniejszego zła. Gdzie są zamieszki tam muszą być uzbrojeni mordercy, a w takich przypadkach i nas obowiązuje prosta zasada „oko za oko”. Nie zaglądamy tam ludzie hydry, tylko dbają by nie było tu spokoju. Dają dzieciakom oniryki i każą mordować. Więc i my zabijamy. Nawet Donovan nie może nad tym panować. W każdym z nas drzemią bestie...

Akurat kiedy mówili o tym, zobaczyli na otwartej przestrzeni zatrzymującą się kawalkadę samochodów i motocykli. Następcy szalonego Maxa postępowali wedle powielanego tysiąc razy wzoru. Czuli się jak niepokonani herosi z filmów, jak oni zdecydowani i okrutni. Kilkanaście pojazdów różnych typów i parę razy więcej motocykli, parę dziesiątków ludzi. Cobra trzymała się pułapu pięćdziesięciu, siedemdziesięciu metrów. Widoczność była doskonała. Stawsky podniósł do ust mikrofon zawieszony na szyi.

- Poruczniku, czy widzi pan tę grupę na północnym wschodzie?

- Tak, kapitanie. Nie wygląda na to, że chcą nam tylko pomachać łapkami - w głosie dowódcy słychać było emocje myśliwego. Nie mogli widzieć jego twarzy, tylko tył hełmofonu. - Czy ma pan jakieś sugestie?

- Na razie żadnych, poruczniku - odpowiedział Stawsky. Jeszcze nie zmienił naszywek i pozostawał kapitanem.

Byli może o dwieście metrów od grupy samochodów i kupy ludzi między nimi. Już można było odróżnić poszczególne twarze, stroje. Dwóch wysuniętych do przodu mężczyzn trzymało na ramionach charakterystyczne rury wyrzutni bezodrzutowych. Ich zamiary były oczywiste. Chcieli zabawić się w strzelanego. Hartman wciąż podnosił maszynę na wyższy pułap.

- I co pan myśli o tym, poruczniku? - pytał Stawsky, widząc przez szybę jak obaj piloci ożywili się przy komputerze pokładowym.

- Nie ma obawy, kapitanie - usłyszeli w słuchawkach opanowany głos. - Idziemy teraz na osłonach zewnętrznych i włączonych systemach anty. Na takiej wysokości nic nam nie

zrobią ani tymi rurami, ani pukawkami. Wygląda mi na to, że oni nie mają pojęcia do czego chcą strzelać.

- Na to wygląda poruczniku, ale chcą.

Nie skomentował tego, że tamci na ziemi przymierzali się do śmigłowca ratunkowego. Musieli przecież dostrzec czerwone krzyże w białych obramowaniach na bokach i pod brzuchem maszyny. Piloci podeszli niebezpiecznie blisko. Mogliby uciec jeszcze minutę temu, teraz to było niemożliwe. Dowódca chciał sprowokować rajderów. I jak na komendę z wylotów obu luf wykwitły płomieniste kwiaty. Komputer pokładowy zareagował na ostrzeżenia sensorów po trzech nanosekundach odpaleniem antyrakiet czołowych. Przechwyciły pociski i eksplozje nastąpiły o sto metrów od potężnej maszyny, siła poczwórnego wybuchu zakotłosała mocno śmigłowcem. Po chwili zobaczyli, bo nie mogli usłyszeć, ostrą kanonadę. Ci z dołu strzelali do nich pojedynczo, seriami, niektórzy ograniczali się do grożenia zaciśniętymi pięściami. Wobec osłon grawitacyjnych pięści były równie skuteczne jak karabiny.

- Nie wiem jak to określić, kapitanie - zabrzmiał głos dowódcy. Zataczali łuk dookoła grupy nieruchomych pojazdów i szalejących ludzi. - Ale dla mnie to oczywisty akt agresji i złamanie wszystkich konwencji od czasów wojny trojańskiej. Nie sądzi pan?

- Co ty o tym myślisz, Chris? - Stawsky zakrył ręką mikrofon.

Twarz Ivora zastygła w kamienną maskę. Taka właśnie była w schronie, kiedy zobaczył go po raz pierwszy, śpiącego. Nie mógł wiedzieć, że przed oczami Chrisa stała w tamtej chwili skulona postać starego, proszącego o śmierć człowieka. Oni zabrali temu staremu człowiekowi wszystko, nawet śmierć. Tacy jak oni. To musieli być tacy jak oni.

- Oni proszą o śmierć - odpowiedział Chris, zaciskając w dłoni swój mikrofon.

Uczucie litości nie było mu dobrze znane. Teraz nie było w nim miejsca na litość. Zasada mówiła wyraźnie: „Zabij tego, kto chce zabić ciebie”. Być może, jeśli zabiją jednego z tych bezmyślnych szczurów, uratują życie kilku innych ludzi? Nie było i nie ma granic między większym i mniejszym złem. Zło jest zawsze takie samo.

- Nie mam wątpliwości, że chce pan rozpieprzyć tę bandę - powiedział w otwarty mikrofon Stawsky.

- I co pan na to?

- Sądzę, że pan może sam odpowiedzieć na takie pytanie, poruczniku. Ja jestem tylko gościem, nie włączę gospodarzowi do sypialni.

- Zatem odpowiadam, kapitanie. - Hartman nie był już obojętny, zimny jak przed chwilą.

Maszyna zawisła w powietrzu, zrobiła szybki nawrót i zaczęła iść wprost na grupę, trzymając się bezpiecznej wysokości dwustu metrów. Antyrakiety z ich wyrzutni znów przechwyciły dwa atakujące ich pociski, a za nimi poszła natychmiast salwa czterech rakiet bojowych zdolnych do zniszczenia czterech czołgów. Przy samochodach zostało tylko dwóch z wyrzutniami. Reszta bandy w szalonym biegu pierzchła na wszystkie strony czując, że ta z pozoru niegroźna maszyna niesie śmierć. Jednoczesny wybuch czterech rakiet zdmuchnął z drogi wszystko, ludzi, motocykle, samochody. Tylko resztki blach i koła opadały po brzegach krwistoczerwonego kielicha, z którego wyrastał grzyb gęstego czarnego dymu. Dwaj wojownicy zostali rozszarpani na strzępy, reszta tworzyła symetryczny krąg wokół epicentrum.

- Dziękuję, kapitanie - usłyszeli słowa porucznika.

Stawsky zrozumiał. Chłopak dowodzący tą maszyną nie brał pewnie udziału w akcjach bojowych i prawdopodobnie teraz mógł odpłacić za jakieś krzywdy. Wszyscy ich doznali, a o takie rzeczy się nie pyta. Zawrócili na Monte.

- Mów, Stan. Tak dobrze mówisz. - Dla Chrisa ten epizod był już przeszłością.

- Skoro chcesz... To właśnie byli ci, którzy rewoltują się w interiorze. Tacy jak oni chcą opanować drogi i brać opłaty za przejazdy w wysokości, jaka im się podoba. Tu obowiązuje tylko prawo siły. To aż głupie, bo te dzieciaki przypominają bohaterów filmów klasy C, stamtąd czerpią wzory, a Mel Gibson to dla nich prawie bóg. Takich stworzyła kultura masowa. Są tak samo nieobliczalni jak ci w miastach, a tym dziksi na im większy opór trafiają. Dwa tygodnie temu kilka grup zupełnie zniszczyło miasteczko Bray-Sur-Senne koło Paryża. Miasto poszło z dymem, a do piachu dwa tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci, tylko dlatego że mieszkańcy rozpędzili małą bandę samochodową, broniąc się przed grabieżą. Dowiedzieliśmy się o tym dopiero z satelity i to przypadkiem - roześmiał się gorzko. - Prawie nikt nie słucha ani nie ogląda naszych stacji. Jesteśmy jak trędowaci dla tych, którzy łatwo znajdują winnych. Takich grup i grupek jest kilka tysięcy, największa, licząca czterystu tych bojowników o wolność, grasuje na drodze między Paryżem a Metzem. Żaden ani myśli o oddawaniu broni, ta zabawa za bardzo im się podoba i żadne groźby ani prośby nie skutkują. Śmierć staniała Chris, bardzo staniała. Otepieni narkotykami chyba nawet nie zauważają, że ubywa kumpli a może po swojemu pojmują spiralę zemsty, sam tego nie wiem. Może już walczą tylko o przeżycie. Nam trudno ich zrozumieć, na dobrą sprawę nikt się nie starał, a oni są inni, bardzo inni. To też sami sobie zafundowaliśmy, szczególną formę submana, człowieka nie uznającego wartości. Nie wiem, nie jestem socjotechnikiem, ale zdaje mi się, że oni już są straceni. Odkryli, że prawartością, a zarazem źródłem wszelkich wartości jest

przemoc. Nie nudzę cię?

- Nie, to bardzo ważne, Stan. Mów.

- No więc ja jestem przekonany, że nie oddadzą dobrowolnie zabawek i sama armia nad tym nie zapanuje, posługując się takimi metodami jakie stosuje dzisiaj, a ktoś musi to zrobić, bo za pół roku będzie za późno. Nie wiem, co myśli o tym Donovan, co inni, ale ja byłbym za wprowadzeniem porządku siłą jeżeli tylko tobie się uda.

- Kapitanie, za pięć minut lądujemy w Monte - odezwał się Hartman. - Czy będę mógł napisać w raporcie, że nie zaszło nic nadzwyczajnego?

- A co zaszło, poruczniku? My nic nie wiemy.

- Mój drugi pilot też niczego nie widział, a obsługa na dole jest z tej samej gliny.

- Więc naprawdę nic nie zaszło, poruczniku. Dziękujemy za przejażdżkę - zapewnił bez wyrzutów sumienia Stawsky.

Spokojnie siedli na lądowisku Montelimar, gdzie czekał samochód z kierowcą, szeregowym inżynierem, który zawiózł ich na obiad do kantyny, w drodze niczym komentator radiowy podając komunikaty na temat aktualnej sytuacji. Donovan i cała góra znów czekają na coś bardzo poważnego. Podobno w Strasburgu i Berlinie dzieją się jakieś znaczące historie. Niestety, nie wiadomo co to takiego.

- Skoro pojedliście, zawiozę was do kapitana Nowickiego. Czekają na ciebie, Chris - tu prawie wszyscy mówili sobie po imieniu, jeśli tylko stali niżej pułkownika. - Jest kierownikiem bazy technicznej numer trzy. Ma mieć jakieś drobiazgi dla Chrisa. Potem też jestem do waszych usług.

- Dziękuję, Paul. Lussac myśli o wszystkim.

Po dziesięciu minutach byli u zwalistego kapitana królującego w ogromnym magazynie pełnym różnorakiego sprzętu służącego zabijaniu i obronie.

- Panie Ivor, cała ta rupieciarnia jest do pańskiej dyspozycji. Pułkownik Lussac powiedział mi, że obok kamizelki kuloodpornej mam panu dać wszystko, co się panu zamarzy. Postaram się.

- Kamizelka ci się przyda, Chris - powiedział Stawsky.

- Przyda - powtórzył jak echo Ivor.

- Mam konkretne pytanie i wcale nie mówię przez zwykłą ciekawość. - Nowicki rzeczowo, flegmatycznie badał grunt. - Czy ma pan zamiar prowadzić akcję w nocy, czy w dzień?

- Nocą.

- Wobec tego proszę za mną. Coś panu pokażę. - Trzeba im było stu kroków w tym

labiryncie, by dotrzeć na miejsce. - Te niby trykoty wiszące tutaj ekranują promieniowanie podczerwone. Nocą będzie pan praktycznie niewidzialny, nie sięgną pana żadne termopary, bolometry czy detektory pneumatyczne, nie mówiąc o prostszych. Przyda się panu taka osłona?

- Tak, przyda - rzekł po swojemu Ivor.

- To proszę wybrać dla siebie, są ułożone według rozmiaru. O, na metr osiemdziesiąt pięć jest tutaj. Jaka interesuje pana broń? Tradycyjna, mała i wielkokalibrowa, bezgłośna, niewykrywalna przez detektory metali...

Chris wybrał mały, lekki karabinek bezgłośny kalibru 5 mm i nie czekając już na pytania kapitana, sam złożył niespodzianie długie zamówienie.

- Potrzebuję jeszcze pełnego zestawu narzędzi w śmigłowcu, trzy metry miękkiego drutu miedzianego bez izolacji, małe nożyce albo laser do cięcia metalu, komandoski nóż z wyrzucanym ostrzem, radiolokator czasowy, lekką, składaną lotnię, kilka rac z błędniakiem radarowym, uniwersalny blok elektroniczny do zamków, lepszy od mojego - z kieszeni kurtki wyjął mały prostokąt i podał Nowickiemu. - Kilkanaście pozorantów ogniowych sterowanych radiem, a także ze trzydzieści petard imitacyjnych.

- Oczywiście, panie Ivor. Za pięć minut ma pan wszystko. - Nowicki ani trochę nie był zaskoczony. - Bądźcie łaskawi zaczekać tutaj. Niektóre z pańskich zamówień muszę sprawdzić sam. Pańskie oko konia tuczy, co rodaku?

- Święta racja, Jerzy. Święta racja - odpowiedział Stawsky i teraz dopiero Nowicki się uśmiechnął. Pewnie spostrzegł kiedyś w lustrze, że z uśmiechem wygląda nieco głupawo. Stawsky odczekał chwilę i wtedy dopiero zapytał:

- Chris, czy mogę polecieć tam z tobą? Chcę ci pomóc, a opieka lekarska może ci się przydać.

- Nie. Dziękuję, przyjacielu. Muszę być sam. Nauczono nas ufać tylko sobie.

Chris obejrzał karabinek przez krótką chwilę, wyjął zamek, magazynek, w mgnieniu oka złożył z powrotem. Wydawało się to jakąś sztuczką prestidigitatora. Musiał przejść niezłą szkołę. Na to wskazywały także zamówienia.

- Wiesz, Stan - powiedział niespodzianie - mam wrażenie, że ten Lussac wie co mi dolega, czego mi brakuje. Kiedy mówiłem, że nie chcę broni brało się to stąd, że ja nie potrafię przewidywać. Zdawało mi się, że postanowiłem jak to zrobić, ale to postanowienie było pochopne. Ja cały czas myślałem o adrenolu, że on mnie odmieni i pomoże. Uczono nas improwizacji, mówiono, że dzięki adrenolowi jesteśmy niepokonani, ale teraz w to nie wierzę. Gdyby coś się tam zmieniło byłbym bezradny, a z tym wszystkim mam wybór

spośród co najmniej trzech ewentualności. Jeszcze wiele muszę się nauczyć, o ile zdobędę czas dla siebie. Czas i spokój, Stan.

- Taka nauka przyjdzie ci z łatwością. Starczy miesiąc. Kilka operacji i będziesz żył jak my. Chcesz tego?

- Chcę.

Mówiąc to, Stawsky nie chciał pocieszać, akurat od tego był daleki. Wierzył w to cholernie głęboko i podejrzewał, że Topfer osiągnął niemożliwe, zwiększając znacznie potencjał mózgu Chrisa. Ten chłopiec był mu bliski jak brat, zadziwił go. Jakże głupie były nadzieje na zrobienie kariery naukowej przy posłuszeniu się tym „przypadkiem”. Byli zbyt sobie bliscy, także za sprawą tej tajemnicy.

- Stan - on jakby odgadywał myśli. - Kiedy już odleczę możesz im powiedzieć, kto mnie tu przysłał, kto stoi za tym wszystkim. Zanim dowiedzą się gdzie szukać Golda, miną dni i dla nich będzie chyba za późno. Poza tym powiedz, że jeśli zaatakują to miejsce za wcześniej, więcej stracą niż zyskają.

- Dziękuję, Chris.

Wrócił Nowicki i zerknął na zegarek.

- Pięć minut i dziesięć sekund. Ma pan wszystko Ivor, a nasz wytrych radzi sobie z zamkami reagującymi na głos. Jeżeli jeszcze coś się panu przypomni, proszę dać znak. Aha, szkiełka w kominiarce służą też jako noktowizor.

Ekwipunek ważył raptem koło dziesięciu kilogramów i zajmowało niewiele miejsca. Lotnia ze stelażem to tylko prostokąt trzydzięści na pięćdziesiąt centymetrów, gruby na pięć. Pozoranty i petardy ważyły najwięcej.

- Pułkownik Lussac pyta, czy chcesz już wybrać śmigłowiec, Chris - powitał ich kierowca. - A jeżeli masz trochę czasu, prosi was obu do siebie.

- Do wieczora jeszcze parę godzin. Chris, co ty na to?

- Tak. Jeszcze mam czas - odpowiedział zamyślony, znów silny w sobie Ivor. Myślni był w Hartenbergu. Był przy ostatnim wariacie planu, który powinien być skuteczny.

- Mój człowiek odezwał się ze Strasburga - rzekł Lussac na powitanie. - Był obecny na naradzie, na którą ściągnął ich Beaumont podający się za następcę Angela. No i zabił mi takiego klina, że łeb pęka ale wierzę mu. Otóż na tej naradzie pojawił się Korobkow i oznajmił, że Rada Ocalenia nie istnieje a wszystko przejmuje Carney. Jak widzicie tu wszyscy czekają na jakieś oficjalne potwierdzenie.

Boże! - westchnął. - W tym małym pudełeczku jest sto tysięcy i jeden diabeł. Carney i Korobkow. I co to może znaczyć teraz? Mam trzy hipotezy. Niestety o jedną za dużo.

- Carney i Korobkow - powtórzył osłupiały Stawsky.

- Tak, stary, i wiemy już na pewno, że nasze śmigłowce nad Ville zostały strącone przez ochronę Carneya, czyli ludzi Korobkowa. A jak sądzisz jako lekarz, czy Korobkow może zmusić Carneya do tańczenia na tej linii? Czy można to założyć?

- Nie, z pewnością nie można - odpowiedział Stawsky, ale zaraz uderzył się w usta. - Co ja mówię? Przepraszam, ta twoja hipoteza ogłupiła mnie na chwilę. Jasne, że można. Dzięki tak zwanej kreatywności stymulacyjnej można zrobić z niego kukłę, wyprać go do czysta i preparować, jeżeli mają dobrych specjalistów. To jest możliwe z każdym człowiekiem. Gdybym go tylko zobaczył, poznam to na pierwszy rzut oka.

- W takim razie poczekamy na jego wystąpienie i poręczysz diagnozę swoim autorytetem. Przepraszam Chris, że nie spytałem, czy chcesz już wybrać maszynę.

- Za trzy godziny - odpowiedział krótko Chris, o wiele mniej zaskoczony wydarzeniami niż oni obaj.

Zauważył, że rozmawiali wedle klasycznych schematów myślenia magicznego i w ich działaniach także było sporo magii. Dla niego Carney, jego niedoszła ofiara, był demagogiem jak Demostenes, być może wartym tyle samo co tamten idiota, który swoim gadaniem przysporzył więcej szkód niż pożytku.

- Chyba już coś mamy. - Lussac pilotem wzmocnił głos z ekranu. Zobaczyli na nim tę samą twarz, usłyszeli ten sam głos, który zapowiadał Beaumonta. Teraz robił to z podobną celebrą.

„Proszę państwa, przerwaliśmy emisję filmu by nadać komunikat o wielkim wydarzeniu, które przesądzi o losach Europy. Brzemie naszego wspólnego losu wziął na swoje barki Moris Carney, największy z żyjących. Za kilka minut wystąpi przed naszymi kamerami ze specjalnym orędziem do całej europejskiej rodziny, podzielonej i rozbitej wielką tragedią. Bliski jest kres naszych cierpień, nadchodzi bowiem czas przebaczenia, czas odrodzonej wielkości. Wszyscy pójdziemy za naszym sumieniem, bo jeśli go nie posłuchamy, czeka nas zagłada” - kończył spiker podniesionym, załamującym się jak u kaznodziei głosem.

- Jeszcze parę minut - westchnął Lussac. - Parę minut i może dowiemy się czegoś konkretnego ale już wiadomo, że Carney ruszył w pole z podniesioną przyłbicą. Oddałbym dziesięć lat życia za to, by się dowiedzieć co naprawdę się tam dzieje. Nasi ludzie z „Kamuflażu” komunikują, że egzekutorzy zupełnie odpuścili. Pewnie szykują coś wielkiego i śmierdzącego.

- Wielu oddało życie nie dowiadując się nawet za co umierali - powiedział wolno Stawsky. - Ale każda śmierć rodzi nowe życie. Może ta ofiara była mu potrzebna? Takie

ofiary składano kiedyś na przebłaganie bogów.

- Nie mam pojęcia o czym gadasz majorze. A zresztą nie filozofuj teraz, coś zaczyna się dziać. Patrz uważnie na Morisa.

Ekran ściemniał na chwilę i na tle mapy Europy, ale bez ozdoby z kuru, pojawiła się znana wszystkim postać Morisa Carneya, zastygła, potężna. Jedna z kamer zbliżyła jego wyrazistą, toporną, poważną, jakby nieco zbolałą twarz. Lussac pytał wzrokiem Stawsky'ego, pytał tak wyraziście, że słowa nie były potrzebne.

- Chyba jednak nie - powiedział cicho Stawsky. - Wygląda zupełnie normalnie, raczej nie jest na chemii. Nie mogę tego stwierdzić na sto procent, ale na dziewięćdziesiąt mogę. O, już zaczyna.

Ale Carney nie zaczął. Drgnął tylko, pochylił się do przodu, jakby chciał wejrzeć w oczy wszystkich zastygłych przed telewizorami. Mijały sekundy. Milczenie potęgowało napięcie z każdym uderzeniem serca. Chris spostrzegł to u obu, odbierając i kojarząc po swojemu. Na jednym z filmów mówiących o historii Europy widział podobnego mówcę, człowieka, który rozpętał wielką wojnę, pokracznego jak nieudana kukła. Tamten porwał za sobą miliony, używając zwykłej magii słowa w sposób tak błazeński, że budził litość. Ale kukła mogła porwać kukły. I nagle zabrzmiał potężny, hipnotyzujący głos:

„Był czas sytego lenistwa. Był czas pokoju między narodami i jednostkami. Tak, był taki czas sytego dobrobytu, który wspominamy z ogromną tęsknotą jak raj utracony, jak Eden. Pracowaliśmy przez pokolenia na rzecz wielkich idei, przechodziliśmy wszystkie stacje drogi krzyżowej, by wreszcie stworzyć naszą wymarzoną, wspólną Europę, nasz wspaniały dom, który urządziliśmy od piwnic po dach zwieńczony zielonym znakiem pokoju, dom dla białych ptaków. Tak, kochani, to był piękny dom. - Carney przerwał na chwilę, jakby szukał słów, jakby chciał przekonać, że mówi z duszy, nie rozumu. - Spragnieni spokoju i dobrobytu popadliśmy jednak w bezmyślne lenistwo, zawierziliśmy sobie, każdy sobie, i odrzuciliśmy mądrość zbiorową, zbiorowy instynkt. Zapomnieliśmy o całej naszej niełatwej i pracowitej przeszłości i nie chcieliśmy słyszeć o przyszłości, tak słodka była nam terażniejszość, piękna jak oniryczne marzenie. Chcieliśmy uczynić życie pięknym snem i uczyniliśmy. Ale sen... - podniósł głos prawie do krzyku - sen pryska nawet pod delikatnym dotykiem ręki, moi przyjaciele. Nawet motyl spłoszy sen śpiącego w miękkiej zielonej trawie. Nasz piękny sen, nasz narkotyczny sen został przerwany nagłym, niespodziewanym i jakże bolesnym dotykiem losu. Los to bowiem sprawił, że zbrodniarze podnieśli ręce na święte symbole Europy i zniszczyli je ze wzdącią. Zbudziliśmy się ze snu, naszego pięknego snu i zobaczyliśmy życie w strasznej masce, a pod nią zamiast gładkich rysów bogini Europy, kryła się zaropiała,

rojąca się od robaków potworna twarz z koszmaru, jakiego nie mogliśmy sobie nawet wyobrazić. Europą bezprawnie zawładnęli ci, którzy was uspiłi, wepchnęli w bezdenną otchłań narkotycznego szaleństwa. Mieliście być dla nich tylko nawozem, mierzwą. Panami Europy poczuli się najmniej tego godni. Jak szczury wyszli z mroku i chcieli nas wszystkich pociągnąć z powrotem w mrok. Świat cały patrzył na nas z litością i pogardą, bo oto zwykli bandyci, gangsterzy opanowali nasz piękny dom, chcieli dopełnić miary upodlenia, niewołąc nas narkotykami, mając kolorowymi obrazkami. Tak, przyjaciele, jesteśmy niewolnikami, wyznawcami otepiałej pigułki i szklanego cielca, bałwochwalcami, którzy wyrzekli się prawdy i dobra, zamknęli w czterech ścianach, ślepi i głusi nawet na święte prawo krwi. Rodzice są obcy dzieciom a dzieci pałają nienawiścią do rodziców, do tych, którzy dali im życie, wepchnęli w wirujący krąg szaleństwa. Zabijamy siebie samych, połowa naszych dzieci umiera, nim obejrzy ten świat, a druga wolałaby go nie oglądać. Matki traktują dzieci gorzej niż samice dzikich zwierząt. Powiedzcie mi, gdzie są nasze dzieci?! Gdzie nadzieja?! Oplotły nas mocne więzy, z których nie chcemy się wyzwolić wmawiając sobie, że to nie żelazne łańcuchy, lecz oplot z aksamitu. Tylko niektórzy czują palący dotyk żelaza. Przyjaciele, czas by przetrzeć zaropiałe oczy i spojrzeć na świat. Jesteśmy winni, odpowiedzialni za przelaną krew, za łzy, za wszystkie potworności. Pozwalaliśmy, by garstka ludzi decydowała, co dla nas dobre i oto zbieramy owoce niefrasobliwej bierności hodowlanych zwierząt. To przecież nie wy decydowaliście o tym, co jest dla was dobre, a co złe, to uczynili oni i czynili po to, by na naszej głupocie budować potężne imperium zła i odebrać wam nawet prawo do życia. Pomagaliśmy im siać wiatr i zbieramy burzę, przyjaciele moi. Płoną nasze piękne miasta, ludzie ludziom stali się wilkami i skaczą sobie do gardeł, pragnąc świeżej krwi. Trupy leżą na ulicach objadane przez szczury. Gdzież są wasze uczucia, gdzie wartości? Gdzie pragnienie piękna? Trudno mi mówić o tym, kiedy sam czuję winę. Zawiniłem, zawiniłem swoją głęboką wiarą w was i biję się te raz w piersi. Zawiniłem wiarą, ale teraz chcę zapomnieć o winie i prosić was o przebaczenie, bym mógł z czystym sumieniem pójść z samotnym sztandarem wierząc, że nie idę sam, że pójda za mną miliony prawdziwych ludzi. Pójda za mną tam gdzie czeka na nas nowa Europa, tak samo syta i dostatnia jak przedtem, ale inna, przyjaciele, inna od tej, którą pamiętacie. Szczęścia będziemy szukać w sobie. Jeżeli chcecie iść za mną ku tej wizji, odrzućcie broń. Dość już krwi! Dość przemocy, bo przemoc rodzi przemoc. Rzućcie broń, którą włożono wam w ręce po to, by budzić najgorsze instynkty. Naszą bronią jest wiara w przyszłość, wiara w człowieka. Czyńcie pokój i miłość, a inni odpłacą wam tym samym, bo wiele w nas dobra, przyjaciele moi. O waszym człowieczeństwie świadczą będą czyny. Ci zaś, którzy chcą

czynić wojnę, natrafią na bezlitosne żelazo. To czas próby, przyjaciele - grzmiał jak natchniony prorok, potrząsając rękami i siwą lwią grzywą - to czas wielkiej wojny, ostatniej wojny między dobrem a złem, do której chcę was poprowadzić. Ustąpiłem przed prośbami i z pokorą poniosę ciężar nad ludzkie siły, bo zło musi zostać upokorzone, wypalone żelazem i zostanie wypalone, obiecuję wam to. Ten czas zaczyna się od teraz”.

Zastygł z dłońmi uniesionymi ku górze, trwał tak parę sekund i zniknął z ekranu, a za nim, na tle wschodzącego słońca, rozległy się tony Dziewiątej Symfonii Beethovena, jej wspaniała, finałowa kantata. Na swój sposób było to piękne, porywające, ogłuszające. Proste, podniosłe, mówione z ogromną pasją słowa mogły ogłupić nie tylko prostaczków. Na tle muzyki słowa Lussaca zabrzmiały jak świętokradztwo.

- O kurwa! - jęknął ze skrzywioną twarzą. - Zamieniam się w dziecię Lota. Dom wariatów, prawdziwy dom wariatów. To wszystko nie mieści się we łbie. Dobrze, że jeszcze nie obiecał nam przejścia suchą stopą przez Atlantyk albo jakiegoś innego cudu. Na takie plewy nie weźmie ostatniego głupka. Czy on jest naprawdę normalny, Stan? Przecież pieprzył bez sensu, jakby strzelił potrójną dawkę koki.

- Nie zauważyłem niczego podejrzanego, niestety. Diagnoza nie musi być trafna po tak pobieżnym rozpoznaniu, ale według mnie pacjent był w pełni poczytalny, jeżeli mogę tak powiedzieć - rzekł wolno Stawsky, jeszcze pod wrażeniem tego orędzia, które zamieniło się w kazanie.

Lussac miał rację, to były plewy. Zastanawiał się czy Carney powiedział to, co chciał powiedzieć, czy dał się porwać słowom. Oczy, rysy twarzy, cała postać świadczyły o tym, że „sumienie Europy” jest w dobrej formie psychicznej, ale niektórzy schizofrenicy też sprawiają takie wrażenie.

- Poczytalny?! O czym ty, do diabła, mówisz?! Przecież to największy pierdolec, jakiego słyszałem! - Lussac nie panował nad sobą, to nie była gra. - Nie powiedział jednego rozsądnego słowa i cholera wie czego chce, jak interpretować jego groźby. Jedyne co było jasne, to zwalenie całej odpowiedzialności na nieboszczyków. Jest teraz politykiem, jest odpowiedzialny za nas wszystkich, bo taką odpowiedzialność sobie uzurpuje. „Ojciec Europy”! O Boże! A za jego plecami widzę Korobkova...

Przerwał mu brzęczyk interkomu. Donovan wzywał ich do siebie, wystąpienie Carneya wolał oglądać w samotności i teraz pewnie chciał poznać ich opinie. On także nie wyglądał najlepiej po tym orędziu.

- Tym razem nie będę pana prosił o kompleksową analizę, pułkowniku. Dla mnie wszystko jest jasne, ten facet sfiksował. - I zaraz zwrócił się do Stawsky'ego: - A co myślisz o

tym zawodowiec? Czy i pan jest tego samego zdania?

- Pozwolę sobie zauważyć, panie generale, że pacjent zdaje się w pełni poczytalny i po tym co widzieliśmy, nie można wyrokować o jego stanie psychicznym. Zdaje mi się, że to nie było wystąpienie polityczne, lecz coś na kształt kazania do przeciętnych Europejczyków. Myślę, że to trafiło do tych, do których było adresowane i przygotowuje odpowiedni grunt na przyjęcie Carneya. Proszę postawić się w miejscu zwykłego zjadacza oniryków.

- To jest dla mnie trochę trudne, majorze - generał zmarszczył czoło. - Więc uważa pan, że pospieszyłem się z opinią?

- Być może, z racji zawodu stykałem się częściej ze zwykłymi ludźmi, w większości wtórnymi analfabetami. Ich zasób słownictwa nie przekracza trzech tysięcy słów i do nich mówi się raczej uczuciem i emocjami, nie treścią ale formą. To orędzie mogło się podobać. Mogło dać do myślenia i rozbudzić sublimowane uczucia. Oni są pełni takich uczuć panie generale. Wiele młodych matek popełniło samobójstwo po urodzeniu mutanta. Mężczyźni chcą być piękni i dobrzy, tacy jak bohaterowie filmów. Oni są śpiącą, potężną siłą, panie generale. Dla mnie jest to wezwanie do tych ludzi, którzy osiągnęli kres wytrzymałości i są gotowi na wszystko by zdobyć na pewno swój raj. - Stawsky mówił to z coraz mniejszym przekonaniem i to nie dlatego, że Donovan się skrzywił. Po prostu dał się usidlić Morisowi i teraz nie wiedzieć czemu go bronił.

- Tak, majorze. Z pewnością ma pan wiele racji, ale my musimy analizować to inaczej. Teraz mniej interesuje nas jak zareagują przeciętni Europejczycy i co powie o tym świat. Interesuje mnie stosunek do nas, do Korobkowa. Ja pamiętam mu Ville i tego nie zapomnę nigdy. Tak, panowie. Jesteśmy skazani na siebie i tylko na sobie możemy polegać. Tak jak pan, panie Ivor. Jak pan musimy wiedzieć do czego zmierzamy.

- Tak, panie generale, sama wiara jest niebezpieczna - odpowiedział powoli Chris. - Ja wolę wiedzieć.

- My też, ale kiedy brak wiedzy pojawia się wiara. To chyba normalne, panie Ivor. Kiedy pan wyrusza?

- Już niedługo, panie generale. A ci, których mam unieszkodliwić są bardzo podobni do Carneya - na twarzy Ivora pojawił się cień uśmiechu. - Oni też byli poza wszelkim podejrzeniem, a są winni.

- Teraz możecie zacząć pisać epitafium dla Golda i jego zwariowanej grupy naukowców - powiedział Stawsky, odprowadzając wzrokiem mały, bezbronny śmigłowiec typu Dragonfly. - Chris Ivor zaczął swoją ostatnią krucjatę.

- Do diabła! A jednak wiedziałeś?! - Lussac nie był w stanie unieść się gniewem ani zbyt dziwić czemukolwiek po tym wszystkim. - Gold! Także poza wszelkim podejrzeniem. Profesor Gold, najbogatszy, najpotężniejszy człowiek Europy. Tak, akurat jego było na to stać. Sam pracowałem nad jego biogramem i nie zauważyłem niczego podejrzanego. Kiedy i jak to zrobili? Gdzie są teraz? Już nie pytam czy zdążą przycisnąć guzik.

- Niestety, nie wiem nic poza tym, stary, i chyba niewiele bym ci pomógł mówiąc o tym cztery godziny wcześniej, ale nie powiedziałbym i tak. Obiecałem mu, a jemu dotrzymuję słowa. Ja wierzę w to, co mówił. On potrafi zatrzymać rękę nad guzikiem. A czy wiecie przynajmniej gdzie byście szukali, wiedząc że to on?

- Wiedziałbym o tym jutro, ale nie wiedziałbym co potem. Na to brak mi wyobraźni. Szczerze mówiąc, nie chciałem o tym myśleć.

- Nie przejmuj się. Chris wie.

- Mam nadzieję. - Nie ruszali się z miejsca wpatrzeni w niewielki punkcik umykający w ciemniejący widnokrąg na wschodzie, płynący bezgłośnie w noc. - Chciałbym zobaczyć go w akcji. Pewnie stać ich na zabezpieczenia o jakich nam się nie śniło, a on wybrał się tam z gołymi rękami. Boże, jak chciałem uwierzyć, że mu się uda. Jeżeli zobaczymy na horyzoncie grzyby, wszystko będzie jasne jak atomowe słońca.

- Musisz uwierzyć w to, że jest wart tyle ile batalion naszych speców z kawalerii powietrznej. Jeżeli sobie nie poradzi, za ileś tam godzin odezwie się jego lokator. Już teraz musicie zacząć myśleć nad tym, co zrobicie jeżeli odezwie się naprawdę. Chris przechodzi teraz metamorfozę, staje się zbyt ludzki. Wystarczy, że zawaha się przez ułamek sekundy. Tak, tego się boję. Boję się tego, czego pragnąłem.

Chris uleciał, zabierając ze sobą tajemnice skryte we wnętrzu swojej skromnej torby, z którą nie rozstawał się ani na chwilę. Implozyw był jego największą nadzieją, na nim wsparł swój pierwotny plan i późniejsze warianty. Pilotując śmigłowiec, wstrzyknął sobie adrenol z

jednej z ampułek otrzymanych od Riedla. Czuł, że musi to zrobić, musi gdyż nadchodził czas decyzji, szybkich działań. Musi wiedzieć, czy działa na niego tak jak przedtem. Błogosławieństwo bezmyślnej determinacji odczuł już po paru sekundach i w parę sekund postanowił. Postanowił bez skomplikowanych przemyśleń bez analizowania szczegółów. Po prostu wiedział, że tak będzie najlepiej. Czuł znajomą radość z pulsującej w nim, rozsadzającej siły. Był drapieżnym ptakiem, był Lordem Xanem, rycerzem bez skazy, Parsifalem i wszystkimi herosami walczącymi przez wieki z siłami ciemności. Poczucie siły umacniało przekonanie, że tym razem będzie to cel godny jego. Lecił na posłusznym mu, ognistym smoku z najszlachetniejszą misją, leciał odnaleźć samego siebie, swoją przeszłość zamkniętą w podziemiach Hartenbergu. Miał wiarę, jakiej nigdy nie zastąpią zimne racje rozumu.

Był coraz bliżej. Ren, pasmo Schwarzwald, nikłe światła Peterstal. Nawigował bez trudu w tej gęstniejącej ciemności dzięki szkłom noktowizyjnym, umykając dolinami przed sztucznymi oczami ludzi, płynąc ku Dolinie Słońca, półtorej godziny pieszej drogi od Hartenbergu. Posadził maszynę na ziemi i zostawił na łaskę losu. Przebrał się w czarny elastyczny kostium, naciągnął kominiarkę.

Nastawił radiolokator na osiem godzin. Po tym czasie uruchomił się automatycznie, skryty pod bezładnym rumowiskiem kamieni. Z torbą na ramieniu, karabinkiem i lotnią na plecach ruszył na północny wschód jak duch. Biegł z lekkością kozicy. Musiał biec, by rozładować się choć trochę. Kruczata się rozpoczęła.

Zobaczyłby Hartenberg bez noktowizora i choć było tam niewiele światła, dla niego wyglądał jak świetlna piramida na tle Klatterranu. Zbliżając się z każdym oddechem, nie czuł nic nad gotowość do szybkiego działania, racjonalny po swojemu, zdecydowany. O kilkaset metrów usłyszał niosące się daleko po górach szczekanie.

Strażnicy czuwali jak zawsze z psami u boków. Te bestie miały stać się jego sprzymierzeńcami, jeżeli wszystko będzie szło zgodnie z planem.

Tu, z pewnością tu ukryte były banki danych i dokumenty o nich samych. Znalazł się o sto metrów od pierwszej linii drutów kombinowanych z surowymi murami, też wieńczonymi drutami, upstrzonymi czujnikami. Ujście poniosło się głośniejsze, usłyszał uspokajające głosy ludzi wierzących bardziej monitorom i wskaźnikom niż psom. Ustawił pozoranty ogniowe w wybranych miejscach. Znał je tylko z filmów instruktażowych Bretsona i sądził, że odegrają swoją rolę nawet wtedy, kiedy major rozpozna sztuczkę. Tak, nawet wtedy, bo od razu będzie musiał spytać o człowieka, który je tam rozstawił i o jego cele. Wijąc się między skałami, podchodząc jak najbliżej, rzucał petardy za linię zabezpieczeń, niepokojąc tylko psy. Nim

sięgnął po pudełka z komponentami implozywu, wstrzyknął sobie następną dawkę w przedramię. Mijały dwie godziny a chwila słabości, wahania mogła zaprzepaścić szansę. Pewnymi, oszczędnymi ruchami rąk w gumowych rękawiczkach ugniatał implozyw z elementami inicjującymi. Z zakodowaniem sygnału w tym detonatorze jeszcze musi poczekać. Przypadek...

Dla pewności wystrzelił dwie kuleczki implozywu w pierwszą wartownię przy bramie wjazdowej, niski, niewielki budynek z żelbetu. Nie widział ich w locie, nie usłyszał pacnięć o mur przez ciągłe powarkiwanie psów, ale musiał zawierzyć sobie i regułom prawdopodobieństwa, strzelając po dwie w jedno miejsce. Obchodząc zabezpieczenia dookoła, systematycznie ostrzeliwał wszystko co było godne uwagi, rejestrując i to, że nie zmieniło się nic. Toporny wynalazek Hansiego spisywał się znakomicie i jeszcze mógł przydać się później. Przezornie nie połączył całego zapasu materiału. Musiał oszczędzać na jeszcze jeden cel. Zajął mu to trochę ponad pół godziny. Minał tylko czteropiętrowy pawilon, w którym mieszkali ludzie z obsługi technicznej. Nie mógł sięgnąć czterech śmigłowców na lądowisku obok zamku. Powinien je zniszczyć dla pewności, ale dotarcie do nich nie było możliwe. Zbyt duże ryzyko. Dziewięćdziesiąt procent w skali Bretsona. Jego margines i tak sięgał pięćdziesięciu procent. „Jeżeli uznajecie, że macie tylko połowę szans na powodzenie, odpisujcie co najmniej dziesięć procent na przypadek. Ile macie wtedy?”. Tak mówił Bretson.

Czekał na niego Klatterran. Wchodził na grzbiet tego wzniesienia, nie myśląc o niczym co nie wiązało się z jego zadaniem. Po prostu miał je wykonać jak najlepiej i zrobić to najlepiej jak może, bo nie potrafi inaczej. Myślenie, zastanawianie się mogło tylko przeszkadzać. Tylko raz fruwał na lotni i wiedział, że nie jest Ikarem, ale panowanie nad skrzydłem w dużej mierze zależało od silnych nerwów, odwagi, poczucia praw powietrza, harmonii płatu i człowieka, a on potrafił czuć powietrze, wodę, ziemię, potrafił rozumieć. Zresztą czy coś mogło go powstrzymać? Może zadałby sobie takie pytanie gdzieś tam, w Chambery, Montelimar, ale nie tutaj. Tu był właśnie taki, jakim uczynili go twórcy. Bezmyślny, doskonały wykonawca. Tym razem Chris Ivor był wykonawcą własnego planu.

Złożenie stelażu z superlekkiego stopu, napięcie płótna było kwestią dwóch minut. Potem rozbieg, odbicie i skok w przepaść. Mimo że adrenol działał, ruchy Chrisa były płynne, delikatne i upajały tak samo jak erupcja siły. Lotnia posłusznie niosła go zakosami ku odległemu o parędziesiąt metrów zasiekom nad ziemią nafaszerowaną czujnikami. Nie bał się, że go przechwyca, był orłem. Zachmurzone niebo mu sprzyjało, lotni nie można było dostrzec na tle gwiazd.

Zamek i podzamcze wyglądały na puste. Tu i ówdzie paliły się światła. Widział biegające niespokojnie psy. O tej porze ludzie siedzieli w wartowniach, pewnie znudzeni jak zwykle. Na razie żadnych śladów alarmu. Wylądował miękko, pięćdziesiąt metrów od murów zamkowych po wschodniej stronie, na korcie tenisowym służącym gościom Golda. Po zachodniej stał pawilon obsługi, tam ruch był zawsze większy. Złożył prowizorycznie lotnię, by móc rozłożyć ją z powrotem trzy razy szybciej niż na Klatterranie.

Schyłony, czujny, z karabinkiem gotowym do strzału szedł na północ. Przed jego wyjazdem z misją nie było tam prawie żadnych zabezpieczeń, nie powinno być teraz. Dwustumetrowego, prawie pionowego urwiska strzegły setki małych min dotykowych, pas drutów i czujników. Kilka metrów dalej stał strażnik bez psa. Wbrew zakazom palił papierosa, gapiąc się bezmyślnie przed siebie, w bliską przepaść. Karabin na pasie, lorneta noktowizyjna na szyi. Łatwa ofiara.

Strażnik poczuł nagle, że jedna z gór zwała się na głowę i zasnął po mocnym, precyzyjnym uderzeniu w tętnicę szyjną i drugim w potylicę. Chris wyłuskał ciężkie, bezwładne ciało z kombinezonu khaki, zdarł kominiarkę, przebrał się, schował torbę pod kombinezon, wyjmując detonatory. Skrył lotnię w pobliżu jednego ze słupków, przyciskając ją kamieniem. Nie zaryzykował przecięcia drutów i zabezpieczenia obwodu jakimś obejściem za pomocą zwoju, który zabrał ze sobą.

Leżąc na chłodnej skale, wcisnął guzik pierwszego detonatora i ziemia stęknęła. Huk nie był duży, raczej rumor. Po chwili rozległy się krzyki ludzi, jazgot przestraszonych psów, trzask wyładowań spowodowany spięciem przewodów elektrycznych. Nim przebrzmiały, Chris wcisnął guzik drugiego detonatora, wyzwalając kilkanaście potężnych wybuchów. Powinny zamaskować charakterystyczne odgłosy implozji. Wewnątrz nurów rozległ się znany, przerywany sygnał buczka alarmowego, na koronie wieży zabłyśły reflektory skierowane w kierunku wybuchów, łapiące w jasne snopy światła biegające bezładnie postaci.

Wcisnął trzeci guzik, kiedy był już obok murów. Gdzieś tam, przy linii zabezpieczeń, zaterkotał pistolet maszynowy, potem drugi, wybuchł granat, przenikliwie zaskowyczał pies. To były odgłosy prawdziwej bitwy. Chaos narastał i jeszcze będzie rósł kilka minut. Mistrzowie chaosu na własnej skórze czują jego siłę, o ile Bretson nie odgadnie pułapki, jeśli tu jest. Przy północnej furcie mieściła się najmniej ważna wartownia w obrębie zamku. Uchylił ją i wniknął w korytarz ciemnego, znajomego wnętrza. Słyszał podniesione, zaniepokojone głosy.

- Jasna cholera! A może to znów jakiś próbny alarm? Nikt nie odpowiada? To

niemożliwe! Spróbuj jeszcze raz.

- Przecież próbuję...

Bezgłówny karabinek był naprawdę wspaniałym wynalazkiem, zdecydowanie lepszym od pistoletu. Głosy ucichły w sekundę. Chris Ivor znów zabijał niepotrzebnie. Po raz ostatni niepotrzebnie. Synchronizacja zamysłu z rzeczywistym, pożądanym biegiem zdarzeń była prawie idealna. Kiedy przemykał komnatkami i korytarzem za salą rycerską, częstym miejscem uroczystych obiadów, wśród innych usłyszał zdecydowany bas Bretsona.

- Szybciej, chłopcy! Biegiem!

Dwuosobowe drużyny Bretsona ruszyły do walki z niewidzialnym przeciwnikiem, zapewne na rozkaz Golda. Psy spełniły swoją rolę. Krwiożercze, specjalnie tresowane doberman, znające tylko swoich sektorowych opiekunów, uwolniły się pomiędzy liniami drutów, rozregulowały systemy ostrzegania i zaczęły atakować na oślep, dla nich wszyscy byli wrogami. Bały się biec za linie punktów ogniowych Chrisa. Ci, którzy wybiegają, może „zieloni”, może „niebiescy”, będą musieli strzelać do nich i chaos jeszcze się spotęguje. Aż do granicy absurdu. Chaos także ma swoją logikę.

Odczekał kilkanaście sekund i dopiero kiedy zapanowała względna cisza, przebiegł korytarzem wzdłuż szeregu drzwi, zmierzając do wyjścia na poziom pierwszy, zdecydowany strzelać do każdego, kogo spotka na drodze. Elektronicznym wytrychem Nowickiego otworzył drzwi w dziesięć długich sekund i już zbiegał na pierwsze piętro podziemia, gdzie mieściły się gabinety i laboratoria medyczne. Goście Golda zajmowali komnaty na górze. Oni nie byli groźni. Nie wyjdą ze swoich łóżek, dopóki się nie upewnią, że groźba minęła.

- Hej, ty! Co się tu dzieje, do cholery? Kto cię tu przysłał... Nie macie tu... - Usłyszał za sobą niespokojny, podniesiony głos. Błyskawicznie obrócił się i strzelił z przedramienia. Wystraszony, oderwany od jakiejś roboty nocny pracuś umarł, nim zdążył przestraszyć się jeszcze bardziej. Kula z karabinka trafiła go między brwi. Martwy osuwał się po ścianie, z głową opadła na piersi. Nie, nawet nie zaczął się bać. Chris znał tę twarz, to jeden z asystentów Topfera.

- ...nie ma najmniejszych powodów do obaw. Jakaś mała grupka terrorystów chce nas sprowokować. Nie przeszła naszych niezawodnych zabezpieczeń. Już zaprowadzamy porządek. - Dobiegający z jakiegoś głośnika sieci wewnętrznej znajomy głos Golda, flegmatyczny, opanowany, był jak następny zastrzyk adrenolu.

Jeszcze nie wiedzą, kto im grozi. Nie potrafili rozpoznać sytuacji w tym chaosie. Miękkimi, długimi susami dobiegł do drzwi prowadzących na poziom drugi, drzwi do prawdziwego królestwa Golda dostępnego tylko nielicznym wybranym. Wiedział, że

pozostałe cztery poziomy w dół zajmują minifabryczki, siłownie, magazyny, osiągalne tylko przez tunel z wyjściem przy pawilonach obsługi, praktycznie odcięty od wnętrza zamku. Nigdy nie mieli prawa wstępu poniżej poziomu pierwszego, ale z przypadkowych danych można było dokonać w miarę dobrej rekonstrukcji.

Te drzwi także nie były zabezpieczone jakimiś niezwykłymi dodatkami. Nie musiał używać implozywu, wystarczył jego mały włamywacz. Uaktywniony poradził sobie w kilkanaście sekund. Jednak armia była o pół kroku przed elektronikami stąd. Wzmocnione stalowymi płytami drzwi rozsunęły się cicho i nagle znalazł się w zupełnie innym świecie stworzonym we wnętrzu litej skały. Korytarz wyłożony grubym dywanem tłumiącym kroki, ściany pokryte boazerią, obrazy starych mistrzów. Mierzył w zwykłe, drewniane drzwi zamykające korytarz, jedne z zaledwie pięciu. Ich inność, a przede wszystkim położenie przy szybie windy używanej tylko przez Golda i reagującej tylko na odcisk jego palca dawały pewność, że tutaj mieści się sanktuarium pana zamku.

Ledwo stanął przy nich, nacisnął klamkę i otworzyły się bezgłośnie. Gold w ogromie rozjaśnionej łagodnym światłem sali stał tyłem do niego, przysłaniając nieco ciałem fragment ogromnego ekranu monitora. Trzymał w dłoni mały mikrofon.

- Tak, majorze. Jeżeli trzeba, zabijajcie psy. Meldujcie mi natychmiast o wszystkim. Rozumiem, jeszcze nikogo. Tak, przeszukajcie okolicę. Pan powinien wiedzieć, co robić - odłożył mikrofon i zastygł, zapatrzony w ekran.

Kamera sprzężona z reflektorem dawała mu wgląd w to co działo się przy i za linią zabezpieczeń. Miał na sobie długi, przewiązany w pasie szlafrok, pod nim piżamę. Uchylone drzwi po prawej odsłaniały fragment sypialni.

Gold nie mógł go słyszeć, cały był tam na zewnątrz, aż do chwili kiedy uderzenie otwartą dłonią w skroń pozbawiło go przytomności. Chris ułożył bezwładne ciało na dywanie i przeszukał je szybkimi, sprawnymi ruchami. Nie znalazł detonatora. Już postanowił, że zabije jeśli go nie znajdzie. Nikt poza Goldem nie poważy się na taką decyzję.

Sprawdził czas. Nie miał go wiele. Najwyżej trzy minuty. Rozejrzał się po ogromnym salonie. Nie znalazł miejsca, które mogło być skrytką. Urządzone z przepychem pomieszczenie nie wywarło na nim wrażenia. I tak nie odróżniłby van Gogha od Matisse'a. Poza trzema ogromnymi ekranami i stołem otoczonym trzynastoma krzesłami nie było tu nic interesującego.

Zajrzał do sypialni, która okazała się zarazem gabinetem. Olbrzymie biurko zavalone dokumentami, regały z książkami i kasetami, szereg komputerów po lewej stronie, a po prawej odsunięte stalowe drzwi, za nimi zaś w pojemnym wnętrzu sejfu, w ogromnej klatce

skarby tego Sezamu. Detonatora nie było.

Wrócił do salonu. Paskiem szlafroka związał Goldowi ręce na plecach i przeniósł go na szerokie łoże z baldachimem. Chaos na zewnątrz osiągnął apogeum. Kilkanaście smolisto-czarnych bestii jeszcze walczyło z ludźmi o swoje terytorium. Chowane od szczeniaka między zasiekami, nie chciały uciekać, bały się wyjścia poza zwalone, skłębione, poszarpane druty.

Znalazł się w skarbcu łatwiej, niż przypuszczał, zarobił co najmniej pół minuty. Nie musiał używać implozywu. Fotokomórka włączyła łagodne światło i przystąpił do szybkiej selekcji zawartości, szukając przede wszystkim detonatora. Zapewne Gold miał swoje apartamenty za najbezpieczniejsze miejsce na świecie. Chris Ivor wiedział, że takich miejsc nie ma. Nie znalazł małego, niewinnie wyglądającego pudełeczka. Postanowił, że zabije Golda. Musi to zrobić. Przebiegał oczami napisy poniżej rzędów dyskietek, metodycznie ładował do torby, wyrzucając je z pudełek, przekładając serum i adrenol do kieszeni munduru strażnika. Zaczął od półki z napisem GOLEM. Skojarzenie było oczywiste, natychmiastowe. Razzoli i Vernier wspominali im kiedyś Jehudę ben Beluela i Eliaha z Chełma, mędrców, którzy odnaleźli niewymawialne imię Boga, stworzyli ludzi z gliny, tchnęli życie w toporne bałwany i zmusili do posłuszeństwa. Dopiero teraz zrozumiał - wszyscy szkoleni w Hartenbergu byli golemami Golda. Jego pojemna torba okazała się zbyt mała dla „Regionu Zachodniego” i dla „Głów Hydry”. Te wrzucił do kilku kopert i upchnął w zanadru za ściągniętą w pasie kurtką. Zlekceważył stosy dokumentów i dyskietek z półek, których nazwy z niczym się nie kojarzyły. Chętnie zniszczyłby to ogniem, ale taka ewentualność nie wchodziła w grę. Z pewnością zainstalowano systemy alarmowe, dodatkowe zabezpieczenia, margines ryzyka był ogromny.

Mniejszy cel został osiągnięty z zadziwiającą łatwością, oddalił się o lata świetlne. Nic istotnego z pewnością nie usłyszy od Golda w ciągu tej minuty jaka mu została. Nie, nie zniszczy Hartenbergu, choć ma jeszcze wystarczający zapas implozywu. Nie zabije tych ludzi, odda ich wojskowym, niech sami poznają co wrzuciło Europę w odmęty. O winie i karze niech decydują inni.

Gold musiał wrócić do siebie ledwie przed chwilą. Zdołał odwrócić się na plecy i bezskutecznie próbował uwolnić z więzów. Zamarł zaszokowany, widząc wyłaniającego się z sejfu Chrisa Ivora, człowieka trzykroć skazanego, który już nie był posłusznym androidem. Ofiara stała się katem. Niemożliwego dokonał nieudany twór Topfera. Gold zrozumiał, że mylił się w ocenie tych chłopców. Byli źle zaprogramowani.

- Chris Ivor - powiedział cicho, a drżące słowa brzmiały jak druidyczne zaklęcie

mające odpędzić najgorszego ze złych duchów.

- Tak, to ja. - Chłopak stanął przy łożu. Nieruchome, szkliste oczy nie niosły przesłania wierności jak oczy pozostałych czterech. One były... puste, dalekie i smutne jak oczy zmęczonej śmierci. Dlaczego śmierć jest taka zmęczona?

Joachim Gold wiedział, że znalazł się u kresu. Nawet jeśli przeżyje, będzie miał przed sobą tylko otchłań. To przekraczało nawet jego wytrzymałość.

- Przyszedłeś tu po to, żeby mnie zabić - wyszeptał, nie czekając na żadne potwierdzenie.

Przecież wiedział. Gdyby miał dziesięć lat mniej, może prosiłby o życie, jeszcze o godzinę życia, o pół godziny. Teraz był gotów prosić o śmierć. Teraz, gdy zaznał całej goryczy strachu, przeogromnego, zadziwiającego strachu przed całkowitym nieistnieniem. Teraz wiedział co czują ci, którzy oddawali dusze na zatracenie.

- Nie chcę zabijać. Oddaj mi tylko detonator. Powiedz gdzie jest a zostaniesz przy życiu.

- Detonator?! - wargi Golda skrzywiły się w grymasie przypominającym uśmiech. Ty myślisz, że ja mam detonator?

- Wiem, że masz. Daję ci dwadzieścia sekund. - W salonie rozległ się brzęczyk, ale Ivor ani drgnął.

- To Carney, Ivor. On oszukał wszystkich, nas, mafię. On...

- Twój czas minął.

Kula kalibru 5 mm trafiła Golda dokładnie między brwi. Brzęczyk odezwał się raz jeszcze, a brak odpowiedzi musi zaalarmować. Chris rzucił okiem na ekran w salonie. Apogeum chaosu mijało, psy już nie czekały, ludzkie sylwetki w świetle reflektora nie miały się w panice, zaraz powróci spokój. Miał minutę na dotarcie do lotni, może półtorej. Nie pozwoli sobie na konfrontację z drużynami Bretsona, bo miałby dwadzieścia procent szans, nie więcej. Tamci też są napompowani adrenolem, mają wielkokalibrowe PG i nie ustępują mu w niczym. Nie chce zginąć, jeszcze nie teraz.

Na poziomie pierwszym nic się nie działo. Jeszcze nikt nie pomyślał o sprawdzeniu wnętrza zamku. Na korytarzu parteru przebiegł obok dwóch gości Golda, którzy wtulili się w ścianę, widząc rozpedzonego ochroniarza z karabinem w rękę. Może za minutę wskażą kierunek ucieczki nieznanego człowieka, ale wtedy będzie daleko.

Działał z nieludzką precyzją, jak zawsze po adrenolu. Zabijanie nie było racjonalne w tej sytuacji, bez wahania zabiłby tylko Bretsona i każdego z ich dziesiątki, ale oni byli na południu, pewnie już biegli do zamku. Zrzucił tylko czapkę, naciągnął kominiarkę i

wyskoczył w noc. Na kilka kroków od furty rzucił się na niego oszalały, warczący doberman. Chris padł na twardą skałę unikając zderzenia z psem, tylko tylne łapy atakującej gardło bestii musnęły kurtkę. Podciągnął nogawkę, chwytając komandoski nóż. Pies zawrócił po skoku zadziwiająco wolno i znów atakował z rozwartym, pełnym piany pyskiem. Grube ostrze wystrzelone między wyszczerzone zęby z odległości pół metra wstrzymało go w locie, rzuciło ciężko na ziemię. Chris już zapomniał o psie, sięgając w biegu po laser. Kilka rzędów stalowego drutu zwinęło się z sykiem. Nawet nie były pod napięciem, ale na pewno połączone z alarmem. O parę kroków za drutami otwierała się przepaść, początek jego drogi powrotnej.

Bretson czy kto inny spóźnił się co najmniej minutę przez te psy i pozoranty. Reflektor na wieży obracał się leniwie na północ, kiedy Chris Ivor uwieszony na lotni skakał w otchłań. Snop białego światła błędził po krawędzi urwiska, zatrzymał się przy przeciętych drutach, ciele strażnika w bieliźnie i zaczął bezradnie błędzić w ciemności poniżej krawędzi.

Chris odkrywał, że sterowanie lotnią jest możliwe w dwojaki sposób, przez skierowanie dzioba w odpowiednią stronę oraz przez zmianę geometrii skrzydła. Teraz dopiero uczył się prawdziwej sztuki latania.

Minęły dwie długie minuty i przybiegł zdyszany Bretson ze swoją czwórką. Wściekły, zdeterminowany parę sekund przyglądał się martwemu dobermanowi. Dotknął ręką jeszcze ciepłego grzbietu. Starczyło spojrzeć na strażnika by upewnić się, że i on nie żyje. Przecięte druty zabezpieczenia wskazywały kierunek ucieczki. Nie, to nie był następny podstęp. Ten ktoś nie skoczył ot tak sobie w przepaść ani nie bawił się w alpinistę, nie po tym zboczu. To musiał być jeden człowiek, człowiek postępujący nieszablonowo, idealnie sprawny, przygotowany... albo Denis, albo Chris. Obaj przeżyli. Jeden z nich wrócił, mając za sobą sprzęt wojskowy prosto z magazynu Armii Europy... Niemożliwe. Niemożliwe było przejęcie i przesterowanie implanta przez wojsko. Ale... tylko głupiec uwierzyłby, że ślad diabelskiego kopyta pozostawiła zwykła krowa.

- Bierzcie natychmiast śmigłowce i zaczniście patrolować okolicę zamku w promieniu dwóch, trzech kilometrów. Uzbrojenie jak zwykle. Noktowizory przy hełmach i pamiętajcie o łączności między sobą - rzucał szybkie, zdecydowane rozkazy. - A ja i Karsten sprawdzimy, co dzieje się w laboratoriach i u profesora. Natychmiast meldujcie o wszystkim Larsonowi w centrali.

Wracał do zamku z Karstenem, wracał drogą jaka przebył Ivor i już pojmował ogrom popełnionych błędów. Nie założył możliwości zaatakowania Hartenbergu przez jednego z nich, a powinien to przewidzieć już wtedy, kiedy urwała się nić łącząca z Jorgiem. Ci chłopcy

są niedoścignionymi perfekcjonistami, są stworzeni do wielkich zadań. Obaj z Larsonem, szefem straży, nadawali się do musztrowania rekrutów, nie do takiej roboty. Nie brali pod uwagę tak oczywistego rozwiązania jak ucieczka drogą północną, ale pozostawało jeszcze rutynowe pytanie o sposób dostania się tutaj, poza zabezpieczenia. Nie samolot, nie szybowiec, a więc... Tak. Tylko lotnia z powłoką antyradarową albo jakaś miniwyrzutnia i skok z minispadochronem. Dla nich to betka.

Poczucie przegranej otepiało go, odbierało zwykłą zdolność jasnego myślenia. Poświęcił aż pół minuty na przyjrzenie się wartownikom zmianowym, jakby było się czemu przyglądać. Obaj zastrzeleni z małego kalibru i wyglądało to na plastikowe pistoleciki implantów. Jeden dostał w czoło, drugi w skroń. Jeszcze jeden ślad, wyraźny jak najjaśniejsza cholera. Sam ich tego uczył. Teraz miał całkowitą pewność. Jeżeli to jeden z nich, na pewno chciał zdobyć adrenol. Czy tylko adrenol? Czy może...?

Sam ich uczył i powinien był... Powinien... Powinien zrobić dziesiątki rzeczy, a już na pewno powinien zostać w Egipcie dziesięć lat temu. Z coraz cięższym sercem, poczuciem klęski, schodził ze swoim cieniem na poziom pierwszy stawiając przy drzwiach dwóch wystraszonych łachów Larsona. Te cholerne opasy, faceci bez karków, potrafili się tylko bać. Karsten szedł za nim, prawie idealny świadek. Jeszcze jeden trup przy półotwartych drzwiach którejś z pracowni. Doktor Berry. Zawsze lubił pracować nocą. Miał ten sam zdziwiony wyraz twarzy co za życia. Napastnik zabijał bez skrupułów, a tego nieszczęśnika mógł oszczędzić. To był podobno genialny facet, który miał zajmować się następną partią dzieci.

Magazyn z lekami był nienaruszony. Intruz nie przyszedł po adrenol. Bretson coraz wolniej zmierzał do drzwi, za którymi kryło się ostateczne rozwiązanie. On przegrał już wszystko i jeżeli Gold przeżył, zgodzi się być kozłem ofiarnym. Zapukał do drzwi apartamentu. Żadnej odpowiedzi. Nacisnął złotą klamkę. Już od progu zobaczył szeroko otwarte drzwi sypialni, nieład. Leżące na ogromnym łożu ciało mogło być tylko martwe. Widział w życiu parę trupów. Przełykając gorzką ślinę, podchodził bliżej. Gold leżał na wznak z otwartymi niewidzącymi oczami. Wreszcie nie miał tego władczego wyrazu twarzy, tej swojej ulubionej maski. Wyglądał równie głupio jak doktor Berry. Dlaczego? Co ich tak dziwiło? O co pytali? Jesteś wolny Bretson, pomyślał żegnając się z mirażami i długimi latami spokojnego, wygodnego życia.

Odwrócił bezwładne zwłoki, rozwiązał ręce i na powrót ułożył ciało na wznak. Potem palcami przymknął otwarte powieki wielkiego Joachima. Ostatnia posługa dupowatego ochroniarza, myślał dopiero teraz czując żal. Zwykły żal, że się nie udało. Gdyby ziściły się wielkie plany Golda, wówczas sięgnąłby wysoko, niewyobrażalnie wysoko. To koniec

głupich marzeń i jakiś tam początek nowego życia. A Gold był tak pewny wygranej. Gangsterzy zostali wyeliminowani, Carney wynurzył się na powierzchnię. Czekali na sygnał od niego przygotowani na swoje dni, na żniwo, bo przecież Carney zawdzięczał Goldowi wszystko. Wielki Oszust musiał maczać palce w tragedii „Victoriousa” i Lejdy, co dla Bretsona było czystym bezsens. Armia nigdy nie zapomni tego zdradzieckiego ciosu.

- Dostanę go - powiedział półgłosem, pochylony nad zwłokami. - Dostanę i wypruję z niego flaki.

Zerknął do wnętrza sejfu i choć nigdy nie widział jego zawartości, zauważył puste półki. Konsekwencje tego mogą być straszne dla żywych i pamięci umarłych. Nawet jeśli złapią intruza, to już nie zmieni niczego. Gold umarł i nikt go nie zastąpi. Nikt nie ma jego woli ani wiary. Imperium runęło.

Nie powiedzieli ani słowa. Bretson nie miał ochoty na rozmowę z tym drągałem najgorszym z całej dziesiątki, który nawet nie potrafił słuchać. Karsten był doskonałym najemnikiem, ale ludzie Topfera całkiem przenicowali mu mózg. Tu nie mieli nic do roboty. A wyżej czekali na nich prawie wszyscy, kilkudziesięciu wystraszonych rezydentów i gości, a także Vernier, najbliżsi współpracownicy Golda.

- Panowie - odezwał się Bretson. - Profesor Gold nie żyje, zniknęły także wszystkie tajne dokumenty. Ścigamy zabójcę i złodzieja. Nie mam nic więcej do dodania.

* * *

Kapryśne podmuchy południowego wiatru znosiły go wciąż na północ, każda próba sprofilowania skrzydła kończyła się fiaskiem, prąd nośny był zbyt silny. Wpadł w jakiś komin powietrzny. Bezskutecznie zmagając się z żywiołem i z lotnią, poniżej na lewo usłyszał pracujący silnik. Za szybko, zdecydowanie za szybko. Zorientowali się i szukają go w powietrzu. Znowu popełnił błąd, nie niszcząc maszyn na lądowisku, „Tak chłopcy, wymuszony błąd jest tylko błędem”.

Sprawdził szelki przy stelażu i nie myśląc o niebezpieczeństwie, nie czując odrobiny strachu przygotowywał się do walki. Śmigłowce Hartenbergu nie były maszynami bojowymi, ale uzbrojenie miały niezłe. Przewieszając karabinek na szyję, z trudem skierował dziób lotni na zachód, chcąc skryć się za zalesionym zboczem Rellingen. Nie zszedł niżej, ale udało mu się wtopić w tło. Wydostał się z komina. Szybując powoli w ciepłym, gęstym powietrzu, przygotowywał się do strzału w niewygodnej pozycji, mając wroga z tyłu i z boku. Z trudem łapał kabinę w lunetce. Nie mógł dostrzec postaci, noktowizor niewiele pomógł. Trzysta, dwieście metrów. Musi strzelać, musi być pierwszy. Lotnia znowu uniosła go wyżej, obróciła

niecو bokiem do śmigłowca. Mając sekundę wycelował i wystrzelił tam, gdzie powinien być pilot, korpus pilota. Maszyna nieco zmieniła kierunek, ale szła równo. Była bliżej i bliżej, wciąż pod kątem. Jeszcze jeden manewr i złożenie. Pilot i tak nie mógł dostrzec źródła ognia, te karabiny były „niewidzialne”.

Poprawka była celniejsza. Maszyna poszła w dół pod kątem czterdziestu pięciu stopni i po dwóch sekundach na dole pojawił się błysk eksplozji, górami wstrząsnął stłumiony wybuch. Z pewnością piloci pozostałych śmigłowców porozumiewali się przez radio i zaraz pojawią się tu trzy następne maszyny. Co zrobią?

On na ich miejscu zamknąłby pułapkę wokół doliny. Śmigłowce powinny krążyć w swoich sektorach i czekać na niego. Umrze z wypełnioną w połowie misją. Nie, tylko w jednej trzeciej bo jeszcze czeka Carney, człowiek, który chciał stać się demiurgiem. Teraz, po śmierci Golda, musi wypełnić pierwszą część zadania zarzuconą po swoim odrodzeniu w bunkrze. Powinienem był to zrobić, myślał zbliżając się niebezpiecznie blisko do szczytów świerków. Powinienem zabić Carneya, czasami ślepe narzędzie powinno wykonać swoją robotę.

Słyszał za sobą coraz bliższy warkot silników. Nie, jeszcze za wcześnie na próbę zejścia na dół, jeszcze ma szansę zdobycia kilku minut, śmigłowce są dość daleko, krążą nad szczątkami tamtego. Porwany niespodziewanym ciepłym prądem, poleciał na zachód. Teraz był niżej od obu maszyn idących na północny wschód. Nic nie wskazywało na to, że go dostrzegli, wznosili się coraz wyżej, ich światła stawały się ledwo widocznymi punkcikami. Dlaczego nie strzelali flar? Dlaczego zrezygnowali? Czy dlatego że teraz prowadzi ich wola majora Bretsona?

Czując znów podmuch południowego wiatru, obręcz skierował dziób lotni w dół i zaczął opadać ku ziemi. Nogi, ręce, powierzchnia lotni zamortyzowały zderzenie ze sporym świerkiem. Opadał na dół po rozłożystych gałęziach, wreszcie dotknął ziemi ugiętymi nogami. Rozpiął szelki, kilkoma szybkimi ruchami sprawdził ekwipunek i zdobycz. Palce natrafiły na pojemnik z adrenolem. Tak, już. Specyfik działał krócej po każdej iniekcji. „Nie próbujcie robić tego trzy razy po kolei” - dźwięczał w uszach głos Topfera, z postaniem zza grobu. Wbił igłę w przedramię, odetchnął głęboko i wyuczonym krokiem długodystansowca ruszył na południowy zachód.

19

- Ivor. Czy mnie słyszycie?

- Kroton, Kroton. Słyszemy cię dobrze - oficer operacyjny bazy przekręcił potencjometr do oporu i głos Ivora zahuczał jak grom.

- Jestem w kwadracie M-7. Ścigają mnie dwie uzbrojone maszyny. Wypełniłem zadanie. Odbiór.

- Spokojnie, chłopcze - major Thun na pewno nie był spokojny. - Wytrzymasz jeszcze trzy minuty?

Podawał czas z marginesem dla siebie i tych, którzy niecierpliwie czekali w górze, maszyn myśliwskich i samolotów wczesnego ostrzegania. Lussac i Stawsky wstrzymywali oddech, obaj jednakowo szczęśliwi. Udało mu się. Udało! Donovan ma wolne ręce dzięki temu chłopcu. Stało się niemożliwe. Już się stało, ale on nie może tak głupio zginąć!

- Tak, chyba wytrzymam. Jeszcze nie strzelają. Chcą mnie żywego. - Chris był zmęczony, wyraźnie zmęczony.

- Postaraj się wytrzymać. Za chwilę cię uwolnimy. - Thun wcisnął inny guzik i zaczął wydawać szybkie rozkazy. - Thunder 3 i 4. Kwadrat M-7. Zniszczyć dwie maszyny ścigające typ Dragonfly. Czas optymalny dwie minuty. Wykonać!

- Zrozumiałem, wykonuję - usłyszeli jeszcze szybsze odpowiedzi i zdawało się, że jeszcze nie przebrzmiały a dwaj młodzi ludzie na dziesięciu kilometrach rzucili się na dół jak jastrzębie wpatrzone w łup. Chris Ivor już był dla nich legendą.

- Jest tu. - Thun pokazał punkt na mapie sztabowej. - Jeżeli wytrzyma dwie minuty, załatwią te ogony. Dałem mu tę rezerwę dla pewności, sobie też. Wszystko nie powinno tyle trwać, są w odległości dwudziestu kilometrów od celu. Mogliby strzelać już na dziesięciu, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże i lepiej iść na pewniaka. Może te śmigłowce mają wyrzutnie anty i osłony. Jak ich znam to pójdą na całego, na granicy możliwości.

- Oby tak się stało, majorze - westchnął Lussac. - Chłopak wraca z bardzo ważnej misji. Słyszał pan?

- Tak, pułkowniku. Powiedział, że wykonał zadanie.

- A to znaczy, że dorwał tych skurwieli, którzy zniszczyli „Victoriousa”.

- Boże! To on nas uwolnił?

- Tak, majorze. To on sprawił ten cud.
- Panowie, ci chłopcy to sierżanci Brocky i Kruger. Polak i Niemiec. Oni są najlepsi i to nam musi wystarczyć... - nie skończył, bo pokój wypełnił chłopięcy, roześmiany głos.
- Zadanie wykonane, panie majorze. Melduje sierżant Brodzki. Zwalilem ich. Dragonfly idzie na zachód.
- Dobra robota, Brocky. A Kruger?
- Został trochę w tyle. Założyłem się z Hansem, panie majorze - w głosie sierżanta brzmiała czysta, z pozoru niefrasobliwa radość, ale gadatliwość świadczyła o przeżytych napięciu. Operacyjny dobrze znał tych chłopców i pytanie wcale nie było niecelowe.
- O co się założyliście?
- O butelkę, panie majorze.
- Ja dokładam całą skrzynkę, Brocky. O, jeszcze pułkownik Lussac.
- A ja gwiazdkę dla obydwu. - Lussac był po prostu szczęśliwy. - Jeżeli generał będzie grymasił, to sam się zdegraduję.
- Trzymamy za słowo, panie pułkowniku.
- Wywołam Ivora. Kroton. Czy mnie słyszysz?
- Słyszę dobrze. Już ich nie ma, dziękuję - głos Chrisa był jakby nieco zmieniony, to można było usłyszeć przy tak czystym odbiorze. Zaniepokojony Stawsky pochylił się nad mikrofonem.
- Chris, tu Stan. Czy wszystko z tobą dobrze? Pamiętaj o moim serum.
- Wszystko dobrze - usłyszeli matowy głos i Chris się wyłączył.
- Czyli nie jest dobrze? - pytał Lussac.
- Wydaje mi się, że jest tuż przed zapaścią adrenolową, a nasze serum nie działa po trzech dawkach. Miał trzy. Skutki działania tego przyspieszacza mogą być tragiczne. Co będzie, jeśli straci przytomność? Czy nie ma możliwości zdjęcia go z powietrza?
- Myślisz o kokonie grawitacyjnym? Nie. Pilot nie ma wtedy szansy bez specjalnego kombinezonu. Poza tym to wymaga czasu. Majorze, proszę spróbować się z nim połączyć. Przecież może się znaleźć w jakiejś innej bazie.

Nie odpowiadał. Wyłączył radio.

* * *

Serum nie pomogło ani trochę i teraz każdy ruch, każdy manewr wymagały ogromnego wysiłku. Znów znalazł się poza rzeką czasu, a jednak dopłynął. Usiadł na oświetlonym lądowisku Montelimar. Nieludzko zmęczony, rozdygotany, otępiały, jak przez

mgłę zarejestrował zaniepokojone twarze, nosze. Zdawało mu się, że szepnął: „zabiłem go, nie miał detonatora”, ale sam nie był tego pewny. Już na noszach popadł w omdlenie i nie starczyło mu sił na to, by zaklinać Stawsky’ego, zmusić go do zatrzymania przy sobie dyskietek „Golema”, tej części zdobyczy, która zawierała jego życie, która należała tylko do niego. Miał prawo wiedzieć pierwszy.

Takiego ożywienia w bazach całej Europy nie było od pamiętnego tygodnia po wielkim wybuchu i rejterady z miast. Taką noc pamięta się przez całe życie. Noc przebudzenia. Łąca sieci troposferycznej rozgrzały się do czerwoności. Dowódcy dywizji, pułków, eksperci poszczególnych specjalności zostali postawieni na baczność, wyciągnięto ich z łóżek żon i kochanek, z kantyn, spelun i spod ziemi, ładowano do samolotów, śmigłowców i dopiero na miejscu dowiadywali się, gdzie są.

Zaczynało dziać się coś niezwykłego i to na dwadzieścia parę dni od godziny zero. Donovan postanowił działać, bo groźba zdawała się o połowę mniejsza. Jeszcze przed świtem następnego dnia rzucono siedem tysięcy żołnierzy do opanowania i zabezpieczenia nieczynnych zakładów Robotics Inc., pozostających dotąd pod kontrolą pracowników koncernu, ale z musu posłusznych rozkazom bossów mafijnych. Oporu nie było prawie wcale, strażnicy nie mieli za kogo ani po co umierać. Trzy ofiary śmiertelne na sześćdziesiąt parę zakładów były wynikiem zwykłej głupoty, przypadku. Do tych zakładów klucze dostarczył reanimowany Ivor. On był bohaterem tej nocy. Co tam nocy - roku, stulecia!

Gdyby nie natychmiastowa i fachowa pomoc na lądowisku, a potem w szpitalu bazy, Chris nie miałby żadnych szans na przeżycie. Kiwał się jak pijak na wąskim progu śmierci klinicznej, przytrzymywany po tej stronie przez przyjaciela. Kiedy tylko zarejestrował twarze Stana i Lussaca, poddał się słabości ciała i umysłu. Wola życia opuściła go zupełnie. Wypełnił zadanie i cała reszta przestała się liczyć.

- Jest jak ten biegacz spod Maratonu - powiedział Donovan o piątej rano, kiedy już wiedzieli, że największe niebezpieczeństwo minęło.

Generał był w stanie, jakiego nie zaznał chyba od czasu pierwszego upicia się. Wreszcie mógł być sobą. Wreszcie poczuł, że dysponuje siłą, której nie oprze się nic. Ten dziwny chłopak, dla którego naprawdę nie mógł znaleźć słów, działał sam więcej niż on z całą armią. Trzeci pułk kawalerii powietrznej już poszedł na Hartenberg po sygnale z radiolokatora. Dwustu ekspertów pracowało nad przywiezionym materiałem i jakże żywa była nadzieja na to, że pułkownik Stam znajdzie detonator w gnieździe Golda. Jeżeli tak, to natychmiast wyda rozkaz do działań na największą skalę.

Gold, Gold. To nazwisko brzęczało natrętnie w uszach od paru godzin. On.

Najmożliwszy przyjaciel możnych tego kontynentu. Nie, nawet więcej, protektor możnych. Facet, który mógł kupić połowę Europy. Podobno aktywa kontrolowanych przez niego banków wynosiły prawie bilion euro w ubiegłym roku. Takich ludzi nawet nie można podejrzewać bezkarnie, ich ogromne posiadłości były eksterytorialnymi enklawami nie do ruszenia. Brakło haka, brakło też czegoś znacznie istotniejszego - motywu. Przecież miał wszystko.

Ogrom i różnorodność materiału podniecały, upajały, oszałamiały, a było tego cholernie dużo. Gold okazał się metodyczny i przezorny, dokumentował nawet pozorne drobiazgi, o czym świadczyła ta sześciotysięczna lista potencjalnych sprzymierzeńców, na której odnaleziono także nazwisko Donovana. Poszczególne elementy mozaiki mieszały się ze sobą, małe tajemnice kłóciły z większymi. Trzeba było wielu godzin i pracy setek ludzi, by poskładać to do kupy, ułożyć jakoś, ale generał miał już ogólny obraz sytuacji, choć bez najważniejszego elementu. Niestety, to nie był scenariusz do kiepskiego filmu wideo, lecz okrutna, siermiężna rzeczywistość Europy.

- To zostawcie jemu, one należą do niego - polecił, kiedy z bloku C przyniesiono mu bryk programu „Golem” ze szczegółami biogramów. Akcja produkowania nadludzi.

Przeczytał to jednak, ostatecznie utwierdzając się w przekonaniu, że to nie tylko zwariowany naukowiec z komiksu, ale i prosty zbrodniarz, morderca dzieci. Ten wyrok wykonany przez jego twór był po prostu sprawiedliwy. Kilkudziesięciu z tych chłopców potraktował jak nieudane eksperymenty, ponumerowane obiekty po prostu „usuwano”, te dzieci były „usypiane” jak bezpańskie psy tylko dlatego, że nie spełniały wygórowanych oczekiwań faceta, który bawił się w pana niewolników.

W końcu i jego zaczęło obezwładniać straszliwe zmęczenie, pokłosie niesamowitego napięcia ostatnich godzin. Zresztą nie pamiętał, kiedy się porządnie wyspał. Punkt kulminacyjny nastąpił przed szóstą. Pułkownik Stam przeszukał Hartenberg aż do korzeni i nie znalazł najważniejszego, choć zdobył całe tony dokumentów. Tę wiadomość trudno było przyjąć bez emocji. Nie, musi odpocząć. Nie może mizdrzyć się jak niektórzy politycy osłaniający swoje błędy zmęczeniem. Starczyło mu jeszcze energii na wydanie rozkazu swojej niańce:

- Jean, śpij teraz całe cztery godziny i ani minuty krócej. Moje obowiązki przejmuje Tassigny. Każ obudzić Lussaca i Merciera i powiedz, że za cztery godziny ma być gotowa krótka, wstępna analiza całego materiału, zimna kąpiel i gorąca kawa.

Nie wspominał o możliwości wybuchu min. Gdyby stał się koniec świata i tak go obudzą.

Bretson czekał, czekał na cud, bo tylko cud mógł odwrócić to wszystko, zwrócić mu jego wspaniałych chłopców. Ten ostatni cios był najmocniejszy. Tuż po tym, jak odlecieli na zachód z rozkazem zdobycia skradzionych materiałów ogarnęło go dziwne przecucie, że traci ich bezpowrotnie. Poświęcił im długie lata swego życia, chciał zrobić z nich dziesiątkę supermanów, którzy zadziwią świat, „dziesięciu wspaniałych” z jego chłopięcych marzeń. I to się udało. Oni przechodzili wszelkie oczekiwania wychowawców. Osiągnęli doskonałość fizyczną i intelektualną. Byli pozbawieni uczuć, ale to niewysoka cena.

Kochał ich po swojemu. Po żołniersku przyjmował decyzje Golda o skreślanii następnych, godząc się z argumentami i jego i Topfera. Teraz Gold nie żył, dwaj z nich i to najlepsi, ulegli dziwnej przemianie. Jorg chyba zaginął, przedtem Eryk wpadł w pułapkę. Piekło i demony! Czy był to Chris czy Denis, jedno nie ulegało wątpliwości - jest lepszy od ideału. Cały czas miał inicjatywę, zwiódł ich z dziecinną łatwością. Ale cała ta metamorfoza była w największym stopniu podejrzana, niemożliwa. Tak mówił Topfer.

Nadludzka doskonałość implanta budziła strach. Bretson bał się, gubił pozostawiony sam sobie, domysłom. Brakło Golda i tracił wolę działania nie widząc celu, do którego zmierzali. Od dwudziestu lat słuchał rozkazów, posłuszeństwo weszło mu w krew, a teraz nie miał mu kto rozkazywać.

Mijała minuta za minutą. Siedząc w zamkowej dyżurce Larsona, słuchał skąpych rozmów swojej dwójki doganiającej uciekający śmigłowiec i już był gotów kpić z własnych przecuć, gdy stało się najgorsze. Nagle w eterze zapadła cisza, gwałtowna, straszliwa. Tak! Stało się najgorsze i już nie miał nadziei. Strach jaki czuł przed chwilą minął, jego miejsce zajęła bezrozumna, ślepa wściekłość. Został sam, naprawdę sam. Żaden z tych mędrków w Hartenbergu nie ma kropli oleju we łbie. Byli tylko posłusznymi wykonawcami rozkazów Golda, a teraz są jak spłoszone kurczaki rozpaczliwie szukające kwoki. Już zaczęli bąkać o tym, że Carney może być tą kwoką. Kura zdechła, panowie! Ta druga to już nie wasza kwoka.

Razzoli, Jelinek, Laufer, Vernier nie mieli żadnych pomysłów. Nie chcieli myśleć o przejściu schedy po Goldzie, sprawieniu mu jakiegoś pochówku. Tacy jak oni na pewno nie są godni sukcesji. Vernier dał wyraźnie do zrozumienia, że zaproszenie na tę ich naradę powinien potraktować jak zaszczyt. Czując się tylko jak niepotrzebny żołdak, nie odezwał się

ani słowem, słuchał obojętnie, co piszcza te szczury podczas ucieczki z okrętu tonącego pośrodku morza. Żaden z nich nawet nie wspomniał o podjęciu zamysłu Joachima.

Trudno mu było wytrzymać kwadrans. Wyszedł chyba niezauważenie. Już wiedział, co zrobi. Z Karstenem zjechał do magazynów by przygotować się do drogi, wbijając do głowy implanta ostatnie instrukcje. Karsten to tylko odpadek, byłby mu zawadą w drodze. Zostawiał go tutaj, niech o jego losie zadecydują inni. Hartenberg jest tylko pustą skorupą i nie obchodziło go co zrobią ci, którzy tu pozostali.

Każdy musi mieć jakiś cel w życiu, a Bretson miał. Musi zabić implantów i zamknąć ten przeklęty krąg. Jacyż ci głupcy byli żalosi, kiedy żalili się Vernierowi, że nie mają jak opuścić zamku, nie mają dokąd uciec. Wpadli w panikę, choć tu nie powinno im nic grozić.

Po nocy grozy nadchodził dzień bez nadziei. O piątej trzydzieści wypełnił się czas Hartenbergu. Idące w ciszy radiowej śmigłowce wychwycono na radarach trzy kilometry od zamku. Larson wydał rozkaz poddania się, miły wszystkim uszom. Opór nie miał najmniejszego sensu. Kilkadziesiąt potężnych maszyn zaczęło opuszczać się na ziemię, wysypywały się z nich setki żołnierzy w pełnym rynsztunku bojowym.

Major Bretson był już daleko z dwoma kilogramami implozywu, detonatorami i pokaznym zapasem złotych krążków. Zostawił na miejscu Karstena, jedyne prawdziwego obrońcę zamku. Przykazał mu obronę przed zagrożeniami, biorąc w rachubę luźne bandy nie wojsko, bo tego nie chciał zakładać. Wypełniając po swojemu instrukcje majora, skryty za bramą zamkową chłopak zaczął się ostrzeliwać. Zabił trzech żołnierzy mimo kamizelek z superkevlaru. Mniej czuły na punkcie honoru Larson, przerażony konsekwencjami tej operacji nadczłowieka, rozwalił go długą serią z tyłu. Ze strachu wywalił cały magazynek w głowę i plecy chłopaka, po czym rzucił broń. Hartenberg się poddał.

* * *

Lussac znów miał okazję do podania w wątpliwość przydatności myślących komputerów. Sam musiał dokonywać syntezy materiałów dostarczonych przez Ivora i zdumiewała go szatańska prostota tego planu, stworzonego przez zaledwie kilkunastu „spiskowców” o cholernie czystych intencjach. To było najgłupsze w całej tej historii, przecież ci faceci to najwięksi z altruistów. Chcieli tylko powrotu do jakiejś tam normalności, no i wdepnęli w sam środek piekła dobrych intencji naiwni jak dzieci. Pewnie staną na czele listy zbrodniarzy wieku, jeśli ktoś taką listę sporządzi. Zaczęli od stworzenia pięknego ideału, ale dalej zaczął się koszmar. Dzięki Bogu główce jeszcze nie eksplodowały, ale brak jakiegoś wyraźnego śladu zaczynał niepokoić. Może to nie Gold? Jeśli nie on, to kto? Odpowiedź

mogła być tylko jedna. Carney! Ten Carney, jakiego nie znał nikt.

Sama lektura streszczeń ekspertów zajęła Lussacowi trzy godziny, ostatnie dwie musiał poświęcić syntezie ogromnego materiału. Ogromnego? Ludzie Stama przekonali go, że to ledwie jedna dwudziesta zasobów Hartenbergu. Tak płaskiej, ogólnej analizy nie spłodził od początku służby, ale nie dało się inaczej. Gdyby nie opatrzył materiału odnośnikami do poszczególnych dyskietek, wyglądałoby to jak scenopis gównianego filmu. Wtajemniczony odnalazłby tu tysiąc i jedną lukę.

Punktualnie o jedenastej jego rozpoznanie sytuacji znalazło się na biurku generała. Donovan odmłodził o dziesiątki lat. Nie stało się najgorsze i można było domniemywać, że idzie ku lepszemu.

„Wstępna analiza części dokumentacji Hartenbergu” została zawarta na czterech kartkach wydruku. Zaczął czytać.

Autorstwo i przygotowanie zamachu przypisujemy niewielkiej grupie ludzi świata nauki i przemysłu skupionych wokół Joachima Golda i Morisa Carneya, „ojca duchowego” planu spisku (D 345). Udział Carneya w przygotowaniu zamachu jest niewątpliwy i jego fenomen nie jest zagadką. Niewydarzony naukowiec został zamieniony w gwiazdę mediów za sto milionów euro wydanych w ciągu 7 lat. Potem zaczął uniezależniać się od twórcy (D 15,16,17). Grupa Golda powstała na bazie związku przyjacielskiego, dodatkowymi więzami stały się poglądy na kwestie rozwoju i przyszłości Europy po rewolucji robotycznej. Często podkreśla się filiacje między ich działalnością a działalnością i ideałami ruchów kontestacyjnych ubiegłego wieku, zwłaszcza hipizmu (D 14,16, 47). Kwestionowano przede wszystkim zbyt daleko idącą technicyzację życia i kierunki polityki społecznej rządu europejskiego. W pierwszym okresie istnienia liderzy grupy działali metodami pozaparlamentarnymi i pozaprawnymi, starając się wpływać na kierunki rozwojowe polityki przemysłowej i społecznej korumpowaniem parlamentarzystów i urzędników administracji państwowej (D 72, 76). Przekupili ośmiuset deputowanych trzech kadencji, natomiast później lista płac zawiera niemal wyłącznie nazwiska urzędników, policjantów i oficerów EIA oraz naszej armii (D 77).

Tego rodzaju działania nie przynosiły pożądaných rezultatów, czyli odwrócenia społecznych skutków automatyzacji i robotyzacji produkcji. Okazało się to niemożliwe nawet za pomocą wykreowanej przez nich siły, jaką były ruchy kontestacyjne młodych (głównie Youth Power) finansowane przez korporację Golda w sposób mocno zakamuflowany (D 12,18,33). Miało to charakter ekspiacji, jeśli weźmiemy pod uwagę, że właśnie jego fundacja „Mankind 2100” opracowała kompleksowe plany robotyzacji i europejskiego podziału pracy, a jego zakłady robotyczne wcielały te plany w życie. Gold wiele razy podkreślał, że chce

odkupić swe winy. Poczucie winy mogło być motorem działania (D 28,41 - korespondencja z Vernierem).

Stosowanie mało skutecznych metod zarzucono około roku 2010, kiedy okazało się, że przekupni parlamentarzyści nie zamierzają przeciwstawiać się legalizacji narkotyków. Prawdopodobnie już w tym czasie Carney zdobył ogromny wpływ na swojego twórcę i proponował terapię szokową jako konieczność przy tym quasi-demokratyzmie i jakości polityków (DV 7,11, 62, 64). Przy czym sam Carney nie oponował publicznie przeciw legalizacji, co może wskazywać na jego wczesne kontakty z mafią.

Konkretny plan zamachu na zgniłą Europę zrodził się kilka miesięcy przed rozpoczęciem budowy gmachu Rady, po odkryciu Laufera (D 97, 102, 296). Materiały implozywne pozostały tajemnicą grupy i posłużyły planowi, który Gold nazwał kryptonimem „Zakładnik”. Zakładnikiem miał być cały parlament europejski, przy czym początkowo Gold myślał tylko o szantażu. Dwanaście firm spośród kilkudziesięciu budujących gmach należało do Golda. Dwie spośród nich Arle i Steel Inc. były bezpośrednimi wykonawcami planu. Twierdzono, że implozyw jest środkiem konserwującym. Został wmontowany, czy też rozsmarowany w elementach konstrukcji nośnej, nie budząc żadnych podejrzeń (D 132,142). Według D 137 posłużono się zaledwie trzystu kilogramami tego materiału. Gmach Rady od chwili oddania do użytku był uzbrojoną bombą mogącą eksplodować po nadaniu specjalnej sekwencji sygnałów radiowych. D 156 wskazuje, że Gold miał zamiar posłużyć się szantażem jako metodą walki i zamierzał postawić jakieś ultimatum w odpowiednim momencie (D 149,151).

W tych latach konkretyzuje się także projekt „Golem” (D 94, 95, 96). W klinice profesora Topfera, potem w Hartenbergu trwają prace nad stworzeniem implantów, których przeznaczenie nie było wtedy jasne. Gold sam nie był pewny, czy chce uczynić z nich idealnych technokratów, czy kogoś innego (D 85). Dopiero wyniki osiągnięte przez Topfera naprowadzą go na myśl, jaką wcieli w życie.

Zamiary Golda zostały skorygowane przez Carneya, który znowu bliżej współpracuje ze swoim twórcą, akcentując konieczność stwarzania pozorów, że nie łączy ich wiele. Stało się to po publikacji głośnego, a finansowanego przez Golda raportu Komisji Winsleya mówiącego o wpływie oniryków i narkotyków na stan populacji europejskiej. Carney przekonuje Golda i nakłania do pomysłu przejścia władzy przez elity umysłowe, traktowane jako jedyny ratunek (DV 19). Obiecywał swoją daleko idącą pomoc w znalezieniu sojuszników przy dokonywaniu tego zamachu. W styczniu Carney nawiązał kontakty (choć raczej miał je dużo wcześniej) z przedstawicielami mafii i Domenici zadziwiająco szybko ulega jego argumentom. Gold przejawiał daleko idącą nieufność wobec tego aliansu, ale dał się przekonać (DV 22,23). Pierwsze spotkanie bez udziału Golda odbyło się w lutym w Badeaden i tam doszło do wstępnych ustaleń dotyczących podziału władzy (DV 27,29,34). Mafia zgodziła się na przejście

gospodarki, co miałyby zrekompensować jej straty poniesione z tytułu ograniczenia produkcji oniryków. Miała zająć się sprawami organizacyjnymi po wyeliminowaniu elity władzy (DV 31 - tekst umowy).

W styczniu pojawili się pierwsi Rosjanie. Gold zgodził się także na finansowanie pomocy mafii rosyjskiej, przeznaczając na to pięćdziesiąt milionów euro. Ta suma może być ważna jeśli założymy, że za jej część kupiono głowice. EIA oceniała ich liczbę w styczniu na sto, co i dla Golda jest wątpliwe (DV 70). Oni byli wykonawcami akcji z 11 i 12 kwietnia. Wg Golda autorem pomysłu ataku na magazyny broni był Carney (DV 39). Broń została ukryta w magazynach zakładów Golda i stamtąd przetrucana na teren całej Europy jego transportem.

Detonator tego pamiętnego dnia uruchomił nie McLachlan, lecz człowiek Golda o nazwisku Ryszkow, jeden z instruktorów, który zaraz po wciśnięciu guzika został wyeliminowany za zgodą Golda (D 159). Od tego dnia profesor traci kontrolę nad biegiem wydarzeń. Zmasowane ataki na filary porządku były dla niego zaskoczeniem (D 174,175), podobnie jak eksplozje atomowe. Ani razu nie wspomina o szantażu atomowym. Sprzymierzeńcy odcinają się od niego, traci kontakt z Domenicim i Carneyem, zaczyna podejrzewać zмовę między nimi (D 169,170). Po miesiącu wyczekiwania postanawia uruchomić pozostałych implantów, udając, że chce kompromisu z mafią. Ivor został wysłany z misją usunięcia Carneya i szefów mafii. Gold zamierzał potem nawiązać kontakt z armią (D 176, 177,180). Następne wydarzenia są znane. Raz jeszcze podkreślam, że nie znaleziono „śladu atomowego”.

Donovan czytał coraz bardziej wzburzony. To Carney! Carney! Skurwiel udający największe niewiniątko pod słońcem. On jest tu graczem, a cała reszta to płotki. Znalazł sobie narzędzia, które i tak zamierzał odrzucić po osiągnięciu celu. Jakiego celu?! Przecież mógł zostać prezydentem dwa razy. To dla niego za mało? Kim chce zostać?! Ubierał się w szaty ostatniego sprawiedliwego, a był księciem piekieł. W dodatku nikt nie uwierzy w prawdziwość tej historii. Sam Donovan wierzył z trudem.

- Panie generale - przez linię wewnętrzną zgłosił się zastępca Lussaca, Mercier. - Mamy jeszcze coś nowego. Generał Ogariow odpowiedział z Bari na naszą szyfrówkę i przedstawił nowe ustalenia. Krawczenko był głównym filarem opozycji wojskowych rosyjskich marzących o wielkiej, mocarstwowej Rosji. Tę opozycję tworzyło kilkudziesięciu marszałków i generałów ze starej gwardii. Wszyscy zostali usunięci przez Głowina. Dwudziestu czterech generałów i dwustu innych oficerów. Ogariow jest przekonany, że Carney obiecał spiskowcom daleko idącą pomoc dyplomatyczną nie tylko w zamian za wypożyczenie kilku elitarnych jednostek GRU do swojej wyłącznej dyspozycji. Około sześć i

pół tysiąca ludzi. Generał Ogariow daje głowę, że przez nasze granice nie przeniknęło więcej niż pięć głów.

- Teraz mi to pan mówi?! - krzyknął Donovan.

- Szkoda mi głowy Ogariowa, panie generale - odpowiedział zupełnie niespeszony Mercier i Donovan pomyślał, że będzie z niego pociecha.

- I tak ją straci. Nie ma tam gdzieś Lussaca? Przyślijcie mi go natychmiast.

- Jest, już proszę panie generale - odpowiedział Mercier i zaraz odezwał się Lussac:

- Słucham, panie generale.

- Co pan myśli o tych pięciu głowicach?

- Myślę, że generał Ogariow wie, co mówi. Granica ryzyka jest do przekroczenia, panie generale, choć nie wiemy czy to nie Paryż albo Berlin.

- Nie chcę jej przekraczać w ciągu najbliższych dwóch dni. A teraz niech mi pan powie, jak czuje się nasz maratończyk.

- Ivor? - Lussac ożywił się natychmiast. - Stawsky i lekarze twierdzą, że szybko wróci do normy. On jest nie do zdarcia, rzeczywiście był wykończony jak maratończyk, ale regeneruje się błyskawicznie.

- To dobrze. Chyba jeszcze będziemy musieli go o coś prosić. Carney nie może zostać przy życiu, ale my nie możemy go zabić. No i ta możliwość odpalenia tych trzech, jeśli to tylko trzy.

- Poproszę Stawsky'ego, żeby wybadał chłopaka. Jestem przekonany, że on chce zabić Carneya. Nie powiedział tego wprost, ale czuję to. On wszystko doprowadza do końca.

- Oby tak było - westchnął generał. - Na jedno nie możemy sobie pozwolić, pułkownik. Nie możemy zrobić z niego kozła ofiarnego po tym wszystkim. Zbyt wiele mu zawdzięczamy. Jeżeli podejmie się tej misji, musi go pan uchronić za wszelką cenę.

- Za wszelką cenę, panie generale.

Obaj wierzyli, że ten chłopiec może wszystko.

* * *

Kiedy Chris ocknął się z krzepiącego snu, zobaczył nad sobą kokony kroplówek. Na białym prześcieradle tuż obok prawej ręki leżała pękata koperta z napisem GOLEM. Szukał oczami torby i nie znalazł jej. Cóż, nie zawierała żadnych tajemnic. Hartenberg jest pewnie zdobyty z tym, co zostało. Wziął kopertę w palce, macając zawartość. Czuł, że trzyma w nich swoje życie, trzyma odpowiedzi na mnóstwo pytań.

Zapewne był na podglądzie choć nigdzie nie widział kamer, ale zastanawiająco szybko

pojawił się u niego jakby zaspany Stawsky.

- Wybacz Chris, ale i ja musiałem się trochę przespać po tym nocnym kołowrocie. Trzymałem cię mocno po tej stronie, a teraz nie wierzę własnym oczom. Zregenerowałaś się prędzej niż ja chłopie, a w nocy wyglądałaś jak klient prosektorium - przysiadł na brzegu łóżka, popatrzył na kopertę. - Generał uznał, że te dokumenty są twoje i tylko twoje. Możesz nimi dysponować. Przejrzeli je pobieżnie nasi eksperci, a generał zabronił robienia kopii, uzależnił to od twojej zgody.

- Chciałbym je obejrzeć. - Ivor wysypał dyskietki na pościel, wybrał jedną, tę z napisem „Personalalia obiektów zakwalifikowanych do fazy IV”. - Na początek tę.

- Czy nie jesteś na to za słaby? - pytał z troską Stawsky. Nie wiedział co Ivor przeżył tej nocy ale z pewnością przeżył wiele, bo sforsował się nielicho i przedawkował to świństwo. Już krążyły legendy, że sam zdobył twierdzę zabezpieczoną podobno lepiej niż fort Knox. Ludzie Stama na pewno koloryzowali, ale... Zrobił to sam, sobie tylko wiadomymi sposobami, za pomocą lotni, karabinka i tego materiału wybuchowego, który tak zdumiewa specjalistów wojskowych.

- Nie, Stan. Nie jestem za słaby - w głosie chłopaka znów zadźwięczał znajomy metal.

- Hartenberg jest nasz, wiesz?

- Tak.

Stawsky od razu zrozumiał, że Chris nie chce słuchać opowieści o Hartenbergu.

- W takim razie postaram się o komputer. - Wyszedł spiesznie i po kilku minutach wrócił z szeregowym pomagającym mu przy sprzęcie. - Teraz pewnie chcesz побыć sam, Chris?

- Możesz zostać, jeśli chcesz - odpowiedział Ivor.

- Dziękuję. - Stawsky poczuł nawrót znajomego ciepła. Wciąż byli sobie bliscy, rozumieli się coraz lepiej, a najważniejsze było to, że Chris mu ufał.

W całkowitym milczeniu patrzyli na ekran. Dokumenty, raporty „kupców”, listy związane z „personaliami obiektów”. Wszystko tu było zimne, bezlitosne, przypominające Stawsky'emu tamtego Chrisa.

Po kwadransie znaleźli to, co było jądrem tajemnicy programu, zbiór pod nazwą „Selekcja materiału ludzkiego do programu”. Stawsky patrzył zupełnie oniemiały, zaszokowany tym, co działo się nie tak dawno w sercu Europy. Wszyscy bez wyjątku chłopcy byli niewolnikami kupowanymi za śmieszne sumy przede wszystkim w dzielnie prokreującej się Europie Wschodniej jeszcze przed zjednoczeniem. Szukano drugich albo trzecich z rzędu dzieci rodziców zdrowych psychicznie i fizycznie. Emisariusze Golda byli bardzo skrupulatni

i sprawni w zacieraniu śladów. Obiekt numer 23 to właśnie Chris Ivor. Zakupiony za dwadzieścia tysięcy euro w miasteczku Sosnowiec od wielodzietnego małżeństwa, a właściwie zabrany do adopcji za zgodą rodziców. Nie będzie wiedział jak nazywali się ci, którzy dali mu życie.

Czteromiesięczne niemowlę płci męskiej. Stan zdrowia bardzo dobry. Waga 7,3kg, wzrost 67cm. Przez trzy miesiące przebywał na badaniach wstępnych w Pullach... Przeznaczony do inkubatora numer 3 nad Loch Drommond. Kontrakt na wychowanie zawarty w październiku tego roku z Mary Forber i Gregorym Brentem. Kontrolę nad wykonaniem kontraktu sprawują Morton i Riley. Odtąd nazywa się Chris Ivor. Stały podsłuch i podgląd przez kontrolerów. Według ich oceny wychowawcy nie popełniają poważniejszych błędów. Nie zauważono więzi uczuciowych ani symptomów syndromu sierocego u dziecka. Suma kontraktu 100 tysięcy rocznie dla obojga plus koszty bieżące. Sposób wykonania został uznany za zadowalający mimo postępującego alkoholizmu Brenta. Rozwój dziecka prawidłowy, badania kwartalne zadowalające. W wieku 6 lat szybkość percepcyjna 0,7; czynnik przestrzenny 0,8; rozumowanie 0,7; pamięć 0,9; zdolności liczbowe 0,8; rozumienie słów 0,7; płynność słowna 0,6. Drugi wynik w grupie. Po upływie kontraktu chłopiec przewieziony do Hartenbergu. Ślady zatarte.

Mało i ogromnie dużo. Wszystko, co chciał wiedzieć. Proste, okrutne, oczywiste dla tamtych, którzy wiedzieli do czego zmierzają, nie liczących się z niczym. Ostatnie słowa mogły znaczyć tylko jedno. Gregor i Mary przestali być potrzebni i pewnie ich szkielety spoczywają teraz w ciemnych wodach Loch Drommond. Chyba łudzili się, że nie przekroczyli kręgu zła.

Milczeli obaj, wpatrzeni w wygasły ekran monitora. Pan nie poświęcał zbytnej uwagi niewolnikom. Luki w dokumentacji wskazywały, że została sporządzona niedawno. Personalia niektórych chłopców usunięto wraz z nimi. To podejrzewali już wtedy, mając po kilkanaście lat.

Hartenberg nie miał już w sobie tajemnic, które mogłyby go zainteresować, te tajemnice i tak były w nim.

- To już wszystko, co chciałem wiedzieć, Stan. Tak, wszystko. - Chris powiedział to najspokojniej w świecie. - Możesz zabrać te dyskiety i wykorzystać, je jak chcesz. Sama technika i szczegóły spreparowania nas mniej mnie interesują. To przyda się tobie - zamilkł, a po chwili przerwy dodał niespodzianie - Jestem jaki jestem, prawda Stan?

- Tak, Chris. Cała reszta nie ma znaczenia. Ty tworzysz się sam i już nie będziesz

nikim innym tylko Chrisem Ivorem, o którym mówią dzisiaj tysiące ludzi.

- Nie rozumiem, Stan.

- Prawie cała armia wie, że ty rozciąłeś ten węzeł gordyjski jakim nas oplatan, a żołnierze Stama, którzy lądowali w Hartenbergu opowiadają legendy o zabezpieczeniach zamku. Twierdzą, że dokonałeś rzeczy niemożliwych. Wiesz jacy są żołnierze, lubią przesadzać - złapał się na tym, że powiedział za dużo.

Ivor milczał. Tak spełniało się dziecięce marzenie o wielkości. Czuł dziwną obojętność. Wielkość była taka jak stopień trudności tego zadania. Niezbyt wielka. Nie dla niego.

- A wiesz co mnie głupio cieszy, Chris? - odezwał się Stawsky. - Fakt, że jesteśmy rodakami.

- Czy to coś dla ciebie znaczy, Stan?

- Nie, Chris. Jednak chyba nie - odpowiedział trochę speszony. - Zostawię cię teraz samego. Musisz jeszcze odpocząć bohaterze. Ale dzięki tobie stało się wiele. Już wiadomo prawie wszystko o kulisach ostatnich wydarzeń, lada chwila spodziewamy się decyzji Donovana. Hartenberg jest opanowany i wszyscy jego lokatorzy są w gościnie u nas. Oporu prawie nie było. Został jeszcze Carney oraz jego egzekutorzy. Nie wiadomo, co przygotuje na jutro czy pojutrze. To diabeł wcielony, Chris. Wszystko wskazuje na to, że nie Gold lecz on zniszczył "Victoriousa" i Lejdę. Przed godziną znów wystąpił w telewizji i wygłosił następne kazanie. Tym razem to już były otwarte groźby, wyraźnie mówił o trzech dniach Sodomy, jeżeli młodzi się nie opamiętają. On czuje się bogiem, Chris.

- Nie dożyje trzeciego dnia, Stan. - Ivor uśmiechnął się samymi ustami. Wiedział, że czeka go jeszcze jedno zadanie. - Bo ja zabiję go przedtem.

- Więc jednak chcesz to zrobić?

- Tak. Muszę odpocząć, Stan. Wyruszę jeszcze dziś wieczorem.

Nie znał zwyczajowych konwencji obowiązujących w komunikowaniu. Stawsky nie zauważył też, by poruszyły go dane o sobie, po prostu zakodował je i już. O to zaś, czy czuje wyrzuty sumienia po zabiciu Golda, nie musiał pytać. Pewnie Chris nie zrozumiałby takiego pytania. „Niestety, kochani - mawiał kiedyś wspaniały profesor Torelli - nigdy nie dowiemy się, co jest w człowieku w środku. Pojąć to, to znaczy zrozumieć wszystko”. Trzeba mu było dziesięciu lat by pojąć, że nauczyciel miał całkowitą rację.

- Czy będziesz w stanie to zrobić?

- Tak, możesz powiedzieć o tym komu trzeba. Będę potrzebował jeszcze jednej dawki adrenolu. Może ostatniej.

- Oby. Ale masz jeszcze zapas w torbie. Leży pod łóżkiem razem z twoim starym ubraniem. Pomyślałem, że chcesz je mieć.

Tuż po wyjściu Stawsky połączył się z Lussakiem, by zakomunikować mu decyzję Ivora. W odpowiedzi usłyszał westchnienie ulgi i otrzymał zaproszenie na naradę sztabową, ostatnią przed uderzeniem.

- Proszę panów. Wiadomo nie od dziś, że armia nie jest i nie może być strukturą demokratyczną - zaczął Donovan. - Nie możemy pozwolić sobie na czyste szaleństwo większościowego rozstrzygnięcia kwestii o znaczeniu strategicznym na polu walki. Wezwałem panów po to, byście poznali kulisy zamachu. Już na wstępie powiem, że według pewnego źródła grożą nam maksimum trzy ładunki nuklearne. Naszym pierwszym przeciwnikiem są teraz Rosjanie, sam Carney, resztki ludzi mafii i bandy zrewoltowanej, zdziczałej młodzieży, tej z syndromem szalonego Maxa, z którą nie można się porozumieć. Nie wolno tolerować uzbrojonych grup na naszym zapleczu i dlatego będziemy je w sposób bezwzględny pacyfikować, o ile to możliwe bez używania ostrej amunicji, raczej pociskami gazowymi i gumowymi. To tragiczne, ale konieczne, panowie. Na otwarty atak odpowiadajcie ogniem.

- Panie generale - pułkownik Arnold wykorzystał krótką przerwę - czy to znaczy, że mamy rozbrajać wszystkich?

- Tak, bez wyjątków. W kopertach znajdziecie ogólny zarys operacji, którą postanowiłem oznaczyć kryptonimem „Ivor”. Bez względu na wszystko, za trzy dni, w środę o dwudziestą drugą atakujemy. Czy są może jakieś głupie pytania? - jako autokrata prezentował się zdecydowanie lepiej. Było mu z tym do twarzy a im wszystkim zrobiło się lżej, kiedy widzieli jego pewność.

- Jako pierwszy pewnie ujdę za najgłupszego. - Tassigny zachowywał się jak etatowy ochotnik. - Ale ponieważ to właśnie ja mam pacyfikować Strasburg, szczególnie interesuje mnie pytanie, co mam zrobić z Carneyem jeżeli, powiedzmy, „wezmę go do niewoli”.

- Carney nie dostanie się do niewoli. Zajmie się nim kto inny i na razie wszystko musi pozostać tajemnicą, również dla pana - od powiedział Donovan.

Tassigny zupełnie zbaraniał. Wolał nie pytać już o nic, by naprawdę nie wyjść na dumnia przy tych młodzikach, którymi Donovan zastąpił ponad połowę starej kadry.

* * *

Tym samym skromnym śmigłowcem miał polecieć go do Strasburga, znowu sam przeciw wszystkim. Chciał zamknąć koło, by móc na powrót szukać siebie. Dopiero śmierć tamtego człowieka dawała mu pełne prawo wyboru. Nie wiedział wystarczająco dużo o tym,

co dzieje się w mieście ale miał pewność, że Carney jest w gmachu Europe. Musiał odnaleźć i powstrzymać tego człowieka, który oszukał wszystkich i przegrał siebie. Czuł instynktownie, że wielki Moris nie należy do ludzi przyznających się do błędów. Głupcy zwykle są przekonani o własnej nieomyślności.

Po południu Chris poczuł się na tyle dobrze, że wstał z łóżka. Po kroplówkach pozostały ledwo widoczne ślady igieł. Obfity obiad i dwa zastrzyki sprawiły, że wrócił do normy, był wypoczęty, świeży. Ta noc nie pozostawiła wyraźniejszych śladów w psychice. Nie czuł dumy, zadowolenia. Zrobił tylko to co powinien, nic nadto. Wskazał drogę i reszta nie należała do niego. Było mu obojętne, czy Hartenberg stoi nadal, czy w jego miejscu ziele wielka dziura. Nigdy tam nie powróci. Nie wraca się do takich miejsc.

Miał jeszcze dwie, trzy godziny, a bezczynność w tym sterylnym, pachnącym lekami pokoju zaczęła zbytnio doskwierać. Uczyniono go człowiekiem czynu. W Hartenbergu nie pozwalano im nawet na godzinę odpoczynku. Przycisnął guzik dzwonka przy łóżku.

- Tak, panie poruczniku? Czego pan sobie życzy? - zadyszany lekarz pojawił się po dziesięciu sekundach i zaraz uderzył się w usta. - A niech mnie! To miała być tajemnica.

- Nie rozumiem.

- Generał podobno pana awansował, panie Ivor. Poczta pantoflowa działa, ale mówię tylko, że podobno. Czym mogę panu służyć?

- Chciałbym obejrzeć listę ludzi, którzy byli w Hartenbergu.

- Zaraz to przekażę komu trzeba, panie Ivor.

- Dziękuję - powiedział Chris, zapominając o tym zabawnym incydencie. Sądził, że to jakaś pomyłka. Po wyjściu lekarza sięgnął pod łóżko, gdzie czekało tamto ubranie, które było z nim w Hartenbergu zwinięte w śmigłowcu. Kurtka strażnika i czarny trykot zniknęły. Zamocował wyrzutnie na przedramionach i poczuł się jak odrodzony.

- Co się stało, Chris? Powinieneś jeszcze odpoczywać. - Stawsky zastał go już ubranego. - Mam listę, o którą prosiłeś.

- Dziękuję. - Chris zaczął przebiegać wzrokiem szeregi nazwisk na pięciu dużych kartkach, pochłonięty tym bez reszty.

Stawsky przyglądał się przyjacielowi z niepokojem, święcie przekonany, że jeszcze powinien leżeć najmniej dwie doby, ale nie powiedział tego co myśli. Chris szukał czegoś, co musiało być cholernie ważne.

- Stan, czy jest już opis tej akcji na Hartenberg? Jakiś raport czy coś takiego?

- Zaraz wypytam i przyniosę wszystko, co mają. Pośród setek nazwisk brakło jednego. Brakło majora Bretsona, człowieka, który kształcił chłopców na swój obraz i podobieństwo,

mistrza małych gier wojennych, zaskakującego ich swoimi niezwykłymi rozwiązaniami. Zdołał uciec. Miał dostęp do wszystkich zakamarków Hartenbergu, do implozywu. Czy uciekł do Carneya?

- Przyniosłem ci film z ataku na Hartenberg. - Stawsky pojawił się po kwadransie. - Masz cały zapis. Na końcu są sfilmowani wszyscy jeńcy. Słuchaj Chris, nie przejmuj się tym, że bez twojej wiedzy zostałeś mianowany oficerem. Lekarz dyżurny powiedział mi przed chwilą, że mu się wymknęło. Kanceliści generała puścili farbę, no i rozeszło się.

- Już o tym zapomniałem.

- Generał chciał oznajmić to sam i wyjaśnić swoje motywacje. Mianował cię oficerem po to, byś mógł przejść do rezerwy, kiedy tylko zechcesz. W ten sposób uzyskałeś prawo do renty oficerskiej i świadczeń socjalnych. Teraz będziesz żył w świecie, gdzie za wszystko trzeba płacić.

- Wyjaśnisz mi to kiedy indziej, Stan. Teraz mam pytanie. Czy polecisz tam ze mną?

- Po co pytasz? Oczywiście! - Ogarnęła go wielka radość. Chciał, cholernie chciał. I roześmiał się z własnej głupoty, bo podobno głupota nie zna strachu, a jeżeli nie boi się takiej wyprawy to jest głupkiem do szeszcianu. Proste.

- Z czego się śmiejesz?

- Bo cieszę się, Chris. Po prostu cieszę. Pozwól, że zostawię cię samego i przygotuję parę rzeczy. Czy już wiesz, kiedy odlatujemy?

- O siedemnastej.

Chris przejrzał film kręcony ze śmigłowca. Do rana uprzątnięto tylko zwłoki ludzi i psów. Na każdym kroku widać było ślady jego bytności. Rozwalone implozjami wartownie przy bramie, fragmenty murków z czujnikami, przerwane druty, obalone słupy. A potem wybiegające z maszyn setki żołnierzy, krótki, nerwowy epizod z Karstenem i Larsonem. Patrzył bez śladu emocji, szukał znajomych twarzy i nie znajdował. Pojął, że skuteczny w każdej sytuacji major nie ratował życia. Tą ucieczką chciał ratować jak najwięcej ze spuścizny po Goldzie. Jeżeli dotrze do Carneya, ten nie zawaha się przed ostatecznością. Zajęcie Hartenbergu mogło oznaczać ujawnienie jego roli w wydarzeniach ostatnich tygodni. „Jeżeli zdaje ci się, że wiesz co robisz, wiesz za dużo”. Musi się spieszyć. Jeśli Bretson wziął czwarty śmigłowiec, już jest w Strasburgu. Już nie ma czasu.

Dla majora Andre Bretsona każdy kilometr drogi był tożsamy z odkryciem nowego, zupełnie nieznanego świata, zaskakującego, tajemniczego i groźnego. Nie mógł posłużyć się ostatnim śmigłowcem, bo maszyna miała awarię, i w ten obcy świat ruszył odkrytym dżipem. Nie opuszczał murów Hartenbergu od trzech miesięcy, zajęty bez reszty przygotowaniami swojej wspaniałej dziesiątki, wierzący w sukces chłopców. Wszystko było przecież przygotowane z istic profesorską precyzją. To musiało się powieść. Pamiętał wzruszenie, kiedy odprawiał McLachlana.

- Wiem, że zrobisz to najlepiej - położył mu rękę na ramieniu i ledwie się opanował przed uściśnięciem wojownika doskonałego. W ostatniej chwili uprzytomnił sobie, że Denis i tak nie pojąłby znaczenia tego gestu. Nie miał wtedy pojęcia o pułapce, o skazaniu go, nie znał nawet treści instrukcji. Nie znał jej także Ryszkow, który miał otworzyć kopertę dopiero po wylądowaniu. Obaj byli od czarnej roboty.

Denis nie wrócił, Ryszkow też. Z tłumaczenia Golda wynikało, że Denis został zastrzelony przez nieznaną sprawców i to samo po twierdził Rigby, spec od nasłuchu. Został zabity po wykonaniu zadania, zginął jak żołnierz. Ta wersja była do przyjęcia do wczoraj, podobnie jak wersja śmierci Ivora, którego nadajnik przestał pracować po strzelaniu w mieście. Tylko do wczoraj. Wczoraj jeszcze wierzył w geniusz obu kreatorów nowego świata godząc się obojętnie na koszty, jakie musi ponieść uśpiona, umierająca powoli społeczność Europy. Były ogromne, ale konieczne. Usunięcie tych darmozjadów, którzy uzurpowali sobie wyłączne prawo do mówienia i decydowania o wszystkim w imieniu milionów, zdawało się koniecznością tylko po tym, co widywali na ekranach telewizorów. Debaty parlamentarne to był jeden wielki cyrk, wybrańcy żarli oniryki przed kamerami, kłócili się jak przekupki, licytowali w pustych gestach. Jeżeli Mancini pokazał swoje cztery litery, odpowiedzią Frainza było zademonstrowanie zawartości rozporoka, a i to był daremny trud. Przy najlepszym układzie przyrodzenie szanownego deputowanego mogło podziwiać nie więcej niż pół procenta widzów, bo oglądalność była mizerna przy takim wyborze.

Wielki dzień przełomu nadszedł, przeminął jak inne, i tylko Gold był nieswój, dziwnie napięty, zdenerwowany. Wówczas Bretson był skłonny sądzić, że to swoiste poczucie winy po wykonaniu wyroku na kilkunastu tysiącach ludzi. Obaj przeżyli szok, słysząc o

zniszczeniu okrętu i pięknego, starego miasta, i obaj nie wierzyli, że to dzieło Domeniciego i spółki. Dwudziestego kwietnia Gold wyznał, że mafia nie odpowiada, prawdopodobnie przejęła kontrolę nad miastami i zaczyna działać po swojemu, przyporządkowując Rosjan. Wtedy zdawało się, że Carney został zabity albo uwięziony, bo nie można było się im porozumieć.

Bretson był o kilka kilometrów od zamku, kiedy przez szum silnika jego dżipa przebił się równomierny, narastający huk kilkudziesięciu maszyn bojowych. Zobaczył czarną chmurę zawisającą nad zamkiem. Zatrzymał się na kilka minut, przepełniony goryczą. Wszystko przegrał. Nie miał nikogo. Nikogo. Zostawał tylko Carney, mistrz mistrzów. Carney jedynowładca, wielkie dzieło jego pana, może największe.

Górkimi bezdrożami dojechał do drogi numer 92 i zdziwił go nieco widok pierzchającej w popłochu siedmioosobowej grupki, w której było dwoje dzieci. W górach ludzie zawsze byli przyjacielscy, a ci? Schodzili w dół i kiedy spostrzegli dżipa, nagle umknęli w bok, w panice wspięli się na zalesione zbocze, znikli w zielonym gąszczu. To nie było normalne, ale nie niebezpieczne. Na wszelki wypadek odbezpieczył PG i prowadził jedną ręką, gotowy do działania w każdej sekundzie. Nie działo się nic, ale gdzieś w lesie pośród gałęzi kryły się te dziwne istoty zachowujące się jak stado saren.

Jeszcze przed miesiącem stacje amerykańskie i niektóre lokalne pokazywały okropności w miastach i na prowincji, ale zgodnie uznali je za chwyt propagandowe. Przejęta przez mafie sieć Europe miała swoje serwisy, twierdziła co innego i jej wierzyli. Przecież tamto było niemożliwe, niemożliwe! Według uspokajających ocen Europe I zmieniło się niewiele. Te dni to tylko coś jak długi weekend, po którym sytuacja wróci do normy. W spokojnym, zasobnym Hartenbergu łatwo było temu dać wiarę. Zresztą jemu, zajętemu bez reszty ćwiczeniami ze swoją dziewiątką, wygodnie było wierzyć. Wtedy wierzył.

Pogorzelnisko zajazdu u wyjścia z doliny, wypalona do trzewi stacja benzynowa były jak rozwarte wrota do innego świata. Bretson zapomniał o dręczących go zmorach. Na powrót stał się żołnierzem bywałym na frontach dwóch prawdziwych wojen, myślącym tylko o zadaniu, o dotarciu do Strasburga. Tam znajdzie swojego wroga.

Nie przejechał nawet pięciu kilometrów dobrze znaną drogą. Zwolnił do czterdziestki, kiedy na pierwszym zjeździe przed Mulleck zagroziły ją ustawione w poprzek w dwóch rzędach samochody, tworząc zaporę nie do przebicia. Na poboczu siedział grupka młodych ludzi, chłopcy, dziewczyny w skąpych, fantazyjnych strojach. Jakby się wybrali na spóźnioną o parę dni majówkę. To nie była majówka. Nawet dziewczyny miały broń na ramionach, karabiny Kałasznikowa, uzi, Ingramy. Przez swoją lornetę widział uśmiechnięte twarze, ale te

uśmiechy nie zwodziły go, nie uspokajały, to były grymasy triumfu, uśmiechy zwycięzców. Widoczne poruszenie w grupie zdawało się świadczyć o zamiarach. Mają go za muchę, która wolno mierzy w sieć.

Mógł albo się wycofać, albo przebić sobie drogę. To pierwsze nie wchodziło w grę. Wiedział, że zaczną go ścigać, a wtedy to oni mieliby większe szanse. Musi mieć przewagę zaskoczenia. Nie zwalniając, wy dobył z torby cztery granaty i ściągnął z głowy wojskową czapkę bez odznak. Nawet drobiazgi znaczą. Będzie lepiej, jeżeli nie rozpoznają w nim żołnierza.

Odległość malała do trzystu, dwustu pięćdziesięciu metrów... Nadszedł czas. Prowadząc lewą ręką, wystawił lufę PG nad szybę i wyładował cały magazynek w to kłębowisko, nim oni zaczęli. Widząc samotnego rajdera, czekali ufni w przewagę i na to właśnie liczył. Odpowiedzieli mu niepewnym ogniem dopiero wtedy, kiedy już odłożył karabin, wcisnął pedał gazu, wrywał zębami zawleczkę i rzucił pierwszy, drugi granat za zaporę. Skręcił gwałtownie w lewo i zjechał na pobocze z nogą na hamulcu. Uderzył maską o dość strome zbocze, wypadł z wozu. Już leżąc za tylnymi kołami samochodu, zmienił magazynek na inny, z pociskami wybuchowymi. Pojedynczym ogniem wyszukiwał cele, a każdy pocisk był jak mały granat.

Otępiąły, zaszokowany tą jatką zobaczył, jak z kłębu dymu wynurza się nierzeczywista postać. Chwiejąca się na nogach dziewczyna w czarnych, obcisłych spodniach i podkoszulce strzelała na oślep z kałasznikowa, szła wprost na niego krokiem lunatyczki. Krzyczała, przeklinała załamującym się głosem. Pociągnął za spust, trafił ją między piersi. Pocisk z miniładunkiem wyrzucił jej ciało metr w górę i kilka metrów w tył.

Po chwili Bretson otarł pot z czoła. Umilkły strzały. Zapanowała cisza. Odczekał pół minuty i dopiero wtedy wstał z bronią gotową do strzału. Już nie czuł się żołnierzem, był tylko przejętym grozą człowiekiem odkrywającym, że w porywie szaleństwa dopuścił się czegoś strasznego. Nie zdobył się nawet na myślenie o tym wszystkim jak o samoobronie. Zabijał z zimną krwią i precyzją, zabijał głupie, szalone dzieci.

Ostatni pocisk rozerwał dziewczynę prawie na strzępy. Zamiast piersi miała jeden wielki, ohydny krater. Mogła mieć z siedemnaście lat. Na lewym, zakurczonym, odwróconym ku górze policzku zobaczył ślady łez i to było najgorsze. Ogarnęło go przerażenie, przerażenie, jakiego nie zaznał nigdy. Odkrył, że boi się siebie, boi tego dziwnego świata, boi wszystkiego. Zaraz po tym ataku powróciło zwierzęce otępienie i potykając się jak ślepiec, obszedł dookoła to „pole walki”. Pomiędzy płonącymi samochodami znalazł jeszcze dziewięć trupów i dwójkę rannych, żywych jeszcze, ale bez szans, najmniejszych szans. Szesnastoletni

chłopak miał brzuch rozerwany pociskiem wybuchowym, szczupła blondynka dostała w okolice serca i szyję. Bretson wyjął pistolet, strzelił im dwa razy prosto w czoło, oszczędzając dalszych mąk. Te dzieci umierałyby tu jeszcze długo. Oni wszyscy byli dziećmi. Dziećmi! A on był mordercą.

Oszołomiony, poruszając się jak automat, wrócił do dżipa. Uruchomił silnik. Objechał wąskim poboczem to małe cmentarzysko. W ciągu paru godzin przeżył jeszcze jedno życie. Ten świat chyba naprawdę oszalał. Dzieciaki bawiły się tylko. Bawiły w śmierć. Czy znały cenę takiej zabawy? Kto uczynił ją możliwą po tej stronie lustra?

Nigdy, nawet w czasie okrutnej wojny egipskiej czy syryjskiej nie widział takich potworności jak tu, w samym sercu Europy, nie prowadzącej wojny z nikim i o nic. Tam wszystko było normalne, bo spodziewane, tu iściła się Apokalipsa. „I brat bratu wrogiem będzie”.

Offenburg - do którego dotarł już pieszo, zmuszony do porzucenia dżipa przed następną zaporą - wyglądał normalnie, prawie normalnie, bo w mieście nie było ludzi. Tu królował strach. Zdemolowane domy, spalone samochody, porozwalane sklepy. Strach. Bretson przemierzał kolejne kręgi piekła na ziemi, która miała stać się rajem. Był zmęczony. Boże, jak był zmęczony. Nie miał złudzeń, że gdzie indziej jest inaczej. Wszędzie wokół tylko pustynia. Przemierzył prawie sto kilometrów i nic nie przypominało starego, dobrego świata, który odwiedzał przed paroma miesiącami, by rozerwać się po rutynie Hartenbergu wódą i panienkami, wiele razy w tym spokojnym mieście. Po knajpie Horsta na Lilienplatz zostały tylko wspomnienia. Wszedł na chwilę do wnętrza, nawet nie do wnętrza, bo w progu natknął się na ścianę słodkawego fetoru, jednego ze zwykłych zapachów wojny. Pośrodku leżały rozkładające się zwłoki właściciela, poznał go po czuprynie. Wyszedł. Za granicą otępienia odnalazł wściekłość, zimną, kontrolowaną wściekłość. Była mu potrzebna, bardzo.

Przy jednym z opustoszałych domów na przedmieściu odkrył starego, ale sprawnego opla z zapasem benzyny. Ten skarb kryła stara drewniana szopa w małym ogrodzie. Minęło południe, a od Strasburga dzieliło go trzydzieści kilometrów. Teraz nie spieszył się tak bardzo, cel nie był tak oczywisty jak wczesnym rankiem. Do diabła, myślał, przecież ktoś musi ponosić winę za to piekło! Przechodzę metamorfozę jak moi chłopcy, jestem przegrany. Nawet najpiękniejszy cel nie może być osiągniany takim kosztem. Nie przez ludzi. Na taki numer może sobie pozwolić tylko Bóg, jak w tamtej historii z Noem, a Gold ani Carney nie są bogami.

Stracił drugi samochód jeszcze po wschodniej stronie Renu, uciekając z niego przed nadjeżdżającą z przeciwka kawalkadą. Nie było sensu spieszyć na miejsce kaźni. Zabije

Carneya, księcia tego piekła, a potem poszuka implantów. Żal tych głupio przeżytych lat. Gdyby nie Gold, pewnie byłby już generałem i stałby po właściwej stronie.

Stolica Europy była jednym wielkim cmentarzyskiem nadziei. Zdało mu się, że przybył tu tylko po to, by pogrzebać je pod zwałami śmieci, wśród rozkładających się zwłok, w rojowisku szczurów. „O Cuzco, miasto pałaców. Pełne jesteś wrogów teraz i do końca dni moich” - natrętne słowa przywiało nie wiadomo skąd. Ach, tak. To z książki o taktyce wojennej Inków, ostatnie słowa ostatniego Sapa Inki. Ale Bretson nie był Inką i nie miał zamiaru umierać jak bydlę ofiarne.

Wieczorem szedł prawie pustymi ulicami przedmieścia. Już nie czuł się żołnierzem doskonałym. Był tylko małym, zagubionym człowieczkiem starającym się odnaleźć siebie w tym chaosie, tym bezsensie. Nie musiał się przekonywać zbyt mocno, że jest w tym część jego winy, nie zamierzał też stawiać się narzędziem w czyimś ręku. Uwolnił się od ogromnego ciężaru zależności wobec innych. Na zawsze. Sam musi stanowić o sobie, sam być sobie sterem, żeglarzem, okrętem. Sam dla siebie.

Myśli o zemście na implancie zacierały się w pamięci. Ten chłopak był jak Nemezis, a może też stał się narzędziem? Nieważne jest narzędzie, lecz jego użytkownik. A kto mógł użyć jednego z tych chłopców? Przecież nie wojsko. Oni są pochowani w bazach, nie przejawiają żadnej aktywności, nie mają własnego wywiadu. Zdecydowanie odpadają. Zaraz, zaraz... Całe zło wiązało się z Carneyem. Wiedział wystarczająco dużo o tej gwiazdzie wystrzelonej na firmament przez Golda. Chyba nikt inny nie może mu dorównać w kunszcie snucia misternych intryg, wymyślaniu podstępów godnych samego... Nie, samej Liwii. Może od początku miał kontrolę nad chłopcami przez Topfera albo kogoś od niego? Carney mógł wykorzystać chłopca do swoich celów. Zabił Golda, bo nikt nie lubi mieć konkurentów w drodze na sam szczyt. Wynurzył się nagle ogromny, potężny jak Lewiatan i oznajmił dumnie wszem wobec, że przejmuje władzę nad Europą. To wszystko trzymałoby się kupy, gdyby nie te śmigłowce nad Hartenbergiem.

Bretson postanowił. Najpierw Carney, a potem tamci. Zrobi to nie dlatego, że obiecał Goldowi. Zrobi to tylko dla siebie, zrobi, bo jest żołnierzem, a żołnierz musi służyć jakiejś sprawie. Zło będzie istniało dalej, ale on zniszczy jego potężne źródło. Wyeliminuje wroga.

Kryjąc się przed żywymi, przekradał się jak szczur do centrum, do gmachu telewizji. Carney może być tam albo w dawnej siedzibie EIA. To były dwa bezpieczne miejsca dla tego, który porwał i zgwałcił Europę... Może będzie z nim jego narzędzie?

W mroku nocy dotarł w pobliże gmachu telewizji. Z ukrycia przyjrzał się zabezpieczeniom przed gmachem. Nic nadzwyczajnego. Nie byli przygotowani na atak z

dystansu. Kilka czołgów załatwiłoby ich bez trudu. Pod porzuconym samochodem w bocznej uliczce zostawił swój PG z całą amunicją, granaty, nóż, większość złota. Najprostszy schowek może okazać się najlepszy. Do kieszeni wrzucił około dwudziestu monet. Ciekawe, czy złoto naprawdę oślepią? Ludzie Carneya obszukają go dokładnie i nie mogą nic znaleźć, bo inaczej ma pewną czapkę.

Spreparował cztery dawki implozywu. Jedną schował w paczce papierosów między bibułką a opakowaniem, dwie owinął taśmą klejącą i podkleił w protektorach prawego buta, ostatnią, parugramową upchał w werku zegarka. „Pośpiech prowokuje błąd” - tyle razy powtarzał to chłopcom i teraz sam przekonywał się o prawdziwości tego powiedzenia. On popełnił kilka błędów. Owszem, mógł przemycić implozyw w protektorach i urwać sobie obie nogi albo zamienić się w placek na suficie. Może nie mieć czasu na odklejenie ładunku, może... Znalazł inne rozwiązanie.

Wyłuskał dwa pociski z magazynka, nożem wydłubał kule, wysypał proch. Teraz pozostało upchnąć po parę gramów implozywu we wnętrzu łusek, w których poprzebijał spłonki. Teraz dbał o drobiazgi. Tak, pociski nie powinny budzić podejrzeń, a tłumaczenie będzie rozsądne, przynajmniej dla ochroniarzy. Detonator skrył w spodniach, pod genitaliami. Będzie mógł go uruchomić jednym obscenicznym gestem, a takie rzadko wyglądają podejrzanie. O resztę pomartwi się później. Przygotował wersję, która miała być prawdziwa w ogólnym zarysie, preparował ją według złotych reguł najlepszych kłamców, to się nazywało „prawdą wokół prawdy”. Papierosy i zegarek będą trofeami goryli. A Carney? Powinien zainteresować się człowiekiem z Hartenbergu. Nie ma, nie może mieć pełnej informacji o wszystkim.

W ciemnym mieście rozległa się nerwowa strzelanina, potem pojedyncza, głucha eksplozja, daleki przeraźliwy krzyk kobiety. Jeżeli to piekło, to jestem w jego siódmym kręgu, pomyślał Bretson. Wysunął się spod samochodu, naciągając na czoło czapkę. Spokojnym, równym krokiem podszedł do głównego wejścia wieżowca ubezpieczonego dwoma gepardami i kilkunastoma uzbrojonymi ludźmi w charakterystycznych polówkach. Oczywiście Rosjanie. Ciekawe, czy jeszcze używają pocisków z akonityną, a zresztą to mało ważne. Ważne jest to, że dobrze trafił. Nie strzelali ale i nie pytali o nic. Przejęli go sprawnie, obezwładnili, mimo że zdążył się zaprezentować:

- Jestem major Bretson z Hartenbergu. Przybywam od profesora Golda do pana Carneya z bardzo ważnymi wiadomościami.

Jego słowa nie wywierały żadnego wrażenia. Oni robili swoje. Bez oporu pozwolił się sprawdzać. Dowódca odczekał aż go przejadą detektorami, zanim podniósł radiotelefon.

Cholera, miałem szczęście, że żaden nie jest pedałem, pomyślał wisielczo Bretson. Minęli ocale niebezpieczny rejon. Odprężył się zupełnie, kiedy zlekceważyli łuski po pociskach. Wy tłumaczył, że musi je zobaczyć pan Carney, że są dowodem rzeczowym. To drobiazgi, jakie zwykle się lekceważy. Oddali mu je, oddali jedyną rzecz jaką miał przy sobie, stosując stare prawo wojny, prawo zdobyczy. Tak miało być.

Przekonał się, że złoto naprawdę oślepia. Część monet powędrowała do kieszeni dowódcy, zegarek zgarnął jeden z podwładnych, dwaj inni zapalniczkę i papierosy. Podziału dokonali w milczeniu. To też było wkalkulowane w grę. Zająć ich czymś innym, stworzyć zasłonę. Dwaj nie nacieszą się długo trofeami, o nie.

Polecenie z góry było jasne, widocznie go rozpoznano. Emisariusze Morisa gościli wiele razy w zamku, on sam zaś tylko raz przed ośmiu laty. Bretson miał zaszczyt uściskać mu dłoń.

Wprowadzili go do wielkiego hallu pełnego uzbrojonych egzekutorów i zaczęła się druga część gry. Jeszcze nie myślał o tym, co zrobi i jak to zrobi. Może wykorzysta odpowiedni moment i podrzuci to Carneyowi...

Carney musi mieć łuskę przy sobie, żeby w momencie inicjacji implozyw poczuł opór ciała. Gdyby nie Gold, Moris pewnie byłby teraz pijanym, zapłutym kloszardem. Musi być ciekaw, co stało się z Goldem. Z windy wysiadł cherlawy dupek. Bretson poznał jednego z sekretarzy „pierwszego Europejczyka”. Widywał go dziesiątki razy w telewizji.

- Czy pan Carney jest bezpieczny? Grozi mu wielkie niebezpieczeństwo. Ten szaleniec zniszczył cały Hartenberg i zabił profesora Golda. Jestem Bretson, jedyny, któremu udało się uciec... - strzelał jak karabin maszynowy, nie zważając na świadków. „Prawda wokół prawdy”. Major Bretson mówił z żołnierską otwartością.

- Nie rozumiem. Kto zniszczył Hartenberg? O jakim niebezpieczeństwie pan mówi? Jestem Savay, sekretarz pana Carneya. - Cherlak przyglądał mu się, wyraźnie zaintrygowany.
- Pan Carney czeka na pana. Wyjaśni pan to osobiście. Proszę ze mną.

Nie przyglądając się porozkładanym na fotelach i podłodze egzekutorom, szedł za Savayem do windy. Gwardziści Carneya wyglądali tak, jakby wypoczywali przed walką. Układało się nieźle, lepiej niż przypuszczał. W milczeniu wjechali na trzecie piętro, przeszli kilkanaście metrów pustym korytarzem i Savay zadzwonił do pokoju 333.

Carney wyglądał inaczej niż na ekranie telewizora, nie był dumny, żywiołowy, porywający. Chyba dlatego że nie jesteśmy na wizji, pomyślał zimny jak lód major. Przy nim tylko dwóch osiłków z barami jak garaże dla ciężarówek. Ubrani jak oni wszyscy. Rosjanie.

- To pan, poznaję. - Carney mówił, jakby przemagał zadyszkę. - To pan prowadził tych

dziesięciu nadludzi. Co pan przynosi ważnego?

- Przychodzę, żeby ostrzec pana przed jednym z nich, który wymknął się spod kontroli. - Bretson starał się być rzeczowy, przekonujący. - Wczoraj w nocy wykradł tajemnice Hartenbergu i zabił profesora Golda. Kilka godzin potem nastąpił desant jednostek armii, zamek opanowało wojsko. Wszyscy współpracownicy profesora dostali się do niewoli.

- Wykradł? Zabił? - Carney zacisnął ręce na poręczach fotela. - O Boże! Tylko tego brakowało.

Wzburzenie sięgające czterech stopni w skali było chyba szczere. Adresat przejął przesyłkę i nie zmienił się zbytnio, ale jego zachowanie wskazywało, że to nie on sterował implantem. Carney przymknął oczy i major pomyślał, że oddałby wiele, by móc odczytać choć jedną z myśli tego starego lwa wyglądającego tak, jakby za chwilę miał zdechnąć.

Tak. Carney wiedział, że skomplikowana gra potoczyła się nie tak, jak planował. Został w niej sam i gubił się, grając sam ze sobą. Kilka godzin temu postanowił dotrzymać słowa i wytepić te pluskwy gazami bojowymi, a parę godzin temu przekonał się, że poczucie władzy nad Korobkowem to czysta iluzja. Od dnia śmierci Krawczenki Korobkow zmienił się i wyglądało na to, że gorączkowo szuka drogi ucieczki. Kondotier liczy na siebie. Nie wierzy w ani jedno słowo. Chce wynieść głowę swoją i swoich ludzi, i uda mu się, jeżeli zagrozi tylko zrzućciem tego świństwa na jakieś miasto i wytarguje dla siebie środki transportu i korytarz powietrzny.

Carney był sam, zupełnie sam. Stał się zakładnikiem. Nie ma już nadziei na ponowne poparcie Golda, nadziei na nic, bo pewnie wojskowi znajdą jakieś nitki prowadzące do niego. Nie! Póki życia, póty nadziei. Nie poddał się nigdy, nie podda i teraz. Nie ma sytuacji bez wyjścia.

- A dlaczego przychodzi pan z tym do mnie, Bretson? - padło nieoczekiwane pytanie, lecz major nie zawahał się ani sekundy, jakby pytanie i odpowiedź były oczywiste.

- Po zabiciu profesora i przejściu Hartenbergu przez armię uznałem, że muszę pana ostrzec. To był mój obowiązek. Implant został przesterowany i jest bardzo niebezpieczny.

- Przesterowany przez armię - powiedział cicho Carney. - I co dalej?

- Sądzę, że z tej strony grozi panu niebezpieczeństwo. Implanci są nieobliczalni, nie istnieją dla nich żadne przeszkody. Nie wiem, kto go przeprogramował i na jakie cele nakierował, ale nie można wykluczyć ewentualności, że zaprogramowano go teraz na pana. Z pewnością zabił profesora Golda w jego sypialni. Oto łuska od pocisku, jedyna, jaką tam znalazłem. - Ochroniarze poruszyli się widząc jak Bretson podchodzi do Carneya z łuską w wyciągniętej dłoni. - Zabójca spenetrował tajny sejf profesora i zabrał stamtąd część

dokumentacji, a resztę przejęło wojsko.

Słowami odwracał uwagę od małej łuski, którą Carney jednak wziął w rękę. Już był gotów na realizację planu B. Po to była potrzebna druga łuska.

- Posłużył się albo małym spadochronem albo lotnią, dezorganizując przedtem naszą ochronę. Przeszedł przez chronione piętra podziemi, radząc sobie ze wszystkimi zabezpieczeniami i zabił profesora w jego sypialni niezauważony przez nikogo. Nie wiemy, który to implant, ale w grę wchodzi tylko dwóch, ten od gmachu Rady i ten od Domeniciego, panie Carney. Uciekł i stało się coś dziwnego. Ścigające go nasze śmigłowce nagle eksplodowały, a ścigali go inni implanci, ostatni, jakich miałem. Wyglądało na to, że zostali zestrzeleni z powietrza. To mogło zrobić tylko wojsko. Natomiast wczesnym rankiem nad Hartenbergiem znalazł się co najmniej pułk kawalerii powietrznej i to był koniec. W zamku byli jeszcze goście pana Golda, Vernier, Jelinek, Razzoli. Sadzę, że są teraz gośćmi generała Donovana.

- A jak pan zdołał uciec? - Savay chyba chciał pomóc Carneyowi, zadając to oczywiste pytanie.

- Miałem swoje tajemne przejście, proszę pana - teraz mógł kłamać bez obawy. - Postanowiłem dotrzeć do pana i ostrzec. Chciałem wysadzić wszystko w powietrze, ale nie miałem dostępu do materiałów wybuchowych i została mi tylko ucieczka. Zajęło mi to cały dzień drogi.

- A mógł pan tyle uratować - powiedział cicho, z wyrzutem Carney. - Ale cóż, stało się. Więc sądzi pan, że to robota armii?

To by się wiązało z aktywnością zielonych w miastach. Donovan podrzucał tu tysiące żołnierzy udających zrewoltowanych młodych, nie bojąc się ultimatum.

- Na to wygląda, panie Carney.

- A więc zniknęły także banki pamięci jego zakładów, tak? - usłyszał następne pytanie. Nie, nie zdawało mu się. Carney wątpił, po prostu się bał.

- Tak, panie Carney.

Zupełnie machinalnie Moris schował łuskę do kieszeni marynarki, pogrążony w głębokiej zadumie. Major odetchnął. Plan A wypali. Major wiedział, że nie ma szans na ucieczkę, ale życie w piekle było diabła warte.

- Jeżeli pan chce, proszę pozostać z nami, Bretson. Jeżeli nie, droga wolna - powiedział Carney w zamyśleniu.

- Zostanę tutaj. Ja jedyny go znam i wiem, jak z nim walczyć... - rzekł major, ale zbawca Europy nie chciał go słuchać, wykonał znaczący ruch ręką.

Savay chwycił Bretsona pod ramię, popychał w kierunku drzwi.

- Chodźmy już, chodźmy!

Znaleźli się za drzwiami i nadszedł ten czas. Musi to zrobić już teraz, bo inaczej nie będzie miał pewności. Carney musi mieć łuskę przy sobie...

- A ta jest dla pana, na pamiątkę - wcisnął zdumionemu Savayowi łuskę do górnej kieszonki marynarki, mocnym podbródkowym rzucił go na ścianę i odskakując na kilka kroków, sięgnął w krocze.

- I cóż mam więcej powiedzieć? Życzę dużo szczęścia, panie poruczniku. - Donovan osobiście odprawiał dwuosobową krucjatę, przerywając naradę. - Będziemy do północy czekać na sygnał od pana. Bez względu na wszystko kwadrans po północy dam rozkaz do ataku. Boję się, że jest pan zbyt dobrym katalizatorem i stąd ta decyzja.

- Tak, panie generale - rozmawiali, idąc do czekającego śmigłowca.

- Panie Ivor... - generał był wyraźnie nieswój. - Chciałbym o coś zapytać. Coś, co może pana zaboli.

- Tak, panie generale.

- Czy nie ma mi pan za złe, że tak pana wykorzystujemy?

- Nie robię niczego, czego nie chciałbym robić.

- Nie zamierzam namawiać, aby pan został w armii, Chris. Pan sam jest armią. Powiem tylko, że jestem szczęśliwy znając pana. Zazdroszczę majorowi Stawsky'emu.

- Każdy ma swoje miejsce, panie generale.

Już byli przy śmigłowcu. Chris wspiął się do kabiny, gdzie czekał Stawsky. Byli gotowi do startu. Pewnymi, oszczędnymi ruchami Ivor uruchomił silniki i po chwili wzniesli się w powietrze, by skierować się na północ.

Lecieli nieświadomi, że poza nimi dzieje się tak wiele. Struna była napięta do ostateczności. Czy Ivorowi uda się, czy nie, i tak będą musieli uderzyć nocą, wykorzystać czynnik zaskoczenia i przewagę zyskiwaną dzięki noktowizorom. Wiedzieli jedynie, że rozkazy z Montelimar zmobilizowały sześć kompanii strasburskich ściągniętych tam w ramach operacji „Kamuflaż”. Ściągnięto ich tam tyłu na wieść o koncentracji Rosjan. Zostały oddane pod komendę Stawsky'ego, a przedtem miały zapewnić transport obydwu z lądowiska do miasta.

W całej Europie dziesiątki tysięcy żołnierzy czekały na jedno słowo w pełnej gotowości bojowej. Zablokowano granice. Każdy statek i samolot miały znaleźć się na celowniku. Piloci mieli najpierw strzelać, a potem pytać kto zacz. Rozkazy były wystarczająco jasne. Muszą uniemożliwić ucieczkę zabójcom. W górze krążyły thundery i eagle'e przejmujące kruchą łupinkę płynącą na północ.

- Dobrze się czujesz, Chris? - Stawsky szybko przyzwyczał się do swobody, z jaką

przyjaciół obsługiwał komputer pokładowy. Wierzył w niego, ufał niezwykłym umiejętnościom. Jeszcze nie powiedział mu najważniejszego. Chris sam zdobył klucze do siebie. Dzięki materiałom z Hartenbergu dowiedzieli się o stosowanych technikach subhipnozy i kreatyki. Znając je, mogli poradzić sobie z pełnym odblokowaniem całej trójki. Metody stamtąd były nieludzkie, wprost zbrodnicze, ale jakże skuteczne. Jeżeli Donovan nie rozkaże zniszczyć tych dokumentacji, Topfer rychło znajdzie niejednego naśladowcę.

- Tak, Stan. Dobrze. Ten nowy środek bardzo pomaga.

- Po operacjach i kilku tygodniach przy naturalnym odżywianiu i wspomaganiu hormonalnym może już nie będzie potrzebny, ale musisz poddać się pewnemu reżimowi.

- Zrobię to, zgodzę się na wszystko, ale nie tam w Chambery. Chcę wrócić nad Drommond, tam jest moje miejsce.

- A ja chciałbym być tam z wami. Jeżeli przeżyję.

- Cieszę się, Stan.

- Ja też - uśmiechnął się do siebie, odkrywając, że rozmawiają ze sobą tak, jakby lecieli na piknik. - Kiedy się uspokoi musimy zorientować się, czyje to jest, jak wygląda status prawny. Nie, niepotrzebnie to mówię. Powinienem inaczej.

- Jak?

- Powinienem powiedzieć tylko: „zrobione” - zaraz spoważniał. - Sądysz, że to będzie koniec, Chris?

- Czy ma te ładunki, czy to nie będzie koniec tego, co było? - w głosie Ivora zadźwięczała jakby ironia, ale może to była tylko wina słuchawek.

- Powiedz mi dlaczego nalegałeś, by mnie zrobić dowódcą. Przecież to wybór najgorszy z możliwych.

- Po to, byś mógł robić co zechcesz - odpowiedział Chris. - Dowódca może przecież wyznaczyć innego dowódcę, prawda?

- A niech to. Masz rację. Zapomniałem o psychotechnice.

Ładowali wczesnym wieczorem gdzieś na przedmieściu. Czekają na nich kilkudziesięciu ludzi w czarnych kombinezonach, obwieszonych ekwipunkiem bojowym. Pośród nich parunastu facetów w skórach nabijanych ćwiekami. Ci naprawdę wyglądali jak najeźdźcy z Marsa.

- Pan major Stawsky? Melduje się kapitan Tummer z siódmego pułku, były dowódca „Kamuflażu” w Strasburgu. Jestem na pańskie rozkazy, majorze.

- Jak wygląda sytuacja, kapitanie?

- Zmienia się z chwili na chwilę, a nowym jej elementem jest koncentracja

egzekutorów w gmachu Europe i na lotnisku. Przygotowują do lotu trzy airbusy i teraz trwa załadunek. Niedawno skontaktowałem się z Monte i polecono mi nie przeszkadzać, panie majorze - odpowiedział Tummer i stało się jasne, że Donovan rozkaże zwalić ładunek gdzieś nad morzem.

- Ja nie chcę panu niczego sugerować, kapitanie. Jestem dowódcą raczej z przypadku, proszę tylko o wypełnienie kilku poleceń porucznika Ivora.

- O cholera! To pan jest Ivor? - Tummer był zaszokowany. - Jestem do dyspozycji.

- Czy wiadomo panu, gdzie przebywa Carney?

- Jest w gmachu telewizji, panie Ivor. Nie rusza się stamtąd.

- Pańskie zadanie jest proste, kapitanie. Musi pan odwrócić uwagę egzekutorów na znak zdalnego sygnalizatora akustycznego. Proszę o pilota do pańskiego. Na sygnał zaatakuj pan budynek nie po to, by go zdobywać. To zasłona.

- To wszystko, panie Ivor?

- Tak, kapitanie.

Tummer nie pytał więcej. Dla niego i jego chłopców Chris Ivor był największym bohaterem tego czasu, w którym wszystkie laury zbierali jajogłowi, nie normalni żołnierze. Bezimienni jajogłowi z pierwszym znakiem tajności na lewym pośladku. Ivor przywracał wiarę w możliwości mięśni, sprawności. Plotka głosiła, że to jakiś tam Frankenstein a tu widział młodego, muskularnego chłopaka, może niezbyt sympatycznego w obejściu, ale sam kontakt z nim rekompensował wszystko.

Chrisa nie dziwiło, że idą zupełnie nie niepokojeni pustymi ulicami, ale kapitan uznał za stosowne wyjaśnić, że te ulice już zdołali „odkurzyć”, nie zapominając o licznikach Geigera. Stoczyli kilka potyczek z egzekutorami, tracąc paru ludzi... Wiele grup takich jak Lawrensona podporządkowało się armii... Chris przystanął.

- Stan, na mnie czas. Jesteśmy blisko. Kapitanie, czy wystarczy panu pół godziny na przegrupowanie?

- Tak, w zupełności. Mogę tu zostawić pluton, gdyby coś się stało.

- Jeżeli coś się stanie, ta bitwa nie będzie potrzebna, kapitanie. Idę.

Szedł drogą wskazaną mu przez Rory'ego Hellmana. W hallu jasno oświetlonego gmachu czekały dziesiątki uzbrojonych ludzi. Długi ciąg studiów był pusty, jak wtedy, kiedy szedł do Jacka Kersee. Tu było centrum, tu był Carney, a on musiał dotrzeć do niego na długość wyciągniętej ręki. Zabije go, nim tamten zdąży wcisnąć guzik. W tym dziwnym świecie, tak trudnym do zrozumienia, armia nie chciała brać na siebie tego ciężaru.

Rory był wart tyle złota ile sam ważył. Stara droga była otwarta. Jego elektroniczny

wytrych zamykał pola indukcyjne kolejnych zapór, otwierając pierwsze, drugie, trzecie drzwi, dwóch ludzi w jednym ze studiów nie zwróciło na niego uwagi. Rejestrował wielki błąd Korobkowa. Nie wykorzysta go. Rozwiązanie Donovana będzie o wiele lepsze. Ciężkie samoloty nie umkną uwagi, zestrzelenie jest racjonalniejsze od potyczki.

Drzwi do gmachu nie były nawet zamknięte i kiedy uchylał je ostrożnie, trzymając na wysokości piersi znaleziony w drodze kostium, spodziewał się choć jednego człowieka za nimi. Znow ogarnęło go zdumienie. Przemknął niezauważony do schodów zapasowych. Idąc pod górę, poczuł prawdziwe zmęczenie. Pokusa była silniejsza niż zwykle, ale jeszcze za wcześnie na iniekcję. A może już? Zastryk przyniosłby mu ulgę, dodałby siły. Nie, jeszcze nie czas. Jest jeszcze Jack Kersee, wspaniały, szalony człowiek, któremu obiecał coś i musi dotrzymać słowa. Ma dla niego kilka chwil. Może czegoś się dowie.

Wyszedł na korytarz osiemnastego zwykłymi drzwiami, nie spotykając nikogo, choć w tym swoistym więzieniu siedziało i pracowało kilkaset osób. Starając się iść ze swobodną nonszalancją jak wszyscy tutaj, dochodził do drzwi Jacka, nie patrząc w stronę kamery na końcu korytarza, nie wiedząc czy ktoś kontroluje wnętrza budynku. Tym razem zadzwonił.

- Nie wierzyłem, że jeszcze wpadniesz do mnie przed końcem świata, chłopcze! - Jack wyglądał na zdumionego, szczerze uradowanego. - Jest u mnie pan Beaumont, Chris - wskazał siedzącego przy stoliku mężczyznę zachowującego się co najmniej dziwnie. - To nominalny szef tego bajzlu. Beaumont, poznaj, mój przyjaciel Chris Ivor.

- Dobry wieczór, panie Ivor - usłyszał powolny, trochę bełkotliwy głos. Beaumont miał szkliste, półprzytomne oczy, orbitował.

Chris patrzył na niego zupełnie obojętnie, mimo że znał nazwisko tego ocalałego łba hydry. Tacy jak on są warci tyle samo żywi, co martwi.

- Wróciłem jak obiecałem. Pamiętasz Jack?

- Pamiętam, doskonale pamiętam ciebie i twoje natchnione prorocтва, w które nie chciałem wierzyć. Sprawdziło się, chłopcze, do końca sprawdziło to brudne sumienie. Nasz uwielbiany Carney prowadzi najgorszą zgraję morderców pod słońcem. Takich apostołów nie miał żaden święty, a on dla wielu jest jeszcze święty. Przemawia ze swoich niebiańskich wyżyn do maluczkich, grozi ogniem piekielnym. Napijiesz się z nami, Chris? - i Kersee i Beaumont byli pijani.

- Nie. Przyszedłem do ciebie po słowo, Jack, i po to, by zbawić świat od Carneya - powiedział wolno Ivor, a z boku rozległ się opętańczy chichot Beaumonta.

- Zabij go, chłopcze, zabij wszystkich parszywców, ale po nas przyjdź na końcu. Niech wiem, że tamci mnie poprzedzają.

- Być może, już niedługo będziesz musiał powiedzieć parę zdań do wszystkich, którzy zechcą cię wysłuchać, Jack. Pomóc im. Już za parę godzin nastąpi koniec. To jest ten dzień.

- Dies irae - szepnął do siebie Jack Kersee. Ten chłopak przyszedł tu jak... jak zwiastun dobrej nowiny, która miała nadejść po tysiącu śmierci. Boski ogień, jaki zapłonął w nim po usłyszeniu tych słów sprawił, że wynurzył się z gęstego oparu trzeźwy po swojemu. Wrzód wielki jak cała Europa dojrzał pod nóż i lada chwila miało wylać się z niego cuchnące świństwo.

- Gdzie jest teraz Carney, Jack?

- Na trzecim piętrze w redakcji tak zwanej kultury, chłopcze. Jest tak wielki, że nie chce uświęcać gabinetów byłych szefów tego bajzlu. Siedzi tam jak wielki pająk pośrodku sieci i knuje coś nowego. Pewnie znowu myśli, jak zbawić ten świat po raz pięćdziesiąty ósmy. To zawodowy zbawca, chłopcze. Zrobię, co mogę i czego nie mogę. Licz na mnie.

- Muszę iść, Jack. Nie wypuszczaj stąd tego człowieka przez dziesięć minut.

- Nie daj się zabić tym skurwielom, a ja chętnie zmówię pacierz za Carneya.

Chris Ivor schodził powoli na dół. Miał jeszcze kilka minut przed rzuceniem się w odmęty. Nie potrafił sprecyzować sobie żadnego planu. Osiągnie cel za pomocą swojej plastikowej zabawki i może zginie. Co się stanie, kiedy Korobkow będzie miał w ręku detonator? Bezpiecznie opuści Europę a potem i tak może odpalić ładunki.

Będąc na ósmym piętrze sięgnął po strzykawkę. Ukłucie w udo przez tkaninę i do krwi zaczęła przenikać płynna, ognista energia. Znow poczuł się półbogiem, znow zaczęła go rozsadzać niesamowita siła i nic nie było ważne poza celem. Nadchodziło szaleństwo myśli, ale kontrolował się bez trudu, panował nad sobą, sprawdzał przed ostatnią próbą. Był gotowy. Stał przed drzwiami wychodzącymi na trzecie piętro zaprogramowany na szybkie, skuteczne działanie.

Nagle usłyszał daleki, stłumiony, znajomy głos. Niemożliwe! Bretson. Wysunął się na korytarz i o dziesięć metrów od siebie zobaczył zgiętego wpół majora i ciało jakiegoś człowieka porwane niezwykłą siłą, rzucone na drzwi. Nie tak powinno być. Ale nim to przemyślał już był w pełnym biegu, strzałka z lewej wyrzutni utkwiała w ramieniu majora. Zobaczył jeszcze pełne bólu, zdumione oczy Bretsona i przeskakując nad osuwającym się na wykładzinę ciałem, już był przed wyrwanymi implozją drzwiami. Tamci dwaj w pokoju byli żywi, ubrani w charakterystyczne kombinezony egzekutorów. Żywi i w szoku. Nie pojmowali, co stało się przed sekundami. Na ich oczach Carney został rzucony z fotelem na ścianę i zamieniony w krwawą miazgę, monstrualną, turpistyczną płaskorzeźbę. Wessany do wnętrza tłumok, który był ciałem Savaya, dopełnił miary grozy. Nie dane im było pojąć tego

do końca. Dwie kule z bezgłównego narzędzia do zabijania uwolniły ich od ziemskich zmartwień. Chris Ivor nie upewniał się, czy Carney rzeczywiście nie żyje i jakie będzie miał kłopoty w dniu sądu ostatecznego. Koło się zamknęło. Nie, nie koło, lecz szalona, niepojęta wstęga Möbiusa.

Nie mógł wiedzieć, że w tej samej chwili Korobkow wybiega przed gmach zaalarmowany nagłą, niepojętą śmiercią dwóch swoich ludzi rozerwanych na strzępy. Wcisnął guzik sygnalizatora i w okna najniższych pięter uderzyły tysiące pocisków z broni maszynowej, granaty ogłuszające, dymne, paraliżujące.

Klęknął przy ciele nieprzytomnego Bretsona, uniósł je, zarzucił bez trudu na lewe ramię i badając przestrzeń wylotem lufy, biegł ku schodom i wyżej, wyżej. Tam mógł znaleźć chwilowe schronienie, kryjówkę. Bretson zabił Carneya. Musiał go stąd zabrać, bo inaczej nie pozna prawdy.

Epilog

„...jesteście młodzi i piękni jak wschodząca nadzieja. Chcecie zabijać nadzieję? Dzisiaj jest wtorek i początek świata, a ja błagam was. Zobaczcie, jak wyglądają narodziny nowego świata, bo to zdarza się tylko dwa razy - w godzinę później Jack Kersee rozmawiał ze sobą przed kamerami studia numer siedem, mówił do siebie słowami prostymi, zrozumiałymi, pełnymi znaczeń. - Bójcie się waszego strachu, który każe wam strzelać do innych, uciekajcie od niego. Dzisiaj nadszedł na to czas. Był kiedyś dzień pierwszy i jest ostatni, kochani moi. Czas nadszedł dzisiaj. Nie żyją ci, którzy wtrącili Europę w bezdenną otchłań chaosu, już jutro poznacie ich prawdziwe twarze i trudno wam będzie uwierzyć. Teraz uwierzcie w to, że nie będzie drugiej Lejdy. Wy jeszcze żyjecie i chcecie żyć. Lada chwila do miast wejdą jedyni, którzy mogą nam pomóc, żołnierze Armii Europy, wasi bracia, wasi przyjaciele. Są jednak żołnierzami i będą strzelać do tych, którzy jeszcze zechcą zabijać, bo każda śmierć rodzi tylko śmierć. Nie pozwalajcie na to na początku nowego czasu, a będzie to czas bez przemocy, bez śmierci. Rzucajcie broń, czeka was jutro. Ja jestem żywy, obyście i wy...”.

Noc zaczęła wyć, skowyczeć, pękać w potężniejszym huku setek ogromnych maszyn. Nad miastem zawisły śmigłowce bojowe Donovan.